

Guy Gavriel Kay

Tigana

Przełożyła: Agnieszka Witecka

Podziękowania

Przy powstawaniu tego dzieła służyło mi pomocą oraz udzieliło wsparcia bardzo wiele osób. Serdecznie im za to dziękuję. Sue Reynolds po raz kolejny zaproponowała mi mapę, która nie tylko odzwierciedlała rozwój mojej opowieści, lecz także nim kierowała. Rex Kay i Neil Randall wspierali mnie swoim entuzjazmem oraz służyli wnikliwymi komentarzami od początkowych stadiów powieści do ostatnich poprawek. Jestem im za to ogromnie wdzięczny.

Skorzystałem z wiedzy bardzo wielu osób. Ze szczególną przyjemnością daję wyraz swemu podziwowi dla „Nocnych bitew” (I Benandanti) Carlo Ginzburga. Wiele zawdzięczam też dziełom między innymi Gene Bruckera, Lauro Martinesa, Jacoba Burckhardta, Iris Origo i Josepha Huizingi. Chciałbym także złożyć hołd pamięci dwóch ludzi, których od dawna darzę głębokim szacunkiem i których dzieła oraz źródła inspiracji wytyczyły mi drogę: Josepha Campbella i Roberta Gravesa.

W końcu, mimo że wzmianka autora o roli współmałżonka przy tworzeniu książki często sprawia wrażenie rytuału lub czynności rutynowej, chciałbym dać wyraz swej wdzięczności oraz miłości do mojej żony Laury i podziękować jej za podtrzymywanie mnie na duchu i za rady, którymi służyła mi podczas pisania Tigany w Toskanii i w domu.

O wymowie

Mając na uwadze czytelników, którzy do takich spraw przywiązują wagę, winienem może wyjaśnić, że większość imion własnych występujących w tej powieści należy wymawiać zgodnie z zasadami języka włoskiego. I tak na przykład wymawia się wszystkie końcowe samogłoski: Corte ma dwie sylaby, a Sinave i Forese po trzy. Początkowa głoska w wyrazie Chiara jest taka sama, jak w chianti, lecz Certnndo zaczyna się podobnie jak cztery lub czapka.

*Naprzód porzucisz najśłodsze kochania:
To pierwsza będzie z twych losów przygody
Strzała puszczona po łuku wygnania.
Poznasz następnie, jakie gorzkie gody
Spożywać cudzy chleb; jak uciążliwa
Droga wstępować na nie swoje schody.*

Dante, Boska Komedia, Raj
Pieśń XVII, 55-60
(tłum. Edward Porębowicz)

Cóż może zapamiętać płomień? Jeśli pamięta odrobinę mniej, niż jest to konieczne, gaśnie; jeśli pamięta odrobinę więcej, to też gaśnie. Gdybyż tylko mógł nas nauczyć, w czasie gdy płonie, jak pamiętać wiernie.

Jorgos Seferis,
„Marynarz Stratis opisuje człowieka”

Prolog

Oba księżycy stały wysoko, przyćmiewając swoim blaskiem prawie wszystkie gwiazdy. Na brzegach rzeki płonęły ciągnące się daleko obozowe ogniska. Księżycowe światło i pomarańczowe błyski odbijały się w spokojnie płynącej wodzie.

Siedział na brzegu rzeki, oplótszy rękoma kolana, rozmyślając o śmierci i o swoim życiu.

Ta noc jest wspaniała. Głęboko wdychał łagodne, letnie powietrze, czuł zapach rzeki, wodnych kwiatów i trawy, patrzył na refleksy błękitnego i srebrzystego światła słuchał delikatnego szmeru Deisy i przytłumionego śpiewu, dobiegającego od strony ognisk. Po drogiej stronie rzeki, gdzie obozował wróg, też śpiewali. Jakoś trudno było ślepo zniechęcić te melodyjne głosy – chociaż tak dyktowałby obowiązek żołnierza. Ale Saevar właściwie nie był żołnierzem i nigdy nie potrafił naprawdę nienawidzić.

Nie dostrzegał ludzi na przeciwległym brzegu. Widział natomiast ogniska i bez najmniejszych trudności potrafił ocenić, o ile więcej było ich niż czekających brzasku Jego rodaków. Dla większości z nich będzie to ostatni świt. Nie miał złudzeń – nikt ich nie miał, przynajmniej od czasu bitwy, która rozegrała się nad tą samą rzeką przed pięcioma dniami. Mieli tylko odwagę i przywódcę, któremu prawie dorównywali walecznością dwaj jego młodzi synowie obecni w obozie.

Obaj byli nad wyraz urodziwi. Saevar żałował, że nigdy nie miał okazji wyrzeźbić posągu żadnego z nich. Oczywiście księżę z którym pozostawał w przyjaźni, był jego modelem wiele razy. Saevar nie uważał, by prowadził życie bezużyteczne czy puste. Miał swoją sztukę, radość i podniecie, jakie mu dawała, i doczekał się pochwał od możnych swojej prowincji, a w istocie – całego półwyspu.

Poznał też miłość. Pomyślał o swojej żonie, a potem o dzieciach. O córce, której narodziny przed piętnastu laty przekonały go po części o sensie życia. I o synu, za młodym, by pozwolono mu wyruszyć na północ na wojnę. Pamiętał wyraz twarzy chłopca, kiedy się rozstawali. Nim targały te same uczucia. Przytulił dzieci, a następnie długo, w milczeniu, obejmował żonę. Potem szybko się odwrócił, aby ukryć łzy, niezgrabnie dosiadł konia, nie przyzwyczajony do miecza u boku, i odjechał z księciem na wojnę przeciwko tym, którzy najechali ich zza morza.

Nagle z tyłu, z lewej strony, usłyszał lekkie kroki. Tam właśnie płonęły obozowe ogniska i stamtąd dobiegały głosy splecione w pieśni granej na syrenii. Odwrócił się.

– Uważaj – zawołał cicho – chyba że chcesz potknąć się o rzeźbiarza.

– Saevar? – zapytał ktoś rozbawionym głosem, którego brzmienie natychmiast rozpoznał.

– Tak, mój księżę – odrzekł. – Widziałeś kiedyś, panie, tak piękną noc?

Valentin podszedł bliżej – było na tyle jasno, że widział, gdzie stawia nogi – i przysiadł

obok.

– Chyba nie – zgodził się. – Spójrz. Vidomniego przybywa, a Ilariona odpowiednio ubywa. Oba księżycy razem tworzyłyby całość.

– Dziwną całość – rzekł Saevar.

– Bo i dziwna jest ta noc.

– Czyżby? Czy jest inna przez to, co robimy tu, na dole? My, śmiertelnicy, pogrążeni w szaleństwie?

– W naszych oczach tak – odparł cicho Valentin. – Piękno, które teraz dostrzegamy, objawi się całkowicie dopiero o poranku.

– A co on nam przyniesie, panie? – wyrwało się Saevarowi. Podświadomie wierzył, że jego łaskawy i dumny książę zna odpowiedź na pytanie, co czeka ich za rzeką. Odpowiedź na wszystkie ygratheńskie głosy i ygratheńskie ogniska płonące na północ od nich. Odpowiedź, co najważniejsze, na straszliwego króla Ygrathu i jego czarną magię oraz nienawiść, którą przynajmniej on, Saevar, wzbudzi w sobie jutro rano bez trudu.

Valentin siedział w milczeniu i patrzył na rzekę. Saevar spostrzegł spadającą gwiazdę, która przecięła niebo na zachód od nich, by pogrążyć się w otchłani morza. Żałował swoich słów – nie była to pora na zadawanie księciu takich pytań.

W chwili, kiedy już miał za nie przeprosić, Valentin odezwał się cichym głosem, tak by nie być słyszany poza ich ciasnym kręgiem ciemności.

– Chodziliśmy wśród ognisk razem z Corsinem i Loredanem, niosąc pociechę, by pomóc ludziom zasnąć. Cóż więcej można zrobić?

– Obaj są dzielnymi chłopcami. Właśnie myślałem, że nie wyrzeźbiłem podobizny żadnego z nich.

– Szkoda – rzekł Valentin. – Jeśli przetrwa po nas cokolwiek, to właśnie sztuka, to, co robisz. Nasze księgi i muzyka, zielono-biała wieża Orsarii w Avalorze. – Przerwał, a po chwili powrócił do poprzedniego wątku. – Tak, to odważni chłopcy. Mają jednak szesnaście i dziewiętnaście lat i gdybym mógł, kazałbym im zostać z ich bratem... i twoim synem.

Był to jeden z powodów, dla których Saevar kochał Valentinę: książę pamiętał o jego chłopcu i nawet teraz, w takiej chwili, stawiał go w myślach obok swego najmłodszego syna.

Na wschodzie, gdzieś za ogniskami, nagle zaczęła śpiewać trialla i obaj mężczyźni zamilkli, wsłuchani w jej srebrzysty głos. Saevara ogarnęło wzruszenie, ale wstrzymywał łzy, które mogłyby zostać wzięte za oznakę strachu.

– Nie odpowiedziałem na twoje pytanie, stary przyjacielu – powiedział Valentin. – Tutaj, w ciemności, z dala od ognisk i trosk, jakie przy nich widziałem, prawda wydaje się łatwiejsza. Saevarze, niezmiernie mi przykro, ale prawda jest taka, że my przelejemy więcej krwi; obawiam się, że będzie to cała nasza krew. Wybacz mi.

– Nie ma tu nic do wybaczenia – Saevar odparł szybko i stanowczo. – Nie ty, panie, wywołałeś tę wojnę, ani nie mogłeś jej uniknąć czy zapobiec. Poza tym może nie jestem żołnierzem, ale mam nadzieję, że nie jestem głupcem. To było niepotrzebne pytanie: znam odpowiedź. Widzę ją w ogniskach po drugiej stronie rzeki.

– I w czarach – dodał cicho Valentin. – Bardziej w nich niż w ogniskach. Mimo że po zesłotygodniowej bitwie jesteśmy osłabieni i pokryci ranami, moglibyśmy odeprzeć liczniejszego wroga. Ale on ma do pomocy magię Brandina. Przybył sam lew, nie zaś lwie szczenię, a ponieważ szczenię nie żyje, poranne słońce musi unurzać się we krwi. Czy powinienem się poddać w zeszłym tygodniu? Temu chłopcu?

Saevar odwrócił się z niedowierzaniem do księcia, by spojrzeć na niego w połączonym blasku księżyców. Dopiero po chwili odzyskał mowę i odezwał się stanowczym tonem:

– Zaraz po poddaniu się wróciłbym do domu, wszedł do Nadmorskiego Pałacu i rozbiłbym wszystkie twoje posągi, panie, które kiedykolwiek wyrzeźbiłem.

W chwilę później usłyszał dziwny dźwięk. To Valentin się śmiał, ale takiego śmiechu Saevar nigdy przedtem nie słyszał.

– Och, przyjacielu – powiedział wreszcie książę. – Wiedziałem, że tak zareagujesz. Ach, ta nasza duma. Ta nasza straszliwa duma. Jak myślisz, czy kiedy nas zabraknie, ludzie będą o niej pamiętać?

– Być może – odparł Saevar. – Z całą pewnością będą nas pamiętać. Tu na półwyspie, w Ygrath, w Ouilei, nawet na zachodzie za morzem, w Barbadorze i całym Imperium. Zostawimy po sobie imię.

– I zostawiamy nasze dzieci – rzekł Valentin. – Te najmłodsze. Synów i córki, które będą o nas pamiętać. Poznają prawdę. Usłyszą opowieści o rzece Deisie, o tym, co tu się rozegrało, a nawet więcej – o tym, kim byliśmy w tej prowincji przed klęską. Brandin z Ygrathu może nas jutro zniszczyć, może najechać nasz dom, lecz nie może odebrać nam imienia czy pamięci o tym, kim byliśmy.

– Nie może – powtórzył Saevar, czując dziwną, nieoczekiwaną lekkość w sercu. – Masz rację, mój książę. Nie jesteśmy ostatnim wolnym pokoleniem. Echa jutrzejszego dnia będą rozbrzmiewały po wsze czasy. Dzieci naszych dzieci będą nas pamiętać i nie ugną się niewolniczo pod jarzmem.

– A jeśli któreś z nich będzie chciało postąpić inaczej – dodał Valentin innym głosem – to znajdą się dzieci czy wnukowie pewnego rzeźbiarza, którzy rozbiją mu głowę, czy będzie ona z kamienia, czy też nie.

Saevar uśmiechnął się w ciemności. Chciał się roześmiać, ale nie znalazł w sobie dość siły.

– Mam nadzieję, panie, jeśli boginie i bogowie dopuszczą. Dziękuję. Dziękuję, że to powiedziałeś.

– Żadne podziękowania nie są potrzebne, Saevarze. Nie między nami i nie dzisiejszej nocy. Niech Triada strzeże i chroni cię jutro i później, niech strzeże i chroni wszystko, co ukochałeś.

Saevar przełknął ślinę.

– Wiesz, panie, że jesteś tego częścią. Częścią tego, co kocham.

Valentin nic nie odrzekł. Dopiero po chwili pochylił się i ucałował skroń Saevara. Następnie uniósł dłoń, a rzeźbiarz, którego wzrok stracił nagle ostrość, uniósł swoją i przytknął ją do dłoni księcia w geście pożegnania. Valentin wstał i odszedł do ognisk swej armii, poruszając się w księżycowym blasku niczym cień.

Śpiew ustał po obu stronach rzeki. Było bardzo późno. Saevar wiedział, że powinien wrócić i na kilka godzin położyć się spać. Trudno mu było jednak porzucić doskonale piękno tej ostatniej nocy. Rzekę, księżycy, gwiazdne sklepienie, świetliki i blask ognisk.

W końcu postanowił zostać nad wodą. Siedział samotnie w letniej ciemności nad brzegiem Deisy, mocnymi dłońmi oplótłszy kolana. Obserwował zachód obu księżyców i powolne dogasanie ognisk, myślał o żonie, dzieciach i rzeźbach, które będą żyły po jego śmierci, a trialla śpiewała dla niego przez całą noc.

CZĘŚĆ I

Nóż w serce

Rozdział I

Gdy nadszedł czas jesiennego winobrania, Sandre, diuk Astibaru niegdysiejszy władca miasta i całej prowincji, nagle zmarł w swej wiejskiej posiadłości, znanej z pięknych cyprysów, oliwek i winorośli, gdzie od lat był na wygnaniu.

U jego boku nie znaleźli się żadni ze sług Triady, którzy odprawiliby odpowiednie obrzędy: ani biało odziani kapłani Eanny ani duchowni służący mrocznej Morianie od Portali, ani kapłanki boga Adaona.

W mieście Astibar wieści te, przyniesione wraz z wiadomością o śmierci diuka, nie wywołały szczególnego zaskoczenia. Wściekłość wygnanego Sandre na Triadę i jej duchowieństwo, trwająca przez ostatnie osiemnaście lat jego życia, była wszystkim znana, a i od bezbożności Sandre d’Astibar nigdy się nie odzęgnywał nawet w czasach kiedy sprawował władzę.

W wigilię Święta Winorośli miasto przepelniały tłumy ludzi z pobliskiej distrady oraz dalszych okolic. W zatłoczonych tawernach oraz khavenach ludzie, którzy nigdy nie oglądali twarzy diuka a w razie wezwania na jego dwór w Astibarze bledliby ze strachu, teraz wymieniali między sobą prawdziwe wiadomości przemieszane z kłamstwami o diuku niczym wełnę i przyprawę.

Diuk Sandre zawsze stanowił temat rozmów i domysłów na całym półwyspie, zwanym przez ludzi Dłonią – i nic po jego śmierci tego nie zmieniło, mimo że Alberico z zamorskiego imperium Barbadioru najechał zbrojnie kraj i wygnał Sandre do Distrady osiemnaście lat temu. Kiedy władza odchodzi, pamięć o niej pozostaje.

Być może dlatego Alberico, który trzymał żelazną ręką cztery z dziewięciu prowincji, a o dziewiątą rywalizował z Brandinem z Ygrathu, ściśle przestrzegał protokołu, a już z całą pewnością robił to dlatego, że zawsze działał ostrożnie i z rozwagą.

Zanim minęło południe dnia, w którym zmarł diuk, widziano, jak przez wschodnią bramę miasta wyjeżdża posłaniec Alberico. Wiózł ze sobą srebrnobłękitny żałobny sztandar oraz, w co nikt nie wątpił, kondolencje dla dzieci i wnuków Sandre.

W khavenie „Pod Paelionem”, gdzie w tym sezonie zbierali się najdowcipniejsi, ktoś cynicznie zauważył, że gdyby pozostali przy życiu Sandreni nie byli tak nieudolni, to zamiast jednego posłańca tyran wysłałby raczej oddział własnych barbadiorskich najemników. Zanim ucichło wywołane tym rozbawienie, tłumione nieco obawą przed szpiclami, pewien wędrowny muzyk – w Astibarze były ich w tym tygodniu dziesiątki – zaproponował zakład o wszystkie pieniądze, jakie zarobi w ciągu następnych trzech dni, że przed końcem świąt z wyspy Chiara nadejdą wierszowane kondolencje.

– To zbyt wielka okazja – wyjaśnił pewny siebie przybysz, trzymając w dłoniach parujący kubek khavu doprawionego jednym z tuzina likierów stojących na półkach za barem. – Brandin nie omieszkaj przypomnieć Alberico – i nam wszystkim – że chociaż podzielili oni nasz półwysep, to sztuka i nauka ciężą raczej ku zachodowi, ku Chiarze. Zważcie na me słowa, a kto chce, niech się założy: nim za trzy dni w Astibarze ucichnie muzyka, otrzymamy koślawo zrymowany wiersz zażywnego Doarde lub jakiś pokretny akrostych Cameny, w którym „Sandre” będzie napisane na sześć sposobów, także na wspak.

Rozległ się śmiech, chociaż znów ostrożny, mimo że była to wigilia święta, kiedy to, zgodnie z tradycją, można było pozwolić sobie na większą swobodę niż w inne dni roku. Kilku mężczyzn mocnych w rachunkach zaczęło szybko obliczać czas żeglugi, uwzględniając stan morza na północ od prowincji Senzio, a potem wzdłuż Archipelagu, i propozycja zakładu grajka została przyjęta. Na tabliczce wiszącej na ścianie „Pod Paelionem” właśnie w tym celu pojawiły się odpowiednie sumy. Astibar było miastem znanym z hazardu.

Jednak już po chwili wszystkie zakłady i pokpiwania poszły w niepamięć. Ktoś w wysokiej czapce z zakręconym piórem otworzył szeroko drzwi khaveny, poprosił o uwagę, a kiedy wrzawa ucichła, oznajmił, że właśnie widziano posłańca tyrana, jak wracał przez wschodnią bramę, tę samą, którą tak niedawno wyjeżdżał; że jechał znacznie szybciej niż poprzednio i że o niecałe trzy mile za nim ciągnie kondukt żałobny diuka Sandre d’Astibar. Pragnął, aby jego ciało było wystawione na widok publiczny przez jedną noc i jeden dzień w mieście, którym niegdyś władał.

Reakcja gości „Pod Paelionem” była natychmiastowa i łatwa do przewidzenia: zaczęli głośno uspokajać wszystkich innych, chcąc, by ich usłyszano w hałasie, który sami robili. Gwar, polityka i spodziewane atrakcje święta powodowały u ludzi wzmożone pragnienie. Obrót był tak duży, że pobudliwy właściciel „Pod Paelionem” zaczął machinalnie dodawać do zaprawianego khavu, który ciągle zamawiano, pełne miarki likieru. Jego żona, bardziej flegmatyczna, nadal oszukiwała wszystkich klientów, dobrodusznie nie wyróżniając nikogo.

– Zostaną zawróceni! – zawołał młody poeta Adreano, z rozmachem stawiając kubek i rozlewając gorący khav na ciemny, dębowy stół największej łoży „Pod Paelionem”. – Alberico nigdy na to nie pozwoli! – Jego znajomi i pochlebcy, którzy zawsze gromadzili się przy tym stole, wydali pomruk zgody.

Adreano rzucił okiem na wędrownego muzyka, który tak zuchwale postawił pieniądze na Brandina z Ygrathu i jego dworskich poetów z Chiaru. Ten zaś, wielce rozbawiony, z kpiarsko uniesionymi brwiami rozparł się wygodnie na krześle, które jakiś czas temu bezczelnie przysunął do stołu. Adreano czuł się mocno urażony, choć nie wiedział, czy jego uraza bierze się raczej z tak niedbałego przyznania przez muzyka kulturalnej wyższości Chiarze czy z lekceważącego potraktowania wielkiego Cameny di Chiara, którego Adreano przez ostatnie pół roku pracowicie

naśladował zarówno w stylu swoich wierszy, jak i w stroju, nosząc dniem i nocą trójwarstwowy płaszcz.

Adreano był wystarczająco inteligentny, by uświadomić sobie możliwość sprzeczności drzemiącą w tych dwu źródłach gniewu, lecz był też bardzo młody i wypił nadmiar khavu doprawionego likierem z Senzio, tak więc świadomość ta pozostała ukryta głęboko pod warstwą jego myśli.

A myśli te nadal skupiały się na owym zarozumiałym wieśniaku. Najwyraźniej przybył do miasta, żeby za garść astinów, które będzie mógł roztrwonić podczas święta, przez trzy dni rzepolić na jakimś wiejskim instrumencie. Jak taki człowiek śmie wejść do najmodniejszej we Wschodniej Dłoni khaveny i posadzić swój wiejski tyłek na krześle przy najważniejszym stole? Adreano ciągle jeszcze miał w pamięci dojmująco żywy obraz długiego miesiąca, podczas którego – nawet po wydaniu pierwszych wierszy – ostrożnie krążył coraz bliżej, wzdrygając się na myśl o mogącej go spotkać odprawie, dopóki nie został członkiem wybranego i sławnego kręgu roszczonego sobie prawo do tej łoży.

Liczył, że grajek ośmieli się zaprzeczyć jego opinii; miał już nawet przygotowany kuplet o wędrownym motłochu, co to wygłasza opinie na temat lepszych od siebie w obecności tychże.

Nieznajomy, jakby sprowokowany tą szykującą się odprawą, rozsiadł się jeszcze wygodniej, pogładził długim palcem przedwcześnie posiwiąłą skroń i odezwał się wprost do Adreano:

– To chyba moje popołudnie na zakłady. Zaryzykuję wszystko, co wygram w tamtej sprawie, i postawię na to, że Alberico jest zbyt, ostrożny, by zburzyć z tego powodu nastrój święta. W Astibarze jest teraz za dużo ludzi i panuje za duże podniecenie – nawet przy chrzczonym trunku, jaki się tu podaje ludziom, co powinni zresztą zauważyć. – Uśmiechnął się, chcąc nieco złagodzić ostatnie słowa, i ciągnął: – O wiele lepiej dla tyrana będzie okazać łaskawość. Trzeba pochować starego wroga z należnym ceremoniałem, a potem złożyć podziękowania bogom, których jego zamorski imperator każe ostatnio czcić Barbadiorczykom. Podziękowania, a także ofiary, bo może być pewien, że wałachy, które zostawił po sobie Sandre, szybko zrezygnują z niemodnej pogoni za wolnością, symbolem której był w niewytrzebionym Astibarze zmarły.

Przy końcu swej wypowiedzi już się nie uśmiechał i nie spuszczał z twarzy Adreano szeroko rozstawionych szarych oczu.

Po raz pierwszy padły prawdziwie niebezpieczne słowa. Zostały wypowiedziane cicho, lecz usłyszeli je wszyscy obecni w łoży i nagle ich kącik „Pod Paelionem” stał się nienaturalnie cichy wśród niepohamowanej wrzawy panującej w pomieszczeniu. Tak szybko ułożony szydarczy kuplet Adreano wydał się jemu samemu błahy i nie na miejscu. Nic nie odpowiedział, a serce biło mu dziwnie szybko. Z wysiłkiem wytrzymał wzrok muzyka.

A ten, uśmiechając się sarkastycznie, dodał:

– Czy zakład stoi, przyjacielu?

Grając na zwłokę i gwałtownie obliczając, ile astinów mógłby zdobyć, przyparłszy do muru pewnych znajomych, Adreano powiedział:

– Zechciałbyś nas oświecić, dlaczego chłop z distrady tak niefrasobliwie traktuje swoje przyszłe pieniądze oraz poglądy na takie sprawy?

Nieznajomy uśmiechnął się szerzej, ukazując równe, białe zęby.

– Nie jestem chłopem – zaproponował wesoło – ani nie pochodzę z tej distrady. Jestem pasterzem z gór południowej Tregei i coś wam powiem. – Powiódł rozbawionymi szarymi oczyma po słuchaczach. – Stado owiec potrafi nauczyć człowieka więcej o bliźnich, niż niektórzy z nas chcieliby przyznać, a kozy... no cóż, kozy uczynią z człowieka filozofa skuteczniej niż kapłani Moriany, szczególnie jeśli ściga się je w górach w ulewnym deszczu, a zbliża się burza i noc.

Gdy mówił, napięcie stopniowo łagodniało i w końcu łoża rozbrzmiała szczerym śmiechem. Adreano na próżno usiłował zachować surowy wyraz twarzy.

– Czy nasz zakład stoi? – zapytał przyjaźnie pasterz jeszcze raz. Wejście malarza Nerone, gwałtowniejsze niż mężczyzny w czapce z piórem, zaoszczędziło Adreano konieczności udzielenia odpowiedzi, a kilku jego przyjaciółom żalu za utraconymi astinami.

– Alberico dał zezwolenie! – zapał wśród wrzawy panującej „Pod Paelionem”. – Właśnie wydał dekret kończący wygnanie Sandre z chwilą jego śmierci. Diuk zostanie wystawiony na widok publiczny jutro rano w starym pałacu Sandrenich i będzie miał wspaniały pogrzeb ze wszystkimi dziewięcioma obrzędami! Pod jednym warunkiem... – Tu zrobił pauzę dla efektu. – Pod warunkiem, że zostaną wpuszczeni duchowni Triady, by odprawić swoją część.

Znaczenie tego wszystkiego było po prostu zbyt wielkie, żeby Adreano rozpamiętywał utratę twarzy – młodym, nadto zapalczywym poetom zdarzało się to mniej więcej co dwie godziny. Tymczasem to... to były wielkie wydarzenia! Coś go skłoniło, by spojrzeć na pasterza. Twarz tamtego wyrażała łagodne zainteresowanie, lecz z całą pewnością nie triumf.

– No cóż – powiedział, potrząsając ze smutkiem głową. – Chyba świadomość, że się nie myliłem, będzie musiała wynagrodzić mi ubóstwo. Obawiam się, że taki już mój los.

Adreano roześmiał się. Klepnął korpulentnego, zadyszanego Nerone po plecach i zrobił mu miejsce obok siebie.

– Niech Eanna ma nas obu w swojej opiece – powiedział do malarza. – Właśnie zaoszczędziłeś więcej astinów, niż ich posiadasz. Chciałem trochę od ciebie pożyczyć na zakład, który dzięki twoim wieściom właśnie bym przegrał.

Zamiast, odpowiedzi Nerone podniósł kubek poety, w którym została jeszcze połowa khavvu, i opróżnił go jednym haustem. Rozejrzał się wokół, lecz wszyscy inni, doskonale znając zwyczaj malarza, pilnowali swych trunków. Ciemnowłosego pasterz z Tregei roześmiał się cicho

i podsunął mu własny kubek. Nerone, który nauczył się nigdy nie powstrzymywać cudzej hojności, pociągnął potężny łyk, a kiedy zobaczył dno, wymruczał podziękowanie.

Adromo zauważył to, lecz jego myśli pędziły nie znanymi mu dotąd ścieżkami, prowadząc do nieoczekiwanego wniosku. Zwrócił się do Nerono, ale mówił do wszystkich obecnych w loży:

– Po raz kolejny przyniosłeś też potwierdzenie, jak przebiegły jest rządzący nami barbadiorski czarnoksiężnik. Jednym dekretem Alberico udało mu się wzmocnić związki z duchowieństwem Triady. Pozostawił doskonały warunek spełnienia ostatniego życzenia diuka. Spadkobiercy Sandre będą musieli się zgodzić – co prawda zawsze się na wszystko zgadzają – i nawet nie potrafię zgadnąć, ile astinów będzie ich kosztowało ułagodzenie kapłanów i kapłanek, by zgodzili się przyjść jutro rano do pałacu Sandrenich. Alberico będzie odtąd znany jako człowiek, który w chwili śmierci bezbożnego diuka Astibaru wyjednał mu łaskę Triady. Rozejrzał się po loży, podekscytowany siłą własnego rozumowania. – Na krew Adaona, przypomina mi to intrygi dawnych czasów, kiedy wszystko odbywało się z takim porządkiem, że zamięszały się jedna z drugą, tworząc los całego półwyspu.

– No proszę – odezwał się Tregeańczyk z poważną miną – być może jest to najmądrzejsza opinia wygłoszona tego hałaśliwego dnia. Lecz powiedz mi ciągnął, a Adreano pokraśniał z radości – jeśli czyn Alberico właśnie przypominał ci, a niewątpliwie innym też, chociaż nie tak szybko, bieg spraw sprzed czasów, kiedy przyplłynął tu jako zdobywca, a Brandin zajął Chiare i zachodnią prowincję, to czy nie jest możliwe – ściszył głos, zwracając się w rosnącym gwarze tylko do Adreano – że jednak został w tej grze przechytrzony? Przechytrzony przez martwego człowieka?

Wokół panował rozgardiasz. Ludzie wstawali i płacili rachunki, chcąc jak najprędzej znaleźć się na zewnątrz, gdzie działy się tak wielkie rzeczy. Wszyscy śpieszyli do wschodniej bramy, aby zobaczyć, jak po osiemnastu latach Sandreni wnoszą swego zmarłego pana do domu. Przed kwadransem Adreano zerwałby się wraz z innymi, narzucając swój potrójny płaszcz, i popędziłby do bramy, żeby znaleźć sobie dobre miejsce. Teraz jednak było inaczej. Jego myśli zawróciły za głosem Tregeańczyka i pomknęły nową ścieżką, a błysk zrozumienia zalśnił w jego oczach niczym płomyk w ciemności.

– Rozumiesz, prawda? – nowy znajomy zapytał bezbarwnym głosem. Znajdowali się w loży sami. Nerone został jeszcze przez chwilę, żeby wychłęptać pozostawione w pośpiechu resztki khavu, po czym wyszedł za innymi na jesienne słońce i wiatr.

– Chyba tak – odparł Adreano, układając sobie wszystko w głowie. – Sandre przegrywając, wygrywa.

– Przegrywając bitwę, której losy tak naprawdę wcale go nie obchodziły – uzupełnił pasterz z błyskiem w szarych oczach. – Wątpię, czy duchowni kiedykolwiek coś dla niego znaczyli. Nie

byli jego wrogami. Bez względu na to, jak subtelny może być Alberico, faktem jest, że zdobył tę prowincję, a także Tregę, Ferraut i Certando dzięki swojej armii oraz czarnoksiężstwu, i że tylko dzięki nim utrzymuje Wschodnią Dłoń. Sandre d' Astibar rządził tym miastem i prowincją przez dwadzieścia pięć lat mimo pół tuzina rebelii i prób zabójstwa, o których słyszałem. Udało mu się to dzięki garstce czasami lojalnych żołnierzy, rodzinie i już wtedy legendarnej przebiegłości. Co byś powiedział na domniemanie, że zeszłej nocy nie dopuścił do swego wezgłowa kapłanów i kapłanek tylko dlatego, żeby podsunąć Alberico duchownych jako warunek, dzięki któremu tyran może dzisiaj zachować twarz?

Adreano nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Czuł natomiast zapał i podniecenie, ale nie wiedział, czy chce chwycić za miecz czy za pióro, by przelać na papier kłębiące się w nim uczucia.

– Jak myślisz, co się stanie? – zapytał z szacunkiem, który zadziwiłby jego znajomych.

– Nie jestem pewien – odparł szczerze nieznajomy. – Mam jednak dziwne przeświadczenie, że podczas tegorocznego Święta Winorośli rozpocznie się coś, czego nikt z nas się nie spodziewał.

Przez chwilę zdawało się, że chce jeszcze coś dodać, lecz wstał, rzucając na stół garść brzęczących monet za swój khav.

– Muszę iść. Czas na próbę. Występuję w trupie, z którą nigdy przedtem nie grałem. Zeszłoroczna zaraza przerzedziła wędrownych muzyków i dzięki temu mam trochę odpoczynku od kóz.

Pokazał zęby w uśmiechu, a potem spojrział na wiszącą na ścianie tabliczkę z zapisanymi zakładami.

– Powiedz, swoim znajomym, że za trzy dni będę tu przed zachodem słońca, żeby załatwić sprawę poetyckich kondolencji z Chinry. Bywaj.

– Bywaj – pożegnał go Adreano.

Właściciel z żoną zbierali kubki i kieliszki, wycierając od razu stoły i ławy. Adreano poprosił gestem o ostatnią porcję khavu, tym razem czystego, żeby rozjaśnić sobie myśli. Kiedy w chwilę później saczył napój, uświadomił sobie, że zapomniał zapytać muzyka o imię.

Rozdział 2

Devin miał zły dzień.

W wieku dziewiętnastu lat prawie całkowicie pogodził się ze swoją mizerną posturą i jasną, chłopięcą twarzą, jaką na dodatek obdarzyła go Triada. Dawno już minęły czasy jego dzieciństwa na wsi w Asoli, kiedy miał zwyczaj zaczepiać się stopami o gałęzie drzew i wisieć tak, aby choć trochę się wyciągnąć.

Wspomnienie niektórych z tych prób odżywały z niezwykłą ostrością nawet po tylu latach, wciąż wywołując przykre emocje. Bardzo chętnie zapomnieliby owo popołudnie, kiedy jego bracia bliźniacy zaskoczyli go, jak właśnie zwisał z drzewa głową w dół. W sześć lat później ciągle jeszcze dręczyła go myśl, że bracia, tak niezmiennie tępi, natychmiast domyślili się, dlaczego to robi.

– Pomożemy ci, mały! – zawołał radośnie Povar i zanim Devin zdążył wrócić do normalnej pozycji i uciec, Nico chwycił go za ręce, Povar za nogi i jęli go rozciągać, cały czas rechocząc ze śmiechu. Poza wszystkim innym bawił ich przedwcześnie rozwinięty okazały zasób przekleństw Devina.

W każdym razie wtedy po raz ostatni usiłował stać się wyższy. Jeszcze tej samej nocy zakradł się do sypialni chrapiących bliźniaków i wylał na każdego z nich wiadro pomoy dla świni, po czym, dając susy jak Adaon na swej górze, przemknął przez podwórze i przeskoczył bramę zagrody, jeszcze zanim rozległ się ich ryk.

Nie pojawiał się w domu przez dwie noce, a po powrocie otrzymał od ojca baty. Spodziewał się, że sam będzie musiał wyprać pościel, ale zrobił to Povar. Flegmatycznie dobroduszni bliźniacy zdążyli już o wszystkim zapomnieć.

Devin, obdarzony ową przeklętą czy też błogosławioną pamięcią niczym Eanna od Imion, nigdy o tym nie zapomniął. Być może trudno było żywić urazę do bliźniaków – właściwie było to prawie niemożliwe – lecz to wcale nie zmniejszyło jego poczucia samotności. Niedługo po tym wydarzeniu opuścił dom jako początkujący śpiewak, uczeń Menico di Ferraut, którego trupa objeżdżała północne Asoli co drugą lub co trzecią wiosnę.

Od tego czasu Devin nie był w domu, nie licząc tygodniowych pobytów w czasie północnego objazdu trupy trzy lata temu oraz minionej wiosny. Wcale nie był tam źle traktowany, lecz po prostu nie pasował do gospodarstwa, o czym wszyscy wiedzieli. Uprawa ziemi w Asoli była poważną, wymagającą zawziętości pracą, a nawet walką o pola i samych siebie, wbrew zaborczemu morzu i duszącej monotonii codzienności.

Gdyby żyła matka, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej, ale gospodarstwo w Asoli, dokąd Garin z Dolnego Corte zabrał swoich trzech synów, było surowym, pozbawionym

kobiecej ręki miejscem, być może do przyjęcia dla bliźniaków, którzy mieli siebie nawzajem, i dla takiego człowieka, jakim w końcu stał się Garin. Gospodarstwo nie wywoływało ciepłych wspomnień ani nie stanowiło odpowiedniej pożywki dla wyobraźni małego, bystrego, najmłodszego dziecka, którego talenty, niezależnie od tego, jak mogłyby się rozwinąć w przyszłości, nie były związane z uprawianiem ziemi.

Kiedy się dowiedzieli od Menico di Ferraut, że głos Devina może się zmierzyć z czymś poważniejszym niż wiejskie ballady, wszyscy pożegnali się z pewną ulgą. Był wtedy wczesny, wiosenny poranek, zasnuty nieprzeniknioną szarością i deszczem. Nim jeszcze przebrzmiały pożegnalne słowa, ojciec i Nico odwrócili się i poszli sprawdzić poziom rzeki. Povar jednak się ociągał i niezdarnie szturchnął swego dziwnego braciszka w ramię.

– Jeśli nie będą cię dobrze traktować – powiedział wtedy – wracaj do domu. Zawsze znajdziesz się dla ciebie miejsce.

Devin zapamiętał obie rzeczy: łagodny kuksaniec, który musiał udźwignąć przez te wszystkie lata więcej znaczenia, niż powinien nieść taki gest, oraz szorstkie, szybko wypowiedziane słowa. W gruncie rzeczy tak naprawdę pamiętał prawie wszystko, z wyjątkiem matki i czasów w Dolnym Corte. Nie miał jeszcze dwóch lat, kiedy zginęła w toczących się tam walkach, a w miesiąc później Garin zabrał swych trzech synów na północ,

Odtąd Devin przechowywał w pamięci niemal wszystko.

I gdyby lubił się zakładać – a nie lubił, mając w duszy dość asolskiej ostrożności – chętnie postawiłby jednego chiaro lub astina na to, że od lat nie pamiętał u siebie takiego przygnębienia. Właściwie, szczerze mówiąc, od czasu gdy pojął, że już nie urośnie.

Co trzeba zrobić, zapytał posepnie sam siebie Devin d'Asoli, żeby dostać w Astibarze coś do picia? I to w wigilię święta!

Gdyby problem nie przyprawiał go o taką wściekłość, zasługiwałby na śmiech, bo już w pierwszej gospodzie, w której odmówiono mu sprzedania butelki zielonego wina z Senzio, dowiedział się, że jest to sprawka zgorzkniałych, ponurych kapłanów Eanny. Devin żywił głębokie przekonanie, że bogini miała prawo oczekiwać od swoich sług czegoś lepszego.

Wyglądało na to, że przed rokiem, w nie kończących się potyczkach o zdobycie przewagi nad duchownymi Moriany i Adaona, kapłani Eanny przekonali radę, którą tyran zdobył swoje rządy, że astibarska młodzież jest niemoralna i, co ważniejsze, taka rozpusta powoduje niepokoję. A ponieważ jest oczywiste, że źródłem rozwiązłości są tawerny i khaveny...

W niecałe dwa tygodnie Alberico obwieścił i zaczął egzekwować prawo mówiące że żaden młodzieniec liczący mniej niż siedemnaście lat nie może kupić w Astibarze trunku.

Zasuszeni kapłani Eanny urządzili sobie święto – jeśli tacy asceci w ogóle potrafili świętować – z okazji swego drobnego tryumfu nad kapłanami Moriany i eleganckimi kapłankami Adaona, oba te bóstwa bowiem były związane z mroczniejszymi namiętnościami,

a więc i z winem.

Oberżyci po cichu dawali wyraz swemu niezadowoleniu (w Astibarze nie należało jawnie wyrażać dezaprobaty), chociaż nie tyle z powodu utraty klienteli, ile podstępnych metod wprowadzania prawa w życie. Otóż nakładało ono na każdego właściciela gospody, tawerny czy khaveny obowiązek ustalania wieku klienta. Jednocześnie, gdyby akurat wśród klientów znalazł się któryś z wszędobylskich barbadiorskich najemników i gdyby arbitralnie orzekł, że dany klient wygląda zbyt młodo... no cóż, wtedy zamykano na miesiąc jedną tawernę i jednego szynkarza.

Wszystko to dotkliwie uderzyło w astibarskich szesnastolatków. A wraz z nimi, jak się okazało tego poranka, ucierpiał pewien dziesiętnastolatek z Asoli o chłopięcym wyglądzie.

Odwiedziwszy trzecią z kolei tawernę po zachodniej stronie Ulicy Świątyń, Devin poczuł pokusę przejścia na drugą stronę do świątyni Moriany. Tam mógłby udawać ekstatyczny szal z nadzieją, że w Astibarze uśmierza się nadmierną ekstazę zielonym senziańskim. Przyszedł mu też do głowy jeszcze inny, mniej racjonalny pomysł, aby wybić okno w sklepionej świątyni Eanny i sprawdzić, czy potrafi go dogonić któryś z rezydujących tam imbecyli.

Powstrzymał się od tego czynu zarówno z powodu prawdziwej czci, jaką otaczał Eannę od Imion, jak i dużej liczby rosnących, potężnie uzbrojonych barbadiorskich najemników patrolujących ulice Astibaru. Barbadiorczycy znajdowali się oczywiście wszędzie we Wschodniej Dłoni, lecz ich niepokojąca obecność najbardziej zaznaczała się w Astibarze, który obrał sobie za siedzibę Alberico.

W końcu Devin ruszył na zachód, do zatoki, a następnie udał się tam, gdzie prowadził go funkcjonujący jeszcze, niestety, zmysł węchu – do Zaułka Garbarzy. Tu, otoczony mdlącymi wyziewami sztuki garbarskiej, które zupełnie tłumili słony zapach morza, dostał bez żadnych pytań w tawernie „Pod Ptakiem” odkorkowaną butelkę zielonego. Oberżysta powłóczył nogami, miał długie ręce, a jego oczy prawdopodobnie niewiele dostrzegały w mroku pozbawionego okien pomieszczenia.

Nawet w tej nie rzucającej się w oczy, smrodliwej dziurze było pełno ludzi. Z powodu mającego się rozpocząć następnego dnia Święta Winorośli Astibar wypełniały tłumy. Devin wiedział, że żniwa udały się wszędzie z wyjątkiem Certando i mnóstwo osób ogarnął nastrój sprzyjający wydawaniu całych trzosów chiaro czy astinów.

„Pod Ptakiem” nie było ani jednego wolnego stołu. Devin wpełznął się do kąta, gdzie ciemny, podziurawiony blat baru stykał się z tylną ścianą, pociągnął solidny łyk wina – rozwodnionego, lecz nie nadmiernie – i przygotował umysł oraz duszę do rozważań nad perfidią i brakiem rozsądku u kobiet, a szczególnie u Catriany d’Astibar.

Miał dość czasu do popołudniowej próby – ostatniej przed jutrzejszym pierwszym występem w domu właściciela niewielkiej winnicy – by wesprzeć swoje rozmyślenia butelką wina i mimo

to stawić się trzeźwym. Pomyślał z oburzeniem, że jest przecież doświadczonym członkiem trupy. Jest współnikiem. Zna przedstawienie tak, jak dłoń zna rękawiczkę. Dodatkowe próby zarządził Menico ze względu na troje nowych członków trupy.

Zaliczała się do nich niemożliwa Catriana, przez którą wypadł z porannej próby tuż przed jej zakończeniem. No bo jak, na Adaona, miał zareagować, skoro niedoświadczona kobieta, której się zdawało, że potrafi śpiewać – i którą traktował ze szczerą życzliwością od chwili, gdy przystąpiła do zespołu – powiedziała tego ranka przy wszystkich to, co powiedziała?

Przeklinając swą pamięć, Devin znów ujrzał członków trupy na próbie w wynajętym pokoju na parterze, na tyłach tawerny, w której mieszkali. Czterech muzyków, dwie tancerki, i Menico, Catriana i on sam śpiewający na przedzie. Próbowali Pieśń miłości Raudera, o którą na pewno poprosi żona handlarza wina. Devin śpiewał ją od prawie sześciu lat. Potrafił dać sobie z nią radę otepiał, nieprzytomny czy pogrążony w głębokim śnie.

Tak więc całkiem możliwe, że był trochę znudzony i rozkojarzony, że przysuwał się ku ich najnowszej, rudowłosej śpiewaczce nieco bliżej, niż było to konieczne; być może zawarł w spojrzeniu i głosie cień aluzji, no, ale to nie powód, żeby...

– Devinie, na Triadę – warknęła Catriana d’Astibar, przerywając próbę – czy nie mógłbyś oderwać myśli od swojego krocza przynajmniej na ten krótki czas, żeby zaśpiewać w przyzwoitej harmonii? To naprawdę nie jest trudna pieśń!

Devin miał jasną cerę, więc jego twarz w mgnieniu oka spurpurowiała. Zobaczył, że Menico, który powinien ostro zbesztać dziewczynę za jej zuchwałość, zwija się ze śmiechu i jest jeszcze bardziej czerwony od Devina, podobnie jak wszyscy inni.

Nie potrafił wydusić z siebie odpowiedzi, a nie chcąc utracić resztek godności, oparł się gwałtownej chęci trzepnięcia dziewczyny w głowę i okręciwszy się na pięcie, po prostu skierował się do wyjścia.

Po drodze rzucił pełne wyrzutu spojrzenie Menico, ale nie znalazł u niego pociechy: pryncypał trupy ocierał łzy z okrągłej, brodatej twarzy, a potężny brzuch trząsał mu się ze śmiechu.

Tak więc Devin udał się na poszukiwanie zielonego senziańskiego i jakiegoś ciemnego kąta, gdzie mógłby je wypić w ten olśniewający, jesienny astibarski poranek. Znalazłszy w końcu wino i niepewne ukrycie w mroku, uznał, że nim wypije pół butelki, wymyśli, co powinien był powiedzieć temu aroganckiemu, rudogrzywemu stworzeniu.

Gdyby tylko nie była tak bardzo wysoka. Markotnie nalał sobie kolejny kieliszek. Spojrzawszy na poczerńiałe belki stropu, rozważał przez chwilę możliwość powieszenia się na jednej z nich – oczywiście za nogi. Jak za dawnych czasów.

– Postawić ci coś jeszcze? – odezwał się jakiś głos.

Devin westchnął i odwrócił się. Doskonale zdawał sobie sprawę, czego może się spodziewać

niewysoki, młody chłopak, pijący samotnie w portowej tawernie. Ale oto stał przed nim gustownie ubrany mężczyzna w średnim wieku, który miał siwiejące włosy i rozbiegające się od skroni zmarszczki, powstałe z powodu trosk lub śmiechu.

– Dziękuję – odparł Devin – ale dopiero napocząłem butelkę i sam wolę mieć kobietę, niż być nią dla żeglarzy. Jestem także starszy, niż wyglądam.

Mężczyzna roześmiał się głośno.

– W takim razie – rzekł ze szczerym rozbawieniem – może ty mi coś postawisz, a ja ci opowiem o moich dwóch córkach na wydaniu i pozostałych dwóch, które osiągną ten wiek szybciej, niż ja zdołam się do tego przygotować. Jestem Rovigo d’Astibar, kapitan „Panny Morskiej”, która właśnie wróciła z podróży do Tregei.

Devin uśmiechnął się i sięgnął przez bar po kieliszek – w tawernie było zbyt tłoczno, żeby zawracać sobie głowę przywoływaniem oberżysty, a poza tym i tak nie chciał rzucać się w oczy.

– Z przyjemnością wysączę z tobą tę butelkę – powiedział do Rovigo – chociaż twoja połowica nie będzie chyba zachwycona, że chcesz wyswatać córki z wędrownym muzykiem.

– Moja połowica – odrzekł Rovigo z przekonaniem – fikałaby ocieźale koziołki z radości, gdybym przyprawił dla najstarszej pastucha z pastwisk Certando.

Devin skrzywił się.

– Aż tak źle? – mruknął. – No cóż. Możemy przynajmniej wypić za twój szczęśliwy powrót z Tregei i za to, że zdążyłeś na święto. Jestem Devin d’Asoli bar Garin, do usług.

– Do usług, przyjacielu Devinie, który nie jesteś tak młody, jak wyglądasz. Miałeś problemy z dostaniem wina? – zapytał przebiegle Rovigo.

– Przeszedłem przez więcej drzwi, niż ich zna Moriana od Portali, a wychodząc, byłem bardziej spragniony niż wtedy, kiedy w nie wchodziłem. – Devin pochopnie wciągnął do płuc gęste powietrze. Nawet mimo woni tłumu i braku okien wyraźnie czuło się przenikliwy smród garbami. – Nigdy dobrowolnie nie wybrałbym tego miejsca na wypicie butelki wina.

Rovigo uśmiechnął się.

– Rozsądna postawa. A czyja wydam ci się dziwakiem, jeśli powiem, że ilekroć „Panna Morska” wraca z podróży, zawsze przychodzi właśnie tutaj? Jakoś ten zapach oznacza dla mnie ład. Mówi mi, że wróciłem.

– Nie lubisz morza?

– Jestem całkowicie przekonany, że każdy, kto twierdzi, że je lubi, jest kłamcą, ma na łądzie długi albo żonę sekutnicę i... – Zamilkł, udając, że uderzyła go jakaś myśl. – Właściwie, jak się nad tym zastanowić... – dodał z przesadną zadumą, po czym mrugnął.

Devin roześmiał się i dolał im obu wina.

– Dlaczego więc żeglujesz?

– Handel się opłaca – odparł szczerze Rovigo. – „Panna” jest tak mała, że może wpływać do

wszystkich portów tego wybrzeża, a także leżących po zachodniej stronie Senzio i Ferraut, którymi znaczniejsi kupcy nie zwracają sobie głowy. Jest też odpowiednio szybka, żeby warto było wyprawiać się na południe, do Quilei, Przy tamtejszym embargu handlowym nie jest to oczywiście legalne, ale jeśli ma się kontakty w wystarczająco odludnym miejscu i nie przeciąga się sprawy, to ryzyko nie jest zbyt duże w porównaniu z zyskiem. Z tutejszego rynku biorę barbadiorskie przyprawy albo jedwab z północy i zawożę je do miejsc Quilei, które inaczej nigdy nie ujrzałyby takich towarów z powrotem przywożę dywany, quilejską snycerkę, pantofle, sztylety wysadzone klejnotami, czasami beczułki buinathu, który mogę sprzedać tawernom – wszystko, co może pójść za dobrą cenę. Nie mogę handlować dużą ilością towaru, ale jak długo ubezpieczenie jest niskie, a Adaon od Fal utrzymuje mnie na powierzchni, można z tego wszystkiego wyżyć. Przed pójściem do domu zachodzę do jego świątyni.

– Ale najpierw zachodzisz tutaj – rzekł Devin z uśmiechem.

– Najpierw tutaj. – Tręcili się kieliszkami i wypili do dna. Devin napełnił je ponownie.

– Co nowego w Quilei? – zapytał.

– Właściwie stamtąd wracam – odparł Rovigo. – W Tregui zrobiłem tylko postój. Istotnie, mam pewne wiadomości. Marius znowu zwyciężył tego lata w walce w Dębowym Gaju.

– Słyszałem o tym – powiedział Devin, potrząsając głową z pełnym smutku podziwem. – To kaleka, a teraz ma już pewnie pięćdziesiąt lat. Ile to już razy – sześć pod rząd?

– Siedem – odparł poważnie Rovigo. Odczekał chwilę, jakby spodziewał się jakiejś reakcji.

– Przepraszam, ale czy ma to jakieś znaczenie? – zapytał Devin.

– Marius postanowił, że ma. Właśnie obwieścił, że nikt już nie będzie nikogo wyzywał na bój w Dębowym Gaju. Ogłosił, że siedem jest liczbą świętą. Bogini Matka, pozwalając mu odnieść to nowe zwycięstwo, oznajmiła swą wolę. Marius właśnie ogłosił się królem Quilei, przestając być jedynie małżonkiem Wielkiej Kapłanki.

– Co takiego? – zawołał Devin tak donośnie, że kilka głów zwróciło się w jego kierunku. Ściszył głos. – Ogłosił się... mężczyzna... sądziłem, że tam panuje matriarchat.

– Nieżyjąca Wielka Kapłanka też tak uważała – powiedział Rovigo.

Podróżując po Półwyspie Dłoni od górskich wiosek do leżących na odludziu zamków, dworów czy tętniących życiem miast, muzycy mimowolnie słuchali wiadomości i plotek o wielkich wydarzeniach. Niewielkie doświadczenie Devina wskazywało, że w tej gadaninie chodzi tylko o to, by przetrwać mroźną, zimową noc przy kominku gospody w Certando albo wyrzucić wrażenie na podróżnym w tawernie w Corte, napomykając w tajemnicy, że w tej ygratheńskiej prowincji podobno powstaje probarbadiorska partia.

Dawno temu Devin doszedł do wniosku, że to tylko bajania. Dwaj rządzący zamorscy czarnoksiężnicy ze wschodu i zachodu podzielili Dłoń między siebie po połowie; tylko nieszczęsne, dekadentkie Senzio nie było pod formalną okupacją żadnego z nich i popatrywało

nerwowo w obu kierunkach. Jego sparaliżowany strachem gubernator nie potrafił się zdecydować, któremu z wilków dać się pożreć, a ci prawie od dwudziestu lat krążyli wyczekująco wokół siebie, nie chcąc się odsłonić zrobieniem pierwszego ruchu.

Odkąd Devin potrafił zauważać takie rzeczy, wydawało mu się, że równowaga władzy na półwyspie jest niezachwiana. Dopóki nie umrze jeden z czarnoksiężników – a czarnoksiężnicy ponoć żyją bardzo długo – z paplaniny w khavenach czy wielkich salach nic nie wyniknie.

Quileia to jednak inna sprawa, spoza kręgu szczupłego doświadczenia Devina, zbyt odległa, by mógł ją zrozumieć czy choćby określić. Nie potrafił nawet zgadnąć, jakie mogą być konsekwencje posunięcia Mariusa w tym dziwnym kraju leżącym na południe od gór. Co mogłoby wynikać z tego, że Quileia ma wreszcie prawdziwego króla, który już nie musi chodzić co dwa lata do Dębowego Gaju, by nagi, rytualnie okaleczony i bezbronny potykać się z uzbrojonym w miecz wrogiem, który został wybrany, aby go zabić i zająć jego miejsce? Marius jednak nie zginął. Nie zginął już siódmy raz.

A teraz Wielka Kapłanka nie żyje. Nie można było nie wyczuć, że według Rovigo ma to wielkie znaczenie. Devin, nieco oszołomiony, potrząsnął głową.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że nowy znajomy patrzy na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Bystry z ciebie młodzieniec, co? – rzekł kupiec.

Devin, nagle zażenowany, wzruszył ramionami.

– Nie bardzo. Nie wiem. A już na pewno nie mam intuicji. Nie co dzień słyszę takie wieści. Jak myślisz, co one oznaczają?

Na to pytanie już nie usłyszał odpowiedzi.

Oberżysta, któremu dotąd świetnie udawało się nie zauważać gestów Rovigo, usiłującego co pewien czas zamówić kolejną butelkę wina, podszedł teraz do ich końca baru. Nawet w tak mrocznym pomieszczeniu widać było, że twarz ma pociemniałą z gniewu.

– Hej, ty! – zasyczał. – To ty jesteś Devin?

Zaskoczony Devin odruchowo przytaknął. Oberżysta przybrał jeszcze bardziej wrogi wyraz twarzy.

– Wynoś się stąd! – zachrypiał. – Na zewnątrz czeka twoja przeklęta przez Triadę siostra. Mówi, że ojciec każe ci wracać do domu i – oby Moriana skarała was oboje! – że chce mnie wydać za obsługiwanie młokosa. Ty wyległa z rynsztoka gnido, już ja cię nauczę, przez ciebie mogą mnie zamknąć w wigilię święta!

Zanim Devin zdążył się ruszyć, oberżysta chlusnął mu w twarz dzbanem palącego jak ogień, skwaśniałego czarnego wina. Devin rzucił się w tył, ocierając załzawione oczy i klnąc wściekle.

Kiedy odzyskał ostrość widzenia, ujrzał coś nadzwyczajnego.

Rovigo – mężczyzna niewielkiej postury – przesunął się wzdłuż baru i chwycił oberżystę za kołnierz jego zatłuszczonej tuniki. Bez najmniejszego wysiłku wciągnął go, wierzgającego

nogami w powietrzu, na bar. Kołnierz tak się zacisnął, że na twarz nieszczęsnego oberżysty wypełzły purpurowe plamy.

– Góro, nie lubię, gdy się obraża moich przyjaciół – powiedział spokojnie Rovigo. – Chłopak nie ma tu żadnego ojca i wątpię, czy ma siostrę. – Uniósł pytająco brew, patrząc na Devina, który gwałtownie potrząsnął ociekającą winem głową.

– Jak powiadam – ciągnął Rovigo, nawet głośniejszym głosem – także nie ma tu siostry, nie jest też młokosem – co powinno być oczywiste dla każdego oberżysty, chyba że oślepl od chlania całymi wiadrami własnych pomyj. A teraz, Góro, zechcesz mnie nieco ułagodzić, przepraszając Devina d'Asoli, mojego przyjaciela, i na znak szczerzej skruchy ofiarujesz mu dwie zakorkowane butelki dobrego rocznika czerwonego certando. W zamian za to, być może, dam się przekonać, żeby ci odstąpić beczułkę quileiańskiego buinathu, którą mam właśnie na pokładzie „Panny Morskiej”. Oczywiście za odpowiednią cenę, biorąc pod uwagę, ile potrafisz zedrzeć z ludzi za ten trunek w czasie święta.

Twą Góro przybrała osobliwie nienaturalny wygląd. W chwili kiedy Devin uznał, że powinien przestrzec Rovigo, oberżysta nerwowo poruszył głową, a kupiec nieco rozluźnił uścisk na jego szyi. Góro wciągnął do płuc cuchnące powietrze tak łąpczywie, jakby pachniało górskimi srebrnokwiatami z Chiary, i wymamrotał do Devina trzy słowa przeprosin.

– A wino? – przypomniał grzecznie Rovigo.

Opuścił oberżystę – nadal bez najmniejszych oznak wysiłku – który po chwili wynurzył się spod baru z dwiema butelkami najwyraźniej zawierającymi czerwone certando.

Rovigo jeszcze bardziej rozluźnił chwyt na kołnierzu.

– Dobry rocznik? – zapytał z cierpliwością w głosie.

Góro szarpnął potakująco głową.

– A zatem – oznajmił Rovigo, puszczając go – wygląda na to, że jesteśmy kwita. Uważam – zwrócił się do Devina – że powinieneś zobaczyć, kto udaje twoją siostrę.

– Ja wiem, kto to jest – odparł ponurym głosem Devin. – A tak w ogóle, dziękuję. Przyzwyczajony jestem sam walczyć o siebie, ale miło czasami mieć sprzymierzeńca.

– Zawsze jest miło mieć sprzymierzeńca – poprawił Rovigo. – Ale wydaje mi się oczywiste, że nie bardzo chcesz rozmawiać z „siostrą” przy świadkach, więc opuszczę cię, żebyś mógł to zrobić na osobności. Jeszcze raz polecam twojej łaskawej pamięci moje córki. Właściwie zostały dość dobrze wychowane.

– Nie wątpię rzekł Devin. – Jeśli mogę odplacić ci jakąś przysługa, chętnie to zrobię. Jestem w trupie Menico di Ferraut i będziemy tu przez całe święto. Może twoja żona zechce nas posłuchać. Jeśli dasz mi znać, postaram się dla was o dobre miejsca na którymś naszych publicznych występów, oczywiście za darmo.

– Dziękuję. A jeśli twoja ścieżka będzie wiodła na południowy wschód od miasta lub

zaprowadzi cię tam ciekawość, teraz czy później, to nasza ziemia ciągnie się jakieś pięć mil po prawej stronie drogi. Tuż, przed nią stoi mała świątynia Adaona, a na bramie jest herb z kwiatkiem. Zaprojektowała go jedna z dziewcząt. Wszystkie są bardzo utalentowane – dodał z uśmiechem, po czym odwrócił nie, ponownie siadając w kącie przy barze.

Devin, stwierdziwszy smętnie, że od jasnobrażowych włosów do pasa jest przesiąknięty śmierdzącym winem, które poplamilo także jego trykoty, ścisnął w rękach swoje dwie butelki czerwonego certando i wyszedł na zewnątrz. Przez kilka sekund mrużył oczy w blasku słońca niczym sowa, a potem dostrzegł Catrianę d' Astibar. Stała po drugiej stronie zaułka z płonącymi w słońcu szkarłatnymi włosami i mocno przyciśniętą do nosa chusteczką.

Devin wkroczył na ulicę i nieomal zderzył się z wózkiem garbarza. Nastąpiła krótka wymiana zdań. Garbarz mruczał coś dalej, a Devin przeszedł na drugą stronę zaułka, skąd Catriana obojętnie przyglądała się sprzeczce. Przysiągł sobie w duchu, że tym razem nie da się zepchnąć do defensywy.

– No cóż – zauważył zgryźliwie – doprawdy doceniam, że przyszedłaś aż tutaj, żeby mnie przeprosić, ale gdybyś miała szczerze zamiary, to mogłabyś wybrać inny sposób znalezienia mnie. Nie lubię ubrania nasiąkniętego zepsutym winem. Oczywiście zechcesz mi je wyprać.

Catriana w ogóle nie zwracała uwagi na jego słowa, tylko taksowała go lodowatym spojrzeniem.

– Rzeczywiście przyda ci się kąpiel i nowe ubranie – odezwała się spoza uperfumowanej chusteczki. – Nie spodziewałam się aż takiej reakcji w tawernie. Nie mając jednak nadmiaru astinów do wydawania na łapówki, nie potrafiłam wymyślić lepszego sposobu zmuszenia oberżystów do poszukania ciebie. – Devin zauważył, że jest to wyjaśnienie, nie przeprosiny.

– Wybacz mi – rzekł z przesadną skruchą w głosie. – Muszę pomówić z Menico, prócz wszystkich naszych innych wykroczeń chyba nie płacimy ci odpowiednio. Zapewne jesteś przyzwyczajona do czegoś lepszego.

– Czy musimy o tym rozprawiać na środku Zaułka Garbarzy? – zapytała.

Devin bez słowa skłonił się jak podczas występu i gestem poprosił, by szła przed nim. Kiedy zaczęli oddalać się od zatoki, Devin zrównał z nią krok. Milczeli przez kilka minut, dopóki nie znaleźli się poza zasięgiem zapachów garbami.

Catriana schowała chusteczkę i delikatnie westchnęła.

– Dokąd mnie prowadzisz? – spytał Devin.

Wydawało się, że popełnił kolejne wykroczenie. Błękitne oczy zapłonęły gniewem.

– A gdzieżbym cię miała prowadzić, na Triadę? – głos Catriany ociekał sarkazmem. – Idziemy do mojego pokoju w gospodzie, gdzie będziemy się kochać niczym Eanna i Adaon u zarania dziejów.

– Świetnie – warknął Devin, czując ponowny przypływ gniewu. – Może złożymy się na

wynajęcie jeszcze jednej kobiety, która zagra Morianę, tak żebym się nie nudził, rozumiesz.

Catiana pobladła, lecz zanim zdążyła otworzyć usta, Devin chwycił ją za ramię i obrócił do siebie. Patrząc w górę – i przeklinając tę sytuację – w jej błękitne oczy, warknął:

– Catiano, co ja ci właściwie takiego zrobiłem? Czym sobie zasłużyłem na taką odpowiedź? Albo na to, co zrobiłaś dziś rano? Byłem dla ciebie miły od dnia, kiedy cię przyjęliśmy – a jeśli jesteś profesjonalistką, to wiesz, że w wędrownych trupach nie zawsze tak jest. Marra, kobieta, którą zastąpiłaś, była moją najbliższą przyjaciółką. Zmarła od zarazy w Certando. Mógłbym ci bardzo utrudnić życie. Nie zrobiłem tego przedtem i nie robię teraz. Co więcej, od początku okazuję ci, że mi się podobasz. I nie ma w tym nic zdrożnego.

Puścił ją, zdając sobie nagle sprawę, że trzymał za mocno i że znajdują się w publicznym miejscu. Instynktownie rozejrzał się – na szczęście akurat nie było widać żadnych Barbadiorczyków. Czuł znajomy ucisk w piersiach, jakby miał wrócić ból, który zawsze nadchodził, gdy wspominał Marrę. Jego pierwsza prawdziwa przyjaciółka. Dwoje zaniedbanych dzieci o głosach, które były darem Eanny, przez trzy lata opowiadających sobie nocą o swoich lękach i marzeniach. Jego pierwsza kochanka. Pierwsza śmierć.

Cartiana nie ruszyła się z miejsca, a w jej oczach pojawił się błysk – być może na wzmiankę o śmierci – który sprawił, że Devin gwałtownie zrewidował ocenę jej wieku. Przedtem sądził, że jest starsza od niego, ale teraz nie był już tego pewien.

Czekał, oddychając po swym wybuchu nieco szybciej, aż w końcu usłyszał bardzo ciche słowa:

– Za dobrze śpiewasz.

Zamrugał ze zdziwienia. Nie tego się spodziewał.

– Muszę bardzo ciężko pracować nad swoimi występami – ciągnęła, po raz pierwszy się czerwieniąc. – Rauder jest dla mnie trudny – cała jego muzyka. A ty dziś śpiewałaś *Pieśń miłości*, nawet o niej nie myśląc, bawiłaś innych, usiłowałaś oczarować mnie... Devinie, ja się muszę podczas śpiewu skupić! Denerwowałaś mnie, a kiedy się zdenerwuję, wszystkim dogryzam.

Devin ostrożnie wciągnął powietrze i przez chwilę rozglądał się po pustej, zalanej słońcem ulicy.

– Czy nie wiesz... – zaczął – czy nikt ci nigdy nie powiedział... że można, a nawet trzeba mówić takie rzeczy – szczególnie ludziom, którzy muszą z tobą pracować?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nigdy nie potrafiłam o tym mówić. Nigdy.

– No to dlaczego robisz to teraz? – zaryzykował. – Dlaczego poszłaś za mną?

Nastąpiła przerwa dłuższa niż poprzednio. Zza rogu wypadła grupka czeladników, którzy widząc ich razem, zaczęli wykrzykiwać różne sprośności. Nie byli na szczęście złośliwi, poszli

więc swoją drogą, nie wszczynając awantury. Na bruku zaszeleściło kilka niesionych wiatrem czerwonych i złocistych liści.

– Coś się wydarzyło – rzekła Catriana d’Astibar – i Menico powiedział wszystkim, że nasz sukces zależy od ciebie.

– Wysłał cię po mnie Menico? – Po niemal sześciu wspólnie spędzonych latach było to prawie całkowicie niemożliwe.

– Nie – odparła Catriana, szybko potrząsając głową. – Nie, powiedział, że wrócisz na czas, że nigdy się nie spóźniasz. Ja się jednak bardzo denerwuję tym występem. Nie mogłam tak po prostu czekać. Przecież wybiegłeś trochę... no... rozdrażniony.

– Trochę – zgodził się poważnie Devin, zauważając, że wreszcie uznała za stosowne przybrać skruszoną minę. Czułby się jeszcze pewniej, gdyby go tak nie pociągała. Nawet teraz nie potrafił przestać myśleć, jak wyglądałyby jej piersi uwolnione ze sztywnego, nazbyt zabudowanego stanika. Wiedział, że Marra by mu to powiedziała, a nawet pomogła w podboju. Robili dla siebie takie rzeczy, a potem dzielili się opowieściami w ciągu tego ostatniego roku poprzedzającego jej śmierć w Certando.

– Lepiej powiedz mi, co się stało – powiedział, usiłując zmienić tok swoich myśli. Fantazjowanie i wspomnienia były niebezpieczne.

– Zeszłej nocy zmarł wygnany diuk, Sandre – rzekła Catriana. Rozejrzała się, lecz ulica znów była pusta. – Z jakiegoś powodu – nikt nie wie dlaczego – Alberico pozwolił wystawić jego ciało na widok publiczny w pałacu Sandrenich dziś wieczorem i jutro rano, a potem...

Przerwała, lecz jej błękitne oczy płonęły. Devin skończył za nią, czując przyśpieszone bicie serca:

– Pogrzeb? Pełne obrzędy? Nie mów!

– Pełne obrzędy! I, Devinie, Menico został zaproszony na przesłuchanie dziś po południu! Mamy szansę dać największy występ roku w całej Dłoni! – Teraz wyglądała bardzo młodo. I niepokojąco pięknie.

– A więc przysłaś po mnie – mruknął, powoli kiwając głową – żebym się nie upił do nieprzytomności z powodu nie zaspokojonego pożądanego. – Po raz pierwszy miał przewagę. Przyjemne odwrócenie ról, szczególnie w połączeniu z prawdziwie ekscytującą wiadomością, jaką przyniosła. Ruszył z miejsca, zmuszając ją do zrównania się z nim. Tak dla odmiany.

– Wcale nie – zaoponowała. – Tylko że to jest bardzo ważne. Menico powiedział, że w twoim śpiewie pokłada wielkie nadzieje... że jesteś najlepszy w obrzędach żałobnych.

– Nie wiem, czy mam się czuć mile połączony czy urażony, że uznałaś mnie za tak beztrudnego, przypuszczając, że zlekceważę próbę w wigilię święta.

– Ani to, ani to – odparła znowu dość opryskliwie Catriana d’Astibar. – Nie mamy na to czasu. Po prostu bądź po południu dobry. Daj z siebie wszystko.

Devin wiedział, że powinien się powstrzymać, ale nagle poczuł przypływ dobrego humoru.

– W takim razie, czy jesteś pewna, że nie idziemy do twojego pokoju? – zapytał dobrodusznie.

Przez moment rozkwitło się coś więcej, niż Devin mógł się domyślać. Po chwili Catriana d' Astibar po raz pierwszy roześmiała się głośno i swobodnie.

– Tak – powiedział z uśmiechem Devin – jest znacznie lepiej. Słowo daję, nie byłem pewien, czy masz poczucie humoru.

Uspokoiła się.

– Czasami ja też nie jestem pewna – rzekła jakby z roztargnieniem. Potem dodała zupełnie innym tonem: – Devinie, bardzo zależy mi tym kontrakcie.

– Ależ oczywiście – odparł. – Dzięki niemu mielibyśmy zapewnioną karierę.

– Tak – przytaknęła Catriana, po czym dotknęła jego ramienia i dodała: – Zależy mi na nim bardziej, niż mogę powiedzieć.

Gdyby Devin był nieco mniej spostrzegawczy i gdyby wypowiedziała te słowa inaczej, mógłby doszukać się w tym dotknięciu obietnicy. W głowie Catriany jednak zupełnie nie było ambicji ani żądy takiej, jaką poznał Devin.

Usłyszał natomiast tęsknotę, która potrafiła w nim nie znaną dotychczas strunę.

– Zrobię, co będę mógł – powiedział po chwili, bez żadnego powodu myśląc o Marrze i o swoich wylanych łzach.

W domu w Asoli ojciec i bracia wcześniej spostrzegli, że Devin ma talent muzyczny, ale na tym odludziu nie potrafili go należycie ocenić.

Kiedyś w dzieciństwie, gdy Devin nie mógł zasnąć z powodu gorączki, jego ojciec nucił mu starą kołysankę.

Czteroletni może wtedy chłopiec obudził się rano zdrów, nucąc do siebie tę samą melodię w idealnej tonacji. Twarz Garina przybrała wtedy szczególny wyraz, który później Devin nauczył się wiązać z jego wspomnieniami o żonie. Tego poranka Garin ucałował swoje najmłodsze dziecko. Jedyny raz w pamięci Devina. To wspomnienie chłopiec często przywoływał, bo przedstawiało łagodny wizerunek tego twardego człowieka.

Ta melodia ich połączyła. Była znakiem ograniczonej zażyłości między ojcem i synem. Nucili ją wspólnie, usiłując stworzyć surową, amatorską harmonię głosów. Później, podczas jednej z rzadkich podróży na targ w mieście Asoli, Garin kupił dla swego najmłodszego dziecka uproszczoną, trzystrunną syrenię. Potem było kilka wieczorów, które Devin wspominał z przyjemnością, kiedy razem z ojcem i bliźniakami śpiewał przy ogniu przed pójściem do łóżka ballady o morzu i wzgórzach. Była to ucieczka od posępnej wilgoci płaskiego Asoli.

Kiedy podrósł, zaczął śpiewać dla innych gospodarzy na ślubach czy w dni nadania imienia,

a kiedyś, podczas jesiennych Dni Żaru, zaśpiewał drugim głosem z wędrownym kapłanem *Moriany Psalm do Moriany od Portali*. Kapłan chciał go potem wziąć do łóżka, ale Devin wiedział już wtedy, jak odrzucać takie propozycje, nie wywołując urazy.

Jeszcze później zaczęto zapraszać go do tawern. W północnym Asoli, gdzie chłopiec stawał się mężczyzną, kiedy mógł przepracować w polu cały dzień, a dziewczynka zostawała kobietą po pierwszym krwawieniu, nie było zakazu picia w młodym wieku.

I właśnie w tawernie „Nad Rzeką”, w samym mieście Asoli, zaledwie czternastoletni Devin śpiewał w dzień targowy *Drogę z Corso do Corte*, kiedy usłyszał go korpulentny, brodaty mężczyzna, który okazał się pryncypałem trupy zwanym Menico di Ferraut i który jeszcze w tym samym tygodniu zabrał go z gospodarstwa i odmienił jego życie.

– Jesteśmy następni – powiedział Menico, nerwowo wygładzając na wydatnym brzuchu swój najlepszy atlasowy kubrak. Devin wygrywał leniwie na jednej z zapasowych syrenii swoją najwcześniejszą kołysankę. Nie przerywając, uśmiechnął się uspokajająco do pryncypała. Właściwie teraz już współnika.

Devin ukończył terminowanie w wieku siedemnastu lat. Menico, zmęczony ciągłym odrzucaniem ofert odkupienia kontraktu młodego tenora, zaproponował mu w końcu pozycję czeladnika w gildii i stałą płacę. Powiedział młodzieńcowi wprost, jak wiele ten mu zawdzięcza i że jedynym sposobem spłacenia długu wdzięczności jest lojalność. Devin przyznał mu rację, a poza tym lubił Menico.

W rok później, po kolejnej serii ofert rywali podczas letniego sezonu ślubów w Corte, Menico dał Devinowi dziesięć procent udziału w trupie. Wygonił przedtem taką samą mowę, prawie, słowo w słowo, jak za pierwszym razem.

Devin czuł się zaszczycony. Jedynym innym współnikiem był stary Eghano, który grał na bębenkach i na certandańskich basach i który towarzyszył Menico od czasu utworzenia trupy. Pozostali byli uczniami lub czeladnikami, niektórzy mieli krótkoterminowe kontrakty. Tych ostatnich przybyło teraz po wiosennej zarazie na południu, kiedy wszystkim zespołom w Dłoni brakowało ludzi i latało się dziury, zatrudniając i okresowo muzyków i tancerki czy śpiewaków.

Jakaś ledwie słyszalna przejmująca melodia oderwała uwagę Devina od jego syrenii. Rozejrzał się i uśmiechnął. Alessan, jeden z trojga nowych ludzi, delikatnie powtarzał melodię kołysanki, którą grał Devin. Na pasterskiej fletni z Tregei brzmiała niesamowicie i obco.

Czarnowłosa, choć siwiejący na skroniach Alessan mrugnął do Devina. Razem dokończyli melodię na fletnię, syrenie i tenor.

– Szkoda że nie znam słów – powiedział z żalem Devin. – Tej melodii nauczył mnie w dzieciństwie ojciec, ale i on słów nie pamiętał.

Szczupła żywa twarz Alessana przybrała wyraz zamyślenia. Po dwóch tygodniach prób

Devin niewiele wiedział o Tregańczyku poza tym, że nadzwyczaj dobrze gra na fletni i jest dość rzetelny. Jako współnikowi Menico powinno mu to wystarczyć. Alessan rzadko bywał w gospodzie, ale na próbach zawsze pojawiał się punktualnie.

– Gdybym się dobrze zastanowił, mógłbym dla ciebie wygrzebać je z pamięci – powiedział, przeczesując włosy charakterystycznym gestem. – Dużo już upłynęło czasu, ale kiedyś znałem te słowa.

– Nie zwracaj sobie głowy – odparł Devin. – To tylko stara piosenka wspomnienie ojca. Jeśli zostaniesz z nami, w zimie możemy spróbować je odtworzyć.

Wiedział, że Menico się to spodoba. Pryncypał trupy stwierdził, że Tregańczyk jest cennym nabytkiem i, uwzględnivszy wysokość pensji, jakiej zażądał, tanim.

Wyraziste usta mężczyzny lekko się skrzywiły.

– Stare piosenki i wspomnienia ojców są ważne – rzekł. – A zatem twój ojciec nie żyje?

Devin uczynił znak od uroku wysuniętą w przód dłońią z dwoma palcami zgiętymi do dołu.

– Nie widziałem go od prawie sześciu lat. Menico rozmawiał z nim, kiedy ostatnio podróżował po północnym Asoli, i zawiózł mu ode mnie trochę chiaro. Nie odwiedzam domu.

Alessan pomyślał chwilę.

– Surowa rasa z Asoli? – domyślił się. – Nie ma tam miejsca dla chłopaka z takimi ambicjami i talentem? – W jego głosie brzmiała przenikliwość.

– Prawie – przyznał ze smutkiem Devin. – Chociaż nie nazwałbym siebie ambitnym. Raczej niespokojnym. I właściwie nie pochodzimy z Asoli. Przybyliśmy tam z Dolnego Corte, kiedy byłem małym dzieckiem.

Alessan skinął głową.

Devin stwierdził, że mężczyzna zachowuje się trochę tak, jakby wszystko wiedział, ale rzeczywiście umie grać na tregeańskiej fletni. Tak mogłaby brzmieć fletnia na górze Adaona na południu.

Nie mogli dłużej ciągnąć rozmowy.

– Teraz my! – powiedział Menico, pośpiesznie wchodząc do pokoju, w którym czekali wśród kurzu i przykrytych pokrowcami mebli dawno nie używanego pałacu Sandrenich.

– Najpierw przedstawimy *Elegię dla Adaona* – oznajmił, chociaż wszyscy o tym wiedzieli już od kilku godzin. Wytarł dłonie o kubrak. – Devinie, to twój numer, daj mi powód do dumy, chłopcze. – Były to jego zwykłe słowa zachęty. – Potem wszyscy razem przedstawimy *Krążenie lat*. Catriano, kochanie, jesteś pewna, że zaśpiewasz wystarczająco wysoko, czy mamy zejść o tonację niżej?

– Zaśpiewam wysoko – odparła krótko Catriana. Devin pomyślał, że jej głos świadczy o zwykłym zdenerwowaniu, lecz kiedy na sekundę spotkali się wzrokiem, rozpoznał to wcześniejsze spojrzenie, którym sięgała gdzieś nad požądaniem do miejsca, którego nie znał.

– Bardzo bym chciał, żebyśmy dostali kontrakt – odezwał się dość łagodnie Alessan di Tregea.

– A to ci dopiero! – warknął Devin, przekonując się w tej chwili, że mimo wszystko on też jest zdenerwowany. Alessan jednak roześmiał się, podobnie jak stary Eghano, który właśnie przechodził przez drzwi. Wędrując tyle lat, Eghano widział o wiele za dużo, by mogło go poruszyć jakieś przesłuchanie. Nie wypowiedział ani jednego słowa, a Devinowi, jak zawsze, od razu udzielił się jego spokój.

– Zrobię, co będę mógł – powiedział więc po raz drugi tego popołudnia, nie bardzo wiedząc, do kogo to mówi ani po co.

W końcu to wystarczyło, nie wiadomo, czy dzięki Triadzie, czy mimo niej jak mawiał jego ojciec.

Głównym sędzią był subtelnie uperfumowany, ekstrawagancko odziany potomek rodu Sandrenich, jak oceniał Devin, mężczyzna dobiegający czterdziestki, którego niedbała postawa i sztucznie zaakcentowane cienie wokół oczu wyjaśniały, dlaczego tyran Alberico nie bardzo się martwi latoroślami Sandre d’Astibar.

Za tą interesującą osobistością ustawili się kapłani Eanny i Moriany odziani w biel i szarość. Obok nich siedziała kapłanka Adaona o bardzo krótko obciętych włosach. Rzuciła się w oczy dzięki szkarłatnym szatom.

Devina niemile zaskoczyła obecność duchownych. Krępowali go – kolejne dziedzictwo ojca – lecz nie mógł pozwolić, by miało to na niego jakikolwiek wpływ, przestał więc o nich myśleć.

Skupił się na eleganckim synu diuka, jedynej osobie, która teraz rzeczywiście się liczyła. Czekał, szukając w sobie, zgodnie z naukami Menico, nieruchomego punktu.

Menico dał znak Nieri i Aldine, dwóm szczupłym tancerkom w szarobłękitnych, prawie przezroczystych żałobnych koszulkach i czarnych rękawiczkach. W chwilę później, po pierwszym ich wspólnym układzie kroków, spojrział na Devina.

I Devin zaśpiewał mu, wyśpiewał im wszystkim jak nigdy przedtem elegię na jesienną śmierć Adaona wśród górskich cyprysów.

Alessan di Tregea towarzyszył mu cały czas wysokim, przesywającym serce żalonym tonem pasterskiej fletni i wydawało się że razem unoszą Nieri i Aldine w inną rzeczywistość, z niezwykłą maestrią dotykając najczulszego punktu obrzędu, który wyrażała *Elegia*.

Kiedy skończyli, Devin, który powoli wracał do pałacu Sandrenich z porośniętych cedrami i cyprysami zboczy Tregei, gdzie umarł bóg – i gdzie umierał każdej jesieni – spostrzegł, że syn Sandre d’Astibar płacze. Ślady łez zniszczyły starannie wymalowane cienie wokół jego oczu, co oznaczało, jak sobie nagle uświadomił Devin, że arystokrata nie płakał, gdy słuchał występów trzech zespołów przed nimi.

Wiedział, że Marra potraktowałaby te łzy z pogardą. „Po co wynajmować kundla i samemu szczekać?” – mawiała, kiedy ich obrzędowi żałobnym towarzyszyło okazywanie uczuć przez publiczność.

Wtedy Devin był mniej zasadniczy niż ona. Jeszcze mniej zasadniczy stał się po jej śmierci. Musiał rozpaczliwie walczyć ze sobą, by nie narobić sobie wstydu publicznym okazywaniem żalu, który go ogarnął podczas obrzędów żałobnych ku jej czci w Certando. Poprowadził je ze swą trupą Burnet di Corte jako kurtuazyjny gest względem Menico.

Devin poznał także po płonącym spojrzeniu, jakie posłał mu potomek Sandrenich z wnętrza ciemnych pierścieni okalających jego oczy, oraz po równie niedwuznacznym spojrzeniu kapłana Moriany – dlaczego, na Triadę, Triada ma takie złe sługi! – że chociaż może i zdobyli właśnie kontrakt Sandrenich, to następnego dnia będzie musiał być w tym pałacu ostrożny. Powinien chyba wziąć ze sobą nóż.

Zdobyli kontrakt. Drugi numer właściwie nie miał znaczenia, dlatego przebiegły Menico zaczął od Elegii. Kiedy później jeden z synów zmarłego chciał poznać Devina, Menico przezornie przedstawił go jako swego współnika. Okazało się, że rozmawiali ze średnim z trzech synów imieniem Tomasso. Jedynym – jak sam wyjaśnił lekko ochrypłym głosem, mocno trzymając rękę Devina w swoich dłoniach – który na tyle zna się na muzyce i tańcu, by samodzielnie wybrać artystów zdolnych sprostać tak podniosłemu zadaniu jak obrzędy pogrzebowe jego ojca.

Przyzwyczajony do podobnych sytuacji Devin grzecznie cofnął dłoń, odczuwając wdzięczność dla doświadczonego Menico za jego takt. Jako partner zyskiwał pewną nietykalność chroniącą go przed zakusami zbyt agresywnych zalotników, nawet wpośród arystokracji. Kiedy następnie został przedstawiony duchownym, natychmiast ukląkł przed odzianą w czerwień kapłanką Adaona.

– Proszę, siostrze boga, pobłogosław to, co odśpiewałem, i to, co mam zrobić jutro.

Kątem oka zauważył, że kapłan Moriany zaciska pulchne, upierścienione palce w pięści. Przyjął błogosławieństwo i ochronę Adaona – kapłanka palcem wskazującym nakreśliła na jego czole symbol boga – ze świadomością, że udało mu się rozbroić rodzące się pożądanie kapłana. Kiedy wstał i odwrócił się, stojący z tyłu wraz z innymi Alessan di Tregea mrugnął do niego, co było dość niebezpieczne w tej sali i w tym towarzystwie. Devin stłumił uśmiech, lecz nie zaskoczenie: pasterz był niepokojąco spostrzegawczy.

Tomasso d’Astibar bar Sandre zgodził się na pierwszą sumę wymienioną przez Menico, potwierdzając przekonanie Devina, że jest zbyt nędznym osobnikiem, by reprezentować tak wspaniałe nazwisko i pochodzenie.

Z zainteresowaniem dowiedziałby się, posuwając się przy okazji o kilka kroków do przodu na trudnej drodze do dojrzałości, że sam diuk Sandre też zgodziłby się na taką cenę, a nawet

dwukrotnie wyższą, i to w dokładnie taki sam sposób. Ale Devin nie miał jeszcze dwudziestu lat, zresztą nawet Menico, trzykroć od niego starszy, po powrocie do gospody głośno przeklinał samego siebie wśród wznoszonych winem toastów, że nie zażądał więcej niż ta wygórowana suma, jaką właśnie otrzymał w pełnej wysokości.

Jedynie wiekowy i pogodny Eghano, który cicho uderzał dwiema drewnianymi łyżkami po nierównym stole, powiedział:

– Daj pokój. Nie musimy wyciągać chciwej ręki. Odtąd będzie więcej takich kontraktów. Jeśli jesteś mądry, to jutro w każdej ze świątyń złożysz dziesięcinę. Odbierzemy ją zawiązką, kiedy będą wybierać muzyków na Dni Żaru.

Menico, w świetnym humorze, zaklął jeszcze wymyślniej niż poprzednio i wyjawiał zamiar ofiarowania mięsistemu kapłanowi Moriany pomarszczonego ciała Eghano. Starzec uśmiechnął się bezzębny ustami.

Menico zapędził wszystkich do łóżek wkrótce po wieczornym posiłku. Rano będą musieli wstąpić – przed nimi najważniejszy występ ich życia. Kiedy Aldine wyprowadziła Nieri z pokoju, Menico rozpromienił się dobroncznym uśmiechem. Devin był pewien, że dziewczęta będą dzieliły tej nocy łóżko – po raz pierwszy, jak podejrzewał. Życzył im radości, pamiętając, że tego popołudnia magicznie zespoliły się w tańcu, a wiedział z własnego doświadczenia, że taka bliskość może w pełni rozkwitnąć w blasku świec zapalanych przy wspólnym łóżku.

Rozejrzył się za Catrianą, lecz dziewczyna poszła już na górę. Zaraz jednak po tym, jak w pałacu Sandrenich Menico wypuścił go z niedźwiedziego uścisku, pocałowała go lekko w policzek. Był to jakiś początek – a przynajmniej mógł to być początek.

Devin powiedział wszystkim dobranoc i poszedł na górę do swojego pojedynczego pokoju, który był jedynym luksusem, jakiego zażądał od Menico po śmierci Marry.

Spodziewał się, że będzie mu się śniła ze względu na obrzędy żałobne, na nie zaspokojone pożądanie i na to, że śniła mu się przez większość nocy. Zamiast tego miał wizję boga.

Ujrzał nagiego i wspaniałego Adaona na stoku góry w Tregei. Zobaczył, jak oszalałe kapłanki rozrywają jego skrwawione ciało na strzepy. Co roku pewnego jesiennego poranka ich kobiecość przeciągała je na stronę głębiej zakorzenionych instynktów właściwych ich płci. Rozrywały ciało umierającego boga w służbie dwóch bogiń, które go kochały i dzieliły się nim jako matka, córka, siostra i żona przez cały rok przez wszystkie lata, odkąd Eanna nazwała gwiazdy.

Dzieliły się nim i kochały go cały czas, lecz nie tego jedyne poranka u schyłku roku. Tego poranka, który miał się stać zwiastunem, obietnicą nadchodzącej wiosny, końca zimy. Tego jedyne poranka na górze, kiedy bóg, który był człowiekiem, musiał zostać zabity. Rozszarpany i zabity, aby zostać złożony na swoim miejscu, czyli w ziemi. Aby stać się glebą, którą z kolei zasilił deszcz łez Eanny i wilgotny smutek nie kończących się, wijących się

z pragnienia podziemnych strumieni Moriany. Zabity, by narodzić się powtórnie i być od nowa kochanym, kochanym coraz mocniej z każdym mijającym rokiem, z każdą kolejną śmiercią wśród porośniętych cyprysami gór. Zabity, aby być opłakiwanym, a potem powstać tak, jak wstaje bóg, jak wstaje człowiek, niczym pszenica letnich pól. Aby wstać, a potem lec z boginiami, z matką i żoną, z siostrą i córką, z Eanną i Morianą w blasku słońca, gwiazd i krążących księżyców.

Devinowi przyśniła się ta straszliwa, pierwotna scena. Kobiety biegły po zboczu, w pościgu za człowiekiem-bogiem, zapędzając go na wysokie urwisko nad rwącym nurtem Casadelu.

Słyszał, jak zagrzewają się krzykiem do polowania, widział, jak gałęzie górskich drzew i kolczastych, gęstych krzewów rozrywają stroje kobiet, które rozmyślnie się obnażały, by szybciej biec, i chwyciły w biegu krwistoczerwone jagody sonrai, aby się nimi odurzyć i znieczulić na to, co miały zrobić wysoko nad lodowatymi wodami Casadelu.

Zobaczył, jak bóg wreszcie się odwraca, a jego ogromne, ciemne oczy są dzikie i zarazem świadome. Stał nad krawędzią przepaści niczym jeleń zapędzony na przeznaczone mu wieczne miejsce kaźni. Devin ujrzał, jak dopadły go kobiety o rozwianych włosach i z krwią spływającą im po bokach, i zobaczył jak Adaon chyli dumną, wspaniałą głowę ku czekającej go zagładzie z ich szarpiących rąk, zębów i paznokci.

Tu, pod koniec pościgu, Devin widział, że usta kobiet są szeroko otwarte w krzyku uniesienia czy też udręki, niepohamowanej żądy, szaleństwa czy gorzkiego żalu, lecz w jego śnie krzyk ten był bezgłośny. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, były przesywające tę okrutną górską scenę wysokie i odległe tony tregeańskiej fletni grającej melodię z czasów jego dziecięcej gorączki.

A na samym końcu, kiedy kobiety doścignęły boga, pochwyciły go i zamknęły krąg na wysokim urwisku nad Casadelem, Devin zobaczył twarz, którą Adaon zwrócił ku swym oprawczyniom, jest twarzą Alessana.

Rozdział 3

Jeszcze nawet przed przybyciem do Astibaru ostrożnego Alberico z zamorskiego Barbadioru gród ten, lubiący się nazywać „Kciukiem rządzącym Dłonią”, znany był ze skłonności do ascezy. W przeciwieństwie do pozostałych ośmiu prowincji, w Astibarze nigdy nie odprawiano obrzędów żałobnych w obecności zmarłych, uważano bowiem takie postępowanie za zbyt gorączkowe przemawianie do uczuć.

Mieli wystąpić na wewnętrznym dziedzińcu pałacu Sandrenich, przed widzami siedzącymi na krzesłach i ławach rozmieszczonych wokół dziedzińca oraz w wychodzących nań loggiach, które prowadziły do wewnętrznych pokoi na dwóch górnych piętrach. W jednym z nich, oznaczonym draperiami w odpowiednich kolorach – szarobłękitnym i czarnym – spoczywało ciało Sandre d’Astibara. Na jego oczach leżały monety na opłacenie bezimiennego odźwiernego przy ostatnim portalu Moriany, w dłoniach miał jedzenie, a na nogach buty, bo nikt z żywych nie wiedział, jak długo trwa ta ostatnia podróż do bogini.

Później zniosą go na dziedziniec, żeby wszyscy obywatele miasta i distrady, którzy mieli na to ochotę – i którzy nie bali się barbadiorskich najemników rozstawionych na zewnątrz pałacu – mogli przejść przed katafalkiem i wrzucić do stojącej już na specjalnym cokole kryształowej wazy błękitnosrebrzyste listki drzewa oliwkowego.

Zwykli obywatele – tkacze, rzemieślnicy, przekupnie, chłopci, żeglarze, pomniejsi kupcy – wejdą do pałacu później. Było ich już słychać z zewnątrz, gdzie zgromadzili się, by posłuchać obrzędów żałobnych starego diuka. Tymczasem napływający na dziedziniec ludzie tworzyli najbardziej niezwykle zbiorowisko drobnej i znacznej szlachty oraz bogatego kupiectwa, jakie Devin kiedykolwiek widział.

Na Święto Winorośli zjechali ze swych posiadłości do miasta wszyscy panowie z distrady Astibar. Będąc zaś w mieście, nie mogli przecież nie przyjść na obrzędy żałobne, mimo że większość z nich serdecznie nienawidziła Sandre, a ojcowie lub dziadowie niektórych opłacili przed ponad trzydziestu laty trucicieli albo nożowników w nadziei na taką właśnie uroczystość.

Obaj kapłani oraz kapłanka Adaona siedzieli już na swoich miejscach. Podobnie jak duchowni na całym świecie, sprawiali wrażenie, że znają tajemnicę, którą chronią przed zwykłymi Śmiertelnikami powagą swego zachowania.

Trupa Menico czekała w przydzielonym przez Tomasso małym pokoju wychodzącym na dziedziniec. Znajdowały się w nim wszystkie zwykłe, a także zupełnie niezwykle rekwizyty – Devin nie pamiętał, żeby artystów kiedykolwiek częstowano błękitnym winem. Ekstrawagancki gest. Nie dał się jednak skusić. Było za wcześnie i zanadto był zdenerwowany. Chcąc się uspokoić, podszedł do Eghano, który jak zawsze leniwie bębnił palcami po stole.

Eghano podniósł na niego wzrok i uśmiechnął się.

– To tylko przedstawienie – powiedział swym świszczącym głosem. – Robimy to, co zawsze. Gramy. Przenosimy się gdzie indziej.

Devin skinął głową i zmusił się do uśmiechu, po czym podszedł do stojącego pod ścianą stołu, a jeden z dwóch czuwających tam służących pośpiesznie nalał mu wody do złotego kielicha, wartego więcej niż wszystko, co Devin posiadał. W chwilę później Menico dał sygnał i wszyscy wyszli na dziedziniec.

Zaczęły tancerki, w takt muzyki ukrytych smyczków i fletu. Żadnych głosów. Jeszcze nie teraz.

Jeśli Aldine i Nieri paliły miłosne świece do późna w nocy, to nie było tego po nich widać. Wydawało się, że czasem wiodą muzykę za sobą, a czasem za nią podążają. Ze ściągniętymi, pobielonymi twarzami, ubrane w błękitno szare tuniki i czarne jak smoła rękawiczki skrywające ich dłonie, wyglądały, jakby pochodziły z innego świata. Tego właśnie Menico uczył swoje tancerki. Ich taniec nie miał pociągać ani kusić, jak bywało w pewnych trupach, ani też nie miał stanowić tylko wdzięcznego preludium do prawdziwego przedstawienia, jak to postrzegały inne zespoły. Tancerki Menico były zimnymi i władczyimi przewodniczkami do krainy zmarłych, przygotowującymi do odprawiania żalów. Ich powolne, dostojne ruchy i pozbawione wyrazu, niemal nieludzkie twarze stopniowo i nieubłaganie narzuciły nerwowej, wystrojonej publiczności stosowną ciszę.

W takiej właśnie ciszy postąpiło do przodu troje śpiewaków i czterech muzyków. Zaczęli *Inwokację* do Eanny od Świateł, która stworzyła świat, słońce, oba księżyce i porozrzucałe gwiazdy, które są brylantami jej diademem.

Pochłonięta i zachwycona tym, co robi, posługując się wszelkimi zawodowymi umiejętnościami, by stworzyć iluzję pozorowanej naturalności, trupa Menico di Ferraut porwała panów, damy i wielkich kupców Astibaru na trzymanej bezlitośnie w ryzach fali smutku. Oplakując Sandre, diuka Astibaru, oplakiwali, jak przystało, umieranie wszystkich śmiertelnych dzieci Triady, sprowadzanych na świat przez portale Moriany, aby przez krótki czas chodziły po ziemi Adaona i pod światłami Eanny. Przez tak słodkie, pełne gorczy, krótkie dni.

Devin usłyszał głos Catriany wznoszący się wysoko, do punktu, z którego przywoływała go zimna, odmierzona i surowa fletnia Alessana. Bardziej wyczuł, niż usłyszał, jak Menico i Eghano wtórują im niskimi dźwiękami. Widział obie tancerki – to posągi z fryzu, to znów wirujące ofiary zamknięte w pułapce czasu – i w odpowiedniej chwili poszybował głosem w towarzystwie dwóch syrenii w pozostawione dla nich miejsce pośrodku, w którym żyli i umierali śmiertelnicy.

Tak właśnie Menico di Ferraut dawno temu wyobraził sobie rzadko wykonywane Pełne Obrzędy Żałobne. Ów poranek był efektem czterdziestu lat uprawiania sztuki i wędrownego

życia. Kiedy Devin zaczął śpiewać, jego serce przepelniła duma i prawdziwa miłość do korpulentnego, skromnego pryncypała, który doprowadził ich do tego, co właśnie tworzyli.

Zgodnie z planem przerwali występ po szóstej scenie, aby dać wytchnienie sobie i słuchaczom. Tomasso wcześniej rozmawiał o tym z Menico i teraz miała nastąpić procesja szlachty przed katafalkiem Sandre na piętrze, a po niej pozostałe trzy obrzędy i *Lament* Devina. Na zakończenie ciało miało zostać zniesione na dół, żeby można było wpuścić tłum z oliwkowymi listkami.

Menico wyprowadził swoją trupę z dziedzińca w ciszy tak głębokiej, że stanowiła najwyższą pochwałę. Wszyscy wrócili do przeznaczonego im pokoju i pograżyli się w stworzonym przez siebie nastroju. Devin podszedł do tancerek, żeby pomóc im się przebrać w ubrania, które nosiły między występami, a potem patrzył, jak z kocim wdziękiem chodzą po pokoju. Przyjął od jednego ze służących kielich zielonego wina, ale odsunął podany mu talerz z jedzeniem. Wymienił z Alessanem spojrzenie, lecz nie uśmiech – nie teraz. Grający na syreniach Drenio i Pieve pochylili się nad swoimi instrumentami, naciągając struny. Praktyczny Eghano jak zwykle jadł jedną ręką, a drugą bębnił po stole. Menico przeszedł niespokojnym krokiem obok Devina i bez słowa uściśnął mu ramię.

Devin rozejrzał się za Catrianą, która właśnie wychodziła z pokoju przez wewnętrzne, sklepione drzwi. Obejrzała się za siebie i na sekundę ich spojrzenia się zetknęły. Na miejsce, w którym przed chwilą stała, padało dziwnie przefiltrowane światło z wysoko umieszczonego, niewidocznego okna.

Devin naprawdę nie wiedział, dlaczego właściwie za nią poszedł. Zwyczajna ciekawość. Pożądanie. Złożone pragnienie narodzone z tamtego wyrazu jej oczu i z dziwnego poczucia spokoju i smutku, jakiego teraz zaznawali. Żadna z tych przyczyn albo niektóre, albo wszystkie naraz. Miał wrażenie, że świat nie jest już zupełnie taki sam jak przed rozpoczęciem tańca.

Dopił więc wino, wstał i ruszył ku tym samym drzwiom, którymi wyszła Catriana. On także obejrzał się za siebie. Obserwował go Alessan. Spojrzenie Tregeańczyka nie wyrażało żadnego osądu, lecz Devin nie rozumiał jego intensywności. Po raz pierwszy tego dnia przypomniał mu się sen. Być może dla tego, przechodząc pod sklepieniem, wyszeptał modlitwę do Moriany.

Znalazł się na klatce schodowej z wysokim, wąskim witrażem na podeście pierwszego piętra. W powodzi kolorowego światła dostrzegł znikającą po lewej stronie u szczytów schodów srebrnobłękitną suknię. Potrząsnął głową, usiłując wydobyć się z tego niesamowitego nastroju – i w tej chwili wszystko zrozumiał. Rzucił ciche przekleństwo.

Ona jest z Astibnru. Idzie na górę, żeby pożegnać się z diukiem, co jest całkowicie słuszne i właściwe. Żaden z panów czy nowobogackich kupców nie odmówi jej tego prawa. Nie po tym, jak dziś rano zaśpiewała. Z drugiej strony, jeśliby on, syn rolnika z Asoli, mieszkający przedtem w Dolnym Corte, wszedł do tej komnaty na piętrze, byłoby to grubiaństwem.

Zawahał się i gdyby nie jego pamięć, która zawsze była mu błogosławieństwem i przekleństwem, zawróciłby. Widział jednak z dziedzińca zwisające flagi. Komnata, w której leżał Sandre d’Astibar, znajdowała się na prawo, a nie na lewo od szczytu schodów.

Devin wspiał się po schodach. Starał się zachowywać cicho. Na podeście skręcił w lewo, tak jak Catriana. Były tam drzwi. Otworzył je. Duża komnata, od dawna nie używana, na ścianach zakurzone draperie. Sceny myśliwskie, bardzo wyblakłe kolory. Były dwa wyjścia, ale pomógł mu teraz kurz na podłodze: zobaczył delikatne ślady jej sandałów prowadzące do drzwi po prawej.

Szedł cicho po tych śladach przez labirynt opuszczonych pokoi na pierwszym piętrze pałacu. Widział rzeźby i wyjątkowo delikatne przedmioty ze szkła, skażone wieloletnią warstwą kurzu. Część mebli wyniesiono, a te, które pozostały, okrywały pokrowce. Panował półmrok, bo większość okiennic była zamknięta. Na Devina spoglądali wrogo z wiszących na ścianach zabrudzonych portretów surowi panowie i damy.

Skręcił w prawo i jeszcze raz w prawo, trzymając się śladów stóp Catriany i starając się za bardzo do niej nie zbliżyć. Potem szła prosto, przez pokoje leżące po zewnętrznej stronie pałacu, z których żaden nie wychodził na krużganki otaczające dziedziniec. W tych komnatkach było jaśniej. Devin usłyszał dobiegający z prawej strony pomruk głosów i zdał sobie sprawę, że Catriana zmierza okrężną drogą do komnaty, w której Sandre jest wystawiony na widok publiczny.

W końcu otworzył drzwi, jak się okazało, ostatnie. Catriana była sama w wielkiej komnacie. Zatrzymała się przy ogromnym kominku, na którym stały trzy konie z brązu. Na ścianach wisiały trzy portrety. Sufit lśnił – Devin był pewien, że od złota. Wzdłuż zewnętrznej ściany, z oknami wychodzącymi na ulicę, ustawiono dwa długie stoły z jadłem i napojami. W przeciwieństwie do innych komnat, ta została niedawno wysprzątana, lecz zasłony nadal były zaciągnięte, odgradzając ją od porannego blasku i czekającego na zewnątrz tłumu.

Wszedłszy w sączące się przez materię światło, Devin dość hałaśliwie zamknął za sobą drzwi. Trzask zapadki zabrzmiał w ciszy niczym donośny huk.

Catriana odwróciła się z ręką przy ustach, lecz nawet w panującym półmroku Devin dostrzegł w jej oczach wściekłość, a nie strach.

– Co ty sobie wyobrażasz? – szepnęła zduszonym głosem.

Postąpił niepewnie krok do przodu. Chciał powiedzieć coś dowcipnego, zrobić niewinną uwagę, która rozproszyłaby czar wiszący nad nim przez cały ranek. Nie znalazł odpowiednich słów.

– Nie wiem – powiedział szczerze, potrząsając głową. – Zobaczyłem, że wychodzisz, i poszedłem za tobą. To nie... to nie to, co myślisz – zakończył niezręcznie.

– A skąd miałbyś wiedzieć, co myślę? – odcięła się. Sprawiała wrażenie, jakby zachowywała

spokój jedynie siłą woli. – Chciałam być przez kilka chwil sama. Występ był dla mnie silnym przeżyciem i potrzebuję samotności. Widzę, że też jesteś przejęty, ale czy mógłbyś wyświadczyć mi grzeczność i zostawić mnie samą?

Była to uprzejma prośba. Mógł wtedy wyjść, i zrobiłby to każdego innego poranka. Lecz Devin przeszedł już na wpół świadomie przez portal Moriany.

Machnął ręką w stronę zastawionych stołów i rzekł poważnie:

– To nie jest miejsce odpowiednie dla samotności, Catriano. Powiesz mi, po co tu przysłaś?

Przygotował się na kolejny wybuch gniewu dziewczyny, lecz ona jeszcze raz go zaskoczyła. Po długim milczeniu w końcu powiedziała:

– Nie łączy nas aż tak wiele, żebym była ci winna wyjaśnienie. Doprawdy lepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz. Lepiej dla nas obojga.

Ciągle słyszał przytłumione głosy dobiegające zza ściany po prawej stronie kominka. Ten dziwny pokój z uginającymi się pod wykwintną zastawą stołami i ponurymi portretami wiszącymi na ciemnych ścianach sprawiał wrażenie komnaty ze snu. Przypomniawszy sobie, jak Catriana rano śpiewała, sięgając głosem ku wzywającej ją tregeańskiej fletni. Przypomniawszy sobie jej oczy, kiedy zatrzymała się w drzwiach, przez które oboje przeszli. Rzeczywiście, czuł się jak we śnie, jakby nie znajdował się w świecie, który zna.

Będąc w takim nastroju, Devin usłyszał własne słowa, wydobywające się ze ściśniętego gardła:

– Więc nie moglibyśmy czegoś zacząć?

Znowu się zawahała. Oczy miała szeroko otwarte, lecz w nikłym świetle komnaty nic nie można było z nich wyczytać. Potrząsnęła głową i nie ruszyła się miejsca.

– Chyba nie – odparła spokojnie. – Nie na tej drodze, którą kroczę, Devinie d’Asoli. Dziękuję ci jednak, że o to poprosiłeś, i nie będę zaprzeczać, że jakaś moja część pragnęłaby, aby było inaczej. Zostało mi jednak mało czasu, a muszę coś tu zrobić. Proszę cię, zostaw mnie samą.

Nie spodziewał się, że po wszystkich uniesieniach poranka spotka się z takim uczuciem żalu i że sam będzie żal odczuwał. Skinął głową, bo nic innego nie przyszło mu na myśl, i ruszył do wyjścia.

Lecz w chwili, kiedy Devin się odwrócił, oboje znów usłyszeli głosy, które tym razem dobiegały zza jego pleców.

– Och, Triado! – syknęła Catriana, w mgnieniu oka niszcząc nastrój. – Nad wszystkim, co robię, ciąży przekleństwo! – Odwróciła się błyskawicznie do kominka i zaczęła gorączkowo szukać rękoma czegoś pod jego obramowaniem. – Na miłość bogiń, bądź cicho! – szepnęła.

Ton jej głosu był tak ostry i rozkazujący, że Devin zamarł w bezruchu.

Usłyszał, jak Catriana mamrocze półgłosem:

– Powiedział, że wie, kto wybudował ten pałac, że powinien być tuż nad...

Zamilkła. Rozległ się trzask zapadki. Po prawej stronie kominka odchylił się fragment ściany, odsłaniając mały schowek. Devin otworzył szeroko oczy.

– Nie gap się, durniu! – rzuciła szeptem Catriana. – Szybko! – Do głosów dochodzących zza drzwi dołączył jeszcze jeden – teraz były już trzy. Devin skoczył do ukrytych drzwi i wśliznął się do środka obok Catriany. Razem zamknęli kryjówkę.

W chwilę później usłyszeli szcęk drzwi otwieranych po drugiej stronie komnaty.

– Och, Moriano – jęknęła Catriana. – Devinie, dlaczego tu jesteś?

Na tak zadane pytanie zupełnie nie potrafił odpowiedzieć. Po pierwsze, nadal nie wiedział, dlaczego za nią poszedł, a po drugie, ledwo się mieścili w schowku i coraz bardziej był świadom, że tę maleńką przestrzeń wypełniają oszałamiającym zapachem perfumy Catriany.

Jeśli jeszcze przed chwilą wszystko działo się jakby w półśnie, to teraz był całkowicie rozbudzony, a ponadto znajdował się niebezpiecznie blisko kobiety, której tak bardzo pragnął.

Miał wrażenie, że Catriana również sobie to uświadomiła. Mimo że w schowku było bardzo ciemno, Devin zamknął oczy. Czoło łaskotał mu jej oddech. Czuł, że wystarczy tylko zmienić położenie rąk, by objąć ją w pasie.

Unikał wykonywania jakichkolwiek ruchów. Odchylił się jak najdalej do tyłu i starał się płytko oddychać. Był skrępowany wywołaniem tej idiotycznej sytuacji i nie zamierzał powiększać wydłużającej się listy swoich grzechów obmacywaniem Catriany w ciemnościach.

Ona teraz zmieniła pozycję i szeleszcząc delikatnie suknią, otarła się udem o Devina. Chłopak zaczerpnął głęboko powietrza, wdychając przy okazji większą porcję jej perfum, niż mogło mu to wyjść na dobre, zważywszy na jego cnotliwe postanowienia.

– Przepraszam – szepnął, chociaż to nie on się poruszył. Poczul na czole kropelki potu. Chcąc zająć uwagę czymś innym, skupił się na dźwiękach dochodzących z zewnątrz. Szuranie nóg i monotonny pomruk dobiegający zza jego pleców dowodził, że przed katafalkiem Sandre wciąż przesuwają się ludzie.

Z lewej strony, czyli w pokoju, z którego przed chwilą uciekli, dawało się rozróżnić trzy głosy. Jeden z nich był, o dziwo, prawie rozpoznawalny.

– Kazałem kilku służącym zostać z ciałem. To da nam chwilę czasu przed przyjściem pozostałych.

– Zauważyłeś monety na jego oczach? – odezwał się o wiele młodszy głos, zbliżając się do zewnętrznej ściany, przy której stały stoły. – To bardzo zabawne.

– Oczywiście, że zauważyłem – odparł cierpko pierwszy mężczyzna. Gdzie Devin słyszał ten ton? I to całkiem niedawno...– Jak myślisz, kto spędził cały wieczór na poszukiwaniach dwóch astinów sprzed dwudziestu lat? Jak myślisz, kto to wszystko zorganizował?

– Istotnie, stoły aż się uginają – odezwał się rozbawiony trzeci głos.

– Nie to miałem na myśli!

Śmiech.

– Wiem, ale stoły naprawdę się uginają.

– Taeri, to nie pora na żarty, a szczególnie na marne żarty. Mamy tylko chwilę do przybycia rodziny. Słuchajcie mnie uważnie. Tylko my trzej wiemy, co się dzieje.

– Tylko my? – zapytał młodzieńczy głos. – Nikt więcej? Naet mój ojciec?

– Nie, Gianni nic nie wie, a ty rozumiesz dlaczego. Powiedziałem, że tylko my. Powstrzymaj się z pytaniami i słuchaj żółtodziobie!

Właśnie wtedy Devin d’Asoli poczuł dość charakterystyczne przyspieszenie pulsu, zapewne po tym, co słyszał, ale i z powodu Catriany, która z cichym westchnieniem ponownie zmieniła pozycję. Devin z niedowierzaniem uświadomił sobie, że przyłgnęła do niego ciałem, a jej ręka jakimś sposobem wślizgnęła mi się na kark.

– Wiesz jakoś spodobał mi się ten pomysł – szepnęła bezgłośnie. – Potrafiłbyś zachować się bardzo, bardzo cicho? – Na ułamek sekundy czubek jej języka dotknął ucha Devina.

Poczuł suchość w ustach, a jego członek boleśnie się wyprężył w ciasnocie błękitnych trykotów. Słyszał, jak dobiegający z zewnątrz głos, który prawie poznawał, zaczyna zwięźle wyjaśniać coś w związku z żałobnikami i domkiem myśliwskim, lecz zarówno głos, jak i wyjaśnienia stały się naraz całkiem nieważne.

Pieszczoty Catriany ośmieliły jego dłonie, które powędrowały, jakby powodowane własnym przemożnym pragnieniem, ku jej powiekom, szyi a potem wyśnionym kształtom jej piersi; zwinne palce dziewczyny szybko rozsuptały krepujące go w pasie rzemyki.

– O Triado! – Usłyszał własny jęk, kiedy zaczęła głaskać go chłodnymi palcami. – Dlaczego nie powiedziałaś mi, że lubisz w niebezpiecznej sytuacji? – Przekręcił głowę i po raz pierwszy ich usta gwałtownie się zetknęły. Zaczął zbierać fałdy sukni wokół jej bioder.

Catriana oparła się o występ w ścianie za plecami. Oddychała szybko i płytko.

– Będzie nas sześciu – usłyszał Devin z pokoju za ścianą. – Zanim wjeździe drugi księżyc, macie być...

Dłonie Catriany zacisnęły się na jego włosach, nieomal sprawiając mu ból. W tej samej chwili Devin uwolnił jej biodra od ostatnich fałdów sukni i wsunął palce pod bieliznę.

Catriana cicho krzyknęła, a po chwili jej naprężone ciało stało się zupełnie wiotkie. Westchnęła i znów delikatnie się poruszyła, zapraszając Devina. Zachłysnęła się powietrzem, mocno wbijając mu zęby w ramię. Devin na chwilę znieruchomiał, zaskoczony przyjemnością i ostrym bólem. Mocno ją przytulił, mrużąc prawie bezgłośnie.

– Dosyć! Przyszli pozostali – rzucił ostro trzeci głos za ścianą.

– Dobrze – powiedział pierwszy. – Pamiętajcie więc, wy dwaj Wyruszenie wieczorem osobno z miasta – osobno! – i dołączacie do nas. Zróbcie wszystko, by was nie śledzono, bo

inaczej wszyscy zginiemy.

Nastąpiła krótka cisza. Potem otworzyły się drzwi po drugiej stronie komnaty i Devin w końcu rozpoznał ten głos, który teraz przybrał delikatną, pamiętną intonację z wczorajszego dnia.

– Nareszcie! – zapiał Tomasso d’Astibarbar Sandre. – Strasznie się baliśmy, że udało się wam zgubić w tych zakurzonych zakamarkach i że nigdy już was nie odnajdziemy!

– Nic z tego, bracie – mruknął przeciągle jakiś głos w odpowiedzi. – Chociaż po osiemnastu latach nie byłoby w tym nic dziwnego. Mam gwałtowną potrzebę wypicia dwóch kielichów wina. Nieruchome siedzenie przy takiej muzyce przez cały ranek diablo pobudza pragnienie.

Devin i Catriana przywarli do siebie w schowku, krztusząc się bezgłośnym śmiechem. Po chwili Devin poczuł jednak palące pożądanie. Wydało mu się, że i ją ono ogarnia, więc nagle na całym półwyspie nie było nic tak ważnego, jak stopniowo narastający rytm ich wspólnych ruchów.

Zastygli potem w omdleniu przez chwilę. Ich zmięte ubrania zwilgotniały w miejscach, gdzie przylegały do ciała. Devinowi wydawało się, że głosy z obu przylegających komnat dochodzą z niezmiernej odległości, właściwie z innych światów. Nie miał najmniejszej chęci się poruszyć.

Jednak w końcu Catriana ostrożnie opuściła nogi na ziemię i stanęła o własnych siłach. Devin w ciemnościach wodził po ciemku palcem po jej kościach policzkowych.

Za jego plecami astibarscy panowie i kupcy ciągle jeszcze przechodzili przed ciałem diuka, którego nienawidziło tak wielu, a tylko nieliczni kochali. Po lewej stronie Devina jadło i piło młodsze pokolenie Sandrenich, świętując koniec wygnania. Przytulony do Catriany i wciąż otoczony jej ciepłem Devin nie potrafiłby znaleźć słów na określenie tego, co czuł.

Nagle Catriana chwyciła go za palec i mocno ugryzła. Devin skrzywił się z bólu. Dziewczyna nic jednak nie powiedziała.

Kiedy Sandreni wyszli, Catriana odnalazła zasuwkę i po chwili znów znaleźli się w komnacie. Szybko poprawili na sobie ubrania. Zatrzymując się tylko na tyle, żeby chwycić po kurzym skrzydełku, pośpiesznie wrócili do schodów tą samą drogą. Napotkali idących z naprzeciwka trzech służących w liberiach. Devin, który czuł wyjątkowe ożywienie, chwycił Catrianę za rękę i mrugnął do mijających ich mężczyzn.

Catriana natychmiast wyrwała dłoń.

– Co się stało? – rzucił na dziewczynę okiem.

Wzruszyła ramionami.

– Wolałabym, żeby nie zostało to rozgłoszone w całym pałacu Sandrenich i poza nim – mruknęła, patrząc prosto przed siebie.

Devin uniósł brwi.

– A wolałabyś jakieś inne wyjaśnienie naszej obecności na piętrze? Właśnie dałem im oczywiste, nudne wyjaśnienie. Nawet nie będzie im się chciało o tym rozmawiać. Takie rzeczy często się zdarzają.

– Ale nie mnie – rzekła cicho Catriana.

– Nie to miałem na myśli – zaprotestował zaskoczony Devin. Niestety schodzili już ze schodów, więc zatrzymał się, żeby przepuścić ją do pokoju. Poczł niespodziewany chłód.

Trupa przygotowywała się do wyjścia na dziedziniec. Mocno oszołomiony, Devin zajął swoje miejsce za Menico.

W pierwszych dwóch pieśniach miał tylko drobną, wspierającą rolę, więc wrócił myślami do tego, co się właśnie rozegrało na piętrze. Zrobił to raz, drugi, a owa pamięć, która zdawała się jego skarbem, oświetlała niczym promień słońca to ten, to inny szczegół, odsłaniając to, czego nie dostrzegł za pierwszym razem.

Tak więc kiedy nadeszła jego kolej na wystąpienie i ukoronowanie porannych obrzędów – troje duchownych pochyliło się wyczekująco do przodu, a twarz Tomasso przybrała wyraz zachwyconego skupienia – Devin mógł poświęcić *Elegii dla Adaona* całkowitą uwagę, osiągnął bowiem jasność umysłu i dokładnie wiedział, co ma robić.

Zaczął cichym, średnio wysokim głosem przy akompaniamencie obu syrenii, ożywiając starodawną opowieść o bogu. Potem, kiedy weszła fletnia Alessana, Devin wzniósł głos w odpowiedzi, jakby biegł przez górskie łąki i turnie ku przepaści.

Wyśpiewał śmierć boga głosem oczyszczonym w tyglu własnego serca, posyłając nuty wysoko nad dziedziniec i dalej, na ulice i place chronionego wysokimi murami Astibaru.

Wysokimi murami, które zamierzał tego wieczoru pokonać, u potem pójść ścieżką, do lasu, gdzie stoi domek myśliwski. Domek, do którego żałobnicy mieli zanieść ciało diuka i gdzie miało się zebrać sześciu mężczyzn, przypominał mu czysty głos jego pamięci. Wiadomość o tym Catriana d' Astibar dopiero co za wszelką cenę usiłowała przed Devinem ukryć. Z całych sił postarał się zmienić cierpki posmak tej wiedzy w żal za Adaonem, sprawić, by zasilil i ukierunkował ból *Elegii*.

Przypomnił sobie jej słowa: „Lepiej dla nas obojga”, oraz towarzyszący im żal i niespodziewaną miękkość jej głosu. W wieku Devina pewien rodzaj dumy jest jednak silniejszy niż kiedykolwiek w życiu śmiertelnika i jeszcze przed rozpoczęciem śpiewu Devin postanowił, tu, na zatłoczonym dziedzińcu wśród wielkich Astibaru, że to on będzie osądzał, co jest lepsze, a nie ona.

Tak więc Devin wyśpiewał rozszarpanie boga przez kobiety, oddając tej śmierci na tregeańskiej górze wszystko, co miał, i czyniąc ze swego głosu strzałę zmierzającą do serca każdego, kto go słyszał.

Doprowadził Adaona do krawędzi wysokiej skały, usłyszał, jak zamiera głos fletni i, kończąc pieśń, runął wraz z bogiem w dół, w nurt Casadelu.

Tego ranka skończył się też pewien rozdział w życiu Devina. Każdy bowiem wie, że kiedy przejdzie się przez portal Moriany, to nie można już zawrócić.

Rozdział 4

Przejeżdżając na godzinę przed zachodem słońca pod wschodnią bramą miasta u boku spoczywającego na marach ciała ojca, Tomasso bar Sandre pozwolił koniowi iść stępa, a sam po raz pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin, przeżytych w ogromnym napięciu, pograżył się w leniwych rozmyślaniach.

Na drodze było spokojnie. Normalnie o tej porze byłaby zatłoczona ludźmi wracającymi do distrazy, chcącymi zdążyć przed zamknięciem bram. Zachód słońca zwykle wyganiał z ulic wszystkich oprócz patroli barbadiorskich najemników i ludzi na tyle lekkomyślnych, żeby się im przeciwstawić w poszukiwaniu kobiet, wina czy też innych rozrywek oferowanych przez mrok.

Nie był to jednak zwykły czas. Dziś i przez dwa następne dni w Astibarze będzie wolno przebywać na ulicach całą noc. Ponieważ winogrona zostały zebrane, a żniwa w distradzie wyjątkowo się udały, przez trzy kolejne noce Święta Winorośli ludzie będą śpiewać i tańczyć na ulicach. Przez te trzy noce w roku Astibar próbował udawać, że jest zmysłowym, dekadentem Senzio. W dawnych czasach żaden diuk, a teraz nawet surowy Alberico nie był na tyle głupi, żeby wzburzać lud, zabraniając mu tego tradycyjnego odpoczynku od całorocznej stateczności.

Tomasso popatrzył na swoje miasto. Zachodzące słońce czerwieniało w cienkiej warstwie chmur za kopułami świątyń i wieżami, zalewając Astibar zaskakująco pięknym blaskiem. Zerwał się chłodny wiatr. Tomasso zastanawiał się przez chwilę, czy nie włożyć rękawiczek, ale zrezygnował z tego: musiałby zdjąć kilka pierścieni, a bardzo mu się podobał widok jego klejnotów w tym ulotnym świetle. Jesień nastąpiła już na dobre i Dni Żaru zbliżały się szybko. Już niedługo, za kilku dni pierwszy mróz zwarzy ostatnie, nieliczne i cenne winogrona pozostawione na wybranych krzewach, z których – jeśli wszystko dobrze pójdzie – powstanie lodowate, przejrzyste, błękitne wino stanowiące dumę Astibaru.

Za Tomasso kroczyło niezamordowane ośmiu służących niosących mary z prostą trumną jego ojca. Nagie drewno zdobił tylko herb Sandrenich. Po obu stronach jechali w ponurym milczeniu dwaj żałobnicy mający czuwać przy zmarłym. Milczenie to nie było zaskakujące, zważywszy na istotę ich zadania oraz nagromadzone od pokoleń pokłady nienawiści dzielące obu mężczyzn.

Trzech mężczyzn, poprawił się Tomasso. Trzech, jeśli wliczyć zmarłego, który tak starannie to wszystko zaplanował, łącznie z tym, kto będzie jechał po której stronie mar, kto z przodu, a kto z tyłu. Nie mówiąc już o znacznie bardziej zaskakującym szczególe, a mianowicie, którzy dwaj panowie z prowincji Astibar powinni zostać poproszeni o odeskortowanie go do domku myśliwskiego na całonocne czuwanie, a stamtąd o świcie do krypty Sandrenich. Albo raczej: którym dwu panom można i powinno się powierzyć to, czego mieli się dowiedzieć podczas

nocnego czuwania w lesie.

Na tę myśl Tomasso poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Stłumił je, tak jak nauczył się to robić w ciągu wielu lat – niewiarygodnie wielu lat – spędzonych na omawianiu z ojcem takich spraw.

Teraz jednak Sandre był martwy i Tomasso działał w pojedynkę, a noc, do której przygotowywali się z takim trudem, już nadchodziła, zwiastowana przez purpurowe, dogasające światło dnia. Tomasso, który czterdziesty dzień nadania imienia obchodził przed dwoma laty, wiedział, że jeśli nie zachowa ostrożności, znów może się poczuć jak dziecko.

Jak dwunastoletnie dziecko, którym był na przykład wtedy, gdy Sandre, diuk Astibaru, zastał go nagiego na stajennej słomie z szesnastoletnim synem głównego stajennego.

Jego kochanek został oczywiście stracony. Uczyniono to dyskretnie, aby sprawę utrzymać w tajemnicy. Przez trzy dni z rzędu ojciec chłostał Tomasso, co rano na nowo otwierając biczem gojące się rany. Matce zakazał do niego przychodzić. Nikt do niego nie przychodził.

Był to jeden z nielicznych błędów ojca, pomyślał Tomasso, cofając się myślami o trzydzieści lat. Wiedział, że od owych trzech dni datuje się jego własna skłonność do posługiwania się biczem w miłości. Lubił to nazywać jednym ze swoich szczęśliwych trafów.

Co prawda Sandre nigdy go już nie karał ani tak, ani w inny sposób. Kiedy stało się jasne, że nie ma żadnej nadziei na utrzymanie wszystkiego w tajemnicy, że skłonności Tomasso, łagodnie mówiąc, nie da się zmienić czy stłumić, diuk po prostu przestał zauważać swego średniego syna.

Trwało to ponad dziesięć lat. Sandre cierpliwie usiłował przygotować Gianni na swego następcę, nie mniej czasu spędzając z młodym Taeri i dając wyraźnie wszystkim do zrozumienia, że najmłodszy syn jest następny w kolejności po najstarszym. Przez ponad dziesięć lat Tomasso w murach pałacu Sandrenich po prostu nie istniał.

Z całą pewnością zaznaczał jednak swoją obecność w Astibarze i kilku innych prowincjach. Z przyczyn, które były teraz dla niego boleśnie jasne, Tomasso postanowił w ciągu tych lat zaćmić pamięć o wszystkich rozwiązłych arystokratkach, o których ciągle jeszcze opowiadano w Astibarze wstrząsające historie, mimo że niektórzy z nich nie żyli już od kilkuset lat.

Sądził, że do pewnego stopnia mu się to udało.

Z całą pewnością ów „napad” na świątynię Moriany w wiosenną Noc Żaru mógł jeszcze przez jakiś czas stanowić dno czy też wzór (wszystko zależy od punktu widzenia, jak lubił wówczas mawiać) świętokradczej rozpusty.

Napad nie miał żadnego wpływu na jego stosunki z diukiem. Od tamtego poranka na słomie, kiedy to Sandre wrócił z przejażdżki o tę fatalną godzinę za wcześnie, nie utrzymywali żadnych kontaktów. Podczas rodzinnych przyjęć czy oficjalnych uroczystości Tomasso i jego ojciec po prostu starali się ze sobą nie rozmawiać ani nawet nie zauważać swojej obecności. Jeśli Tomasso dowiedział się o czymś, o czym według niego powinien wiedzieć Sandre – co ze względu na kręgi, w których się obracał, oraz ciągle niebezpieczeństwo właściwe owym czasom zdarzało się

dość często – mówił o tym matce w czasie jednego z cotygodniowych wspólnych śniadań, a ona starała się, by wiadomość doszła do uszu Sandre. Tomasso wiedział także, że matka równie skwapliwie dbała o to, by Sandre znał źródło wiadomości. Nie miało to jednak w gruncie rzeczy większego znaczenia.

Matka umarła w ostatnim roku rządów diuka po wypiciu zatrutego wina przeznaczonego dla niego. Do ostatniego ranka swego życia starała się doprowadzić do zgody między Sandre i ich średnim, synem.

Romantycy więksi niż ojciec i syn mogli wówczas pomyśleć, że kiedy w krwawym odwecie za to otrucie rodzina Sandrenich zacieśniła łączące ją więzy, spełniła się w końcu smutna nadzieja matki Tomasso.

Obaj mężczyźni wiedzieli, że tak nie było.

Właściwie dopiero przybycie Alberico z Imperium Barbadoru, który dysponował osłabiającymi wolę czarami i brutalną sprawnością swych zwycięskich najemników, doprowadziło Tomasso i Sandre do pewnej rozmowy bardzo późną nocą w drugim roku wygnania diuka. Inwazja Alberico oraz coś jeszcze: potworna, nieodwracalna, nieodwołalna głupota Gianni d' Astibar bar Sandre, tytularnego spadkobiercy rozbitych losów rodziny.

A do tych dwóch spraw powoli doszła trzecia – gorzka dla dumnego, wygnanego diuka prawda. Powoli stawało się coraz bardziej oczywiste i niezaprzeczalne, że jeśli jakieś cechy jego charakteru i talenty ujawniły się w młodszym pokoleniu, jeśli przekazał swoim synom subtelność i spostrzegawczość, zdolność ukrywania własnych myśli i odczytywania zamysłów innych czy jakiegokolwiek podobne umiejętności, to wszystko to stało się udziałem jego średniego dziecka, Tomasso.

A Tomasso lubił chłopców i sam nie pozostawił dziedzica ani nawet imienia, które byłoby wspomniane, nie mówiąc już o wspomnianiu z dumą, w Astibarze czy gdziekolwiek indziej w Dłoni.

W najgłębszych zakamarkach duszy, w których chował skomplikowane uczucia względem ojca, Tomasso zawsze – szczególnie więc teraz, podczas ostatniej drogi Sandre – przyznawał, że owej zimowej nocy ujawniła się prawdziwa miara diuka jako władcy. Tamtej nocy przełamał dziesięcioletnie kamienne milczenie i uczynił ze swego średniego syna powiernika.

Jedynego powiernika w niezwykle ostrożnym, trwającym osiemnaście lat dążeniu do wyparcia z Astibaru i Wschodniej Dłoni Alberico wraz z jego czarami i najemnikami. Dążenie to u obu zmieniło się w obsesję. Tymczasem publiczne zachowanie Tomasso stawało się coraz bardziej ekscentryczne i rozwiązłe, a jego głos i chód były parodią – właściwie autoparodią – afektowanego, mizdrzącego się miłośnika chłopców.

Wszystko to zostało zaplanowane podczas nocnych rozmów z ojcem w ich wiejskiej posiadłości.

Tymczasem rolą Sandre było wyraźne, głośne i bezsilne poddanie się ponuremu wygnaniu, przeklinanie Triady, zręczliwe organizowanie wystawnych polowań i nadużywanie własnego wina.

Tomasso nigdy nie widział ojca pijanego, a kiedy byli w nocy sam na sam, nigdy nie mówił piskliwym głosem.

Przed ośmiu laty spróbowali morderstwa. W wiejskiej gospodzie w Ferraut, tuż przy granicy z prowincją Astibar, umieścili kucharza, którego można było powiązać jedynie z rodziną Canziano. Krążące przez ponad pół roku po Astibarze plotki głosiły coraz większą sławę gospody. Potem nikt nie pamiętał, kto je rozpuszczał – Tomasso wiedział, jak użyteczne jest robienie takich luźnych uwag wśród znajomych w świątyniach. Szczególnie kapłani Moriany słynęli ze swych apetytów – wszelkich apetytów.

Dokładnie w rok po tym, jak puścili sprawy w ruch, Alberico z Barbadioru, zgodnie z przewidywaniami Sandre, wracając z Igrzysk Triady, zatrzymał się na południowy posiłek w cieszącej się dobrą sławą gospodzie w Ferraut.

Zanim owego jasnego dnia pod koniec lata zaszło słońce, wszystkim osobom w gospodzie – służącym, panom, stajennym, kucharzom, dzieciom i gościom – połamano grzbiety, nogi, ręce i nadgarstki, odcięto dłonie, po czym związano ich i umieszczono na pośpiesznie wzniesionych barbadiorskich podniebnych kołach, aby tam zakończyli życie.

Gospodę zrównano z ziemią. Podatki zostały podwojone w prowincji Ferraut na następne dwa lata, a w Astibarze, Tregei i Certando na rok. W ciągu pół roku od incydentu odnaleziono, schwytano i publicznie storturowano wszystkich żyjących członków rodziny Canziano. Zostali spaleni na Wielkim Placu w Astibarze, mając wepchnięte w usta swoje odcięte dłonie, żeby ich krzyki nie niepokoiły Alberico i jego doradców pracujących w budynkach sąsiadujących z placem.

W ten sposób Sandre i Tomasso przekonali się, że czarnoksiężników nie da się otruć.

Przez następne sześć lat nie robili nic innego poza odbywaniem nocnych rozmów w leżącym pośród winnic dworze i zbieraniem wszelkich informacji o samym Alberico oraz rozgrywających się w Barbadiorze wydarzeniach. Krążyły pogłoski, że Imperator z każdym rokiem robi się starszy i słabszy.

Tomasso zaczął zamawiać i kolekcjonować laski z rączkami wyrzeźbionymi w kształcie męskich narządów płciowych. Plotka głosiła, że modelami dla rzeźbiarzy byli jego młodzi znajomi. Sandre polował. Gianni, spadkobierca tytułu, umacniał swą reputację towarzyskiego, jowialnego uwodziciela kobiet i płodziciela dzieci z prawego i nieprawego łoża. Młodszy Sandreni mogli utrzymywać w mieście skromne domy, co było zgodne z ogólną polityką Alberico jako władcy w miarę możliwości dyskretnego – chyba że zagrażało mu niebezpieczeństwo czy niepokoje społeczne.

Wówczas na podniebnych kołach umierały nawet dzieci. Pałac Sandrenich w Astibarze stał pusty i zakurzony, ostentacyjnie zamknięty. Był to pożyteczny, potężny symbol upadku tych, którzy mogliby się opierać tyranowi. Przesądni twierdzili, że widzieli tam błyskające nocą upiorne światła, szczególnie w nocie błękitnego księżyca lub w wiosenne i jesienne Noce Żaru, kiedy po świecie chodzili zmarli.

Potem pewnego wieczoru na wsi Sandre bez żadnego wstępu powiedział Tomasso, że za dwa lata, w wigilię Święta Winorośli, zamierza umrzeć. Następnie wymienił dwóch panów, którzy mieli przy nim czuwać, oraz wyjaśnił dlaczego. Tej samej nocy postanowili razem z Tomasso, że pora o wszystkim powiedzieć Taeriemu, najmłodszemu synowi. Był dzielny, niegłupi i w pewnych sprawach mógł być niezbędny. Zgodzili się także co do tego, że Gianni przypadkiem spłodził jednego odpowiedniego, choć nieślubnego syna, i że Herado – który miał już dwadzieścia jeden lat i wykazywał pozytywne cechy charakteru oraz ambicję – stanowi ich nadzieję na wciągnięcie młodszego pokolenia w niepokoje, które Sandre chciał wywołać tuż po swojej śmierci.

Nie była to właściwie kwestia tego, komu z rodziny można zaufać – rodzina to przecież rodzina. Chodziło o to, kto będzie użyteczny, a oznaką stopnia upadku Sandrenich było to, że przychodziły na myśl tylko dwa imiona.

Tomasso pamiętała, że była to całkowicie beznamietna rozmowa. Jak wszystkie. Ich rozmowy zawsze tak wyglądały, ta od innych się nie różniła. Potem jednak nie mógł zasnąć, bo data odległego o dwa lata święta zawładnęła jego umysłem. Miał to być dzień, w którym jego ojciec, układający tak precyzyjne i przemyślane plany, postanowił umrzeć, żeby dać Tomasso szansę jeszcze jednej, tym razem innej próby.

Dzień ten nadszedł i minął, zabierając z sobą duszę Sandre d’Astibar do miejsca, dokąd udają się dusze takich ludzi. Na tę myśl Tomasso uczynił gest odpędzający wszelkie zło. Usłyszał, jak z tyłu rządcy rozkazuje służącym zapalić pochodnie. Z zapadnięciem ciemności zrobiło się zimno. Cienka warstwa wysokich chmur zabarwiła się ponurym fioletem. Słońce już zaszło za drzewa. Tomasso pomyślał o duszy własnej i ojca. Zadrżał.

Wszedł biały księżyc, Vidomni, a wkrótce po nim pojawił się w beznadziejnym pościgu błękitny Ilarion. Oba księżyce zbliżały się do pełni. Ich podwójny blask był tak silny, że procesja mogłaby się właściwie obejść bez pochodni, które jednak znakomicie pasowały do sytuacji i nastroju Tomasso. Oświetlały więc znajomą, krętą ścieżkę w lasach Sandrenich, na którą skręcili z drogi. W końcu przybyli do tak ulubionego przez Sandre prostego domku myśliwskiego.

Służący ułożyli mary na kozłach przygotowanych pośrodku dużego frontowego pomieszczenia. Zapalono świece, a w dwóch umieszczonych naprzeciw siebie kominkach rozpalono ogień. Jedzenie przyniesiono wcześniej. Służący szybko odkryli naczynia ustawione

wraz z winem na długim kredensie pod ścianą i otworzyli okna, by przewietrzyć chatę.

Na skinienie Tomasso rządcą wyprowadził służących. Mieli udać się do leżącego dalej na wschód dworu i wrócić o świcie, pod koniec czuwania.

Tak więc w końcu zostali sami – Tomasso oraz panowie Nievole i Scalvaia, tak starannie wybrani przed dwoma laty.

– Wina, panowie? – zapytał Tomasso. – Niedługo dołączą do nas trzy inne osoby.

Powiedział to rozmyślnie swoim naturalnym głosem, odrzucając sztuczny, piskliwy ton, który w Astibarze był jego symbolem. Z zadowoleniem stwierdził, że obaj natychmiast to zauważyli.

– Kto taki? – zapytał przeciągle brodaty Nievole, który całe życie nienawidził Sandre. Podobnie jak Scalvaia, nie skomentował zmiany głosu Tomasso. Takie pytania zdradzają zbyt wiele, a obaj mieli doświadczenie w ukrywaniu swych myśli.

– Mój brat Taeri i bratanek Herado, jeden z bękartów Gianni, najsprytniejszy z nich wszystkich. – Mówiąc to swobodnym tonem, odkorkował dwie butelki czerwonego wina Sandreni. Podał mężczyznom napełnione kielichy, czekając, który z nich przerwie ciszę. Wedle przewidywań ojca miał to być Scalvaia.

– Kim jest trzecia osoba? – zapytał tenże cicho. Tomasso oddał w duchu honory zmarłemu ojcu i delikatnie obracając w palcach nóżkę kielicha, by wydobyć z wina bukiet, powiedział:

– Nie wiem. Ojciec nie wymienił jego nazwiska. Poprosił o przyjęcie was obu, nas trzech i powiedział, że na naszej dzisiejszej naradzie będzie ktoś szósty.

To słowo też zostało starannie dobrane.

– Naradzie? – powtórzył elegancki Scalvaia. – Zdaje się, że zostałem wprowadzony w błąd. Miałem wrażenie, że ma to być nocne czuwanie. – Ciemne oczy Nievole płonęły. Obaj patrzyli surowo na Tomasso.

– Będzie to coś więcej – rzekł Taeri, wchodząc do chaty. Za nim pojawił się Herado.

Tomasso z zadowoleniem zauważył, że obaj ubrali się skromnie i że mimo pełnego nonszalanckiej uprzejmości wejścia Taeriego jego twarz zachowała wyraz głębokiej powagi.

– Znacie mojego brata – mruknął Tomasso, biorąc do ręki butelkę, żeby nalać wino nowo przybyłym. – Być może nie poznaliście jeszcze Herado, syna Gianni.

Chłopak skłonił się, jak przystało, w milczeniu. Tomasso podszedł z kielichami do brata i bratanka.

Cisza trwała jeszcze przez chwilę, po czym Scalvaia opadł na fotel, wyciągając przed siebie chorą nogę. Uniósł laskę i wycelował nią w Tomasso. Jej czubek ani drgnął.

– Zadałem ci pytanie – powiedział zimno swym słynnym pięknym głosem. – Dlaczego nazywasz to naradą, Tomasso bar Bandre? Dlaczego zostaliśmy tu sprowadzeni pod pretekstem czuwania przy zmarłym?

Tomasso przestał obracać kielich. Wreszcie nadszedł ten moment. Przeniósł spojrzenie ze Scalvai na krzepkiego Nievole i odezwał się poważnym tonem:

– Zostaliście obaj uznani przez mego ojca za ostatnich panów w Astibarze dysponujących realną siłą. Dwie zimy temu ojciec poinformował mnie, że postanowił umrzeć w wigilię tego Święta, uznając, że Alberico nie będzie mógł mu odmówić pełnych obrzędów pogrzebowych, do których zalicza się takie właśnie nocne czuwanie. Wiedział, że obaj będziecie wówczas w Astibarze, co umożliwi mi wyznaczenie was na żałobników.

Przerwał na chwilę recytację i zatrzymał wzrok na każdym z nich po kolei.

Mój ojciec uczynił to, abyśmy mogli się spotkać, nie wywołując podejrzeń, bez świadków i bez ryzyka wykrycia, i byśmy wprowadzili w życie pewne plany zmierzające do obalenia rządzącego w Astibarze Alberico.

Przyglądał im się badawczo. Sandre dokonał dobrego wyboru, gdyż żaden z dwóch mężczyzn, do których mówił, nawet mrugnięciem oka nie zdradził zaskoczenia czy przestachu.

Scalvaia powoli opuścił laskę i położył ją na stole obok swego fotela. Tomasso zauważył, że laska jest wykonana z onyksu i makialu. Dziwnymi ścieżkami biegną w takich chwilach myśli.

– Czy wiesz – odezwał się Nievole ze swego miejsca przy większym kominku – że coś takiego przyszło mi na myśl, kiedy próbowałem zgadnąć, dlaczego twój przeklęty przez Triadę ojciec... o, przepraszam, trudno pozbyć się starych przyzwyczajęń... – jego uśmiech był raczej wilczy niż przepraszający i nie sięgał jego zwężonych oczu – ...dlaczego diuk Sandre miałby mnie wyznaczyć do nocnego czuwania. Musiał przecież wiedzieć, ile razy za czasów jego panowania usiłowałem przyspieszyć te żałobne obrzędy.

Tomasso odwzajemnił równie nieszczerzy uśmiech.

– Wiedział, że będziesz się zastanawiał – odparł uprzejmie człowiekowi, który niemal na pewno opłacił kielich wina, który zabił jego matkę. – Był także prawie pewien, że jako jeden z ostatnich przedstawicieli wymierającego astibarskiego gatunku zgodzisz się przyjść. Gatunku wymierającego właściwie w całej Dłoni.

Brodaty Nievole uniósł kielich.

– Dobrze prawisz pochlebstwa, bar Sandre. Muszę też przyznać, że wolę twój obecny głos, bez tych wszystkich afektowanych dodatków,

Scalvaia wyglądał na rozbawionego, Taeri głośno się roześmiał, natomiast Herado zachowywał napiętą czujność. Tomasso bardzo się on podobał, chociaż nie patrzył na niego oczami potencjalnego kochanka, o czym musiał zapewnić ojca w pewnej zajmującej rozmowie.

– Ja też go wolę – powiedział Tomasso. – Nie bylibyście sobą, gdybyście przez ostatnie kilka minut nie zastanawiali się, dlaczego w niektórych dziedzinach życia zachowuję się w pewien dobrze znany sposób. Otóż istnieją i dobre strony bycia uznanym za nieszkodliwego degenerata.

– Istotnie – zgodził się uprzejmie Scalvaia – jeśli ma się cel któremu taka mistyfikacja służy. Przed chwilą wymienił pewne imię, dając do zrozumienia, że śmierć lub też wyjazd osoby je noszącej głęboko by nas wszystkich uszczęśliwiły. Na razie pominiemy konsekwencje, jakie mógłby za sobą pociągnąć tak dramatyczny rozwój wypadków.

Spojrzenie Scalvai było nieprzeniknione, o czym Tomasso został zresztą uprzedzony. Milczał. Taeri poruszył się niespokojnie, ale na szczęście zgodnie z poleceniem nic nie mówił. Podeszedł do katafalku i usiadł na jednym z foteli stojących po przeciwnej stronie. Scalvaia mówił dalej:

– Zdajemy sobie sprawę, że powiedziawszy to, co powiedziałaś, całkowicie oddałeś się w nasze ręce, a przynajmniej tak mogłoby się początkowo wydawać. Domyślam się też, że gdybyśmy rzeczywiście mieli wstać i wyruszyć w drogę powrotną do Astibaru z wieściami o zdradzie, to dołączylibyśmy do twego ojca, zanim opuścilibyśmy ten las.

Słowa te rzucone zostały niedbale – był to drobny fakt wymagający potwierdzenia przed przystąpieniem do poważniejszych spraw.

Tomasso przecząco pokręcił głową.

– Raczej nie – skłamał. – Wyświadczacie nam zaszczyt swoją obecnością i w każdej chwili możecie odjechać. Owszem, jeśli takie będzie wasze życzenie, odprowadzimy was, bo ścieżka jest po ciemku zdradliwa. Ojciec mój natomiast zasugerował mi, bym wspomniał, że chociaż z łatwością moglibyście doprowadzić do obciążenia nam dłoni i umieszczenia po torturach na kołach śmierci, to jest wysoce prawdopodobne, a nawet prawie pewne, iż Alberico dostrzegłby nagłą potrzebę uczynienia tego samego z wami za to, że zostaliście wybrani na naszych wspólników. Pamiętasz zapewne, co się stało z rodziną Canziano po tym niefortunnym incydencie w Ferraut przed kilku laty?

Zapadła miła cisza będąca oznaką zgody. Przerwał ją Nievole.

– Sprawka Sandre, tak? – mruknął ze swego miejsca przy kominku. – Canziano nie mieli z tym nic wspólnego!

– Pomyśl był nasz – potwierdził spokojnie Tomasso. – Wiele się z tego nauczyliśmy.

– Podobnie jak Canziano – mruknął sucho Scalvaia. – Twój ojciec zawsze nienawidził Fabro bar Canziano.

– Nie można powiedzieć, że łączyły ich idealne stosunki – zgodził się uprzejmie Tomasso. – Chociaż muszę podkreślić, że jeśli skupisz się, panie, na tej stronie zagadnienia, to nie dostrzeżesz jego sedna.

– Sedna wygodniejszego dla ciebie – poprawił z naciskiem Nievole.

Nieoczekiwanie z pomocą Tomasso przyszedł Scalvaia.

– Nieładnie, mój panie – rzekł do Nievole. – Jeśli cokolwiek możemy przyjąć za prawdę, z pewnością jest nią to, że nienawiść i pragnienia Sandre wyszły poza dawne wojny

i rywalizację. Jego celem był Alberico.

Dość długo nie spuszczał lodowatobłękitnego spojrzenia z oczu Nievole i w końcu ogromny mężczyzna skinął głową. Scalvaia poprawił się na fotelu, krzywiąc się z bólu, który przeszył jego chorą nogę.

– Doskonale – zwrócił się do Tomasso. – Powiedziałeś już nam, po co tu jesteśmy, i wyjawileś zamiary ojca oraz swoje. Ja także chciałbym coś wyznać. W duchu prawdy, jaki powinno wyzwolić czuwanie przy zmarłym, przyznaję, że trwanie pod rządami nieokrzesanego, gwałtownego, aroganckiego władcy z Barbadioru nie rozgrzewa radością mego starego serca. Jestem z wami. Jeśli masz jakiś plan, chciałbym go usłyszeć. Klnę się na honor, że w tej sprawie dochowam Sandrenim wierności.

Tomasso wzdrygnął się na dźwięk tych dawnych słów.

– Twój honor stanowi porękę nad wszelką wartość – powiedział szczerze.

– Zaiste, bar Sandre – rzekł Nievole, robiąc ciężko krok do przodu. – Ośmielę się stwierdzić, że słowo Nievole też nigdy nie miało mniejszej ceny. Moim najgłębszym pragnieniem jest to, by Barbadiorczyk zginął usieczony mieczem, a jeśli Triada dopuści, by otrzymał cios z mojej ręki. Też jestem z wami. Klnę się na honor.

– Cóż za straszliwie wspaniałe słowa! – odezwał się rozbawiony głos spod okna znajdującego się naprzeciwko drzwi.

Pięć twarzy – cztery pobladłe z zaskoczenia, a brodata purpurowa – błyskawicznie zwróciło się w tym kierunku. W otwartym oknie stał mężczyzna. Łokcie oparł na parapecie, a dłońmi obejmował złożony w nich podbródek. Przyglądał się spiskowcom łagodnie, lecz badawczo, z twarzą pozostającą w cieniu drewnianej framugi.

– Nigdy jeszcze nie słyszałem, by tyrana udało się pokonać śmiałymi słowami, choćby nawet pochodziły z ust potomka najczcigodniejszego rodu, w Dłoni czy gdziekolwiek indziej – powiedział intruz. Zręcznym ruchem dźwignął się w górę, przerzucił nogi nad parapetem i wygodnie na nim usiadł. – Z drugiej strony – dodał – przyznam, że uzgodnienie celu stanowi jakiś początek.

– Jesteś tym szóstym, o którym mówił mój ojciec? – zapytał ostrożnie Tomasso.

W blasku płomieni twarz mężczyzny wydawała się rzeczywiście znajoma. Pod czarną kamizelką z baraniego futra miał szarą koszulę, a różniące się nieco odcieniem szarości spodnie wpuścił w czarne, znoszone buty do konnej jazdy. U pasa wisiał mu prosty sztylet. W tym stroju mógłby się wybrać raczej do lasu niż do miasta.

– Słyszałem, jak o tym wspominałeś, ale mam nadzieję, że nim nie jestem, bo wnioski wypływające z tego faktu byłyby, delikatnie mówiąc, niepokojące. Szczerze mówiąc, nigdy w życiu nie rozmawiałem z twoim ojcem. Gdyby wiedział o mojej działalności i w jakiś sposób przewidział, że dowiem się o tym spotkaniu i tu się zjawię... cóż, czułbym się mile połączony

jego wiarą we mnie, ale bardziej bym się zaniepokoił, że tyle o mnie wie. Z drugiej strony – powtórzył – mówimy tu o Sandre d’Astibar i ja rzeczywiście jestem tu szósty, prawda? – Skłonił się bez śladu ironii w kierunku spoczywających na kozłach mar.

– A zatem jesteś sprzymierzony przeciwko Alberico? – Nievole nie spuszczał z przybysza czujnego spojrzenia.

– Nie – odparł dość bezceremonialnie zapytany. – Alberico nic dla mnie nie znaczy, chyba że jako narzędzie, klin do otwarcia moich własnych drzwi.

– A co takiego za nimi leży? – zapytał Scalvaia z głębi swego fotela.

W tym momencie Tomasso sobie przypomniał.

– Znam cię! – powiedział nagle. – Widziałem cię dziś rano. Jesteś tregeańskim pasterzem, który podczas porannych obrzędów grał na fletni!

Taeri strzelił palcami, bo i on rozpoznał mężczyznę w oknie.

– Owszem, grałem na fletni – odparł mężczyzna z niezmaconym spokojem – ale nie jestem pasterzem i nie pochodzę z Tregei. Miałem pewien cel w odgrywaniu przez wiele lat roli, a właściwie wielu ról. Tomasso bar Sandre powinien coś o tym wiedzieć. – Uśmiechnął się.

Tomasso nie odpowiedział uśmiechem.

– Może zatem, biorąc pod uwagę okoliczności, zechciałbyś nas oświecić, kim naprawdę jesteś. – Powiedział to na tyle uprzejmie, na ile pozwalała sytuacja. – Być może mój ojciec wiedział, ale my nie.

– I obawiam się, że jeszcze się tego nie dowiecie – rzekł mężczyzna. – Chociaż mogę powiedzieć, że gdybym miał złożyć przysięgę na honor mojej rodziny, jej waga zaćmiłaby oba niedawno uczynione tu śluby.

Powiedział to obojętnym tonem, co jedynie zwiększyło wrażenie jego arogancji.

Aby zapobiec nieuchronnemu wybuchowi gniewu Nievole, Tomasso szybko powiedział:

– Ale chyba nie odmówisz nam nieco informacji, nawet jeśli wolisz nie wyjawiać swego imienia. Powiedziałaś, że Alberico jest dla ciebie narzędziem. Narzędziem do czego, Alessanie nie z Tregei? Tomasso z zadowoleniem przypomniał sobie imię, które wymienił poprzedniego dnia Menico di Ferraut. – Co jest twoim celem? Co cię sprowadza do tej chaty?

Twarz mężczyzny, szczupła i dziwnie wklęsła przy ostro wystających kościach policzkowych, znieruchomiła, upodabniając się do maski. W zapadłej ciszy rozległy się jego słowa:

– Chcę Brandina. Pragnę śmierci Brandina z Ygrathu bardziej niż nieśmiertelności własnej duszy za ostatnim portalem Moriany,

Ciszę przerywał teraz jedynie trzask ognia na obu kominkach. Tomasso miał wrażenie, że wraz z tymi słowami powiało chłodem zimy.

A potem Scalvaia mruknął leniwie, psując nastrój:

– Cóż za straszliwie wspaniałe słowa!

Nievoli i Taeri wybuchnęli śmiechem, lecz sam Scalvaia nawet się nie uśmiechnął.

Siedzący na oknie mężczyzna przyjął docinek z ledwo zauważalnym skinieniem głowy i powiedział:

– Nie jest to, panie, temat, na który pozwalam żartować. Jeśli mamy pracować razem, będziecie musieli o tym pamiętać.

– Muszę stwierdzić, że jesteś młodzieńcem nadto dumnym – rzekł ostro Scalvaia. – Byłoby dobrze, gdybyś pamiętał, do kogo się zwracasz.

Mężczyzna wyraźnie stłumił natychmiastową ripostę.

– Duma to wada mojej rodziny – powiedział w końcu. – Obawiam się, że i ja jej nie uniknąłem. Wiem, kim jesteś. A także Sandrii i pan Nievole. Dlatego tu jestem. Dawno temu postawiłem sobie za zadanie orientować się w niepokojach na całym obszarze Dłoni. Czasami nawet je dyskretnie popieram. Dzisiaj po raz pierwszy osobiście pojawiłem się na takim zgromadzeniu.

– Ale przecież powiedziałeś nam, że Alberico nic dla ciebie nie znaczy. – Tomasso przeklął w duchu ojca za to, że nie przygotował go lepiej na tę szczególną szóstą osobę.

– Niejako on sam – poprawił mężczyzna. – Pozwolisz? – Nie czekając na odpowiedź, podszedł do wina.

– Proszę – odparł poniewczasie Tomasso.

Mężczyzna nalał sobie hojną ręką kielich wybornego czerwonego. Osuszył go i ponownie napenił kielich. Dopiero wtedy odwrócił się do pozostałych pięciu mężczyzn. Herado patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Dwa fakty – rzekł szorstko mężczyzna zwany Alessanem. – Wbijcie je sobie do głowy, jeśli wolność Dłoni traktujecie poważnie. Po pierwsze, jeżeli wypędzicie lub zabijecie Alberico, w ciągu trzech miesięcy spadnie na was Brandin. Po drugie, jeśli ktoś wypędzi lub zabije Brandina, w ciągu takiego samego czasu półwyspem będzie rządził Alberico.

Przerwał. Wyzywającym wzrokiem wodził po obecnych. Nikt się nie odzywał. Scalvaia bawił się rączką swej laski.

– Te dwie rzeczy trzeba zrozumieć – ciągnął po chwili obcy. – Dążąc do celu, nie można ich stracić z pola widzenia. Są to w naszych czasach podstawowe prawdy dotyczące Dłoni. Bez względu na to, jak bardzo odmienna mogła być sytuacja przed osiemnastu laty, teraz obaj zamorscy czarnoksiężnicy stanowią dla siebie wzajemną i jedyną równowagę władzy na półwyspie. Dzisiaj tylko potęga jednego powstrzymuje drugiego przed posługiwaniem się magią tak, jak wtedy, kiedy nas podbili. Jeśli mamy ich zgładzić, musimy zgładzić obu lub sprawić, żeby zgładzili się nawzajem.

– W jaki sposób? – zapytał zbyt ochoczo Taeri.

Przybysz zwrócił ku niemu szczupłą twarz okoloną przedwcześnie siwiejącymi włosami i uśmiechnął się.

– Cierpliwości, Taeri bar Sandre. Zanim zdecyduję, czy nasze ścieżki mają się spotkać, mam wam jeszcze do powiedzenia kilka rzeczy o niedbalstwie. A mówię to z nieskończonym szacunkiem dla zmarłego, który w tak niezwykły sposób nas zetknął. Obawiam się, że czeka nas podporządkowanie się mojemu przewodnictwu, bo inaczej niczego nie będziemy mogli razem zrobić.

– Jak sięga ludzka pamięć czy pisana historia, żaden Scalvaia niczemu i nikomu dobrowolnie się nie podporządkował – oznajmił aksamitnym głosem podobny do lisa przedstawiciel tego rodu. – Nie zamierzam zostać pierwszym, który to zrobi.

– Wolałbyś zatem – odparł obcy – aby z powodu niedbalstwa twoje plany, życie i wielka chwała twego rodu zostały zdmuchnięte niczym świeczki w Dni Żaru?

– Lepiej wyjaśnij, co masz na myśli – powiedział lodowatym tonem Tonmaso.

– Mam taki zamiar. Kto wyznaczył czas spotkania na wschód obu księżyców w noc podwójnej pełni? – odparował Alessan głosem, który nagle stał się ostry jak klinga miecza. – Dlaczego wzdłuż ścieżki nie zostały rozstawione stráže, aby was ostrzec, gdyby ktoś się zbliżał, jak właśnie zrobiłem to ja? Dlaczego nic zostawiono po południu żadnych służących do pilnowania chaty? Czy zdajecie sobie sprawę, że cała wasza piątka byłaby już martwa – z odciętymi dłońmi wepchniętymi do gardeł gdybym nie był tym, kim jestem?

– Mój ojciec... Sandre... powiedział, że Alberico nie każe nas śledzić – wyjąkał z wściekłością Tomasso. – Był tego całkowicie pewien,

– I prawdopodobnie miałby absolutną rację. Ale nie możecie tak zawęzać pola widzenia. Przykro mi mówić, ale twój ojciec zbyt długo żył sam ze swoją obsesją. Był zbyt zajęty Alberico. Widać to we wszystkim, co robiłeś w ciągu ostatnich dwóch dni. A co z ciekawskimi czy chciwymi? Z drobnym informatorem, który mógłby pójść za wami tylko po to, żeby zobaczyć, co tu się będzie działo? Żeby mieć co opowiadać jutro w tawernie? Czy ty albo twój ojciec choć raz się nad tym zastanawialiście? Albo nad tymi, którzy mogli się dowiedzieć, gdzie planujecie przyjść i którzy znaleźli się tu przed wami?

Zapadła wroga cisza. Na mniejszym kominku obsunęła się z trzaskiem jakaś kłoda, wzbijając pióropusz iskier. Na ten dźwięk Herado mimowolnie się wzdrygnął.

– Czy zainteresuje was wiadomość – ciągnął już łagodniejszym tonem mężczyzna zwany Alessanem – że od waszego przyjscia moi ludzie strzegą dojsć do tej chaty? Albo że od wczesnego popołudnia kazałem tu komuś mieć oko na służących i tych, którzy mogliby ich śledzić?

– Co? – zawołał Taeri. – Tutaj! W naszym domku myśliwskim!

– Dla waszej i mojej ochrony – rzekł mężczyzna, dopijając drugi kielich wina. Rzucił okiem

na cienie zalegające półstryszek, gdzie trzymano zapasowe sienniki.

– To już chyba wszystko, przyjacielu – powiedział podniesionym głosem. – Po tylu godzinach spędzonych o suchym gardle wśród kurzu zasłużyłeś na kielich wina. Możesz już zejść, Devinie.

* * *

Właściwie poszło bardzo łatwo.

W trzosie Menico brzęczało więcej pieniędzy niż kiedykolwiek w życiu zarobił podczas jednego występu, toteż łaskawie oddał koncert w domu kupca win trupie Burneta di Corte. Burnet, który potrzebował tej pracy, był zadowolony, a kupiec, początkowo zły, szybko dał się udobruchać, kiedy się dowiedział, ile po porannej sensacji, jaką zespół wywołał w pałacu, wyniosłoby nie ustalone dotąd honorarium Menico.

Tak więc w rezultacie Devin i reszta trupy dostała wolne do końca dnia i na wieczór. Menico natychmiast odliczył każdemu premię w wysokości pięciu astinów i dobrotliwym ruchem ręki odprawił ich ku licznym przyjemnościom Święta. Nie wygłosił nawet swego zwykłego ostrzegawczego kazania.

Minęło dopiero południe, a już na wszystkich rogach ulic i zatłoczonych placach stały stragany z winem. Można było kupić poprzednie roczniki win z każdej winnicy prowincji Astibar i z niektórych odleglejszych posiadłości w Ferraut czy Senzio, sprzedawane jako przedsmak wyrobów z tegorocznych winogron. Kupcy próbowali różnych gatunków z umiarem, w przeciwieństwie do wcześniej zaczynających świętowanie birbantów.

Pod dostatkiem było też straganów z owocami. Figi, melony i olbrzymie winogrona leżały obok wielkich kręgów białego sera z Tregei czy cegiełek czerwonego sera z północnego Certando. Na targu hałas był ogłuszający – to mieszkańcy miasta i jego distrady korzystali z oferty tegorocznych wędrownych handlarzy. Nad głowami tłumu powiewały jaskrawe flagi szlacheckich rodów i właścicieli większych winnic. Lawirując między ludźmi, Devin zmierzał stanowczym krokiem do najmodniejszej khaveny w Astibarze.

Sława miała swoje dobre strony. Jego przybycie zostało natychmiast oznajmione i po chwili Devin znalazł się przy ciemnym drewnianym barze „Pod Paelionem” z kubkiem gorącego khavu przyprawionego flambardionem. Oczywiście nikt nikogo nie pytał o wiek.

Zdobycie potrzebnych wiadomości o Sandre d’Astibar zajęło mu pół godziny. Jego pytania wydawały się zupełnie naturalne – pytał przecież tenor, który właśnie odśpiewał pogrzebową elegię dla diuka. Devin dowiedział się o długim panowaniu Sandre, o jego waśniach, przepełnionym goryczą wygnaniu i żalonym stoczeniu się w ciągu ostatnich kilku lat do poziomu chełpliwego, zapitego wielmoży polującego na drobną zwierzynę, będącego jedynie

bladym cieniem władcy sprzed lat.

Nawiązując do tych ostatnich wiadomości, zapytał, gdzie diuk lubił polować. Powiedziano mu także, gdzie znajduje się jego ulubiony domek myśliwski. Devin zmienił temat rozmowy na wino.

Łatwo mu poszło. Był bohaterem godziny, a „Pod Paelionem” lubiano bohaterów – przez godzinę. W końcu udało mu się wyjść. Wymówił się osłabieniem, które odczuwał po porannych wzruszeniach. Teraz, z perspektywy czasu, przypisywał o wiele większą wagę niż przedtem do widoku Alessana di Tregia siedzącego w łożu zajmowanej przez malarzy i poetów. Śmiali się z jakiegoś zakładu dotyczącego pewnych wierszowanych kondolencji, które nie przybyły jeszcze z Chiary. Zasalutowali teatralnie do siebie z Alessanem, co wywołało ogólny entuzjazm.

Wróciwszy do gospody, Devin pozbył się co bardziej natarczywych nowych znajomych z grupy, która go odprowadziła, i udał się samotnie na górę. Przez godzinę czekał zniecierpliwiony w swoim pokoju, żeby mieć całkowitą pewność, że wszyscy już sobie poszli. Przebrał się w ciemnobrązową tunikę i spodnie, włosy ukrył pod czapką i dla ochrony przed wieczornym chłodem włożył grubą, wełnianą koszulę, po czym przekradł się niepostrzeżenie przez zatłoczone już ulice do wschodniej bramy miasta.

Wydostał się poza mury, idąc między kilkoma pustymi wozami wracającymi do distrady. Ich właściciele, trzeźwi i roztropni chłopcy, sprzedali cały towar i woleli wrócić rano do miasta z nowym ładunkiem, niż świętować do rana, przepuszczając cały zarobek.

Devinowi udało się część drogi przejechać na takim wozie. Głośno współczuł chłopcu z powodu podatków i niskiej w tym roku ceny na jagnięcą wełnę. W końcu udając, że rozpiera go młodość, zeskoczył na ziemię i pobiegł drogą jakąś milę na wschód.

W pewnej chwili zobaczył po prawej stronie świątynię Adaona. Uśmiechnął się. Tuż za nią, zgodnie z opisem, znajdował się na przydrożnej bramie prowadzącej do skromnego wiejskiego domu delikatny rysunek statku. Dom Rovigo wyglądał na wygodny i zadbane, chociaż Devin niewiele widział, bo stał on z dala od drogi wśród cyprysów i drzew oliwnych.

Jeszcze poprzedniego dnia zatrzymałby się. Tego ranka jednak coś mu się przydarzyło wśród zakurzonych komnat pałacu Sandrenich – stał się innym człowiekiem; poszedł więc dalej.

Po pół mili znalazł to, czego szukał. Sprawdził, czy jest sam, i szybko skręcił w prawo, w rozciągający się na południe las, oddalając się od głównej drogi prowadzącej na wschodnie wybrzeże i do nadmorskiego miasta Ardin.

W lesie było cicho i nieco chłodniej. Gałęzie i kolorowe liście rzucały cętkowane cienie. Między drzewami wiła się ścieżka i Devin ruszył nią w kierunku domku myśliwskiego Sandrenich. Od tej chwili wzmógł czujność. Na drodze był po prostu przechodniem, tutaj jednak znalazł się jako intruz nie mający żadnego usprawiedliwienia dla swojej obecności.

Chyba że za wystarczające usprawiedliwienie można by uznać dumę i dziwne, podobne do

snu wydarzenia poranka, ale raczej w to wątpił. Zarazem trzeba się było jednak przekonać, czy kształt i przebieg tego oraz następnych dni będzie dyktować on, czy też pewna sprytna, rudowłosa dama. Jeśli sądziła, że tak łatwo wyprowadzić go w pole, że jest bezradnym, żółtodziobym niewolnikiem swoich popędów, ślepym i głuchym na wszystko inne za sprawą tak wdzięcznie oddanego mu ciała, to zbliżające się popołudnie i wieczór pokażą, jak bardzo się myliła.

Co jeszcze może pokazać wieczór, Devin nie wiedział.

W chacie nie było nikogo, chociaż dla nabrania całkowitej pewności długo leżał między drzewami. Drzwi frontowe były zamknięte na łańcuch, lecz Marra świetnie sobie radziła z takimi przeszkodami i nauczyła go kilku rzeczy. Otworzył zamek sprzączką swego pasa, wszedł do środka, otworzył okno i wyszedł na dwór, żeby z powrotem założyć łańcuch. Następnie wrócił do chaty przez okno, zamknął je i dopiero wtedy się rozejrzył.

Wybór był niewielki. Dwie umieszczone od tyłu sypialnie byłyby niebezpieczne i niezbyt przydatne, jeśli chciał coś usłyszeć. Devin stanął na szerokiej poręczy ciężkiego, drewnianego fotela i już za drugim podskokiem udało mu się znaleźć na półstryszku.

Rozcierając stłuczoną goleń, wziął z siennika poduszkę i wcisnął się w najdalszy, najciemniejszy kąt, jaki znalazł, czyli za dwa łóżka i wypchaną głowę rogatego samca korbina. Kiedy położył się na lewym boku i przytknął oko do szpary między deskami, widział prawie cały pokój.

Spróbował narzucić sobie spokój i cierpliwość. Niestety, nerwy zawodziły. Nagle przeszył go dreszcz na widok utkwionego w sobie szklanego spojrzenia korbina. Było to dość irytujące, więc w końcu wstał i odwrócił jego kasztanowobrazową głowę.

Właśnie wtedy zawzięta całodniowa krzątanina ustąpiła przymusowemu wyczekiwaniu i Devin zaczął się bać.

Nie miał złudzeń – jeśli zostanie odkryty, zginie. Wynikało to jasno z tajemniczego, pełnego napięcia głosu i zachowania Tomasso bar Sandre tego ranka, nie mówiąc już o tym, co zrobiła Catriana, aby go podsłuchać, a potem uniemożliwić to Devinowi. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, dokąd to dał się ponieść urażonej dumie.

Kiedy w pół godziny później przyszli służący, by przygotować pomieszczenie, Devin przeżył kilka nieprzyjemnych chwil. Na tyle nieprzyjemnych, że nagle zapragnął znów znaleźć się w Asoli, za pługiem ciągniętym przez parę flegmatycznych bawołów. Miłe zwierzęta z tych bawołów, są takie cierplive i na nic się nie skarżą. Orały człowiekowi pola, a z ich mleka robiło się ser. Sporo dobrego dałoby się też powiedzieć o mieszkańcach tej prowincji. Na przykład żadna z tamtejszych dziewcząt nie była tak denerwująco wyniosła jak Catriana d’Astibar, która go w to wplątała. Devin był też całkowicie pewien, że żaden asoliński służący nie zaproponowałby, co właśnie robił jeden dureń na dole, oby go przekłęła Triada, że zniesie ze

stryszku siennik na wypadek, gdyby któryś z czuwających panów poczuł zmęczenie.

– Goch, nie rób z siebie głupca! – warknął na to rządcą. – Przyjadą tu po to, żeby czuwać przez całą noc, i siennik w pokoju byłby dla nich obrazą. Ciesz się, że od twojego rozumu nie zależy twój pełny brzuch!

Devin żarliwie poparł w duchu intencje rządcy i życzył mu długiego, dostatniego życia. Po raz dziesiąty od wejścia służących do pokoju przeklął Catrianę i po raz dwudziesty siebie samego. Stosunek ten wydawał mu się mniej więcej odpowiedni.

W końcu służący udali się do Astibaru po ciało diuka. Polecenia rządcy były przeraźliwie jasne. Devin pomyślał złośliwie, że przy takich idiotach jak Goch musiały takie być.

Ściemniało się. Niedaleko odezwała się pierwsza sowa. Devin wyrósł na wsi i dźwięk ten był mu znajomy. Usłyszał, jak w zaroślach na skraju polany buszuje jakieś zwierzę. Co pewien czas szeleścił liśćmi podmuch wiatru.

Przez jedną z zaciągniętych zasłon wdarł się biały blask i Devin poznał, że Vidomni jest na tyle wysoko, by zajrzeć na polanę znad wysokich drzew lasu, co oznaczało, że w tej chwili wschodzi właśnie Ilarion i że już niedługo wszystko się zacznie.

I rzeczywiście. Zakołysał się blask pochodni i rozległy się głosy. Trzasnął zamek, zadzwonił łańcuch i drzwi stanęły otworem. Rządcą wprowadził do środka ośmiu ludzi niosących mary. Złożyli je na kozłach. Potem wszedł Tomasso z dwoma panami, których imion i rodowodów Devin dowiedział się „Pod Paelionem”.

Służący zastawili stół i wyszli. Goch potknął się w progu i z miłym łoskotem uderzył ramieniem o framugę. Rządcą, który wychodził ostatni, wzruszył przepaszczając ramionami, skłonił się i zamknął za sobą drzwi.

– Wina, panowie? – zapytał Tomasso d’Astibar. – Niedługo dołączą do nas trzy inne osoby.

A potem pojawił się Alessan.

Devin natychmiast rozpoznał głos. Z niedowierzaniem słuchał, jak zwerbowany przed dwoma tygodniami przez Menico muzyk najpierw zaprzecza, że pochodzi z Tregai, a potem utwierdza, że Brandin, król Ygrathu, stanowi obiekt jego nienawiści.

Devin z pewnością był porywczy i nie zaprzeczyłby, że odznacza się więcej niż przeciętną dawką porywczej głupoty, ale nigdy nie brakowało mu bystrości i sprytu. W Asoli mali chłopcy musieli tacy być.

Zanim więc Alessan wymienił jego imię i zaprosił go na dół, rozpedzona wyobraźnia Devina dołożyła do układanki jeszcze dwa kawałki i chłopak zręcznie przyjął zaoferowane mu wyjście.

– Od połowy popołudnia cisza – zawołał, wyplątując się ze swego kąta i przeciskając się do krawędzi półstryszku obok rogów korbina. – Byli tu tylko służący, ale zamknęli drzwi niezbyt starannie, z łatwością więc pokonałem zamek. Tu na górze mogłoby się schować, nic o sobie nie wiedząc, dwóch złodziei i Imperator Barbadioru, a na dole nikt by się nawet nie zorientował.

Powiedział to tak chłodnym tonem, na jaki tylko potrafił się zdobyć, i opuszczył się na podłogę popisowym przerzutem. Omiótł spojrzeniem twarze pięciu obecnych w pomieszczeniu mężczyzn – z których wszyscy najprawdopodobniej go rozpoznali – po czym dostrzegł z zadowoleniem krótki uśmiech aprobaty, jaki posłał mu Alessan.

Przez chwilę jego niepokój zastąpiło zupełnie odmienne uczucie. Alessan przyznał się do niego, usankcjonował jego obecność. Wyraźnie był więc związany z człowiekiem, który panował nad wydarzeniami. Devin z całych sił powstrzymywał rosnące podniecenie.

Tomasso podszedł do stołu i nalał Devinowi kielich wina. Zaimponował mu swoim spokojem. Devin zorientował się też z przesadnej uprzejmości i niewątpliwego błysku w podkreślonych kredką oczach bar Sandre, że chociaż piskliwy głos może być udawany, to pewne skłonności Tomasso są dokładnie takie, jak głosi plotka. Devin przyjął kielich, uważając, by ich palce się nie zetknęły.

– Zastanawiam się – odezwał się przeciągle pan Scalvaia swym wspaniałym głosem – czy podczas naszego czuwania zostaniemy uraczeni jakimś recitalem? Bo, trzeba przyznać, mamy tu kilku muzyków.

Devin nic nie powiedział i idąc za przykładem Alessana, nie uśmiechnął się.

– Czy mam cię nazwać prowincjonalnym hodowcą winogron, mój panie? – W głosie Alessana brzmiał prawdziwy gniew. – A Nievole uprawiającym zboże rolnikiem z południowo-zachodniej distady? To, co robimy poza tymi ścianami, niewiele, poza dwiema sprawami, ma wspólnego z przyczyną naszej tu obecności. – Uniósł w górę szczupły palec. – Po pierwsze, jako muzycy mamy pretekst do przemierzania Dłoni wszerz i wzdłuż, czego zalet nie muszę podkreślać. – Do pierwszego palca dołączył w górze drugi. – Po drugie, muzyka, podobnie jak matematyka czy logika, kształci umysł w precyzji szczegółów. Takiej precyzji, moi panowie, która wykluczyłaby wasze dzisiejsze niedbalstwo. Gdyby Sandre d’Astibar żył, omówiłbym to z nim i być może uszanowałbym jego doświadczenie i jego długą walkę.

Przerwał, spoglądając na nich po kolei, a potem powiedział o wiele łagodniejszym tonem:

– Może uszanowałbym, a może nie. To skończona pieśń i nikt już jej nie zaśpiewa. W tej chwili mogę jedynie powtórzyć, że jeśli mamy pracować razem, to muszę was poprosić o przyjęcie mojego przewodnictwa.

Ostatnie słowa skierował do Scalvai, który nadał z elegancją i obojętnością spoczywał w swym głębokim fotelu. Odpowiedział jednak otwarcie i bezpośrednio Nievole:

– Nie mam w zwyczaju zwlekania z oceną ludzi. Myślę, że mówisz poważnie i że lepiej od nas znasz się na tych sprawach. Uznaję twoje przywództwo, ale pod jednym warunkiem.

– A mianowicie?

– Że wyjawisz nam swoje imię.

Devin, który obserwował wszystko z drapieżną zachłannością, nie chcąc uronić słowa,

zobaczył, że Alessan na chwilę zamyka oczy, jakby chciał ukryć coś, co można by w nich dostrzec. Wszyscy czekali w ciszy.

Alessan potrząsnął głową.

– To uczciwy warunek, mój panie. W tych okolicznościach zupełnie uczciwy. Mogę się jednak tylko modlić, żebyś mnie z niego zwolnił. Napawa mnie to naprawdę ogromnym żalem, ale nie jestem w stanie go spełnić.

Wydawało się, że po raz pierwszy szuka słów, starannie je dobierając.

– Jak wiesz, imiona to władza. Wiedzą to też z całą pewnością obaj zamorscy tyrani-czarnoksiężnicy. Narzucono tę wiedzę i mnie w najboleśniejczy ze wszystkich sposobów. Poznasz, panie, moje imię w chwili naszego triumfu, jeśli taka nadejdzie, lecz nie wcześniej. Mogę jedynie powiedzieć, że jestem do tego zmuszony i że nie jest to mój wolny wybór. Możesz nazywać mnie Alessanem, które to imię jest w Dłoni dość pospolite i którym rzeczywiście obdarzyła mnie matka. Czy zechcesz, panie, łaskawie na tym poprzestać, czy też nasze drogi muszą się tu rozjeść?

Ostatnie pytanie zostało zadane tonem zupełnie pozbawionym arogancji, jaką było przepojone zachowanie i mowa przybysza od chwili, w której się pojawił.

Podobnie jak wcześniej strach Devina przeszedł w podniecenie, tak teraz podniecenie ustąpiło czemuś innemu, czemuś, czego nie potrafił jeszcze określić. Przyjrzał się uważnie Alessanowi. Mężczyzna wydawał się nieco młodszy niż przedtem – nie potrafił ukryć swoich pragnień.

Nievole głośno odchrząknął, jakby chciał rozproszyć aurę czegoś, co niespodzianie zagościło w pokoju niczym zmieszany blask dwóch księżyców świecących na zewnątrz. Z polany odezwała się sowa. Nievole otworzył usta, żeby odpowiedzieć Alessanowi.

Nie dowiedzieli się jednak, co chciał powiedzieć.

Później, w noc, kiedy Devin nie mogąc zasnąć, obserwował podniebną wędrówkę jednego lub obu księżyców czy też, jeśli ich nie było, liczył na ciemnym niebie gwiazdy w Diademie Eanny, nieraz wracał pamięcią do tamtej chwili. Próbował wtedy wyobrazić sobie, co by zrobili albo powiedzieli obaj panowie, gdyby na krótko splątane linie ich losów pobiegły inaczej.

Mógł zgadywać, analizować, odgrywać w myślach różne scenariusze, ale nigdy nie będzie miał pewności. Ta nocna prawda nabrała dla Devina wśród późniejszych wydarzeń dziwnego, osobistego i smutnego zabarwienia. Nigdy nie poznamy ścieżki, na którą nie weszliśmy.

Ścieżki, którymi miał podążyć przez własne portale ku bliskiemu czy dalekiemu końcowi każdy z zebranych w domku myśliwskim, wytyczyła sowa, która bardzo wyraźnie zawołała drugi raz w chwili, kiedy miał przemówić Nievole.

Alessan wyrzucił w górę rękę.

– Kłopoty! – powiedział ostrym tonem i dodał: – Baerd?

Otworzyły się z trzaskiem drzwi. Devin ujrzał potężnego mężczyznę o bardzo długich, jasnobłond włosach przytrzymanych skórzaną opaską na czole. Podobny skórzany rzemień otaczał jego szyję. Miał na sobie kamizelkę i sztylpy zdradzające krojem pochodzenie z południowych wyżyn. Jego oczy nawet w blasku płomieni lśniły przeszywającym błękitem. W rękę trzymał obnażony miecz, co w tak małej odległości od Astiburu było karane śmiercią.

– Chodźmy! – odezwał się niespokojnie przybysz. – Ty i chłopak. Inni mają prawo tu być. Obecność najmłodszego syna i wnuka łatwo można wyjaśnić. Pozbądźcie się dodatkowych kielichów.

– Co się stało? – zapytał szybko Tomasso d’Astibar, szeroko otwierając oczy.

– Dwudziestu jeźdźców na ścieżce w lesie. Czuwajcie nadal i zachowajcie spokój. Będziemy w pobliżu. Wrócimy później. Chodźcie!

Ton jego głosu sprawił, że Devin od razu znalazł się przy drzwiach. Alessan jednak zwlekał, nie wiadomo czemu patrząc Tomasso w oczy. Tego spojrzenia Devin nigdy nie zapomniał i nigdy w pełni nie zrozumiał.

Przez długą chwilę – z racji dwudziestu konnych jadących przez las i dobytego miecza Devinowi wydało się, że jest to bardzo długa chwila – nikt się nie odzywał.

– Wygląda na to, że tę niezwykle interesującą rozmowę będziemy musieli dokończyć kiedy indziej – mruknął Tomasso bar Sandre z imponującym spokojem. – Wychylisz przed odejściem ostatni kielich za mego ojca?

– Mam nadzieję, że będę miał okazję zrobić to później – odparł Alessan, uśmiechając się szeroko. – Z chęcią wypiję za twego ojca, ale mam pewien zwyczaj, do którego chyba nawet ty nie mógłbyś się zastosować w czasie, jaki nam pozostał.

Tomasso skrzywił usta.

– Dostosowywałem się już do przeróżnych zwyczajów. Zdradź mi swój.

Odpowiedź była cicha, Devin musiał wyteżać słuch, żeby ją uchwycić.

– Trzeci kielich wieczoru spełniam błękitnym winem – rzekł Alessan. – Robię to ku pamięci czegoś, co utraciłem, abym nigdy nie zapomniał, po co żyję.

– Mam nadzieję, że nie utraciłeś tego na zawsze – powiedział równie cicho Tomasso.

– Nie, poprzysiągłem to na duszę moją i mego ojca, dokądkolwiek ona odeszła.

– A zatem następnym razem będzie to błękitne wino, jeśli tylko będę w stanie je podać. Napiję się go z tobą za dusze naszych ojców.

– Alessanie! – warknął blondyn nazwany Baerdem. – Na Adaona, powiedziałem, że jedzie tu dwudziestu konnych! Idziesz wreszcie?

– Idę – odparł Alessan. Przez najbliższe okno cisnął w ciemność kielichy swój i Devina.

– Niech was strzeże Triada – rzekł do pięciu mężczyzn zostających w chacie i razem z Devinem wyszedł za Baerdem w rozświetlone księżycowym blaskiem cienie polany.

Mając Devina między sobą, obiegli szybko chatę, chcąc się znaleźć jak najdalej od ścieżki prowadzącej do głównej drogi. Nie odeszli daleko. Kiedy obaj mężczyźni przypadli do ziemi, Devin zrobił to samo z wściekle bijącym sercem. Wyglądając ostrożnie spod kępy ciemnozielonych krzaków serrano, obserwowali chatę. W otwartych oknach widać było blask ognia.

Po chwili tuż za Devinem trzasnęła gałązka. Serce mu podskoczyło niczym statek uderzony falą z dziobu.

– Dwudziestu dwóch jeźdźców – odezwał się głos, po czym jego właściciel przypadł zręcznie do ziemi po drugiej stronie Baerda. – Jeden z nich, jadący w środku, ma na głowie kaptur.

Devin obejrzał się i w zmieszonym świetle obu księżyców ujrzał Catrianę d’Astibar.

– Kaptur? – powtórzył Alessan, wciągając powietrze. – Jesteś pewna?

– Oczywiście – odparła Catriana. – Dlaczego pytasz? Co to znaczy?

– Niech Eanna okaże nam wszystkim swą łaskę – mruknął Alessan, nie odpowiadając na pytanie.

– Nie liczyłbym na to – powiedział ponurym głosem mężczyzna nazwany Baerdem. – Uważam, że powinniśmy stąd odejść. Będą szukać.

Przez chwilę wydawało się, że Alessan chce się sprzeciwić, ale oto od strony ścieżki za chatą usłyszeli podzwanianie ekwipunku jeźdźców.

Bez jednego słowa wszyscy czworo wstali i cicho się oddalili.

* * *

– Ten wieczór z każdą chwilą staje się coraz bardziej interesujący – mruknął Scalvaia.

Tomasso był wdzięczny eleganckiemu wielmoży za jego spokój, który pomógł mu opanować własne nerwy. Spojrzał na brata – Taeri sprawiał wrażenie, że czuje się dobrze. Natomiast Herado pobladł. Tomasso mrugnął do chłopca.

– Napij się jeszcze wina, bratanku. Z kolorami na twarzy wyglądasz znacznie ładniej. Nie ma się czego bać. Robimy tu dokładnie to, na co mamy pozwolenie.

Usłyszeli konie. Herado podszedł do stołu, nalał sobie wina i wypił je jednym haustem. Kiedy odstawiał kielich, z głośnym trzaskiem, uderzając w ścianę, otworzyły się drzwi. Do chaty, która nagle jakby zmaląła, wkroczyło pięciu potężnych, w pełni uzbrojonych barbadiorskich żołnierzy.

– Panowie! – zapiał z wprawą Tomasso, załamując ręce. – Co się stało? Co was tu sprowadza, dlaczego przerywacie nam czuwanie? – Starał się, żeby w jego głosie brzmiało rozdrażnienie, a nie gniew.

Najemnicy nawet na niego nie spojrzeli. Dwaj z nich szybko poszli sprawdzić sypialnię, a trzeci chwycił drabinę i wspiął się po niej na półstryszek. Tomasso zauważył z niepokojem, że inni żołnierze zajmują pozycje na zewnątrz każdego okna. Konie czyniły sporo hałasu i wszędzie migotały pochodnie.

Tomasso tupnął nagle z rozdrażnieniem nogą.

– Co to ma znaczyć? – krzyknął piskliwie, kiedy żołnierze nadal nie zwracali na niego uwagi. – Odpowiedzcie mi! Złożę bezpośredni protest waszemu panu. Mamy wyraźne zezwolenie Alberico na odbycie czuwania i jutrzejszy pogrzeb. Mam to na piśmie poświadczonym jego pieczęcią! – Mówił to do stojącego przy drzwiach barbadiorskiego kapitana.

Spotkał się z tak całkowitym brakiem reakcji, że równie dobrze mógłby się wcale nie odzywać. Do środka weszło jeszcze czterech żołnierzy i ustawiło się w kątach pokoju. Twarze mieli bez wyrazu, lecz jednocześnie groźne.

– To nie do zniesienia! – jęknął Tomasso, nie wychodząc z roli, nerwowo splatając i rozplatając dłonie. – Natychmiast udam się do Alberico! Zażądam, żebyście niezwłocznie zostali odesłani do waszych nędznych ruder w Barbadiorze!

– To nie będzie konieczne – odezwała się stojąca w drzwiach krzepka, zakapturzona postać. – Możesz wysunąć swoje dziecinne żądania tutaj – powiedział, odrzucając kaptur, Alberico z Barbadioru, tyran Astibaru, Tregei, Ferraut i Certando.

Padając na kolana, Tomasso chwycił się rękoma za gardło. Inni też natychmiast uklękli, nawet stary i chromy Scalvaia. Tomasso poczuł, że ogarnia go paraliżujący strach.

– Panie mój – wyjąkał – nie chciałem... nie mogłem... nie mogliśmy wiedzieć!

Alberico patrzył na niego w milczeniu. Tomasso z trudem opanował przerażenie i oszołomienie.

– Z przyjemnością cię tu witamy – wybeczał niczym owca, wstając ostrożnie. – Witamy cię z największą przyjemnością, czcigodny panie. Swoją obecnością na obrzędach ku pamięci mego ojca czynisz nam zbyt wielki zaszczyt.

– Owszem – odparł sucho Alberico. Tomasso poczuł na sobie ciężkie, przenikliwe spojrzenie małych, nieruchomych oczu, osadzonych blisko siebie głęboko w fałdach szerokiej twarzy. Łysa czaszka Alberico lśniła w blasku ognia. Wyjął ręce z kieszeni swej szaty.

– Napiję się wina – zażądał, skinąwszy mięsistą dłonią.

– Ależ oczywiście, oczywiście.

Tomasso aż się potknął w swojej gorliwości, jak zwykle zastraszonej czystą fizycznością Alberico i jego Barbadiorczyków. Wiedział, że go nienawidzą, a także wszystkich jemu podobnych, i że uczucie to przerasta wszelkie uczucia, jakie ci zwycięzcy żywią do mieszkańców Wschodniej Dłoni, którą teraz rządzą. Ilekroć Tomasso stawał przed Alberico, był

przerażająco świadom, że tyran może gołymi rękoma połamać mu kości, nie mrugnawszy przy tym okiem.

Nie były to pocieszające myśli. Kiedy Tomasso uroczyście podawał Alberico pełen kielich, ręce mu się nie trzęsły jedynie dzięki osiemnastu latom starannego przyuczania ciała do ukrywania przeżyć. Żołnierze nie spuszczała z niego oka. Nievole wrócił do większego kominka, Taeri i Herado podeszli do mniejszego. Scalvaia stanął, podpierając się laską, obok swojego fotela.

Tomasso ocenił, że nadszedł czas okazać więcej pewności siebie, a mniej poczucia winy.

– Wybacz mi, panie, chybione słowa, jakie skierowałem do twoich żołnierzy. Nie wiedząc, że tu jesteś, mogłem przypuszczać, że działają, nie znając twoich życzeń.

– Moje życzenia się zmieniają – powiedział Alberico głębokim, monotonnym głosem. – Żołnierze dowiadują się o tych zmianach wcześniej od ciebie, bar Sandre.

– Ależ oczywiście, mój panie. Oczywiście. Przecież...

– Chciałem – ciągnął Alberico z Barbadioru – popatrzeć na trumnę twego ojca. Popatrzeć i pośmiać się.

Nie wykazywał jednak najmniejszych oznak rozbawienia. Tomasso nagle poczuł, że krew ścina mu się w żyłach. Alberico minął go i schylił swą potężną postać nad szczątkami diuka.

– Oto ciało próżnego, nędznego, głupiego starca, który bez żadnej przyczyny oznajmił godzinę swej śmierci. Bez żadnej przyczyny. Czyż to nie zabawne? – Rozległy się trzy urywane szcęknięcia. Tak przerażającego śmiechu Tomasso nigdy dotąd jeszcze nie słyszał. Skąd on się dowiedział?

– Nie pośmiejecie się ze mną? Wy, trzej Sandreni? Nievole? Mój biedny, kaleki, bezsilny pan Scalvaia? Czyż nie jest zabawna myśl, że sprowadziła was tu i zgubiła starcza głupota? Głupota człowieka, który żył zbyt długo, by zrozumieć, jak łatwo pokrętne knowania może dziś strzaskać jedno uderzenie pięści.

Jego zaciśnięta pięść spadła z trzaskiem na drewniane wieko trumny, rozbijając wyrzeźbiony herb Sandrenich. Scalvaia opadł na fotel z cichym jękiem.

– Panie mój. – Tomasso nerwowo przełknął ślinę. – O czym ty mówisz? Co takiego...

Nie dokończył. Alberico odwrócił się błyskawicznie i uderzył go otwartą dłonią w twarz. Tomasso zatoczył się do tyłu, brocząc krwią z rozbitych warg.

– Mów naturalnym głosem, synu głupca – rzekł czarnoksiężnik. Jego słowa były tym bardziej przerażające, że wypowiedział je tym samym, monotonnym głosem. – Może przynajmniej rozbawi cię wiadomość, jakie to wszystko było łatwe i od jak dawna składał mi sprawozdania Herado bar Gianno?

Z tymi słowami zapadła noc.

Czarna chmura udręki i przerażenia, przed którą Tomasso rozpaczliwie się dotąd bronił.

Och, ojciec, pomyślał przeszyty do głębi wiadomością, że zgubiła ich rodzina. Własna rodzina!

– Panie! – piskliwym ze strachu głosem zawołał nagle Herado. – Obiecałeś! Powiedziałeś, że się nie dowiedzą! Powiedziałeś mi...

Nie skończył. Trudno jest robić wymówki ze sztyletem wbitym w gardło.

– Sandreni sami czyszczą sobie brud pod paznokciami – powiedział jego wuj Taeri. Sztylet miał w cholewie buta. Teraz wyrwał go z gardła Herado i tym samym płynnym ruchem zatopił we własnym sercu.

– O jednego Sandreni na twoje podniebne koła mniej, Barbadiorczyku! – rzekł szyderczo, chwytając ustami powietrze. – Niech Triada ześle zarazę, od której ciało odpadnie ci od kości.

– Padł na kolana. Rękoma trzymał trzonek sztyletu, a między palcami ściekała mu krew. Poszukał wzrokiem oczu Tomasso.

– Żegnaj, bracie – wyszeptał. – Niech Moriana pozwoli naszym cieniom rozpoznać się w jej Komnatach.

Patrząc na śmierć swego brata, Tomasso czuł, jak na sercu coraz mocniej zaciska mu się jakaś obręcz. Dwaj strażnicy, wyszkoleni do odpierania zupełnie innych ciosów, skierowanych przeciwko ich panu, postąpili do przodu i czubkami butów przewrócili Taeriego na plecy.

– Głupcy! – warknął Alberico, po raz pierwszy wytracony z równowagi. – Potrzebowałem go żywcem. Obu ich potrzebowałem żywych! – Na widok malującej się na jego twarzy wściekłości żołnierze pobledli.

W tej chwili środek ciężkości wydarzeń przeniósł się w zupełnie inne miejsce.

Ze zwierzęcym rykiem wściekłości i bólu Nievole d’Astibar, sam będący potężnym mężczyzną, splótł dłonie na kształt obucha młota czy maczugi i z całej siły uderzył nimi w twarz stojącego najbliżej żołnierza. Cios zmiażdżył mu kości, jakby to były suche szczapy drewna. Żołnierz krzyknął i tryskając krwią, osunął się ciężko na trumnę.

Ciągle rycząc, Nievole sięgnął do miecza swej ofiary.

Już go prawie wyciągnął, chcąc ruszyć do walki, lecz trafiły go w gardło i pierś cztery strzały. Twarz zwiotczała mu na chwilę, po czym oczy mu się rozszerzyły, a usta rozciągnęły w makabrycznym uśmiechu tryumfu. Osunął się na podłogę.

I wtedy, właśnie wtedy, gdy oczy wszystkich były utkwione w Nievole, pan Scalvaia zrobił coś, na co nikt się nie poważył. Wiekowy patrycjusz, zgarbiony w fotelu i tak nieruchomy, że chyba o nim zapomniano, uniósł spokojną dłonią laskę, wymierzył ją wprost w twarz Alberico i zwolnił ukrytą w rączce sprężynę.

Czarnoksiężników rzeczywiście nie można otruć, a to dzięki drobnej sztuczce ochronnej, którą większość z nich opanowuje w młodości. Mogą jednak zginąć od strzały, klingi czy jakiegokolwiek innego śmiertelnościanego narzędzia, i z tego właśnie względu posiadanie takich przedmiotów w określonym promieniu od miejsca przebywania Alberico było zakazane.

Istnieje także dobrze znana prawda dotycząca ludzi i ich bogów, czy to chodzi o Triadę w Dłoni czy o mnogi panteon bogów czczonych w Barbadorze, o boginię-matkę, o umierającego i odradzającego się boga, o władcę krążących po niebie gwiazd czy też o górującą nad nimi wszystkimi jedną, straszliwą Potęgę istniejącą w jakimś dalekim, zagubionym w przestrzeni, pierwotnym świecie.

Jest to prosta prawda, że śmiertelnik nie może zrozumieć, dlaczego bogowie kształtują wydarzenia tak, a nie inaczej. Dlaczego niektórzy giną w kwiecie wieku, a inni pod koniec długiego życia zamieniają się w cienie samych siebie. Dlaczego cnota musi czasem być zdeptana, a w pięknym, wiejskim ogrodzie kwitnie zło. Dlaczego w przebiegu linii ludzkiego życia i losu tak wszechpotężną rolę gra przypadek, czysty przypadek.

A zatem w chwili, kiedy śmierć już sięgała po Alberico z Barbadoru, życie ocalił mu przypadek. Strażnicy byli zajęci zabitymi oraz wyprężonym, krwawiącym ciałem Tomasso. Nikt nawet nie spojrzał na siedzącego w fotelu kalekiego wielmożę.

Bieg historii półwyspu Dłoni, a także innych krain, zmienił jedynie przypadkowy fakt, że pełniący tego wieczoru służbę kapitan straży wszedł do chaty od strony Scalvai. Alberico, który nie posiadając się z wściekłości, właśnie odwracał się, by cisnąć swemu kapitanowi rozkaz, zobaczył uniesioną laskę i zaciskający się na jej rączce palec Scalvai. Gdyby patrzył przed siebie albo odwracał się w drugą stronę, to zginąłby od wbitego w mózg zaostrzonego pocisku.

Był w owej godzinie drugim co do potęgi czarnoksiężnikiem w Dłoni. Mimo wszystko to, czego dokonał – była to jedyna rzecz, jaką mógł zrobić – wymagało całej jego mocy, nieomal więcej, niż mógł jej skupić. Nie było czasu na wypowiedzenie zaklęcia, na wykonanie gestu. Pocisk oznaczający jego koniec został już wypuszczony.

Alberico uwolnił się ze swego ciała.

Tomasso z przerażeniem i niedowierzaniem zobaczył, jak śmiertelniczy pocisk przeszywa rozmazaną plamę materii i powietrza, gdzie przed chwilą znajdowała się głowa Alberico, po czym, nie czyniwszy żadnej szkody, wbija się w ścianę nad oknem.

I w tym samym drgnieniu czasu, wiedząc, że w następnej chwili będzie już za późno – że jego ciało na zawsze pozostanie rozszczerzone, a dusza, ani żywa, ani martwa, będzie bezsilnie zawodzić na pustkowiach czekających na tych, co ważą się próbować takiej magii – Alberico na powrót przywołał do siebie swą postać.

Ledwo mu się to udało.

Od tego dnia miał opuszczoną prawą powiekę i nie odzyskał już swej dawnej siły fizycznej. Ilekroć był zmęczony, jego prawa stopa odchylała się na zewnątrz, jakby wskazywała ślad tamtej chwilowej magii. Alberico wtedy kulał, bardzo w tym przypominając Scalvaię.

Usiłując skupić wzrok, Alberico z Barbadoru zobaczył, jak srebrnogrzywa głowa Scalvai przelatuje przez pokój i z obrzydliwym plaśnięciem podskakuje na pokrytej sitowiem podłodze.

Ściął ją poniewczasie mieczem kapitan straży. Śmiercionośna laska, zrobiona z kamieni i metali nieznanymi Alberico, upadła z głośnym stukotem na ziemię. Czarnoksiężnikowi, wydawało się, że powietrze jest nienaturalnie gęste i lepkie. Zdawał sobie sprawę z chrapliwości swego oddechu i nieopanowanego drżenia kolan.

Zanim odważył się spróbować przemówić, minęła jeszcze chwila.

– Jesteś łajnem – powiedział chrapliwie do kapitana, któremu twarz poszarzała niczym popiół. – Jesteś czymś gorszym od łajna. Jesteś plugastwem, pełzającą mazią. Masz się zabić. Już! – Mówił, jakby usta zatykała mu osuwająca się ziemia. Z trudem przełknął ślinę.

Z ogromnym wysiłkiem zmuszając oczy do właściwego funkcjonowania, zobaczył, jak zamazana postać kapitana zgina się w urywanym ukłonie, po czym odwraca miecz i szybkim, szarpanym ruchem przecina własną tętnicę szyjną. Alberico poczuł zalewającą go spienioną falę wściekłości. Z całych sił starał się opanować drgawki lewej dłoni. Na próżno.

Wokół niego leżało wiele martwych ciał, a on o mały włos nie stał się jednym z nich. Nie czuł się zresztą w pełni sobą – miał wrażenie, że jego ciało nie powróciło całkiem do poprzedniej postaci. Potarł słabymi palcami opadającą powiekę. Czuł mdłości i z trudem oddychał. Zaprzagnął wyjść, znaleźć się z dala od tej dusznej chaty jego wrogów.

Jego oczekiwania nie spełniły się. Z pierwotnych planów dotyczących tego wieczoru została tylko jedna rzecz mogąca dostarczyć mu pewnej przyjemności i tym samym trochę naprawić to, co tak rozpaczliwie się nie powiodło.

Odwrócił się z wolna, by popatrzeć na syna Sandre. Na miłośnika chłopców. Rozciągnął usta w uśmiechu, nie zdając sobie sprawy, jak odrażająco wygląda.

– Weźcie go ze sobą – powiedział chrapliwie do swoich żołnierzy. – Zwiążcie go i weźcie ze sobą. Zanim pozwolimy mu umrzeć, możemy z nim zrobić kilka rzeczy. Rzeczy odpowiednich do tego, kim był.

Nadal nie odzyskał pełnej sprawności widzenia, ale dojrzał, jak jeden z jego najemników się uśmiecha. Tomasso bar Sandre zamknął oczy. Na twarzy i ubraniu miał krew. Zanim z nim skończą, będzie jej więcej.

Alberico nasunął na głowę kaptur i wyszedł z pokoju, kulejąc. Żołnierze podnieśli ciało kapitana i pomogli wstać żołnierzowi, któremu roztrzaskał twarz Nievole.

Musieli też pomóc tyranowi wsiąść na konia, co było dla niego upokarzające. Podczas drogi powrotnej do Astibaru w ciemnościach rozświetlonych blaskiem pochodni poczuł się lepiej. Stracił jednak całą swoją magię. W miejscu, gdzie powinna pulsować jego moc, nawet stępienymi zmysłami swego przekształconego ciała wyczuwał jedynie pustkę. Miną co najmniej dwa tygodnie, nim wszystko wróci do poprzedniego stanu. Jeśli w ogóle wróci. To, czego dokonał w ułamku sekundy w tej chacie, wyczerpało go bardziej niż jakiegokolwiek poprzednie użycie magii.

Żył jednak i właśnie zniszczył trzy najbardziej niebezpieczne rodziny, jakie zostały we Wschodniej Dłoni. Co więcej, ma teraz średniego syna Sandre jako dowód, publiczny dowód konspiracji. Tego zbrodźca, któremu ból sprawia podobno przyjemność. Alberico pozwolił sobie na uśmiezek w głębi kaptura.

Wszystko odbędzie się zgodnie z prawem i otwarcie, jak zwykle nieomal od dnia, w którym objął tu władzę. Nie można było pozwolić na żadne niepokoje wywołane arbitralnym użyciem władzy. Mogą go zniechęcić, oczywiście, że go zniechęcą, ale ani jeden obywatel jego czterech prowincji nie będzie mógł zwątpić w sprawiedliwość czy odmówić słuszności jego reakcji na intrygę Sandrenich. Lub nie dostrzec, jak szeroko zakrojona będzie ta reakcja.

Alberico z Barbadoru zaczął planować swoje działania na następne godziny i dni z roztropną ostrożnością, stanowiącą prawdziwą istotę jego charakteru. Bogowie Imperium wiedzą, że ten daleki półwysep stanowi stałe zagrożenie i wymaga surowych rządów, lecz bogowie, którzy nie są ślepi, widzą też, że on wie, jak zaspokoić jego potrzeby. A stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że doradcy imperatora, którzy odznaczają się wzrokiem równie bystrym, co bogowie, dostrzegą to samo.

A imperator jest stary.

Alberico porzucił te znajome, nadto kuszące tematy i znowu zmusił się do skupienia uwagi na szczegółach. W takich sprawach szczegół jest wszystkim. Poszczególne fazy jego planu wchodziły na swoje miejsca niczym nanizane na sznurek paciorki. Alberico beznamiętnie i precyzyjnie formułował w myśli rozkazy, które wyda. Jedyne polecenia, jakie wywołały wewnętrzny rozbłysk emocji, dotyczyły Tomasso bar Sandre. Przynajmniej tych nie trzeba będzie ogłaszać publicznie. Wystarczy, że za mury jego pałacu wydostaną się tylko interesujące szczegóły przyznania się do winy Tomasso. To, co nastąpi w pewnych podziemnych pomieszczeniach, będzie można zachować w prawdziwej tajemnicy.

W pewnej chwili przypomniał sobie, że odjeżdżając, chciał wydać rozkaz spalenia domku myśliwskiego. Bez żalu zmienił zdanie. Niech ciała znajdą pomniejsi Sandreni i ich służący. Niech się zastanawiają, co zaszło, i niech się boją. Wątpliwości będą mieli tylko przez chwilę.

A potem dzięki Alberico wszystko stanie się niezwykle jasne.

Rozdział 5

O Moriano – szepnął Alessan z pełnym smutku żalem w głosie. – Mógłbym go w tej jeszcze chwili wysłać na twój sąd. Z tego miejsca nawet dziecko mogłoby go trafić strzałą w oko.

Ale nie ty, pomyślał ponuro Devin, oceniając odległość i światło. Ukryli się wśród drzew na północ od drogi, którą właśnie przejechali Barbadiorczycy. Devin z jeszcze większym respektem niż przedtem spozjrzał na Alessana i kuszę wyjętą ze schowka, do którego zboczyli po drodze.

– Wezwie go we właściwym czasie – rzekł prozaicznie Baerd. – A to przecież ty całe życie twierdzisz, że przedwczesna śmierć jednego z nich nie przyniesie nic dobrego,

Alessan jęknął i zapytał z naciskiem:

– A czy ja strzeliłem?

Na chwilę błysnęły w księżycowym świetle zęby Baerda.

– I tak bym cię powstrzymał.

Alessan rzucił krótkie przekleństwo, a w chwilę później lekko się uśmiechnął. Zachowanie obu mężczyzn świadczyło o ich zażyłości. Devin zauważył, że Catriana się nie uśmiechnęła. Z drugiej strony, napomniawszy samego siebie, to raczej on powinien być zły, chociaż obecne okoliczności trochę to utrudniały. Czuł się zarazem niespokojny, dumny i podekscytowany.

On jedyny z całej czwórki nie zauważył Tomasso przywiązanego za nadgarstki i w kostkach u nóg do swojego konia.

– Lepiej sprawdźmy chatę – odezwał się Baerd, kiedy minął przelotny nastrój odprężenia. – A potem będziemy chyba musieli podróżować bardzo szybko. Syn Sandre wskaże na ciebie i chłopaka.

– Może najpierw porozmawiamy z chłopakiem – odezwała się Catriana tonem, który w Devinie wzbudził gniew.

– Z chłopakiem? – powtórzył, unosząc brwi. – Moim zdaniem udowodniłem ci coś wręcz przeciwnego. – Spojrzał na nią zimno, za co został nagrodzony widokiem jej rumieńca i odwróconej głowy.

Na krótko.

– To niegodne, Devinie – powiedział Alessan. – Mam nadzieję, że więcej czegoś takiego z twoich ust nie usłyszę. Catriana postąpiła wbrew swojej naturze. Jeśli byłeś dość inteligentny, żeby tu przyjść, zapewne wystarczy ci inteligencji, żeby teraz zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Mógłbyś zapomnieć na chwilę o swojej dumie i pomyśleć, jak ona się czuje.

Było to łagodnie powiedziane, lecz Devin poczuł się, jakby otrzymał cios w żołądek. Przetykając z trudem ślinę, przeniósł wzrok z Alessana na Catrianę, lecz dziewczyna wpatrywała się w wysoko nad nimi wiszące gwiazdy. W końcu, zawstydzony, spuścił wzrok. Poczul się,

jakby znów miał czternaście lat.

– Nie jestem tym zachwycona, Alessanie – usłyszał zimny głos Catriany. – Sama toczę swoje wojny. Wiesz o tym.

– Nie mówiąc już – wtrącił niedbale Baerd – o rażącej niestosowności twojego strofowania kogokolwiek za nadmiar dumy.

Alessan pominął tę uwagę milczeniem, a do Catriany powiedział:

– Jasna gwiazdo Eanny, czy myślisz, że nie wiem, jak potrafisz walczyć? Chodzi o co innego. To, co zaszło dziś rano, musi pójść w niepamięć. Jeśli Devin ma zostać jednym z nas, to nie mogę pozwolić, żeby to wydarzenie stało się kością niezgody.

– Co takiego? – Catriana błyskawicznie się do niego odwróciła. – Oszalałeś? Chodzi ci o muzykę? Że potrafi śpiewać? Jak ktoś z Asoli mógłby być...

– Spokój! – rzekł ostro Alessan. Catriana od razu zamilkła. Nie wiedząc, gdzie podziąć oczy, Devin udawał zainteresowanie gliniastą ziemią pod stopami. W myślach i sercu miał kompletny zamęt.

Kiedy Alessan znów się odezwał, głos mu złagodniał.

– Catriano, on też nie był winien temu, co stało się dziś rano. Nie wolno ci go obwiniać. Zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne, ale celu nie osiągnęłaś. Nie można go winić ani przeklinać za to, że tak niewinnie ruszył za tobą. Jeżeli musisz, to przeklnij mnie, że nie zatrzymałem go, kiedy przechodził przez drzwi. Mogłem to zrobić.

– No to dlaczego nic nie zrobiłeś? – zapytał Baerd. Devin przypomniał sobie, że kiedy zatrzymał się pod sklepieniem tamtych wewnętrznych drzwi, które wydały mu się bramą do krainy snów, Alessan na niego spojrzał.

– Właśnie, dlaczego? – zapytał, podnosząc wzrok. – Dlaczego pozwoliłeś, żebym za nią poszedł?

Światło księżyca było teraz zupełnie błękitne. Vidomni opuścił się po zachodniej stronie nieba za wierzchołki drzew. Wśród gwiazd lśnił już tylko Ilarion, rozświetlając noc swym dziwnym blaskiem, nazywanym przez wieśniaków światłem duchów.

Alessan miał go za plecami, więc oczy skrywał mu cień. Przez chwilę jedynymi dźwiękami były nocne odgłosy lasu: szelest liści i trawy na wietrze, suche trzaski dochodzące z ziemi, szybkie uderzenia skrzydeł zmierzające do pobliskiej gałęzi. Gdzieś na północ od nich odezwało się jakieś małe zwierzę, któremu zaraz odpowiedziało inne.

Alessan powiedział:

– Bo znam melodię, której nauczył go w dzieciństwie ojciec, i wiem, kto nim jest. Poza tym Devin nie pochodzi z Asoli. Catriano miła, to nie tylko sprawa muzyki, cokolwiek możesz sądzić o moich własnych słabościach. On jest jednym z nas, moja droga. Baerdzie, zechcesz poddać go próbie?

Na najbardziej świadomym, racjonalnym poziomie Devin prawie nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Niemniej zaczęło mu się robić od słów Alessana zimno. Miał wrażenie, że spada w locie niczym drapieżny ptak do miejsca, do którego zaprowadził go portal Moriany, tu w mroku lasu pod błękitnym księżycem w pełni.

I wcale nie poczuł się swobodniej, kiedy odwrócił się do Baerda i zobaczył jego zmienioną, pobladłą twarz.

– Alessanie... – zaczął Baerd schrypłym głosem.

– Jesteś mi droższy niż ktokolwiek inny na ziemi – powiedział poważnie Alessan. – Jesteś mi więcej niż bratem. Za nic w świecie bym cię nie skrzywdził, a szczególnie w tej sprawie. Nigdy w tej sprawie. Nie prosiłbym cię o to, gdybym nie był pewien. Poddaj go próbie, Baerdzie.

Baerd nadal się wahał, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Devina. Niewiele rozumiał z całej sytuacji, poza tym że dla nich jest to coś bardzo ważnego.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie poruszył. W końcu Baerd wziął Devina za ramię i idąc bardzo ostrożnie, jakby nie chciał ulec emocjom, poprowadził go kilkanaście kroków dalej w las na niewielką polanę okoloną drzewami.

Tam zrećźnie usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Po chwili wahania Devin uczynił to samo. Mógł jedynie kierować się otrzymywanymi wskazówkami, bo nie miał pojęcia, dokąd zmierzą. Przypomniawszy sobie słowa Catriany, które wypowiedziała rano w pałacu: „Nie na tej drodze, którą kroczę”. Splótł dłonie, żeby je uspokoić. Było mu zimno, ale niewiele to miało wspólnego z chłodem nocy.

Usłyszał, że Alessan i Catriana idą za nimi, ale się nie obejrzał. Przez chwilę liczył się tylko niezwykle wyraz oczu Baerda. Do tej chwili ten jasnowłosy mężczyzna wyglądał na tak swobodnego i pewnego siebie, a teraz nagle wydał się straszliwie bezbronny, jak ktoś, kogo można dziwnie łatwo zniszczyć. Po raz wtóry w tym długim dniu Devin nagle poczuł, jakby wchodził w krainę snów, zostawiając za sobą proste, wyraźnie określone granice codziennego świata.

W takim właśnie nastroju wysłuchał opowieści Baerda. Przyszła do niego ten pierwszy raz w niebieskim blasku Ilariona niczym zakłęcie, gobelin utkany ze słów z utraconych obszarów dzieciństwa, czym przecież w rzeczywistości była.

– W roku, w którym Alberico zajął Astibar – powiedział Baerd – a Tregia i Certando przygotowywały się do stawienia mu oddzielnie czoła jeszcze przed porażką Ferraut, przybył na ten półwysep z zachodu Brandin, król Ygrathu. Wprowadził flotę do Wielkiej Zatoki Chiary i zajął wyspę. Zajął ją bez kłopotu, albowiem wielki diuk widząc, ile statków przybyło z Ygrathu, popełnił samobójstwo. Podejrzewam, że tyle wiesz. Mówił cicho. Devin pochylił się do przodu, wytyżając słuch. Na gałęzi za nim słodko i smutno śpiewała trialla. Alessan i Catriana

milczeli. Baerd podjął opowieść.

– W owym roku Półwysep Dłoni stał się polem bitwy toczącej się o władzę między Ygrath i Imperium Barbadioru. Żadne z tych państw nie mogło pozwolić, aby drugie miało tutaj, w połowie drogi między nimi, wolną rękę. Był to jeden z powodów przybycia Brandina. Drugi, o czym dowiedzieliśmy się później, wiązał się z jego młodszym, najukochańszym synem, Stevanem. Brandin z Ygrathu chciał wykroić dla swego dziecka drugie królestwo, ale znalazł tu coś innego.

Trialla nie przestawała śpiewać. Baerd przerwał, żeby jej posłuchać, jakby w jej śpiewnym głosie, delikatniejszym nawet od trelu słowika, słyszał echo własnych wspomnień.

– Chiaranie, którzy usiłovali stawić mu opór w górach, zostali zmasakrowani na zboczach Sangariosa. Wkrótce potem Brandin zajął prowincję Asoli. Wszędzie poprzedzały go wieści o jego potędze. Był wielkim czarnoksiężnikiem, większym nawet od Alberico, a chociaż miał mniej żołnierzy niż Barbadiorczyki na wschodzie, byli oni lojalniejsi i lepiej wyszkoleni. Alberico okazał się bowiem tylko bogatym i ambitnym pomniejszym dostojnikiem Imperium posługującym się najemnikami, Brandin zaś rządził w Ygrath i jego żołnierze byli starannie wybrani z całego królestwa. Przesunęli się na południe przez Corte prawie bez wysiłku, po kolei pokonując armię każdej prowincji, bo wszyscy działaliśmy wtedy osobno. Potem oczywiście też.

– Głos Baerda nie był na tyle obojętny, by zabrzmieć odpowiednio ironicznie.

– Z Corte Brandin skręcił na wschód z mniejszą częścią armii, żeby spotkać Alberico w Ferraut i tam go pokonać. Wysłał i Stevana na południe, żeby zajął ostatnią wolną zachodnią prowincję, a potem dołączył do niego w Ferraut i stawił czoło Barbadiorczykom w bitwie, która miała według czarnoksiężników zadecydować o losie Dłoni,

To był błąd, chociaż wtedy, osiemnaście lat temu, Brandin nie mógł tego wiedzieć. Przybył tu niedawno i nie miał pojęcia o charakterze różnych prowincji półwyspu. Przypuszczam, że chciał, aby Stevan posmakował samodzielnego przywództwa. Dał mu większą część armii i najlepszych dowódców, sądząc, że do ich powrotu powstrzyma Alberico własnymi czarami.

Baerd przerwał na chwilę i jakby zapatrzył się gdzieś w głąb siebie. Kiedy podjął opowiadanie, jego głos brzmiał inaczej, tak przynajmniej wydawało się Devinowi.

– Na linii rzeki Deisy, trochę więcej niż w połowie drogi między Certando i morskim wybrzeżem Corte, Stevan napotkał najbardziej zaciekły opór, z jakim miały się zetknąć w Dłoni najeźdźcze armie. Pod dowództwem swojego księcia – bo zawsze tak nazywali władcę – mieszkańcy tej ostatniej prowincji na zachodzie stawili czoło Ygratheńczykom, wytrzymali ich atak i odepchnęli od rzeki, ponosząc przy tym i zadając ogromne straty.

A księżę tej prowincji, Valentin... prowincji, którą znasz jako Dolne Corte, zabił Stevana z Ygrathu, ukochanego syna Brandina. Zabił go nad brzegiem rzeki o zachodzie słońca pod koniec straszliwego dnia pełnego śmierci.

Devin nieomal wyczuwał w tych słowach smak goryczy i zadawnionej rozpacz. Zobaczył, jak Baerd po raz pierwszy zerka na stojącego nieopodal Alessana. Żaden z nich się nie odezwał. Devin nie odrywał wzroku od Baerda. Był tak skupiony, jakby od tego zależało jego życie. I właśnie wtedy gdzieś w zakamarkach jego umysłu zaczął uderzać odległy dzwon. Bił jak na trwogę, jak wioskowy dzwon w świątyni Adaona wzywający wieśniaków z pola.

– Dzięki swoim czarom Brandin natychmiast dowiedział się, co się stało – powiedział Baerd głosem przypominającym zgrzyt pilnika. – Błyskawicznie wrócił na południe i zachód, pozostawiając Alberico wolną rękę w Ferraut i Certando. Spadł na prowincję całą siłą swej magii, armii i wściekłości ojca, któremu zabito syna, i starł się z przetrzebionymi siłami swych ostatnich wrogów tam, gdzie na niego czekali nad Deisą.

Baerd znów spojrzał na Alessana. Twarz miał ponurą i w blasku księżyca niesamowicie bladą. Mówił dalej:

– Brandin ich zniszczył. Rozbił w pył. Popędził do ich własnego kraju na południe od Deisy, paląc po drodze wszystkie pola i wioski. Nie brał jeńców. Podczas tego pierwszego marszu kazał zabijać kobiety i dzieci, czego nie robił nigdzie indziej. Nigdzie indziej jednak nie zginęło jego własne dziecko. Tyle dusz przeszło do Moriany za duszę jednego Stevana z Ygrathu. Jego ojciec zalał tę prowincję krwią i spustoszył ją ogniem. Nim przeszło lato, zburzył wszystkie wspaniałe wieże miasta leżącego u podnóża gór – tego, które teraz nazywa się Stevanien. Na wybrzeżu starł na proch mury i falochrony królewskiego portu. A w bitwie nad rzeką ujął księcia, który zabił mu syna, i kazał go torturować, okaleczyć i zabić w Chiarze.

Głos Baerda zmienił się teraz w suchy szept.

– Brandin z Ygrathu zrobił coś więcej. Użył całej swej magii i czarnoksięskiej mocy, rzucając na tę ziemię takie zaklęcie, jakiego nikt przedtem nie wymyślił. I zaklęciem tym... wydarł jej nazwę. Wyrwał tę nazwę z myśli wszystkich ludzi, którzy nie urodzili się w tej prowincji. Sprawił, że było tak, jakbyśmy nigdy nie istnieli. Wymazał nasze czyny, naszą historię, nasze imię. A potem nazwał nas Dolnym Corte, od naszego najzacieklejszego wroga wśród wszystkich prowincji,

Devin usłyszał za sobą jakiś głos i zdał sobie sprawę, że to szlocha Catriana. Baerd ciągnął:

– Nikt nie mógł usłyszeć ani zapamiętać nazwy królewskiego portu, czy nawet tego wysoko położonego, złocistego miasta i wież leżącego przy drodze prowadzącej z gór. Złamał nas i zniszczył, a potem odarł nas z imienia!

W jesiennej ciemności Astibaru Baerd wykrzyczał te słowa drzewom, nocy i gwiazdom – gwiazdom, które to wszystko widziały – jak potężne oskarżenie.

Bijąca z jego głosu rozpacz ścisnęła serce Devina niczym pięść, ścisnęła je mocniej, niż Baerd mógł się domyślać. Niż ktokolwiek mógł się domyślać. Albowiem od śmierci Marry nikt tak naprawdę nie wiedział, co dla Devina d'Asoli oznacza pamięć i w jaki sposób stała się ona

dla niego kamieniem probierczym jego duszy.

Pamięć była jego talizmanem i zaklęciem, bramą wjazdową i ogniskiem domowym. Była jego dumą i miłością, broniła go przed utratą, bo jeśli coś mogło być zapamiętane, to nie ginęło. Nie umierało i nie odchodziło na zawsze. Marra mogła żyć, a jego surowy ojciec mógł mu nucić kołysankę. I właśnie dlatego, że wszystko to stanowiło o istocie Devina, dawna zemsta Brandina z Ygrathu uderzyła w niego tej nocy z taką siłą, jakby została świeżo wymyślona. Wdarła się do wrażliwego jądra osobowości Devina, gdzie powstawały jego sądy o świecie, rozcinając ją niczym śmiertelnościaną klingą.

Z wysiłkiem zachował spokój, zmuszając się do skupienia uwagi, żeby to wszystko zapamiętać. Wszystko. Wydawało się to ważniejsze niż kiedykolwiek indziej – teraz, kiedy rozplątywało się w nocy echo ostatnich, strasznych słów Baerda. Devin spojrzał na jasnowłosego mężczyznę ze skórzaną opaską na czole i rzemieniem na szyi. Czekał. Bystry jako chłopiec, teraz był sprytnym mężczyzną. Rozumiał, co teraz nastąpi, bo wszystko do siebie pasowało.

Devin poczuł się dużo starszy, niż jeszcze był przed godziną. Z tyłu dobiegł go cichy głos Alessana:

– Kołysanka, którą grałeś, pochodzi z tej ostatniej prowincji Devinie. To piosenka z miasta wież. Nikt, kto się tam nie urodził, nie mógłby nauczyć się tej melodii w taki sposób jak ty. Po tym poznałem, że jesteś jednym z nas. Dlatego nie zatrzymałem cię, kiedy poszedłeś za Catriana. To, co mogło leżeć za tamtymi drzwiami, zostawiłem w rękach Moriany.

Devin skinął głową. Po chwili powiedział tak oględnie, jak tylko potrafił:

– Jeśli tak jest, jeśli dobrze was zrozumiałem, to powinienem być jednym z ludzi, którzy potrafią jeszcze usłyszeć i zapamiętać nazwę... tę odebraną nazwę.

– Tak, Devinie – rzekł Alessan.

Devin zobaczył, że trzęsą mu się ręce. Spojrzał na nie w skupieniu, ale nie potrafił opanować ich drżenia.

A zatem jest to coś, czego byłem pozbawiony przez całe życie, co mi ukradziono. Czy... czy możecie mi to zwrócić? Czy powiecie mi nazwę kraju, w którym się urodziłem?

Patrzył na Baerda tylko w świetle gwiazd, bo Ilarion też już zniknął za drzewami na zachodzie. Alessan powiedział, że jest to opowieść Baerda. Devin nie wiedział dlaczego. Jeszcze raz usłyszeli w ciemności trialę, długą, obniżającą się nutę, a potem odezwał się Baerd i po raz pierwszy w życiu Devin usłyszał, jak ktoś mówi:

– Tigana.

Dzwon, który słyszał jakby we śnie o nieznanach letnich liniach, zamilkł. I pośród tej nagłej, całkowitej wewnętrznej ciszy zalało go niczym morską falą poczucie straty. Po pierwszej fali nadeszła druga, a potem trzecia – fala miłości i płynącej z głębi serca dumy. Poczł dziwne oszołomienie, jakby krew szumiała mu jakimś wezwaniem.

A potem zobaczył, w jaki sposób patrzy na niego Baerd. Zobaczył jego zastygłą i bladą twarz, strach malujący się na niej wyraźnie nawet w świetle gwiazd, a także coś innego: straszliwie pragnienie, pulsujący bólem głód duszy. Devin wtedy zrozumiał i dał mu upragnione zaspokojenie.

– Dziękuję – powiedział Devin. Już nie drżał. Walcząc z czymś, co ścisnęło go za gardło, mówił dalej, bo nadeszła jego kolej, pora jego próby: – Tigana. Tigana. Urodziłem się w prowincji Tigana. Nazywam się... moje prawdziwe imię brzmi Devin di Tigana bar Garin.

Kiedy to mówił, twarz Baerda rozjaśnił niezwykle blask. Jasnowłosa mężczyzna mocno zacisnął powieki. Devin usłyszał, że Alessan niepewnie wciąga powietrze, i ze zdumieniem poczuł na ramieniu przelotny dotyk dłoni Catriany.

Baerd zagubił się na obszarach, gdzie nie istnieje mowa, dlatego ciszę przerwał Alessan:

– To jedna z dwóch odebranych nazw, sięgająca najgłębiej. Tigana to była nasza prowincja i zarazem królewskie miasto nad morzem, najpiękniejsze miasto pod światłami Eanny. A może dopiero drugie w kolejności.

W głosie Alessana brzmiała nuta drżąca na granicy śmiechu, śmiechu i zarazem miłości. Devin po raz pierwszy odwrócił się i podniósł na niego wzrok,

Alessan powiedział:

– Gdybyś rozmawiał z ludźmi pochodzącymi z głębi łądu na południu, z miasta, gdzie rzeka Sperion, spływając z gór, skręca na zachód ku morzu, to usłyszałbyś takie właśnie słowa. Zawsze bowiem byliśmy dumni, a oba miasta zawsze między sobą rywalizowały.

W końcu mimo usilnych starań Alessana w jego głosie brzmiało tylko echo straty.

– Urodziłeś się w tym właśnie mieście, Devinie, podobnie jak ja. Jesteśmy dziećmi tej wysokogórskiej doliny i srebrzystego nurtu górskiej rzeki. Urodziliśmy się w Avalorze. W Avalorze też.

Wraz z tą nazwą w głowie Devina ozwała się muzyka, lecz tym razem było to coś innego niż poprzedni dźwięk dzwonów. Tym razem muzyka zaprowadziła go daleko wstecz, do ojca i do czasów dzieciństwa.

– A zatem znasz słowa, prawda? – spytał.

– Oczywiście – odparł łagodnie Alessan.

– Proszę cię...

Lecz odpowiedziała mu Catriana głosem, jakim mogła śpiewać młoda matka, kołysząc swoje dziecko do snu:

Wiosenny ranek wstaje w Avalorze,

A ja nie dbam, co mówią kapłani:

Pójdę dzisiaj do rzecznej przystani

W wiosenny ranek w Avalor.

*Kiedy dorosnę, nic mi nie przeszkodzi
W budowie szybkiej i pięknej łodzi,
Co rzeką popłynie do Tiganjskiej Zatoki
I morzem, dalej od Avalor.*

*Lecz gdziekolwiek zastaną mnie noce czy dni,
Nad wodą czy pośród wysokich pni drzew,
Me serce zawsze przeniesie mnie
Do marzeń o wieżach Avalor.*

Do marzeń o domu w Avalor.

Na Devina sływały słodkie, przepojone smutkiem słowa do melodii, którą zawsze znał, a z nimi pojawiło się coś jeszcze. I było to poczucie straty tak wielkiej, że nieomal zniweczyło czar piosenki. Żadnego uniesienia, a jedynie zalew tęsknoty. Tęsknoty za czymś, co zostało mu odebrane, nim jeszcze wiedział, w to ma; odebrane tak całkowicie, że mógłby przeżyć całe życie, nawet nie wiedząc o tej stracie.

Devin zapłakał. W północnym Asoli mali chłopcy nie wyglądający na swój wiek bardzo wczesnie uczyli się, jak ryzykowny jest płacz, gdy ktoś może to zobaczyć. Lecz teraz Devinem opanowało coś, z czym nie potrafił sobie poradzić.

Jeśli dobrze zrozumiał Alessana, była to piosenka, którą mogła śpiewać mu jego matka.

Matka, której życie odebrał Brandin z Ygrathu. Pochylił głowę, lecz nie po to, by ukryć łzy, i słuchał ostatnich słów przejmującej kołysanki Catriany, kołysanki o dziecku sprzeciwiającym się zakazom i władzy, które było na tyle niezależne, że samo chciało zbudować statek, i na tyle odważne, żeby nie oglądając się za siebie, chcieć pożegłować nim w świat – zawsze jednak pamiętając o miejscu, gdzie wszystko się zaczęło.

O dziecku bardzo, według Devina, podobnym do niego.

Dlatego zapłakał. Został bowiem zmuszony do zapomnienia o tych wieżach, obrabowany z marzeń, jakie kiedykolwiek mógł snuć o Avalor. Lub o leżącej nad zatoką Tiganie.

Płakał z żalu za matką i utraconym domem. W mroku lasu te dwa żale połączyły się i stopiły w ogniu tego, co znaczyła dla niego pamięć i jej utrata. I z płomieni wyłoniło się coś, co od tej nocy miało zmienić bieg życia Devina.

Wytrzeł oczy rękawem i podniósł wzrok. Nikt nic nie powiedział. Zobaczył, że Baerd patrzy na niego. Devin z namaszczeniem uniósł lewą dłoń. Zagiął trzeci i czwarty palec, co w efekcie

dało kształt zbliżony do zarysu Półwyspu Dłoni.

Gest wykonywany przy składaniu przysięgi.

Baerd uniósł rękę i tak samo zagiął palce. Mała dłoń Devina zetknęła się z większą, pokrytą odciskami dłonią mężczyzny.

– Jeśli mnie przyjmiesz – powiedział Devin – przystanę do ciebie. Przysięgam na moją matkę, która zginęła w tamtej wojnie, że dochowam ci wiary.

– A ja tobie – rzekł Baerd. – W imię zaginionej Tigany.

Alessan ukląkł obok nich, szeleszcząc liśćmi, i powiedział z powagą:

– Devinie, powinienem cię przestrzec. Nie jest to kwestia, w której można decydować pochopnie. Możesz służyć naszej sprawie, nie niszcząc jednocześnie swego życia.

– Nie ma wyboru – mruknęła Catriana, przysuwając się do Devina z drugiej strony. – Jutro albo pojutrze Tomasso bar Sandre wyda katom wasze imiona. Obawiam się, że śpiewacza kariera Devina d’Asoli może się skończyć w chwili, gdy właśnie naprawdę się zaczyna. – Spojrzała z góry na trzech mężczyzn nieprzeniknionym wzrokiem.

– Już się skończyła – powiedział cicho Devin. – Stało się to w momencie, w którym dowiedziałem się swego imienia. – Wyraz twarzy Catriany nie zmienił się. Devin nie miał pojęcia, o czym dziewczyna myśli.

– Dobrze więc – rzekł Alessan. Uniósł lewą dłoń z zagiętymi w dół dwoma palcami. Devin przyłożył do niej prawą rękę. Alessan zawahał się.

– Przysięga złożona na twoją matkę ma dla mnie większą wagę, niż możesz się domyślać – powiedział w końcu.

– Znałeś ją?

– Obaj ją znaliśmy – rzekł cicho Baerd. – Była od nas o dziesięć lat starsza, ale w Micaeli podkochiwał się każdy młodzieniec w Tiganie. I chyba też większość dorosłych mężczyzn.

Jeszcze jedno nowe imię i cały nowy ból, jakie sobą niosło. Ojciec Devina nigdy go nie wymawiał. Jego synowie nawet nie znali imienia swojej matki. Tej nocy do bólu prowadziło więcej ścieżek, niż Devin mógł sobie wyobrazić.

– Wszyscy zazdrościliśmy twemu ojcu i podziwialiśmy go bardziej, niż potrafię ci powiedzieć – dodał Alessan. – Chociaż cieszyłem się, że w końcu zdobył ją ktoś z Avalor. Pamiętam, kiedy się urodziłeś, Devinie. Mój ojciec posłał ci podarek na dzień nadania imienia. Nie pamiętam tylko, co to było.

– Podziwiałeś mojego ojca? – zapytał z niedowierzaniem Devin.

– Nie sądz go po tym, kim się stał – odparł zmienionym głosem Alessan. – Znałeś go już po tym, jak Brandin zgładził całe pokolenie i jego świat, jednym odbierając życie, a innym duszę. Twoja matka nie żyła, Avalor legło w gruzach, Tigana nie istniała. Twój ojciec walczył w obu bitwach nad Deisą.

Stojąca nad nimi Catriana cicho jęknęła.

– Nie wiedziałem o tym – powiedział z wyrzutem w głosie Devin. – Nic nam nigdy nie mówił. – Poczul nowy ból. Tyle ścieżek.

– Tylko nieliczni z tych, co przeżyli, mówili o tamtych dniach – rzekł Baerd.

– Moi rodzice milczeli – powiedziała z wahaniem Catriana. – Zabrali nas jak najdalej – do wioski rybackiej tu, w Astibarze, na brzegu morza pod Ardin, i nie mówili ani słowa.

– Aby was chronić – powiedział łagodnie Alessan. Dłonią nadal dotykał dłoni Devina. Była mniejsza od dłoni Baerda. – Bardzo wielu rodziców, którym udało się przeżyć, uciekło, aby życie ich dzieci było wolne od ucisku i piętna nienawiści ciężącego nad Tigana. Czy raczej Dolnym Corte, jak musimy ją teraz nazywać.

– Uciekli – powiedział z uporem Devin. Czuł się oszukany, okradziony, zdradzony.

Alessan potrzęsnał głową.

– Devinie, pomyśl. Nie osądzaj od razu, lecz pomyśl. Czy rzeczywiście sądzisz, że nauczyłeś się tej melodii przypadkiem? Twój ojciec nie chciał obciążać ciebie czy twoich braci balastem waszego dziedzictwa, lecz naznaczył was melodią, dla bezpieczeństwa pozbawioną słów, i wysłał cię w świat z czymś, co niezawodnie wyjawia prawdę o tobie każdemu pochodzącemu z Tigany, lecz nikomu innemu. Nie sądzę, żeby to był przypadek. Podobnie jak nie przez przypadek matka Catriany dała jej pierścionek, dzięki któremu rozpozna ją każdy, kto się urodził tam, gdzie ona.

Devin spojrział za siebie. Catriana wyciągnęła do niego rękę. Było ciemno, lecz oczy już przywykły do mroku, więc dostrzegł dziwny, wijący się wokół pierścionka kształt na wpół człowieka, na wpół morskiego stwora. Przełknął ślinę.

– Opowiesz mi o nim? – zapytał, odwracając się z powrotem do Alessana. – O moim ojcu?

O flegmatycznym, surowym Garinie, ponurym rolniku z wilgotnej, szarej krainy, który, jak się teraz okazało, pochodził z jasnego Avalor pełnego wież, leżącego na południowych wyżynach Tigany i który w młodości zdobył kobietę kochaną przez każdego, kto ją ujrzał, który walczył w dwóch strasznych bitwach nad rzeką i który – jeśli Alessan trafnie się domyślił celowo wysłał w świat swojego jedyne go bystre go, obdarzone go wyobraźnią syna, aby odnalazł to, co chyba odnalazł tej nocy.

Który także, jak nagle uświadomił sobie Devin, na pewno kłamał, że zapomniał słów kołysanki.

– Z przyjemnością powiem ci, co o nim wiem – odparł Alessan. – Ale nie dzisiaj, bo Catriana ma rację i musimy zniknąć stąd przed świtem. Teraz złożę ci takie samo przyrzeczenie jak Baerd. Przyjmuję twoją przysięgę, a ty przyjmij moją. Od tej chwili aż do końca moich dni jesteś mi niczym krewny.

Devin odwrócił się, żeby spojrzeć na Catrianę.

– Czy mnie przyjmiesz?

Potrząsnęła grzywą swoich włosów.

– Nie mam chyba wielkiego wyboru, co? – rzuciła niedbale. Zdaje się, że nieźle się w to wszystko wplątałaś. – Mówiąc to, opuściła jednak lewą rękę, zaginając dwa palce. Ich dotyk na jego dłoni był lekki i chłodny.

– Witaj – rzekła. – Przrzekam, że dochowam ci wiary, Devinie di Tigana.

– A ja tobie. Przykro mi z powodu tego, co było rano – powiedział Devin.

Cofnęła rękę. Oczy jej zapłonęły, co dostrzegł nawet w bladym świetle gwiazd.

– O, tak – powiedziała sarkastycznie. – Pewnie. Cały czas było jasne, jak bardzo to doświadczenie wydaje ci się godne pożałowania!

Alessan prychnął z rozbawieniem,

– Moja miła Catriano, właśnie zabroniłem mu wyjawiać jakiegokolwiek szczegóły porannych wydarzeń. Jak mam wymagać spokoju, skoro sama do tego wracasz?

Catriana odpowiedziała bez śladu uśmiechu:

– To ja jestem stroną poszkodowaną, Alessanie. Niczego nie będziesz ode mnie wymagał. Zasady się zmieniły.

Baerd nagle się roześmiał.

– Zasady się zmieniły, od kiedy do nas przystałaś. Dlaczegożby teraz miało być inaczej?

Catriana znów odrzuciła włosy do tyłu, ale nie raczyła odpowiedzieć.

Wstali. Devin potrząsnął jedną nogą, potem drugą, żeby pozbyć się sztywności po tak długim siedzeniu w jednej pozycji.

– Ferraut czy Tregea? – zapytał Baerd. – Do której granicy?

– Ferraut – odparł Alessan. – Gdy tylko Tomasso zacznie mówić... biedak... to uznają mnie za Tregeańczyka. Gdybym myślał jasno, to zastrzeliłbym go, kiedy przejeżdżali obok nas.

– Rzeczywiście, to przykład wyjątkowo jasnego myślenia – odparował Baerd. – Przy dwudziestu żołnierzach wokół niego. Dzięki tobie wszyscy bylibyśmy już w Astibarze, zakuci w łańcuchy.

– Podbiłbyś mi rękę – zauważył z krzywym uśmiechem Alessan.

– Czy istnieje szansa, że on nic nie powie? – zapytał z zakłopotaniem Devin. – Bo, widzicie, myślę o Menico. Jeśli padnie moje imię...

Alessan potrząsnął głową i powiedział z powagą:

– Wszyscy mówią na torturach. Szczególnie, jeśli bierze w nich udział czarnoksiężnik. Ja też myślę o Menico, Devinie, ule nic nie możemy zrobić. To jedna z konsekwencji życia, jakie prowadzimy. Prawie wszystko, co robimy, sprowadza na kogoś niebezpieczeństwo. Chciałbym wiedzieć, co zaszło w tej chacie – dodał.

– Chciałaś to sprawdzić – przypomniała mu Catriana. – Mamy czas?

– Owszem, chciałem i uważam, że możemy sobie na to pozwolić – odparł szorstko Alessan.
– Brakuje w tym wszystkim jednego elementu. Nadal nie wiem, jakim sposobem Sandre d’Astibar mógł oczekiwać, że będę...

Przerwał. Poza brzęczeniem cykad i szelestem liści w lesie było bardzo cicho. Trialla odleciała. Alessan uniósł nagle rękę i pośpiesznie przeczesał nią włosy. Potrząsnął głową.

– Czy wiesz – zapytał Baerda tonem nieomal swobodnej rozmowy – jak wielkim potrafię czasami być głupcem? Cały czas i miałem to jak na dłoni! – Głos mu się zmienił. – Chodźcie. I módlcie się, żeby nie było za późno!

* * *

W chacie Sandrenich ogień zgasł na obu kominkach. Nad leśną polaną świeciły tylko gwiazdy. Gromada tworząca Diadem Eanny przesunęła się już śladem księżyców dobrze na zachód. Kiedy czworo ludzi zbliżało się do chaty, odezwał się słowik, jakby w odpowiedzi na wcześniejszy śpiew trialli. Alessan zawahał się na progu, lecz po chwili wzruszył ramionami w znany już Devinowi sposób, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Trumna, choć była rozbita i przekrzywiona, nadal spoczywała na kozłach. Wokół niej leżeli jednak martwi ludzie, którzy, kiedy ci trzej mężczyźni tak niedawno opuszczali chatę, jeszcze żyli. Dwaj młodszy Sandreni. Nievole z całym kołczanem strzał tkwiącym mu w gardle i piersi. Ciało Scalvai d’Astibar.

Devin spostrzegł odciętą głowę Scalvai leżącą w czarnej kałuży krwi daleko od ciała i z trudem opanował mdłości.

– O Moriano – szepnął Alessan. – O Pani Zmarłych, bądź dla nich łaskawa w twych Komnatach. Zginęli przedwcześnie, marząc o wolności.

– Tylko trzej – usłyszeli szorstki, chrapliwy głos. – Czwartego powinno się udusić zaraz po urodzeniu.

Devin aż podskoczył. Serce waliło mu jak młotem.

Człowiek, który się właśnie odezwał, wstał z fotela, zwracając się twarzą ku nim. W półmroku był prawie niewidoczny.

– Byłem przekonany, że wróćcie – rzekł.

Szósty mężczyzna, uświadomił sobie Devin, próbując zrozumieć, skąd się wziął, usiłując wyraźniej dostrzec w słabym blasku żaru wysoką, chudą postać.

Alessan sprawiał wrażenie, jakby wcale nie był poruszony.

– A zatem przepraszam, że kazałem ci czekać – rzekł. – Zbyt dużo czasu zajęło mi rozwiązanie tej zagadki. Czy pozwolisz mi wyrazić smutek z powodu tego, co zaszło? Przerwał.
– I mój szacunek dla ciebie, Sandre d’Astibar.

Devin stał jak porażony. Dla niego wydarzeniu następowały po sobie o wiele za szybko.

– Przyjmę to pierwsze – powiedziała stojąca przed nimi wychudzona postać. – Nie zasługuję jednak ani na twój, ani na czyjkolwiek szacunek. Być może kiedyś byłem godny, lecz teraz już nie. Mówisz do starego, próżnego głupca – właśnie tak nazwał mnie ten Barbadioreczyk, i miał rację. Człowieka, który spędził wiele lat w samotności, zaplątany we własne pajęczyny. Miałeś słusność we wszystkim, co mówiłeś przedtem o niedbalstwie. Kosztowało mnie ono dzisiaj trzech synów. W ciągu miesiąca, a prawdopodobnie wcześniej, Sandreni przestaną istnieć.

Głos był suchy i beznamiętny, brzącający bezlitosnym potępieniem.

– Co się stało? – zapytał cicho Alessan.

– Chłopak był zdrajcą. – Bezbarwne, pozbawione intonacji, ostateczne stwierdzenie.

– O mój panie – zawołał Baerd. – Rodzina?

– Mój wnuk. Chłopak Gianni.

– A zatem jego dusza jest przeklęta – rzekł cicho, ale zawzięcie Baerd. – Znajduje się już w rękach Moriany, a ona będzie wiedziała, jak z nim postąpić. Oby po wsze czasy ugrzązł w ciemności.

Wydawało się, że starzec nie usłyszał.

– Zabił go Taeri – mruknął ze zdumieniem. – Nie sądziłem, że jest tak odważny i tak szybki. Potem przebił siebie, pozbawiając ich przyjemności wyciągnięcia od niego informacji. Nie sądziłem, że jest taki odważny – powtórzył z roztargnieniem.

Poprzez gęste cienie Devin spojrzał na dwa ciała leżące przy niniejszym kominku. Wuj i bratanek leżeli za trumną blisko siebie. Za pustą trumną.

– Powiedziałeś, że czekałeś na nas – mruknął Alessan. – Zechcesz mi powiedzieć dlaczego?

– Z tej samej przyczyny, dla której ty wróciłeś. – Sandre wreszcie się poruszył, sztywno podchodząc do większego kominka. Chwycił nieduże polano i rzucił je na pełgający płomyk. Strzelił pióropusz iskier. Sandre szturchnął polano kilka razy pogrzebaczem, aż wreszcie z popiołów uwolnił się jęczyzek ognia.

Diuk odwrócił się. Devin dostrzegł teraz jego siwe włosy, brodę oraz kościste, zapadłe policzki i zimne, buntownicze spojrzenie zapadniętych oczu.

– Jestem tutaj – rzekł Sandre – podobnie jak ty, ponieważ wszystko toczy się dalej. Toczy się bez względu na to, co się stanie i kto umrze. Póki tchu w piersi i serca, którym można nienawidzić. To moja i twoja misja. Będzie trwała do naszej śmierci.

– A zatem słuchałeś – powiedział Alessan. – Z trumny. Słyszałeś, co mówiłem?

– Narkotyk przestał działać przed zachodem słońca. Obudziłem się, zanim dotarliśmy do chaty. Słyszałem wszystko, co mówiłeś, i wiele z tego, czego nie chciałeś powiedzieć – odparł diuk, prostując się i zabarwiając głos chłodną wyniosłością. – Słyszałem, jak się nazwałeś i czego wolałeś im nie mówić. Wiem jednak, kim jesteś.

Postąpił krok w kierunku Alessana. Uniósł powykrzywianą, dłoń i wycelował nią wprost w niego.

– Wiem dokładnie, kim jesteś, Alessanie bar Valentin, księżę Tigany!

Tego było za wiele. Devin po prostu przestał usiłować cokolwiek rozumieć. Czuł się oszołomiony, zdruzgotany. Znajdował się w pomieszczeniu, w którym jeszcze niedawno stał wśród kilku mężczyzn. Teraz czterech z nich nie żyło, a zginęli śmiercią tak gwałtowną, że Devin nigdy nie przypuszczał, że zetknie się z taką brutalnością. Zarazem jedyny człowiek, o którym wiedział, że jest martwy – człowiek, w którego obrzędach żałobnych śpiewni jeszcze tego ranka – był jedynym żywym Astibarczykiem w chacie.

Jeżeli w ogóle pochodził z Astibaru!

Bo jeśli tak, to biorąc pod uwagę wszystko, czego się Devin niedawno dowiedział w lesie, jak mógł właśnie wymówić nazwę Tigany? Skąd mógł wiedzieć, że Alessan jest – to też Devinowi trudno było przyjąć do wiadomości – księciem? Synem tego Valentina, który zabił Stevana z Ygrathu, sprowadzając na nich wszystkich zemstę Brandina.

Devin już nie próbował złożyć wszystkiego w całość. Nakazał sobie słuchać, patrzeć i jak najwięcej wchłonąć w pamięć; czekać na nadejście zrozumienia później, kiedy będzie mógł spokojnie pomyśleć.

– Teraz rozumiem. Nareszcie rozumiem – powiedział Alessan po długiej chwili milczenia. – Zawsze miałem cię, panie, za olbrzyma wśród ludzi. Właściwie od chwili, kiedy ujrzałem cię na moich pierwszych Igrzyskach Triady dwadzieścia trzy lata temu. Jesteś nawet kimś więcej, niż sądziłam. Jak ci się udało przeżyć? W jaki sposób ukrywałaś to przed nimi dwoma przez te wszystkie lata?

– Co ukrywał? – zapytała Catriana głosem tak pełnym złości i oszołomienia, że Devinowi od razu zrobiło się lepiej. Nie był jedyny, który rozpaczliwie usiłował utrzymać się na powierzchni wydarzeń.

– On jest czarodziejem – rzekł beznamiętnym tonem Baerd.

Znów zapadła cisza, którą przerwał Alessan:

– Czarodzieje z Dłoni są odporni na zaklęcia nie skierowane bezpośrednio przeciwko nim. Dotyczy to wszystkich, którzy posługują się magią, bez względu na to, skąd pochodzą i jak zdobyli swą moc. Między innymi właśnie dlatego Brandin i Alberico ścigają i zabijają czarodziejów od chwili przybycia na ten półwysep.

– I udaje im się to, bo bycie czarodziejem nie ma, niestety, nic wspólnego z mądrością czy choćby zwykłym zdrowym rozsądkiem – rzekł zgryźliwie Sandre d’Astibar. Odwrócił się i z wściekłością kilka razy szturchnął żelaznym pogrzebaczem polano na kominku. Tym razem ogień chwycił i zasyczał czerwonym blaskiem.

– Przeżyłem – powiedział diuk – po prostu dlatego, że nikt o mnie nie wiedział. Nie

musiałem uciekać się do żadnych skomplikowanych zabiegów. W ciągu całego okresu mojego panowania posłużyłem się czarami może pięć razy, a i to zawsze pod osłoną cudzej magii. A od przybycia czarnoksiężników nie użyłem swej mocy ani razu. Nie wykorzystałem jej nawet do udania własnej śmierci. Ich moc jest większa od naszej. O wiele większa. Było to jasne od samego początku. Magia nigdy nie była w Dłoni tak silna jak w innych krajach. Wiedzieliśmy o tym. Wiedzieli wszyscy czarodzieje. Można by pomyśleć, że wykorzystają posiadaną wiedzę, prawda? Na co się przyda zakłęcie odnajdowania czy myślowa strzała, jeśli prowadzi wprost na barbadiorskie koło śmierci? – W głosie starego diuka brzmiała pałaca, szydercza gorycz.

– Albo ygratheńskie – mruknął Alessan.

– Albo ygratheńskie – zgodził się Sandre. – Jedyne, co do czego zgodzili się ci dwaj padlinożercy – oprócz biegnącej przez Dłoń linii podziału – jest to, że na tej ziemi będzie istnieć tylko ich magia.

– I tak też jest – rzekł Alessan – albo w takim stopniu, że na jedno wychodzi. Ja sam szukam czarodzieja od ponad dwunastu lat.

– Alessanie! – powiedział z naciskiem Baerd.

– Dlaczego? – zapytał w tej samej chwili diuk.

– Alessanie! – powtórzył Baerd z jeszcze większym naciskiem.

Mężczyzna, o którym Devin dopiero co się dowiedział, że jest księciem Tigany, obejrzał się na przyjaciela i potrząsnął głową.

– On nie, Baerdzie – rzekł zagadkowo. – Sandre d’Astibar nie.

Znów zwrócił się do diuka i zawahał się, szukając odpowiednich słów. Następnie powiedział z wyraźną dumą:

– Na pewno słyszałeś tę legendę. Tak się składa, że jest prawdziwa. Ród książąt Tigany, wszyscy ich bezpośredni potomkowie, mogą związać ze sobą czarodzieja aż do śmierci.

W półprzymkniętych oczach Sandre po raz pierwszy pojawił się błysk ciekawości, oznaka prawdziwego zainteresowania przedmiotem rozmowy.

– Rzeczywiście znam tę opowieść. Jedyne czarodziej, który tuż po tym, jak uzyskałem panowanie nad magią, domyślił się, kim jestem, ostrzegł mnie kiedyś przed książętami Tigany. Był stary i wtedy już zniedołężniały. Pamiętam, że się roześmiałem. Twierdzisz, że to, co mówił, jest prawdą?

– Było i jestem pewien, że nadal nią jest. Nie miałem jednak okazji tego zweryfikować. To nasza pradawna opowieść – Tigana jest prowincją wybraną przez Adaona od Fal. Pierwszego z naszych książąt, Rahala, urodziła bogu Micaela, którą nazywamy śmiertelną matką nas wszystkich. A linia pochodzenia książąt nigdy nie została przerwana.

Devin miał zamęt w głowie. Nawet nie potrafiłby nazwać uczuć, których teraz doświadczał. Micaela. Słuchał, patrzył i nakazał sobie zapamiętać.

Usłyszał śmiech Sandre d' Astibar.

– Też znam tę opowieść – powiedział szyderczo diuk. – To stare, liche wytłumaczenie na tigańską arogancję. Książęta Tigany! Nie diukowie, o, nie. Książęta! Potomkowie boga! – Wymierzył pogrzebacz w Alessana. – Będziesz tu tak stał pośrodku śmierdzącej rzeczywistości tyranów, tych trupów i całego dzisiejszego świata Dłoni i rzucał mi w twarz to stare kłamstwo? Tak?

– To jest prawda – powiedział cicho Alessan, nic ruszając się z miejsca. – Dlatego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Gdyby potomkowie boga zadowolili się niższą godnością, okazaliby mu lekceważenie. Darem Adaona dla jego śmiertelnego syna nie mogła być nieśmiertelność – tego zakazywały Eanna i Moriana. Bóg dał więc swemu synowi, a także jego synom i córkom, władzę nad magią Dłoni. Dar ten nie wygaśnie, dopóki w Tiganie będzie rządzić książę lub księżniczka pochodząca w bezpośredniej linii od Rahala. Jeśli wątpisz w moje słowa i chciałbyś je sprawdzić, mój diuku, to zrobię to, czego chce Haerd, i przez położenie ci ręki na czole związę cię z sobą. Nie należy lekkomyślnie odrzucać tej starej opowieści, Sandre d' Astibar. Jeśli jesteśmy dumni, znaczy, że mamy ku temu powód.

– Teraz, kiedy przybył Brandin, już nie – rzekł szyderczo diuk.

Twarz Alessana wykrzywił grymas. Książę otworzył i zamknął usta.

– Jak śmiesz! – rzuciła Catriana. Odważna jest, pomyślał Devin.

Książę i diuk, zbyt zajęci sobą nawzajem, nie zwrócili na nią uwagi. Sardoniczne rozbawienie Sandre stopniowo wsiąkło w głębokie zmarszczki wryte na jego twarzy. Pozostała jednak gorycz, widoczna w jego oczach, postawie i zaciśniętych ustach.

– Nie spodziewałem się tego po tobie – odezwał się Alessan – nawet w tych okolicznościach.

– Nie masz prawa czegokolwiek się po mnie spodziewać – odparł bardzo cichym głosem diuk. – Nawet w tych okolicznościach.

– Czy mamy się zatem rozstać?

Przez długą chwilę coś się między nimi ważyło, bo sytuację niewyobrażalnie komplikowała śmierć, rozpacz, wściekłość i nieugięta duma obu mężczyzn. Devin, który podświadomie odbierał niemal wyczuwalne w powietrzu napięcie, wstrzymał oddech.

– Wolałbym nie – rzekł w końcu Sandre d' Astibar. – Nie w ten sposób – dodał, a Devin zaczerpnął powietrza. – Czy przyjmiesz przeprosiny od kogoś, kto znalazł się na dnie rozpacz?

– Przyjmę – odparł po prostu Alessan. – I chciałbym zasięgnąć twojej rady, zanim rzeczywiście będziemy się musieli na jakiś czas rozstać. Twój średni syn został pojmany żywcem. Jeśli nie dziś w nocy, to jutro rano wyda mnie i Devina.

– Dziś już nie – powiedział diuk nieomal z roztargnieniem. – Alberico nie spodziewa się niebezpieczeństwa. Będzie także dość poważnie osłabiony tym, co się tu wydarzyło. Zostawi

Tomasso w spokoju do czasu, kiedy będzie mógł rozkoszować się tym, co mu przeznaczył. Kiedy będzie w nastroju do... zabawy.

– Dziś czy jutro – Baerd zniweczył nastrój obcesowym tonem – niewielka różnica. Będzie mówił. Musimy zniknąć, zanim zaczniesz.

– Może tak, a może nie – mruknął Sandre tym samym, dziwnie obojętnym głosem. Spojrzał na czterech nieżywych mężczyzn leżących na podłodze. – Chciałbym wiedzieć, co dokładnie tu zaszło – powiedział. – Z trumny nic nie widziałem, ale mogę wam powiedzieć, że Alberico posłużył się dzisiaj tak potężną magią, że jeszcze czuję jej pulsowanie. I użył jej, aby ocalić własne życie. Scalvaia coś zrobił, nie wiem co, ale prawie mu się udało. – Spojrzał na Alessana. – Prawie mu się udało oddać cały półwysep we władanie Brandina z Ygrathu.

– Słyszałeś to? – zapytał Alessan. – Zgadzasz się ze mną?

– Chyba zawsze wiedziałem, że to prawda, ale udało mi się tę wiedzę w sobie stłumić. Tak bardzo byłem zajęty moim własnym wrogiem tu, w Astibarze. Ktoś musiał mi to powiedzieć, ale raz wystarczy. Tak, zgadzam się z tobą. Trzeba ich obalić jednocześnie.

Alessan skinął głową. Wydawało się, że zelżało w nim napięcie, nad którym dotąd z trudem panował.

– Są jednak tacy, którzy ciągle myślą inaczej – powiedział. – Cenię sobie twoje zdanie.

Rzucił okiem na Baerda, uśmiechając się nieco krzywo, po czym znów zwrócił się do diuka:

– Wspomniałeś o posłużeniu się magią przez Alberico, jakby miało to dla nas jakieś znaczenie. Jakie? Nie jesteśmy biegli w podobnych sprawach.

– Nie ma się czego wstydzić. Jeżeli nie jest się czarodziejem, nie powinno się o tym nic wiedzieć. – Sandre uśmiechnął się przelotnie. – Znaczenie jest jednak dość proste: pomieszczenie to jest dziś tak przepełnione magią, że zginie w niej wszelki ślad mojej mizernej mocy, jaką mógłbym się posłużyć. Chyba mogę was zapewnić, że wasze imiona nie dotrą jutro do uszu kata.

– Rozumiem – powiedział Alessan, powoli kiwając głową.

Devin nic nie rozumiał. – Potrafisz przenieść się w przestrzeni? Możesz go stamtąd wydostać? – Oczy Alessana lśniły.

Sandre potrząsnął jednak głową. Wyciągnął lewą rękę i szeroko rozpostarł wszystkie pięć palców.

– Nigdy nie odciąłem sobie tych dwóch palców na znak ostatecznego związania się z Dłonią. Moja magia jest bardzo ograniczona. Nie mogę powiedzieć, że żałuję – gdybym postąpił inaczej, to znając uprzedzenia i prawa rządzące tu czarodziejami, nigdy bym nie został diukiem Astibaru – ale moje możliwości są przez to znacznie mniejsze. Owszem, mogę się tam udać, ale nie jestem wystarczająco silny, by cokolwiek stamtąd wydostać. Mogę mu jednak coś zanieść.

– Rozumiem – powtórzył Alessan innym tonem. Zapadło milczenie. Przeciągnął dłonią po

zmierzwionych włosach. – Tak mi przykro – powiedział w końcu cicho.

Twarz diuka była bez wyrazu, oczy nie zdradzały niczego. Za jego plecami trzaskał ogień, strzelając iskrami na pokój.

– Jest pewien warunek – odezwał się Sandre.

– To znaczy?

– Że pozwolisz mi pójść z wami. Jestem martwym człowiekiem, oddanym Morianie. W Astibarze nie mogę z nikim mówić ani niczego osiągnąć. Jeśli moja fałszywa, choć nieudana śmierć, ma zachować jakikolwiek sens, to muszę pójść z wami. Książę Tigany, czy przyjmiesz do swojej świty miernego czarodzieja? Czarodzieja przystałego z dobrej woli, a nie związanego jakąś legendą?

Alessan milczał przez długą chwilę, patrząc na starca, po czym niespodziewanie błysnął zębami w uśmiechu. Był on jak promień światła rozgrzewający lodowatą atmosferę pokoju.

– Jak bardzo jesteś przywiązany do swej brody i siwych włosów? – zapytał nieoczekiwanie.

W sekundę później Devin usłyszał dziwny dźwięk. Dopiero po chwili zorientował się, że to wysoki, świszczący śmiech diuka Astibaru.

– Rób ze mną, co tylko chcesz – odparł Sandre, kiedy przestał się śmiać. – Co zamierzasz? Chcesz zabarwić moje loki na rudo, tak jak u tej dziewczki?

Alessan potrząsnął głową.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jedna taka grzywa w zupełności wystarczy w tak małej grupie. Zostawiam te sprawy Baerdowi. Zostawiam mu wiele spraw.

– A zatem oddam się w jego ręce – rzekł Sandre i skłonił się poważnie jasnowłosemu mężczyźnie. Devin spostrzegł, że Baerd nie wygląda na zachwyconego. Sandre też to zauważył.

– Nie złożę wam przysięgi – powiedział do niego diuk. – Złożyłem już jedną przysięgę po przybyciu Alberico i więcej tego nie zrobię. Powiem jednak, że przez resztę moich dni będę się starał, byście tego nie żałowali. Czy to cię zadowoli?

Baerd powoli skinął głową.

– Tak.

Devin instynktownie wyczuwał, że ta wymiana zdań też jest ważna, że żaden z nich nie rzuca słów na wiatr i każdy mówi z głębi serca. Spojrzał na Catrianę, która go obserwowała. Odwróciła jednak szybko wzrok i więcej już na niego nie patrzyła.

– Chyba najlepiej będzie – rzekł Sandre – jeśli zabiorę się do tego, o czym mówiłem. Z powodu osłony, jaką daje mi magia Alberico, muszę wyruszyć z tego pokoju i tutaj powrócić, ale śmiem twierdzić, że wy nie musicie spędzać nocy wśród zmarłych, bez względu na to, jak znakomitymi osobistościami byli za życia. Macie w lesie jakiś obóz? Czy tam was znajdzie?

Istnienie magii nadal niepokoiło Devina, lecz słowa Sandre nasunęły mu pewien pomysł, stanowiący pierwszą jego naprawdę jasną myśl od chwili, kiedy weszli do chaty.

– Jesteś pewien, panie, że będziesz mógł powstrzymać swego syna przed mówieniem? – zapytał nieśmiało.

– Całkowicie – odparł zwięźle Sandre.

Devin zmarszczył brwi.

– A zatem wygląda na to, że nikomu z nas nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo. Poza tobą, panie. Ciebie nikt nie może zobaczyć.

– Dopóki nie zabierze się do niego Baerd – wtrącił Alessan. – Ale mów dalej.

Devin zwrócił się do niego.

– Chciałbym pożegnać się z Menico i spróbować wymyślić jakiś powód odejścia. Wiele mu zawdzięczam. Nie chcę, żeby mnie znienawidził.

Alessan zamyślił się.

– Zawsze będzie miał do ciebie żal, Devinie, chociaż nie jest zawziętym człowiekiem. To, co wydarzyło się dzisiejszego ranka, stanowi marzenie każdego artysty tak doświadczonego, jak Menico. Żadne twoje wyjaśnienie nie zmieni faktu, że aby obrócić marzenie w trwałą rzeczywistość, potrzebuje właśnie ciebie.

Devinowi nie podobało się to, co usłyszał, ale nie mógł zaprzeczyć prawdziwości słów Alessana. Kilka sezonów i honoraria, jakich według Menico mogli teraz żądać, pozwoliłyby temu weteranowi dróg kupić gospodę w Ferraut, o czym od dawna marzył. Miejsce, w którym, jak mawiał, chciałby osiąść, kiedy drogi staną się dla niego zbyt wyboiste, i gdzie będzie mógł podawać piwo i wino, a także proponować nocleg i coś do jedzenia przejeżdżającym tamtędy starym i nowym przyjaciom. Gdzie mógłby słuchać plotek, powtarzać je innym i wymieniać się z podróżnymi swymi ulubionymi, starymi opowieściami. I gdzie w zimowe wieczory można by siadywać przy ogniu i zapraszać do wspólnego śpiewania każdego, kto akurat znalazł się w gospodzie.

Devin wepchnął ręce głęboko do kieszeni spodni. Było mu głupio i smutno.

– Nie chcę tak po prostu zniknąć. Odchodzimy przecież wszyscy troje. Poza tym mamy jutro kilka koncertów. Usta Alessana drgnęły.

– Owszem, pamiętam. Dwa.

– Trzy – odezwała się niespodziewanie Catriana.

– Trzy – zgodził się wesoło Alessan. – A pojutrze występujemy w siedzibie Gildii Tkaczy i Kupców Wełny. I właśnie przypomniałem sobie, że mam poważny zakład „Pod Paelionem”, który spodziewam się wygrać.

Wszystko to wywołało dający się już przewidzieć pomruk Baerda.

– Czy ty poważnie myślisz, że po dzisiejszych wydarzeniach Święto Winorośli będzie się dalej wesoło toczyć? Chcesz grać w Astibarze, jakby nic się nie stało? Nie podoba mi się to.

– Właściwie jestem prawie pewien, że święto nie zostanie przerwane – odezwał się Sandre. –

Alberico przede wszystkim jest ostrożny. Myślę, że dzisiejsza noc ostrożność tę podwoi. Pozwoli ludziom na dokończenie uroczystości, wypuści przybyłych z distrady do domu, a potem natychmiast w nich uderzy, ale podejrzewam, że tylko w trzy rodziny, które tu były. Szczerze mówiąc, sam bym tak zrobił.

– A podatki? – zapytał Alessan.

– Być może. Podniósł je po sprawie Canziano, ale to było co innego – próba zabójstwa w miejscu publicznym. Nie miał wielkiego wyboru. Myślę, że tym razem się ograniczy – wśród tych trzech rodzin znajdzie się wystarczająca liczba ciał dla jego kół.

Devin poczuł się nieswojo, słysząc, z jaką swobodą diuk mówi o takich sprawach. Chodziło przecież o jego rodzinę. Jego najstarszy syn, wnuki, bratankowie i siostrzenice, kuzyni – wszyscy oni mieli zginąć na barbadiorskich kołach śmierci. Devin zastanawiał się, czy kiedykolwiek stanie się aż tak cyniczny, czy ostatecznie wydarzenia aż tak go zahartują. Spróbował pomyśleć o swoich braciach na kole śmierci w Asoli i przekonał się, że jego umysł wzdraga się przed takim obrazem. Ukradkiem wykonał gest strzegący od złego.

Niepokoiliła go sama myśl o Menico, choć była to kwestia jedynie pieniędzy, które straci szef. Ludzie cały czas przenoszą się z trupy do trupy albo zakładają własne zespoły czy rzucają wędrownie występy dla pewniejszych zajęć. Niektórzy muzycy będą się nawet spodziewać, że po porannym sukcesie Devin pójdzie na swoje. Ta myśl powinna mu pomóc, ale nie pomogła. Devinowi nie podobał się pomysł udawania, że dobrze robia.

Przyszło mu do głowy jeszcze coś innego.

– Czy nie będzie też wyglądało trochę dziwnie, jeśli znikniemy zaraz po uroczystościach żałobnych? Zaraz po tym, jak Alberico odkrył związany z nimi spisek? Teraz jesteśmy w pewien sposób powiązani z Sandrenimi. Czy powinniśmy ściągać w ten sposób na siebie uwagę? Przecież nasze zniknięcie nie pozostanie nie zauważone.

Z jakiejś przyczyny powiedział to do Baerda. Po chwili został nagrodzony krótkim, poważnym skinieniem głowy.

– To kupię – powiedział Baerd. – Rzecz brzmi sensownie, chociaż przyznaję to z żalem.

– Bardzo sensownie – przytaknął Sandre. Devin zmieszał się nieco pod badawczym spojrzeniem jego ciemnych, głęboko osadzonych oczu. – Wy dwoje – diuk machnął ręką w kierunku Devina i Catriany – możecie jeszcze w moich oczach uratować honor waszego pokolenia.

Tym razem to Devin nie chciał spojrzeć na dziewczynę. Powędrował wzrokiem do kąta, gdzie przy drugim, dogasającym na kominku ogniu leżał z rozciętym przez wuja gardłem wnuk Sandre.

Ciszę przerwał demonstracyjnym kaszlnięciem Alessan.

– Istnieje też zupełnie odrębna kwestia – powiedział dziwnym tonem. – Jedynie ci, którzy

spędzili pod gołym niebem tyle nocy co ja, potrafią odpowiednio docenić głębię mojego pragnienia, by spać w miękkim łóżu. Krótko mówiąc – dodał z uśmiechem – czuję się pokonany przez twoją elokwencję, Devinie. Zaprowadź mnie do Menico. Nawet łóżko dzielone z chrapiącymi w ledwie znośnej harmonii dwoma wirtuozami syrenii ma poważną przewagę nad chłodem ziemi obok stosunkowo cichego Baerda.

Baerd obrzucił go ponurym spojrzeniem, które jednak Alessan dość spokojnie wytrzymał, i powiedział groźnym tonem:

– Powstrzymam się od wyliczania twoich własnych nocnych obyczajów. Zaczekam tu na powrót diuka Sandre. Z oczywistych powodów będziemy musieli spalić chatę jeszcze dzisiaj. Kiedy służący wrócą tu rano, będzie brakowało jednego ciała. Spotkamy się z wami za trzy dni przy naszej kryjówce tak wcześnie, jak tylko uda wam się zwlec z pościeli. Zakładając – dodał głosem ociekającym sarkazmem – że wygodne miejskie życie nie uniemożliwi wam znalezienia kryjówki.

– Jeśli on się zgubi, to ja do niej trafię – powiedziała Catriana.

Alessan powiódł po nich urażonym wzrokiem.

– To nieuczciwe – zaprotestował. – Oboje wiecie, że chodzi mi tylko o muzykę.

Devin nie wiedział. Alessan wciąż patrzył na Baerda.

– Wiesz, że wracam tam tylko dla muzyki.

– Oczywiście – rzekł miękko Baerd z łagodnym wyrazem twarzy. – Boję się jednak, że pewnego dnia obaj przez muzykę zginiemy.

Widząc, jak na siebie wtedy spojrzeli, Devin dowiedział się czegoś nowego i niespodziewanego o istocie ich związku i o miłości. Tej nocy dowiedział się wielu rzeczy, z którymi trudno mu było dać sobie radę.

– Idźcie już – powiedział Baerd, zmarszczywszy brwi, bo Alessan się wahał. Catriana była już przy drzwiach. – Spotkamy się z wami po święcie przy kryjówce. Nie spodziewajcie się – dodał – że nas poznacie.

Alessan nagle się uśmiechnął i po chwili Baerd też pozwolił sobie na uśmiech, który rozjaśnił mu całą twarz. Devin zdał sobie sprawę, że Baerd nie uśmiechał się często.

Wychodząc za Alessanem i Catriana w ciemność lasu, nie przestawał o tym myśleć.

Rozdział 6

Tak się złożyło, że wydarzenia owego długiego dnia i nocy nie zaprowadziły ich jednak do gospody.

Cała trójka wróciła przez las do głównej drogi prowadzącej z Astibaru do Ardin. Ruszyli nią w milczeniu pod gwiazdzistym jesiennym niebem. Z lasu po obu stronach dobiegał głośny akompaniament cykad. Devin był zadowolony, że włożył wełnianą koszulę – zrobiło się chłodno, co zapowiadało przymrozek.

Dziwnie było znajdować się tak późno pod gołym niebem, w ciemnościach. Kiedy podróżowali, Menico zawsze dbał, aby trupa znalazła dobre miejsce na nocleg jeszcze przed porą kolacji. Nawet przy surowych posunięciach obu tyranów wymierzonych przeciwko złodziejom i bandytom uczciwi ludzie nieczęsto podróżowali po drogach Dłoni nocą.

Ludzie, do których jeszcze rano sam należał. Czuł się bezpieczny w swoim powołaniu, a nawet, choć brzmiało to dość nieprawdopodobnie, odniósł tryumf. Rozpoczął prawdziwą karierę, a teraz, porzuciwszy wszelkie nadzieje artystyczne, szedł po ciemku drogą. Ponadto złożył przysięgę, która mogła go zaprowadzić na koło śmierci, jeśli nie tu, to w Chiarze. Jeżeli Tomasso bar Sandre będzie mówił, to i tu, i tam.

Towarzyszyło mu dziwne uczucie przejmującej samotności. Ufał ludziom, do których przystał – ufał właściwie nawet dziewczynie – ale niezbyt dobrze ich znał. W każdym razie nie tak, jak po tylu latach poznał Menico czy Eghano.

Przyszło mu na myśl, że to samo można powiedzieć o sprawie, którą tak niedawno poprzysiągł uczynić swoją: nie znał też Tigany, zgodnie z zamysłem Brandina z Ygrathu, rzucającego swe czarnoksiężskie zaklęcie. Oto Devin zrywał ze swoim dotychczasowym życiem z powodu usłyszonej w blasku księżyca opowieści, piosenki z dzieciństwa, wspomnienia matki, czegoś, co stanowiło dlań niemal czystą abstrakcję. Nazwę.

Był na tyle uczciwy, by się zastanawiać, czy robi to z chęci przeżycia przygody i dla blasku chwały, jaki roztaczali Alessan, Baerd i stary diuk, czy w imię dawnego bólu i rozpacz, o których dowiedział się tej nocy w lesie. Nie znalazł na to odpowiedzi. Nie wiedział, w jakim stopniu zawdzięcza swoją decyzję Catrianie, a w jakim ojcu, dumie czy też głosowi Baerda mówiącego w ciemności o swej stracie.

Prawda była taka, że jeśli Sandre d’Astibar zgodnie z obietnicą powstrzymałby swego syna od mówienia, wówczas nic nie ufałoby na przeszkodzie, by Devin wiódł to samo życie, co przez ostatnie sześć lat, i cieszył się tryumfem i nagrodami, które go czekały. Potrząsnął głową. Było to zdumiewające, lecz taki bieg rzeczy, podróżowanie z Menico i występy w całej Dłoni – życie, do jakiego zbudził się tego ranka – wydawało mu się teraz prawie nie do pomyślenia, jak gdyby

już przeszedł na drugą stronę jakiejś wyraźnej granicy. Zastanawiał się, jak często ludzie dokonują życiowych wyborów z jasnych, prostych i zrozumiałych powodów.

Te rozmyślania gwałtownie przerwał mu Alessan, podnosząc ostrzegawczo rękę. Bez jednego słowa cała trójka z powrotem wśliznęła się między drzewa przy drodze. Po chwili od zachodu pojawił się blask pochodni i Devin usłyszał skrzypienie zbliżającego się wozu oraz męskie i kobiece głosy. Domyślił me, że to spóźnieni uczestnicy zabawy – przecież święto trwa nadal. To też zaczęło mu się wydawać nieważne. Czekali, aż wóz przejedzie.

Na próżno. Z cichym podzwaniem i skrzypieniem uprząży koń zatrzymał się przed ich kryjówką. Ktoś zeskoczył z wozu, a potem usłyszeli, jak otwiera z łańcucha bramę.

– Jestem doprawdy beznadziejnie pobłażliwy – zaczął utyskiwać. – Ile razy patrzę na tę namiastkę herbu, dochodzę do wniosku, że powinienem dać go do wymalowania rzemieślnikowi. Istnieją, albo przynajmniej powinny istnieć, jakieś granice ojcowskiej wyrozumiałości!

Devin w jednej chwili rozpoznał miejsce i głos. Jakiś odruch, chęć powrotu po nocnych wydarzeniach do tego, co zwykle i znajome, nakazał mu wstać.

– Zaufaj mi – szepnął w odpowiedzi na spojrzenie Alessana. – To przyjaciel.

Następnie wyszedł na drogę.

– Ja uważam, że to ładny rysunek – powiedział wyraźnie. – Lepszy, niż potrafiłaby wykonać większość znanych mi rzemieślników. I prawdę mówiąc, Rovigo, pamiętam, że to samo mówiłeś mi wczoraj po południu „Pod Ptakiem”.

– Znam ten głos – natychmiast odpowiedział Rovigo. – I niezmiernie się cieszę, że go słyszę, mimo że właśnie zdemaskowałeś mnie przed zrzędliwą żoną i córką, która od dawna jest utrapieniem jej nieszczęsnego ojca. Devin d’Asoli, jeśli się nie mylę!

Odszedł od bramy i zdjął latarnię z uchwytu na wozie. Devin usłyszał dobiegający ze środka pełen ulgi śmiech dwóch kobiet. Za nim na drogę wyszli Alessan i Catriana.

– Nie mylisz się – rzekł Devin. – A oto dwoje członków mojego zespołu: Catriana d’Astibar i Alessan di Tregea. To jest Rovigo, kupiec, z którym dzieliłem w eleganckim otoczeniu butelkę wina, kiedy Catrianie udało się wczoraj doprowadzić do wyrzucenia mnie z tawerny.

– Ach! – zawołał Rovigo, wyżej unosząc latarnię. – Siostra!

Catriana, oświetlona przez szerszy krąg ognia, uśmiechnęła się skromnie.

– Musiałam z nim porozmawiać – wyjaśniła. – Nie bardzo chciałam wchodzić do środka.

– Cóż za rozumna i opatrnościowa kobieta – pochwalił ją z uśmiechem Rovigo. – Gdybyż moje córki były choć w połowie tak inteligentne. Nikt nie powinien wchodzić „Pod Ptaka”, chyba że stracił od kataru węch.

Alessan wybuchnął śmiechem.

– To miłe spotkanie na ciemnej drodze, kapitanie Rovigo, tym bardziej jeśli jesteś

właścicielem statku o nazwie „Panna Morska”.

Devin zamrugął ze zdumienia oczyma.

– Zaiste mam nieszczęście posiadać tę nędzną namiastkę statku i żeglować nią – przyznał wesoło Rovigo. – Skąd o tym wiesz, przyjacielu?

Alessan sprawiał wrażenie bardzo rozbawionego,

– Ponieważ zostałem poproszony o odszukanie cię. Mam dla, ciebie wiadomości z miasta Ferraut, od nieco otyłego człowieka o czerwonej twarzy imieniem Taccio.

– Mój szlachetny pośrednik w Ferraut! – zawołał Rovigo. – To rzeczywiście miłe spotkanie! Na boga, gdzie go spotkałeś?

– Z przykrością muszę powiedzieć, że też w tawernie. Ja tam grałem, a on... według jego własnych słów, uciekał przed karą. Tak się złożyło, że byliśmy ostatnimi gośćmi. Z uzasadnionych według mnie powodów nie bardzo mu się śpieszyło do domu, więc zaczęliśmy rozmawiać.

– Z Taccio zawsze łatwo zacząć rozmowę – zgodził się Rovigo. Devin usłyszał dobiegający z wozu chichot. Ta oznaka rozbawienia wcale nie przywodziła mu myśl ociążalej, nie nadającej się do poślubienia córki. Zaczynał rozumieć podejście Rovigo do swych kobiet. Uśmiechnął się w ciemności.

– Zacny Taccio wyjaśnił mi swe położenie – rzekł Alessan – a kiedy wspomniałem, że właśnie przystąpiłem do trupy Menico di Ferraut i wybieram się tu na Święto Winorośli, polecił mi cię odnaleźć i ustnie potwierdzić treść listu, który ci przesłał.

– Pół tuzina listów – jęknął Rovigo. – A zatem do rzeczy: proszę o potwierdzenie, przyjacielu.

– Dobry Taccio polecił mi powiedzieć ci i przysiąc na łaskawą Triadę i trzy palce Dłoni, że to prawda – Alessan bezbłędnie parodiował napuszonego teatralnego posłańca – iż jeśli nowe łoże nie przybędzie z Astibaru przed zimowymi mrozami, to śpiący niespokojnie u jego boku Smok przebudzi się w niewyobrażalnym gniewie i położy gwałtowny kres jego życiu w twej godnej służbie.

Z wnętrza wozu rozległ się śmiech i oklaski. Matka też wcale nie sprawia wrażenia zrędy, pomyślał Devin, jakby uzupełniając poprzednią myśl.

– Oby Eanna i Adaon, którzy wspólnie błogosławią małżeństwa, nie dopuścili do czegoś takiego – rzekł nabożnie Rovigo.

Łóżko zostało zamówione, wykonane i czeka na wysłanie zaraz po zakończeniu święta.

– A zatem Smok będzie spał spokojnie, a Taccio zostanie uratowany – zaintonował Alessan dźwięcznym głosem, rezerwowanym zwykle dla morału kończącego przedstawienie kukielkowe dla dzieci.

– Doprawdy nie wiem – odezwał się z wozu łagodny, pełen rozbawienia kobiecy głos –

dłaczego biedna Ingonida tak bardzo was przeraża. Rovigo, czy już całkiem cię dziś nie stać na dobre maniere? Czy będziemy trzymać tych ludzi na zimnie i w ciemnościach?

– Ależ nie, moja najdroższa Alix – odparł pośpiesznie jej mąż. – Myśli zmaciła mi jedynie wizja rozgniewanej Ingonidy.

Devin nie mógł powstrzymać uśmiechu, a zauważył, że nawet Catriana złagodziła swą zwykłą minę wyniosłej obojętności.

– Wracaliście do miasta? – zapytał Rovigo.

Pierwszy trudny moment – i Alessan zostawił jego rozegranie Devinowi.

– Owszem – odrzekł. – Poszliśmy na długi spacer, żeby rozjaśnić myśli i uciec od hałasu, ale właśnie nabraliśmy ochoty znów stawić czoło miastu.

– Wyobrażam sobie, że wasza trójka przez całą noc byłaby obleżona przez wielbicieli – rzekł Rovigo.

– Rzeczywiście zyskaliśmy pewną sławę – przyznał Alessan.

– Dobrze – powiedział poważnie Rovigo. – Żarty na bok. Doskonale rozumiem, że chcecie przyłączyć się do zabawy – kiedy wyjeżdżaliśmy, nie zaczęła się jeszcze na dobre. Oczywiście będzie trwała całą noc, ale wyznaję, że nie lubię zostawiać moich młodszych córek zbyt długo samych, a moja nieszczęsna najstarsza, Alais, cierpi z nadmiaru wrażeń na drgawki i omdlenia.

– Jakież to smutne – rzekł Alessan z poważną twarzą.

– Ojczy! – dobiegł z wozu pełen miękkiego wyrzutu protest.

– Rovigo, natychmiast przestań, bo wyleję ci na głowę miskę wody, kiedy zaśniesz – oświadczyła Alix, lecz Devin nie wyczuł w jej głosie prawdziwego gniewu.

– Widzicie? – powiedział kupiec, machając wymownie wolną ręką. – Jestem bezlitośnie nękanym nawet podczas snu. Ale jeśli nie zraziła was do reszty godna ubolewania jazgotliwość moich kobiet ani perspektywa spotkania następnych trzech, prawie tak samo nieprzyjemnych, to gorąco, najpokorniej zapraszam na późny posiłek i kielich wina w spokoju, którego dzisiejszej nocy nie zaznacie w Astibarze.

– Oraz do trzech łóżek, jeśli zechcecie nas zaszczyścić – dodała Alix. – Słyszeliśmy, jak graliście i śpiewaliście podczas rannych obrzędów ku czci diuka. Gościć was byłoby dla nas prawdziwym zaszczytem.

– Byliście w pałacu? zapytał zdziwiony Devin.

– Gdzieżby tam – mruknął Rovigo lekceważąco. – Staliśmy w tłumie na ulicy. – Zawahał się. – Darzyłem Sandre d' Astibar wielkim szacunkiem i podziwem. Ziemia Sandrenich leży na wschód od mojego skromnego majątku – właśnie przechodziliście obok ich lasów. Do samego końca był bardzo dobrym są siadem. Chciałem usłyszeć pieśń żałobną śpiewaną dla niego... a kiedy się dowiedziałem, że został do tego wybrany zespół mojego najnowszego młodego przyjaciela... czy wejdziecie do naszego domu?

Tym razem Devin zostawił decyzję Alessanowi. Ten, wciąż rozbawiony, odpowiedział, błyskając w ciemności białymi zębami:

– W głowie by nam nie powstało odrzucić tak łaskawe zaproszenie. Będziemy mogli wznieść toast za bezpieczną podróż, nowego łoża Taccio i spokojne sny jego Smoka!

– Och, biedna Ingonida – odezwała się z wozu Alix, bezskutecznie powstrzymując śmiech. – Jesteście tacy niesprawiedliwi!

W domu Rovigo było jasno, ciepło i wesoło. Znajdowały się tam też trzy niewątpliwie pociągające dziewczyny, których imiona umknęły Devinowi pośród ich okrzyków i rumieńców. Najstarsza z nich, według Devina panna siedemnastoletnia, miała śpiewny głos i wyjątkowo kokieteryjne spojrzenie.

Alais była inna.

W oświetlonej sieni domu najstarsza córka kupca okazała się nieduża, poważna i szczupła. Miała długie, bardzo proste czarne włosy i oczy o najdelikatniejszym odcieniu błękitu, jaki Devin widział w życiu. Niebieskie oczy Catriany wyglądały przy nich jeszcze bardziej wyzywająco, a jej zwichrzone rude włosy tym bardziej przypominały grzywę lwicy.

Serdeczne kobiece ręce i głosy zaprosiły ich, by zasiedli w niezwykle wygodnych fotelach; salon tonął w różnych odcieniach zieleni i złota. Na kominku płonął wielki ogień rozprawiający jesienny chłód, a na podłodze leżał duży dywan utkany w charakterystyczne, nawet dla niedoświadczonego oka Devina, quilejskie wzory. Siedemnastolatka – jak się okazało, miała na imię Selvena – usiadła na nim wdzięcznie u stóp Devina. Spojrzała na niego z uśmiechem. Siadając bliżej ognia, Catriana rzuciła mu sarkastyczne spojrzenie, które jednak postanowił zignorować. Alais nie było w salonie – poszła pomóc matce.

Wszedł rozpromieniony Rovigo. W objęciach trzymał przyniesione z jakiejś komórki trzy butelki.

– Mam nadzieję – rzekł z uśmiechem – że wszyscy lubicie astibarskie błękitne wino?

No cóż, w świetle tego prostego pytania Devin mógł sobie pogratulować opatrnościowego impulsu, któremu uległ na drodze. Rzucił okiem na Alessana i w nagrodę otrzymał dziwny uśmiech, który wydawał się wiele potwierdzać.

Rovigo szybko jął odkorkowywać butelki i nalewać wino.

– Jeśli któraś z moich okropnych kobiet zacznie wam się naprzykrzać, to odpędźcie ją jak kota. – Z każdego kielicha zaczęła się unosić smuzka błękitnego oparu.

Selvena staranniej ułożyła wokół siebie na dywanie suknię, puszczając uwagę ojca mimo uszu z obojętnością wskazującą im długoletnie doświadczenie w tym względzie. Do pokoju weszła jej matka – schludna, zadbana, pewna siebie kobieta stanowiąca zupełne przeciwieństwo osoby opisanej przez Rovigo „Pod Ptakiem” – w towarzystwie Alais i starszego służącego. Po chwili boczny stół uginał się od różnych dań.

Devin przyjął od Rovigo kielich z lodowatym winem i zachwycił się jego czystym bukietem. Oparł się wygodnie w fotelu, gotów do spędzenia następnych kilku chwil w pełnej błogości. Pod spojrzeniem matki Selvena wstała, ale tylko po to, by napełnić talerz dla Devina. Przyniosła mu go z uśmiechem i znów usiadła na dywanie, odrobinę bliżej niż poprzednio. Alais obsługiwała Alessanowi i Catrianie, a dwie młodsze córki usiadły na podłodze przy ojcu. Wymierzył każdej z nich żartobliwie karcącego szturchańca.

Devin chyba nigdy nie widział człowieka tak wyraźnie zadowolonego z życia, z miejsca, które w nim zajął. Musiało to być widoczne w jego pełnym rozbawienia, ironicznym spojrzeniu, bo Rovigo wzruszył ramionami.

– Córki – jęknął, ze smutkiem potrząsając głową.

– Ociężałe fikanie koziołków – przypomniał mu Devin, patrząc wymownie na żonę kupca. Rovigo skrzywił się. Alix usłyszała, o czym mówią, na jej ustach zagościł porozumiewawczy uśmiech.

– Znów to samo, prawda? – powiedziała, przechylając głowę na bok. – Niech zgadnę: miałam słoniowe rozmiary i złośliwy charakter, a uroda naszych czterech dziewcząt nie złożyłaby się nawet na jedną znośnie wyglądającą kobietę. Mam rację?

Devin roześmiał się i spojrzał na Rovigo, który bez śladu skruchy z dumą patrzył na żonę.

– Całkowitą – powiedział Devin do Alix – ale muszę powiedzieć na jego obronę, że nigdy nie słyszałem, żeby ktoś opowiadał takie rzeczy z dużym zadowoleniem.

Został nagrodzony szczerym śmiechem Alix i cudownie poważnym uśmiechem, który posłała mu przez ramię zajęta przy stole Alais.

Rovigo uniósł kielich, zataczając nim kółka, by lodowaty dymek ułożył się w powietrzu we wzór.

– Czy wzniesiecie ze mną toast za pamięć o diuku i za chwałę muzyki? Nie wznoszę błękitnym winem toastów za błahostki.

– Ani ja – powiedział cicho Alessan i uniósł swój kielich. – Za pamięć – dodał z namysłem. – Za Sandre d’Astibar. Za muzykę. – A potem powiedział jeszcze coś półgłosem i umoczył usta w winie.

Devin dopiero trzeci czy czwarty raz w życiu zaznał zdumiewająco bogatego, zimnego smaku błękitnego astibarskiego. W całej Dłoni nie było podobnego trunku i fakt ten odzwierciedlała cena wina. Spojrzał na Rovigo i uniósł kielich w jego kierunku.

– Za was wszystkich – rzekła niespodziewanie Catriana. – Za uprzejmość na ciemnej drodze. – Uśmiechnęła się bez cienia uszczypliwości. Devin był zaskoczony, lecz po chwili uznał, że niesłusznie.

„Nie na tej drodze, którą kroczę” – powiedziała w pałacu Sandrenich. Teraz już rozumiał, co miała na myśli. Mimo bowiem jej wysiłków, żeby go przed tym powstrzymać, on też wstąpił na

tę drogę. Spróbował spojrzeć jej w oczy, lecz bez powodzenia. Rozmawiała z siedzącą obok niej Alix. Devin zajął się jedzeniem.

W chwilę potem Selvena delikatnie dotknęła jego stopy.

– Zaśpiewasz nam? – zapytała z uroczym uśmiechem. Nie zabrała ręki. – Alais cię słyszała i moi rodzice też, ale my trzy byliśmy przez cały dzień w domu.

– Selveno! – ostro wymówione imię padło jednocześnie z ust matki i starszej siostry. Selvena wzdrygnęła się jak od uderzenia, ale Devin spostrzegł, że przygryzając wargę, zwróciła się do ojca, który patrzył na nią poważnym wzrokiem.

– Serce moje – powiedział głosem zupełnie odmiennym od poprzedniego kpiarskiego tonu – musisz się nauczyć pewnej rzeczy. Nasi przyjaciele zarabiają graniem i śpiewem na życie. Są dzisiaj naszymi gośćmi. Nie prosi się gości, żeby pracowali w domu gospodarza, światłości moich dni. – Oczy Selveny napełniły się łzami. Dziewczyna pochyliła głowę.

Tym samym poważnym tonem Rovigo zwrócił się do Devina:

– Przyjmiesz moje przeprosiny? Zapewniam cię, że powiedziała to w dobrej wierze.

– Ależ wiem o tym – odparł Devin. Selvena cicho pociągała nosem. – Nie trzeba żadnych przeprosin.

– Tak jest, nie trzeba – dodał Alessan, odstawiając talerz. – Rzeczywiście utrzymujemy się z muzyki, ale gramy także dlatego, że oznacza to pełnię życia. Grania wśród przyjaciół nie uważamy za pracę, Rovigo.

Selvena otarła oczy i spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Z chęcią zaśpiewam – rzekła Catriana. Spojrzała przelotnie na Selvenę. – Chyba że miałaś na myśli tylko Devina?

Devin skrzywił się, chociaż ten cios nie był wymierzony w niego. Selvena znów się wzdrygnęła, po raz drugi w ciągu paru minut mocno zmieszana. Kątem oka Devin dostrzegł intrygującą minę Alais.

Selvena zaczęła gorąco zapewniać, że oczywiście miała na myśli wszystkich troje. Alessan sprawiał wrażenie rozbawionego całym zajściem. Patrząc na niego, Devin nagle poczuł, że ten odprężony, towarzyski mężczyzna jest co najmniej w takim samym stopniu księciem Tigany, jak człowiek, którego widział w leśnej chacie, prowadzący swą sprawę z arogancką precyzją.

On w ten sposób ucieka, pomyślał nagle Devin. Od razu, gdy ta myśl przyszła mu do głowy, wiedział, że to prawda. Słyszał przecież Elegię dla Adaona w jego wykonaniu.

– Skoro jesteście na tyle łaskawi, żeby ulec rozkapryszonemu dziecku, do którego ojcostwa przyznaję się z rumieńcem wstydu – powiedział Rovigo, uśmiechając się do Catriany – to przypadkiem mam w domu tregeańską fletnię, Triada jedna wie po co. Przypominam sobie, że kiedyś jako zaślepiony ojciec wyobrażałem sobie, że jedno z tych stworzeń wykaże się może jakimś talentem.

Stojąca dalej Alix żartobliwie zamachnęła się na niego łyżką. Rovigo odzyskał już jednak dobry humor i nie tracąc kontenansu, wysłał najmłodszą córkę po fletnię, a sam zajął się uzupełnianiem zawartości kielichów.

Devin zauważył, że siedząca przy ogniu Alais patrzy na niego. Odruchowo uśmiechnął się. Nie odpowiedziała mu uśmiechem, lecz nie odwróciła łagodnego i poważnego spojrzenia. Poczł gwałtowne uderzenia serca.

Po kolacji przez ponad godzinę śpiewał z Catrianą do wtóru fletni Alessana. Kiedy zaczęli jedną z porywających starych ballad góralskich z Certando, Rovigo na krótko wyszedł z pokoju, po czym wrócił z dwoma połączonymi senziańskimi bębenkami. Nieśmiało i początkowo bardzo cicho włączył się do refrenu, grając – zdaniem Devina – równie dobrze, jak robił wszystko inne. Catriana obdarzyła go szczególnie promiennym uśmiechem. To wystarczyło, by go zachęcić do akompaniowania im przy następnej piosence, a potem jeszcze jednej.

Devin pomyślał, że żadnemu mężczyźnie nie trzeba większej zachęty niż takie spojrzenie owych błękitnych oczu, by dokonał nawet rzeczy niemożliwych. Co prawda Catrianą nigdy tak na niego nie spojrzała. Nagle poczuł lekki zamęt w głowie.

Ktoś – na pewno Alais – napelnił mu kielich po raz trzeci. Wypił go nieco za szybko, zważywszy na legendarną moc błękitnego wina, po czym zaintonował kolejną piosenkę. Nie bacząc na protesty dwóch najmłodszych dziewcząt, Alix zarządziła, że zaraz po niej pójda spać.

Devin nie mógł śpiewać o Tiganie i nie miał najmniejszego, zamiaru śpiewać o namiętności czy miłości, zaczął więc bardzo starą pieśń o Eannie stwarzającej gwiazdy i zapamiętującej po kolei ich nazwy, by nic nie zaginęło lub nie zostało zapomniane w głębi przestrzeni lub czasu.

Tylko w ten sposób mógł wyśpiewać, jakie znaczenie miała dla niego ta noc i dlaczego w końcu wybrał drogę, którą wybrał.

Kiedy zaczął śpiewać, zamyślony Alessan popatrzył na niego ze zrozumieniem, spojrzenie Catriany zaś miało w sobie coś tajemniczego. Tym razem Rovigo zasłuchał się i nie towarzyszył im na bębenkach. Devin zauważył, że Alais obserwuje go w skupieniu. Jej czarne włosy podświetlał od tyłu blask płomieni. Jedną zwrotkę zaśpiewał całą wprost do niej, lecz potem, wierny pieśni, skierował spojrzenie do wewnątrz, gdzie zawsze znajdował najczystsza muzykę, i nie patrzył już na nikogo, śpiewając dla samej Eanny hymn na cześć nazw i obdarzania nimi.

W pewnej chwili ujrzał w myślach jasny obraz wiszącej wysoko na czarnym niebie błękitnobiałej gwiazdy nazywającej się Micaela i dał się ponieść przejmującej sile tej wizji wysoko, ku głosowi Catriany, a potem miękko opadł ku finałowi.

W atmosferze kojącego spokoju Selvena i jej dwie młodsze siostry poszły do łóżek nad podziw posłusznie. Po chwili wstała także Alix i, ku rozczarowaniu Devina, Alais.

Odwróciła się w drzwiach i spojrzała na Catrianę.

– Na pewno jesteś bardzo zmęczona – powiedziała córka Rovigo. – Jeśli chcesz, mogę cię

zaprowadzić do twojego pokoju. Mam nadzieję, że zgodzisz się dzielić go ze mną. Zwykle śpi ze mną Selvena, ale dzisiaj poszła do dziewczynek.

Devin spodziewał się, że takie dość jasne rozdzielanie kobiet i mężczyzn wywoła ze strony Catriany co najmniej sprzeciw. Znów go zaskoczyła, gdyż wstała prawie bez wahania.

– Rzeczywiście, jestem zmęczona i nie mam nic przeciwko wspólnemu pokojowi – odparła.
– Będzie mi to przypominało dom.

Devin, który uśmiechnął się na myśl o ironii sytuacji, nagle doszedł do wniosku, że wyraz jego twarzy jest niezupełnie odpowiedni. Catriana jednak dostrzegła uśmiech i Devinowi zrobiło się nieswojo. Na pewno źle go zrozumiała. Z poczuciem nierzeczywistości sytuacji przypomniał sobie, że jeszcze tego rana się kochali.

Przez pewien czas po wyjściu kobiet trzech mężczyzn siedzieli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. W końcu Rovigo podniósł się, dopełnił kielichy resztą wina i dołożył do ognia. Z westchnieniem usiadł w fotelu i bawiąc się kielichem, spoglądał na swych gości.

Milczenie przerwał Alessan.

– Devin jest przyjacielem – powiedział cicho. – Możemy rozmawiać, Rovigo. Co prawda obawiam się, że będzie na nas obu strasznie zły.

Devin wyprostował się gwałtownie i odstawił kielich. Rovigo spojrział na niego, układając usta jakby do uśmiechu, po czym spokojnie zwrócił wzrok ku Alessanowi.

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział. – I nawet podejrzewałem, że w tych okolicznościach może być z nami. – Alessan też się uśmiechał. Obaj odwrócili twarze do Devina.

Poczuł, że się czerwieni. Myślami gorączkowo przebiegł wydarzenia poprzedniego dnia. Spojrział gniewnie na Rovigo.

– Nie spotkaliśmy się „Pod Ptakiem” przypadkowo. Wysłał cię Alessan. Kazałeś mu za mną iść, tak? – zwrócił się oskarżycielskim tonem do księcia.

Tamci dwaj wymienili spojrzenia, po czym Alessan odpowiedział:

– Owszem – przyznał. – Miałem pewne podejrzenia, że zbliżają się uroczystości pogrzebowe Sandre d’Astibar i że możemy zostać poproszeni na przesłuchanie. Nie mogłem sobie pozwolić na stracenie cię z oczu, Devinie.

– Szedłem za tobą prawie przez całą Ulicę Świętyń – dodał Rovigo. Devin zauważył, że przynajmniej wygląda na zawstydzonego.

Ale i tak był wściekły i miał zamęt w głowie.

– A zatem całe to twoje gadanie o odwiedzaniu tawerny „Pod Ptakiem”, ilekroć wracasz z podróży, okazuje się kłamstwem.

– Nie, to akurat jest prawdą – rzekł Rovigo. – Wszystko, co mówiłem, jest prawdą. Kiedy sytuacja zmusiła cię do zejścia na nabrzeże, trafiłeś do miejsca, które znam bardzo dobrze.

– A Catriana? – Devin nie dawał za wygraną. – Co z nią? W jaki sposób...

– Kiedy zobaczyłem, że stary Goro pozwolił ci zostać u siebie, opłaciłem chłopca, żeby pobiegł z wiadomością do twojej gospody. Nie złość się, Devinie. Każde posunięcie miało swój cel.

– To prawda – dorzucił Alessan. – Teraz powinienes już coś z tego zrozumieć. Znalazłem się z Catriana w Astibarze z trupą Menico jedynie dlatego, że spodziewałem się pewnych wydarzeń związanych ze śmiercią Sandre.

– Chwileczkę! – zawołał Devin. – Spodziewałeś się? Skąd wiedziałeś, że ma umrzeć?

– Rovigo mi powiedział – odrzekł Alessan z prostotą. Zapaliło krótkie milczenie. – Od dziewięciu lat przekazuję mi wiadomości z Astibaru. Wyrobiłem sobie wtedy o nim takie samo zdanie, jak ty wczoraj, i to równie szybko.

Oszołomiony Devin spojrział na kupca, z którym poprzedniego dnia zawarł przygodną znajomość – wcale nie tak przygodną, jak się okazało. Rovigo odstawił swój kielich.

– Myślę o tyranach to samo co ty – powiedział cicho. – O Alberico tutaj czy Brandinie z Ygrathu rządzącym w Chiarze, Corte, Asoli i w tej prowincji, z której pochodzi Alessan, a której nazwy nie potrafię dosłyszeć czy zapamiętać, choćbym nie wiem jak się starał.

Devin przełknął ślinę.

– A diuk Sandre? – zapytał. – Skąd wiedziałeś...?

– Szpiegowałem ich – odparł spokojnie Rovigo. – To nie było trudne. Obserwowałem postępowanie Tomasso. Wszystko kręciło się wokół Alberico, byłem tu, w distradzie, ich sąsiadem, łatwo mi było zakraść się na ich ziemię. Wiele lat temu odkryłem mistyfikację Tomasso i – chociaż nie powiem, że bym był z tego dumny – w zeszłym roku wiele nocy spędziłem pod oknami ich dworu i domku myśliwskiego, kiedy omawiali szczegóły śmierci Sandre.

Devin rzucił spojrzenie Alessanowi. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

Alessan kiwnął głową.

– Dziękuję – powiedział i zwrócił się do Rovigo: – Tak jak i poprzednio, jest teraz kilka spraw, których dla własnego bezpieczeństwa nie powinienes znać. Chyba już wiesz, że nie chodzi tu o brak zaufania do ciebie.

– Po dziewięciu latach już się o tym przekonałem – mruknął Rovigo. – A co powinienem wiedzieć o wydarzeniach dzisiejszej nocy?

– Tuż po tym, jak przyszedłem do Tomasso i pozostałych żałobników, w chacie pojawił się Alberico. Ostrzegli nas Baerd i Catriana, więc miałem czas, żeby się ukryć – razem z Devinem, który przybył do chaty na własną rękę.

– Na własną rękę? Jak to? – zapytał ostrym tonem Rovigo.

Devin uniósł głowę.

– Mam własne źródła informacji – powiedział z godnością. Kątem oka dostrzegł na twarzy Alessana uśmiech i nagle poczuł się jak głupiec. Dodał z zakłopotaniem: – W przerwie obrzędów podsłuchiwałem rozmowę Sandrenich na pierwszym piętrze pałacu.

Rovigo wyglądał, jakby chciał zadać jeszcze jakieś pytania, ale spojrzawszy na Alessana, zmilczał. Devin był mu za to głęboko wdzięczny.

Alessan ciągnął:

– Kiedy wróciliśmy potem do chaty, znaleźliśmy w niej ciała żałobników. Tomasso jest w rękach Alberico. Baerd tam został, żeby jeszcze tej nocy zająć się kilkoma sprawami. Później spali chatę.

– Wyjeżdżając z miasta, minęliśmy jakichś Barbadiorczyków – rzekł cicho Rovigo, starając się uporządkować poznane fakty. – Widziałem wśród nich Tomasso bar Sandre. Bałem się o ciebie, Alessanie.

– I słusznie – odparł sucho Alessan. – Mieli informatora. Młody Herado, syn Gianni, był na usługach Alberico. Na twarzy Rovigo pojawił się wyraz niedowierzania.

– Ktoś z rodziny? Niech go za to Moriana skaże na wieczne ciemności! – rzekł schrypniętym głosem. – Jak on mógł zrobić coś takiego?

Alessan wzruszył nieznacznie ramionami, jak to miał w zwyczaju.

– Nie sądzisz, że od czasu nastania tyranów wiele się zmieniło?

Zapadła cisza. Rovigo próbował otrząsnąć się z szoku i wściekłości. Devin kaszlnął nerwowo i zapytał:

– A czy twoja rodzina...

– One nic o tym nie wiedzą – odparł kupiec, odzyskując spokój. – Ani Alix, ani żadna z dziewcząt nigdy przedtem nie widziały Alessana i Catriany. Ja sam poznałem Alessana i Baerda w Tregei dziewięć lat temu. W ciągu długiej nocy odkryliśmy, że mamy pewne wspólne marzenia i wspólnych wrogów. Wyjawili mi nieco ze swych zamierzeń, a ja powiedziałem im, że chętnie pomogę w ich realizacji, ale bez niepotrzebnego narażania żony czy córek. Robiłem co w mojej mocy, i nadal zamierzam. Mam nadzieję, że dożyję dnia, w którym będę mógł dosłyszeć przysięgę, jaką składa Alessan, pijąc błękitne wino.

Ostatnie słowa wypowiedział cicho, lecz z wyraźną tkliwością. Devin spojrzał na księcia, przypominając sobie niedosłyszalne słowa, które ten wymruczał przed wypiciem wina.

Alessan popatrzył spokojnie na Rovigo.

– Jest jeszcze coś, o czym powinienes wiedzieć: Devin jest jednym z nas nie tylko z oczywistych względów. Dowiedziałem się o tym przypadkowo wczoraj po południu. On też urodził się w mojej prowincji przed jej zagładą. Dlatego znalazł się tutaj.

Rovigo milczał.

– Co to za przysięga? – zapytał Devin i dodał nieśmiało: – Czy to coś, o czym powinienem wiedzieć?

– To bez znaczenia w ogólnym planie działań. Ja tylko wypowiedziałem własne życzenie. – Alessan mówił powoli i bardzo wyraźnie. – Zawsze tak robię. Powiedziałem: „Tigano, niech moje wspomnienie o tobie będzie niczym nóż wbity w moje serce”.

Devin zamknął oczy. Te słowa i ten głos. Nikt nic nie powiedział. Devin uniósł powieki i spojrzał na Rovigo.

Kupiec zmarszczył brwi w bolesnej konsternacji.

– Przyjacielu, Devin powinien to zrozumieć – powiedział łagodnie Alessan. – To część jego dziedzictwa. Co usłyszałeś?

Rovigo machnął bezradnie ręką.

– To samo, co za pierwszym razem, owej nocy przed dziewięciu laty, kiedy przerzuciliśmy się na błękitne. Usłyszałem, że prosisz, żeby wspomnienie czegoś było niczym nóż wbity w twoje ciało. W twoje serce. Ale nie dosłyszałem... znowu umknął mi sam początek.

– Tigano – powtórzył Alessan z czułością, wyraźnie niczym dźwięk wydawany przez trącony kryształ.

Devin zobaczył, że na twarzy Rovigo maluje się jeszcze większe zmieszanie i przerażenie. Kupiec sięgnął po swój kielich i osuszył go.

– Czy mógłbyś... jeszcze raz?

– Tigano – powiedział Devin, nim Alessan zdążył otworzyć usta. Po to, by uczynić to dziedzictwo, tę rozpacz leżącą u podłoża za wszystkiego bardziej osobistą, tak jak powinno być. Ziemia ta bowiem była jego ziemią i jej nazwa stanowiła część jego imienia. Zostało mu to odebrane.

– Niech moje wspomnienie o tobie będzie niczym nóż wbity w moje serce – powiedział głosem załamującym się pod koniec, chociaż bardzo się starał mówić tak spokojnie jak Alessan.

Rovigo, zdezorientowany i wyraźnie strapiiony, potrząsnął głową.

– I stoi za tym magia Brandina? – zapytał.

– Tak – odparł Alessan.

Po chwili Rovigo westchnął i opadł na oparcie fotela.

– Przepraszam – powiedział. – Wybaczcie mi. Nie powinienem pytać. Otworzyłem jakąś ranę.

– Przecież to ja zapytałem – rzekł szybko Devin.

– Ta rana zawsze jest otwarta – dorzucił po chwili Alessan. Na twarzy Rovigo malowało się niezwykle współczucie. Trudno było pamiętać, że to ten sam człowiek, który żartował o senziańskich wieśniakach jako mężach dla swoich córek. Kupiec nagle wstał i znów zaczął dokładać do ognia, chociaż palił się równym płomieniem. Devin spojrzał na Alessana. Książę

popatrzył mu w oczy, lecz obaj milczeli. Alessan uniósł nieco brwi i lekko wzruszył ramionami w znanym już Devinowi geście.

– A zatem co teraz zrobimy? – zapytał Rovigo d’Astibar. Twarz miał zaczerwienioną, być może od ognia. – Niepokoi i mnie to tak bardzo, jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Nie lubię magii, a szczególnie takiej. Jest dla mnie sprawą pewnej... wagi móc kiedyś usłyszeć to, czego możliwości usłyszenia zostałem pozbawiony.

Devin znów poczuł przypływ ożywienia, uczucia, które na zmianę z innymi rządziło nim tej nocy. Uraza z powodu oszukania go „Pod Ptakiem” zupełnie zniknęła. Z tymi dwoma oraz z Baerdem i diukiem należało się liczyć pod każdym względem, a snuli oni plany mogące zmienić mapę Dłoni, całego i świata. Devin był z nimi, był jednym z nich i podążał za marzeniem o wolności. Pociągnął długi łyk błękitnego wina.

Alessan miał jednak zatroskaną twarz. Wyglądał, jakby dźwigał trudny do uniesienia ciężar. Powoli odchylił się w fotelu, przeczesując dłonią splecione włosy, i w milczeniu długo patrzył na Rovigo.

Devin wodził wzrokiem od jednego do drugiego i znów czuł się zagubiony. Ożywienie opuściło go równie szybko, jak się pojawiło.

– Rovigo, czy nie dość już wciągaliśmy cię w nasze sprawy? – zapytał w końcu Alessan. – Muszę przyznać, że jest to dla mnie trudniejsze teraz, gdy poznałem twoją żonę i córki. Zbliżający się rok może przynieść wielkie zmiany i o wiele większe niebezpieczeństwa. Dzisiejszej nocy zginęło w tamtej chacie czterech ludzi, a sądzę, że wiesz równie dobrze jak ja, ilu poniesie śmierć na barbadiorskich kołach w Astibarze w nadchodzących tygodniach. Mieć uszy otwarte tutaj i podczas twoich podróży, śledzić ukradkiem poczynania Alberico i Sandre, spotykać się ze mną i z Baerdem, przykładać dłoń do dłoni i po przyjacielsku rozmawiać – to jedno. Lecz opowieść ta zmienia swój bieg i bardzo się boję narazić cię na niebezpieczeństwo.

Rovigo skinął głową.

– Spodziewałem się, że powiesz coś takiego. Wdzięczny ci jestem za troskę. Ale ja podjąłem tę decyzję już dawno, Alessanie. Nie oczekuję, że wolność można odnaleźć czy zdobyć za darmo. Powiedziałaś trzy dni temu, że nadchodząca wiosna może być punktem zwrotnym dla nas wszystkich. Jeśli mogę w jakiś sposób pomóc w zbliżających się dniach, musisz mi powiedzieć. – Po chwili wahania dodał: – Kocham moją żonę także dlatego, że gdyby była z nami i o wszystkim wiedziała, na pewno poparłaby każde moje słowo.

Niepokój nie zniknął z twarzy Alessana.

– Ale jej tu nie ma i nic nie wie o naszych planach – rzekł. – A co z twoimi dziewczętami? Jak mogę od ciebie żądać, byś je narażał na niebezpieczeństwo?

– A jak możesz decydować za mnie czy za nie? – odparł cicho, lecz bez wahania Rovigo. – Gdybyś to zrobił, to gdzie byłby nasz wybór, nasza wolność? Oczywiście nie chciałbym robić

niczego, co narazi je na rzeczywiste niebezpieczeństwo, nie mogę też całkowicie zaprzestać prowadzenia interesów. Lecz czy w tych granicach nie mógłbym wam zaoferować jakiejś pomocy?

Pojmując w końcu źródło wątpliwości Alessana, Devin zachowywał ponure milczenie. Było to coś, do czego nie przykładał żadnej wagi, a z czym Alessan zmagał się cały czas. Poczul się skarcony i otrzeźwiony.

„Wszystko, co robimy, sprowadza na kogoś niebezpieczeństwo”, powiedział ksiązę w lesie, mówiąc o Menico. Teraz Devin zaczynał rozumieć bolesną rzeczywistość.

Nie chciał, żeby tym ludziom stało się coś złego. Nie czuł już żadnego ożywienia, a tylko dojmujący smutek, którego miał zaznać jeszcze wiele razy, podążając drogą, którą właśnie odnalazł. Zdał sobie sprawę, jak bardzo oddala go ona niemal od każdego, kogo mógłby na niej napotkać. Nawet od przyjaciół. Znow pomyślał o Catrianie w pałacu i teraz rozumiał ją lepiej niż jeszcze przed godziną.

Devin milczał. Wpatrywał się w chwilowo bezbronną twarz Alessana i zobaczył, jak ksiązę z trudem podejmuje decyzję, patrzył, jak bierze głęboki oddech, jakby kładł sobie na ramiona kolejny ciężar, który był ceną jego pochodzenia.

Alessan uśmiechnął się dziwnym, smutnym uśmiechem.

– Właściwie mógłbyś – powiedział do Rovigo. – Rzeczywiście jest coś, w czym mógłbyś nam pomóc. – Zawahał się, a potem z lekka uśmiechnął. – Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek – powiedział rozmyślnie swobodnym tonem – nad przyjęciem wspólników?

Rovigo wydawał się zakłopotany, lecz trwało to tylko chwilę.

– Rozumiem – rzekł. – Potrzebny ci dostęp do pewnych miejsc.

Alessan skinął głową.

– Owszem, a poza tym jest nas teraz więcej. Mamy Devina, a przed nadejściem wiosny mogą dołączyć inni. Teraz będzie inaczej niż wtedy, kiedy był tylko Baerd i ja. Rozmyślałem o tym od chwili, kiedy przystąpiła do nas Catriana.

Mówił szybciej i ostrzejszym tonem, który Devin pamiętał z chaty. To był mężczyzna, którego zobaczył tam po raz pierwszy.

– Prowadząc razem interes, będziemy mieli lepszy pretekst do wymiany wiadomości, a tej zimy będę ich potrzebował regularnie. Jako partnerzy mamy powód do korespondencji w każdej sprawie związanej z handlem. Oczywiście wszystkie sprawy są związane z handlem.

– W rzeczy samej – rzekł Rovigo, nie spuszczać oczu z twarzy Alessana.

– Będziemy mogli kontaktować się bezpośrednio, jeśli masz takie możliwości, albo przez Taccio w Ferraut. – Rzucił spojrzenie Devinowi. – Nawiasem mówiąc, znam Taccio, to też nie był zbieg okoliczności. Chyba już się tego domyśliłeś?

Devin w ogóle o tym nie myślał, ale zanim zdołał coś odpowiedzieć, Alessan znow zwrócił

się do Rovigo.

– Zakładam, że masz kurierów, którym możesz ufać? – Rovigo skinął głową. – Bo widzisz, problem w tym, że chociaż nadal moglibyśmy podróżować jako muzycy, po dzisiejszym występie wszędzie będziemy sławni. Gdybym pomyślał o tym zawczasu, trochę bym sam fałszował albo powiedziałbym Devinowi, żeby nieco mniej się starał.

– Nie zrobiłbyś tego – powiedział cicho Devin. – Mógłbyś zrobić wiele rzeczy, ale nie zepsułbyś muzyki.

Alessan skwitował celność tej uwagi drgnięciem warg. Rovigo uśmiechnął się.

– Może i tak – mruknął książe. – Nasz występ był jednak czymś specjalnym, prawda?

Zapadło krótkie milczenie. Rovigo wstał i dołożył do ognia jeszcze jedno polano.

– To ma sens – rzekł Alessan. – Są pewne miejsca i pewne działania, które byłyby nieodpowiednie dla muzyków, szczególnie dla dobrze znanych muzyków. Jako kupcy będziemy mieli do tych miejsc łatwiejszy dostęp.

– Mówisz o wyspach? – zapytał cicho Rovigo ze swego miejsca przy kominku.

– Być może – zgodził się Alessan. – Jeśli do tego dojdzie. Chociaż w tym przypadku na dwoje babka wróżyła – dwór Brandina na Chiarze kocha artystów. To daje nam jednak drugą możliwość, a ja lubię mieć ich kilka. Zdarzało się już, że osoba, w którą się wcieliłem, musiała zniknąć lub umrzeć. – Mówił cichym, trzeźwym głosem. Pociągnął łyk wina.

Po chwili zwrócił się do Rovigo, który głaskał się teraz po brodzie świetnie udanym gestem przebiegłego i skąpego handlarza.

– No cóż – odezwał się kupiec przymilnym tonem – uczyniliście mi bardzo... interesującą propozycję, panowie. Muszę jednak zadać wam kilka wstępnych pytań. Alessana znam już od pewnego czasu, ale rozumiecie, że taki problem wcześniej nigdy się nie pojawił. – Zmrużył oczy w przesadnym grymasie chciwości. – Czy wiecie cokolwiek o prowadzeniu interesów?

Alessan parsknął śmiechem, lecz szybko odzyskał powagę.

– Masz jakieś pieniądze pod ręką? – zapytał.

– Mój statek dopiero co wpłynął do portu – odpowiedział Rovigo. – Mam gotówkę z transakcji z dwóch dni i łatwy do zdobycia kredyt na poczet zysków z kilku przyszłych tygodni. Dlaczego pytasz?

– Sugerowałbym w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin zakup rozsądnej ilości zboża. Jeśli możesz, wolałbym właściwie, żebyś je kupił w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Mogę to zrobić – powiedział Rovigo po chwili zastanowienia. – A moje środki są na tyle ograniczone, że żaden zakup nie będzie zbyt duży. Mam też kontakt – rządcę gospodarstw Nievolenich, które leżą nad granicą z Ferraut.

– Nie od Nievolenich – powiedział szybko Alessan.

Zapadło milczenie. Rovigo powoli skinął głową.

– Rozumiem – rzekł, po raz kolejny zaskakując Devina swoją bystrością. – Sądysz, że po Świącie Winorośli możemy spodziewać się pewnych konfiskat?

– Możecie – odparł Alessan. – Oprócz innych jeszcze mniej przyjemnych spraw. Kupisz zboże gdzie indziej?

– Da się zrobić. – Rovigo powiódł wzrokiem od Alessana do Devina i z powrotem. – A zatem czworo wspólników – powiedział sucho. – Wasza trójka i Baerd, tak?

Alessan skinął głową.

– Prawie masz rację, bo będzie nas pięcioro. Jest jeszcze ktoś, z kim powinniśmy dzielić nasze zyski, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. – Rovigo wzruszył ramionami. – To nie zmienia wielkości mojej działki. Czy poznam tę osobę?

– Mam nadzieję, że tak, prędzej czy później – powiedział Alessan. – Myślę, że będziecie z siebie nawzajem zadowoleni.

– Świetnie – rzekł krótko Rovigo. – W takiej spółce zwykle dwie trzecie przypadają dla inwestującego pieniądze, a jedna trzecia dla tych, którzy podróżują i poświęcają swój czas. Opierając się na tym, co mi powiedzieliście, zakładałam, że będziecie mogli dostarczać mi wiadomości szczególnie cenne dla naszego przedsięwzięcia. Proponuję podział zysków ze wszystkich transakcji, jakie wspólnie przeprowadzimy, po połowie. Co wy na to?

Patrzył na Devina. Devin odpowiedział z największym spokojem, na jaki go było stać:

– Przyjmujemy.

– To bardziej niż uczciwa oferta – zgodził się Alessan. Na jego twarzy znów zagościł niepokój i wyglądało, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć.

– A więc załatwione – rzekł szybko Rovigo. – Dość słów, Alessanie. Pojedziemy jutro do miasta, żeby formalnie spisać i przypieczętować umowę. Dokąd ruszacie po święcie?

– Chyba do Ferraut – powiedział powoli Alessan. – Możemy dyskutować, co potem, ale mam tam coś do zrobienia i pomyśl na pewną transakcję z Senzio, który jest wart rozważenia.

– Ferraut? – powiedział Rovigo, jakby nie usłyszał późniejszych uwag. Na jego twarzy powoli rozlał się uśmiech. – Ferraut! To wspaniale. Absolutnie wspaniale! Od razu możecie zaoszczędzić nieco naszych pieniędzy. Dostaniecie ode mnie wóz i wszyscy będziecie mogli zawieźć Ingonidzie jej nowe łoże!

* * *

Idąc na górę po schodach, Alais nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak szczęśliwa. Teraz tyle rzeczy działo się naraz.

Rovigo wrócił do domu po dłuższej niż zwykle podróży wzdłuż wybrzeża. Bez względu na

to, ile razy zapewniał je o swojej ostrożności, Alix i Alais zawsze się niepokoiły, kiedy wyprawiał się na południe od gór, do Quilei. A na dodatek ta wyprawa wypadła bardzo późno, w porze jesiennych wichrów. Teraz jednak Rovigo był w domu, a z jego powrotem zbiegło się, dłoń w dłoń, Święto Winorośli. Alais zachwycała się każdą chwilą dnia i wieczoru, chłonęła wszystko szeroko otwartymi, czujnymi oczyma.

Na zatłoczonym placu przed pałacem Sandrenich stała tego poranka zupełnie nieruchomo, słuchając w nienaturalnej ciszy panującej wśród zgromadzonych ludzi czystego głosu wzbijającego się z wewnętrznego dziedzińca. Głosu, który opłakiwał śmierć Adaona wśród cedrów Tregei tak przejmująco, że Alais dławiliły łzy wzruszenia. Zamknęła wtedy oczy.

Kiedy Rovigo mimochodem wspomniął, że poprzedniego dnia pił wino z jednym ze śpiewaków biorących udział w uroczystościach żałobnych diuka, Alais poczuła się dumna. Powiedział też, że zaprosił tego młodzieńca do domu, żeby poznał jego cztery niezdarne latorośle. Alais nie przejmowała się uszczypliwością ojca, a nawet czułaby, że coś jest nie w porządku, gdyby wyrażał się o córkach inaczej. Ani ona sama, ani żadna z siostr nie miała najmniejszych wątpliwości co do uczuć ojca. Wystarczyło tylko spojrzeć mu w oczy.

W drodze powrotnej do domu, kiedy w pobliżu ich bramy zawołał do nich w ciemności jakiś głos, Alais naprawdę się przestraszyła, tym bardziej że poprzednio była już zdenerwowana huraganowym przejazdem barbadiorskich żołnierzy, którym musieli ustąpić drogi pod murami miasta.

Jednak potem, kiedy jej ojciec odpowiedział i Alais stopniowo zdała sobie sprawę, z kim on rozmawia, serce zamarło jej z wrażenia, a policzki poczerwieśniały zdradzieckim rumieńcem.

Muzycy przyjęli zaproszenie, Alais zaś starała się opanować emocje, by zaprezentować się tak, jak przystało na najstarszą i najroztropniejszą córkę Rovigo.

W domu było jej łatwiej, bo w chwili, gdy obaj zaproszeni mężczyźni przestąpili próg, Selvena – co było do przewidzenia wpadła w gorączkę dziewczęcej zalotności, w swój samiczy szal. Jej zachowanie było dla starszej siostry tak krepująco przejrzyste, że natychmiast zmusiło ją do zwykłego dla niej czujnego dystansu. Przez większą część roku Selvena zasypiała z płaczem, bo coraz bardziej zanosilo się na to, że kiedy na wiosnę nadejdzie jej osiemnasty dzień nadania imienia, nadal będzie niezamężna.

Devin, ten śpiewak, okazał się niższy i wyglądał młodziej, niż się spodziewała. Był jednak zgrabny i gibki, często się uśmiechał i pod kędzierzawymi włosami miał bystre, inteligentne oczy. Wbrew temu, co mówił jej ojciec, spodziewała się też, że będzie arogancki czy pretensjonalny, lecz zachowanie Devina cechowała ujmująca naturalność.

Ten drugi, Alessan, wyglądał na starszego o jakieś piętnaście lat, może więcej. Czarne, splątane włosy przedwcześnie mu posiwiały na skroniach. Miał szczupłą, wyrazistą twarz o bardzo czystych, szarych oczach i wydatnych ustach. Trochę ją onieśmielał, choć od samego

początku swobodnie żartował z ojcem w sposób, jaki Rovigo lubił najbardziej.

Alais pomyślała, że może właśnie o to chodzi: niewielu ludzi, których poznała, potrafiło dotrzymać kroku jej ojcu, w żartach czy w czymkolwiek innym. A ten mężczyzna o ostrych rysach i kpiarskim wyrazie twarzy robił to z taką łatwością. Dziwiła się, świadoma, że ta myśl jest z jej strony dość arogancka, jak coś takiego mogło się udawać tregeańskiemu muzykowi. Z drugiej jednak strony niewiele wiedziała o muzykach.

Bardziej zaciekała ją towarzysząca im kobieta. Alais uznała, że Catriana jest piękna. Swoim imponującym wzrostem i niesamowicie niebieskimi oczyma pod burzą włosów – płonących niby drugi ogień w pokoju – sprawiała, że Alais czuła się mała, blada i bez wyrazu. Jednak w zestawieniu z natrętną kokieterią Selveny bardziej ją to uspokajało, niż niepokoiło – po prostu nie miała zamiaru współzawodniczyć. Nie uszło jej uwagi, że Catriana spostrzegła miękkie opadnięcie Selveny u stóp Devina, i przechwyciła sardoniczne spojrzenie, jakie rudowłosa śpiewaczka posłała swemu koledze.

Alais wyszła do kuchni, by pomóc przygotowywać posiłek. Wróciwszy do salonu, pomagała nakrywać do stołu, a potem słuchała i patrzyła, siedząc w ulubionym fotelu przy kominku. Później błogosławiła bezwstydną Selveny. Nikt inny z domowników nie odważyłby się prosić gości o śpiew.

Tym razem mogła patrzeć na śpiewaków, więc nie zamykała oczu. Raz, pod koniec pieśni, Devin zwrócił się bezpośrednio do niej i choć Alais gwałtownie się zarumieniła, zmusiła się do wytrzymania jego wzroku. Przez resztę tej ostatniej pieśni, o Eannie nadającej imiona gwiazdom, błądziła myślami po nie znanych sobie ścieżkach. Miała nadzieję, że inni przypiszą jej rumieniec ciepłu ognia.

Całe życie pilnie obserwowała ludzi, teraz więc jedna rzecz ją szczególnie zastanowiła. Między Devinem i Catriana coś było, lecz z pewnością nie miłość czy choćby czułość, jeśli dobrze te dwa pojęcia rozumiała. Od czasu do czasu popatrywali na siebie, zwykle kiedy drugie tego nie widziało, i te spojrzenia były raczej wyzywające niż zalotne. Ponownie napomniała się, że świat tych ludzi jest odległy od jej świata może nawet bardziej, niż jej się wydaje.

Młodsze dziewczynki pożegnały się na dobranoc. Selvena zrobiła to z wysoce podejrzanym brakiem sprzeciwu, dotykając przy tym, ku oburzeniu Alais, czubkami palców dłoni obu mężczyzn. Alais napotkała wzrok ojca i po chwili wstała za przykładem matki.

Catrianę zaprosiła do siebie całkiem spontanicznie. I natychmiast zdała sobie sprawę, jak się ośmieszyła w oczach tej kobiety – osoby tak niezależnej i tak swobodnie czującej się w towarzystwie mężczyzn. Wzdrygnęła się na myśl o swej prowincjonalnej niezręczności, przygotowana na odmowę. Catriana wstała jednak z miłym uśmiechem.

– Będzie mi to przypominało dom – powiedziała.

Kiedy obie wchodziły po schodach, mijając kinkiety i wiszące na ścianach draperie, które

przed laty przywiózł jej dziadek z podróży do Khardhun, Alais próbowała pojąć, dlaczego dziewczyna w tym samym wieku co ona wybrała tułaczkę po niekończących się drogach z niepewnymi noclegami, obfitującymi w długie noce i mężczyzn, którzy na pewno zakładali, że skoro znalazła się wśród nich, musi być łatwa. Usiłowała to zrozumieć, ale nie potrafiła. Mimo to, a może właśnie dlatego, jej szczerą naturą otworzyła się na tę drugą kobietę.

– Dziękuję za muzykę – powiedziała nieśmiało.

– To niewielka zapłata za waszą uprzejmość – odparła lekko Catriana.

– Większa niż przypuszczasz – rzekła Alais. – Tutaj jest nasz pokój. Cieszę się, że przypomina ci to dom... dobre wspomnienia. – Było to nieco wścibskie, ale miała nadzieję, że nie uraziła Catriany. Chciała porozmawiać z tą kobietą, zaprzyjaźnić się z nią, dowiedzieć się wszystkiego o życiu tak innym niż jej własne.

Weszły do dużej sypialni. Menka rozpała już ogień i pościeliła łóżka. Przygotowała nowe, grubo pikowane kołdry – Rovigo przemycił je z Quilei, gdzie zimy były o wiele ostrzejsze niż tu.

Catriana roześmiała się cicho, rozglądając się z uniesionymi brwiami po komnacie.

– Wspomnienia wywołuje wspólny pokój. Komnata to coś więcej, niż miałam w rybackiej chacie. – Alais zaczerwieniła się na myśl o popełnionym nietakcie, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Catriana odwróciła się do niej z nadal szeroko rozwartymi oczyma i swobodnie zapytała:

– Powiedz mi, czy będziemy musiały związać twoją siostrę? Jest taka rozpalona, że boję się, czy nasi mężczyźni przetrwają tę noc.

Policzki Alais spalił płomień rumieńca. Spostrzegła jednak uśmiech Catriany i sama głośno się roześmiała, pozbywając się niepokoju i poczucia winy.

– Jest wręcz okropna, prawda? Przynęła sobie, że jeśli do następnego Święta Winorośli nie będzie mężatką, to zabije się w jakiś strasznie dramatyczny sposób.

Catriana potrząsnęła głową.

– Znałam w domu podobne dziewczęta. Spotkałam też kilka takich na drogach. Nigdy nie potrafiłam ich zrozumieć.

– Ja też nie – powiedziała Alais nieco zbyt szybko. Catriana zerknęła na nią. Alais zaryzykowała nieśmiały uśmiech. – Mamy chyba coś wspólnego?

– Tylko to – odparła z obojętnością Catriana i odwróciła się. Podeszła do jednej z wiszących na ścianach tkanin. – Dość ładna – rzekła, dotykając jej. – Gdzie twój ojciec ją znalazł?

– Ja ją zrobiłam – powiedziała krótko Alais. Nagle poczuła się potraktowana protekcyjnie, co ją zirytowało.

Musiało to zabrzmieć w jej głosie, bo Catriana szybko obejrzała się na nią przez ramię. Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Catriana westchnęła.

– Trudno się ze mną zaprzyjaźnić – powiedziała w końcu. – Chyba na próżno się starasz.

– Ja tak nie myślę – rzekła cicho Alais. – Poza tym – zaryzykowała – może będę później potrzebowała twojej pomocy przy wiązaniu Selveny.

Catriana parsknęła śmiechem.

– Nic jej nie będzie – powiedziała, siadając na łóżku. – Żaden z nich jej nie tknie, dopóki są gośćmi w domu twego ojca. Nawet gdyby wśliznęła się do ich pokoju, nie mając na sobie niczego oprócz jednej czerwonej rękawiczki.

Zaszokowana po raz wtóry, lecz dziwnie tym uczuciem uradowana, Alais zachichotała i usiadła na swoim łóżku, machając nogami. Zauważyła ze smutkiem, że Catriana z łatwością sięga stopami do dywanu.

– A mogłaby to zrobić – szepnęła, uśmiechając się do swych myśli. – Chyba nawet ma gdzieś schowaną czerwoną rękawiczkę!

Catriana potrząsnęła głową.

– W takim razie albo ją zwiążemy jak jałówkę, albo zaufamy mężczyznom. Ale jak mówię, oni nic nie zrobią.

– Musisz ich bardzo dobrze znać – znów zaryzykowała Alais. Nadal nie była pewna, którą ze swoich uwag zasłuży na reprimendę, a która wywoła uśmiech. Odkrywała, że niełatwo nawiązać kontakt z Catriana.

– Alessana znam lepiej – odparła. – Ale Devin od dawna jest na drogach i nie mam wątpliwości, że zna zasady. – Mówiąc to, odwróciła na chwilę wzrok i lekko się zarumieniła.

Alais, nadal niepewna jej reakcji, rzekła ostrożnie:

– Właściwie nic o tym nie wiem. Są jakieś zasady? Czy któryś z nich... czy miewasz jakieś kłopoty w czasie podróży?

Catriana wzruszyła ramionami.

– Kłopoty, jakie ma nadzieję znaleźć twoja siostra? Ze strony muzyków nie. Istnieje niepisane prawo, bo inaczej do wędrownych trup przyłączałyby się kobiety tylko pewnego pokroju, a to by szkodziło muzyce. A dla większości trup muzyka ma naprawdę wielkie znaczenie, w każdym razie dla tych, które się nie rozpadają. Mężczyźni mogą nieźle oberwać za narzucanie się dziewczynie. A z pewnością nie znajdą pracy, jeśli będzie się to zdarzało zbyt często.

– Rozumiem – rzekła Alais, usiłując to sobie wyobrazić.

– Co prawda oczekuje się od kobiety, że się z kimś zwiąże – dodała Catriana. – Jakby tyle mogła przynajmniej zrobić. Przestać być pokusą. Więc znajdujemy sobie mężczyznę, który nam się podoba, a niektórzy znajdują sobie kobietę. To też się zdarza.

– Och – powiedziała Alais, krzyżując dłonie na podolku.

Catriana, która rzeczywiście była o wiele za bystra, rzuciła jej spojrzenie, w którym rozbawienie mieszało się ze złośliwością.

– Nie obawiaj się – rzekła słodko, wpatrując się w miejsce, gdzie ręce Alais spoczywały niczym bariera. – Ta rękawiczka mi nie pasuje.

Alais gwałtownie ułożyła ręce po bokach, płonąc purpurowym rumieńcem.

– Niczego się specjalnie nie obawiam – powiedziała, usiłując nadać głosowi swobodne brzmienie. Po chwili, rozdrażniona szyderczym wyrazem twarzy Catriany, wypaliła:

– A jaka jest dla ciebie odpowiednia?

Rozbawienie śpiewaczki naraz znikło. Zapadło krótkie milczenie, które przerwała obojętnym głosem:

– A jednak masz trochę ikry. Nie byłam o tym przekonana.

– Zachowujesz się protekcyjnie – rzekła Alais z gniewem, co rzadko się jej zdarzało. – Skąd mogłabyś cokolwiek o mnie wiedzieć? I dlaczego miałabym ci cokolwiek wyjawić?

Znów zapadło milczenie i znów Catriana ją zaskoczyła.

– Przepraszam cię. Naprawdę jest mi przykro. Nie jestem w tym dobra. Ostrzegałam cię. – Odwróciła wzrok. – Tak się składa, że trafiłaś mnie w czułe miejsce, a ja wtedy się odgryzam.

Gniew Alais, który tak samo szybko gasł, jak powoli się rozpałał, ustąpił, nim Catriana skończyła mówić. Alais napomniała się surowo, że dziewczyna jest gościem w jej domu.

Nie miała jednak okazji jej odpowiedzieć ani spróbować naprawić atmosferę, bo w tej chwili do pokoju wkroczyła Menka z miską zagranej w kuchni wody, a za nią najmłodszy z czeladników Rovigo z drugą miską i udrapowanymi na obu ramionach ręcznikami. Idąc ostrożnie do stołu pod oknem przez pokój, w którym były dwie kobiety, chłopiec rozpaczliwie wbijał wzrok w podłogę.

Zamęt, jaki nieodmiennie wywoływała swym pojawieniem się gadatliwa Menka, zniweczył nastrój chwili – zarówno jego dobre, jak i złe strony, pomyślała Alais. Po wyjściu obojga służących kobiety umyły się w milczeniu. Alais, która rzuciła ukradkowe spojrzenie na silne ciało Catriany, poczuła się jeszcze gorzej w swej niewinnej delikatności i bezpiecznym życiu. Weszła do łóżka, mając ochotę na rozpoczęcie całej rozmowy od nowa.

– Dobranoc – powiedziała.

– Dobranoc – odrzekła po chwili Catriana. Alais usiłowała odczytać w jej tonie zaproszenie do dalszej rozmowy, ale nie była go pewna. Jeśli Catriana chce porozmawiać, to niech coś powie.

Zdmuchnęły stojące przy łóżkach świece i leżały w półmroku. Obserwując czerwony blask ognia, Alais oparła stopy na gorącej cegle, którą Menka włożyła w nogi jej łóżka, i pomyślała ze smutkiem, że odległość od łóżka Selveny nigdy nie wydawała się tak duża.

W jakiś czas potem, kiedy z ognia pozostał już tylko żar, usłyszała wybuch wesołości dobiegający z komnaty na dole. Ciepły, dźwięczny śmiech ojca rozwiął jej zmartwienie. Ojciec znów jest w domu, a ona czuje się bezpieczna. Alais uśmiechnęła się do siebie w ciemności.

Wkrótce usłyszała, jak mężczyźni wchodzą po schodach i rozchodzą się do swoich pokoi.

Przez chwilę jeszcze czuwała, nasłuchując kroków siostry w korytarzu, chociaż tak naprawdę nie wierzyła, że Selvena zrobiłaby coś takiego. Nic nie usłyszała i w końcu zapadła w sen.

Śniło jej się, że leży w dziwnym miejscu na szczycie wzgórza. Że jest z nią mężczyzna. Że pochyla się ku niej. Była łagodna, bezkسیężycowa noc rozświetlona gwiazdami. Leżała z nim na tym omiatanym wiatrami wzgórzu wśród wilgotnych od rosy letnich kwiatów i w tym nieznanym miejscu ze snu poczuła niezwykłą tęsknotę, której nigdy nie potrafiłaby głośno nazwać.

* * *

W lochu, do którego go w końcu wrzucili, panowało przejmujące zimno. Kamienie były wilgotne i lodowate, śmierdziały moczem i kałem. Pozwolono mu tylko włożyć lnianą bieliznę i pończochy. W celi były szczury. Nie widział ich w ciemnościach, ale od razu je usłyszał, i kiedy się zdrzemnął, już dwukrotnie go ugryzły.

Przedtem był nagi. Zanim nowy kapitan straży – następca tego, który się zabił – zamknął więźnia na noc, pozwolił swoim ludziom zabawić się z nim. Wszyscy oni znali reputację Tomasso. Każdy znał jego reputację. Tomasso sam się o to postarał, bo było to częścią całego planu.

Tak więc strażnicy rozebrali go w ostrym świetle wartowni i ordynarnie się z nim zabawili, kłując mieczami i rozgrzanym w ogniu pogrzebaczem, wodząc nimi wokół jego zwiotczalej męskości, szturchając go w pośladki i brzuch. Związany i bezradny Tomasso chciał tylko zamknąć oczy i odpędzić wszystko siłą woli.

Z jakiegoś powodu nie pozwalało mu na to wspomnienie Taeriego. Wciąż nie potrafił uwierzyć, że jego młodszy brat nie żyje. Ani że Taeri okazał się w końcu taki odważny i zdecydowany. Na samą myśl o tym chciało mu się płakać, ale nie pozwoli Barbadiorczykom zobaczyć swoich łez. Jest Sandrenim. Teraz, kiedy był nagi i zbliżał się do kresu żywota, znaczyło to dla niego więcej niż kiedykolwiek przedtem.

Nie zamykał więc oczu i utkwiał je ponuro w nowym kapitanie. Z całych sił starał się nie zwracać uwagi na to, co z nim robili, ani na szydercze, brutalne uwagi na temat tego, co stanie się nazajutrz. Właściwie nie grzeszyli zbytnią wyobraźnią. Wiedział, że rzeczywistość okaże się gorsza. Nie do zniesienia gorsza.

Poranili go mieczami do krwi, ale niezbyt mocno – Tomasso wiedział, że mają rozkazy, by zachować go na rano dla zawodowców. Będzie toż wtedy obecny Alberico.

To była tylko zabawa.

W końcu kapitan zmęczył się niewzruszonym spojrzeniem Tomasso czy też stwierdził, że wystarczająco dużo krwi spłynęło już po nogach więźnia, tworząc kałużę na podłodze. Kazał swoim ludziom przerwać zabawę. Rozcięto więzy Tomasso i zwrócono mu bieliznę. Dostał też brudny, zawszony kawałek koca, po czym sprowadzono go do lochów Astibaru i wrzucono w czerń jednego z nich.

Wejście było tak niskie, że kiedy został na kolanach wepchnięty do celi, uderzył głową w kamień. Znowu krew, pomyślał, czując na palcach coś lepkiego. Właściwie nie miało to zbyt wielkiego znaczenia.

Nie znosił jednak szczurów. Zawsze się ich bał. Jak najciaśniej zwinął beużyteczny koc i spróbował posłużyć się nim niczym kiepską maczugą. Po ciemku było to jednak trudne zadanie.

Tomasso żałował, że nie jest odważniejszy. Wiedział, co go czeka rano, i na samą tę myśl, skoro znalazł się już sam, wnętrzności zmieniły mu się w galarete.

Usłyszał jakiś dźwięk i w chwilę potem zdał sobie sprawę, że to jego własny szloch. Z trudem się opanował. Znajdował się jednak sam, w lodowatej ciemności, w rękach wrogów, a na dodatek były tu szczury. Nie mógł całkowicie powstrzymać jęków. Czuł się, jakby pękło mu serce, jakby leżało mu w piersi w poszarpanych, rozrzuconych kawałkach. Usiłował z tych fragmentów ułożyć kłutwę na Herado, lecz nic nie wydawało się odpowiednie dla zdrady, jakiej dopuścił się bratanek.

Znów usłyszał szczura i na ślepo zamachnął się swą miękką bronią. Rozległ się pisk. Jeszcze kilka razy uderzył w to miejsce. Sądził, że tego szczura zabił. Jednego z wielu. Trząśnięcie, ale ten szloch obrony pomógł mu chyba zwalczyć słabość. Już nie szlochał. Oparł się o wilgotne, oślizgłe kamienie ściany, krzywiąc się z bólu otwartych ran. Zamknął oczy, chociaż i tak nic nie widział, i pomyślał o słonecznym blasku.

Chyba właśnie wtedy zapadł w drzemkę, bo obudził się nagle z okrzykiem bólu – jeden ze szczurów ugryzł go mocno w udo. Przez kilka chwil młócił wokoło kocem, ale teraz cały drżał i zaczynał się czuć naprawdę źle. Usta miał spuchnięte od uderzenia Alberico w chacie. Przeltykanie sprawiało mu ból. Miał gorączkę.

Kiedy więc zobaczył słaby blask świecy, był przekonany, że to halucynacje. Co prawda mógł się w jej świetle rozejrzeć. Cela była maleńka. Przy jego prawej nodze leżał martwy szczur, a dwa inne, duże jak koty, przycupnęły przy drzwiach. Na ścianie obok siebie dojrzał wydrapany wizerunek słońca z nacięciami na jego krawędzi oznaczającymi dni. Słońce miało najsmutniejszą twarz, jaką Tomasso widział w życiu. Patrzył na nie przez długą chwilę.

A potem spojrzął na jaśniejącą świecę i uznał, że to jednak jest halucynacja albo sen.

Świecę trzymał jego ojciec odziany w srebrnobłękitne szaty pogrzebowe. Spoglądał na niego z góry z wyrazem twarzy, jakiego Tomaso nigdy u niego nie widział.

Był przekonany, że musi mieć wysoką gorączkę, skoro jego umysł wyczarowuje w tej otchłani obraz czegoś, czego jego rozbite serce tak rozpaczliwie pragnie. Obraz łagodności – a nawet, gdyby zechcieć poszukać właściwego słowa, miłości w oczach człowieka, który chłostał go w dzieciństwie, a potem uznał za przydatnego w trwającym dwadzieścia lat spisku przeciwko tyranowi.

Spisku, który zakończył się tej nocy. Który naprawdę straszliwie się zakończy dla Tomasso rano, w bólu, jakiego nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Podobał mu się jednak ten sen, ta spowodowana gorączką wizja. Miała w sobie światło. Odpędzała szczury. Wydawała się nawet rozgrzewać przenikające do kości zimno wilgotnych kamieni, które czuł pod sobą i za plecami.

Uniósł ku płomieniowi drżącą rękę. Wyskrzeczwał coś przez zaschnięte gardło rozbitymi, opuchniętymi wargami. Chciał powiedzieć sennemu wyobrażeniu ojca „Przepraszam”, ale nie potrafił właściwie wypowiedzieć tego słowa.

Był to jednak sen, jego sen, i widmo Sandre chyba go zrozumiało.

– Nie masz za co przepraszać – Tomasso usłyszał łagodny głos zjawy. – To była moja i tylko moja wina. Przez wszystkie te lata i na samym końcu. Od początku znałem ograniczenia Gianni. Wiązałem z tobą za dużo nadziei, gdy byłeś dzieckiem.

Świeca jakby trochę się zachwiała. Jakaś część Tomasso, kawałek jego serca zdawał się na powrót powoli zrastać w całość, nawet jeśli był to tylko sen, tylko jego własne pragnienie. Ostatnia wizja bycia kochanym, zanim zostanie żywcem obdarty ze skóry.

– Pozwolisz powiedzieć sobie, jak bardzo cię przepraszam za szaleństwo, które cię skazało na coś takiego? Wysłuchasz mnie, jeśli ci powiem, że na swój sposób byłem z ciebie dumny?

Tomasso zaszlochał. Słowa te były balsamem na najgłębiej skrywany ból. Łzy rozmywały jednak światło, więc uniósł drżące ręce i spróbował je wytrzeć. Chciał coś powiedzieć, lecz jego poranione wargi nie zdołały uformować słów. Skinął więc kilka razy głową. Potem przyszła mu do głowy myśl, uniósł więc ku duchowi zmarłego ojca lewą dłoń – dłoń od serca, dłoń przysięg i wierności.

Powoli dłoń Sandre opuściła się, jakby przybywała z bardzo, bardzo daleka, jakby pokonywała całe lata, zaginione i zapomniane w obrotach czasu i dumy, i ojciec i syn dotknęli się czubkami palców.

Kontakt był bardziej rzeczywisty, niż Tomasso się spodziewał. Zamknął na chwilę oczy, poddając się sile uczuć. Kiedy ponownie uniósł powieki, miał wrażenie, że ręka ojca coś w jego kierunku podaje. Fiolkę z jakimś płynem. Tomasso nic nie rozumiał.

– To ostatnia rzecz, jaką mogę dla ciebie zrobić – rzekł duch dziwnym, nieoczekiwanie smutnym tonem. – Gdybym był silniejszy, mógłbym uczynić więcej, ale teraz przynajmniej już cię rano nie skrzywdzą. W ogóle cię nie skrzywdzą, synu. Wypij, Tomasso, wypij to, a wszystko zniknie. Wszystko zniknie, obiecuję ci. A potem zaczekaj na mnie, Tomasso, zaczekaj, jeśli

możesz, w Komnatach Moriany. Chciałbym się tam z tobą przechadzać.

Tomasso nadal nic nie rozumiał, ale głos był tak łagodny, tak pełen otuchy. Wziął do ręki fiołkę-sen. Znów była bardziej namacalna, niż oczekiwał.

Ojciec skinął zachęcająco głową. Drżącymi dłońmi Tomasso wyjął korek. Następnie ostatnim gestem, w końcowej parodii samego siebie, uniósł fiołkę szerokim, zamaszystym ruchem, oddając cześć swym własnym umiejętnościom fantazjowania, i wysączył ją do ostatniej kropli. Smakowało goryczą.

Uśmiech ojca był taki smutny. Tomasso chciał powiedzieć, że uśmiechy nie powinny być smutne. Powiedział to raz pewnemu chłopcu nocą w świątyni Moriany, w pokoju, w którym nie miał prawa być. Poczul, że ciąży mu głowa. Zupełnie, jakby miał zasnąć, ale przecież już spał i śnił w gorączce. Naprawdę nic nie rozumiał. A szczególnie nie rozumiał, dlaczego ojciec, który nie żyje, prosi go, by zaczekał na niego w Komnatach Moriany.

Znów uniósł wzrok, chcąc o to zapytać, ale oczy zaczęły mu płatać dziwne figle.

Wiedział, że tak jest, bo patrzący na niego duch ojca płakał. W oczach jego ojca lśniły łzy.

To było niemożliwe. Nawet we śnie.

– Żegnaj – usłyszał.

Zegnaj, usiłował odpowiedzieć.

Nie był pewien, czy udało mu się wypowiedzieć to słowo, czy tylko je pomyślał, ale właśnie wtedy spadła na niego płachta ogarniającej wszystko ciemności i różnica między tym, co wypowiedziane i co nie wypowiedziane, przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie.

CZĘŚĆ II

Dianora

Rozdział 7

Dianora pamiętała dzień, w którym przybyła na wyspę.

Ów jesienny poranek bardzo przypominał dzisiejszą wczesną wiosnę – białe chmury też pędziły po wysokim, błękitnym niebie, a wiatr kierował Statek Daniny przez zbałwanione fale do zatoki Chiary. Zbocza wzgórz za zatoką i miastem płonęły barwami jesieni. Dianora pamiętała, że liście zmieniały wtedy kolor – były czerwone, złociste, a niektóre zachowały jeszcze zieleni.

Żagle tego dawnego Statku Daniny też były czerwone i złociste – w kolorach radości w Ygrath. Teraz to wie, ale wtedy nie wiedziała. Stała na przednim pokładzie statku, chcąc po raz pierwszy zobaczyć wspaniałość zatoki Chiary i długie molo, na którym niegdyś stawali wielcy diukowie, by wrzucić do morza pierścień, i z którego Letizia skoczyła w pierwszym Nurkowaniu po Pierścień, by odebrać go falom i poślubić diuka. W ten sposób uczyniła z Nurkowania symbol dumy Chiary, do czasu gdy, przed setkami lat, piękna Onestra zmieniła zakończenie i na zawsze przerwała tradycję Nurkowania po Pierścień. Ale i tak każde dziecko w Dłoni znało tę legendę Wyspy. We wszystkich prowincjach dziewczęta bawiły się w Nurkowanie po Pierścień i wynurzały się z wody, tryumfalnie potrząsając mokrymi włosami, by poślubić potężnego i wspaniałego diuka.

Stojąc na dziobie Statku Daniny, Dianora ominęła wówczas wzrokiem zatokę i pałac, chłonąc majestat wznoszącego się za nimi, pokrytego śniegiem Sangariosa. Ygratheńscy marynarze nie przerywali jej milczenia. Pozwolili jej podejść na dziób i obserwować zbliżającą się wyspę. Kiedy już znalazła się bezpiecznie na pokładzie statku, a statek wypłynął na morze, byli dla niej uprzejmi. Kobiety mające realną szansę bycia wybranymi do saisanu zawsze dobrze traktowano na Statkach Daniny. Jeśli kapitan przywiózł zakładniczkę, która zostawała faworytą tyrana, to mógł się dorobić na dworze Brandina majątku.

Siedząc teraz na południowym balkonie pałacowego skrzydła mieszczącego saisan i wyglądając zza bogato zdobionej kraty skrywającej kobiety przed gapiami z placu, Dianora patrzyła na łopoczące na silnej wiosennej bryzie flagi Chiary oraz Ygrathu i wspominała, jak przed ponad dwunastu laty podobny wiatr targał jej włosy. Pamiętała, że wodziła wtedy wzrokiem od kolorowych żagli do porośniętych lasami zboczy wzgórz wznoszących się do Sangariosa, od błękitu i bieli morza do chmur na niebieskim niebie. Od zamętu życia nad zatoką do spokojnej potęgi stojącego tuż nad nią pałacu. Wokół trzech wysokich masztów Statku Daniny krążyły z głośnym krzykiem ptaki. Wschodzące słońce strzelało po morzu oślepiającym światłem. Taki rozświetniony świat, taki pełen życia, piękny i lśniący poranek.

Ponad dwanaście lat temu. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat i pielęgnowała w sobie

nienawiść i swój sekret niczym dwa z trzech węży Moriany oplecione wokół serca.

Została wybrana do saisanu.

Było to bardzo prawdopodobne, zważywszy na okoliczności jej pojmania. Kiedy w dwa dni później została doprowadzona przed oblicze Brandina, jego słynne szare oczy rozwarły się taksująco. Pamiętała, że miała wtedy na sobie jedwabną pastelową suknię specjalnie dobraną, żeby podkreślała ciemny kolor włosów i ciemnobrązowe oczy.

Miała pewność, że zostanie wybrana. Nie odczuwała ani tryumfu, ani strachu, chociaż przygotowywała się do tej chwili od pięciu lat, a być wybraną przez Brandina oznaczało, że te ściany, parawany i korytarze zamkną się wokół niej na zawsze. Miała swoją nienawiść i swoją tajemnicę. Strzeżenie ich nie zostawiało miejsca na nic innego.

Tak sądziła w wieku dwudziestu jeden lat.

Wbrew bowiem temu, co dotychczas widziała i przeżyła, bardzo mało, niebezpiecznie mało wiedziała o wielu rzeczach, które miały zbyt wielkie znaczenie; tak przynajmniej pomyślała Dianora, siedząc dwanaście lat później na swoim balkonie.

Było chłodno. Zbliżały się Dni Żaru, lecz kwiaty rosnące w dolinach położonych w głębi wyspy oraz na zboczach wzgórz, dopiero zaczynały kwitnąć. Prawdziwy początek wiosny nawet tak daleko na północy jeszcze nie nadszedł. Dianora pamiętała, że w domu było inaczej – czasami po wiosennych Dniach Żaru na południowych wyżynach jeszcze leżał śnieg.

Nie oglądając się za siebie, uniosła rękę. Eunuch natychmiast podał jej parujący kubek tregeańskiego khavu. Brandin lubił mawiać bez świadków, że ograniczeń handlowych i taryf rolnych trzeba przestrzegać wybiórczo, bo inaczej życie stanie się zbyt niewygodne. Jedną z wybranych rzeczy był khav. Oczywiście tylko w pałacu. Za jego murami piło się pośledniejsze gatunki z Corte czy neutralnego Senzio. Kiedyś jako członkowie senziańskiej misji handlowej przybyli kupcy khavu, chcąc przekonać go do polepszonej jakości upraw i pochodzącego z nich naparu. „Rzeczywiście neutralny” – rzekł wtedy Itrandin, skosztowawszy napoju. „Tak neutralny, że prawie go nie ma”.

Skonsternowani i bladzi kupcy wycofali się, rozpaczliwie usiłując dociec ukrytego znaczenia słów ygratheńskiego tyrana. Dianora podzieliła się później z Brandinem uwagą, że Senzianie spędzają na tym dużo czasu. Brandin się roześmiał. Zawsze potrafiła go rozbawić, nawet wtedy, kiedy była zbyt młoda i niedoświadczona, by robić to celowo.

Może dlatego pomyślała teraz o młodym eunuchu usługującym jej dzisiejszego ranka. Scelto poszedł do miasta po suknię dla niej na popołudniowe przyjęcie i jej służący był jednym z najnowszych eunuchów, przysłanych z Ygrathu do powiększającego się saisanu w kolonii.

Był już dobrze wyszkolony. Metody Vencela może były surowe, ale niewątpliwie skuteczne. Postanowiła nie mówić chłopcu, że khav nie jest wystarczająco mocny, bo prawdopodobnie dostałby rozstroju nerwowego. Wspomni o tym Scelto i pozwoli jemu zająć się sprawą. Vencel

wcale nie musi wiedzieć – dobrze by było, gdyby niektórzy eunuchowie odczuwali oprócz strachu także wdzięczność. Strach przychodził automatycznie jako efekt jej pozycji w saizanie. Na wdzięczność czy przywiązanie musiała zapracować.

Tej wiosny mija dwanaście lat, pomyślała, pochylając się do przodu, by spojrzeć w dół przez kratę na plac, gdzie trwały gorączkowe przygotowania do przyjazdu Isolli z Ygrathu. Wtedy, w wieku dwudziestu jeden lat, była chyba u szczytu rozkwitu swej urody. Pamiętała, że jako piętnasto – i szesnastolatka nie miała ani odrobiny tego wdzięku – w domu nie zwracano sobie nawet głowy, żeby ją ukryć przed ygratheńskimi żołnierzami.

W wieku dziewiętnastu lat zaczęła się stawać kimś zupełnie innym, choć nie mieszkała już w domu, a Ygrath nie stanowił zagrożenia dla mieszkańców Certando, które znajdowali się pod rządami barbadiorskimi. A przynajmniej nie stanowił go w zwykłych warunkach, poprawiła się, przypominając sobie – chociaż nie wymagało to żadnego przypominania – że tutaj, w saizanie, a także w przeciwległym, zachodnim skrzydle pałacu, w łóżku Brandina, jest Dianorą di Certando.

Miała trzydzieści trzy lata i w ciągu tego czasu, który minął tak niezwykle szybko, stała się jedną z pałacowych potęg. Co oczywiście oznaczało też władzę w Dłoni. Można było powiedzieć, że w saizanie współzawodniczy z nią o dostęp do Brandina jedynie Solores di Corte, która była od niej starsza o sześć lat. – przypląnęła w pierwszym roku kursowania Statków Daniny.

Nawet teraz czasami było tego za wiele, żeby z łatwością we wszystko uwierzyć. Młodzi eunuchowie drżeli, jeśli tylko krzywo na nich spojrzęła, dworacy – czy to z zamorskiego Ygrathu czy z czterech zachodnich prowincji Dłoni – zabiegali o jej radę i wsparcie swoich petycji przedkładanych Brandinowi, muzycy pisali dla niej pieśni, a poeci deklamowali hiperboliczne strofy, zachwycając się jej urodą i mądrością. Ygratheńscy porównywali ją do sióstr ich boga, a Chiaranie do bajecznej piękności, Onestry, zanim jeszcze skoczyła w ostatnim Nurkowaniu po Pierścień dla wielkiego diuka Cazala – chociaż poeci zawsze kończyli analogię na długo przed samym Nurkowaniem i wynikłymi z niego tragediami.

Po jednym z takich finezyjnych poetyckich popisów, które dał Doarde, podczas późnej kolacji we dwoje z Brandinem Dianora zauważyła głośno, że miarą różnicy między mężczyznami i kobietami jest to, że władza czyni mężczyzn atrakcyjnymi lecz kiedy władzę ma kobieta, atrakcyjne staje się jedynie wychwalanie jej urody.

Zastanowił się nad tym, odchylając się na oparcie fotela i głaszcząc swą starannie przystrzyżoną brodę. Zdawała sobie sprawę z pewnego ryzyka, ale zdążyła też już dobrze go poznać.

– Dwa pytania – powiedział Brandin, tyran Zachodniej Dłoni, ujmując jej rękę leżącą na stole. – Uważasz, że masz władzę, moja Dianoro?

Spodziewała się tego.

– Tylko za twoim pośrednictwem i przez niedługi czas, zanim się nie zestarzeję, a ty nie przestaniesz dopuszczać mnie przed swoje oblicze. – Mała, dyskretna szpila dla Solores. – Lecz tak długo, jak rozkazujesz mi do siebie przychodzić, ludzie będą uważać, że dysponuję na twoim dworze władzą, a poeci będą mówić, że jestem piękniejsza niż kiedykolwiek. Piękniejsza niż diadem gwiazd koronujący krzywiznę opasanego świata... czy jak tam to brzmiało.

– Napisał chyba „wygięty diadem”. – Uśmiechnął się. Spodziewała się komplementu, bo chętnie je rozdawał. Spojrzenie jego szarych oczu pozostało jednak poważne i szczerze. – Oto moje drugie pytanie: czy byłbym dla ciebie atrakcyjny, nie mając tej władzy?

Pamiętała, że nieomal dała się zaskoczyć. Pytanie było zbyt nieoczekiwane i trafiło zbyt blisko miejsca, gdzie jeszcze żyły jej dwa węże, choć pograżyły się w głębokim śnie.

Spuściła wtedy wzrok na splecione dłonie. Jak węże, pomyślała. Szybko porzuciła tę myśl. Podniosła oczy z szelmowskim spojrzeniem z ukosa, które tak lubił, i powiedziała z udawanym zdumieniem:

A masz tu jakąś władzę? Nie zauważyłam.

W sekundę później zabrzmiał jego głęboki, życiodajny śmiech. Dianorą wiedziała, że usłyszą go stojący na zewnątrz strażnicy. I że będą o tym rozprawiać. Na Chiarze wszyscy byli rozgadani – wyspa żyła plotkami i pogłoskami. Po dzisiejszej nocy pojawi się kolejna bajeczka. Nic nowego, jedynie potwierdzenie, ile przyjemności sprawia Brandinowi z Ygrathu jego ciemna Dianora.

Zaniósł ją do łoża. Swym rozbawieniem wywołał na jej twarzy uśmiech, a potem głośny śmiech. Zażywał rozkoszy, powoli na milion sposobów, jakich ją nauczył w ciągu tych wszystkich lat, bo Ygratheńczycy znali się na tym, a on przede wszystkim był królem Ygrathu.

A ona? Siedząc teraz na balkonie w wiosennym, porannym słońcu, zamknęła oczy na wspomnienie, jak tamtej nocy i wcześniej – całymi latami przed ową nocą – i potem aż do chwili obecnej jej własne zbuntowane ciało, serce i umysł, zdrajcy jej duszy, zaspokajały rozpaczliwe i głębokie pragnienie Brandina.

Brandina z Ygrathu, do którego dwanaście lat temu przybyła z rozdartym sercem oplecionym bliźniaczymi węzami, żeby go zabić za to, co uczynił Tiganie.

Tigana była jej domem do chwili, kiedy ją zniszczył, zrównał z ziemią i spalił, zabił całe pokolenie jej mieszkańców i odebrał jej nazwę. Nazwę stanowiącą część imienia własnego Dianory. Nazywała się bowiem Dianora di Tigana bar Saevar, a jej ojciec zginął w drugiej bitwie nad Deisą, dzierżąc w dłoni zamiast rzeźbiarskiego dłuta nieporęczny miecz. Podczas straszliwej okupacji, która potem nastąpiła, jej matka zupełnie się załamała, a brat mający takie same jak Dianora oczy i włosy którego kochała nad życie, został wygnany. Miał wtedy piętnaście lat.

Nie wiedziała, gdzie się przez te wszystkie lata podziewał, ani czy żyje, czy może jest

martwy lub znalazł się daleko od półwyspu, gdzie niegdyś dumnymi, a teraz zdławionymi prowincjami rządzą tyrani. Nazwa najdumniejszej z nich zniknęła z ludzkiej pamięci.

Uczył to Brandin, w którego ramionach spoczywała przez tyle nocy z tak palącym pragnieniem, z wyprężającym ciało pożądaniem za każdym razem, kiedy ją do siebie wzywał. Jego głos był dla niej wodą na pustyni jej dni. Jego śmiech, jeśli potrafiła go z Brandina wydobyć, był niczym ożywcze promienie słońca strzelające zza chmur. Jego szare oczy miały niepokojący, nieprzenikniony odcień morza w pierwszych zimnych, ukośnych promieniach wiosennego czy jesiennego poranka.

W najstarszych legendach opowiadanych w Tiganie bóg Adaon wynurzył się właśnie z szarego morza o poranku, przyszedł do Micaeli i legł z nią na długiej, ciemnej, przeznaczonej im plaży. Dianora знаła tę opowieść równie dobrze, jak swoje imię. Swoje prawdziwe imię.

Wiedziała także równie dobrze, że jej brat lub ojciec zabiliby ją własnymi rękoma, gdyby któryś z nich żył i wiedział, kim się stała, oraz że przyjęłaby taki koniec, wiedząc, że nań zasłużyła.

Jej ojciec nie żył. Serce skarciło ją za podobną myśl o bracie, nawet gdyby śmierć miała zaoszczędzić mu ostatecznego ciosu, jakim byłaby dla niego świadomość tego, dokąd trafiła, lecz każdego poranka Dianora modliła się do Triady, a szczególnie do Adaona od Fal, żeby jej brat żył gdzieś za morzem wystarczająco daleko, by nie dosięgła go wiadomość o ciemnookiej Dianorze w saizanie tyrana.

Chyba że, podpowiadało cichym głosem jej serce, chyba że nadejdzie jeszcze poranek, kiedy znajdzie sposób na to, by dokonać czynu, którym mimo splątanych nocą ciał i jej własnego krzyku zaspokojenia przywróci światu pewien dźwięk. Przywróci go głosom mężczyzn, kobiet i dzieci w całej Dłoni, a także na południu za górami w Quilei i na północy, zachodzie i wschodzie za morzami.

Dźwięk nazwy Tigany, która zniknęła, lecz – jeśli boginie i bóg są łaskawi, jeśli pozostała w nich jeszcze miłość czy litość – nie została na zawsze zapomniana ani utracona.

A może – taki sen miewała Dianora w samotne noce, kiedy Scelto wymasował i natarł olejkami jej ciało, po czym odchodził ze świecą, by zasnąć po drugiej stronie jej drzwi – może stanie się tak, że jeśli rzeczywiście dokona tego czynu, to jej brat gdzieś w cudowny sposób usłyszy nazwę Tigany z czyichś ust, na jakimś odległym królewskim dworze czy bazarze, i w przyływie zdumienia i radości będzie wiedział w głębi serca, które tak dobrze znała, że właśnie dzięki niej słowo to znów zaistniało w świecie.

Wtedy będzie już martwa. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nienawiść Brandina w tym jednym względzie – zemsty za Stevana – była stała i niezmienna. Stanowiła jedyną nieruchomą gwiazdę na firmamencie wszystkich ziem, którymi rządził.

Będzie martwa, ale to nic, bo zostanie przywrócona nazwa Tigany, a jej brat będzie żył

i będzie wiedział, że dokonała tego ona, a Brandin... Brandin zrozumie, że znalazła sposób na dokonanie tego czynu, oszczędziwszy mu życie we wszystkie niezliczone noce, kiedy mogła go zabić śpiącego u jej boku.

Taki był sen Dianory. Budziła się z policzkami mokrymi od łez. Widział je tylko Scelto, a jemu ufała, jak nikomu innemu na świecie.

Usłyszała jego szybkie, lekkie kroki zbliżające się do balkonu. Nikt inny w saisanie nie poruszał się tak jak Scelto. Eunuchowie słynęli ze skłonności do lenistwa i zbyt obfitych posiłków, stanowiących oczywistą namiastkę innych przyjemności. Scelto jednak taki nie był. Zachował szczupłą sylwetkę z czasów, kiedy go poznała, i nadal szukał zajęć, od których stronili inni eunuchowie, czyli wypadów na strome ulice starego miasta lub nawet na stoki samego Sangariosa w poszukiwaniu leczniczych ziół, liści czy po prostu polnych kwiatów do jej pokoju.

Wydawał się wiecznie młody, choć kiedy Vencel przydzielił go Dianorze, młodzieńcem już nie był. Domyślała się, że ma teraz pewnie sześćdziesiąt lat. Gdyby Vencel umarł, co trudno było sobie nawet wyobrazić, Scelto z pewnością będzie pierwszy w kolejności do objęcia po nim stanowiska przełożonego saisanu.

Nigdy o tym nie rozmawiali, ale Dianora była pewna, że gdyby mu je zaproponowano, odmówiłby, aby zostać przy niej. Wiedziała także – i to ją wzruszało – że stałoby się tak nawet wtedy, gdyby Brandin przestał po nią posyłać, a ona stałaby się kolejnym starzejącym się eksponatem w skrzydle pałacu mieszczącym saisan.

Była to druga rzecz, której nie spodziewała się znaleźć, kiedy nienawiść niosła ją po jesiennym morzu do Chiary na Statku Daniny: przychylność, troska, przyjaciel za wysokimi murami i ozdobnymi kratami, miejsca, gdzie kobiety czekały wśród mężczyzn pozbawionych swej męskości.

Kroki Scelto, szybkie nawet po pokonaniu długich Wielkich Schodów, a potem jeszcze jednych, prowadzących do saisanu, zastukały na mozaice balkonu. Usłyszała, jak łagodnie odprawia chłopca.

Postąpił jeszcze krok do przodu i zakaszłał, by oznajmić swe przybycie,

– Czy jest obrzydliwie wstrętna? – zapytała, nie odwracając się.

– Nadaje się – powiedział Scelto, podchodząc do niej. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się na widok jego krótko przystrzyżonych, siwych włosów, wąskich, ostro zarysowanych ust i straszliwie złamanego nosa. Opowiedział, że zdarzyło się to bardzo dawno temu podczas bójki o kobietę w Ygrath. Zabił przeciwnika, który okazał się szlachcicem. To kosztowało Scelto jego męskość i wolność. Ta opowieść poruszyła Dianorę bardziej, niż dała po sobie poznać.

Uniósł ciemnoczerwoną suknię, którą zamówili w starym mieście. Po jego uśmiechu, tak podobnym do jej własnego, poznała, że warto było przypochlebiać się Vencelowi o pieniądze na jej uszycie. Przełożony saisanu będzie chciał później jakiejś przysługi, zawsze tak było, ale

saiszan funkcjonował dzięki takim właśnie wymianom i patrząc na suknię, Dianora nie żałowała swej decyzji.

– Co włoży Solores? – zapytała.

– Hala nie chciał mi powiedzieć – mruknął z żalem Scelto.

Dianora roześmiała się na widok poważnej miny, którą udało mu się zachować.

– To jasne, że nie chciał. Co włoży?

– Zieloną suknię – odpowiedział natychmiast eunuch – z wysokim stanem, wysokim kołnierzem i plisami od talii w dół w dwóch odcieniach. Złote sandały. Mnóstwo złota. Włosy będzie miała oczywiście ułożone wysoko. Ma nowe kolczyki.

Dianora znów się roześmiała. Scelto pozwolił sobie na mały uśmiezek zadowolenia.

– Pozwoliłem sobie – dodał – kupić w mieście coś jeszcze.

Sięgnął w fałdy swojej tuniki i podał jej małe pudełko. Otworzyła je i w milczeniu wyjęła klejnot. W jasnym porannym świetle lśnił i skrzył się niczym trzeci, czerwony księżyc mogący współzawodniczyć z Vidomnim i niebieskim Ilarionem.

– Pomyślałem sobie – powiedział Scelto – że będzie pasował do tej sukni bardziej niż cokolwiek, co mógłby zaproponować ci Vencel z biżuterii saiszanu.

Potrząsnęła z podziwem głową.

– Jest piękny, Scelto. Czy możemy sobie na niego pozwolić? Czy będę musiała się obywać bez czekolady przez całą wiosnę i lato?

– To nie taki zły pomysł – odparł, nie zwracając uwagi na pierwsze pytanie. – Kiedy mnie teraz nie było, zjadłaś dwa kawałki.

– Scelto! – zawołała. – Przestań! Pospiesz się Solores i zobacz, na co ona wydaje swoje chiaros. Mam pewne przyzwyczajenia i upodobania i żadne z nich, jak mi się wydaje, nie są szczególnie złe. Czy jestem gruba?

Potrząsnął głową prawie z niechęcią.

– Nie mam pojęcia dlaczego – mruknął smutno.

– Więc zastanów się nad tym, aż coś wymyślisz – rzekła, potrząsając włosami. – Aha, chciałam ci powiedzieć, że chłopak rano był dobry, ale khav zrobił o wiele za słaby. Powiesz mu, jaki lubię?

– Już to zrobiłem. Powiedziałem mu, żeby zaparzył nieco słabszy.

– Co takiego? Scelto, pod żadnym pozorem...

– Zawsze pod koniec zimy, kiedy zmienia się pogoda, zaczynasz pić więcej khavu, i każdej wiosny masz kłopoty ze snem. Wiesz, że to prawda, moja pani. Albo mniej kubków, albo słabszy khav. Moim obowiązkiem jest dbać, byś była wypoczęta i pogodna.

Dianora na chwilę zaniemówiła.

– Pogodna! – udało jej się wreszcie wykrzyknąć. – Mogłam śmiertelnie przerazić to biedne

dziecko. Czułabym się okropnie!

– Powiedziałem mu, co ma mówić – odparł spokojnie Scelto. – Zrzuciłby winę na mnie.

– Doprawdy. A gdybym doniosła o tym bezpośrednio Vencelowi? On by kazał tego chłopca głodzić, a potem wychłostać, Scelto.

Pełne godności, delikatne pociągnięcie nosem dobitnie świadczyło, co Scelto sądzi o prawdopodobieństwie takiego postępuku z jej strony.

Miał tak przebiegle pewny siebie wyraz twarzy, że Dianora – mimo prób zachowania powagi – znów się roześmiała.

– No dobrze – poddała się. – To niech będzie mniej kubków, bo naprawdę lubię mocny khav, Scelto. Inaczej nie warto go pić. Poza tym nie sądzę, że właśnie dlatego nie mogę spać w nocy. Po prostu robię się niespokojna o tej porze roku.

– Zostałaś wzięta jako Danina na wiosnę – mruknął. – Wszyscy w saizanie są niespokojni w porze roku, w której ich wzięto. – Zawahał się. – Na to nic nie mogę poradzić, pani. Sądziłem jednak, że khav może pogarszać sprawę. – Jego brązowe oczy, prawie tak ciemne jak jej, wyrażały serdeczną troskę.

– Za bardzo się o mnie martwisz – powiedziała po chwili.

Uśmiechnął się.

– A o kogóż innego miałbym się martwić? – Zapadło krótkie milczenie. Dianora słyszała odgłosy dochodzące z placu leżącego daleko w dole pod balkonem.

– Skoro już mówimy o martwieniu się – rzekł Scelto, wyraźnie usiłując zmienić nastrój – być może za bardzo skupiamy się na tym, co robi Solores. Może powinniśmy mieć oko na tę młodą z zielonymi oczyma.

– Iassikę? – zapytała zaskoczona Dianora. – A po cóż? Brandin nawet jej do siebie nie wezwał, a jest tu już od miesiąca.

– Właśnie – odparł Scelto. Trochę niezręcznie zawiesił głos, co pobudziło jej ciekawość.

– Co chcesz powiedzieć, Scelto?

– Tesios, który się nią opiekuje, powiedział mi, że nigdy nie widział ani nie słyszał o żadnej kobiecie w saizanie, która potrafiłaby... tak kontrolować swe ciało i osiągać taką... kulminację w miłości.

Mocno się zaczerwienił, co nagle speszyło też i Dianorę. Wśród kobiet saizanu było zwykłą praktyką – z pewnymi dość nietypowymi odmianami – wykorzystywanie własnych eunuchów do rozładowywania fizycznego napięcia, jeśli między wezwaniami do drugiego skrzydła pałacu upływało zbyt wiele czasu.

Dianora nigdy nie prosiła Scelto o taką usługę. Niepokoił ją już sam pomysł, który wydawał jej się jakimś nadużyciem, choć nie potrafiła wyjaśnić dlaczego. Często przypominała samej sobie, że Scelto był kiedyś mężczyzną, który zabił z miłości do kobiety. Ich stosunki, chociaż

bardzo bliskie, nigdy nie wkroczyły w ten wymiar. Pomyślała, że to dziwne, a nawet zabawne, jak bardzo robili się nieśmiali już na wspomnienie tego tematu – a sama Triada wiedziała, że w cieplarnianej atmosferze saiznanu pojawiał się on wystarczająco często.

Odwróciła się do barierki i spojrzała przez kratę w dół, aby dać mu czas na odzyskanie równowagi. Zastanawiając się nad jego słowami, poczuła jednak pewne rozbawienie. Już planowała, jak i kiedy powiedzieć o tym Brandinowi.

– Przyjacielu – odezwała się – być może dobrze mnie znasz, ale ja z wielu tych samych powodów bardzo dobrze znam Brandina. – Spojrzała na swego eunucha. – Jest starszy od ciebie, Scelto – ma prawie sześćdziesiąt pięć lat – i z nie całkiem dla mnie zrozumiałych względów powiedział, że musi przeżyć tu, w Dłoni, jeszcze jakieś sześćdziesiąt lat. Jeśli Iassica jest tak... wyjątkowa, jak twierdzi Tesios, to nawet cała magia świata nie pomogłaby mu aż tak bardzo przedłużyć życia. Iassica wykończyłaby go w kilka lat, choć byłoby to dla niego bardzo przyjemne.

Scelto znów poczerwieniał i szybko obejrzał się przez ramię. Byli jednak zupełnie sami. Dianora roześmiała się, częściowo z czystej wesołości, ale głównie dla pokrycia smutku, jaki zawsze odczuwała, kiedy musiała skłamać na temat tego, co wciąż ukrywała przed Scelto. Był to jedyny sekret mający znaczenie.

Oczywiście wiedziała, dlaczego Brandin musi zostać w Dłoni, dlaczego musi używać czarnoksięskiej sztuki dla przedłużenia swego życia na wygnaniu, na ziemi rozpaczy.

Musiał zaczekać, aż umrą wszyscy urodzeni w Tiganie.

Dopiero wtedy będzie mógł opuścić półwysep, gdzie został zabity jego syn. Dopiero wtedy na skrwawioną ziemię spadnie ostatnia kropla zaplanowanej przez niego zemsty. Na świecie nie będzie bowiem istniał już nikt, kto pamiętał Tiganę sprzed jej upadku i Avalor pełne wież, kto pamiętał pieśni, opowieści i legendy, całą jej długą, świetlaną historię.

Wtedy wszystko to naprawdę zniknie. Zostanie wymazane z ludzkiej pamięci. Siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat sprowadzi tak całkowite zapomnienie, jakie po upływie tysiącleci i stało się udziałem starożytnych cywilizacji, których nikt już nie pamięta, całych kultur będących jedynie trudnymi do wymówienia nazwami miejsc czy odcyfrowanymi, pompatyczny mi tytułami – Imperator Wszechziemi – zachowanymi na ceramicznych skorupach.

Po sześćdziesięciu latach Brandin będzie mógł pojechać do domu. Będzie mógł robić, co tylko zechce. Wtedy ona sama od dawna już nie będzie żyła, podobnie jak inni pochodzący z Tigany, nawet młodszy od niej, urodzeni w roku podboju – ostatni dziedzice.

Ostatnie dzieci, które potrafiły usłyszeć i przeczytać nazwy kraju niegdyś należącego do nich. Brandin dawał sobie osiemdziesiąt lat. Biorąc pod uwagę długość życia w Dłoni, było to aż nadto.

Osiemdziesiąt lat na zapomnienie. Na to, by przeszłość stała się potłuczoną, pozbawioną znaczenia skorupą. Książek już nie było, podobnie jak obrazów, gobelinów, rzeźb, muzyki. Wszystko to zostało podarte, rozbite lub spalone w strasznym roku po śmierci Valentina, kiedy Brandin spadł na nich w mękach ojcowskiego bólu.

Był to najgorszy rok w życiu Dianory. Zobaczyła wtedy tyle piękna rozpadającego się w gruz i pył lub bezpowrotnie zmieniającego się w pogorzeliwo. Miała piętnaście, a potem szesnaście lat. Była jeszcze za młoda, by w pełni zrozumieć rzeczywistość tego, co ginęło. Mogła gorzko oplakiwać śmierć ojca i zniszczenie jego sztuki – dzieł, których stworzenie zajęło mu całe życie, a także śmierć przyjaciół i przerażające wydarzenia, które nagle zaczęły się rozgrywać w okupowanym, zubożałym mieście. Wtedy nie potrafiła jeszcze pojąć większych strat ani tego, co niosą ze sobą na przyszłość.

Owego roku wielu mieszkańców miasta popadło w szaleństwo.

Inni uciekli, zabierając dzieci, by stworzyć sobie życie z dala od pożarów czy wspomnień o nich, z dala od młotów rozbijających posagi książąt, stojące w długich kruzgankach Nadmorskiego Pałacu. Niektórzy tak dalece uciekli w siebie, co było innym rodzajem obłędu, że tliła się w nich tylko maleńka iskierka życia, dzięki której jedli, spali i z trudem przemierzali puste przestrzenie swych dni.

Jedną z takich osób była jej matka.

Stojąc wiele lat później na chiaryjskim balkonie, Dianora podniosła wzrok na Scelto i po malującej się na jego twarzy trosce poznała, że milczy zbyt długo.

Zmusiła się do uśmiechu. Była tu od dawna i znakomicie potrafiła ukrywać swe prawdziwe uczucia. Uśmiechać się, kiedy trzeba. Nawet przy Scelto, którego nie znosiła oszukiwać. A szczególnie przy Brandinie, którego musiała oszukiwać, bo alternatywą była śmierć.

– Iassica nie stanowi zagrożenia – powiedziała łagodnie, wznawiając rozmowę, jakby nic się nie wydarzyło. Bo rzeczywiście nic się nie wydarzyło – wróciły tylko stare wspomnienia. Nic ważnego dla świata, nic, co się liczyło lub mogłoby się liczyć. Jedynie poczucie straty. – Jest o wiele za mało inteligentna, by go rozerwać – ciągnęła z wystudiowanym uśmiechem – i zbyt młoda, by mieć na niego tak uspokajający wpływ jak Solores. Dziękuję ci jednak za tę informację – sądzę, że możemy ją wykorzystać. Powiedz mi, czy Tesios jest zmęczony opieką nad nią? Czy mam porozmawiać z Vencelem, żeby przydzielił jej kogoś młodszego? A może powinno być ich kilku?

Scelto uśmiechnął się, mimo że znów spłonął rumieńcem. Zawsze tak było. Jeśli udawało jej się ich rozbawić lub rozśmieszyć, to chmury pierzchały niczym rozpędzone wiatrem, zostawiając po sobie czysty błękit nieba.

Dianora żałowała, że nie wiedziała, jak tego dokonać osiemnaście lat temu – dla matki i brata. Wtedy nie było żadnego śmiechu. Nigdzie nie rozlegał się śmiech, a błękitne niebo

spoglądało szyderczo na zniszczenia.

Vencel, który za każdym razem, kiedy go widziała, był coraz bardziej otyły, zaakceptował suknię Solores, Nesai, Chylomene i wreszcie jej. Do sali audiencyjnej schodziły tylko one cztery, bo tylko one miały na tyle doświadczenia, by poradzić sobie z wymogami oficjalnego przyjęcia. Scelto po wielokroć napomykał z krzywym uśmiechem, że zazdrość panująca w saizanie w ostatnim tygodniu jest tak gęsta, że mogłaby wytworzyć zapach. Dianora tego nie zauważyła – była przyzwyczajona.

Vencel przyglądał się jej przenikliwymi, teraz szeroko rozwartymi oczyma, tkwiącymi głęboko wśród fałdów skóry na jego ciemnej twarzy. Klejnot umieściła na czole, kazawszy go osadzić na obręczy z białego złota przytrzymującej jej włosy. Przełożony saizanu rozparł się wśród miękkich poduszek i bawił się połami swej obszernej, białej szaty. Wpadające do komnaty przez sklepione łukowato okno promienie słońca odbijały się od jego łysej głowy, przyciągając wzrok obecnych.

– Nie przypominam sobie tego kamienia w naszym skarbcu – mruknął wysokim, wzbudzającym niepokój głosem. Był to głos tak całkowicie pozbawiony siły, że słuchający go czasami nie doceniali jego właściciela, popełniając w ten sposób tragiczny w skutkach błąd.

– Bo nigdy go tam nie było – odparła wesoło Dianora. – Chociaż kiedy wrócimy po południu, czy mogę cię poprosić o przechowanie go dla mnie razem z innymi kosztownościami?

Tak zasugerował Scelto. Vencel, szczwany lis, mógł być przekupny w wielu sprawach, ale nie w kwestiach związanych z oficjalnym sprawowaniem swego urzędu. To też była prawda, za odkrycie której wielu zapłaciło najwyższą cenę.

Skinał łaskawie głowę.

– Wygląda na piękny kamień.

Dianora posłusznie podeszła bliżej i wdzięcznie pochyliła głowę, aby Vencel mógł się lepiej przyjrzeć. Ogarnęła ją woń srebrnokwiatu; tymi perfumami zawsze skraplał się po odejściu zimy. Zapach miały może słodki, ale przyjemny.

Kiedyś bała się Vencela. Jej strach składał się z mieszaniny fizycznej odrazy wywołanej jego tuszą oraz plotkami na temat tego, co lubił robić z młodszymi eunuchami i niektórymi kobietami, które znalazły się w saizanie z przyczyn czysto politycznych, bez nadziei na ujrzenie świata zewnętrznego czy zachodniego skrzydła pałacu mieszczącego komnaty Brandina. Mimo to już dawno doszła do porozumienia z przełożonym saizanu. Solores zawarła z Vencelą podobny niepisany pakt i na podstawie tak osiągniętej delikatnej równowagi we trójkę panowali w swym zamkniętym, pełnym napięć i woni kadzideł świecie beczynnych, sfrustrowanych kobiet i półmężczyzn.

Vencel dotknął klejnotu na czole Dianory zdumiewająco delikatnym palcem. Uśmiechnął

się.

– Bardzo dobry kamień – wydał osąd. Miał pachnący oddech. – Muszę o tym porozmawiać ze Scelto. Bo widzisz, ja się na takich rzeczach znam. Blaskamienie pochodzą z północy, z mojego kraju. Wydobywa się je w Khardhun. Przez całe lata bawiłem się nimi jak świecidełkami. To monarsze zabawki. Kiedyś byłem kimś większym niż dzisiaj. Bo jak wiesz, byłem w Khardhun królem.

Dianora skinęła poważnie głową. To także było jednym z warunków jej związku z Vencelem. Ilekroć wygłaszał swoje wymyślne kłamstwo – a powtarzał je niekiedy wiele razy dziennie – Dianora miała kiwać w zamyśleniu głową, jakby zastanawiała się nad przesłaniem wynikającym z tragicznych dziejów wielkiego monarchy.

Dopiero kiedy znajdowała się w swoich komnatach, sam na sam ze Scelto, mogła dać upust napadom dziewczęcego chichotu, wywoływanego samą myślą o pulchnym przełożonym saiszanu jako kimś jeszcze większym albo złośliwym naśladowaniem mowy i gestykulacji Vencela, w czym specjalizował się Scelto.

– Robisz to wspaniale – mówiła niewinnie, gdy Scelto układał jej włosy lub polerował do połysku jej pantofle z zadartymi noskami.

– Bo wiesz, ja się na tym znam – odpowiadał znacznie wyższym głosem niż zwykle, kiedy miał pewność, że są sami. Rękoma wykonywał powolne, szerokie gesty. – Jak bowiem zdajesz sobie sprawę, byłem w Khardhun królem.

Śmiała się wtedy jak mała dziewczynka, która wie, że jest bardzo niegrzeczna i dlatego tym trudniej jej się opanować.

Zapytała kiedyś o to Brandina. Dowiedziała się, że jego kampania khardhuńska stanowiła tylko drobny sukces. Wtedy już był z nią w takich sprawach szczerzy. W Khardhun, zamorskim, gorącym kraju, za nadbrzeżnymi wioskami i pustyniami istniała prawdziwa magia. Magia o wiele potężniejsza od tej, którą można było znaleźć na Półwyspie Dłoni, a dorównująca czarnoksiężtwa Ygrathu.

Brandin zajął jedno miasto i narzucił chwiejną kontrolę terenom leżącym na granicy wielkiej, rozciągającej się na północ pustyni. Dianora jednak zrozumiała, że poniósł tam ciężkie straty. Mieszkańców Khardhun od dawna ceniono za sprawność w walce, która była znana i w Dłoni – wielu z nich służyło w skłóconych ze sobą prowincjach jako dobrze płatni najemnicy. Potem pojawili się tyrani i wszelkie drobne utarczki straciły jakiegokolwiek znaczenie.

Brandin powiedział Dianorze, że Vencel służył jako herold i został schwytany pod koniec kampanii. Już wtedy nie był w pełni mężczyzną. Brandin nie rozumiał dlaczego, ale na północy wszyscy posłańcy byli kastratami. Kiedy Vencel został sprowadzony do Ygrathu, stało się oczywiste, gdzie jest jego miejsce. Brandin potwierdził, że już wtedy osiągnął olbrzymie rozmiary.

Kiedy Vencel zdjął palec z lśniącego czerwono blaskamienia, Dianora wyprostowała się.

– Odprowadzisz nas na dół? – zapytała. Taki rytuał.

– Chyba nie – odparł po krótkim namyśle, jakby rzeczywiście się zastanawiał. – Może wspólnie dopełnią obowiązku Scelto i Hala. Bo widzisz, po południu muszę tu osobiście dopilnować kilku spraw.

– Rozumiem. – Dianora rzuciła okiem na Solores. Jednocześnie uniosły w pełnym szacunku pozdrowieniu rozpostarte dłonie. Właściwie Vencel nie opuszczał skrzydła saiszanu od co najmniej pięciu lat. Nawet jeśli robił obchód komnat na tym piętrze, to odbywał go na przemyślnie skonstruowanej, wyścielonej poduszkami platformie na kółkach. Dianora nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała go stojącego. Właściwie wszystkie oficjalne obowiązki wymagające obecności poza saiszanem przejęli Scelto i opiekujący się Solores Hala. Vencel lubił udzielać pełnomocnictw.

Ruszyli w dół po schodach prowadzących z saiszanu na świat. Na pierwszym podejściu poddali się pełnemu szacunku, lecz uważnemu wzrokowi dwóch strażników stojących przed ciężkimi drzwiami z brązu, broniącymi dostępu do poziomu, na którym znajdowały się kobiety. Dianora odpowiedziała na ich ostrożne spojrzenia uśmiechem. Jeden ze strażników nieśmiało go jej oddał. Strażnicy często się zmieniali – nie znała żadnego z tych dwóch – ale uśmiech mógł oznaczać początek więzi, a przyjaciół nigdy za wielu.

Scelto i Hala, odziani w nie rzucające się w oczy brązy, poprowadzili cztery kobiety ze skrzydła saiszanu głównym korytarzem pałacu do znajdujących się w jego środku Wielkich Schodów. Tam obaj eunuchowie przystanęli, żeby przepuścić kobiety przodem. Dianora i Solores zaczęły schodzić pierwsze po szerokich stopniach. Kroczyły dumnie, lecz bez wyniosłości – były przecież brankami i konkubinami zwycięzcy.

Oczywiście zostały zauważone. Kiedy kobiety z saiszanu pokazywały się na zewnątrz, zawsze były zauważane. Po wyłożonym marmurem westybulu krążyło sporo ludzi czekających na wejście do sali audiencyjnej. Rozstąpili się przed czterema kobietami. Kilku z mężczyzn mniej zorientowanych w sytuacji uśmiechnęło się w sposób, który Dianora zaakceptowała dopiero po pewnym czasie.

Inni znali ją lepiej i ich twarze wyrażały coś zupełnie odmiennego. Obie z Solores przystanęły, tym razem dla czystego efektu – krwistoczerwona suknia obok zielonej – w sklepionym wejściu do największej z oficjalnych sal bankietowych, po czym wmieszały się w tłum gości.

Jak zawsze przy takiej okazji, Dianora podziękowała w duchu Brandinowi za to, że uległ impulsowi i zmienił zasady funkcjonowania saiszanu w tej rządzonej przez siebie kolonii.

Wiedziała, że w Ygrath nic takiego nie mogłoby się zdarzyć. Rozmowa mężczyzny nie będącego królem lub eunuchem z kobietą z saiszanu, a nawet ujrzenie jej, oznaczało dla obojga

śmierć. Dla przełożonego skrzydła saisanu też, jak kiedyś powiedział jej Vencel.

W Chiarze było inaczej prawie od samego początku. W ciągu spędzonych tu lat Dianora zorientowała się, że nieco jej wdzięczności należy się Dorotei, królowej Ygrathu, która postanowiła zostać w królestwie z Giraldem, swoim starszym synem, i nie towarzyszyć mężowi w jego dobrowolnym wygnaniu. Zależnie od tego, kogo się słuchało, był to wybór Dorotei lub decyzja Brandina, że nie będzie żądał towarzystwa swej królowej.

Dianora instynktownie zawsze wolała drugą wersję, lecz nabrała na tyle mądrości, żeby wiedzieć, jak jest naprawdę. Nigdy nie rozmawiała o tym z Brandinem. Nie był to temat zakazany, Brandin nie należał do osób uznających jakiegokolwiek tabu, ale Dianora po prostu nie miała pewności, czy potrafi poradzić sobie z jego odpowiedzią, gdyby zadała to pytanie.

W każdym razie, ponieważ Dorotea została w Ygrath, niewiele wysoko urodzonych dam dworu chciało ryzykować morską podróż do kolonii w Dłoni i niezadowolenie królowej. Oznaczało to niezwykle małą liczbę kobiet na nowym dworze Brandina w Chiarze, a to z kolei doprowadziło do zmiany roli saisanu, tym bardziej że na początku swoich rządów Brandin wydał rozkaz, by kapitanowie Statków Danin wyszukiwali w Corte lub Asoli córki znamienitych rodów. W Chiarze wyboru dokonywał sam. Z Dolnego Corte, które kiedyś nazywało się zupełnie inaczej, nie przyjmował kobiet pod żadnym pozorem. Obopólna nienawiść była zbyt silnie zakorzeniona, a saisan nie stanowił odpowiedniego miejsca do jej podsycania.

Ściągnął tylko kilka kobiet ze swojego saisanu w Ygrath, prawie wcale go nie naruszając. Jego polityka była przejrzysta: kontrola nad saisanem symbolicznie potwierdzała pozycję i władzę Giralda, rządzącego w imieniu ojca jako regent Ygrathu.

Przy takich zmianach w kolonii nowy saisan bardzo różnił się od starego. Mówił to jej i Vencel, i Scelto. Panowała w nim i inna atmosfera, miał zupełnie inny charakter.

A wśród owych kobiet z Corte, Chiary, Asoli i garstki Ygrathenek znajdowała się jedna, imieniem Dianora, pochodząca z Certando. Z Certando rządzonego przez Barbadiorczyków.

Tak przynajmniej sądzili wszyscy w pałacu.

Dianora pamiętała, że było to nieomal przyczyną wojny.

Kiedy jej brat opuścił dom, szesnastoletnia Dianora di Tigana, córka rzeźbiarza, który zginął na wojnie, i kobiety, która od owego dnia prawie przestała mówić, za cel życia obrała sobie zabicie tyrana w Chiarze.

Odrzuciła wszelkie sentymenty i zaczęła przygotowywać się do zostawienia matki w pustym, rozbrzmiewającym echem domu, który kiedyś tętnił życiem.

Dianora to pamiętała.

Wchodząc do sali audiencyjnej, z zadowoleniem obejrzała swoje odbicie w olbrzymich lustrach w połączonych ramach, stanowiących przeciwległą ścianę sali, po czym mimowolnie poszukała wzrokiem kanclerza, d'Eymona z Ygrathu. Była to najpotężniejsza po Brandinie

osobistość na dworze.

Zgodnie z jej przewidywaniami już patrzył w ich stronę. Jego spojrzenie było jak zawsze ponure. Od początku niepokoiło ono Dianorę. Sądziła, że d'Eymon jej nie lubi albo, co gorsza, że w jakiś sposób ją podejrzewa. Wkrótce zdała sobie sprawę, że d'Eymon nie lubi i podejrzewa wszystkich, którzy pojawiali się w pałacu. Każdy spotykał się z takim samym lodowatym, badawczym spojrzeniem. Dowiedziała się, że dokładnie tak samo było w Ygrath. Lojalność d'Eymona względem Brandina była lunatyczna, podobnie jak jego gorliwość w chronieniu króla.

W ciągu tych wszystkich lat Dianora stopniowo nabrała szacunku dla ponurego Ygratheńczyka. Odniosła sukces, ponieważ wyglądało na to, że jej ufa. Właściwie ufał jej od dawna, bo inaczej nigdy nie pozwolono by jej spędzić nocy w łóżku Brandina, kiedy spał.

Sukces sztuki udawania, pomyślała z ironią.

D'Eymon zrobił dyskretny ruch głową, po czym powtórzył go, patrząc na Solores. Tego się spodziewały – miały wmieszać się między gości i rozmawiać z nimi. Żadna z nich nie miała zająć fotela ustawionego obok Tronu Wyspy. Robiły to czasami, lecz przy gościach z Ygrathu Brandin bardzo dbał o konwenanse. Wtedy miejsce obok niego pozostawało ostentacyjnie puste – dla Dorotei, jego królowej.

Brandin oczywiście nie wszedł jeszcze do sali, lecz Dianora spostrzegła Rhuna. Powłóczył nogami, łysiejący błazen z luźno zwisającymi rękami podszedł do jednego ze służących roznoszących wino. Niezdarny, żałośnie niedorozwinięty Rhun był wspaniale ubrany w złoto i biel, po czym Dianora poznała, że Brandin przywdzieje podobne barwy. Stanowiło to integralną część złożonych stosunków panujących między królami-czarnoksiężnikami Ygrathu oraz ich wybranymi błaznami.

W Ygrath błazen od wieków służył jako cień i wyobrażenie króla. Ubierał się jak monarcha, podczas publicznych uroczystości siadywał obok niego przy stole, był obecny przy nadawaniu zaszczytów i wydawaniu wyroków. I każdy wybrany przez króla błazen był widocznie, a czasem nawet boleśnie upośledzony bądź zniekształcony. Rhun bardzo niewyraźnie mówił, powłóczył nogami, rysy twarzy miał zdeformowane, a ręce zwisały mu pod dziwnymi kątami. Rozpoznawał ludzi obecnych na dworze, ale nie zawsze i nie w sposób, jakiego można by się spodziewać – co czasem niesło ze sobą ukryte przesłanie. Przesłanie od króla.

Dianora niezupełnie to rozumiała i wątpiła, czy kiedykolwiek zrozumie. Wiedziała, że przyćmiony, ograniczony umysł Khuna znajduje się właściwie pod jego kontrolą, ale wiedziała też, że nie w całości. Działały tu siły czarnoksiężskie – subtelna magia Ygrathu.

Rozumiała tyle, że oprócz bardzo dosłownego przypominania królowi o jego śmiertelności i ograniczeniach, błazni Ygrathu ubrani dokładnie jak ich pan mogli czasami służyć jako głos, zewnętrzny przekąźnik myśli i uczuć króla.

Oznaczało to, że nigdy nie można było mieć pewności, czy niewyraźne słowa i niezręczne

ruchy Rhuna pochodzą od niego, czy też stanowią ważną wskazówkę co do nastroju Brandina. Dla osób nie mających się na baczości był to śliski grunt,

Teraz Rhun uśmiechał się i wyglądał na zadowolonego. Podrygując, kłaniał się co drugiej napotykaniej osobie, a za każdym razem spadała mu złocista czapka. Śmiał się wtedy jednak i pochylał, żeby ją podnieść. Co chwila pochylał się też jakiś nadgorliwy dworak, zabiegający o względy na wszelkie możliwe sposoby, i podawał ją błaznowi. Rhun z tego też się śmiał.

Dianora czuła się przy nim nieswojo, chociaż usiłowała ukryć swój niepokój pod prawdziwą litością, jaką odczuwała dla tego wyraźnie starzejącego się biedaka. Najważniejszą jednak dla niej prawdą było to, że Rhun jest głęboko związany z magią Brandina, że stanowi jej przedłużenie, narzędzie, a właśnie magia Brandina była źródłem całego bólu i strachu Dianory. Oraz jej poczucia winy.

Tak więc z czasem nabrała wprawy w unikaniu sytuacji, w których mogłaby się znaleźć sama z błaznem. Jego szczere oczy – niepokojąco podobne do oczu Brandina – napawały ją lękiem. Jeśli patrzyła w nie zbyt długo, miała wrażenie, że są pozbawione głębi, będąc jedynie powierzchnią, w której odbija się jej postać, lecz zupełnie inaczej niż w zwierciadle. Nie podobało jej się wtedy to, do czego oglądania była zmuszona.

Z wdziękiem znamionującym długoletnie doświadczenie Solores odpłynęła od drzwi na prawo, a Dianora skierowała się na lewo, uśmiechając się do znanych sobie osób. Nesaia o kasztanowych włosach i ruda Chylomene weszły do sali razem, wywołując swoim przejściem wyczuwalne poruszenie.

Dianora spostrzegła poetę Doarde stojącego w towarzystwie żony i córki. Dziewczyna, prawie siedemnastolatka, była wyraźnie podekscytowana. Dianora domyśliła się, że to jej pierwsze oficjalne przyjęcie. Doarde uśmiechnął się do niej obłudnie i zgiął ciało w wyszukanym ukłonie. Jednak nawet z tej odległości Dianora potrafiła wyczytać w jego oczach poczucie porażki: przyjęcie na taką skalę wydane na cześć jakiegoś muzyka z Ygrathu musiało stanowić dla najstarszego poety w kolonii gorzką pigułkę. Całą zimę puszył się z dumy nad strofami, które Brandin na wieść o śmierci Sandre d’Astibar posłał na wschód, by rozdrażnić Barbadiorczyka. Przez kilka miesięcy Doarde był nieznośny. Dzisiaj jednak Dianora potrafiła mu trochę współczuć, chociaż uważała go za miernego poetę.

Powiedziała to kiedyś Brandinowi i usłyszała, że bawi go jego nadętość. Mruknał wtedy, że prawdziwej sztuki szuka gdzie indziej.

A sam ją zniszczyłeś tak bardzo, chciała powiedzieć.

Pamiętała, czując nieomal fizyczny ból, utraconą głowę i roztrzaskany tors ostatniego Adaona jej ojca, leżące na schodach Nadmorskiego Pałacu. Patrzyła suchymi oczyma na zniszczoną rzeźbę młodego boga. Chciała płakać, ale już nie wiedziała, skąd brać łzy.

Rzuciła okiem na córkę Doarde, na jej dziewczęcą, z trudem skrywaną wesołość.

Siedemnaście lat.

Tuż po swoim siedemnastym dniu nadania imienia ukradła połowę srebra z ukrytej szkatuły ojca, błagając go w duchu o wybaczenie, a matkę o błogosławieństwo. Poprosiła także o współczucie Eannę, która widzi wszystko w blasku swych światła.

Odeszła bez pożegnania, chociaż spojrzała ostatni raz w świetle trzymanej w ręku świecy na szczupłą, wyniszczoną postać matki śpiącej niespokojnie na szerokim łożu. Serce Dianory stwardniało, jakby szła do bitwy. Nie płakała.

W cztery dni później w odosobnionym miejscu na północ od Avalor przeszła w bród rzekę i przekroczyła granicę Certando. Przez całą drogę musiała bardzo uważać – ygratheńscy żołnierze ciągle grasowali po okolicy, a w samym Avalor burzyli wieże. Niektóre z nich jeszcze stały, widziała je od brodu, ale większość z nich zamieniła się już w gruzy, a samo Avalor przysłaniała zasłona dymu.

Właściwie nie było to już Avalor. Czar został rzucony. Magia Brandina. Miasto, nad którym tak ciężko unosił się całun dymu i letniego kurzu, nazywało się teraz Stevanien. Dianora pamiętała, że nie potrafiła zrozumieć, jak można nazwać odrażające rumowisko imieniem ukochanego dziecka. Później stało się to jaśniejsze: nazwa nie miała nic wspólnego z pamięcią Brandina o Stevanie. Była przeznaczona wyłącznie dla mieszkańców miasta oraz niegdysiejszej Tigany, miała być stałym, nieuchronnym przypomnieniem tego, czyja śmierć oznaczała ich klęskę. Tiganicy żyli teraz w prowincji nazwanej Dolnym Corte, a Corte było od wieków ich najzagorzalszym wrogiem. Miasto Tigana zwało się teraz Dolnym Corte.

A Avalor wież nazywało się Stevanien. Zemsta króla Ygrathu sięgnęła głębiej niż okupacja, pożoga, ruiny i śmierć. Ogarnęła imiona i pamięć, samą materię tożsamości. Była subtelna, lecz bezlitosna.

Tego lata, kiedy Dianora udała się na wschód, było wielu uciekinierów, lecz żaden z nich nie miał tak dokładnie sprecyzowanego celu jak ona, większość zawędrowała przeto o wiele dalej: na drugi koniec certandańskich terenów uprawnych, do Ferraut, Tregei, a nawet do Astibaru. Godzili się na rozprzestrzeniającą się tyranie barbadiorskiego władcy, a nawet pragnęli w niej żyć, byle tylko znaleźć się jak najdalej od wspomnień tego, co Brandin z Ygrathu zrobił z ich domem.

Dianora przechowywała te obrazy, nasycając je nienawiścią, karmiąc nienawiść pamięcią. Hodowała w sercu dwa węże.

Po przejściu granicy zagłębiła się w Certando tylko na kilka mil. Pamiętała, że pszenica była żółta i wysoka, lecz wszyscy mężczyźni pociągnęli na północ i na wschód, skąd Alberico z Barbadoru po starannym utrwaleniu swoich podbojów w Ferraut i Astibarze wyruszał właśnie na południe.

Nim minęła jesień, najechał Certando, a po zimowym oblężeniu zajął następnej wiosny

Borifort w Tregei – ostatnią dużą twierdzą, która mu się opierała.

Dianora znalazła to, czego szukała, na długo przedtem. Była to osada na zachodniej wyżynie Certando, licząca dwadzieścia domów i gospodę, położona na południe od Sinave i Forese, dwóch wielkich fortów pilnujących się wzajemnie przez granicę oddzielającą Certando od tego, co Dianora nauczyła się nazywać Dolnym Corte.

Ziemie położone blisko południowych gór nie były tak dobre, jak dalej na północ. Okres wegetacji trwał krócej. Zimne wiatry spadały z łańcuchów Braccio i Sfaroni wczesną jesienią, wkrótce przynosząc śnieg i długą, białą zimę. Nocami wyły wilki, a rano można było czasem znaleźć na głębokim śniegu dziwne tropy, które prowadziły z gór i do nich wracały.

Kiedyś wioska leżała bliżej jednej z dróg odgałęziających się na północny wschód od głównego traktu prowadzącego od przełęczy Sfaroni w czasach, kiedy istniał jeszcze handel lądowy z leżącą na południu Quileią. Dlatego w tak teraz małej wiosce była tak duża, stara gospoda z czterema pokojami na górze dla podróżnych, którzy od wielu lat już się nie pojawiali.

Dianora ukryła ojcowskie srebro na południe od wioski, na gęsto zalesionym zboczu, z dala od kozich pastwisk, i najęła się w gospodzie jako szynkarka. Oczywiście właściciel nie miał pieniędzy, żeby jej płacić. Przez pierwsze lato i jesień pracowała za pokój i skromne wyżywienie, wychodziła też do pracy w polu razem z innymi kobietami i chłopcami, żeby przynieść do domu to, co udało się zebrać.

Powiedziała, że pochodzi z północy, z okolic Ferraut, jej matka nie żyje, a ojciec i brat poszli na wojnę. Dodała, że wuj zaczął ją napastować, więc musiała uciekać. Miała dobre ucho do akcentu i opanowała północny dialekt na tyle dobrze, że jej uwierzono. A przynajmniej nie zadawano pytań. W owych czasach w Dłoni było wielu przejezdnych i kłopotliwe pytania padały rzadko. Dianora jadła niewiele, a w polu pracowała równie ciężko jak inni. W gospodzie zazwyczaj było mało pracy, ponieważ mężczyźni poszli na wojnę. Spała w jednym z pokoi na górze i nawet go z nikim nie dzieliła. Miejscowi byli dla niej na swój sposób mili, szczególnie wzięwszy pod uwagę ówczesną sytuację.

Przy odpowiednim świetle i z odpowiedniego miejsca mogła spojrzeć na zachód, za granicę i rzekę, i dostrzec pozostałe wieże i dymy unoszące się nad niegdysiejszym Avalle. Pewnego poranka pod koniec roku stwierdziła, że nic już nie widzi. Właściwie nic już nie widziała od pewnego czasu. Zniknęła ostatnia wieża.

Właśnie wtedy zaczęli wracać do domów pokonani i znużeni mężczyźni. W kuchni znów była robota, trzeba było podawać do stołów czy usługiwać za barem. Oczekiwano też od niej – do czego przygotowywała się, jak umiała, przez całą jesień – że jeśli mężczyzna zaproponuje jej przyjętą stawkę, pójdzie z nim na górę do swego pokoju.

W każdej wiosce była potrzebna jedna taka kobieta, a Dianora była oczywistą kandydatką. Usiłowała przekonać samą siebie, że to nic takiego, ale jak dotąd to było najtrudniejsze zadanie.

Miała jednak misję do wypełnienia, powód swego tu pobytu, zemstę do dokonania, a to, nawet to, było częścią całego planu, mówiła sobie, idąc z kimś na górę. Pozbyła się sentymentów, ale nie na zawsze i nie do końca.

Być może było to widać. Kilku mężczyzn poprosiło ją o rękę. Pewnego dnia, wycierając stoły po obiedzie, przyłapała się na myślach o jednym z nich. Był spokojny i miły, nieśmiało wchodził do jej pokoju, a ilekroć był w gospodzie, wodził za nią wzrokiem.

Tego dnia zdała sobie sprawę, że czas ruszać w drogę. Była trochę zaskoczona, że minęły prawie trzy lata. Nastąpiła wiosna.

Wymknęła się pewnej nocy, znów bez pożegnania, przypominając sobie dzień swego przybycia. Wzdłuż ścieżki prowadzącej na wzgórze kwitły polne kwiaty. Powietrze było czyste i ciepłe. Przy zmieszonym świetle obu księżyców odnalazła zakopane srebro i nie oglądając się za siebie, odeszła drogą na północ, w kierunku fortu Sinave. Miała dziewiętnaście lat.

W ciągu minionych dwóch lat stała się piękna. Jej kanciaste rysy zmiękły, a twarz straciła ostatnie dziecinne cechy – była teraz owalna, z wyraźnymi kośćmi policzkowymi, surowa. Zmieniała się jednak, kiedy Dianora z rzadka się śmiała, stając się ciepła i ożywiona, a niespodziewane ogniki w jej ciemnych oczach wydawały się obiecywać coś więcej niż samą rozrywkę. Mężczyźni, którzy widzieli ją roześmianą lub do których się uśmiechnęła, długo pozostawali pod jej wrażeniem.

W Sinave Barbadiorczy przyprawiali ją o niepokój swym przytłaczającym wzrostem i bezmyślną brutalnością. Zmusiła się do spokoju i pozostania w forcie. Oceniała, że wystarczą jej dwa tygodnie. Musiała zrobić wrażenie i zostawić po sobie wspomnienia.

Starannie skonstruowane wspomnienia o ambitnej, ładnej wieśniaczce z jakiejś podgórskiej osady. O dziewczynie zwykle milczącej wieczorami w gospodzie, która, jeśli już zaczęła mówić, opowiadała zapadające w pamięć historyjki o swej rodzinnej wiosce na południu. Opowiadała je w charakterystycznie lakonicznym stylu i zaokrąglając samogłoski, dzięki czemu była wszędzie w Dłoni rozpoznawalna jako góralka z Certando.

Jej opowiadania były zwykle smutne – większość opowieści wówczas była taka – lecz od czasu do czasu Dianora w przekomiczny sposób udawała prostego górala wygłaszającego przemyślane opinie na temat wielkich spraw świata, co niezwykle bawiło słuchających.

Sprawiła na nich wrażenie osoby posiadającej nieco pieniędzy, które prawdopodobnie zarobiła w sposób, w jaki ładne dziewczęta zwykle je zarabiają. Dzieliła jednak z inną kobietą pokój w lepszym z dwóch zajazdów znajdujących się w murach fortu i żadnej z nich nie widziano idącej do siebie z mężczyzną. Nie przyjmowały też zaproszeń, żeby udać się gdzie indziej. Problemy mogli sprawiać barbadiorscy żołnierze – i rzeczywiście zimą je sprawiali – ale z Astibaru nadeszły odpowiednie rozkazy i wiosną najemnicy byli trzymeni na wodzy.

Pewnego wieczoru Dianora zwierzyła się przypadkowej grupce młodych mężczyzn i kobiet,

do której się przysiadła, że tak naprawdę to chciałaby pracować w gospodzie, do której przychodzili lepsi goście. Oświadczyła, że powyżej uszu ma już zwykłych zajazdów.

Ktoś wspomniał o gospodzie „Pod Królową” w Stevanien, leżącym po drugiej stronie granicy w Dolnym Corte.

Z udawanym zachwytem słuchała, jak dwaj z jej nowych znajomych z ożywieniem opisywali ostatnią, najbardziej elegancką ygratheńską nowość w Dolnym Corte. Była to gospoda szczycająca się mistrzem patelni sprowadzonym aż z samego Ygrathu przez obecnego gubernatora Stevanien i jego distrady. Okazało się, że gubernator słynie z umiłowania wina i jadła oraz dobrej muzyki. Pomógł nowemu kucharzowi urządzić się na parterze byłego domu bankowego i płacił się teraz w blasku najwykwintniejszej jadalni w Dłoni. Podobno kilka razy w tygodniu spożywał tam wystawne kolacje.

Usłyszała to wszystko w formie plotek od kupców, kiedy sprawdzała ceny i fasony strojów dostępnych w Sinave. Wiedziała, że potrzebuje ubrań odpowiednich w mieście. Od nich wszystko mogło zależeć.

Od pierwszej chwili, kiedy usłyszała nazwę „Pod Królową”, zdawała sobie sprawę, że ta gospoda będzie idealna do następnego stadium jej planu zmienienia własnej przeszłości.

Dowiedziała się również, że nie może w niej jeść nikt z Dolnego Corte. Handlarze z Corte byli tam serdecznie witani, podobnie jak ci pochodzący z dalszych okolic w Asoli czy samej Chiary. Oczywiście każdy Ygratheńczyk, żołnierz, kupiec czy ktokolwiek, kto przybył do najnowszej kolonii w poszukiwaniu szczęścia, był grzecznie zapraszany do środka, by oddać honory portretowi królowej Dorotei, wiszącemu na ścianie naprzeciwko drzwi. Nawet kupcy przekraczający linię dzielącą Wschodnią Dłoń od Zachodniej byli zachęceni do pozostawienia „Pod Królową” choćby części posiadanej gotówki, bez względu na walutę.

Jedynie prawdziwym wrogom króla, mieszkańcom Dolnego Corte i samego Stevanien, nie wolno było kłaść miłej atmosfery swoją obmierzłą obecnością morderców następcy tronu.

I nigdy też tego nie robili, jak dowiedziała się Dianora od kupca z Ferraut wracającego ze Stevanien na północny wschód ze skórą, którą mimo tegorocznych taryf zamierzał sprzedać z zyskiem. W odpowiedzi na ten zakaz mieszkańcy Stevanien po prostu nie chcieli pracować w nowej gospodzie ani jako służący, podkuchenni czy stajenni, ani nawet jako muzycy czy rzemieślnicy pomagający w dekorowaniu i utrzymywaniu w nienagannym stanie pokoiów.

Kiedy gubernator dowiedział się o tym, poprzysiął z twarzą poczerwieniałą z wściekłości, że zmusi godnych pogardy mieszkańców do pracy dla ich panów z Ygrathu. Zmusi ich za pomocą lochów, bicia i kół śmierci.

Mistrz patelni Arduini sprzeciwił się temu.

Powiedział wtedy w często cytowanym przyпыlywie artystycznego uniesienia, że nie można zbudować renomowanej firmy na wymuszonej pracy. Miał po prostu zbyt wysokie wymagania,

żeby się zgodzić na coś takiego. W jego restauracji nawet stajenni, powiedział Arduini z Ygrathu, mają być wyszkoleni, chętni do pracy i mają mieć pewien styl.

Kiedy ta wypowiedź się rozniosła, wywołała ogólną wesołość: rzeczywiście, stylowi stajenni. Dianora dowiedziała się jednak, że to rozbawienie dość szybko zmieniło się w szacunek, ponieważ mimo swej pretensjonalności Arduini wiedział, co robi. Kupiec z Ferraut powiedział jej, że gospoda „Pod Królową” jest niczym oaza na khardhuńskiej pustyni. W przygnębionym, załamany Stevanien jaśniała ciepłym blaskiem ygratheńskiej oglady i wdzięku. Kupiec żałował, co prawda dyskretnie po tej stronie granicy, że okupujący jego własną prowincję Barbadiorczyzy są całkowicie pozbawieni podobnych cech.

W odpowiedzi na pozornie przypadkowe pytanie Dianory odparł, że owszem, Arduini nadal boryka się z brakiem personelu. Stevanien jest dziurą zabitą deskami, i to dziurą w najbardziej gnębionej podatkami oraz wojskowo uciemnionej prowincji w Dłoni. Było prawie niemożliwe zachęcić kogokolwiek do podróżowania po niej czy zatrzymania się tam na dłużej, a ponieważ żaden poszukiwacz przygód z Ygrathu nie zapuszczał się tak daleko od domu, by zmywać naczynia, uprzątać w stołów czy zajmować się choćby najbardziej stylową stajnią, to gospoda cierpiała na chroniczny brak pracowników z innych części Dłoni.

W tym momencie Dianora zmieniła wszystkie swoje plany. Odmówiwszy w duchu modlitwę do Adaona, zawiesiła całe swoje dalsze życie na tej przypadkowej informacji. Dotąd zamierzała udać się na północny zachód, do Corte, chociaż bardzo się tego bała. Corte zawsze było w jej planach przedostatnim etapem. Prawie każdej nocy, nie mogąc zasnąć, poważnie się zastanawiała, czy trzy lata spędzone w Certando wystarczą, by zmylić kogoś, kto śledziłby prawdziwą historię jej życia. Nie miała jednak dotąd żadnych dobrych pomysłów, co innego mogłaby zrobić. Teraz to się zmieniło.

Tak więc w kilka dni później rozbawiony tłum młodzieży w największej gospodzie w forcie Sinave patrzył, jak ich nowa znajoma po raz pierwszy od swego przybycia pije więcej, niż powinna. Kilku mężczyzn dostrzegło w tym powód do ostrożnego optymizmu co do późniejszego rozwoju sytuacji.

– A więc załatwione! – zawołała Dianora z południowym akcentem swym atrakcyjnie brzmiącym głosem i oparła się o ramię oszołomionego kołodzieja. – Jutro biorę się do nowej roboty. Co prędzej przekroczę granicę, żeby odwiedzić królową Ygrathu! Niech Triada czuwa nad jej dniami!

Niech Triada chroni i osłania mą duszę, myślała jednocześnie, będąc całkowicie trzeźwa i zmrożona do szpiku kości znaczeniem słów, które tak ochoczo wykrzykiwała.

Znajomi uciszyli ją, rycząc ze śmiechu – częściowo po to, by zagłuszyć jej słowa. W barbadiorskim Certando nie było mądrze oddawać w ten sposób cześć królowej Ygrathu. Dianora uroczo zachichotała, lecz ucichła. Kołodziej i jeszcze jeden mężczyzna usiłowali potem

odprowadzić ją na górę do jej pokoju, lecz spotkali się z czarującą odmową i w rezultacie poszli razem pić do jedynej gospody w forcie Sinave otwartej całą noc, gdzie znaleźli się wśród odpoczywających po służbie najemników.

Zgodzili się, mądrze kiwając głowami, że Dianora jest trochę za bardzo nieokrzesana, zbyt wiejska, by ziszczyć swe ambitne nadzieje. Po kilku następnych kolejkach zgodzili się też, że ma ona nadzwyczajny uśmiech. Sprawiało to coś w jej oczach, ich wyraz, kiedy była zadowolona.

Rankiem Dianora ubrała się, spakowała i bardzo wcześnie stanęła pod główną bramą fortu, czekając na jej otwarcie. Umówiła się z dość miłym kupcem w średnim wieku z Senzio wiozącym barbadiorskie przyprawy dla bogatych klientów, że za drobną opłatą zabierze ją z sobą do Stevanien. Kiedy ruszyli w drogę na zachód, dowiedziała się od niego, że jedynym powodem, dla którego udaje się do ponurego, zrównanego z ziemią Stevanien, jest nowa restauracja „Pod Królową”. Wzięła ten zbieg okoliczności za dobry omen, po trzykroć zaciskając palce lewej ręki wokół kciuka, aby spełniło się jej pragnienie.

Drogi były lepsze, niż pamiętała, i z pewnością podróżujący po nich kupcy czuli się bezpieczniej. Jadąc na kołyszącym się wozie, zapytała o to Senzianina. Uśmiechnął się sarkastycznie.

– Tyrani pozbyli się większości rozbójników. Dla ochrony własnych interesów. Chcą mieć pewność, że dopóki nie ograbią nas swoimi łami i podatkami, nie zrobi tego nikt inny. Splunął dyskretnie na drogę. – Ja osobiście wolałem rozbójników. Można było sobie z nimi poradzić.

Wkrótce Dianora ujrzała dowody tego, o czym mówił kupiec: minęli dwa tkwiące obok drogi koła śmierci z rozciągniętymi na nich ciałami niedoszłych złodziei. Wirowały one leniwie w słońcu, a odcięte dłonie gniły w ustach trupów. Smród był nie do zniesienia.

Senzianin zatrzymał się tuż po przekroczeniu granicy, żeby trochę pohandlować w forcie Forese. Uścił tam też sumiennie myto, czekając cierpliwie w kolejce do opodatkowania wozu. Później wyjaśnił Dianorze z charakterystyczną senziańską zgryźliwością, że koła śmierci nie były przeznaczone wyłącznie dla rozbójników i schwytanych czarodziejów.

Z powodu opóźnienia spędzili noc w zajeździe przy uczęszczanej drodze, posiliwszy się najpierw kolacją w towarzystwie grupy kupców z Ferraut. Dianora wstała od stołu wcześniej i poszła spać. Zapłaciła za jednoosobowy pokój, a dla bezpieczeństwa zastawiła drzwi dębową serwantką. Noc minęła jednak spokojnie, chociaż dręczyły ją koszmary. Zdawało się jej, że wróciła do Tigany, która przecież nie istniała. Zanim zapadła w niespokojny sen pełen obrazów zniszczenia z roku pożarów, szeptała do siebie tę nazwę. Był to jej talizman, modlitwa.

Drugą noc spędzili w gospodzie nad rzeką, tuż za murami Stevanien, ponieważ stanęli tam już po zamknięciu bram miejskich o zachodzie słońca. Tym razem jedli sami i Dianora do późna rozmawiała z Senzianinem. Był to uczciwy i trzeźwo myślący człowiek, który zadawał kłam utartym opiniom o jego dekadencej prowincji. Wyraźnie polubił Dianorę, której odpowiadało

jego towarzystwo i podobało się oschłe, dowcipne zachowanie. Poszła jednak do łóżka sama. To nie wioska w Certando – nie miała żadnych zobowiązań.

A przynajmniej nie takich. Jeśli zaś chodziło o przyjemność czy zwykłą potrzebę kontaktu z innym człowiekiem... gdyby ktoś jej o tym wspomniał, spotkałby się z całkowitym brakiem zrozumienia.

Miała dziewiętnaście lat i znalazła się w Tiganie, której już nie było.

Rankiem pożegnała się z Senzianinem, przelotnym tylko gestem dotykając dłonią jego dłoni. Wydawał się nieco pod wrażeniem poprzedniego wieczoru, lecz Dianora odwróciła się i odeszła, zanim udało mu się dobrać odpowiednie słowa.

Znalazła niedaleko zajazd, w którym jej rodzina nigdy się nie zatrzymywała. Co prawda nie przejmowała się możliwością rozpoznania, bo wiedziała, jak bardzo się zmieniła i ile jest rozrzuconych po całej Dłoni dziewcząt o imieniu Dianora. Zapłaciła z góry za trzy noclegi i zostawiła bagaż.

A potem wyszła na ulice jeszcze nie tak dawno temu tworzące Avalor wież. Avalor leżące na zielonych brzegach Speriona tuż przed skrzyżowaniem rzeki na zachód ku morzu. Dianora doznawała podczas tego spaceru dziwnych odczuć; najboleśniej było to, jak bardzo wszystko może zostać takie samo choćby i po największej zmianie.

Przemierzała dzielnicę skórników i tkaczy wełny. Przypomniała sobie, jak szła, podskakując obok matki, kiedy wszyscy wybrali się w głąb lądu, do Avalor, żeby uczestniczyć w uroczystym ustawieniu jednej z rzeźb ojca na jakimś placu czy w jakiejś loggii. Poznała nawet maleńki sklepik, w którym za pieniądze trzymane od letniego dnia nadania imienia na taką właśnie okazję kupiła swoje pierwsze szare rękawiczki ze skóry.

Szary – to kolor dorosłych młodych kobiet, a nie małych dziewczynek, droczył się wtedy z nią rudobrody rzemieślnik, Wiem, odparła z dumą sześćioletnia Dianora owej dawno minionej jesieni. Jej matka się roześmiała. Kiedyś matka potrafiła się śmiać. Dianora jeszcze to pamiętała.

W dzielnicy tkaczy wełny widziała kobiety i dziewczęta niestrudzenie gręplujące i sprzedające miękkie włókna, tak jak robiły to od wieków w drzwiach otwartych na wczesnoletnie, poranne światło. Dalej nad rzeką widziała i wyczuwała nosem warsztaty i podwórka farbiarzy.

Kiedy setki lat temu leżąca za górami na południu Quileia zamknęła się w swoim matriarchacie, Avalor wiele straciło, być może najwięcej ze wszystkich miast Dłoni. Leżąc na jednym z głównych szlaków handlowych prowadzących przez góry, znalazło się nagle w niebezpieczeństwie gwałtownej utraty znaczenia. Dzięki pomysłowości mieszkańców, graniczącej z geniuszem, miasto zdecydowanie zmieniło swój charakter.

W ciągu jednego pokolenia ta stojąca handlem siedziba wielu banków stała się głównym w Dłoni producentem wyrobów skórzanych i wspaniale farbowanej wełny.

Prawie nie wypadając z rytmu i nie tracąc nic ze swej dumy, Avalor weszło w nowy okres

dobrobytu. Jego wieże rosły.

Z drgnieniem serca Dianora w końcu przyznała przed sobą, że uparcie krąży po obrzeżach Stevanien, po jego zewnętrznych dzielnicach mieszczących rzemieślnicze warsztaty, patrząc tylko w kierunku murów i zaglądając w drzwi, nigdy zaś ku centrum miasta, ku wzgórz. Tam, gdzie nie było już wież.

Skoro jednak zdała sobie z tego sprawę, spojrzała tam, stojąc nieruchomo pośrodku szerokiego placu u wylotu ulicy Cechu Wełnianego. Po drugiej stronie placu stała mała, przepiękna świątynia Moriany, zbudowana z marmuru barwy przygaszonego różu. Patrzyła na nią przez chwilę, a potem podniosła wzrok na to, co znajdowało się powyżej.

I w tej chwili Dianora w końcu pojęła pewną prawdę – że coś może wydawać się zupełnie nie zmienione na zewnątrz, i tak naprawdę nigdy się nie zmieniać, ponieważ ludzie są tym, czym są, ale to, co w środku, tętno, jądro wszystkiego może stać się zupełnie niepodobne do tego, czym było niegdyś.

Szerokie, piękne ulice wydawały się jeszcze szersze niż przedtem. Działo się tak jednak dlatego, że były prawie puste. Z lewej strony, tam gdzie nadal istniał targ nadbrzeżny, dobiegał przytłumiony gwar głosów, lecz pamięć Dianory podpowiadała, że dźwięk ten w żadnej mierze nie oddawał hałasu, jaki tam panował w poranki, których już nie było.

Zbyt wiele ludzi odeszło lub zginęło, a z powodu pustki panującej na ulicach ygratheńscy żołnierze tym bardziej rzucali się w oczy. Dianora powiodła wzrokiem za świątynię, w górę szerokiej alei biegnącej obok niej ku sercu miasta.

Zbudujemy szerokie i proste ulice, powiedzieli sobie mieszkańcy Avaloru na samym początku, kiedy wszystkie inne miasta stanowiły labirynt łatwych do obrony wijących się zaułków i krętych uliczek. W całym świecie nie będzie miasta takiego jak nasze, a jeśli zajdzie potrzeba, będziemy się bronić z naszych wież.

Wież już nie było. Przysadzista, brzydka linia miejskiego horyzontu stanowiła dla Dianory bolesny wstrząs. Zupełnie jakby oko niestrudzenie szukające czegoś, co na pewno istnieje, zostało oszukane.

Wież łączyły się z Avaloru od najwcześniejszych dni tego rozległego, eleganckiego miasta leżącego na brzegach Sperionu. Były symbolem tigańskiej dumy, którą w prowincjach Corte, Chiary i Astibaru nazywano czystą arogancją, a także morderczej rywalizacji, ponieważ każda szlachecka rodzina i bogata gildia bankierów, kupców czy rzemieślników wznosiła własną wieżę tak wysoko, jak mogła sobie na to pozwolić, a nawet wyżej. Wieże Avaloru, ozdobne czy bojowe, czerwone, piaskowe czy szare, godziły w niebo Eanny niczym rosnący w obrębie murów las.

Konflikty wewnętrzne stały się nawet na pewien czas niebezpieczne, bo często dochodziło do morderstw i sabotażu, a najlepsi murarze i architekci żądali niebotycznych honorariów. Kres temu szaleństwu położył w najprostszy możliwy sposób przed dwustu laty trzeci książę Alessan

panujący w Tiganie nad morzem.

Polecił Orsarii, architektowi cieszącemu się największym uznaniem, wybudować dla siebie pałac w Avalorze. Pałac ten, zdecydował książę Alessan, ma mieć wieżę, najwyższą w mieście, i tak zostanie na mocy prawa.

Tak też było. Zwieńczenie wysmukłej i pełnej wdzięku Wieży Książęcej, oplecionej pasami zieleni i bieli, które tak daleko w głębi łądu miały przypominać morze, położyło kres rywalizacji o najwyższą wieżę w Avalorze. Od tego także czasu stało się zwyczajem, a potem tradycją, że książęta i księżniczki Tigany rodzili się w Avalorze, w pałacu zwieńczonym ową wieżą, na znak, że należą do obu miast: Tigany fal i Avalorze wież.

Dianora wiedziała, że kiedyś było tu ponad siedemdziesiąt wież, ukoronowanych ową zielono-białą wspaniałością. Kiedyś? Cztery lata temu.

Czując, jak nieobecność wież rani jej oczy, Dianora zadała sobie pytanie, kim jest osoba, która żyje jak dawniej, mówi, chodzi i pracuje, je, kocha się, śpi, a czasem nawet się śmieje, lecz której wycięto serce? Nie została po nim żadna widoczna blizna.

Gruz został uprzątnięty. Poza dymem unoszącym się nad warsztatami farbiarzy nic nie kaziło czystego błękitu nieba. Dzień był ciepły i jasny, ptaki śpiewem witały piękną pogodę. Nie istniało nic, co wskazywałoby, że kiedykolwiek znajdowały się tu jakieś wieże. Tu, w zaniedbanym, powoli chylącym się ku upadkowi mieście Stevanien, leżącym w odludnym zakątku półwyspu Dłoni w najbardziej uciśnionej prowincji.

Kim jest taka osoba?, pomyślała ponownie Dianora. Osoba, która nie ma już serca? Nie znała odpowiedzi, jak mogłaby ją znać? Zbudziło się w niej uczucie straty, a zaraz potem nienawiści, jakby oba narodziły się na nowo, jeszcze zimniejsze i ostrzejsze niż poprzednio.

Poszła tą szeroką aleją do centrum Stevanien. Minęła koszary i wejście do pałacu gubernatora. Po chwili znalazła gospodę „Pod Królową”. Została zatrudniona natychmiast. Miała zacząć jeszcze tego wieczoru. Pomoc była tam bardzo potrzebna. Trudno było ją znaleźć. Arduini z Ygrathu, który sam zatrudniał pracowników, ocenił, że to ładne stworzenie z Certando ma pewien styl. Napomniął ją jednak, że będzie musiała coś zrobić z tym okropnym góralskim akcentem. Obiecała, że spróbuje.

Po pół roku stwierdził, że dziewczyna mówi prawie tak, jakby urodziła się w tym mieście. Nie pracowała już w kuchni, lecz obsługiwała stoły we frontowej sali, ubrana na kremowo i ciemnobrązowo, które to kolory dominowały w wystroju gospody i w których przypadkiem było jej bardzo do twarzy.

Była cicha, zręczna, skromna i uprzejma. Pamiętała imiona i ulubione dania klientów. Szybko się uczyła. W cztery miesiące później, na wiosnę, tuż przed jej dwudziestymi pierwszymi urodzinami, Arduini zaproponował jej cenione stanowisko przy wejściu do gospody, gdzie miałyby witać gości i nadzorować pracę personelu w trzech salach jadalnych.

Zaskoczyła go odmową. Zaskakiwała wielu ludzi. Dianora wiedziała jednak, że ze względu na jej cele byłoby to stanowisko zbyt rzucające się w oczy. A jej cele się nie zmieniły. Jeśli miała wkrótce udać się na północ, do Corte, jako osoba niewątpliwie pochodząca z Certando, to potrzebny był jej związek z gospodą „Pod Królową”, lecz nie tak prestiżowy. Na temat eksponowanych osób zadawano pytania, tyle się już zdążyła nauczyć.

Toteż tego wieczoru, kiedy Arduini przedstawił jej swoją propozycję, dała popis wieśniaczej niezręczności. Stłukła dwa kielichy i upuściła talerz. Potem rozlała zielone senziańskie wino na samego gubernatora.

Tonąc we łzach, poszła do Arduiniego i poprosiła o trochę więcej czasu, żeby nabrać pewności siebie. Zgodził się. Był już w niej zakochany. Poprosił ją łaskawie, by została jego kochanką. Tę propozycję też odrzuciła, tłumacząc, iż taki związek nieuchronnie pogorszyłby atmosferę wśród personelu, co bardzo źle wpłynęłoby na gospodę. Był to celny argument, bo prawdziwą miłością Arduiniego była jego restauracja.

W rzeczywistości Dianora postanowiła, że już nie pozwoli, aby dotykał jej jakikolwiek mężczyzna. Znalazła się na terenie ygratheńskim i miała cel. Zasady się zmieniły. Zamierzała wyruszyć na północ do Corte jesienią. Jeszcze ważyła w myślach za i przeciw, gdy nastąpiły wydarzenia, które wszystko zmieniły.

* * *

Powoli krążąc po sali audiencyjnej, Dianora zatrzymała się, by pozdrowić żonę Doarde, którą lubiła. Poeta wykorzystał tę okazję, by przedstawić swą córkę. Dziewczyna zarumieniała się, lecz prawidłowo skłoniła głowę, złożonywszy razem dłonie. Dianora uśmiechnęła się do niej i ruszyła dalej.

Dogonił ją posługacz z khavem w czarnym kielichu wysadzonym czerwonymi kamieniami. Dostała go przed laty w prezencie od Brandina. Na podobnych uroczystościach jak ta stanowił swego rodzaju jej znak firmowy – nigdy nie piła publicznie niczego mocniejszego od khavu. Rzuciwszy pełne winy spojrzenie ku drzwiom, gdzie, jak widziała, o ścianę opierał się Scelto, z ulgą upiła łyk gorącego napoju. Chwała Triadzie i plantatorom z Tregei: był ciemny, aromatyczny i bardzo mocny.

– Wyglądasz jeszcze wspanialej niż zwykle, pani.

Odwróciła się, ukrywając niesmak. Rozpoznała ten głos:

Neso z Ygrathu, drobny szlachetka zza morza, który niedawno przybył na dwór Brandina pierwszym statkiem sezonu, powodowany jedynie nadzieją zostania kolonialnym wielmożą. Nie miał żadnych talentów, ale był przekupny.

Uśmiechnęła się do niego promiennie i pozwoliła mu dotknąć swej dłoni.

– Mój drogi Neso, jak to miło z twojej strony, że potrafisz udawać zachwyt wobec starzejącej się kobiety.

Lubiła mówić coś takiego, bo jak kiedyś zręcznie zauważał Scelto, jeśli ona jest stara, to co powiedzieć o Solores?

Neso, jak można było się spodziewać, natychmiast zaprzeczył. Pochwalił jej suknię i blaskami, zauważając okiem dworaka i wyrażając takimż językiem, jak wspaniale kamienie na kielichu harmonizują z tonacją jej stroju. Następnie ściszył głos do poufalego szeptu i zapytał ją co najmniej ósmy raz czy przypadkiem nie słyszała czegoś więcej na temat planowanej obsady drobnego urzędu głównego poborcy podatkowego w północnym Asoli.

Było to lukratywne stanowisko. Obecny poborca najwyraźniej zbił już wystarczający majątek na łupówkach i za kilka tygodni wracał do Ygrathu. Dianora brzydziła się takim procederem i kiedyś nawet ośmieliła się powiedzieć o tym Brandinowi. Z lekkim rozbawieniem – co ją rozzłościło – wyjaśnił jej jak trudno jest ściągnąć ludzi do służby w miejscach tak pozbawionych wszelkich atrakcji, jak północne Asoli, bez dania im okazji choćby skromnego dorobienia się.

Nie spuszczał oka z Dianory, obserwując, jak zmaga się i w końcu godzi z nieprzyjemną prawdą. Podniosła wzrok i niechętnie kiwnęła potakująco głową. Wybuchnął śmiechem.

– Cóż za ulga, że moje niezręczne rozumowanie i niezdarzne rządy spotykają się z twoją aprobatą – powiedział, krztusząc się ze śmiechu.

Poczerwieniała aż po cebulki włosów, lecz wpadając w jego nastrój, też roześmiała się z powodu absurdalności swej arogancji. Było to przed kilkoma laty.

Teraz jedynie dyskretnie próbowała dopilnować, żeby takie stanowiska nie przypadły najbardziej chciwym spośród zbieraniny pomniejszych ygratheńskich dworaków, z których musiał wybierać Brandin. Postanowiła nie dopuścić, żeby Neso otrzymał tę posadę. Problem w tym, że z sobie tylko znanych powodów kandydaturę Neso zdawał się popierać d'Eymon. Już poprosiła Scelto, żeby spróbował się dowiedzieć dlaczego.

Teraz patrząc na przyznanego, pulchnego Ygratheńczyka, przybrała poważną minę dobrotliwego zatroskania. Zniżając głos, lecz nie pochylając się do Neso, mruknęła:

– Robię, co mogę. Powinieneś wiedzieć, że ktoś się chyba sprzeciwia twojej kandydaturze.

Oczy Neso, przesłonięte smuzką pary unoszącą się z jej khavu, zwęziły się. Z subtelną wprawą błysnęły ponad jej prawym ramieniem w kierunku d'Eymona, który, jak wiedziała, nadal stał przy drzwiach króla. Neso znów spojrzął na nią, nieznacznie unosząc brwi.

Dianora lekko wzruszyła ramionami.

– Masz, pani... jakąś sugestię? – zapytał, marszcząc czoło.

– Najpierw należałoby się trochę uśmiechnąć – odparła rozmyślnie cierpko. Intrygowanie było bez sensu, jeśli wiedział o nim cały dwór.

Neso natychmiast zmusił się do śmiechu, po czym teatralnie zaklaskał, jakby Dianora powiedziała coś dowcipnego.

– Wybacz mi – rzekł, uśmiechając się. – Ta sprawa ma dla mnie wielkie znaczenie.

Jeszcze większe znaczenie ma dla mieszkańców Asoli, ty chciwa pijawko, pomyślała Dianora. Położyła delikatnie rękę na bufiastym rękawie Neso.

– Wiem o tym – powiedziała uprzejmie. – Zrobię, co będę mogła. Jeśli pozwolą mi na to... okoliczności.

Neso, cokolwiek o nim myśleć, znał się na tych sprawach. Jeszcze raz skwitował udawanym śmiechem żart.

– Mam nadzieję, że będę mógł tym okolicznościom pomóc – mruknął.

Znów się uśmiechnęła i cofnęła rękę. Wystarczy. Po południu Scelto otrzyma jeszcze trochę pieniędzy. Miała nadzieję, że w znacznej części pokryją one koszt blaskamienia. A jeśli chodzi o d'Eymona, to chyba w końcu osobiście z nim porozmawia, jeszcze w tym tygodniu. Rozmowa będzie tak osobista, jak na to zwykle ten człowiek pozwalał.

Sącząc khav, poszła dalej. Gdziekolwiek się obróciła, podchodzili do niej ludzie. Na dworze Brandina nieroztropnością był brak dobrych stosunków z Dianorą di Certando. Rozmawiając z roztargnieniem na nieistotne tematy, nadstawiała ucha na delikatne stuknięcia laski herolda, jedyną zapowiedź pojawienia się Brandina. Zauważyła, że Rhun ze śmiechem stroi do siebie miny, stojąc przed jednym z luster. Był w świetnym humorze, co stanowiło dobry znak. Odwracając się w drugą stronę, nagle dostrzegła ową miłą twarz, twarz kogoś, kto odegrał tak wielką rolę w jej życiu.

* * *

Można było powiedzieć, że pod wieloma względami zawinił sam gubernator. Tak bardzo chciał uśmierzyć widoczne rozdrażnienie Rhamanusa, kapitana Statku Daniny tamtego roku, że kazał certandańskiej szynkarce – która tak czarująco przeprosiła go niedawno za rozlanie wina – przynieść więcej najlepszego wina podawanego „Pod Królową”, niż było to rozsądne, biorąc pod uwagę stan biesiadników.

Rhamanus, który był na tyle młody, żeby jeszcze mieć ambicje, i dość dorosły, by wyczuć, że okazja wymyka mu się z rąk, uczynił wcześniej na pokładzie swej rzecznej galery kilka zdecydowanie cierpkich uwag na temat stanu rzeczy w Stevanien i jego okolicach. To takie odludzie, tak niesprawne w ściąganiu ceł i podatków – mruknął nieco zbyt swobodnie – że nie jest nawet pewien, czy wiosenny rejs galerą w górę rzeki jest wart zachodu... w obecnej sytuacji administracyjnej.

Gubernator, który już dawno pozbył się ambicji, lecz potrzebował jeszcze kilku lat na tym

stanowisku, by zgarnąć swoją porcję z ceł i podatków oraz z konfiskat i grzywien za wykroczenia, skrzywił się w duchu i przeklął koniunkcje swoich planet. Dlaczego, skoro tak bardzo się stara być uczciwy i zgodny we wszystkim, co robi, ma tak mało szczęścia?

Poza szeroko zakrojoną letnią akcją wojskową nie było sposobu na wyduszenie z tego zubożałego regionu więcej pieniędzy czy towarów. Jeśli Brandin poważnie chce wyciągnąć ze Stevanien jakieś rzeczywiste bogactwa, to lepiej by było, gdy by tak skutecznie nie rzucił na kolana miasta i jego distrady.

Oczywiście gubernatorowi nawet nie śniło się głośno wyrażać swych myśli. Faktem jednak było, że robił, co w jego mocy. Gdyby jeszcze mocniej przycisnął cech skórników czy wytwórców wełny, to po prostu zaczęłyby one upadać. Stevanien, już wystarczająco wyludnione – a szczególnie pozbawione mężczyzn w kwiecie wieku – stałoby się miastem duchów i pustych placów. Gubernator otrzymał zaś wyraźne instrukcje od króla, aby do tego nie dopuścić.

Jeśli różne polecenia i żądania króla były tak sprzeczne, co właściwie w takiej sytuacji ma robić urzędnik średniego szczebla?

Co prawda owego argumentu nie da się użyć wobec nasrożonego, niezadowolonego Rhamanusa. Co kapitana obchodzi i rozterki gubernatora? Kapitanowie Statków Daniny byli oceniani według tego, co przywozili w swoich ładowniach do Chiary. Mieli wywierać jak największy nacisk na miejscowych urzędników, a czasami nawet zmusić ich do oddania części własnych zysków, by załadować statek zgodnie z żądaniami króla, zrezygnowany gubernator postanowił już nawet to zrobić pod koniec tygodnia, jeśli ostatecznie, pośpiesznie zarządzone przeczesanie distrady nie przyniesie zadowalających Rhamanusa skutków. Wiedział, że tak będzie. Miał do czynienia z ambitnym kapitanem, a zeszłej jesieni plony w Corte, gdzie wypadał następny postój Rhamanusa, były słabe.

Tego wieczoru posiadłość we wschodnim Ygrath, w której gubernator zamierzał osiąść na starość, leżąca na półwyspie, który już sobie wybrał, wydawała się odległa jak nigdy przedtem. Gestem zażądał jeszcze jednej kolejki wina dla wszystkich przy stole, żałując w duchu błękitnozielonego morza i wspaniałych lasów pełnych łownej zwierzyny, otaczających dom, którego prawdopodobnie nigdy nie będzie mógł wybudować.

Z drugiej strony – jak lubiano tu mawiać – wydawało się, że jego próba ułagodzenia gniewu tego Rhamanusa odniosła niespodziewany sukces. Gubernator poprosił swego cudownego Arduiniego – będącego dla niego źródłem prawdziwej i jedynej radości w tym barbarzyńskim miejscu – o przygotowanie dla nich niezapomnianej kolacji.

– Wszystkie moje posiłki są niezapomniane – nastroszył się wtedy zgodnie z przewidywaniami Arduini, lecz dał się ugłaskać dobrze dobraną kombinacją pochlebstw i złotych ygrasów oraz cichą uwagą – prawie na pewno nie mającą pokrycia w rzeczywistości, jak bez cienia skruchy pomyślał gubernator – że ich gość ma łatwy dostęp do króla Chiary.

Kolacja okazała się ciągiem coraz większych odkryć, obsługa była sprawna, spokojna i dyskretna, a wina dodawały blasku niezaprzeczanemu mistrzostwu Arduiniego. Rhamanus, który miał pewne kłopoty z utrzymaniem linii, przeszedł od drażliwości poprzez ostrożną aprobatę i rosnące ukontentowanie do wylewnej serdeczności. A w końcu, przy przedostatniej butelce deserowego wina z Ygrathu, upił się.

Było to jedynym możliwym wyjaśnieniem faktu, że po zakończeniu kolacji i zamknięciu gospody „Pod Królową” kazał oficjalnie schwytać usługującą im ciemnowłosą szynkarkę jako daninę dla Brandina w Chiarze i bez chwili zwłoki zapakować ją na zacumowaną na rzece galerę.

Służącą. Służącą z Certo, gdzie, niestety, panował Alberico z Barbadioru, a nie Brandin z Ygrathu.

Gubernator Stevanien został wyrwany o świcie z niespokojnego, pogrążonego w oparach wina snu przez przerażonego i wielce skruszzonego członka Rady. Nagi i bez jednego nawet łyka porannego khavu wysłuchał wieści przedzierającej się przez złowróżbne pulsowanie potwornego bólu głowy.

– Zatrzymać tę galerę! – ryknął, gdy przerażająca perspektywa następstw tego czynu przedarła się do jego powoli budzącej się świadomości. A w każdym razie usiłował ryknąć. Z ust wydobył mu się żałosny skrzek, na tyle jednak jasny, że członek Rady, powiewając połami szaty, wypadł z pokoju, by wy pełnić rozkaz.

Zablokowano Sperion w chwili, gdy Rhamanus podnosił kotwicę.

Niestety, kapitan wykazał upór zdumiewająco sprzeczny z zasadami politycznego zdrowego rozsądku. Odmówił wydania dziewczyny. W chwili rozgorączkowania gubernator zastanawiał się nawet nad zaatakowaniem galery.

Rzecznej galery Brandina, króla Ygrathu, pana Burrakhu w Khardhun, tyrana zachodnich prowincji Półwyspu Dłoni, Galery wyraźnie mającej na maszcie obok królewskiej bandery Ygrathu osobisty proporzec Brandina.

Gubernator pomyślał, że koła śmierci są starannie strugane dla pomniejszych funkcjonariuszy podejmujących takie działania.

Zdesperowany, usiłował znaleźć sposób, aby trafić do rozsądku kapitana, który najwyraźniej wpadł w szpony letniego szaleństwa.

– Chcesz rozpocząć wojnę? – krzyknął z nabrzeża, bo nie został wpuszczony na galerę. Nieszczęsnej dziewczyny nigdzie nie było widać – na pewno ukryli ją w kabinie kapitana. Gubernator życzył jej śmierci. Życzył śmierci sobie samemu. Popołniając najcięższe ze wszystkich świętokradztwo, żałował, że mistrz patelni Arduini w ogóle postawił stopę w Stevanien.

– A dlaczegoż by – zawołał uprzejmie ze środka rzeki kapitan Rhamanus – dokładne

wypełnianie obowiązków, jakie nałożył na mnie król, miało spowodować coś takiego?

– Czyżby sól morską do reszty wypaliła ci tę nędzną namiastkę mózgu? – wrzasnął pochopnie gubernator. Kapitan zmarszczył brew. Gubernator brnął dalej, ociekając na słońcu potem.

– Ona jest Certandanką, na siedem świętych sióstr boga! Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, jak łatwo coś takiego może się stać pretekstem dla Alberico do rozpoczęcia wojny granicznej? – Osuszył czoło czerwoną chustą, którą poniewczasie podał mu służący.

Rhamanus ku wściekłości gubernatora był zupełnie opanowany, choć wypił zeszłego wieczoru przynajmniej tyle samo wina co on.

– Uważam – rzekł beztrąsko – że ona mieszka w Stevanien, pracuje w Stevanien i została pojmana w Stevanien. Według mnie jest odpowiednią kandydatką do saiszanu lub do tego, co w swej mądrości zechce z nią zrobić nasz król. – Niespodziewanie wycelował w gubernatora palec. – A teraz każ usunąć te łodzie albo je staranuję i zatopię w imię każdej z siedmiu sióstr oraz króla Ygrathu. Chyba że – dodał, pochylając się do przodu i opierając rękę na relingu – wolałbyś dalekomówić z Chiarą i poprosić króla, żeby sam to rozstrzygnął?

Tutaj w kolonii istniało powiedzenie: znaleźć się nago między dwiema pięściami. Określało ono dokładnie sytuację, w jakiej stawiała gubernatora ta podstępna, starannie przemyślana, złośliwa propozycja. Czerwona chusta bezustannie i bezskutecznie osuszała jego czoło i kark.

Wszystkim regionalnym administratorom w Zachodniej Dłoni starannie wbito w pamięć, że nie dalekomówi się z królem bez bardzo naglącej potrzeby. Brandin musiał zużywać wiele ze swej mocy na podtrzymanie takiego kontaktu z nie będącym czarnoksiężnikiem podwładnym.

Nie podejmowało się dobrowolnie takiego działania zwłaszcza bardzo wcześnie rano, kiedy król mógł spać. I, co być może najważniejsze, nie należało żądać duchowej obecności swego monarchy, mając umysł otumaniony miazmatami wypitego wcześniej wina, i to w sprawie, która zasadniczo dotyczyła jedynie schwywania w ramach daniny zwykłej wieśniaczki.

To była jedna pięść.

Drugą była wojna na granicy oraz mroząca krew w żyłach możliwość jeszcze gorszych wydarzeń. Bo któż, na siedem sióstr oraz boga, zna kręte ścieżki, jakimi podążają pogańskie myśli Alberico z Barbadioru? Jak mógłby potraktować – lub zechcieć potraktować – taki incydent? Mimo gładkiego rozumowania Rhamanusa fakt, że dziewczyna pracowała „Pod Królową”, oznaczał, że z całą pewnością nie pochodziła z Dolnego Corte. Na siostry, dolnocorteanki nie można było w ramach daniny nawet schwytać! Zabraniał tego królewski rozkaz. Aby pojmać tę dziewczynę, musiała być Certandanką. Jeśli Rhamanus chciał się sprzeczać, że mieszka w Stevanien, to robił z niej dolnocorteankę, co oznaczało, że nie można jej pojmać! Co oznaczało... gubernator nie wiedział, co to oznacza. Podał służącemu przesiąkniętą chustkę i dostał nową. Czuł, że mózg smaży mu się na słońcu.

Po ostatnich latach swojej służby gubernator spodziewał się jedynie spokojnych, średniodochodowych posad, na jakie zasłużyła sobie jego rodzina długim, choć skromnym poparciem roszczeń Brandina do tronu w Ygrath. Tylko tyle. Nie chciał niczego więcej. No, może jeszcze przyzwoitego domu na tym wschodnim półwyspie, gdzie mógłby obserwować wynurzające się z morza słońce i polować z psami w lesie. Czy to tak wiele?

A zamiast tego dwie pięści.

Przez chwilę zastanawiał się nad umyciem rąk – niech przekłęci mieszkańcy tego półwyspu pogłowią się trochę nad tym wyrażeniem! – i pozwoleniem temu zidiociałemu kapitanowi na spłynięcie galerą w dół rzeki. Właściwie, gdyby został w łóżku, udając, że nie otrzymał wiadomości na czas, to w sprawie pomyłki pijanego kapitana byłby całkowicie niewinny. Niestety, zbyt późno zdał sobie z tego sprawę. Zamknął oczy, by delektować się cudowną słodyczą istniejącej możliwości.

Za późno. Stał nad brzegiem rzeki w oślepiającym blasku i żarze słońca, a pół Stevanien słyszało, co do siebie z Rhamanusem krzyczeli przez rzekę.

Odmawiając krótką, pokorną modlitwę do własnych bogów opiekuńczych zajmujących się jęzieniem i lasem oraz mając przed oczyma boleśnie wyraźną wizję nadmorskiej posiadłości, gubernator wybrał dla siebie pięść.

– Wpuść mnie zatem na pokład – rzekł energicznie. – Nie mam zamiaru dalekomówić z królem, stojąc na nabrzeżu. Będę potrzebował fotela, spokoju i kubka niezwykle mocnego khavu czy tego, co uchodzi za khav na galerze.

Rhamanus był najwyraźniej zbity z tropu. Gubernator potrafił wydobyć z tego faktu kwaśną przyjemność.

Dostał wszystko, czego żądał. Kobieta schowano pod pokład i gubernator został sam w kapitańskiej kabinie. Zaczerpnął głęboko tchu i powtórzył tę czynność kilkakrotnie. Wypił khav, parząc sobie język, co w końcu go dobudziło. Następnie po raz pierwszy od objęcia urzędu przed trzema laty zawęził myśli do jednego maleńkiego wyobrażenia, tak jak nauczył go Brandin, i przywołał imię króla.

Niepokojąco szybko usłyszał w głowie szorstki, chłodny, zawsze nieco szyderczy głos Brandina. Przyprawiało go to o zawrót głowy. Gubernator z trudem zachował spokój. Starannie i szybko wszystkich ich nauczono, że szybkość bardzo się liczy – opisał zaistniałą sytuację. Dwa razy wtrącił przeprosiny, ale nie odważył się zaryzykować czasu potrzebnego na trzecie, mimo że nakazywało mu to nabyte w ciągu całego życia doświadczenie. Na cóż przydawało się życiowe doświadczenie dobrego dyplomaty, który pogrążył się w magii? Napięcie i poczucie zachwianej równowagi wywoływane dalekomówieniem przyprawiały go o mdłości.

I wtedy, czując nagły przypływ animuszu oraz wybuch peanów pochwalnych na cześć dwudziestu różnych bóstw rozbrzmiewających mu w głowie, gubernator Stevanien pojął, że król

nie jest zły. Co więcej, że on sam miał rację, dalekomówiąc do niego. Że badanie zamiarów Alberico w taki właśnie sposób nie mogło wypaść w politycznie lepszym momencie. Ze w związku z tym Rhamanus powinien zatrzymać dziewczynę w ramach daniny, lecz, co król podkreślił, rozgłosić jej certandańskie pochodzenie oraz to, że akurat znalazła się w Dolnym Corte. Ten fakt miał uzasadnić ich postępowanie. Żadnych uników co do jej pobytu w Stevanien. Przekonają się, jakiego ducha ma ten drobny barbadiorski czarnoksiężnik.

Król powiedział, że gubernator dobrze zrobił. Obraz przyszłego domu nad morzem nieomal rozjarzył się w wyobraźni gubernatora, który zaczął w milczeniu składać bełkotliwe najpokorniejsze deklaracje miłości i posłuszeństwa, wykorzystując połączenie podtrzymywane przez Brandina. Król przerwał mu.

– Musimy już kończyć – powiedział. – I postaraj się nie pić tyle wina.

Kontakt się urwał. Gubernator przed dłuższy czas siedział sam w kabinie kapitana, usiłując się pocieszyć, że ostatnią uwagę Brandin wypowiedział żartobliwie, a nie karcąco. Był tego pewien.

Nastał okres pełen napięcia. Galera otrzymała pozwolenie wypłynięcia jeszcze tego samego ranka. W ciągu następnych dwóch tygodni król dwa razy dalekomówił z gubernatorem. Raz, by nakazać potajemne zwiększenie załogi granicznego garnizonu w Forese, ale nie na tyle, by mogło to posłużyć za prowokację. Gubernator spędził w męce bezseną noc, usiłując ustalić odpowiednią liczbę żołnierzy.

Z miasta Dolne Corte przybyły rzeką posiłki dla uzupełnienia jego własnych sił w Stevanien. Później król nakazał mu wyglądać ewentualnego barbadiorskiego posłańca z Certando i w razie jego przybycia powitać go z największą serdecznością, odsyłając po odpowiedzi na wszelkie pytania do Chiary. Ostrzegł go także przed możliwą akcją odwetową załogi Sinave i rozkazał zlikwidować wszelkie barbadiorskie oddziały, jakie mogłyby się zapuścić do Dolnego Corte. Gubernator miał bardzo niewielkie doświadczenie w likwidowaniu oddziałów wroga, ale przysiągł wypełnić rozkaz.

Usłyszał także, że powinien doradzić kupcom wybierającym się na wschód, by na jakiś czas odłożyli swoje plany. Nie były to rozkazy, nic oficjalnego, jedynie rada, do której przezorny człowiek interesu mógłby zechcieć się zastosować. Większość z nich tak postąpiła.

W końcu do niczego nie doszło.

Alberico postanowił całkowicie zignorować ów incydent. Jeśli nie chciał stracić twarzy, to poza poważną eskalacją działań nie mógł zrobić nic innego. Przez jakiś czas sądzono, że może ukarać jakiegoś kupca czy wędrownego muzyka z Zachodniej Dłoni, który akurat znalazł się w jego prowincjach, ale o niczym takim też nie słyszano. Barbadiorczyki po prostu potraktowali dziewczynę jako stałą mieszkankę Dolnego Corte – dokładnie tak, jak beztrąsko zaproponował rano po jej schwytaniu Rhamanus.

Natomiast w prowincjach ygratheńskich dziewczynę celowo od początku określano jako Certandanę, kobietę z terenów barbadiorskich, którą schwytał Brandin, szydząc z Alberico. Mówiono też, że jest na dodatek piękna.

Rhamanusowi niespieszny powrót do domu zajął resztę lata i początek jesieni. Galera popłynęła w dół rzeki i cała zebrana na ładzie danina została przewieziona na wielki Statek Daniny. Jego szerokie, wydęte wiatrem żagle powoli poniosły go wzdłuż wybrzeża, gdzie w wyznaczonych miejscach w Corte i Asoli kapitan odbierał zebrane podatki i cła.

Plony w Corte rzeczywiście były złe. Jego mieszkańcy z trudem zebrali wymaganą daninę. Statek dwa razy stał przez dłuższy czas na kotwicy, podczas gdy kapitan wyruszał do jednej z leżących w głębi ładu placówek. Jednocześnie Rhamanus cały czas szukał kobiet, które mogłyby być czymś więcej niż tylko zakładniczkami czy symbolami ygratheńskiej przewagi. Kobiet, które mogłyby zostać ozdobą samego saisanu i w ten sposób przypieczętować karierę pewnego kapitana, który po dwudziestu latach spędzonych na morzu był prawie gotów do przyjęcia jakiejś posady na ładzie.

Znaleziono trzy kandydatki. Jedna była szlachetnie urodzona, a jej istnienie zostało wyjawione przez informatora. Schwytano ją dopiero po całkowitym – ku pewnemu żalowi Rhamanusa – spaleniu dworu jej ojca w Corte.

Wreszcie, wraz z końcem jesieni, pięknej nawet w płaskim, nieładnym Asoli, jeśli na chwilę ustawały deszcze, Statek Daniny przemknął przez zdradliwą Cieśninę Asoli i wpłynął na wody Morza Chiaryjskiego. W kilka dni później, tryumfalnie trzepocząc czerwono-złotymi żaglami, zawinął do Wielkiej Zatoki Wyspy, od niepamiętnych czasów opiewanej w pieśniach.

Statek Daniny Rhamanusa miał na pokładzie złoto, drogie kamienie, srebro i najróżniejsze monety. Przywiózł skórę ze Stevanien i drewniane rzeźby z Corte oraz wielkie kręgi sera z zachodniego wybrzeża Asoli, a także przyprawy, zioła, noże, szkło do wyrobu witraży, wełnę i wino. Wśród danin znajdowały się dwie kobiety z Corte i jedna z Asoli, a oprócz tych trzech była jeszcze inna kobieta. Zanim podróż dobiegła końca, ta ciemnowłosa, brązowooka piękność była znana na całym półwyspie jako dziewczyna, która nieomal rozpętała wojnę.

Nazywała się Dianora di Certando. Dianora, która zamierzała przybyć na Wyspę od najwcześniejszych przebłysków swego planu, kiedy pewnego letniego wieczoru siedziała samotnie przed wygasłym kominkiem w cichym domu swego ojca, która pozbyła się wszelkich sentymentów i przyzwyczaiła do myśli, że zostanie schwytana, sprowadzona tu i zamknięta na resztę życia w saisanie tyrana. Tyle sobie zaplanowała przed pięciu laty. W sercu miała śmierć. Jej ojciec nie żył, brat gdzieś przepadł, a matka odeszła nawet dalej. Obrazy wszystkich trojga wstawały w jej snach z pogorzeliśka ojczystego kraju.

Śmierć ciągle jej towarzyszyła, była z nią na statku. Nadal śniła te same sny, lecz w miarę jak przybliżała się leżąc pod rozpalonym niebem bajeczna Chiara, pojawiło się w nich coś

jeszcze – pełne niedowierzania oszołomienie spowodowane tym, że wszystko potoczyło się tak źle, a jednak dokładnie tak jak to od początku sobie zaplanowała.

W wejściu do nowego świata usiłowała dostrzec dobry omen Trzykrotnie zacisnęła palce lewej dłoni na kciuku, aby życzenie się ziściło.

Rozdział 8

Krążąc po zatłoczonej sali audiencyjnej w blasku wiosennego słońca przefiltrowanym przez wysoko umieszczone witraże, Dianora pomyślała, że to dziwne, jak wyraźne oznaki młodości alchemia czasu zmienia w wielowarstwowe zawilości dorosłego życia.

Sącząc khav z drogocennego kielicha, spróbowała pomyśle o tym inaczej: że po prostu sama pozwoliła, by sytuacja stała się trudna i pełna niuansów; że prawdy pozostały takie same, jakimi były w dniu jej przybycia; że ona jedynie się ukrywa przed tym, czym się stała i czego jeszcze nie dokonała.

Była to zasadnicza sprawa w jej życiu i Dianora po raz kolejny zepchnęła ją w zakamarki świadomości. Nie dzisiaj. Nie w dzień. Te myśli należały do nocy spędzanych samotnie w saizanie, kiedy jedynie leżący pod jej drzwiami Scelto mógł się domyślać, jak jest bezradna, czy znajdować na jej policzkach ślady łez, kiedy przychodził rano ją budzić.

To nocne myśli, a teraz jest jasny dzień, na dodatek w bardzo publicznym miejscu.

Podeszła więc do mężczyzny, którego rozpoznała, z uśmiechem sięgającym oczu. Z wdziękiem trzymając kielich, zasalutowała po ygratheńsku korpulentnemu, dostojnie odzianemu mężczyźnie z trzema złotymi łańcuchami na szyi.

– Witam – mruknęła, prostując się i podchodząc do niego bliżej. – Co za niespodzianka. Doprawdy rzadka to okazja, żeby tak zajęty Zarządca Trzech Portów raczył poświęcić chwilę swego cennego czasu na odwiedzenie starych znajomych.

Niestety, Rhamanusa obecnie równie trudno było wyprowadzić z równowagi jak przedtem. Teraz po prostu się uśmiechnął. Wraz z mijającymi latami i pełnionymi na lądzie obowiązkami nabrał powagi, lecz nadal pozostał tym człowiekiem, który ją tu sprowadził.

Był jednym z nielicznych Ygratheńczyków, których prawdziwie lubiła.

– Nie bądź taka pewna siebie, dziewczyno – rzekł, udając gniew. – Bezczyne kobiety, które cały dzień nie robią z nudów nic innego, tylko upinają, rozpuszczają i znów upinają włosy, nie powinny krytykować tych z nas, którzy mają do wypełnienia poważne i żmudne obowiązki, przygotowujące o bezsenność i siwiznę we włosach.

Dianora roześmiała się. Gęste, czarne kędziory Rhamanusa – przedmiot zazdrości połowy saizanu – nie zdradzały śladu siwizny. Wymownie spojrzała na jego ciemne loki.

– Jestem kłamcą – zgodził się Rhamanus z niezachwianym spokojem, pochylając się do przodu, tak by tylko ona mogła go słyszeć. – Zima przeszła bez najmniejszych zakłóceń. Nie miałem prawie nic do roboty. Mogłem cię odwiedzić, ale sama wiesz, jak nie znoszę dworskiej atmosfery. Kiedy się kłaniam, odpadają mi guziki.

Dianora znów się roześmiała i uściśnęła jego ramię. Rhamanus był dla niej miły na statku,

a potem zawsze grzeczny i przyjazny, nawet wtedy, gdy była zaledwie jeszcze jednym nowym ciałem – choć już nieco sławnym – w królewskim sajszanie. Wiedziała, że ją lubi, a od samego d'Eymona wiedziała także, iż były kapitan Statku Danin jest sprawnym i uczciwym zarządcą.

Pomogła mu otrzymać tę posadę pięć lat temu. Dla żeglarza nadzorowanie przepisów w trzech głównych portach samej Chiary było nie lada zaszczytem. Sądząc także z nieco przetartego ubrania Rhamanusa, posada ta znajdowała się zbyt blisko siedliska władzy, by wyciągnąć z niej jakiegokolwiek rzeczywiste korzyści.

Zastanawiając się nad tym, przesuwiała językiem po górnych zębach. Brandin droczył się z nią o ten nawyk. Twierdził, że zawsze zapowiada on prośbę lub jakąś propozycję. Znał ją bardzo dobrze, i to przerażało ją co najmniej w takim stopniu, w jakim wywoływało inne uczucia.

– To tylko taka myśl – powiedziała cicho do Rhamanusa – ale czy interesowałoby cię zamieszkanie na kilka lat w północnym Asoli? Nie myśl sobie, że chcę się ciebie pozbyć. Miejsce jest okropne, wszyscy tak uważają, ale są tam jednak pewne możliwości i wołałabym, żeby wykorzystał je człowiek uczciwy, a nie któryś z tych krążących wokół chciwców.

– Urząd poborcy podatkowego? – zapytał bardzo cicho. Skinęła głową. Rozwarł lekko oczy, lecz nauczony dyskrecji w żaden inny sposób nie zdradził swego zainteresowania czy zaskoczenia. Natomiast w chwilę później rzucił okiem ponad jej ramieniem w kierunku tronu. Dianora już się odwracała, zaalarmowana przez nie wyjaśniony zmysł funkcjonujący nicomal jak czujnik.

Zanim więc herold dwa razy cicho zastukał laską w podłogę i do sali wszedł Brandin, Dianora już stała przodem do Tronu Wyspy i widniejących za nim drzwi. Za Brandinem weszli obaj kapłani oraz kapłanka Adaona. Rhun przykuśtykał pośpiesznie w okolice tronu. Oprócz błazeńskiej czapki jego strój nie różnił się niczym od stroju króla.

Brandin kiedyś jej powiedział, że prawdziwszej miary władzy nie można by się dopatrzeć nawet w dwudziestu heroldach ogłuszających zebranych oznajmieniem o przybyciu ich pana. Zwrócić na siebie uwagę w ten sposób mógł każdy głupiec posiadający na to fundusze. Prawdziwszej miary dostarczało dyskretne wejście i obserwowanie, co będzie dalej.

To, co nastąpiło, następowało zawsze. Przez ostatnie dziesięć minut cała sala audiencyjna była jakby zawieszona w oczekiwaniu nad brzegiem przepaści. Teraz wszyscy jednocześnie złożyli się w głębokim ukłonie. Zanim zabrzmiały stłumione uderzenia laski herolda oznajmiające o wejściu króla, w całej zatłoczonej sali nie było ani jednej osoby, która by jeszcze coś mówiła. W zapadłej ciszy dwa delikatne uderzenia o marmurową posadzkę rozniosły się echem grzmotu.

Brandin był w znakomitym nastroju. Dianora umiała to dostrzec, stojąc w środku sali, nawet bez wskazówek od Rhuna. Serce biło jej bardzo szybko. Zawsze tak się działo, kiedy do

pomieszczenia, w którym się znajdowała, wchodził Brandin. Tak wiele linii jej życia biegło do tego mężczyzny, wybiegało z niego lub zbiegało się w nim w beznadziejnej płataninie.

Najpierw jak zwykle spojrzał na d'Eymona, który złożył mu po ygratheńsku niski, pozbawiony wyrazu ukłon. Potem jak zwykle odwrócił się i uśmiechnął do Solores.

A potem do Dianory. Mimo że była przygotowana, nadal niezupełnie potrafiła zapanować nad tym, co się z nią zaczyna dziać, kiedy spotkały się ich oczy. Jego spojrzenie było niczym dotknięcie, przelotna obecność, jak sam Brandin ogniste i zarazem lodowate.

Kiedyś, dawno temu, ośmieliła się zadać mu w łóżku pytanie, które od dawna ją trapiło.

– Kiedy się ze mną kochasz albo kiedy spotykamy się w publicznym miejscu, czy ma w tym udział magia?

Nie wiedziała, co chciała usłyszeć. Sądziła, że pytanie może mu pochlebić lub przynajmniej go rozbawić. Z Brandinem jednak nic nigdy nie było wiadomo, bo jego zbyt subtelne myśli biegły zbyt wieloma ścieżkami. Dlatego pytania, a szczególnie otwarte pytania, były niebezpieczne. Ta sprawa miała jednak dla niej duże znaczenie: gdyby odpowiedział twierdząco, miała zamiar spróbować posłużyć się tym pretekstem do ponownego obudzenia w sobie morderczego gniewu. Gniewu, którego w tym dziwnym świecie Wyspy niemal się wyzbyła.

Musiała mieć wtedy bardzo poważny wyraz twarzy, bo Brandin odwrócił się do niej, opierając głowę na ręce, by przyjrzeć się jej spod ściągniętych brwi. Potrząsnął głową.

– Nie w sposób, o jakim myślisz. Poza sprawą dzieci na nic nie wpływam za pomocą magii. Wiesz, że nie chcę mieć więcej potomków. – Wiedziała o tym, jak wszystkie jego kobiety. Po chwili powiedział ostrożnie: – Dlaczego pytasz? Co się wtedy z tobą dzieje?

Przez sekundę myślała, że w jego głosie usłyszała wahanie, ale z Brandinem nigdy nie można było mieć pewności w takich sprawach.

– Zbyt dużo – odparła wtedy. – Dzieje się ze mną zbyt dużo. I wtedy, ten jeden jedyny raz wyjawiała prawdę kryjącą się w głębi serca, które straciło już całą niewinność. W jego jasnych oczach dostrzegła zrozumienie. Przestraszyło ją to. Ulegając przemożnemu pragnieniu, przytuliła się do niego, by wszystko mogło zacząć się od nowa. Wszystko: zdrada i wspomnienia zmieszane z tęsknotą niczym bursztynowej barwy wino, które podobno pija Triada i które jest zbyt mocne, by kosztowali go śmiertelnicy.

– Mówisz o tym stanowisku w Asoli poważnie?

Rhamanus mówił cicho. Brandin nie podszedł do tronu, lecz ruszył w niespieszny obchód sali, co stanowiło kolejny dowód jego dobrego nastroju. Uśmiechnięty krzywo Rhun, utykając podążał za nim.

– Wyznaję, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem – dodał były kapitan zwożący do Chiary daniny.

Dianora z wysiłkiem wróciła do niego myślami. Przez chwilę zapomniała o własnym

pytaniu. To przez Brandina. Pomyślała, że to niedobrze. Niedobrze z wielu względów.

– Zupełnie poważnie – rzekła, odwracając się do Rhamanusa. – Ale nie jestem pewna, czy chciałbyś je otrzymać, nawet gdyby to było możliwe. Masz teraz lepsze stanowisko, no i jesteś na Chiarze. Asoli może być szansą na bogactwo, ale sądzę, że zdajesz sobie sprawę, co się z tym wiąże. Co ma dla ciebie znaczenie, Rhamanusie?

Zabrzmiało to bardziej obcesowo, niż wymagała grzeczność szczególnie w rozmowie z przyjacielem.

– Czy to jest najważniejsze? – zapytał z wahaniem. – Czy człowiekiem nie może powodować perspektywa nowego wyzwania czy nawet – ryzykując, że zabrzmi to głupio – chęć służenia swemu królowi?

– Zawstydzasz mnie – powiedziała po chwili z prostotą. – Przysięgam, że mnie zawstydzasz, Rhamanusie. – Uciszyła jego natychmiastowe protesty, kładąc mu na ręce dłoń. – Czasami zastanawiam się, co się ze mną dzieje. Zapewne to te ciągłe intrygi.

Usłyszała zbliżające się kroki i jej następne słowa były skierowane zarówno do mężczyzny znajdującego się za nią, jak i do tego przed nią.

– Czasami zastanawiam się, co dwór ze mną wyprawia.

– Czy i ja powinienem się zastanowić? – zapytał Brandin z Ygrathu.

Podszedł do nich z uśmiechem. Nie dotknął jej. Bardzo rzadko dotykał kobiet z saisanu w miejscu publicznym, a to było przecież ygratheńskie przyjęcie. Znali jego zasady. Ich życie biegło według jego zasad.

– Panie mój – rzekła, odwracając się i składając ukłon. – Nie uważasz, że jestem bardziej cyniczna niż wtedy, kiedy przywiózł mnie tu ten okropny człowiek?

Brandin przeniósł rozbawione spojrzenie na Rhamanusa. Nie trzeba mu było przypominać, który kapitan dał mu Dianorę. Wiedziała o tym, a on wiedział, że ona wie. To wszystko stanowiło część ich słownej gry. Jego inteligencja sprawiała, że Dianora wyteźała umysł do granic możliwości, a potem poza nie. Być może pod wpływem rozmowy z Rhamanusem zauważyła, że teraz w brodzie Brandina jest tyle siwizny, ile czerni. Skinął poważnie głową, udając głęboki namysł nad pytaniem.

– Chyba jesteś. Stałaś się cyniczną manipulatką prawie w takim samym stopniu, w jakim ten okropny człowiek przytył.

– Aż tak bardzo? – zaprotestowała Dianora. – Panie, on jest bardzo gruby!

Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem. Rhamanus poklepał się z zadowoleniem po brzuchu i powiedział:

– Oto skutki karmienia człowieka zimnym, solonym mięsem przez dwadzieścia lat na morzu, a potem wystawiania go na pokusy królewskiego miasta.

– Dobrze więc – rzekł Brandin. – Być może będziemy musieli wysłać cię gdzieś, gdzie znów

nabierzesz linii foki.

– Panie mój – odparł natychmiast z powagą Rhamanus – zawsze jestem na twoje rozkazy.

Brandin zauważył to i też zmienił ton.

– Wiem – mruknął. – Chciałbym mieć więcej takich ludzi na dworze. Na obu moich dworach. Nieważne, czy jesteś tęgi czy szczupły, Rhamanusie, ja nie zapominam o tobie.

Była to wielka pochwała, swego rodzaju obietnica, oraz chwilowa odprawa. Rhamanus skłonił się głęboko i wycofał. Brandin odszedł parę kroków z trzymającym się niezdarnie jego boku Rhunem. Dianora poszła za nimi, tak jak się tego po niej spodziewano. Kiedy Brandin znalazł się poza zasięgiem słuchu wszystkich z wyjątkiem Rhuna, odwrócił się do niej. Z przykrością zauważyła, że powstrzymuje uśmiech.

– Co zrobiłaś? Zaproponowałaś mu północne Asoli?

Dianora westchnęła ze szczerą irytacją. Zawsze tak było.

– To nieuczciwe – zaprotestowała. – Posługujesz się magią.

Pozwolił sobie na uśmiech. Wiedziała, że są obserwowani i jakie będą komentarze.

– Nic podobnego – odparł Brandin. – Nie marnowałbym jej ani nie wysilałbym się w tak oczywistej sprawie.

– Oczywiście! – nastroszyła się Dianora.

– Nie chodzi o ciebie, moja ty cyniczna manipulatorko. Ale kiedy zażartowałem o wysłaniu Rhamanusa na jakąś placówkę, zbyt szybko spoważniał. A ponieważ jedyną wchodzącą teraz w rachubę znaczącą placówką jest północne Asoli...

Nie dokończył zdania. W oczach tańczyły mu ogniki śmiechu.

– Czy doprawdy byłby to zły wybór? – zapytała wyzywająco Dianora. To naprawdę niepokojące, z jaką łatwością Brandin dociera do sedna sprawy. Jeśli pozwoli sobie dłużej się nad tym zastanawiać, znów zacznie się bać.

– A co ty myślisz? – odpowiedział pytaniem.

– Ja? Myślę? – Uniosła wyskubane brwi w przesadny łuk. – Jak zwykły obiekt przelotnej przyjemności króla mógłby ważyć się na opinię w takich sprawach?

– A, to jest inteligentne spostrzeżenie – rzekł Brandin, skinąwszy głową. – Chyba będę musiał zapytać Solores.

– Jeśli wyciągniesz z niej inteligentne spostrzeżenie – rzekła cierpko Dianora – rzuć się z balkonu saisanu do morza.

– Przez cały plac portowy? To mało prawdopodobne – powiedział łagodnie Brandin.

– Podobnie jak inteligentne spostrzeżenie u Solores.

Roześmiał się w głos. Dwór słuchał. Wszyscy słyszeli. Każdy wyciągnie własne wnioski, ale w rezultacie będą one takie same. Pomyślała, że jeszcze przed końcem dnia Scelto prawdopodobnie otrzyma dyskretne datki nie tylko od Neso z Ygrathu.

– Dziś rano zobaczyłem na górze coś interesującego – powiedział Brandin już poważniejszym tonem. – Coś zupełnie niezwykłego.

Zdała sobie sprawę, że właśnie o tym chciał z nią porozmawiać na osobności. Rano wbiegł na Sangariosa, a ona była jedną z nielicznych osób, które o tym wiedziały. Nie mając pewności, czy da radę, nie rozgłaszał tego. Chciała się z nim trochę podręczyć.

Na początku wiosny, kiedy wiatry zaczynały dąć z innych kierunków, a w Certando, Tregoi i na południowych krańcach ziemi zwanej niegdyś Tiganą nie stopniały jeszcze ostatnie śniegi, nadchodziły trzy Dni Żaru oznaczające przełom roku.

Nigdzie w całej Dłoni nie rozpalano wtedy nowego ognia. Gorliwcy pościli przynajmniej pierwszego z trzech dni. Dzwony świątyni Triady milkły. Ludzie zostawali nocą w domach, szczególnie po zapadnięciu zmroku pierwszego dnia – Dnia Umarłych.

Dni Żaru przypadały też na jesieni, w połowie roku. Nastawał wtedy czas żałoby po Adaonie zabitym w górach Tregoi, kiedy słońce zaczynało blednąć na znak żałoby Eanny, a przepełniona smutkiem Moriana pogrążała się w swych podziemnych Komnatach. Ale dni wiosenne wywoływały zimniejszy strach, szczególnie na wsi, ponieważ tak wiele zależało od tego, co nastanie po nich. Od odejścia zimy, pory siewu i nadziei na zboże, na życie w nadchodzącej pełni lata.

W Chiarze istniał dodatkowy rytuał różniący się od wszystkich innych w Dłoni.

Opowiadano na Wyspie, że Adaon i Eanna po raz pierwszy połączyli się w miłości na trzy pełne dni i noce na szczycie Sangariosa. Ze trzeciej nocy uniesiona falą pożądania Eanna od Świąteł stworzyła gwiazdy i rozsypała je po ciemnym niebie niby lśniąca koronkę. Opowiadano też, że trzy razy po trzy miesiące później powstała Triada, kiedy w środku zimy w grocie na tej samej górze urodziła się Moriana.

A z Morianą przyszło na świat życie i śmierć, a z życiem i śmiercią pod nowo nazwanymi gwiazdami, dwoma księżycami strzegącymi nocy i słońcem dnia zaczął stąpać śmiertelny człowiek.

Z tego właśnie powodu Chiara zawsze domagała się pierwszeństwa między dziewięcioma prowincjami Dłoni i dlatego też jako strażniczkę swego przeznaczenia Wyspa obrała Morianę.

Morianę od Portali, która władała wszystkimi progami. Wszyscy bowiem wiedzieli, że każda wyspa jest światem samym w sobie, że przybyć na wyspę oznaczało przybyć do innego świata. Prawdę tę wyznawano pod gwiazdami i księżycami, choć nie zawsze o niej pamiętano w świetle dnia.

Zatem co trzy lata, na początku każdego Roku Moriany, o świcie pierwszego z wiosennych Dni Żaru chiarańscy młodzieńcy ścigali się ze sobą w biegu na szczyt Sangariosa. Tam pod czujnym okiem kapłanów Moriany, którzy przez całą noc czuwali na szczycie wśród duchów zmarłych, zrywali gałązkę obsypaną krwistoczerwonymi, odurzającymi jagodami sonrai.

Młodzieniec, który zbiegał z góry pierwszy, był namaszcany jako Pan Sangariosa. Tytuł ten zatrzymywał przez trzy lata, do następnego wyścigu.

W dawnych, bardzo dawnych czasach, w sześć miesięcy później, pierwszego jesiennego Dnia Żaru Pan Sangariosa ginął na swej górze z rąk polujących na niego kobiet.

Zwyczaj ten został dawno zarzucony. Teraz młody zwycięzca miewał ogromne powodzenie jako kochanek wśród kobiet pragnących otrzymać błogosławieństwo jego nasienia. To inny rodzaj polowania, jak kiedyś powiedziała Brandinowi Dianora.

Nie roześmiał się wtedy. Dla niego rytuał nie był zabawny. Co więcej, przed sześciu laty król Ygrathu postanowił osobiście przebiec trasę w dzień poprzedzający oficjalny wyścig. To samo uczynił trzy lata temu. Niewątpliwie duże osiągnięcie, jak na człowieka w jego wieku, zważywszy na fakt, jak pilnie i jak długo przygotowywali się do wyścigu zawodnicy. Dianora nie wiedziała, co bawiło ją bardziej: tajemniczość Brandina, czy też męska duma, jaka rozpierała go za każdym razem, kiedy wracał ze szczytu góry.

W sali audiencyjnej zadała mu pytanie, na które wyraźnie czekał.

– Co takiego zobaczyłeś?

Nie wiedziała – bo śmiertelnicy rzadko wiedzą, że zbliżają się do portalu bogini – iż pytanie to będzie oznaczało przełom w jej życiu.

– Coś niezwykłego – powtórzył Brandin. – Oczywiście wyprzedziłem biegnących ze mną strażników.

– Oczywiście – mruknęła, patrząc na niego spod oka.

Uśmiechnął się.

– Przez część drogi byłem sam na ścieżce. Drzewa po obu stronach – głównie górskie jesiony i trochę sedzoi – nadal rosły bardzo gęsto.

– Niezwykle interesujące – rzuciła.

Tym razem uciszył ją jednym spojrzeniem. Dianora przygryzła wargę i przybrała odpowiednią minę.

– Spojrzałem w prawo i zobaczyłem na krawędzi lasu spory szary głaz podobny do platformy. Na głazie siedziała jakaś istota. Mógłbym przysiąc, że to samica, i to o prawie ludzkich kształtach.

– Prawie ludzkich?

Już się z nim nie droczyła. Kiedy znajdziemy się pod sklepieniem portalu Moriany, czasami wiemy, że dzieje się coś ważnego.

– Właśnie. Z całą pewnością nie była istotą w pełni ludzką. Nie z takimi zielonymi włosami i skórą tak białą, że, przysięgam, widziałem pod nią niebieskie żyłki. A podobnych oczu nie spotkałem nigdy w życiu. Sądziłem, że to złudzenie spowodowane grą światła i cienia. Nie poruszyła się, nawet kiedy przystanąłem, żeby na nią popatrzeć.

Teraz Dianora dokładnie wiedziała, gdzie się znalazła. Stworzenia wód, drzew i jaskiń były prawie tak pradawne, jak Triada, a z tego opisu Dianora wiedziała, co zobaczył Brandin. Wiedziała też inne rzeczy i nagle zdjęło ją przerażenie.

– I co zrobiłeś? – zapytała tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

– Nie wiedziałem, co mam robić. Przemówiłem, ale nie odpowiedziała. Postąpiłem krok do przodu, wówczas ona natychmiast zeskoczyła z głazu i cofnęła się. Stała między drzewami. Wyciągnąłem w jej kierunku otwarte dłonie, co ją zaskoczyło czy też uraziło, bo po chwili uciekła.

– Poszedłeś za nią?

– Chciałem, ale wtedy dogonił mnie jeden ze strażników.

– Widział ją? – zapytała. Zbyt szybko.

Brandin spojrział na nią uważnie.

– Spytałem go o to. Powiedział, że nie, ale sądzę, że odpowiedziałby tak samo, gdyby ją zobaczył. Dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami.

– To potwierdziłoby, że istniała naprawdę – skłamała.

Brandin potrząsnął głową.

– Była prawdziwa. To nie przywidzenie. Właściwie – dodał, jakby właśnie przyszło mu coś do głowy – przypominała mi ciebie.

– Tą swoją... jak mówiłeś? Zieloną skórą i niebieskimi włosami? – zapytała, zdając się na swój dworski instynkt. Działo się tu jednak coś wielkiego. Z trudem ukrywała zamęt, jaki czuła w głowie. – Serdecznie ci dziękuję, łaskawy panie. Sądzę, że gdybym porozmawiała ze Scelto i Vencelem, moglibyśmy osiągnąć taki kolor skóry, a i niebieskie włosy nie powinny sprawić żadnego trudu. Jeśli tak bardzo cię to porusza...

Uśmiechnął się, ale nie roześmiał.

– Zielone włosy, a nie niebieskie – rzekł niemal z roztargnieniem. – I naprawdę ciebie przypominała, Dianoro – powtórzył, patrząc na nią dziwnie. – Naprawdę mi ciebie przypominała. Zastanawiam się dlaczego. Czy wiesz coś o takich stworzeniach?

– Nie – odparła. – W Certando nie mamy opowieści o mieszkających w górach zielonowłosych kobietach. – Kłamała, najlepiej jak potrafiła, szczerze i bezpośrednio. Ledwo wierzyła w to, co właśnie usłyszała, w to, co widział.

Brandin nie tracił dobrego nastroju.

– A jakie opowieści macie w Certando? – zapytał z wyczekującym uśmiechem.

– O włochatych istotach mających nogi jak pnie drzew, pożerających nocą kozy i dziewice.

Jego uśmiech poszerzył się.

– A są tam jakieś?

– Kozy owszem – odpowiedziała z kamienną twarzą. – Dziewic trochę mniej. Włochate istoty o tak specyficznym guście kulinarnym nie stanowią zachęty do zachowania niewinności. Wyślesz ludzi na poszukiwanie tego stworzenia? – Pytanie było tak ważne, że w oczekiwaniu na odpowiedź wstrzymała od dech.

– Chyba nie. Podejrzewam, że można je zobaczyć tylko wtedy, kiedy same chcą.

Wiedziała z całą pewnością, że to prawda.

– Nie powiedziałem nikomu oprócz ciebie – dodał nieoczekiwanie.

– Dziękuję ci, panie – mruknęła, zdając sobie sprawę, że od pewnego czasu rozmawiają w cztery oczy, i jak zawsze świadoma, w jaki sposób zostanie to zrozumiane.

Wiedziała, że teraz z jej twarzy zniknął fałsz. Przede wszystkim jednak wiedziała, że na tę wiadomość narodziło się w niej coś nowego. Bardzo potrzebowała samotności, żeby to wszystko przemyśleć. Próżna nadzieja. Dzisiaj jeszcze długo nie będzie takiej okazji. Najlepiej zepchnąć to do zakamarków pamięci.

– A tymczasem – rzekł nagle Brandin zupełnie innym tonem – w dalszym ciągu jeszcze nie zapytałaś, jak mi poszło. Muszę powiedzieć, że Solores natychmiast się zainteresowała.

Przeniosło to ich z powrotem na pewny grunt.

– Dobrze – powiedziała z udawaną obojętnością. – Powiedz mi. Dobiegłeś do połowy? Trzech czwartych?

W szarych oczach błysnęło królewskie oburzenie.

– Jesteś arogancka. Pozwalam ci na zbyt wiele. Dotarłem, jeśli łaska, na sam szczyt i zbiegłem na dół z gałązką jagód sonrai. Z wielką ciekawością popatrzę, czy którykolwiek z jutrzejszych biegaczy wróci tak szybko.

– No cóż – powiedziała niemądrze – nie będą mogli wezwać na pomoc magii.

– Dianoro, dość tego!

Rozpoznała ten ton i uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko. Jak zawsze w takich chwilach zaznała oszałamiającego wrażenia otwierającej się u jej stóp przepaści.

Wiedziała, czego potrzebuje od niej Brandin, wiedziała, dlaczego pozwala jej być bezczelną i impertynencką. Dawno temu zrozumiała, dlaczego ważne dla niego były dowcip i ciętość jej języka. Stanowiła przeciwwagę dla miękkiej, nie zadającej żadnych pytań, nie stawiającej żadnych wymagań, a dającej ukojenie Solores. A one dwie z kolei równoważyły ascetyczne podejście d'Eymona do polityki i rządzenia.

Wszyscy troje krążyli po orbicie wokół gwiazdy, którą był Brandin. Bardzo dobrze znała króla. Zależało od tego jej życie. Nieczęsto przekraczała tę niewidoczną, lecz nienaruszalną linię. A kiedy już tak się stało, to zwykle wskutek czegoś tak pozornie drobnego, jak teraz. Paradoksalne było, że potrafił zignorować, wyśmiać, a niekiedy nawet sprowokować jej uszczypliwe uwagi na temat dworu czy kolonii, a jednocześnie srożyć się jak urażony chłopiec,

jeśli chodziło na przykład o wbiegnięcie i zbiegnięcie z jakiejś góry.

Wtedy wystarczyło, żeby w pewien sposób wypowiedział jej imię, a w delikatnie intarsjowanej posadzce sali audiencyjnej otwierała się przed nią przepaść.

Na dworze tyrana pozostawała bardziej jako niewolnica niż kurtyzana. Była też oszustką prowadzącą życie oparte na kłamstwie, podczas gdy jej kraj powoli zacierał się w pamięci ludzi. Poprzysięgła zabić tego człowieka, którego spojrzenie z drugiego końca sali paliło ją jak ogień, płonęło w jej śmiertelnej krwi bursztynowym winem.

Wszędzie, gdzie się odwracała, przepaście.

I na dodatek tego ranka zobaczył riselkę. On i być może jeszcze jeden mężczyzna. Walcząc ze strachem, zmusiła się do obojętnego wzruszenia ramionami.

– To zabawne – rzekła, odzyskując panowanie nad sobą i dokładnie wiedząc, czego teraz od niej oczekuje. – Twierdzisz, że jesteś ucieszony, a nawet wzruszony niewątpliwie niespokojnym pytaniem Solores o twój poranny bieg. Mówisz, że to pierwsza rzecz, o którą zapytała. Jakżeż musiała się zastanawiać, czy ci się udało! Natomiast kiedy ja, wiedząc, że byłeś tego ranka na szczycie, traktuję to jak drobnostkę, jak coś nie wzbudzającego najmniejszych wątpliwości... wtedy król wpada w złość i surowo nakazuje mi milczeć! Powiedz mi jednak, panie, z ręką na sercu, która z nas uczciła cię bardziej?

Milczał przez dłuższą chwilę. Wiedziała, że cały dwór chciwie śledzi wyraz jego twarzy. Przez chwilę nic jej to nie obchodziło. Nie obchodziła jej nawet własna przeszłość ani to, co spotkał na zboczu góry. Stała przed szczególną przepaścią, która rozpoczynała się i kończyła w głębi szarych oczu, które teraz tak uważnie się w nią wpatrywały.

Kiedy się odezwał, jego ton znów był inny, lecz także dobrze jej znany; poczuła nagle, że robi się jej słabo. Nogi jej zadrżały, lecz już nie ze strachu.

Brandin, król Ygrathu, powiedział zduszonym głosem i z poczerwieniałą twarzą:

– Mógłbym cię zaraz wziąć na podłozie tej komnaty w obecności całego mojego dworu.

Zaschło jej w gardle. Poczuła, jak pod skórą nadgarstka drga jakiś nerw, a na twarz wpłynął rumieniec.

– Być może rozsądniej byłoby wieczorem – mruknęła, usiłując zachować lekki ton, co nie bardzo jej się udało, podobnie jak ukrycie przebijającej w spojrzeniu namiętności. Zupełnie jakby przeskoczyła między nimi iskra dająca początek wielkiemu płomieniowi. Wysadzany drogimi kamieniami kielich z khavem zadrżał jej w ręku, co jeszcze bardziej podnieciło Brandina. Czowała niemal fizycznie, jak spala się w ogniu jego pożądania. Umoczyła usta w napoju, trzymając kielich obiema rękami i starając się zachować zimną krew.

– Lepiej wieczorem – powtórzyła, oszołomiona tym, co się z nią działo. Wiedziała jednak, jakich słów oczekuje od niej Brandin, tu i teraz. Wypowiedziała je bardzo wyraźnie i patrząc mu prosto w oczy: – W twoim wieku, mój panie, powinieneś oszczędzać siły. Przecież dzisiaj rano

biegłeś pod górkę.

W chwilę później chiarański dwór Brandina z Ygrathu po raz drugi zobaczył, jak król odrzuca w tył swą piękną, ozdobioną brodą głowę i serdecznie się śmieje. Stojący opodal błazen Rhun zarechotał do wtóru.

– Isolla z Ygrathu!

Tym razem ozwały się trąby i werbel, a uderzenie laski herolda o podłogę przy podwójnych drzwiach rozniosło się echem po całej sali audiencyjnej.

Stojąc niedaleko tronu, Dianora miała znakomitą sposobność przyjrzenia się pełnej godności kobiecie, którą Brandin nazwał najlepszą śpiewaczką Ygrathu. Chiarańscy dworacy rozstąpili się, robiąc jej przejście do króla.

– Jest nadal piękna – mruknął Neso z Ygrathu – a ma już pięćdziesiąt lat. – Jakoś udało mu się ustawić w pierwszym rzędzie obok Dianory.

Jego obłudny ton jak zwykle ją zirytował, ale starała się tego nie okazać. Isolla miała na sobie bardzo prostą, ciemnoniebieską szatę przepasaną złotym łańcuszkiem. Brązowe, przetykane siwizną włosy były niemodnie krótko obcięte, chociaż Dianora pomyślała, że po dzisiejszym dniu wiosenna i letnia moda może się zmienić. W takich sprawach kolonia zawsze podpatrywała Ygrath.

Isolla szła niespiesznie, ale pewnie, przejściem utworzonym przez dworaków. Brandin już się serdecznie do niej uśmiechał. Zawsze był ogromnie zadowolony, kiedy ktoś z ygratheńskich artystów podejmował długą i często niebezpieczną morską podróż na jego drugi dwór.

Kilka kroków za Isolla szedł, ku szczeremu zaskoczeniu Dianory, poeta Camena di Chiara, ostrożnie niosąc jej lutnię w futerale, niczym dzieło sztuki niezmierniej wartości. Ubrany był w swój słynny już trójwarstwowy płaszcz. Wśród zebranych rozległ się głośny szmer – nie tylko Dianora była zaskoczona.

Instynktownie rzuciła okiem na stojącego po drugiej stronie przejścia Doarde z żoną i córką. Zdążyła zobaczyć skurcz nienawiści i strachu, który przemknął po jego twarzy, gdy zbliżył się jego młodszy rywal. W chwilę później zdradzający go grymas zniknął, zastąpiony gładką maską pogardy dla Cameny zniżającego się dla Ygrathenki do roli tragarza.

Dianora pomyślała, że jednak jest to dwór ygratheński. W przeblysku intuicji domyśliła się, że Camena prawdopodobnie polecił ułożyć muzykę do jednego ze swych wierszy. Gdyby Isolla zaśpiewała jego pieśń, to dla chiarańskiego poety byłby to oszałamiający sukces. Wystarczająco tłumaczyłoby to wystawianie Isolli – a zatem ygratheńskich artystów – przez zostanie jej tragarzem.

Dianora doszła do wniosku, że polityka sztuki jest co najmniej tak złożona, jak polityka uprawiana przez prowincje i narody.

Isolla zatrzymała się, jak nakazywała etykieta, o jakieś piętnaście kroków od podium, na którym stał Tron Wyspy, czyli bardzo blisko Dianory i Neso.

Zręcznie złożyła potrójny ukłon. Brandin łaskawie wstał, by ją przywitać, co było oznaką wielkiego uznania. Uśmiechał się, podobnie jak stojący po jego lewej stronie i nieco z tyłu Rhun.

Z jakiegoś powodu, którego później nigdy nie potrafiła nazwać ani wyjaśnić, Dianora przeniosła wzrok z monarchy i śpiewaczki na niosącego lutnię poetę. Camena zatrzymał się o pięć kroków za Isollą i ukląkł na marmurowej posadzce.

Wdzięku całej scenie ujmowały jego rozszerzone źrenice, Dianora pomyślała, że odurzył się zapewne liśćmi nilthu. Dostrzegła na czole poety kropelki potu. W sali audiencyjnej nie było ciepło.

– Witamy cię, Isollo – mówił Brandin z prawdziwym zadowoleniem. – Zbyt długo już cię nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy twojej gry.

Dianora spostrzegła, że Camena nieznacznie zmienia sposób trzymania lutni. Pomyślała, że pewnie chce otworzyć futerał, który wcale nie wyglądał na zwykły futerał do lutni. Właściwie...

Potem wiedziała z całą pewnością tylko jedno: opowieść o riselce wyostrzyła jej wzrok. Owa opowieść oraz fakt, że Brandin nie był pewien, czy widział ją ten drugi – jego strażnik.

Jeden mężczyzna oznaczał rozwidlenie ścieżki. Dwóch mężczyzn oznaczało śmierć.

Tak czy owak, coś miało się stać. I stało się.

Oczy wszystkich oprócz Dianory były skierowane na Brandina i Isollę. Tylko Dianora zobaczyła, jak Camena zsuwa z lutni aksamitny pokrowiec. Tylko Dianora zauważyła, że to nie jest lutnia. I tylko ona słyszała opowiadanie Brandina o riselce.

– Giń, Isollo z Ygrathu! – krzyknął chrapliwie Camena. Z wytrzeszczonymi oczyma odrzucił na bok aksamit i wycelował kuszę.

W błyskawicznym odruchu mężczyzny o połowę młodszego Brandin wyrzucił w przód rękę, by osłonić zagrożoną śpiewaczkę czarnoksięską tarczą.

Właśnie tak, jak się tego po nim spodziewano, pomyślała Dianora.

– Nie! – zawołała. – Tu chodzi o ciebie!

I chwyciwszy zdębiałego Neso z Ygrathu za ramię, rzuciła się wraz z nim między Camenę i Brandina.

Strzała wymierzona starannie w lewo od Isolli, prosto w serce Brandina, wbiła się w ramię zaskoczonego Neso, który wrzasnął z bólu.

Dianora z rozpędu padła na kolana obok Isolli. Podniosła wzrok. I do końca swych dni nie zapomniała spojrzenia śpiewaczki. Widoczna w tym spojrzeniu nienawiść była zbyt silna. Dianorze zrobiło się niedobrze. Zmusiła się do wstania i spojrzała na Brandina. Nawet nie zdążył opuścić ręki. Wokół Isolli lśniła bariera ochronna.

Isolli od początku nic nie groziło.

Strażnicy pojмали już Camenę i siłą postawili go na nogi. Dianora nigdy nie widziała, żeby ktoś był tak blady. Białe miał nawet oczy, ale to od narkotyku. Przez chwilę myślała, że poeta zemdleje, lecz w tym momencie Camena odrzucił w tył głowę na tyle, na ile mu pozwalał żelazny uchwyt ygratheńskich żołnierzy. Otworzył usta jakby z bólu.

– Chiara! – zawołał i zanim został brutalnie uciszony, wykrzyczał: – Wolność dla Chiary!

Słowa te przez chwilę dzwoniły echem. Sala była duża i panowała w niej niemal absolutna cisza. Nikt nie śmiał się poruszyć. Dianora miała wrażenie, że wszyscy przestali oddychać. Nikt nie chciał zwrócić na siebie najmniejszej uwagi.

Ciszę przerwał leżący na mozaikowej posadzce Neso, który ponownie jęknął ze strachu i z bólu. Ukłękli przy nim dwaj żołnierze. Dianora wciąż się bała, że zwymiotuje. Nie potrafiła powstrzymać drżenia rąk. Isolla z Ygrathu nie poruszyła się.

Dianora uświadomiła sobie, że nie mogła tego zrobić – Brandin trzymał ją w uścisku zakłęcia niczym rozplaszczony na kartce kwiat. Żołnierze podnieśli Neso i wyprowadzili go z sali. Dianora cofnęła się, zostawiając Isollę samą przed królem, w przepisowej odległości piętnastu kroków.

– Camena był narzędziem – rzekł cicho Brandin. – Chiara nie ma z tym prawie nic wspólnego. Nie sądz, że nie zdaję sobie z tego sprawy. Mogę ci zaproponować jedynie lżejszą śmierć. Musisz mi jednak powiedzieć, dlaczego to zrobiłaś. – Mówił starannie odmierzonym, bezbarwnym głosem. Dianora nigdy przedtem nie słyszała u niego takiego tonu. Spojrzała na Rhuna: błazen łkał, a po jego zniekształconej twarzy spływały łzy.

Brandin opuścił rękę, by Isolla mogła poruszać się i mówić. Pałący wyraz nienawiści zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca wyzywającej dumie. Dianora zastanawiała się, czy ona rzeczywiście myślała, że jej się uda? Czy naprawdę spodziewała się, że po zabiciu króla będzie mogła swobodnie odejść? A jeśli nie – to co się za tym kryło?

Trzymając się bardzo prosto, Isolla dała część odpowiedzi.

– Ja umieram – rzekła do Brandina. – Lekarze dają mi parę miesięcy, zanim guz sięgnie mózgu. Już zapominam pieśni nawet te, które śpiewam od czterdziestu lat.

– Przykro mi to słyszeć – odparł Brandin z tak nieskazitelną uprzejmością, że wydawała się pogwałceniem ludzkiej natury. – Wszyscy umieramy, Isollo. Niektórzy bardzo młodo. Nie wszyscy spiskujemy, by zabić swojego króla. Musisz mi powiedzieć więcej, zanim być może uwolnię cię od bólu.

Po raz pierwszy Isolla jakby się zawahała. Spuściła wzrok który dotąd miała utkwiony w jego niesamowicie spokojnych szarych oczach. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

– Przecież wiedziałeś, że będziesz musiał zapłacić za to, co zrobiłeś.

– A co właściwie zrobiłem?

Uniosła głowę.

– Przedłożyłeś umarłe dziecko nad żyjące, a zemstę nad żonę. I ponad własny kraj. Czy oddając się swej nienaturalnej zemście za Stevana, poświęciłeś im chociaż jedną myśl?

Serce Dianory zabiło boleśnie. Tego imienia się w Chiarze nie wypowiadało. Spozrzegła, że Brandin zaciska wargi w sposób, jaki widziała tylko kilka razy. Kiedy jednak się odezwał, głos miał opanowany, jak przedtem.

– Uważam, że postąpiłem względem nich uczciwie. Giralda rządzi w Ygrath tak, jak było mu to zawsze pisane. Ma nawet mój saizjan. Doroteę zapraszałem przez kilka pierwszych lat parę razy w roku.

– Po to, żeby zwiędła i zestarzała się, podczas gdy ty ciągle byłeś młody. Czegoś takiego nie zrobił dotąd żaden czarno książnik-król Ygrathu, bojąc się, że bogowie ukaraliby jego ziemię za tak bezbożny czyn. Lecz ty nigdy nie myślałeś o Ygrath, prawda? A o Giraldzie? On nie jest królem – królem jest jego ojciec. Tytuł jest twój, nie jego. Wyobrażasz sobie, że tak wiele uczyniłeś, dając mu klucz do saizjanu? On nawet umrze przed tobą, Brandinie, jeśli cię ktoś nie zabije. A co się wtedy stanie? To jest przeciwne naturze! To wszystko jest przeciwne naturze i trzeba za to zapłacić.

– Zawsze trzeba za coś zapłacić – rzekł cicho. – Wszystko ma cenę. Nawet życie. Nie spodziewałem się, że będę musiał za nie płacić własną rodziną. – Zapadła cisza. – Isollo, ja muszę przedłużyć moje życie, by dokonać tego, po co tu jestem.

– A więc płacisz za to – powtórzyła Isolla – podobnie jak Giralda i Dorotea. I Ygrath.

I Tigana, pomyślała Dianora. Już nie drżała, a jej własny ból wrócił zadawnioną raną. Tigana też płaci roztrzaskanymi posagami i zwalonymi wieżami, zabitymi dziećmi i odebranych imieniem.

Obserwowała twarz Brandina. I Rhuna.

– Słyszysz, co mówisz – rzekł w końcu król do śpiewaczki. – Usłyszałem więcej, niż zdecydowałaś się powiedzieć. Trzeba mi tylko jeszcze jednej rzeczy. Musisz powiedzieć, które z nich to zrobiło. – Wyrzekł te słowa z prawdziwym żalem. Szpetna twarz Rhuna była mocno wykrzywiona, a ręce bezradnie mu podrygiwały.

– A dlaczegoż to wyobrażasz sobie – spytała Isolla, prostując się i przemawiając z lodowatą wyniosłością kogoś, kto nie ma już nic do stracenia – że ich cele muszą być rozbieżne? Dlaczego musi to być jedno albo drugie, królu Ygrathu? – Mówiła donośnym głosem, który podkreślał twardą wymowę jej słów.

Brandin powoli skinął głową. Wydawał się opanowany, ale Dianora poznała po jego postawie i głosie, jak bardzo cierpi. Nie musiała nawet patrzeć na Rhuna.

– Dobrze. A ty, Isollo? Cóż takiego mogli ci zaoferować, żeby nakłonić cię do tego czynu? Czy naprawdę aż tak mnie nienawidzisz?

Kobieta wahała się tylko przez chwilę. Potem powiedziała równie dumnie i wyzywająco jak

poprzednio:

– Aż tak kocham królową.

Brandin zamknął oczy.

– Jak to?

– Na wszystkie sposoby, jakich ty zaniedbałeś, przedkładając wygnanie i miłość do zmarłego syna ponad serce i łożę twojej żony.

Normalnie dwór powinien na coś takiego zareagować. Dianora jednak nie usłyszała niczego poza szmerem ostrożnych oddechów wielkiej liczby ludzi. Brandin otworzył oczy, by spojrzeć z góry na śpiewaczkę. Na jej twarzy malował się nie ukrywany tryumf.

– Zapraszałem ją tutaj – powtórzył nieomal ze smutkiem. – Mogłem ją zmusić do przybycia, ale nie chciałem tego robić. Wyraźnie dała mi odczuć, co myśli, miała prawo wyboru. Sądziłem, że to bardziej uprzejme i uczciwe wyjście. A więc mój grzech polega na tym, iż nie rozkazałem jej przypłynąć na półwysep.

W duszy Dianory walczyło o palmę pierwszeństwa tak wiele różnych odcieni rozpacz i bólu. Widziała stojącego za królem d'Eymona, którego twarz przybrała niezdrowe, szare zabarwienie. Ich spojrzenia zetknęły się na chwilę, lecz d'Eymoti szybko odwrócił wzrok. Później być może Dianora zastanowi się nad sposobami wykorzystania tej nagłej przewagi nad nim, lecz teraz było jej go tylko żal. Wiedziała, że wieczorem zaproponuje złożenie urzędu. Prawdopodobnie zechce też się zabić według starego ceremoniału. Brandin się na to nie zgodzi, a potem nic już nie będzie tak jak dawniej.

Z bardzo wielu powodów.

– Myślę, że powiedziałaś mi to, co chciałem wiedzieć – rzekł Brandin.

– Chiaranin działał w pojedynkę – niespodziewanie dodała Isolla. Wskazała Camenę trzymanego za nią w żelaznym uścisku przez żołnierzy. – Przysłał do nas podczas swojej wizyty w Ygrath przed dwoma laty. – Wydawało się, że nasze cele są zbieżne do tej chwili.

Brandin skinął głową.

– Do tej chwili – powtórzył cicho. – Tak też sądziłem. Dziękuję, że potwierdziłaś moje przypuszczenia – dodał z powagą.

Zapadło milczenie.

– Obiecałeś mi lekką śmierć – rzekła Isolla, stojąc prosto jak trzcina.

– Owszem. Obiecałem. – Dianora wstrzymała oddech. Król popatrzył na Isollę bez wyrazu.

Trwało to nieznośnie długo.

– Nie zdajesz sobie sprawy – powiedział w końcu głosem nieco tylko głośniejszym od szeptu – jak się cieszyłem, że znowu przyjechałaś, żeby dla mnie grać i śpiewać.

Po czym prawą dłonią wykonał dokładnie taki sam niedbały gest, jakim odprawiłby służącego czy jakiegoś natręta.

Głowa Isolli pękła niczym przejrzały owoc rozbity młotkiem. Jej ciało runęło na posadzkę jak worek, a z szyi trysnęła ciemna krew. Dianora stała za blisko – krew zabitej kobiety spryskała jej suknię i twarz. Odskokzyła do tyłu. W miejscu, gdzie głowa Isolli została zmiażdżona na oślizłą miazgę, wily się obrzydliwe, dziwacznych kształtów gady, stworzone czarnoksięską sztuką Brandina.

Zewsząd rozlegały się wrzaski cofających się w zamieszaniu dworzan. Nagle do przodu wybiegła jakaś postać. Potykając się i nieomal padając na podłogę, wyszarpnęła z pochwy miecz, po czym niezdarnie, szerokimi ciosami oburącz, błazen Rhun począł siec martwe ciało śpiewaczki.

Wściekłość i obrzydzenie dziwacznie wykrzywiły mu twarz. Z ust i nosa ciekła mu piana i śluz. Jednym potężnym, rzeźniczym cięciem odciął od tułowia rękę. Z kikuta ramienia Isolli wypływał falistym ruchem jakiś ciemnozielony, ślepy stwór, zostawiając za sobą smugę lśniącej, czarnej mazi. Ktoś za Dianora zaczął się dławić z przerażenia.

– Stevan! – usłyszała łamiący się krzyk Rhuna. I wśród mdłości, zamętu myśli i przestrachu poczuła nagle, jak serce zalewa jej potężna fala litości. Spojrzała na dzierżące królewski miecz gorączkowo miotającego się błazna, ubranego dokładnie tak, jak król. Z ust pryskała mu ślina.

– Muzyka! Stevan! Muzyka! Stevan! – krzyczał w zapamiętaniu Rhun i za każdym wybełkotanym wściekle słowem jego cienki, wysadzany drogimi kamieniami dworski miecz unosił się i spadał, lśniąc w strumieniach światła, tnąc martwe ciało jak kawał mięsa. Stracił równowagę na śliskiej podłodze i upadł na kolana powalony siłą własnej wściekłości. Do jego nogi przywarło niczym pijawka coś szarego z oczyma na wijących się czułkach.

– Muzyka – powiedział nadspodziewanie wyraźnie i cicho ostatni raz. Następnie miecz wysunął mu się z dłoni i Rhun usiadł w kałuży krwi obok okaleczonego ciała śpiewaczki. Łysiejącą głowę opuścił niezdarnie na bok, szlochając, jakby pękło mu serce. Jego złoto-białe dworskie szaty były mocno poplamione.

Dianora odwróciła się do Brandina. Król stał bez ruchu w tej samej pozycji, z rękoma swobodnie opuszczonymi po bokach. Patrzył na odrażającą scenę rozgrywającą się przed nim z przerażającą obojętnością.

– Za wszystko trzeba zapłacić – rzekł cicho, prawie do siebie. Salę audiencyjną wypełniały nieustające krzyki, panowało w niej ogólne zamieszanie. Dianora postąpiła wtedy ku niemu z wahaniem jeden krok, lecz on już się odwrócił i mając za sobą d'Eymona, wyszedł z sali przez znajdujące się za podwyższeniem drzwi.

Wraz z jego odejściem zniknęły pełzające, oleiste stworzenia, lecz nie okaleczone ciało śpiewaczki czy żałosna, skulona postać błazna. Wydawało się, że przy nich jest tylko Dianom, wszyscy inni rzucili się ku drzwiom. W miejscach, na które padły krople krwi Isolli, czuła pieczenie.

Po wyjściu króla ludzie przewracali się i popychali, żeby tylko jak najszybciej wydostać się z sali. Zobaczyła, jak żołnierze wyprowadzają bocznymi drzwiami Camenę di Chiara. Inni żołnierze podeszli, by przykryć ciało Isolli sztuką materiału. Musieli odciągnąć od niej Rhuna, który sprawiał wrażenie, że nie rozumie, co się dzieje. Wciąż szlochał, a jego twarz była dziwacznie wykrzywiona jak u skrzywdzonego dziecka. Dinora przeciągnęła dłonią po policzku i zobaczyła na palcach krew. Żołnierze przykryli ciało Isolli. Jeden z nich ostrożnie podniósł odciętą przez Rhuna rękę i wsunął ją pod materiał Dianora nadal patrzyła. Wydawało jej się, że na całej twarzy ma krew. Resztką sił panując nad sobą, rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegokolwiek pomocy.

– Chodźmy, moja pani. – Nad uchem zabrzmiał jej rozpaczliwie potrzebny głos. – Chodźmy. Zabiorę cię do saisanu.

– Och, Scelto – szepnęła. – Tak, proszę cię, Scelto.

Plotka i strach sprawiły, że wiadomość błyskawicznie ogarnęła płomieniem suchą hubę saisanu. Próba zabójstwa przygotowana w Ygrath. Z udziałem Chiary.

Została nieomal uwieczniona powodzeniem.

Scelto zaprowadził Dianorę do jej komnat i z nasrożoną opiekuńczością zatrzasnął drzwi przed niespokojną, rozedrganą cizbą krążącą po korytarzu niczym rój odzianych w jedwabie ciem. Mruczając coś bez przerwy pod nosem, rozebrał ją i wymył, po czym delikatnie otulił najcieplejszą szatą. Nie mogła opanować drżenia ani wydobyć z siebie głosu. Rozpalił ogień i posadził ją przed kominkiem. Posłusznie wypija napar z maligoti, który przygotował jako środek uspokajający. Dwa kubki, jeden po drugim. W końcu drzenie ustało, ale nadal miała trudności z mówieniem. Kazał jej zostać w fotelu przed ogniem I tak nie chciała z niego wstawać.

Czuła się, jakby miała obity i zdrętwiały mózg. Nie była w stanie pokierować myślami, złożyć sensownej wypowiedzi na temat tego, co zaszło.

Jedna tylko myśl spychała na bok wszystkie inne, dudniąc w głowie niczym laska herolda o posadzkę. Myśl tak niemożliwa, tak obezwładniająca, że Dianora ze wszystkich sił próbowała ją uciszyć, walcząc z oślepiającym pulsowaniem bólu głowy. Nie udało jej się to. Uderzenia padały raz za razem: uratowała mu życie.

Odrodzenie Tigany było o wyciągnięcie ręki, o jedno uderzenie serca. Serca Brandina, które przebiłaby strzała z kuszy.

Dom był snem, który śnił jej się wczoraj. Miejscem, gdzie kiedyś bawiły się dzieci. Wśród wież u stóp gór, nad rzeką, na szerokich połaciach białego czy złocistego piasku obok Nadmorskiego Pałacu. Domem była tęsknota, rozpaczliwy sen, nazwa z jej snów. A tego popołudnia zrobiła jedyne, co mogła zrobić, by nie pozwolić tej nazwie wrócić do świata, by

zamknąć ją w snach. A potem wszystkie sny też umrą.

Jak ma sobie z tym poradzić? W jaki sposób ma stawić czoło temu, co oznaczał jej czyn? Przybyła tu, by zabić Brandina z Ygrathu, przerwać nić jego życia, by Tigana mogła się odrodzić. Zamiast tego...

Znów zaczęła drżeć. Zaaferowany i mruczący coś pod nosem Scelto dołożył do ognia i przykrył jej nogi jeszcze jednym kocem. Kiedy zobaczył na jej twarzy łzy, wydał dziwny, pełen bezradności i rozpaczony dźwięk. Po jakimś czasie ktoś głośno zastukał do drzwi i Dianora usłyszała, jak Scelto odprawia go słowami, jakich nigdy przedtem u niego nie słyszała.

Stopniowo i bardzo powoli zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą. Po barwie światła, które spływało łagodnie z wysokich okien, poznała, że popołudnie chyli się ku zmierzchowi. Potarła policzki i oczy wierzchem dłoni. Wyprostowała się w fotelu. Musi być gotowa z nadejściem wieczoru, bo wieczór był porą, kiedy Brandin posyłał do saisanu.

Wstała z fotela i z zadowoleniem stwierdziła, że nogi już jej nie drżą. Scelto podbiegł do niej, coś wykrzykując, ale kiedy zobaczył jej twarz, szybko zamilkł. Bez jednego słowa wyprowadził ją przez wewnętrzne drzwi na korytarz prowadzący do łaźni. Jego ostre spojrzenie uciszyło łaźiebne. Dianora miała wrażenie, że jeśli któraś z nich odezwałaby się, to Scelto by ją uderzył. Nigdy nie słyszała, żeby dopuścił się jakiegoś gwałtownego czynu. To znaczy od czasu, kiedy zabił człowieka i stracił męskość.

Pozwoliła się wykapać i wonnymi olejkami namaścić skórę. Po południu była na niej krew. Woda wirowała wokół niej, a potem zniknęła. Łaźiebne umyły jej włosy. Potem Scelto pomalował jej paznokcie u rąk i nóg. Położył miękką odcień przydymionej róży, jak najmniej przypominający kolor krwi, gniewu czy rozpaczony. Później takim samym kolorem Dianora umaluje sobie usta. Wątpiła jednak, czy będą się kochali. Obejmą się tylko. Wróciła do swojej komnaty, by poczekać na wezwanie.

Po świetle poznała, kiedy nadszedł wieczór. Wszyscy w saisanie zawsze wiedzieli, kiedy zapada wieczór. Cały dzień był jakby oczekiwaniem na tę godzinę zmierzchu. Wysłała Scelto z komnaty, żeby przyjął wezwanie, kiedy nadejdzie.

Po chwili wrócił z wiadomością, że Brandin posłał po Solores.

Dianorę ogarnął płomień gniewu. Ekspłodował niczym...niczym głowa Isolli z Ygrathu w sali audiencyjnej. Ta nagła wściekłość była tak gwałtowna, że Dianora z trudem oddychała. Nigdy w życiu nie odczuwała niczego podobnego. Po upadku Tigany i wygnaniu brata jej nienawiść była kontrolowana, starannie kształtowana, nakierowana na jakiś cel, jak podsycany płomień, który miał się palić przez długi czas.

To było piekło. Wrzący, przelewający się, olbrzymi kocioł, a to, co się z niego wylewało, zatapiało wszystko przed sobą niczym potok lawy. Gdyby w tej chwili Brandin znalazł się w jej komnacie, wydarłaby mu serce gołymi rękoma – tak jak kobiety rozszarpały Adaona na

zboczu góry. Zobaczyła, że Scelto robi mimowolnie krok do tyłu – nigdy przedtem nie widziała, żeby bał się jej ani kogokolwiek innego. Spostrzeżenie to jednak nie miało teraz znaczenia.

Znaczenie miało tylko to, że dzisiaj uratowała życie Brandinowi z Ygrathu, wdeptując w błoto i rozbryzganą krew czyste wspomnienie własnego domu i przysięgę, którą złożyła dawno temu. Zbecześciła istotę wszystkiego, czym niegdyś była, zbecześciła samą siebie w sposób bardziej okrutny niż którykolwiek z mężczyzn, którzy za marny grosz szli z nią do łóżka w tamtej gospodzie w Certando.

I co otrzymała w zamian? Brandin właśnie posłał po Solores di Corte, skazując Dianorę na samotną noc.

Nie, nie powinien był tego robić.

Nawet rozpalona trawiącym ogniem Dianora potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego zrobił coś takiego. Zrozumieć, jak mało potrzebował tej nocy dowcipu czy inteligencji, błyskotliwości, pytań czy sugestii, a nawet pożądania. Wiedziała, że będzie potrzebował miękkiej, bezmyślnej, odruchowej łagodności Solores. Najwyraźniej Dianora nie potrafiła mu tego dać.

Opiekuńczej czci, czułości, uspokajającego głosu. Dzisiejszej nocy Brandin będzie potrzebował ukojenia. Rozumiała to, bo sama go rozpaczliwie potrzebowała po tym, co się stało.

Potrzebowała go jednak od Brandina.

Stało się zatem, że leżąc samotnie w łóżku, od nikogo i niczego nie zaznawszy ukojenia, Dianora poczuła się odarta ze wszystkiego i niezdolna do ucieczki przed tym, co nadeszło po wypaleniu się płomieni wściekłości.

Leżała bezsennie, słuchając pierwszego, a potem drugiego bicia dzwonek odmierzających triady godzin ciemności, lecz zanim dzwonki zabrzmiały po raz trzeci, witając nadejście szarego świtu, w duszy Dianory coś zaczęło się dziać.

Najpierw z nieubłaganą siłą powróciło pojedyncze pasmo pamięci, które zawsze starannie zasłaniała wśród tysięcznych smutków, jakich zaznała w ciągu roku okupacji Tigany. Dianora była jednak prawdziwie odsłonięta w ciemności owej Nocy Żaru i odpłynęła straszliwie daleko od miejsca, w którym zakotwiczyła jej dusza.

Kiedy w przeciwnym skrzydle pałacu Brandin szukał pociechy u Solores di Corte, Dianora leżała samotnie, nie potrafiąc odeprzeć żadnego ze wspomnień, jakie napłynęły falą z minionych lat. Wspomnień miłości, bólu i utraty miłości w bólu, które były zbyt przeszywające – niczym lodowato przeszywający serce wiatr – by pozwolić sobie na nie w jakimkolwiek zwykłym czasie.

Tego jednak dnia na Brandinie z Ygrathu spoczął palec śmierci, a ona go z króla zdjęła, przeprowadzając Brandina obok najmroczniejszego portalu Moriany, a noc ta była Nocą Żaru, nocą duchów i cieni. Nie był to zwykły czas. Na Dianorę spłynęły strasznym nie kończącym się szeregami, niczym fale ciemnego morza, wspomnienia brata przed jego odejściem.

* * *

Był zbyt młody, by walczyć nad Deisą. Zanim książę Valentin odjechał ze zmarszczonym czołem na północ, na wojnę, zakazał walki każdemu, kto nie ukończył piętnastu lat. Kiedy nadeszły wieści, że idzie na nich Brandin, to Wysoki Kapłan Eanny, Danoleon, zabrał najmłodsze dziecko księcia, Alessana, i ukrył je gdzieś na południu.

Było to po śmierci Stevana. Po jednym zwycięstwie. Wszyscy – wyczerpani mężczyźni, którzy walczyli i przeżyli, a także pozostawione na tyłach kobiety, starcy i dzieci – wiedzieli, że nadejście Brandina oznacza koniec świata, w którym mieszkali i który kochali.

Nie wiedzieli wtedy, jak dosłowny miał być ten koniec, co czarnoksiężnik-król Ygrathu może zrobić i co robi. Mieli się tego dowiedzieć w ciągu ciężkich, pełnych brutalności dni i miesięcy, zatruwających dusze tych, co przeżyli, niczym rozrastający się, ropiejący guz.

„Polegli nad Deisą mieli szczęście”. Tak coraz częściej w roku śmierci Tigany szeptał z bólem ci, których ta śmierć ominęła.

Dianorze i jej bratu została matka, której rozum na wieść o drugiej bitwie nad Deisą zmaćił się z szybkością pękającej cięciwy. Kiedy do miasta wchodziły przednie straże Ygratheńczyków, zajmując ulice i place Tigany, wyniosłe domy i Nadmorski Pałac, resztki jej świadomych myśli poczęły wędrować w milczeniu po obszarach, gdzie nie mogło jej towarzyszyć żadne z dzieci.

Czasami, siedząc owego lata wśród gruzów ich dziedzińca, otoczona strzaskanym marmurem, uśmiechała się i kiwała głową do niewidzialnych obrazów. Na ten widok serce jej córki krwawiło niczym stara, odnawiająca się rana.

Dianora prowadziła dom najlepiej, jak umiała, chociaż wraz z jej ojcem zginęło trzech służących i czeladników. Dwóch innych uciekło niedługo po tym, jak przybyli Ygratheńczycy i zaczęli niszczyć miasto. Nie mogła ich za to winić. Została z nimi tylko jedna z kobiet i najmłodszy uczeń.

Jej brat i ów uczeń zczekali, aż przetoczy się długa fala pożarów i wyburzania domów, po czym najęli się do pracy przy usuwaniu gruzów czy naprawie murów, jako że Ygratheńczycy zarządzili ograniczoną odbudowę. Życie zaczęło wracać do normy – lub do tego, co za normę uchodziło w mieście zwanym teraz Dolnym Corte, leżącym w prowincji o tej samej nazwie.

Jednym słowem tam, gdzie wyraz „Tigana” mogli usłyszeć tylko oni. Wkrótce przestali się nim posługiwać w miejscach publicznych. Sprawiało to im zbyt wiele bólu; przeszywające uczucie, wywoływane nierozumiejącymi spojrzeniami Ygratheńczyków czy też kupców i bankierów z Corte, którzy natychmiast zjechali do zniszczonego miasta w poszukiwaniu choćby najmniejszych zysków, jakie mogła dać jego powolna odbudowa. To cierpienie zaiste nie miało nazwy.

Wspomnienie pierwszego razu, kiedy Dianora nazwała swój dom Dolnym Corte, wbiło się w jej pamięć niczym wyszczerbione ostrze noża. Wszyscy ci, co przeżyli, tak to pamiętali: każdemu z nich ta chwila utkwiała w sercu nie dającym się wyrwać cierniem. Mówiono owego roku, że polegli nad Deisą w pierwszej czy drugiej bitwie mieli szczęście.

Tego pierwszego lata i jesieni Dianora obserwowała, jak jej brat wchodzi w pełną goryczy dorosłość, z bólem wspomiwała uśmiech, który już nie gościł na twarzy chłopaka, jego zbyt szybko minione dzieciństwo. Nie wiedziała, jak głęboko te same doświadczenia były wryte na jej własnej zapadniętej, zbrzydłej twarzy. Pod koniec lata skończyła szesnasty rok życia, a on jesienią piętnasty. W dniu nadania imienia Dianora upiekła ciasto dla czeladnika, jedynej starej służącej, matki, brata i dla siebie. Nie zaprosili gości – przez cały tamten rok wszelkie zebrania były zakazane. Kiedy Dianora podała matce kawałek ciemnego ciasta, ta uśmiechnęła się, lecz Dianora wiedziała, że uśmiech ten nie miał nic wspólnego z żadnym z nich.

Jej brat też o tym wiedział. Z niesamowitą powagą ucałował najpierw matkę, a potem siostrę w czoło, i wyszedł w noc. Przebywanie poza domem po zapadnięciu nocy było oczywiście przestępstwem, lecz coś stałe kazało mu wychodzić na ulice, między niewielkie pożary, które wciąż tliły się prawie na każdym rogu. Zupełnie jakby prowokował ygratheńskie patrole do złapania go. Do ukarania za to, że w czasie wojny miał czternaście lat.

Tamtej jesieni zakłuto nożami w ciemności dwóch żołnierzy. W odwecie natychmiast wzniesiono dwadzieścia kół śmierci. Wśród rozkrzyżowanych na nich nieszczęśników było sześć kobiet i pięcioro dzieci. Dianora знаła większość z nich – w mieście nie zostało znów tak wiele osób i wszyscy się między sobą znali. Potem już co noc szukała schronienia przed krzykami, a w końcu przed coraz bardziej cichnącymi jękami tamtych dzieci.

Nie zginął już żaden żołnierz.

Brat Dianory nadal wychodził nocą celowo, a ona czuwała, czekając na jego powrót. Zawsze coś wtedy potracił, żeby go usłyszała i mogła zasnąć. Jakimś sposobem wiedział, że siostra nie śpi, chociaż nie powiedziała o tym ani słowa.

Ze swymi ciemnymi włosami i piwnymi oczyma byłby przystojny, gdyby tak nie wychudł i gdyby oczu nie miał zapadniętych i podkrążonych z braku snu i dręczącej go rozpacz.

Tej pierwszej zimy nie mieli dużo jedzenia – większość plonów została spalona, a resztę skonfiskowano – lecz Dianora ze wszystkich sił starała się wyżywić ich piątkę. Na wyraz jego oczu nic nie mogła poradzić. Owego roku wszyscy tak wyglądali. Widziała to w lustrze.

Następnej wiosny ygratheńscy żołnierze wynaleźli nową zabawę. Prawdopodobnie był to jeden z nieuchronnych owoców głęboko zasianych ziaren zemsty Brandina.

Dianora pamiętała, że w dniu, kiedy się to zaczęło, stała przy oknie na piętrze. Patrzyła, jak jej brat i czeladnik – który oczywiście nie był już czeladnikiem – idą przez zalany porannym słońcem plac do miejsca, w którym pracowali. Wysoko na niebie mknęły pędzone wiatrem białe

chmury. Chłopców zaczepiła grupka idących z naprzeciwka żołnierzy. Dianora otworzyła okno, żeby wpuścić do środka świeże, ranne powietrze, wszystko więc słyszała.

– Pomóżcie nam! – zawołał płaczliwie jeden z żołnierzy. Jego głupawy uśmiech widziała nawet ze swojego miejsca. – Zabłądziliśmy – zajęczał, a inni ze złośliwym rechotem szybko otoczyli chłopców. Jeden z żołnierzy trącił sąsiada łokciem.

– Gdzie jesteście? – zapytał błagalnym tonem żołnierz. Brat Dianory, nie podnosząc wzroku, wymienił nazwę placu i odchodzących od niego ulic.

– To na nic! – powiedział płaczliwie żołnierz. – Co mi po nazwach ulic? Nie wiem nawet, jak się nazywa to przekłete miasto! – Zabrzmiął śmiech, a Dianora poczuła przeszywający dreszcz.

– Dolne Corte – mruknął szybko czeladnik, ponieważ jej brat milczał. Zauważyli jednak to milczenie.

– Jak? Ty mi odpowiedz – zażądał ostrzejszym tonem żołnierz, szturchając jej brata w ramię.

– Właśnie powiedziałem, Dolne Corte – szybko i głośno powtórzył czeladnik. Jeden z żołnierzy trzepnął go w głowę. Chłopiec zachwiał się i prawie upadł, ale nie sięgnął ręką do bolącego miejsca.

Z bijącym ze strachu sercem Dianora zobaczyła, jak jej brat unosi głowę. Jego ciemne włosy lśniły w porannym słońcu. Myślała, że uderzy żołnierza, który wymierzył cios czeladnikowi. Zaciśnęła dłonie na dolnej krawędzi okna. Na placu panowała straszliwa cisza. Słońce świeciło bardzo jasno.

– Dolne Corte – powiedział jej brat, jakby dławił się tymi słowami.

Śmiejąc się ochryple, żołnierze puścili chłopców;

Tego ranka już ich nie zaczepiali.

Jednak chłopcy stali się ofiarami perfidnych zabaw grupki żołnierzy patrolujących dzielnicę między Nadmorskim Pałacem i centrum miasta, gdzie stały trzy świątynie. Żaden z przybytków Triady nie został zniszczony, rozbito jedynie zdobiące je posągi. Dwa z nich były dziełem jej ojca. Młoda, pełna uwodzicielskiego wdzięku Moriana i olbrzymia, majestatyczna rzeźba Eanny wyciągającej ręce w akcie tworzenia gwiazd.

Wiosna nabierała pełni i chłopcy zaczęli wychodzić z domu coraz wcześniej, by idąc okrężną drogą, uniknąć spotkania z żołnierzami. Ale przeważnie to się nie udawało. Ygratheńcy byli już znudzeni i wysiłki chłopców dostarczały im rozrywki.

Jeśli szli przez plac, Dianora stawała przy frontowym oknie na piętrze. Obserwowała to, co się działo, i niejako uczestniczyła w zajściu, mogła razem z chłopcami dźwigać ból i w ten sposób go zmniejszyć. Żołnierze prawie zawsze zaczepiali ich, kiedy dochodzili do placu. W dzień, w którym zabawa zmieniała się w coś gorszego, Dianora też patrzyła.

Było to pewnego popołudnia. Z powodu święta Triady, przypadającego po wiosennych

Dniach Żaru, tego dnia pracowano o połowę krócej. Ygratheńczycy, podobnie jak na wschodzie Barbadiorczy, starannie unikali wtrącania się do spraw Triady i jej duchowieństwa. Chłopcy poszli do pracy po obiedzie.

Żołnierze otoczyli ich na środku placu. Wydawało się, że ta zabawa nigdy ich nie znudzi. Tego jednak popołudnia, kiedy dowódca zaczynał swoją stałą śpiewkę, jak to się zgubili, z leżącego poniżej placu portu nadeszli zasapani czterej kupcy. Jednemu z żołnierzy przyszedł do głowy szczególnie złośliwy pomysł.

– Stać! – warknął. Kupcy stanęli jak skamieniali. W Dolnym Corte słuchało się ygratheńskich rozkazów bez względu na swoje pochodzenie.

– Podejdźcie tu – dodał żołnierz. Jego kamraci rozstąpili się, dopuszczając kupców przed chłopców. W tej chwili kręgosłupa Dianory dotknęło zimnym palcem przecucie czegoś złego.

Czterej kupcy powiedzieli, że pochodzą z Asoli. Widać to było po ich ubraniu.

– Świetnie – powiedział żołnierz. – Znam waszą zachłanność. Posłuchajcie mnie uważnie. Te szczeniaki wymienią wam nazwę swojego miasta i prowincji. Jeśli uda wam się powtórzyć, co powiedzieli, to klnę się na mój honor oraz na imię Brandina, króla Ygrathu, że pierwszemu z was, który to zrobi, dam dwadzieścia złotych ygrasów.

To była fortuna. Nawet ze swego miejsca wysoko przy oknie Dianora widziała reakcję asolskich kupców. Potem zamknęła oczy. Wiedziała, co się stanie i jak to zaboli. Teraz tak bardzo pragnęła, by jej ojciec żył, że nieomal zapłakała. Na dole jednak, wśród nienawidzących go żołnierzy, był jej brat. Dianora powstrzymała łzy i otworzyła oczy. Patrzyła.

– Ty – powiedział żołnierz do czeladnika, bo zawsze zaczynali od niego – wasza prowincja kiedyś nazywała się inaczej. Powiedz im jak.

Zobaczyła, że chłopiec – miał na imię Naddo – pobladł ze strachu czy gniewu, a może od obu tych uczuć. Nie zważając na nic, czterej kupcy pochyliłi się w oczekiwaniu do przodu. Dianora zobaczyła, jak Naddo zerknął na jej brata, szukając porady, a może przyzwolenia.

Żołnierz dostrzegł to spojrzenie.

– Nic z tego! – warknął, a potem wyciągnął miecz. – Jeśli ci życie miłe, powiedz tę nazwę.

– Tigana – wymówił Naddo bardzo wyraźnie. Oczywiście żaden z kupców nie potrafił powtórzyć wypowiedzianego przez niego słowa. Ani za dwadzieścia ygrasów, ani za dwadzieścia razy tyle. Dianora widziała ich zmieszanie, zawiedzioną chciwość w ich oczach oraz strach, jaki zawsze wywoływało zetknięcie się z magią.

Żołnierze rechotali i poszturchiwali się. Śmiech jednego z nich przypominał przenikliwe pianie koguta. Zwrócili się do jej brata.

– Nie – powiedział stanowczo, zanim zdążyli wydać mu rozkaz. – Już się zabawiliście. Oni nie mogą usłyszeć tej nazwy. Wszyscy o tym wiemy – cóż tu jeszcze zostało do udowodnienia?

Miał piętnaście lat, był o wiele za chudy, a jego ciemnobrązowe włosy za bardzo spadały mu

na oczy. Ostatni raz strzygła go dobry miesiąc temu; od tygodnia miała zamiar znów go ostrzyć. Jedną ręką ścisnęła framugę tak mocno, że odpłynęła jej cała krew z dłoni. Była śnieżnobiała. Odciełaby ją, gdyby w ten sposób mogła zmienić bieg wypadków. W oknach wzdłuż ulicy i po drugiej stronie placu zauważyła inne twarze. Na widok dużej grupy mężczyzn przystanęli też niektórzy przechodnie, wyczuwając nagle powstałe napięcie.

Niedobrze się stało, bo mając świadków, żołnierze będą teraz musieli wyraźnie narzucić swą władzę. Prywatna zabawa zmieniła się teraz w coś innego. Dianora chciała się odwrócić. Chciała, żeby jej ojciec wrócił znaną Deisy, chciała, żeby wrócił cały i zdrowy książe Valentin, żeby z krain, wśród których błądziła, wróciła jej matka.

Patrzyła, żeby brać w tym udział. Żeby być świadkiem i pamiętać, już wtedy wiedząc, że jeśli w nadchodzących dniach i latach cokolwiek będzie miało znaczenie, to właśnie takie sprawy.

Żołnierz z dobytym mieczem bardzo delikatnie oparł jego czubek o pierś brata Dianory. Ostrze lśniło w popołudniowym słońcu. Była to często używana klinga, miecz żołnierza. Ludzie zebrani wokół placu wstrzymali oddech.

Brat Dianory powiedział z nutą rozpacz w głosie:

– Nie potrafia zapamiętać tej nazwy. Wiecie, że nie potrafia. Zniszczyliście nas. Czy musicie wciąż nam sprawiać ból? Musicie?

On ma tylko piętnaście lat, modliła się w duchu Dianora, ściskając krawędź okna pozbawionymi czucia, zakrzywionymi w szpony palcami. Był zbyt młody, żeby walczyć. Zabroniono mu. Wybaczcie mu to. Proszę.

Wszyscy czterej asolscy kupcy wycofali się pośpiesznie z zasięgu miecza. Któryś z żołnierzy – ten o piskliwym śmiechu – poruszył się niepewnie, jakby żałując, że sprawa przybrała taki obrót. Zebrał się jednak tłumek. Chłopiec dostał swoją szansę. Teraz już właściwie nie było wyboru.

Żołnierz lekko pchnął miecz. W rozcięciu niebieskiej tuniki zebrała się jasnoczerwona w wiosennym słońcu krew, jakby przyciągało ją ostrze, po czym spłynęła w dół, plamiąc błękit.

– Mów – powiedział cicho żołnierz. W jego głosie nie brzmiało już rozbawienie. Był zawodowcem i Dianora zdała sobie sprawę, że przygotowuje się do zabicia.

Zobaczyła, jak jej brat rozstawia nogi, jakby chciał się wbić w ziemię placu. Zobaczyła, jak zwisające po bokach dłonie zaciska w pięści. Zobaczyła, jak spojrzeniem wędruje ku niebu.

A potem usłyszała jego dźwięczny głos.

Dał im, czego od niego żądali, wykonał rozkaz, lecz nie z ponurym zacięciem czy nieśmiałością i nie ze wstydem. Stojąc na ziemi ojców, przed swym rodzinnym domem, spojrzął w słońce i wykrzyczał z głębi duszy nazwę.

– Tigana! – zawołał tak, żeby wszyscy usłyszeli. Wszyscy, którzy znaleźli się na placu.

Powtórzył głośniejszym głosem: – Tigana!

A potem krzyknął trzeci, ostatni raz, na całe gardło, z miłością i nieposkromioną hardością serca:

– TIGANA!

Krzyk rozbrzmiał na placu, popłynął wzdłuż ulic, do okien, z których patrzyli ludzie, nad dachy domów biegnących na zachód do morza i na wschód do świątyni, i jeszcze dalej – dźwięk, nazwa, ciśnięta w jasne powietrze kula smutku. I chociaż czterej kupcy nie mogli jej zapamiętać ani żołnierze nie mogli jej usłyszeć, to kobiety stojące z dziećmi w oknach i mężczyźni skamieniali na ulicach oraz na placu słyszeli ją bardzo wyraźnie. Chwycili się jej kurczowo i zapamiętali dumę leżącą u podłoża wznoszącego się spiralą krzyku.

Żołnierze dostrzegli to i zrozumieli. Wystarczyło spojrzeć na twarze zgromadzonych ludzi. Chłopak zrobił tylko to, co kazali mu zrobić, ale sytuacja odwróciła się i dziwnym trafem wszystko skrupiło się na nich.

Oczywiście go pobili.

Bili pięściami i płazami dobrze utrzymanych mieczy, kopali. Naddo też – za to, że tam był, a więc we wszystkim uczestniczył. Tłum jednak się nie rozszedł, co zwykle miało miejsce, gdy żołnierze kogoś bili. Ludzie patrzyli w milczeniu nienaturalnym dla tak wielkiej ich liczby. Słysząc było jedynie spadające na chłopców razy; żaden z nich nie krzyczał, a żołnierze bili w milczeniu.

Potem rozgonili tłum przekleństwami i groźbami. Zgromadzenia były nielegalne, nawet jeśli spowodowali je sami żołnierze. Po kilku chwilach plac opustoszał. Jedynie w przysłoniętych zasłonami oknach było widać twarze ludzi patrzących na dwóch chłopców, którzy leżeli na ziemi w osiadającym kurzu. Krew na ich ubraniach jaśniała w słonecznym blasku. Przez cały czas śpiewały ptaki. Dianora wszystko to zapamiętała.

Zmusiła się do pozostania na miejscu. Nie pobiegła do nich. Pozwoliła im uporać się z tym samodzielnie. Mieli do tego prawo. W końcu zobaczyła, jak brat wstaje powoli, niczym bardzo stary człowiek. Mówi coś do Naddo i ostrożnie pomaga mu się podnieść. A potem, tak jak się spodziewała, zobaczyła, jak mocno utykając i nie oglądając się za siebie, prowadzi Naddo ku wschodowi, na miejsce, gdzie tego dnia mieli pracować.

Patrzyła na nich suchymi oczyma. Odeszła od okna dopiero wtedy, kiedy skręcili za róg po przeciwnej stronie placu i zniknęli jej z pola widzenia. Dopiero wtedy rozluźniła szponiasty chwyt zbiegających palców na drewnie framugi. I dopiero wtedy, kiedy nikt nie mógł jej dostrzec za spuszczone zasłonami, pozwoliła spaść łzom. Łzom miłości dla jego ran i straszliwej dumy.

Kiedy wieczorem wrócili do domu, razem ze służącą podgrzała wodę i przygotowała

chłopcom kąpiel, a potem, najlepiej jak umiała, zajęła się ich czarnymi i fioletowiejącymi sińcami oraz opatrzyła rany.

Później, przy kolacji, Naddo powiedział, że ich opuszcza. Jeszcze tej nocy. Powiedział Dianorze, że ma już dosyć; niezręcznie obrócił się do niej na krześle, bo gdy tylko zaczął mówić, jej brat odwrócił twarz.

Tu nie można żyć, powiedział zapalczywie i z żarliwością Naddo. Usta miał rozbite i spuchnięte. Nie pozwala na to srogość żołnierzy i jeszcze sroższe podatki. Jeśli młody człowiek ma mieć jakąś nadzieję na zrobienie czegoś z własnym życiem, powiedział Naddo, to musi odejść. Jego oczy rozpaczliwie szukały u niej zrozumienia. Zerkał nerwowo na jej brata, który teraz siedział odwrócony do nich plecami.

Dianora zapytała go, dokąd pójdzie.

Do Asoli, odpowiedział. To surowa, podmokła kraina, nieznośnie gorąca i wilgotna w lecie, wszyscy o tym wiedzą. Ale jest tam miejsce dla nowej krwi. Słyszał, że Asolczycy chętnie widzą u siebie obcych, chętniej niż mieszkańcy leżących na wschodzie ziem barbadiorskich. Nigdy nie wybrałby się do Corte czy Chiary. Powiedział, że ludzie z Tigany tam nie jeżdżą. Na te słowa jej brat wydał cichy dźwięk, lecz się nie odwrócił. Naddo znów zerknął na niego i przełknął ślinę, aż podskoczyła mu grdyka.

Powiedział Dianorze, że jeszcze trzech chłopaków planuje wyjazd. Chcą wymknąć się z miasta tej nocy i udać się na północ. Powiedział, że wie o tym już od pewnego czasu. Wahał się. Nie wiedział, co robić. To, co się stało tego ranka, przesądziło sprawę.

Niech Eanna oświetla ci ścieżkę, powiedziała Dianora z powagą. Był dobrym czeladnikiem, a potem dzielnym i lojalnym przyjacielem. Ludzie ciągle wyjeżdżają. Prowincja Dolne Corte to złe miejsce w bardzo złych czasach. Lewe oko Naddo było całkowicie zapuchnięte. Tego popołudnia łatwo mógł stracić życie.

Później, kiedy spakował swój skromny dobytek i był gotów do wyjścia, dała mu nieco srebra z ukrytych zapasów ojca. Ucałowała go na pożegnanie. Zaczął wtedy szlochać. Poprosił, żeby pożegnała od niego swoją matkę, i otworzył frontowe drzwi. Na progu znów się odwrócił. Wciąż płakał.

– Do widzenia – powiedział w udręce do postaci wpatrującej się kamiennym spojrzeniem w ogień na kominku. Na widok wyrazu twarzy Naddo Dianora nakazała w duchu bratu, żeby się do niego odwrócił. Nie zrobił tego. Ukląkł z rozmysłem i dołożył do ognia.

Naddo patrzył na niego jeszcze chwilę, po czym spojrzał na Dianorę, bezskutecznie spróbował uśmiechnąć się drżącymi wargami i wymknął się w mrok.

O wiele później, kiedy dogasł ogień, jej brat też wyszedł. Dianora usiadła przed kominkiem i patrzyła na tlący się żar, potem zajrzała do matki i poszła spać. Położyła się, ale wciąż miała wrażenie, że leży pod czymś o wiele cięższym niż pikowana kołdra.

Nie spała, kiedy wrócił. Zawsze tak było. Jak zwykle głośno stąpnął na podest schodów, by dać jej znać, że bezpiecznie wrócił do domu, ale Dianora nie usłyszała następnego dźwięku, którym powinno być skrzyknięcie otwieranych i zamykanych drzwi do jego sypialni.

Było bardzo późno. Leżała nieruchomo jeszcze przez chwilę, przygnieciona nieszczęściami tego dnia. Potem, poruszając się ociężale, jakby była czymś odurzona albo śniła na jawie, wstała i zapaliła świecę. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

Stał w korytarzu. W chybottliwym blasku trzymanej świecy zobaczyła spływające po jego posiniaczonej, zniekształconej twarzy strużki łez. Zaczęły jej się trząść ręce. Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

– Dlaczego się z nim nie pożegnałem? – usłyszała jego zduszony głos. – Dlaczego nie kazałaś mi się z nim pożegnać? – Nigdy nie widziała go tak zbolełego. Nawet wtedy, kiedy przyszła wiadomość o śmierci ojca nad rzeką.

Z uczuciem wielkiego ciężaru w sercu Dianora postawiła lichtarz na półce, na której stało niegdyś popiersie jej matki wyrzeźbione ręką ojca. Podeszła do brata i wzięła go w ramiona. Spazmatyczny szloch wstrząsał jego ciałem. Nigdy przedtem nie płakał. A przynajmniej nigdy w jej obecności. Poprowadziła go do swego pokoju i położyła się obok niego na łóżku, mocno go przytulając. Płakali tak razem bardzo długo. Nie potrafiła powiedzieć jak długo.

Okno było otwarte. Słyszała westchnienia wiatru w młodych liściach. Zaśpiewał jakiś ptak, odpowiedział mu inny z drugiej strony ulicy. Świat był miejscem pełnym snów lub smutku, a może jednego i drugiego. I tak pod świętym płaszczem nocy Dianora powoli zdjęła bratu przez głowę tunikę, uważając na jego rany, a potem sama wysliznęła się z nocnej koszuli. Serce jej biło niczym serce schwytanego leśnego zwierzątka. Kiedy dotknęła palcami szyi brata, wyczuła szaleńcze tętno. Oba księżycy już zaszły. Wszystkie liście za oknem szumiały. Tak.

W owej spowijającej ich zewsząd ciemności bezksiężycowej nocy i ciemności ich dni poszukali w sobie żalostnego, zakazanego schronienia przed zagładą ich świata.

– Co my robimy? – wyszeptał jej brat.

A później, kiedy ogarnął ich spokój i leżeli przytuleni po szaleńczym zaspokojeniu swego przerażającego pragnienia, brat powiedział, wodząc delikatnie ręką po jej włosach:

– Co my zrobiliśmy?

I po tych wszystkich długich latach, leżąc samotnie w saizanie, nękana tym najgłębiej skrywanym wspomnieniem, Dianora pamiętała swoją odpowiedź.

– Och, Baerdzie – powiedziała wtedy. – Co zrobiono z nami?

Trwało to od tej pierwszej nocy przez całą wiosnę i część lata. To, co robili, zwało się grzechem bogów. Powiadano bowiem, że u zarania czasu Adaon i Eanna byli rodzeństwem, a Moriana dzieckiem zrodzonym z ich związku.

Dianora nie czuła się boginią, a lustro nie zostawiało jej złudzeń. Widziała w nim jedynie

zbyt szczupłą twarz z ogromnymi, wytrzeszczonymi oczyma. Wiedziała tylko to, że jej szczęście ją przeraża i przytłacza poczuciem winy, a miłość do Baerda to cały jej świat. Takie samo przerażenie wywoływała w niej równie głęboka miłość Baerda. Serce ciągle ją ostrzegało, kiedy sięgali po swą przelotną radość: zbyt jasno płonie ten zakazany płomień w krainie, gdzie jakakolwiek jasność ginęła lub była niedozwolona.

Przychodził do niej co noc. Służąca miała pokój na dole, a matka spała – i budziła się – we własnym świecie. W mroku pokoju Dianory uciekali w siebie, w zatracie i poznaniu zła szukając niewinności.

Ciągle jeszcze coś go ciągnęło w niektóre noce na opustoszałe ulice. Nie zdarzało się to jednak tak często, jak przedtem, za co Dianora składała dzięki bogom i w czym widziała pewne usprawiedliwienie dla siebie. Tej wiosny nocne patrole złapały kilku młodzieńców, których następnie stracono na kołach. Jeśli jej postępowanie chroni go przed śmiercią, to przyjmie każdy wyrok, jaki ją czeka w Komnatach Moriany.

Nie potrafiła go jednak zatrzymać co noc. Czasami kierowała nim potrzeba, której nie mogła z nim dzielić albo zrozumieć. Próbował jej to wyjaśnić. Że miasto jest inne w świetle dwóch albo jednego księżyca, albo gwiazd. Że łagodniejsze światło i cienie pozwalają mu znów dostrzegać w nim Tigane. Że schodził cicho w dół nad morze, do pociemniałego pałacu i że w ciemności potrafił w myślach podnieść go z ruin.

Powiedział, że potrzebuje tego. Nie prowokował już żołnierzy i obiecał, że nigdy tego nie zrobi. Mówił, że nie chce ich nawet widzieć. Rozbijali jego złudzenia. Potrzebował tylko swobody wspomnień o mieście, które odeszło. Wyznał, że czasami przeciskał się przez znane sobie szpary w murach portu i chodził po plaży, słuchając morza.

Za dnia pracował, mimo swej delikatnej postury wykonując pracę silnego mężczyzny. Pomagał odbudowywać to, co pozwolono im odbudować. Zamożni kupcy z Corte – ich odwieczni wrogowie – otrzymali zezwolenie na osiedlenie się w mieście, tani wykup zniszczonych budynków i pałaców oraz odbudowanie ich dla własnych celów.

Baerd przychodził pod wieczór do domu ze skaleczeniami i świeżymi sińcami, a raz nawet z pręgą na plecach od uderzenia batem. Dianora wiedziała, że chociaż przestała go dręczyć jedna grupa żołnierzy, to są inni chętni do zabawy jego kosztem. Słyszała, że coś takiego dzieje się tylko tutaj. Wszędzie indziej żołnierze się hamowali, a król Ygrathu rządził ostrożnie, by zjednoczyć swe prowincje przeciw Barbadorowi.

Mieszkańcy Dolnego Corte byli jednak szczególnymi ludźmi. Zabili jego syna.

Widziała ślady razów na ciele Baerda i nie miała serca prosić, by zaprzestał nocnych wędrówek po utraconym mieście.

Ilekróć po zapadnięciu zmroku zamykały się za nim frontowe drzwi, przeżywała setki obaw i umierała dziesiątki razy – aż do chwili, gdy znów słyszała ich skrzypnięcie, a potem jego

kochany, znajomy krok na schodach, podeście, i wreszcie Baerd wchodził do jej pokoju, by wziąć ją w ramiona.

Trwało to do lata. Wtedy wszystko się skończyło, tak jak jej mądre serce ostrzegало ją owego pierwszego razu w ciemnościach, kiedy śpiewały ptaki, a w rosnących za oknem drzewach szumiał wiatr.

Wrócił do domu nie później niż zwykle. Błękitny Ilarion płynął samotnie po wysokim niebie spowitym w koronkę chmur. To była piękna noc. Dianora siedziała do późna przy oknie, patrząc na oświetlone blaskiem księżycy dachy. Kiedy Baerd wrócił, leżała już w łóżku. Serce zabiło jej mocniej, gdy owdądnęło nią znajome odczucie ulgi, poczucia winy i pragnienia. Wszedł do jej pokoju.

Nie położył się do łóżka, tylko osunął się na krzesło przy oknie. Z dziwnym, obezwładniającym poczuciem przerażenia skrzesała ogień i zapaliła świecę. Usiadła na łóżku i spojrzała na brata. Twarz miał tak bladą, że dostrzegła to nawet przy blasku świecy. Nic nie mówiła. Czekwała.

– Byłem na plaży – odezwał się cicho Baerd. – Zobaczyłem tam riselkę.

Zawsze wiedziała, że to się skończy. Że musi się kiedyś skończyć.

Zapytała instynktownie:

– Czy widział ją ktoś inny?

Potrząsnął głową.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Była zdumiona swoim spokojem, tym, jak nieruchomo leżały jej ręce na kołdrze. W tej ciszy pojęła pewną prawdę, prawdę, którą zapewne znała od dłuższego czasu.

– Właściwie i tak zostałeś tylko dla mnie – powiedziała. Było to stwierdzenie bez śladu wyrzutu. Zobaczył przecież riselkę. Zamknął oczy.

– Wiedziałaś?

– Tak – skłamała.

– Przepraszam – powiedział, patrząc na nią. Wiedziała jednak, że będzie mu łatwiej, jeśli będzie umiała ukryć, jakim to jest dla niej zaskoczeniem. To prezent, być może ostatni prezent od niej.

– Nie przepraszaj – mruknęła. Jej ręce, które wyraźnie widział, nie drżały. – Naprawdę rozumiem. – Naprawdę rozumiała, choć jej serce było jak zranione zwierzątko, jak ptak z jednym skrzydłem, który szamocze się i zatacza małe kręgi, opadając ku ziemi.

– Ta riselka... – zaczął i przerwał.

– Dzięki niej wszystko staje się jasne – podjął po chwili poważnie. – To rozwidlenie z przepowiedni. Muszę odejść.

Zobaczyła w jego oczach miłość do niej. Zmusiła się do okazania siły. Takiej siły, która

pomoże mu od niej odejść. Och, mój bracie, myślała. I chcesz mnie teraz zostawić?

– Wiem, że dzięki niej wszystko staje się jasne, Baerdzie – powiedziała. – Wiem, że musisz odejść. Na pewno pokazują to linie twojej dłoni. – Przełknęła ślinę. To było trudniejsze, niż kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić. – Dokąd pójdziesz? – Najdroższy, dodała, ale nie na głos, lecz w głębi serca.

– Myślałem o tym – odparł. Widziała, jak czerpie siłę z jej spokoju. Uczepiła się tego z całej mocy.

– Chcę poszukać księcia – rzekł.

– Co, Alessana? Nie wiemy nawet, czy jeszcze żyje – powiedziała wbrew sobie.

– Prawdopodobnie żyje. Podobno jego matka ukrywa się u kapłanów Eanny, a księżę został gdzieś odesłany. Jeśli istnieje jakaś nadzieja, jakiegokolwiek marzenie dla nas, dla Tigany, to trzeba ich szukać u Alessana.

– On ma piętnaście lat – powiedziała. Nie mogła się powstrzymać. Tak jak ty, pomyślała. Baerdzie, co się stało z naszym dzieciństwem?

W blasku świecy jego ciemne oczy nie były oczyma chłopca.

– Nie sądzę, żeby wiek miał tu jakieś znaczenie – odparł. – Tego nie da się osiągnąć ani szybko, ani łatwo, jeśli w ogóle jest to możliwe. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, będzie miał więcej niż piętnaście lat.

– Ty też – powiedziała.

– I ty też – powtórzył jak echo Baerd. – Och, Dia, co ty zrobisz? – Tylko ojciec tak ją nazywał. Głupie, ale przez to imię o mało nie straciła panowania nad sobą.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem – powiedziała szczerze. – Będę się opiekować mamą. Wyjdę za męża. Jeśli będę oszczędzać, to pieniędzy starczy jeszcze na jakiś czas. – Widząc ból na jego twarzy, zaraz postarała się zatrzeć wywołane wrażenie. – Masz się tym nie martwić, Baerdzie. Posłuchaj mnie: przed chwilą widziałeś riselkę! Chcesz walczyć ze swym przeznaczeniem, żeby do końca swych dni sprzątać gruzy tego miasta? Nikt już nie stoi przed łatwym wyborem, a mój nie będzie tak trudny, jak większości innych ludzi. Być może – dodała, buntowniczo unosząc podbródek – ja też spróbuję wymyślić jakiś sposób na ziszczenie twojego marzenia.

Kiedy później wspominała tę noc, była zaskoczona, że naprawdę wypowiedziała te słowa. Zupełnie jakby sama zobaczyła riselkę, jakby w chwili, kiedy rozchodziły się drogi jej i Baerda, ujrzała przed sobą wyraźnie wytyczoną ścieżkę.

Leżała samotna i zmarznięta w saizanie, ale nie była ani w połowie tak samotna i zmarznięta, jak owej nocy. Uzyskawszy jej przyzwolenie, Baerd nie ociągał się. Dianora wstała, ubrała się i pomogła mu spakować rzeczy. Stanowczo odmówił wzięcia srebra. Przygotowała mu na pierwszy poranek na długiej, samotnej drodze niewielki tobołek

z jedzeniem. Stojąc w drzwiach w ciemności letniej nocy, przywarli do siebie bez słów. Żadne z nich nie płakało, jakby oboje wiedzieli, że przeminął już czas wylewania łez.

– Jeśli boginie i bóg nas kochają – powiedział Baerd – to z pewnością jeszcze się spotkamy. Będę o tobie myślał każdego dnia do końca życia. Kocham cię, Dianoro.

– I ja ciebie – odpowiedziała. – Chyba wiesz jak bardzo. Niech Eanna oświetla twą drogę i sprowadzi cię do domu. – Tylko tyle powiedziała.

Po jego wyjściu usiadła we frontowym pokoju okutana w stary szal matki i do wschodu słońca patrzyła pustym wzrokiem na popiół w kominku.

Zalążek jej planu był gotowy.

Planu, który doprowadził ją po tylu długich latach do tego pustego łóżka w Noc Żaru, noc duchów, kiedy wcale nie musiała być sama. Sama ze swoimi wspomnieniami, z niesionym przez nie przebudzeniem i świadomością tego, na co sobie pozwoliła tu, na Wyspie. Tu, na dworze Brandina. Z Brandinem.

W Noc Żaru, w saiszanie Dianora doświadczyła dwóch spraw.

Pierwszą z nich były wspomnienia jej brata, zalewające ją falami, obraz po obrazie, aż do popiołów owego wygasłego ognia.

Druga zaś, nieubłaganie wynikająca ze wspomnień, zrodzona z tego samego, dawno minionego roku, zrodzona z pamięci, z poczucia winy, z zamętu krzywd, biorących się z samotności i straszliwej bezbronności w tę jedną noc... ta druga sprawa, wysnuta z tych wszystkich splecionych wątków, nabrała wreszcie kształtu; stała się wyraźnym postanowieniem. Po tylu latach. Działaniem, o którym teraz już wiedziała, że je podejmie. Musi podjąć bez względu na konsekwencje.

Leżała zmarznięta, beznadziejnie rozbudzona, zdając sobie sprawę, że odczuwane zimno pochodzi raczej z wewnątrz niż z zewnątrz. Wiedziała, że gdzieś w pałacu kaci zajmują się Cameną di Chiara, który próbował zabić tyrana i oswobodzić swój dom. Zrobił to, wiedząc, że umrze i jak umrze.

Są już na pewno przy nim, starannie odmierzając dawki bólu. Z zawodową dumą ze swych umiejętności łamią mu po kolei palce, nadgarstki i ręce. Palce u nóg, kostki i nogi. Robią to uważnie, nawet czule, pieczołowicie pilnując bicia jego serca, tak żeby po złamaniu mu kręgosłupa – co zawsze czynili na końcu – mogli go przywiązać żywego na kole i wynieść na plac portowy, by umarł na oczach swych pobratymców.

Nawet sobie nie wyobrażała, żeby Cameną nosił w sercu taką odwagę albo taką pasję. Wyśmiewała go jako pozera, miłośnika trójwarstwowych płaszczy, drobnego, trywialnego artystę szukającego poklasku na dworze.

Musiała zmienić zdanie. Wczorajsze popołudnie sprawiło, że zobaczyła w nim kogoś zupełnie innego. Teraz, kiedy uczynił to, co uczynił, kiedy jego ciało zostało oddane na pastwę

katów, powstawało pytanie, którego nie mogła zignorować, podobnie jak nie mogła zignorować wspomnień o Baerdzie. Nie tej nocy.

Jej duszę przeszły niczym zimowy wiatr myśli: Kogo czyni z niej posunięcie Cameny?

Co uczynił z tego dawnego celu, który z taką dumą postawiła sobie pewna szesnastolatka w noc, kiedy odszedł jej brat? W noc, kiedy nad morzem w świetle księżyca zobaczył riselkę i wyruszył na poszukiwanie swego księcia.

Znała odpowiedzi. To oczywiste. Znała określenia, na jakie zasłużyła sobie tu, na Wyspie. Paliły niczym rana polana skwaśniałym winem. Płonąc od środka i drżąc na całym ciele, Dianora kolejny raz spróbowała zmobilizować serce do rozpoczęcia tej śmiertelnie trudnej, wciąż jeszcze nie ukończonej podróży z owego pokoju w skrajnym skrzydle pałacu, w którym leżał król Ygrathu, do jej własnego kraju.

Ta noc była jednak inna. Coś ją odmieniło – to, co się stało, absolutna nieodwołalność tego, co Dianora zrobiła w sali audiencyjnej. Uznając tę nieodwołalność, próbując sobie z nią poradzić, zaczęła wyczuwać jakby z wielkiej odległości powolne, bolesne odsuwanie się jej serca od płomieni miłości. Powrót do wspomnień innych płomieni w domu. Wspomnień gorejących pól, płonącego miasta, podpalonego pałacu.

Nie znalazła w nich oczywiście żadnej pociechy, jedynie przypomnienie, kim jest i dlaczego tu się znalazła.

Leżąc nieruchomo w ciemności Nocy Żaru, kiedy na wsi wszystkie drzwi i okna były zamknięte przed zmarłymi i unoszącą się nad polami aurą magii, Dianora przepowiedziała sobie cicho całą wierszowaną przepowiednię:

Jeden mąż widzi riselkę

to jego życia rozstaje.

Dwóch mężów widzi riselkę

jeden z nich zemrze.

Trzech mężów widzi riselkę

jeden jest błogosławion, jeden na rozstajach, jeden zemrze.

Jedna niewiasta widzi riselkę

swą ścieżkę ujrzy wyraźnie.

Dwie niewiasty widzą riselkę

jedna z nich powije dziecko.

Trzy niewiasty widzą riselkę jedna jest błogosławiona, jedna widzi wyraźnie, jedna powije dziecko.

„Rano” – powiedziała do siebie, czując w sercu zimno, ogień i tysięczne wątpliwości. „Rano

wszystko zacznie się tak, jak powinno się zacząć i skończyć dawno temu”.

Jedynie Triada wiedziała, jak gorzkimi, nieprawdopodobnymi wydawały jej się wszystkie możliwości. Jak niewyraźne i ulotne było wśród tych ścian jej marzenie o naprawieniu wszystkiego. Jednej prawdy była jednak pewna: potrzebowała czegoś, co pozwoliłoby jej wyraźniej dostrzec wijące się ścieżki prowadzące do zdrady, jaką stało się jej życie – i z ust Brandina usłyszała, w jaki sposób na tę wyraźną ścieżkę może wstąpić.

Zacznie rano.

Tymczasem zaś może tu leżeć, boleśnie rozbudzona i samotna, tak jak pewnej dawno minionej nocy w domu, i może wspominać.

CZEŚĆ III

Żar dla żaru

Rozdział 9

W przydrożnym rowie było zimno. Między nimi i bramą posiadłości Nievolenich rósł wąski pas brzoź, ale i tak podmuchy wiatru cięły jak nożem.

Zeszłej nocy spadł śnieg, co tak daleko na północy było rzadkością nawet w środku zimy. Dlatego druga noc jazdy z miasta Ferraut, skąd wyruszyli, była biała i chłodna, lecz Alessan nie chciał zwolnić. W miarę upływu nocy mówił coraz mniej, a Baerd i tak w najlepszym razie był małomówny. Devin powstrzymał cisnące mu się na usta pytania i usiłował dotrzymać kroku towarzyszom.

Przekroczyli granicę Astibaru po ciemku i przybyli na ziemi Nievolenich o świcie. Spętane konie zostawili w leżącym około pół mili na południowy zachód zagajniku, a sami przyszli do rowu pieszo. Devin przez cały ranek co pewien czas przysypiał. Dzięki śniegowi krajobraz był dziwny, czysty i piękny w słońcu, ale gdzieś w połowie popołudnia pojawiły się grube, szare chmury i teraz było już tylko zimno i wcale niepięknie. Jakąś godzinę temu znów zaczął padać śnieg.

Kiedy Devin usłyszał podzwanianie rzędów zbliżających się w szarości koni, zdał sobie sprawę, że chociaż raz Triada wyciągnęła do nich otwarte dłonie – albo że, przeciwnie, boginie i bóg postanowili dać im okazję zrobienia czegoś zgubnie pochopnego. Rozpłaszczył się na wilgotnym dnie rowu. Pomyślał o Catrianie i diuku, siedzących wraz z Taccio w ciepłym Ferraut.

Z szarości krajobrazu wychynęła drużyna składająca się z około tuzina barbadiorskich najemników. Śmiali się hałaśliwie i śpiewali. Z ich ust i końskich pysków unosiły się w zimnym powietrzu białe chmurki oddechów. Rozpłaszczony na ziemi Devin patrzył, jak przejeżdżają obok nich. Przy sobie słyszał cichy oddech Baerda. Barbadiorczyacy zatrzymali się przy bramie byłych ziem Nievolenich – byłych od czasów jesiennych konfiskat. Dowódca zsiadł z konia i pewnym krokiem podszedł do zamkniętej bramy. Zamaszystym gestem, który wywołał u jego ludzi śmiech i wesołe okrzyki, otworzył żelazną bramę dwoma kluczami spiętymi ozdobnym łańcuszkiem.

– Pierwsza Drużyna – mruknął pod nosem Alessan. Były to jego pierwsze słowa od kilku godzin. – Wybrał Karaliusa. Sandre miał rację.

Patrzyli, jak żołnierze przejeżdżają galopem przez szeroko otwarte wrota. Ostatni z nich zamknął je za sobą.

Baerd i Alessan odczekali jeszcze kilka chwil, po czym wstali. Devin poszedł w ich ślady i skrzywił się, bo cały zeszywniał.

– Będziemy musieli znaleźć gospodę w wiosce – powiedział Baerd tak ponurym głosem, że

Devin spojrział na niego zaniepokojony. W zapadającym zmroku z rysów mężczyzny nic nie dało się wyczytać.

– Ale nie po to, żeby do niej wejść – rzekł Alessan. – To, co tu robimy, robimy po kryjomu.

Baerd skinął głową. Z wewnętrznej kieszeni znoszonej kamizeli z baraniej skóry wyjął zmięty papier.

– Zaczniemy od człowieka Rovigo?

Człowiek Rovigo okazał się byłym marynarzem, który mieszkał w wiosce oddalonej o milę na wschód. Powiedział im, gdzie znajduje się gospoda. Podał im także za dość znaczną sumę pieniędzy imię znanego informatora na usługach Granciala i jego Drugiej Drużyny Barbadorczyków. Stary żeglarz przeliczył pieniądze, splunął wymownie i powiedział, gdzie ten człowiek mieszka, oraz poinformował ich o niektórych jego zwyczajach.

Baerd udusił informatora w dwie godziny potem, kiedy ten szedł wiejską drogą ze swojego małego gospodarstwa do gospody. Było już wtedy zupełnie ciemno. Devin pomógł Baerdowi zanieść ciało z powrotem do bramy Nievolenich i ukryć je w rowie.

Baerd milczał, a i Devin nie miał nic do powiedzenia. Informator był otyłym, łysiejącym mężczyzną w średnim wieku. Wyglądał jak ktoś zaskoczony w drodze do ulubionej gospody, Devin zastanawiał się, czy ma żonę i dzieci. Nie zapytali o to człowieka Rovigo i Devinowi bardzo to odpowiadało.

Dołączyli do Alessana na skraju wioski, skąd obserwował gospodę. Bez słowa wskazał dużego, bułanego konia uwiązanego wśród innych przed budynkiem. Koń żołnierski. Cała trójka zawróciła na zachód i po pół mili znów zaległa w czujnym oczekiwaniu przy drodze. Devin zdał sobie sprawę, że już nie jest mu zimno ani nie czuje zmęczenia. Nie miał czasu zastanawiać się nad takimi sprawami.

Jeszcze tej samej nocy pod zimnym, białym spojrzeniem Vidomniego wiszącego na przecierającym się, zimowym niebie Alessan zabił człowieka, na którego czekali. Zanim Devin usłyszał ciche podzwanianie rzędu żołnierskiego konia, księcia już nie było u jego boku i sprawa została prawie dokonana.

Devin usłyszał cichy dźwięk, przypominający raczej kaszlnięcie niż krzyk. Koń parsknął ze strachu i Devin wstał poniewczasie, żeby uspokoić zwierzę. Zdał sobie jednak sprawę, że i Baerda nie ma u jego boku. Kiedy w końcu wydostał się z rowu na drogę, żołnierz – mający insygnia Drugiej Drużyny – już nie żył, a Baerd opanował konia. Żołnierz, sądząc po niedbałym wyglądzie munduru, nie był na służbie i najwyraźniej wracał do granicznego fortu. Barbadorczyk był, jak oni wszyscy, roslym mężczyzną, lecz w świetle księżyca jego twarz wydawała się bardzo młoda.

Przerzucili ciało przez siodło i wrócili do bramy Nievolenich. Z leżącego u końca zakrzywionego podjazdu dworu dobiegał głośny śpiew żołnierzy z Pierwszej Drużyny. W ciszy

zimowego powietrza głos niósł się daleko. Teraz obok księżycy pojawiły się gwiazdy i wśród chmur widać było coraz więcej czystego nieba. Baerd ściągnął Barbadiorczyka z konia i oparł go o jeden ze słupów bramy. Alessan i Devin przynieśli z rowu drugiego trupa, a Baerd przywiązał konia w pewnej odległości od drogi.

W pewnej odległości, ale nie za daleko. Koń miał być odnaleziony później.

Alessan dotknął ramienia Devina. Wykorzystując umiejętności, których nauczyła go Marra – wydawało się, że od tego czasu upłynęło kilka żywotów – Devin otworzył wytrychem dwa ozdobne zamki. Był zadowolony, że może pomóc. Zamki były efektowne, ale nieskomplikowane. Aroganccy Nievoleni nie bardzo obawiali się rabusiów.

Alessan i Baerd wzięli ciała na ramiona i przenieśli je przez wrota. Devin cicho je zamknął i wszyscy weszli na teren posiadłości. Nie udali się jednak w kierunku dworu. Idąc za bladym światłem księżycy, podeszli do stajni.

W tej chwili pojawiły się kłopoty. Największa stajnia była zaryglowana od środka, a Baerd skrzywieniem twarzy pokazał wylewające się spod podwójnych wrót światło latami i dał znak, że jest tam strażnik.

Cała trójka spojrzała w górę. Wysoko na wschodniej ścianie stajni widniało wyraźnie oświetlone blaskiem Vidomniego otwarte okienko.

Devin przeniósł wzrok z Alessana na Baerda i z powrotem na księcia. Spojrzał na ciała martwych mężczyzn.

Pokazał na okienko, a potem na siebie.

Po długiej chwili Alessan skinął głową.

W milczeniu, wsłuchując się w ochrypy śpiew dochodzący z dworu, Devin wspiał się po zewnętrznej ścianie stajni. Szukając w zimnym świetle księżycy oparcia dla rąk i nóg, pomagał sobie dotykiem. Kiedy dotarł do okienka, spojrzał przez ramię i zobaczył właśnie wschodzącego Ilariona.

Wśliznął się na półstryszek. Z dołu dobiegło ciche rzenie konia i Devin wstrzymał oddech. Zamarł, nasłuchując z walącym sercem. Nie było innej reakcji. Ogarnięty nagłym, kuszącym ciepłem stajni, podpełzł do przodu i spojrzał w dół.

Strażnik spał jak zabity. Mundur miał rozpięty, a stojąca obok niego na podłodze latarnia oświetlała pustą flaszkę po winie. Devin pomyślał, że pewnie przegrał w kości, skoro postawiono go na tak nudnym posterunku wśród koni i słomy.

Bezszelestnie zszedł po drabinie. W migocącym świetle, pośród zapachu siana, zwierząt i rozlanego wina, Devin po raz pierwszy zabił człowieka, wbijając sztylet w gardło śpiącego Barbadiorczyka. Nie w taki sposób robił to w marzeniach o bohaterskich czynach.

Przez chwilę walczył z narastającymi mdłościami. Próbował sobie wytłumaczyć, że wywołał je zapach wina. Było też więcej krwi, niż się spodziewał. Zanim otworzył wrota, starannie wytarł

klingę sztyletu.

– Dobra robota – powiedział Baerd, ogarniając spojrzeniem wnętrze stajni. Na chwilę położył dłoń na ramieniu Devina.

Alessan nic nie powiedział, ale w chybotliwym świetle Devin wyczytał w jego oczach niepokojące współczucie.

Baerd już zaczął robić to, co zrobić musieli.

Zostawili strażnika tam, gdzie miał zostać spalony. Informatora i żołnierza Drugiej Drużyny zaciągnęli do jednego z budynków gospodarczych. Choć trzeba było się śpieszyć, Baerd przez kilka chwil uważnie im się przyglądał, po czym ułożył ciała w szczególny sposób, przy drzwiach, które zablokował czymś, co, jak przypuszczał Devin, miało później wyglądać na spadłą belkę.

Dochodzący z dworu śpiew stopniowo cichł. Teraz było słychać już tylko jeden pijacki głos, zawodzący melancholijny refren o dawno utraconej miłości. W końcu i on zamilkł.

Był to sygnał dla Alessana. Na jego znak równocześnie podpalili suchą słomę i drewno w strzeżonej stajni oraz dwa przylegające do niej budynki gospodarcze, łącznie z tym, w którym zamknęli oba ciała. Potem uciekli. Zanim wydostali się z posiadłości, zabudowania gospodarcze Nievolenich zmieniły się w piekło ognia. Konie przeraźliwie kwiczały.

Nie było pościgu. Nie spodziewali się go. Alessan i Sandre wszystko bardzo starannie zaplanowali w Ferraut. Zwęglone ciała informatora i żołnierza Drugiej Drużyny znajdą ludzie Karaliusa. Najemnicy z Pierwszej Drużyny wyciągną oczywiste wnioski.

Odwiązali konie i ruszyli ku zachodowi. Noc znów spędzili pod gołym niebem, na zimnie, trzymając kolejno straż. Poszło bardzo dobrze. Wyglądało na to, że wszystko odbyło się zgodnie z planem. Co prawda Devin żałował, że nie mogli uwolnić koni. Ich kwik prześladował go w niespokojnym śnie na śniegu.

Rankiem, w pobliżu granicy z Perraut, Alessan kupił od rolnika wózek, a Baerd wytargował u drwala ładunek świeżo pociętych belek. Uścili nowe cło przewozowe i sprzedali drewno w pierwszym forcie po przekroczeniu granicy. Kupili też nieco wełny, którą chcieli przywieźć do miasta Ferraut, gdzie mieli się spotkać z pozostałymi.

Alessan powiedział, że nie ma sensu przepuszczać okazji do zarobku. Przecież mają obowiązki względem współników.

* * *

Jesienią i zimą, po wykryciu spisku Sandrenich, przez Wschodnią Dłoń przetoczyła się niepokojąca fala pożalowania godnych incydentów. Żaden z nich nie miał wielkiego znaczenia, lecz zebrane razem do tego stopnia zirykowały i zaniepokoiły Alberico z Barbadoru, że

pozostający u niego w służbie adiutanci i posłańcy zaczęli odczuwać fizyczne zagrożenie, jeśli ich obowiązki wymagały bezpośredniego kontaktu z tyranem.

Jak na człowieka znanego z opanowania i spokoju – nawet w Barbadorze, gdzie był jedynie głową niezbyt wpływowej arystokratycznej rodziny – Alberico przez całą zimę zdumiewał wszystkich swoją wybuchowością.

Jak zgodnie sądzili adiutanci, wszystko zaczęło się od tego, że kiedy przyszli do lochu po tego zdrajcę Tomasso, żeby zaprowadzić go do katów, znaleźli jego martwe ciało. Czekający w sali tortur Alberico wpadł w strasliwą wściekłość. Wszyscy strażnicy – wystawiła ich Trzecia Drużyna pod wodzą Sifervala – zostali natychmiast straceni, łącznie z nowym dowódcą straży. Jego poprzednik popełnił samobójstwo poprzedniej nocy. Sam Siferval został wezwany z Certando do Astibaru na rozmowę ze swym pracodawcą, po której cały się trząśł jeszcze przez kilka godzin.

Wydawało się, że furia Alberico graniczy z szaleństwem. Adiutanci doszli do wniosku, że cokolwiek zaszło w lesie, musiało to nim głęboko wstrząsnąć. Z całą pewnością źle wyglądał: coś dziwnego stało się z jego okiem, a i chodził jakoś inaczej. Potem zaś, w ciągu następnych dni i tygodni, kiedy miejscowi informatorzy każdej z trzech drużyn zaczęli przysyłać sprawozdania, stało się jasne, że mieszkańcy Astibar po prostu nie wierzyli – lub postanowili nie wierzyć – żeby w lesie coś się wydarzyło, że w ogóle istniał jakiś spisek Sandrenich.

Na pewno nie z udziałem panów Scalvai i Nieyole, a już z całą pewnością nie pod przewodnictwem Tomasso bar Sandre. Donosy głosiły, że ludzie wypowiadają takie cyniczne uwagi w całym mieście. Zbyt wiele osób znało potężną nienawiść dzielącą owe trzy rody. Zbyt wielu ludzi słyszało opowieści o średnim synu Sandre, rzekomym przywódcy rzekomego spisku. Mógł porwać chłopca ze świątyni Moriany, mówiono w Astibarze, ale knowania przeciwko tyranowi? Z Nievole i Scalvaia?

Nie, miasto jest po prostu zbyt wyrafinowane, żeby dać się nabrać na coś takiego. Każdy, kto miał choćby najmniejsze pojęcie o geografii i gospodarce, widział, o co tu naprawdę chodzi. Zmyślając „zagrożenie” ze strony trzech z pięciu największych posiadaczy ziemskich w distradzie, Alberico po prostu tworzył zgrabny pretekst dla zagarnięcia ich posiadłości.

Oczywiście to czysty przypadek, że ziemie Sandrenich leżą w środku prowincji, gospodarstwa Nievolenich na południowym wschodzie wzdłuż granicy z Ferraut, a winnice Scalvai znajdują się w najżyźniejszym pasie na północy, gdzie uprawia się najlepsze winogrona na błękitne wino. Niezwykle wygodny spisek, jak zgodnie twierdzono we wszystkich gospodach i khavenach.

No i wszyscy spiskowcy zginęli w ciągu jednej nocy. Jaki błyskawiczny wymiar kary! I jaka liczba dowodów zgromadzona przeciwko nim! Ogłoszono, że wśród Sandrenich był informator. Już nie żył. Oczywiście. Powiedziano, że spiskiem kierował Tomasso bar Sandre. On też, na

nieszczęście, był martwy.

Wszystkie cztery prowincje Wschodniej Dłoni z Astibarem na czele zareagowały z pełnym goryczy, sardonicznym niedowierzaniem. Być może zostały pokonane i jęczą pod ciężkim barbadiorskim butem, ale nie zostały oślepione ani pozbawione inteligencji. Potrafią jeszcze rozpoznać knowania tyrana.

Tomasso bar Sandre jako zręczny, groźny spiskowiec? Mimo że Astibarowi mocno dały się we znaki gospodarcze skutki konfiskat i miasto nie przyszło jeszcze do siebie po okropnościach egzekucji, jego mieszkańcy nadal potrafili kpić. A potem pojawiły się pierwsze jadowicie zabawne wiersze z zachodu – z samej Chiary – według niektórych napisane przez samego Brandina, chociaż raczej zostały zamówione u jednego z poetów kręcących się przy jego dworze. Przedstawiany w tych wierszach Alberico wietrzył nowe spiski na każdym podwórku i wykorzystywał je jako pretekst do zagarniania drobiu i ogródków warzywnych w całej Wschodniej Dłoni. Były w nich też niezbyt subtelne insynuacje seksualne.

Wiersze, które pojawiały się na murach w całym mieście – a potem w Tregei, Certando i Ferraut – Barbadiorczycy zdzierali prawie natychmiast. Niestety, ich rymy łatwo wpadały w ucho i wystarczyło, że ludzie przeczytali je czy usłyszeli tylko raz...

Później Alberico przyznawał się sam przed sobą, że stracił nieco panowanie nad sytuacją. Także i do tego, że jego wściekłość powodowały wielkie oburzenie i przeżyty strach.

Przecież istniał spisek, któremu przewodził ten afektowany Sandreni. Przecież w tej przekłętej chacie w lesie o mało nie zginął.

Tym razem mówił prawdę. Nie było tu ani cienia podstępu czy oszustwa. Sprawiedliwość stała po jego stronie. Nie było natomiast przyznania się do winy, świadków ani żadnych dowodów. Potrzebny był mu żywy informator. Albo Tomasso. Tomasso miał być żywy! Tej pierwszej nocy widział w snach wyraźne obrazy syna Sandre związanego, nagiego i zachęcająco wygiętego w tył na jednej z katowskich machin.

Po nie wyjaśnionej śmierci tego zbrojeńca i jednakowo brzmiących donosach ze wszystkich czterech prowincji, że nikt ani na jotę nie wierzył w to, co się wydarzyło, Alberico zrezygnował ze swej pierwotnej, starannie wyważonej reakcji na spisek.

Ziemie oczywiście zostały skonfiskowane, ale dodatkowo wyłapano i rozpięto na kołach śmierci w Astibarze wszystkich żyjących członków owych trzech rodzin. Wydając ten rozkaz, Alberico właściwie nie spodziewał się, że będzie ich aż tylu. Smród był paskudny, a niektóre dzieci żyły na kołach nieprawdopodobnie długo. W biurach stanu nad Wielkim Placem trudno się było skoncentrować na pracy.

Alberico podniósł podatki w Astibarze, a dla kupców jadących z jednej jego prowincji do drugiej po raz pierwszy wprowadził cło przewozowe na zasadach istniejących już opłat nakładanych za przejazd z Dłoni Wschodniej do Zachodniej. Jeśli nie chcą uwierzyć w to, co się

stało w tej chacie, to niech za to zapłacą – dosłownie.

Zrobił jeszcze więcej. Połowę olbrzymich plonów zboża Nievolenich natychmiast wysłał do Barbadioru. Uważał, że jak na działanie podjęte w gniewie, jest to posunięcie genialne. Obniżyło ono cenę zboża w Imperium, co zaszkodziło dwóm najstarszym wrogom jego rodziny, on natomiast zyskał nadzwyczajną popularność wśród ludu. Miało to znaczenie o tyle, o ile lud się liczył w Barbadiorze.

W tym samym czasie Astibar został zmuszony do sprowadzenia większej niż zwykle ilości zboża z Certando i Ferraut, a przy nowych ciach Alberico szykował się do zagarnięcia sporej części podwyższonej ceny.

Gdyby nie pewne drobne incydenty, to oglądając skutki swoich pociągnięć, Alberico mógłby ugasić gniew, poczuć się prawie szczęśliwy.

Po pierwsze zaczęli się burzyć jego żołnierze. Wraz ze wzrostem niedostatku narastało napięcie. Coraz częściej zdarzały się starcia, szczególnie w Tregei, gdzie takich przypadków zawsze było więcej. Żyjący w większym napięciu najemnicy zażądali – co było do przewidzenia – większego żołdu. Gdyby jednak im go przyznał, to pochłonąłby on prawie wszystko, co Alberico zyskał z konfiskat i nowych ceł.

Posłał do Imperatora list. Była to jego pierwsza prośba od ponad dwóch lat. Dołączył do niej skrzynkę astibarskiego błękitnego wina z własnych już teraz posiadłości na północy, po raz kolejny usilnie prosząc o wzięcie go pod imperialne skrzydła. Oznaczałoby to fundusze dla jego najemników ze skarbcza w Barbadiorze lub nawet oddanie pod jego dowództwo imperialnych oddziałów. Jak zwykle podkreślił rolę, jaką samodzielnie odgrywał w powstrzymaniu ygratheńskiej ekspansji na tym niebezpiecznym półwyspie leżącym w połowie drogi między wrogimi potęgami. Zgodził się, że być może zaczął tu swoją karierę jako niezależny poszukiwacz przygód – to wyrażenie mu się spodobało – lecz jako człowiek starszy i mądrzejszy chciał przez jeszcze mocniejszy związek ze swoim Imperatorem być mu bardziej przydatny.

Jeśli natomiast chodzi o zostanie Imperatorem i ubranie własnych minionych działań w imperatorski majestat – no cóż, chyba takich rzeczy nie trzeba umieszczać w liście?

W odpowiedzi otrzymał elegancką draperię z pałacu Imperatora, pochwałą swej lojalności i uprzejme słowa żalu, że sytuacja w kraju wyklucza zgodę na prośbę o wsparcie finansowe. Jak zwykle. Alberico został serdecznie zaproszony do powrotu do domu, gdzie spotkałoby go wiele zaszczytów, i do pozostawienia męczących problemów tego zamorskiego kraju kolonialnemu specjaliście, mianowanemu przez Imperatora.

To też nie było zaskoczeniem. Przekaż swoje nowe terytorium Imperium. Poddaj mu swoją armię. Wróć do domu na kilka parad, a potem przeznacz resztę swoich dni na polowania, a pieniądze na łapówki i sprzęt myśliwski. Zaczekaj, aż Imperator umrze, nie wyznaczysz następcy. A potem zasztyletuj lub zostań zasztyletowany w awanturze o sukcesję.

Alberico wysłał w odpowiedzi najszczerze podziękowania, wyrazy głębokiego żalu i kolejną skrzynkę wina.

Wkrótce potem, pod koniec jesieni, kilkunastu najemników wystąpiło ze służby w Trzeciej Drużynie, która była niezadowolona i wypadła z łask. Wszyscy oni wsiedli na jeden z ostatnich w tym sezonie statków płynących do domu. W tym samym tygodniu – był to oczywiście czysty przypadek – dowódcy Pierwszej i Drugiej Drużyny oficjalnie przedstawili Alberico nowe żądania płacowe i mimochodem przypomnieli mu o zaległych obietnicach ziemi dla najemników, delikatnie sugerując, by jej nadawanie zaczęto od dowódców.

Zaprzagnął wydać rozkaz uduszenia ich obu. Chciał porazić ich zachłanne, nasiąknięte winem mózgi mocą własnej magii. Nie mógł jednak sobie na to pozwolić, a poza tym posługiwanie się własną potęgą tak szybko po spotkaniu w lesie, w którym omal nie stracił życia, wciąż jeszcze bardzo go osłabiało.

Po spotkaniu, w które nikt na półwyspie nawet nie wierzył.

Uśmiechnął się zatem do obu dowódców i wyznał, że już przeznaczył dla jednego z nich spory kawałek świeżo zagarniętych ziem Nievolenich. Siferval, powiedział bardziej ze smutkiem niż z gniewem, został wykluczony ze współzawodnictwa przez zachowanie własnych ludzi, ale oni dwaj... no cóż, trudny to będzie wybór. Przez pewien czas będzie ich bacznie obserwował i w odpowiednim czasie oznajmi swą decyzję.

Karalius z Pierwszej usiłował dociec, przez jaki dokładnie czas.

Doprawdy mógłby go zabić na miejscu, kiedy tak stał z hełmem pod pachą i oczyma spuszczoneymi w pełnej hipokryzji postawie szacunku.

– Och, może na wiosnę – odparł niedbale, jakby takie sprawy dla ludzi dobrej woli nie powinny mieć wielkiego znaczenia.

– Lepiej byłoby wcześniej – powiedział cicho Grancial z Drugiej Drużyny.

Alberico uznał za stosowne wyrazić spojrzeniem odrobinę tego, co czuł. Są pewne granice.

– Wcześniejszy termin pozwoliłby wybranemu odpowiednio zadbać o ziemię przed wiosennymi siewami – pośpiesznie wyjaśnił Grancial. Był nieco zaniepokojony, i słusznie.

– Być może – powiedział nieobowiązująco Alberico. – Zastanowię się nad tym.

– Ach, jeszcze jedno – rzekł, kiedy dotarli do drzwi. – Karaliusie, byłbyś uprzejmy przysłać mi tego swojego niezwykle kompetentnego kapitana? Tego młodego, z rozwidloną czarną brodą. Mam specjalne, poufne zadanie do wykonania i potrzebuję człowieka o jego zaletach.

Karalius zamrugnął oczyma i skinął głową.

Kiedy wyszli i Alberico zdołał się uspokoić, pomyślał, że ważną, bardzo ważną sprawą jest nie dopuścić, by stali się zbyt pewni siebie. Co prawda tylko prawdziwy głupiec zraża do siebie swoje wojsko. Tym bardziej jeżeli chce je w końcu poprowadzić do domu. Lepiej na zaproszenie Imperatora, ale niekoniecznie. Nie, z całą pewnością niekoniecznie na jego zaproszenie.

Po dalszym zastanowieniu wywołanym tymi rozmyślaniami Alberico podniósł podatki w Tregei, Certando i Ferraut do poziomu nowych opłat w Astibarze. Wysłał także kuriera do stacjonującego na wyżynie Certando Sifervalu z Trzeciej, chwając jego ostatnie zasługi w utrzymywaniu spokoju na podległym mu terenie.

Najpierw trzeba ich wychłostać, a potem czymś znieść. Muszą się bać i wiedzieć, że jeśli się spodobają, to mogą liczyć na fortunę. Wszystko jest kwestią równowagi.

Niestety, w miarę jak jesień przechodziła w niezwykle chłodną zimę, przeróżne drobne sprawy nadal zakłócały równowagę we Wschodniej Dłoni.

Jakiś przeklęty poeta w Astibarze wybrał tę wilgotną i deszczową porę roku na rozwieszanie cyklu elegii na cześć zmarłego diuka Astibaru. Diuk zmarł na wygnaniu, był głową spiskującej rodziny, której członkowie zostali już w większości straceni. Wychwalające go wiersze jawnie pachniały zdradą.

Sprawa nie była łatwa. Wszyscy pisarze schwytani w pierwszej obławie na khaveny wypierali się autorstwa, a potem – mając wystarczająco dużo czasu na przygotowania – wszyscy schwytani w drugiej obławie autorstwo to sobie przypisywali.

Niektórzy doradcy proponowali całą tę zgrają rozpiąć na kołach, lecz Alberico zastanawiał się nad szerszym zagadnieniem. Zagadnieniem wyraźnej różnicy między jego własnym dworem i dworem Ygratheńczyka. Na Chiarze poeci współzawodniczyli o dostęp do Brandina, drząc przy choćby najmniejszym słowie pochwały z jego ust. Na żądanie pisali peany na cześć tyrana i ohydne, jadowite ataki na Alberico. Tutaj, we Wschodniej Dłoni, każdy autor sprawiał wrażenie potencjalnego podżegacza. Wroga stanu.

Alberico przełknął gniew, pochwalił techniczne zalety wierszy i uwolnił obie grupy. Przedtem jednak zasugerował, najdobrotliwiej jak potrafił, że z przyjemnością przeczytałby równie sprawnie ułożone wiersze na jeden z licznych możliwych tematów o głębokim potencjale satyrycznym, dotyczących osoby Brandina z Ygrathu. Udało mu się uśmiechnąć. Powiedział, że takie wiersze przeczytałby z wielką przyjemnością, i zastanawiał się, czy któryś z tych przeklętych wierszokletów z pretensjami pojmie aluzję.

Żaden nie pojął. Za to po dwóch dniach na wszystkich murach miasta pojawił się nowy wiersz. Mówił o Tomasso bar Sandre. Była to elegia na jego śmierć, która głosiła – nie do wiary! – że jego wyuzdanie było celowo wybraną drogą, żywą metaforą jego podbitego, uciemiezonego kraju i nieszczęsnej sytuacji cierpiącego tyranii Astibaru.

Kiedy Alberico zrozumiał, co poeta chce powiedzieć, nie miał już wyboru. Nie zawracając sobie głowy śledztwem, kazał jeszcze tego samego popołudnia wyciągnąć z khaveny dwunastu przypadkowych poetów i przed zachodem słońca połamać im ręce i nogi, wepchnąć odcięte dłonie do ust i umieścić na kołach wśród nadal tam tkwiących ciał członków rodzin konspiratorów. Na miesiąc zamknął wszystkie khaveny. Więcej wierszy się nie pojawiło.

W Astibarze. Tego samego wieczoru, kiedy na Placu Targowym w Tregui ogłoszono jego nowe podatki, w proteście przeciwko temu posunięciu jakaś czarnowłosa kobieta popełniła samobójstwo, skacząc z jednego z tamtejszych siedmiu mostów. Zanim skoczyła, wygłosiła mowę, a po sobie zostawiła – bogowie jedynie wiedzą, jak weszła w ich posiadanie – kompletny zbiór Elegii sandreńskich z Astibaru. Nikt nie wiedział, kim była. Szukano sieciami jej ciała w lodowatej rzece, ale bez skutku. W Tregui rzeki spływające z gór do wschodniego morza są rwące.

W ciągu dwóch tygodni wiersze rozprzestrzeniły się po całej tej prowincji, a zanim spadły pierwsze śniegi, przekroczyły granicę do Certando i południowego Ferraut.

Brandin z Ygrathu pchnął do Astibaru kuriera odzianego w eleganckie futro, z elegancko sformułowaną pochwałą Elegii – pierwszego poważnego dzieła, stworzonego na terytorium barbadiorskim. Złożył Alberico najszczerze gratulacje.

Alberico uprzejmie podziękował za wyrazy uznania i zaproponował usługi jednego ze swoich świeżo upieczonych artystów pióra przy pisaniu poematu o chwalebnym życiu i czynach wojennych księcia Valentina di Tigana.

Wiedział, że z powodu zaklęcia Ygratheńczyka ostatnie słowo będzie mógł odczytać jedynie sam Brandin, ale tylko Brandin się liczył.

Uważał, że wygrał ten pojedynek, ale z jakiegoś powodu samobójstwo kobiety w Tregui nie pozwoliło mu w pełni rozkoszować się zwycięstwem. Było to działanie zbyt gwałtowne, przypominające wydarzenia pierwszego roku po wyładowaniu jego wojsk. Tak długo panował spokój, a taki wybuch gwałtowności – gwałtowności bardzo publicznej – nigdy nie wróżył niczego dobrego. Przez chwilę zastanawiał się nawet nad odwołaniem nowych podatków, ale wyglądałoby to bardziej na poddanie się niż gest dobrej woli. W ojczyźnie mówiono, że Imperator tonie coraz szybciej, że coraz rzadziej pokazuje się publicznie. Alberico wiedział, że musi dbać o dobre samopoczucie swoich najemników.

W środku zimy postanowił nagrodzić Karaliusa aż połową byłych ziem Nievolenich.

W noc po publicznym ogłoszeniu tej decyzji – najpierw wśród żołnierzy, a potem na Wielkim Placu w Astibarze – stajnia i kilka budynków gospodarczych w rodzinnej posiadłości Nievolenich zostało doszczętnie spalonych.

Alberico zlecił Karaliusowi natychmiastowe dochodzenie, lecz w dzień później tego pożałował. W tłących się ruinach znaleziono dwa ciała, uwięzione tam przez spadłą belkę, która zablokowała drzwi. Jedno z nich należało do informatora powiązanego z Granciałem i Drugą Drużyną, a drugie do barbadiorskiego żołnierza – z Drugiej Drużyny.

Karalius natychmiast wyzwiał Granciała na pojedynek w dowolnie przez niego oznaczonym miejscu i czasie. Granciał niezwłocznie wyznaczył miejsce i czas. Alberico szybko dał do zrozumienia, że zwycięzca tej walki zginie na kole. Udało mu się nie dopuścić do pojedynku,

lecz od tej pory obaj dowódcy przestali się do siebie odzywać. Między żołnierzami obu drużyn wywiązało się kilka drobnych potyczek, a rezultatem jednej z nich, już nie tak drobnej, stoczonej w Tregei, było piętnastu zabitych i dwakroć tylu rannych.

W distradzie Ferraut znaleziono trzech miejscowych informatorów rozciągniętych na kołach do wozu w bezlitosnej parodii sprawiedliwości wymierzanej przez tyrana. Nie można było nawet wziąć odwetu – wiązałoby się to z przyznaniem, że zabiłoby ich informatorami.

W Certando służbę porzuciło dwóch żołnierzy z Trzeciej Drużyny Siferval, znikając w śnieżnobiałej okolicy. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy. Siferval napisał w raporcie, że nie miało to chyba związku z miejscowymi kobietami. Żołnierze ci bardzo się przyjaźnili. Dowódca Trzeciej Drużyny wysunął oczywistą, acz niemiałą hipotezę.

Pod koniec zimy Brandin z Ygrathu wysłał następnego ugrzecznionego posłańca z listem. Dziękował w nim wylewnie Alberico za sugestię zamówienia wierszy i oznajmiał, że z przyjemnością by je przeczytał. Poprosił także oficjalnie o sześć kobiet z Certando, równie młodych i ładnych jak ta, którą Alberico tak łaskawie jakiś czas temu pozwolił mu sobie wziąć ze Wschodniej Dłoni, ponieważ chciałby je włączyć do swego saisanu. Co było jednak nie do wybaczenia, list ten przedostał się jakimś sposobem do wiadomości publicznej.

Śmiech był zabójczy.

Aby go uciszyć, Alberico rozkazał Siferyalowi schwytać w południowo-zachodnim Certando sześć kobiet, oślepić je i okulić, po czym zostawić z posłańcą flagą na ośnieżonej granicy z Dolnym Corte między fortami Sinave i Forese. Kazał Siferyalowi przyczepić do ubrania jednej z kobiet list, w którym prosił Brandina o potwierdzenie odbioru nowych kochanek.

Niech go nienawidzą. Byle się go bali.

Siferval napisał w raporcie, że w drodze powrotnej znad granicy poszedł za wskazówką informatora i odnalazł dwóch zbiegłych żołnierzy mieszkających razem w opuszczonym gospodarstwie. Zostali straceni na miejscu, lecz przedtem jeden z nich – według raportu Siferval ten właściwy – został wykastrowany, żeby mógł umrzeć tak, jak żył. Alberico pochwalił Siferval.

Była to jednak niepokojąca zima. Wyglądało na to, że miast toczyć się pod jego dyktando, wydarzenia atakowały Alberico. Późną nocą, a potem także i kiedy indziej, w miarę jak Dłoń stopniowo zwracała się ku odległej jeszcze wiosnie, Alberico snuł rozmyślenia o dziewiątej prowincji, której nikt jeszcze nie kontrolował, prowincji leżącej zaledwie po drugiej stronie zatoki. O Senzio.

Szarooki kupiec mówił bardzo rozsądnie. Choć Ettocio – co prawda niechętnie – podzielał jego zdanie, to wolałby, żeby akurat ten podróżny wybrał sobie na południowy posiłek inną gospodę. Rozmowa zaczęła zmierzać w niebezpiecznym kierunku, a Triada jedna wie, że główny trakt między miastem Astibar i miastem Ferraut przemierza mnóstwo Barbadiorczyków. Gdyby któryś z nich teraz się tu zatrzymał, raczej nie przypisałby treści toczącej się właśnie rozmowy nadmiarowi wiosennej energii. Ettocio prawdopodobnie pożegnałby się na miesiąc ze swoim zezwoleniem. Co chwila nerwowo zerkał na drzwi.

– A teraz podwójne opodatkowanie! – mówił z goryczą szczupły mężczyzna, przeczesując palcami włosy. – Po takiej zimie? Po tym, co zrobił z ceną ziarna? Skoro płacimy na granicy, a teraz i u bram miasta, gdzie tu, na Morianę, jest zysk?

W całej sali rozległy się wojownicze pomruki zgody. W gospodzie pełnej podróżujących kupców zgoda była do przewidzenia. A także niebezpieczna. Napelniający kieliszki i kufle Ettocio nie był jedynym człowiekiem mającym oko na drzwi. Znad chrupiącej bułeczki i gomółki wiejskiego sera posłał mu nieoczekiwanie pełne współczucia spojrzenie opierający się o kontuar młodzieniec.

– Zysk? – spytał z sarkazmem kupiec wełny z północnego Ferraut. – A dlaczegoż by Barbador miał się przejmować naszym zyskiem?

– Właśnie! – Szare oczy błysnęły z ożywieniem. – Z tego, co słyszałem, on chce wyciągnąć z Dłoni, ile się da, szykując się w ten sposób do zagarnięcia tiary Imperatora w Barbadorze!

– Cśśś! – mruknął pod nosem Ettocio, nie potrafiąc się opanować. Pociągnął z kufła szybki łyk, co robił bardzo rzadko, i podszedł do okna przy końcu kontuaru, żeby je zamknąć. Szkoda, bo wiosenny dzień był prześliczny, ale sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli.

– Ani się obejrzymy – mówił teraz szczupły kupiec – jak posunie się dalej i zajmie resztę naszych ziem, co już zaczął robić w Astibarze. Idę o zakład, że w ciągu pięciu lat będziemy służącymi albo niewolnikami.

Nad wzburzony chór głosów wywołany tymi słowami wybił się pogardliwy śmiech jednego człowieka. Sala gwałtownie zamilkła i wszyscy spojrzeli na osobę, którą rozmowa najwyraźniej ubawiła. Miny mieli ponure. Ettocio nerwowo wytarł nieskazitelnie czysty kontuar przed sobą.

Wojownik z Khardhun śmiał się przez dłuższy czas, pozornie nie zwracając uwagi na skierowane na niego spojrzenia. Na jego posągowej, czarnej twarzy malowała się prawdziwa wesołość.

– Cóż cię tak bardzo rozbawiło, starcze? – zapytał zimno szarooki.

– Wy – odparł wesoło stary Khardhu. Kiedy się uśmiechał, jego twarz przypominała trupią czaszkę. – Wy wszyscy. Nigdy jeszcze nie widziałem w jednym pomieszczeniu tak wielu ślepców.

– Zechciałbyś może wyjaśnić, co dokładnie chcesz przez to powiedzieć? – warknął kupiec

welny z Ferraut.

– Naprawdę trzeba ci to wyjaśniać? – mruknął Khardhu, otwierając szeroko oczy w udawanym zaskoczeniu. – No dobrze. Dlaczego, na waszych, moich albo jego bogów, Alberico miałby zawracać sobie głowę robieniem z was niewolników? – Wymierzył kościsty palec w kupca, który wszczął dyskusję. – Gdyby spróbował czegoś takiego, to zakładam, że we Wschodniej Dłoni znalazłoby się, chociaż z trudem, jeszcze tyle męstwa, że moglibyście się obrazić. Moglibyście nawet... podnieść bunt! – Ostatnie słowa wypowiedział przesadnie teatralnym szeptem.

Odchylił się w tył, śmiejąc się z własnego dowcipu. Nikt mu nie zawtórował. Ettocio spojrział nerwowo na drzwi.

– Z drugiej strony – ciągnął Khardhu, wciąż trzęsąc się ze śmiechu – jeżeli będzie was powoli drenował do sucha podatkami, cłami i konfiskatami, to osiągnie taki sam skutek, nikogo nie rozwścieczając na tyle, żeby podjął jakieś działanie. Coś wam powiem, panowie. – Tu pociągnął długi łyk piwa. – Alberico z Barbadoru to sprytny człowiek.

– A ty – odezwał się gniewnie szarooki mężczyzna, przechylając się przez swój stół – jesteś aroganckim, bezczelnym cudzoziemcem!

Uśmiech zniknął z twarzy Khardhu. Skrzyżował spojrzenie ze wzrokiem kupca, a Ettocio odczuł nagle wielkie zadowolenie, że zakrzywiony miecz wojownika spoczywa razem z bronią innych podróżnych za kontuarem.

– Jestem tu od jakichś trzydziestu lat – powiedział cicho czarnoskóry mężczyzna. – Założę się, że mniej więcej tyle, ile ty żyjesz. Strzegłem na tej drodze kupieckich karawan, kiedy ty moczyłeś się w łóżku. A jeśli jestem cudzoziemcem, no cóż... kiedy ostatni raz się dowiadywałem, Khardhun był wolnym krajem. Pobiliśmy najeźdźców, czego nie można powiedzieć o nikim tu, w Dłoni!

– Wy mieliście magię! – wybuchnął nagle młodzieniec przy kontuarze, przekrzykując pełen oburzenia gwar. – My byliśmy bezbronni! To jest jedyny powód! Jedyny!

Khardhu odwrócił się twarzą do chłopaka z ustami wykrzywionymi pogardą.

– Jak chcesz się uspokajać taką myślą przed snem, to proszę bardzo, malutki. Może w ten sposób lepiej się będziesz czuł, płacąc podatki na wiosnę albo głodując jesienią z braku zboża. Ale jeśli chcesz poznać prawdę, to wyjawię ci ją za darmo.

Podczas tej przemowy hałas się uciszył, ale kilku mężczyzn wstało, świdrując Khardhu wściekłym wzrokiem.

Wojownik rozejrzał się po sali, jakby uznając chłopca przy kontuarze za niegodnego swej uwagi, i bardzo wyraźnie powiedział:

– Pobiliśmy Brandina z Ygrathu, kiedy nas najechał, ponieważ Khardhun walczył jako kraj. Jako całość. Wy dostaliście lanie od Alberico i Brandina, ponieważ za bardzo byliście zajęci

wzajemnymi utarczkami granicznymi albo tym, który diuk czy księżę ma poprowadzić waszą armię i jaki kapłan lub kapłanka ją pobłogosławi, albo kto ma walczyć pośrodku, a kto na prawej flance, gdzie ma być pole bitwy i kogo bogowie kochają najbardziej. W rezultacie wszystkie wasze dziewięć prowincji przeciwstawiło się czarnoksiężnikom po kolei, palec po palcu. Zostały oczywiście złamane niczym kostki kurczęcia. Zawsze myślałem – powiedział przeciągle w kompletnej ciszy – że walczy się najlepiej dłonią zwiniętą w pięść.

Leniwym gestem poprosił Ettocio o jeszcze jeden kufel.

– Zaraza na twój bezczelny khardhuński łeb – wydusił z wysiłkiem szarooki. Ettocio odwrócił się, żeby spojrzeć na niego. – Niech na zawsze pochłonie cię ciemność Moriany, bo masz rację!

Ettocio nie spodziewał się tego, podobnie jak nikt inny w gospodzie. Wszyscy pograżyli się w ponurych wspomnieniach.

– Ale cóż możemy zrobić? – rzucił płaczliwie w powietrze młodzieniec przy kontuarze.

– Kłąć, pić i płacić podatki – odpowiedział z goryczą kupiec wełny.

– Muszę powiedzieć, że bardzo wam współczuję – powiedział z zadowoloną miną samotny kupiec z Senzio. Była to niefortunna uwaga. Zirytowała nawet Ettocio, słynącego z flegmatycznego usposobienia.

Młodzieniec przy kontuarze kipiał ze złości.

– Ach, ty, ty... Nie do wiary! Jakim prawem wy... – Uderzył w kontuar w ślepej furii. Pulchny Senzianin uśmiechnął się z charakterystyczną dla wszystkich Senzian wyższością.

– Właśnie, jakim prawem! – Lodowate spojrzenie szarych oczu było przeszywające. – Z moich ostatnich wiadomości wynika, że kupcy z Senzio ręce mają tak zajęte płaceniem danin dla wschodu i zachodu, że nie mogą nawet wydobyć swego wyposażenia, by sprawić przyjemność żonom!

Spotkało się to z głośnym wybuchem rubasznego śmiechu. Nawet stary Khardhu uśmiechnął się lekko.

– A z moich ostatnich wiadomości wynika – odparł poczerwieniały Senzianin – że namiestnik Senzio jest jednym z nas, a nie kimś przywiezionym z Ygrathu czy Barbadioru!

– A co się stało z waszym diukiem? – odparował kupiec z Ferraut. – Senzio okazało się tak tchórzliwe, że aby nie zdenerwować tyranów, wasz diuk zdegradował się do stanowiska namiestnika. Jesteś z tego dumny?

– Dumny? – zapytał szyderczo szczupły kupiec. – On nie ma czasu na żadną dumę. Zbyt jest zajęty spoglądaniem w obie strony, żeby zorientować się, któremu wysłańcowi którego tyrana powinien zaproponować swoją żonę!

I znów ochrypli, przepelniony goryczą śmiech.

– Masz ostry język jak na człowieka podbitego – rzekł zimno Senzianin. Śmiech ucichł. –

Skąd pochodzisz, że tak szybko odmawiasz odwagi innym ludziom?

– Z Tregei – odparł cicho zapytany.

– Z okupowanej Tregei – poprawił jadownicie Senzianin. – Z pokonanej Tregei. Gdzie rządzi barbadiorski namiestnik.

– Padliśmy ostatni – powiedział Tregeańczyk trochę zbyt butnie. – Borifort bronił się najdłużej ze wszystkich placówek.

– Ale padł – rzekł bez ogródek Senzianin, pewny już swej przewagi. – Nie śpieszyłbym się tak z uwagami na temat cudzych żon. A przynajmniej nie po opowieściach, które wszyscy słyszeliśmy o tym, co robili tam Barbadiorczyzy. Słyszałem także, że większość waszych kobiet nie była znów tak niechętna...

– Zamknij tę brudną gębę! – warknął Tregeańczyk, zrywając się na nogi. – Zrób to sam albo ja ci ją zamknę, i to na zawsze, ty kłamliwy senziański śmieciu!

Harmider zrobił się większy niż przedtem.

Ettocio usiłował przywrócić porządek gorączkowym biciem w zawieszony nad kontuarem dzwonek.

– Dosyć! – ryknął. – Dosyć tego albo wszyscy natychmiast wynocha! – Ta poważna groźba ostudziła nieco zapalę rozjuszonych przeciwników.

Ostudziła je przynajmniej na tyle, żeby znów dał się słyszeć sardoniczny śmiech khardhuńskiego wojownika. Potężny mężczyzna wstał. Rzucił na stół kilka monet za swoje piwo i wciąż trzęsąc się ze śmiechu, rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Widzicie, o co mi chodzi? – mruknął. – Te cieniutkie paluszki, które sobie nawzajem wygrażają i się poszturchują. Zawsze tak było, prawda? I chyba zawsze tak będzie. A potem zostanie tu już tylko Barbadior i Ygrath.

Zamaszystym krokiem ruszył do kontuaru po swój miecz.

– Ej, ty – powiedział nagle szarooki Tregeańczyk. Ettocio podał wojownikowi tkwiący w pochwie zakrzywiony miecz. Khardhu odwrócił się powoli.

– Potrafisz się tym posługiwać tak samo dobrze jak językiem? – zapytał Tregeańczyk.

Wargi Khardhu rozciągnęły się w pozbawionym wesołości uśmiechu.

– Posmakował krwi kilka razy.

– Pracujesz teraz dla kogoś?

Khardhu obrzucił pytającego zuchwałym, taksującym wzrokiem.

– Do czego zmierzasz?

– Właśnie zmieniałem plany. Przy podwójnych cłach w mieście Ferraut nie da się zarobić. Chyba będę musiał wypuścić się gdzieś dalej. Zapłacę ci przyjętą stawkę za odeskortowanie mnie na południe, na wyżynę Certando.

– To niebezpieczna okolica – mruknął z namysłem Khardhu.

Na twarzy Tregeańczyka błysnęło rozbawienie.

– A jak sądzisz, dlaczego cię potrzebuję? – zapytał.

Po chwili Khardhu odwzajemnił uśmiech.

– Kiedy wyruszamy? – zapytał wojownik.

– Już nas nie ma – odparł Tregeańczyk i wstał, by zapłacić rachunek. Odebrał własny krótki miecz i wyszedł razem z czarnoskórym. Kiedy otworzyły się drzwi, do sali wpadł oślepiający promień słońca.

Ettocio miał nadzieję, że gadanina przycichnie. Mylił się. Młodzieniec przy kontuarze mamrotał coś o zjednoczeniu się we wspólnym froncie – i można by to uznać tylko za gadanie obłąkańca, gdyby nie to, że było niebezpieczne. Niestety – przynajmniej z punktu widzenia Ettocio – usłyszał ją kupiec wełny z Ferraut, a emocje były już tak rozhuśtane, że temat natychmiast został podjęty.

Burzliwe rozmowy ciągnęły się przez całe popołudnie, nawet po wyjściu chłopaka. A tego samego wieczoru, przy zupełnie innych gościach, Ettocio ku swemu własnemu zdziwieniu wtrącił się do sprzeczki o dawną zwierzchność między sprzedawcą win z Astibaru i jakimś Senzianinem. Powiedział to samo, co wysoki Khardhu – że dziewięć cieniutkich palców zostało po kolei złamanych dlatego, że nie zwinęły się w pięść. Argument ten uznał za słuszny i we własnych ustach brzmiał mu inteligentnie. Zauważył, że zanim skończył mówić, już mu przytakiwali. Była to niezwykła, schlebająca reakcja – ludzie rzadko zwracali na Ettocia uwagę, chyba że ogłaszał zamknięcie lokalu.

Podobało mu się to nowe uczucie. W następnych dniach wracał do tego tematu przy każdej okazji. Po raz pierwszy w życiu Ettocio zaczął zdobywać sobie opinię człowieka mądrze myślącego.

Niestety, pewnego letniego wieczoru podsłuchał go stojący za otwartym oknem barbadiorski najemnik. Nie odebrano mu zezwolenia. W całej Dłoni dawało się już odczuć bardzo wyraźne napięcie. Ettocio został aresztowany i stracony na kole przed własną gospodą. Do ust wepchnięto mu odcięte dłonie.

Zanim jednak do tego doszło, jego wywody usłyszało wielu ludzi. Kiwali przy tym głowami.

* * *

Devin dołączył do pozostałej czwórki o milę na południe od gospody na rozstajach, na zakurzonej drodze prowadzącej do Certando. Czekali na niego. Catriana była sama na pierwszym wozie, ale Devin przysiadł się do Baerda na drugim.

– Wrze jak w garnku z khavem – powiedział radośnie w odpowiedzi na uniesioną pytająco brew. Z boku podjechał Alessan. Devin spostrzegł, że książę przypiął miecz. Łuk Baerda leżał na

wozie, tuż za jego siedzeniem, gdzie można było bardzo szybko po niego sięgnąć. W ciągu pół roku Devin kilka razy widział, jak szybko Baerd potrafi sięgnąć po łuk. Jadący z odkrytą głową w popołudniowym słońcu Alessan uśmiechnął się do niego.

– Rozumiem, że po naszym wyjściu trochę w tym garnku zamieszałeś?

Devin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie musiałem. Wy dwaj opanowaliście już swoje role jak zawodowi aktorzy.

– Ty też – powiedział diuk, podjeżdżając galopem z drugiej strony wozu. – Tym razem szczególnie podziwiałem, jak cię zatkało ze złości. Myślałem, że zaraz czymś we mnie rzucisz.

Devin uśmiechnął się do niego. Zęby Sandre zaśniły bielą w nieprawdopodobnej czerni jego skóry.

„Nie spodziewajcie się, że nas poznacie” – powiedział Baerd, kiedy pół roku temu rozstawali się w lasach Sandrenich. Devin był więc przygotowany. Okazało się, że niewystarczająco.

Własna przemiana Baerda była niepokojąca, lecz stosunkowo łagodna: wyhodował sobie krótką brodę i wyjął poduszki z ramion kubraka. Nie był takim potężnym mężczyzną, za jakiego wziął go początkowo Devin. Zmienił też w jakiś sposób jasnożółty kolor swoich włosów na, według jego słów, ich naturalny, ciemny brąz. Oczy też miał teraz piwne, a nie jasnoblękitne jak przedtem.

To, co zrobił z Sandre d’Astibar, było całkiem inną sprawą. Nawet Alessan, który przez kilkanaście lat zdążył już przywyknąć do takich rzeczy, na widok odmienionego diuka cicho gwizdnął. Sandre w zdumiewający sposób przedzierzgnął się w starzejącego się, czarnego wojownika z leżącego za północnym morzem Khardhun. Devin wiedział, że takich ludzi często można było spotkać na drogach Dłoni przed dwudziestu czy trzydziestu laty, w czasach gdy kupcy nigdzie nie ruszali się samotnie i wojownicy z Khardhun uzbrojeni w swe groźnie wygięte miecze byli bardzo poszukiwani jako ochrona przeciwko rabusiom.

Niesamowite było to, że po zgoleniu brody i ufarbowaniu siwych włosów na ciemnoszare, Sandre ze swoją posępną, czarną twarzą i głęboko osadzonymi, płonącymi oczyma stanowił idealny obraz khardhuńskiego najemnika. Jak wyjaśnił Baerd, właśnie to najpierw zauważył u diuka, kiedy po raz pierwszy zobaczył go w świetle dnia. Wówczas zrodził się pomysł tak całkowitego przeobrażenia.

– Ale jak? – Devin pamiętał, że ledwo udało mu się wykrztusić pytanie.

– Mikstury i tynktury – roześmiał się wtedy Alessan.

Baerd wyjaśnił później, że po upadku Tigany spędzili z księciem kilka lat w Quilei. Takie elementy – farby do skóry i włosów, a nawet oczu – były na południe od gór prawdziwą i ważną sztuką. Grały one zasadniczą rolę w Misteriach Bogini-Matki i w nieco mniej tajemnych obrzędach formalnego teatru, a także w burzliwej historii wstrząsanej religijnymi konfliktami

Quilei.

Baerd nie powiedział, co tam robili z Alessanem ani jak się nauczył tej sekretnej sztuki i skąd miał potrzebne do jej uprawiania przybory.

Catriana też tego nie wiedziała, co nieco poprawiło humor Devinowi. Pewnego popołudnia zapytali o to Alessana i po raz pierwszy otrzymali wtedy odpowiedź, którą musieli się później zadowalać przez całą jesień i zimę.

Na wiosnę, powiedział im Alessan. Na wiosnę tak czy owak wyjaśni się wiele spraw. Zbliżają się do czegoś ważnego, lecz będą musieli jeszcze poczekać. Nie zamierza teraz o tym mówić. Przed wiosennymi Dniami Żaru zakończą swoją obecną pętlę na trasie Astibar-Tregea-Ferraut i podążą na południe, przecinając rozległe ziemie uprawne Certo. Alessan powiedział, że wtedy może się bardzo wiele zmienić. I powtórzył: tak czy owak.

Mówiąc to wszystko, nie uśmiechał się, chociaż zwykle często to robił.

Devin pamiętał, jak Catriana potrząsnęła wtedy włosami, a w jej błękitnych oczach zapłonęła pewność i jakby gniew.

– Chodzi o Alienor, tak? – Było to raczej oskarżenie niż pytanie. – O tę kobietę z zamku Borso.

Usta Alessana drgnęły z zaskoczenia, a potem ułożyły się w pełen rozbawienia uśmiech.

– Ależ nie, moja droga – odparł. – Zatrzymamy się w Borso, ale nie ma to z nią nic wspólnego. Gdybym cię nie znał, gdybym nie wiedział, że twoje serce należy wyłącznie do Devina, to pomyślałbym, że jesteś zazdrosna, moja droga.

Kpina odniosła zamierzony efekt. Catriana wypadła z pokoju, a Devin, prawie tak skrępowany jak ona, szybko zmienił temat. Alessan potrafił tak się zachować. Pod głęboko sięgającą, swobodną uprzejmością i prawdziwym koleżeństwem istniała u niego granica, której nauczyli się nie przekraczać. W rzadkich przypadkach, kiedy był szorstki, jego żarty – stanowiące zawsze pierwszą formę upomnienia – potrafiły mocno dopieć. Nawet diuk przekonał się, że w pewnych sprawach najlepiej Alessana nie naciskać. Okazało się, że ta do nich na leżała: zapytany wprost, Sandre odpowiedział, że o tym, co ma się stać na wiosnę, wie równie mało jak oni.

Rozmyślając o tym, kiedy jesień ustępowała zimie i później, gdy nadeszły deszcze i śniegi, Devin doskonale zdawał sobie sprawę, że Alessan jest księciem kraju, który z każdym mijającym dniem coraz bardziej obumiera. Doszedł do wniosku, że w tych warunkach nie to jest dziwne, iż istnieją strzeżone obszary, na które nie wolno im się zapuszczać, ale że mogą posunąć się dość daleko, zanim do nich dotrą.

Jedną z rzeczy, których Devin zaczął się uczyć tej długiej zimy, była cierpliwość. Nauczył się zachowywać swoje pytania na odpowiednią porę albo zupełnie z nich rezygnować i samemu próbować znajdować odpowiedzi. Jeśli pełniejsza wiedza ma przyjść z wiosną, to on zaczeka.

Tymczasem z wielką pasją, jakiej u siebie nawet nie podejrzewał, rzucił się w to, co robili.

Owej gwiazdzistej, jesiennej nocy w Lesie Sandrenich w jego serce też został wbity nóż.

Nie miał pojęcia, czego się spodziewać, kiedy w pięć dni później wyruszyli do miasta Ferraut. Mieli ze sobą wóz z koniem od Rovigo, na którym wieźli łoże i kilka drewnianych rzeźb Triady, oraz trzy inne konie. Taccio napisał do Rovigo, że może z dużym zyskiem sprzedać kupcom z Zachodniej Dłoni astibarskie rzeźby sakralne. Było to możliwe dlatego, że, jak dowiedział się Devin, na wyroby związane z Triadą nie nakładano cła. W ten sposób obaj czarnoksiężnicy usiłowali z dobrym skutkiem zjednać sobie i unieszkodliwić duchowieństwo.

Owej jesieni i zimy Devin wiele się nauczył o handlu, jak i o pewnych innych sprawach. Z nową, z trudem zdobytą cierpliwością słuchał w milczeniu, jak Alessan i diuk podczas długich odcinków podróży przerzucają się pomysłami, zmieniając matowe bryłki węgla, jakimi były ich zamysły, w lśniące brylanty gotowych planów. I mimo że sam śnił po nocach o poprowadzeniu wielkiej armii, która uwalnia Tiganę i wdiera się na słynne mury portu w Chiarze, w zimnym świetle dnia szybko zrozumiał, że będą musieli przyjąć całkiem inną strategię.

Dlatego wciąż byli na wschodzie, a nie na zachodzie, i robili wszystko, co w ich mocy – posługując się lśniącymi brylancikami planów Alessana i Sandre – by naruszyć równowagę królestwa Alberico. Raz Catriana wyznała Devinowi – było to tego dnia, kiedy z jakiejś przyczyny uznała za stosowne odezwać się do niego – że Alessan właściwie działa o wiele agresywniej niż w roku, kiedy do nich przystała. Devin zauważył, że może to być wpływ Sandre. Catriana miała wątpliwości. Sądziła, że częściowo tak, ale że kryje się za tym coś innego, jakaś nagła potrzeba, której źródła nie rozumiała.

Dowiemy się na wiosnę, powiedział Devin, wzruszając ramionami. Zgromiła go wzrokiem, jakby jego spokój osobiście ją obrażał.

Na początku zimy Catriana zaproponowała coś niesamowitego: sfingowanie jej samobójstwa w Tregei oraz zostawienie po sobie pliku wierszy, które napisał o Sandrenich młody poeta. Alessan z dziwnym smutkiem powiedział im, że miał on na imię Adreano i że, jak donosił Rovigo, to imię figurowało na liście dwunastu przypadkowych poetów straconych z rozkazu Alberico na kołach śmierci w odwecie za napisanie owych wierszy. Wiadomość ta dziwnie wytrąciła Alessana z równowagi.

Oprócz zwykłych wiadomości handlowych w liście Rovigo były i inne informacje. List czekał na nich w gospodzie w północnej Tregei, służącej licznym kupcom podróżującym po północnym wschodzie za punkt pocztowy. Jechali na południe, rozsiewając jak najwięcej pogłosek o niepokojach wśród żołnierzy. W swym ostatnim sprawozdaniu Rovigo po raz drugi wspominał o możliwości rychłej podwyżki ceł, która miałaby zaspokoić najnowsze żądania płacowe najemników. Sandre, który zdawał się znać zamysły tyrana zdumiewająco dobrze, uznał to za możliwe.

Po kolacji, kiedy siedzieli sami przy ogniu, Catriana złożyła swoją propozycję. Devin nie wierzył własnym uszom – widział, jak wysokie są mosty w Tregei i nad jak wartkimi wodami są przerzucone. Poza tym była już zima i z każdym dniem robiło się coraz chłodniej.

Alessan, jeszcze przybity wieściami z Astibaru i najwyraźniej myślący o tym samym co Devin, stanowczo sprzeciwił się pomysłowi. Catriana zwróciła mu uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze wychowała się nad morzem i pływa lepiej niż którykolwiek z nich, a poza tym lepiej, niż sądzą.

Po drugie, o czym, jak powiedziała, Alessan doskonale wie, taki samobójczy skok, szczególnie w Tregei, znakomicie pasował do wszystkiego, co próbowali osiągnąć we Wschodniej Dłoni.

Jak pamiętał Devin, po krótkiej ciszy odezwał się Sandre:

„Przykro mi to mówić, ale to prawda”.

Alessan niechętnie zgodził się na rekonesans w samej Tregei, żeby bliżej przyjrzeć się rzece i mostom.

W cztery wieczory później Devin i Baerd skryli się wśród wieczornych cieni spowijających brzeg rzeki w mieście Tregea, w miejscu, które wydawało się Devinowi strasznie odległe od wybranego przez Catrianę mostu. Szczególnie na przeszywającym, zimowym wietrze, w szybko zapadającym zmroku i nad jeszcze szybciej pędzącą wodą – głęboką, czarną i zimną.

Kiedy tak czekali, Devin bezskutecznie usiłował rozwikłać plątaninę złożonych uczuć, jakie żywił względem Catriany. Był zbyt zdenerwowany.

Wiedział tylko, że kiedy podpłynęła do brzegu, dokładnie tam, gdzie na nią czekali, serce mu podskoczyło z ulgi, podziwu i zazdrości. Catriana miała nawet w rękę perukę, żeby gdzieś się nie zaplątała i nie została potem znaleziona. Devin wepchnął ją do worka, który miał ze sobą, a Baerd tymczasem energicznie rozcierał trzęsącą się z zimna Catrianę i ubierał ją w przyniesione ciepłe rzeczy. Kiedy Devin na nią spojrział – nie mogła opanować drżenia, była prawie niebieska z zimna i szczękała zębami – poczuł, że jego zazdrość znika. Zastąpiła ją duma.

Catriana pochodzi z Tigany, tak jak on. Świat może jeszcze o tym nie wie, ale wspólnie starają się – na razie okrężną drogą – przywrócić ją do życia.

Następnego ranka ich dwa wozy wytoczyły się powoli z turkotem z miasta, znowu udając się na północny zachód do Ferraut z pełnym ładunkiem górskiego khavu. Padał drobny śnieg. Leżące za nimi miasto znajdowało się w stanie potężnego zamętu z powodu nie znanej nikomu ciemnowłosej dziewczyny z distrady, która popełniła samobójstwo. Po tym wydarzeniu Devinowi w większości wypadków coraz trudniej było zwracać się do Catriany ostrym tonem czy być względem niej małostkowym. Ona natomiast co pewien czas wracała do swego zwyczaju traktowania go jak powietrze.

Trudno mu było pamiętać, że kiedyś się kochali, że naprawdę czuł na swoich ustach jej

miękkie wargi czy jej ręce w swoich włosach.

Oczywiście nigdy o tym nie rozmawiali. Nie unikał jej, ale i nie szukał. Jej nastroje zmieniały się zbyt nieprzewidywalnie i Devin nigdy nie wiedział, z jaką spotka się reakcją. Będąc od niedawna ciepłym człowiekiem, pozwalał jej siadać obok siebie na wozie czy przy ogniu w gospodzie, kiedy miała na to ochotę. Czasami ją miała.

Po raz trzeci tej zimy przyjechali do miasta Ferraut, znaleźli się na wspianym wikcie Ingonidy, wciąż nie mogącej wyjść z zachwytu nad łóżem, które jej przywieźli jesienią. Żona Taccia przejawiała szczególnie opiekuńcze uczucie do kryjącego się w ciemnej skórze Sandre. Kiedy byli sami, Alessan z niejaką przyjemnością dworował sobie na ten temat z diuka. Tymczasem pulchny, rumiany i bardzo hojny Taccio wszystkich podejmował winem.

Czekała na nich jeszcze jedna przesyłka pocztowa od Rovigo z Astibaru. Po otwarciu jej okazało się, że tym razem zawiera dwa listy, z których jeden, nawet po tak długiej podróży, roztaczał nadzwyczajną woń.

Alessan podał jasnoblękitną kopertę Devinowi, niezwykle wymownie unosząc brwi. Ingonida pisnęła radośnie i złączyła dłonie w geście niewątpliwie mającym oznaczać romantyczny zachwyty. Taccio rozpromienił się uśmiechem i dolał Devinowi wina.

Były to niewątpliwie perfumy Selyeny. Wyraz twarzy Devina, kiedy ostrożnie sięgał po kopertę, musiał wiele mówić, ponieważ Catriana nagle zachichotała. Devin bardzo uważał, żeby na nią nie spojrzeć.

Epistoła Selyeny składała się z jednego, szalonego zdania, które bardzo przypominało w charakterze jego porywczą autorkę. Była w nim jednak pewna obrazowa sugestia, która kazała Devinowi odmówić, kiedy pozostali zapytali niewinnie, czy może ich zapoznać z treścią korespondencji.

W gruncie rzeczy Devin zmuszony był przyznać, że bardziej zainteresowało go pięć linijek równego, drobnego pisma Alais pod listem od jej ojca. W dopisku tym informowała go zwięźle, że w jednej ze świątyń Adaona w Astibarze znalazła i skopiowała dla niego inną wersję Elegii dla Adaona oraz że z niecierpliwością czeka chwili, kiedy będzie się mogła nią z nimi wszystkimi podzielić przy ich następnych odwiedzinach na wschodzie. Podpisała się tylko inicjałem.

W swoim liście Rovigo donosił, że w Astibarze jest bardzo spokojnie od czasu stracenia na Wielkim Placu dwunastu poetów, którzy dołączyli do trupów rodzin konspiratorów. Ze cena zboża wciąż rośnie, że może przyjąć tyle zielonego senziańskiego wina, ile uda im się zakupić po obecnych cenach, że wszyscy się spodziewają, iż Alberico wkrótce ogłosi, który z jego dowódców otrzyma większą część skonfiskowanej ziemi Nievolenich, a najlepszą informacją była ta, że w Astibarze senziańskie wyroby Iniane wciąż są niezwykle tanie, lecz ich cena może wkrótce wzrosnąć.

Wiadomość o ziemiach Nievolenich wywołała kolejną skrzącą się pomysłami dyskusję między Alessanem i diukiem.

Iskry te doprowadziły do wybuchu ognia.

Cała piątka zrobiła szybki wypad po dobrze utrzymanym gościńcu do Senzio. Z zysku za sprzedane tam figury bogów kupili zielone wino, wytargowali trochę wyrobów z lnu – ku ich zaskoczeniu Baerd okazał się najlepszym negocjatorem w takich sprawach – i pośpiesznie wrócili do Taccia, płacąc olbrzymie nowe cła zarówno w granicznych fortach, jak i u bram miasta.

Czekał na nich kolejny list. Wśród różnych maskujących informacji handlowych Rovigo donosił, że ogłoszenie w sprawie posiadłości Nievolenich jest spodziewane pod koniec tygodnia. Dodawał, że jego źródło jest wiarygodne. List pochodził sprzed pięciu dni.

Tej nocy Alessan, Baerd i Devin pożyczyci od Taccia – który był wręcz uszczęśliwiony, że nic mu nie powiedzieli o swoich zamiarach – trzeciego konia i wyruszyli w długą drogę do granicy z Astibarem, a potem do rowu przy drodze prowadzącej do bramy Nievolenich.

Wrócili po siedmiu dniach z nowym wozem i ładunkiem surowej wiejskiej wełny, którą miał sprzedać Taccio. Wieści o pożarze wyprzedziły ich. Sandre oznajmił, że krążą one wszędzie. W mieście Ferraut było już w gospodach kilka bójek między żołnierzami Pierwszej i Drugiej Drużyny.

Zostawili nowy wóz u Taccio i odjechali, zmierzając powoli do Tregei. Nie potrzebowali aż trzech wozów. Byli współnikami w skromnym przedsięwzięciu handlowym. Skrupowani podatkami i cłami starali się ciągnąć ze swej działalności chociaż niewielkie zyski. O podatkach i cłach dużo rozmawiali w miejscach publicznych. Czasami mówili o tych sprawach bardziej szczerze, niż towarzyszący im ludzie kiedykolwiek słyszeli.

Alessan kłócił się z sardonicznym kharduńskim wojownikiem w kilkunastu przydrożnych gospodach oraz zajazdach i za każdym razem wynajmował go do ochrony. Czasami w kłótniach brał udział Devin, a czasami Baerd. Uważali, żeby swego przedstawienia nigdzie nie powtórzyć. Catriana dokładnie zapisywała, gdzie byli i co tam mówili. Devin zapewniał, że mogą polegać na jego pamięci, ale ona i tak prowadziła swoje zapiski.

W miejscach publicznych diuk nazywał się teraz Tomazem. „Sandre” było w Dłoni imieniem zbyt rzadkim, a już u najemnika z Khardhun byłoby na tyle dziwne, by stwarzać ryzyko. Devin pamiętał, że zamyślił się, kiedy jeszcze jesienią diuk oznajmił im swoje nowe imię. Zastanawiał się, jak to jest być zmuszonym zabić własnego syna. Nawet tylko go przeżyć. Wiedzieć, że wszyscy nawet najdalsi krewni zostali żywcem rozkrzyżowani na kołach śmierci Barbadoru. Usiłował sobie wyobrazić, jak z tym wszystkim można żyć.

Devinowi wydawało się w ciągu owej jesieni i zimy, że samo życie oraz to, co ono z człowiekiem robi, staje się coraz boleśniej złożone. Często w jego myślach pojawiała się

Marra, której droga do dojrzałości, do tego, kim miałyby się stać, tak arbitralnie została przecięta. Tęsknił za nią z tępyim bólem, który czasami potrafił urosnąć w ciężar trudny do udźwignięcia. Z nią można by o takich sprawach porozmawiać. Inni mieli własne troski i Devin nie chciał ich obciążać jeszcze bardziej. Zastanawiał się, czy Alais bren Rovigo zrozumiałaby to, z czym się zmagał. Chyba nie – prowadziła życie zbyt odizolowane od świata, żeby nękały ją takie myśli. Przyśniła mu się jednak pewnej nocy ciągiem niespodziewanie żywych obrazów. Następnego dnia jechał na wozie obok Catriany niezwykle cichy i poruszony jej bliskością oraz czerwienią kaskady jej włosów na tle bladego, zimowego krajobrazu.

Czasami myślał o żołnierzu w stajni Nievolenich – o żołnierzu, który przegrał rzut kośćmi i odchodząc od rozśpiewanych kompanów na samotne czuwanie, wziął ze sobą dzbanek wina, a potem zginął we śnie. Czy żołnierz ten urodził się tylko po to, by dzięki niemu Devin di Tigana mógł przejść inicjację?

Była to straszna myśl. Zastanawiając się nad nią podczas długich, zimnych godzin spędzonych w podróży, Devin w końcu doszedł do wniosku, że to nieprawda. Ów mężczyzna żył wśród ludzi. Na pewno sprawiał im przyjemność i przykrość oraz sam takowych zaznawał. Jego podróży pod świątłami Eanny, czy jakkolwiek tę podróż zwano w Imperium Barbadoru, nie określała chwila jego śmierci.

Było to jednak trudne zagadnienie. Czy Stevan z Ygrathu żył i umarł po to, żeby rozpacz jego ojca mogła zniszczyć małą prowincję, jej naród i jego wspomnienia? Czy księżę Valentin di Tigana urodził się tylko po to, by zadać śmiertelny cios, który to wszystko spowodził? A w takim razie co z jego najmłodszym synem?

I co z najmłodszym synem pewnego rolnika z Asoli, który uciekł z Avalor, kiedy zmieniło się ono w Stevanien? Doprawdy trudno się w tym wszystkim rozeznać.

Pewnego poranka w Senzio, kiedy północne powietrze łagodziły pierwsze ulotne poddmuchy wiosny, Baerd wrócił ze słynnego targu bronią z lśniącym, pięknie wyważonym mieczem dla Devina. W rękojeści był osadzony czarny klejnot. Baerd niczego nie wyjaśnił, lecz Devin wiedział, że ma to związek z wydarzeniami w stajni Nievolenich. Dar ten nie pomógł mu znaleźć odpowiedzi na żadne z jego nowych pytań, ale przydał mu się w inny sposób. Podczas popołudniowych przerw w podróży Baerd zaczął udzielać mu lekcji szermierki.

Devin martwił się o Baerda, częściowo dlatego, że martwił się o niego Alessan.

Jego pierwsze wrażenie z chaty, w której ujrzał potężnego, deprimująco spokojnego i sprawnego blondyna, okazało się w dużej mierze błędne. Baerd miał ciemne włosy i wcale nie był rostry, a chociaż jego sprawność przejawiała się w tylu dziedzinach, że nawet po pół roku mogło to nadal onieśmielać, to tak naprawdę nie był spokojny, a jedynie czujny i ostrożny. Zaskorupiony wokół bolesnej rany, z którą tak długo żył.

Devin zdał sobie sprawę, że pod pewnymi względami Alessanowi jest łatwiej. Księżę umiał

znaleźć chwilową ulgę w rozmowie, w śmiechu, a przede wszystkim i prawie zawsze w muzyce. Wydawało się, że Baerd tak nie potrafi, że porusza się w świecie bezustannie obracającym się wokół tej prawdy, że Tigana nie istnieje.

Czasami w nocy nie pozwalało mu to zasnąć lub siedzieć z nimi przy rozpalonym ognisku. Wstawał bez słowa, zwinnie i cicho, i odchodził samotnie w ciemność.

Devin patrzył wtedy na Alessana, który odprowadzał Baerda wzrokiem.

– Znałem kiedyś człowieka jak on – rzekł raz poważnie Sandre, kiedy Baerd wyszedł z ciepłego pokoju w gospodzie w mglisty, zimowy mrok. Znajdowali się wśród tregeańskich wzgórz w pobliżu Borifortu. – Musiał się oddalać, żeby zwalczyć w sobie potrzebę zabijania.

– To też pewnie miało jakieś znaczenie – odezwał się Alessan.

Zimowe myśli, nastrój zimowej nocy.

Teraz nastawa jednak wiosna. Zielonozłociste soki ziemi wznosiły się do ciepłego światła, a nastrój Devina odzwierciedlał budzenie się świata do życia.

Zaczekajcie do wiosny, powiedział Alessan wśród brązów i czerwieni jesiennych drzew oraz nagich, pozbawionych owoców winorośli.

Wiosna nadeszła, szybko zbliżały się Dni Żaru, a oni wreszcie – wreszcie! – zmierzali do Certando. Devin nie potrafił i nie chciał stłumić w sobie poczucia, które go rozpiekało niczym soki w zieleniejących lasach, że cokolwiek ma się zdarzyć, zdarzy się wkrótce.

Jadąc na drugim wozie obok Baerda, czuł się wspaniale, fantastycznie ożywiony. Odblask popołudniowego słońca na włosach jadącej przed nimi Catriany miał dziwny i pobudzający wpływ na krążenie krwi Devina. Chłopak zdawał sobie sprawę, że Baerd przygląda mu się z ciekawością, i zauważył na twarzy mężczyzny lekki uśmiech. Nie przejął się tym. Nawet się ucieszył. Baerd jest jego przyjacielem.

Devin zaczął śpiewać. Była to bardzo stara ballada podróżna, *Pieśń wędrowca*:

Daleko odjechałem od rodzinnego domu,
To jeszcze jeden wijący się szlak,
Lecz gdy słońce zajdzie, to wstaną księżyce,
A moja opowieść uleci do gwiazd...

Bez względu na nastrój Alessan prawie zawsze był gotów przyłączyć się do piosenki i oczywiście przy drugiej zwrotce Devinowi zawtórowała tregeańska fletnia. Spojrzał na jadącego obok księcia, który do niego mrugnął.

Catriana obejrzała się na nich z wyrzutem. Devin wyszczerzył zęby w uśmiechu i wzruszył ramionami, a fletnia Alessana rozśpiewała się nagle tanecznym zaproszeniem. Catrianie nie udało się powstrzymać uśmiechu. Przyłączyła się do nich w trzeciej zwrotce, a potem zaczęła

następną piosenkę.

Później, w lecie, Devin przywoływał ten obraz ich pięciorga w pierwszej godzinie długiej drogi na południe, a wspomnienie to sprawiało, że czuł się bardzo stary.

Tamtego jednak dnia był młody. W pewnym sensie wszyscy na krótko odmłodnieli – nawet Sandre, który przyjemnym barytonem wtórował im w znanych sobie refrenach. Jego nowa tożsamość pozwoliła mu na powtórne narodziny i dała nadzieję na spełnienie dawnego, nie słabnącego marzenia.

Devin przejął trzecią piosenkę od Catriany i wypuścił swój wysoki, czysty głos daleko przed nich, by prowadził ich po zalanym słońcem, krętym szlaku do Certando, ku pani na zamku Borso, kimkolwiek była, i ku temu, co Alessan musiał znaleźć na wyżynie.

Najpierw jednak tuż przed zachodem słońca doścignęli pewnego podróżnego.

Nie było w tym nic dziwnego. Znajdowali się jeszcze w Ferraut, w zaludnionym regionie leżącym na północ od fortu Ciorone, gdzie ruchliwe gościńce z Tregei i Corte krzyżowały się z drogą biegnącą z północy na południe, którą podążali. Z drugiej strony, samotnych podróżnych spotykało się na tyle rzadko, by Devin za przykładem Baerda zaczął przepatrywać skraj drogi w poszukiwaniu zaczajonych ludzi.

Była to rutynowa ostrożność, bo znajdowali się w kraju, gdzie nie grasowało wielu złodziei, a tak czy owak, było jeszcze jasno. Kiedy zbliżyli się do podróżnego, Devin zauważył, że przez plecy ma on przewieszoną małą harfę. Trubadur. Devin uśmiechnął się – prawie zawsze stanowili oni dobre towarzystwo.

Mężczyzna odwrócił się i zaczekał, aż go dogonią. Catrianie, która zatrzymała wóz obok niego, złożył głęboki ukłon z takim dworskim wdziękiem, że na pustej drodze wydawało się to humorystyczne.

– Słuchałem cię z przyjemnością przez ostatnią milę – powiedział, wyprostowując się. – Muszę przyznać, że twój widok sprawia mi przyjemność jeszcze większą.

Był wysokim, już niemłodym mężczyzną o długich, siwiejących włosach i bystrych oczach. Obdarzył Catrianę słynnym uśmiechem trubadurów Dłoni. W jego ogorzałej twarzy błysnęły białe i równe zęby.

– Idziesz na południe z wiosną? – zapytała, kwitując jego pochlebstwo uprzejmym uśmiechem. – Starą trasą?

– I owszem – odparł. – Starą trasą o zwykłej porze. Nie chciałbym mówić komuś tak młodemu i pięknemu jak ty, ile to już lat tak robię.

Devin zeskoczył ze swego miejsca na wozie obok Baerda i podszedł do mężczyzny, żeby coś sprawdzić.

– Mógłbym się pewnie tego domyślić – rzekł z uśmiechem – bo chyba cię pamiętam. Razem obsługiwaliśmy kiedyś ceremonie ślubne w Certando. Czy dwa lata temu nie grałeś na harfie

u Burneta di Corte?

Ostre spojrzenie otaksowało go od stóp do głów.

– Grałem – przyznał po chwili trubadur. – Nazywam się Erlein di Senzio i rzeczywiście przez jeden sezon grałem u przeklętego Burneta. Oszukał mnie na zarobkach, więc stwierdziłem, że lepiej mi będzie samemu, jak przedtem. Tak mi się wydawało, że słyszę za sobą jakichś zawodowców. Jak się nazywasz?

– Devin d’Asoli. – Kłamstwo przyszło mu z łatwością. – Przez kilka lat śpiewałem u Menico di Ferraut.

– A teraz najwyraźniej przerzuciłeś się na coś lepszego – rzekł Erlein, rzucając okiem na ich wyładowane wozy. – Czy Menico nadal występuje? Przytył jeszcze bardziej?

– Tak, i jest to odpowiedź na oba pytania – odparł Devin z ukrytym poczuciem winy, które zawsze go nawiedzało na myśl o byłym pryncypale. – Podobnie jak Burnet.

– Zaraza na niego – powiedział łagodnie Erlein. – Jest mi winien pieniądze.

– No cóż – odezwał się Alessan, patrząc na trubadura z wysokości siodła – na to nic nie możemy poradzić, ale jeśli chcesz, to możemy cię podwieźć do Ciorone i jakiegoś łóżka przed gaszeniem świateł. Możesz jechać z Baerdem – dodał szybko, widząc, że Erlein zerknął na puste miejsce obok Catriany.

– Byłbym głęboko wdzięczny... – zaczął Erlein.

– Nie podoba mi się fort Ciorone – wtrącił nagle Sandre. – Oszukują tam ludzi i zbyt wiele osób dowiaduje się o wiezionym towarze i celu podróży. Zbyt wiele niewłaściwych osób. Noc będzie ciepła – chyba lepiej nam będzie tutaj.

Devin spojrział z zaskoczeniem na diuka, który nigdy przedtem nie wyrażał podobnych opinii.

– Doprawdy, Tomazie, nie rozumiem, dlaczego... – zaczął Alessan.

– Wynająłeś mnie, kupcze – powiedział przeciągle Sandre. – Chciałeś, żebym dla ciebie pracował i właśnie to robię. Jak nie chcesz moich rad, to mi zapłać, a ja sobie znajdę kogoś, kto mnie będzie słuchał. – Oczy płonęły mu w czarnej twarzy.

Mówił zaś tonem, który doskonale rozumieli. Cokolwiek to było, Sandre wiedział, co robi.

– Trochę grzeczności, jeśli łaska – warknął Alessan, zawracając konia do diuka. – Bo rzeczywiście cię zwolnię i będziesz musiał znaleźć sobie innego idiotę, który wytrzyma z takim starcem. Udało mi się – ciągnął, zwróciwszy konia z powrotem do Erleina – znaleźć najbardziej aroganckiego Khardhu, jaki przemierzał gościńce Dłoni.

– Oni wszyscy są arogancy – rzekł trubadur, potrząsając głową. – To idzie w parze z zakrzywionymi mieczami.

Alessan roześmiał się, a Devin poszedł za jego przykładem.

– Do zapadnięcia zmroku została jeszcze dobra godzina – odezwał się swarliwie Baerd. –

Możemy z łatwością dojechać do fortu. Dlaczego mamy spać na ziemi?

Alessan westchnął.

– Wiem. Przykro mi. W przeciwieństwie do Tomaza my jesteśmy w tym nowicjuszami. Chyba powinniśmy go słuchać, bo inaczej zmarnujemy wypłacane mu pieniądze, prawda? – Znow spjrzał na Erleina i wzruszył ramionami. – Nici z twojej przejażdżki do Ciorone.

– Nie można stracić tego, czego się nigdy nie miało – powiedział z uśmiechem trubadur. – Poradzę sobie.

– Zapraszamy do naszego ogniska – wtrącił się Devin, mając nadzieję, że właściwie odczytał krótkie spojrzenie diuka. Wciąż nie był pewien, do czego zmierza Sandre.

Erlein, o dziwo, zaczerwienił się i wyglądał na nieco skrępowanego.

– Dziękuję ci za to, lecz nie mam ze sobą nic, co mógłbym dołożyć do stołu lub ognia.

– Rzeczywiście od dawna przemierzasz drogi – rzekł Sandre spokojniejszym tonem. – Od lat nie słyszałem, żeby ktoś urodzony w Dłoni posługiwał się tym wyrażeniem. Zaginęła już ta tradycja.

– Masz przecież harfę, prawda? – Catriana odezwała się swym najśłodszy glosem w idealnym momencie. Przez chwilę patrzyła wprost na Erleina, po czym znów skromnie spuściła oczy.

– Owszem – powiedział po chwili trubadur, potwierdzając oczywistą rzecz. Pożerał Catrianę wzrokiem.

– A zatem wcale nie masz pustych rąk – stwierdził zwięźle Alessan. – Jak słyszałeś, Devin i moja siostra śpiewają, a ja potrafię trochę grać na fletni. Po kolacji pod gwiazdami harfa dobrze zabrzmiała.

– Nie mów nic więcej – rzekł Erlein. – Będziecie o wiele lepszym towarzystwem niż moje usta głoszące mądrości, które mogą słyszeć tylko moje własne uszy.

Alessan znów się roześmiał.

– Tam dalej na zachód są jakieś drzewa, a za nimi strumień, o ile dobrze pamiętam – rzekł Sandre. – To dobre miejsce na biwak.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Erlein di Senzio wskoczył na wóz i usadowił się obok Catriany. W odpowiedzi na ukryty, nagły gest Sandre Devin zamknął szeroko otwarte usta.

Catriana zjechała z drogi i poprowadziła ich ku zachodowi, do drzew wskazanych przez diuka. Devin usłyszał, jak chichocze z czegoś, co powiedział trubadur.

Patrzył jednak na Sandre. Podobnie jak Baerd i Alessan. Diuk spjrzał na Erleina, który siedział plecami do czwórki mężczyzn, po czym na chwilę uniósł lewą dłoń ze starannie zagiętymi do dołu trzecim i czwartym palcem. Popatrzył z rozmysłem na Alessana, a potem na siedzącego obok Catriany mężczyznę.

– Devin nic nie rozumiał. Przysięga?, pomyślał skonsternowany.

Sandre opuścił dłoń, lecz nie odrywał wzroku od oczu księcia. Było w nim coś dziwnego, jakby wyzwanie. Alessan nagle pobladł.

W tej chwili Devin zrozumiał.

– Och, Adaonie – szepnął Baerd. Devin wskoczył na wóz obok niego. – Nie wierzę!

Devin też nie wierzył.

Sandre zupełnie wyraźnie im mówił, że Erlein di Senzio jest czarodziejem. Czarodziejem, który przez obcięcie dwóch palców połączył się z magią Dłoni.

A Alessan di Tigana bar Valentin był księciem krwi. Co oznaczało, jeśli stara legenda o Adaonie i Micaeli była prawdziwa, że może związać ze sobą czarodzieja, zmuszając go w ten sposób do służby. Jesienią w swojej chacie Sandre w to nie wierzył. Devin jednak pamiętał.

Teraz diuk dawał Alessanowi szansę. Wyjaśniało to widoczne w jego oczach wyzwanie.

Szanse albo przynajmniej początek szansy. Myśląc tak szybko, jak nigdy w życiu, Devin zwrócił się cicho do Baerda:

– Kiedy dojedziemy na miejsce, uważaj na mnie. Mam pewien pomysł. – Dopiero później miał czas zastanowić się, jakie zmiany przyniosło te pół roku. Tylko sześć miesięcy, od jednych Dni Żaru do drugich. Żeby tak mówić do Baerda, mówić i być wysłuchanym...

Rzeczywiście był tam strumień, tak jak pamiętał czy domyślał się Sandre. Zatrzymali wozy niedaleko jego brzegów. Zaczęli zwykłe wieczorne czynności. Catriana zajęła się końmi, Devin drewnem na ognisko. Alessan i diuk rozłożyli posłania, przybory kuchenne i żywność.

Baerd wziął łuk i zniknął wśród drzew. Wrócił po zaledwie dwudziestu minutach z trzema królikami i tłustym, bezskrzydłym grelem.

– Jestem pod wrażeniem – odezwał się Erlein, szeroko otwierając oczy. Trzymał się blisko Catriany i koni. – Jestem pod wielkim wrażeniem.

– Kupuję twoją późniejszą muzykę – powiedział Baerd z rzadkim u niego uśmiechem. Takim, jaki zwykle zachowywał dla handlarzy, z którymi targował się na jarmarkach.

Devin obserwował Erleina tak skrycie, jak tylko potrafił. Kiedy udawało mu się skupić na lewej dłoni trubadura – która zdawała się nigdy nie pozostawać w spoczynku dłużej niż kilka sekund – to rzeczywiście zauważał dziwne zamazanie czy zmętnienie powietrza wokół niej.

Czekał na powrót Baerda i teraz mógł już działać.

– Wiesz co – powiedział, uśmiechając się do powracającego myśliwego – ty sam wyglądasz jak coś, na co powinno się zapolować. Przerazisz każdego napotkanego cywilizowanego kupca. Trzeba ci obciąć włosy, przyjacielu, bo inaczej nie wejdiesz do żadnego towarzystwa.

Baerd zorientował się bardzo szybko.

– Lepiej tyle nie gadaj, hultaju – odgryzł się, rzucając swą zdobycz siedzącemu przy stercie opału Sandre. – Spójrz na siebie. A może specjalnie chcesz tak wyglądać, żeby odstraszyć Alienor w Borso?

Alessan roześmiał się. Erlein mu zawtórował.

– Alienor nic nie odstraszy – powiedział trubadur, krztusząc się ze śmiechu. – A ten mały jest akurat w odpowiednim wieku dla niej.

– Co to znaczy „w odpowiednim wieku”? – zapytał z szelmowskim uśmiechem Alessan. – Wystarczy, żeby skończył dwanaście lat i nie leżał w grobie.

Wszyscy mężczyźni głośno się roześmiali.

– Nie podoba mi się to – odezwała się sztywno Catriana.

– Przepraszam – powiedział Alessan, usiłując zachować poważny wyraz twarzy. Catriana stanęła przed nim, ujawszy się mocno pod boki.

– Nie mówisz tego szczerze, a powinieś! – skarciła go. – Doskonale wiesz, że nie lubię takiego gadania. Jak coś takiego, według ciebie, świadczy o mnie? Robisz to tylko wtedy, kiedy nie masz zajęcia. Zrób coś pożytecznego. Obetnij Devinowi włosy. Wygląda okropnie, gorzej nawet niż zwykle.

– Ja? – piskliwym tonem zaprotestował Devin. – Obciąć mi włosy? O co ci chodzi? Mówimy o Baerdzie, nie o mnie! A co z nim? To przecież on...

– Wszystkim wam przydałyby się postrzyżyny – oznajmiła Catriana stanowczo, nie dając im możliwości sprzeciwu. Jej zimne, badawcze spojrzenie przez sekundę spoczęło na kudłatej czuprynie Erleina. Otworzyła usta, zawahała się i zamknęła je, wspaniale udając uprzejme wahanie. Erlein zaczerwienił się. Prawą ręką niezdarnie pociągnął za opadające na ramiona kosmyki.

W lewej dłoni bez przerwy przekładał kilka kamyków znalezionych nad strumieniem.

– Chyba właśnie obraziłaś naszego gościa – powiedział złośliwie Devin. – Pewnie nie czuje się tu bardzo mile widziany.

– Nie powiedziałam ani słowa, Devinie – wybuchnęła.

– Nie musiałaś – rzekł ze smutkiem Erlein. – Te wspaniałe oczy nie były szczególnie zachwycone tym, co zobaczyły.

– Oczy mojej siostry prawie nigdy nie są zachwycone tym, co widzą – mruknął Alessan. Kuczał przy jednym z pakunków i po krótkim poszukiwaniu wyciągnął z niego nożyczki i grzebień. – Dostałem dosyć wyraźne polecenie. Zostało jeszcze pół godziny światła. Kto ma być pierwszą ofiarą?

– Ja – powiedział szybko Baerd. – Nie ma mowy, żebym dał ci się dotknąć po zmroku.

Erlein patrzył z ciekawością, jak Alessan prowadzi Baerda do dużego kamienia nad strumieniem i bardzo sprawnie zaczyna przycinać mu włosy. Catriana wróciła do koni, lecz po drodze rzuciła Erleinowi szybkie, enigmatyczne spojrzenie.

Sandre ułożył opał przy ognisku w równą stertę i zaczął oprawiać króliki i greła, nucąc coś niemelodyjnie pod nosem.

– Przynieś jeszcze drewna, chłopcze – powiedział nagle do Devina, nie podnosząc wzroku. Znakomite zagranie.

Och, Moriano, pomyślał Devin, czując nagły, oszałamiający przyływ podniecenia i dumy. Jacy oni wszyscy są świetni.

– Później – odparł lakonicznie, rozciągając się swobodnie na ziemi. – Na razie nam wystarczy, a ja jestem następny.

– Nic z tego – zawołał znad strumienia Alessan, podejmując zagranie Sandre. – Przynieś chrustu, Devinie. Zabraknie światła, żeby ostrzyc was trzech. Do ciebie wezmę się jutro, a jeśli Erlein zechce, to ostrzygę go teraz. Catriana będzie musiała wytrzymać twój straszny widok jeszcze przez jeden wieczór.

– Jakby podcięcie włosów mogło coś zmienić! – zawołała z przeciwnej strony polany. Erlein i Baerd roześmiali się.

Pomrukując, Devin wstał i powłókł się w kierunku drzew. Usłyszał za sobą głos Erleina.

– Będę ci wdzięczny – powiedział trubadur do Alessana. – Nie chciałbym, żeby jakaś inna kobieta spojrzała na mnie tak jak twoja siostra.

– Nie zwracaj na nią uwagi. – Wracając do ognia, Devin usłyszał śmiech Baerda.

– Na nią nie można nie zwracać uwagi – stwierdził Erlein głosem, który miał dobiec do miejsca, gdzie były przywiązane konie. Wstał i podszedł nad brzeg wody. Usiadł na głazie przed Alessanem. Czerwony dysk słońca opadał za strumieniem.

Niosąc naręczę drewna, Devin w wydłużających się cieniach zatoczył koło do miejsca, gdzie wśród koni stała Catriana. Usłyszała jego kroki, lecz nie przerywała czyszczenia gniadej klaczy. Nie spuszczała wzroku z dwóch mężczyzn nad wodą.

Podobnie jak Devin. Kiedy patrzył zmrużonymi oczyma w zachodzące słońce, wydało mu się, że Alessan i trubadur stali się posągami w jakimś ponadczasowym krajobrazie. W ciszy zapadającego zmroku ich głosy niosły się z nienaturalną czystością.

– Kiedy strzygłeś się po raz ostatni? – usłyszał zdawkowe pytanie Alessana. Jego nożyczki migały wśród długich, siwych splotów włosów Erleina.

– Nie pamiętam – wyznał trubadur. – No cóż – roześmiał się Alessan, pochylając się, żeby zmoczyć grzebień w strumieniu – w podróży nie musimy tak dokładnie trzymać się dworskiej mody. Pochyl trochę głowę. Tak, dobrze. Zaczesujesz je na bok czy do tyłu?

– Wolę do tyłu.

– Świetnie. – Dłonie Alessana powędrowały na czubek głowy Erleina, a nożyczki odbiły ostatnie promienie słońca. – To staromodny styl, ale trubadurzy mają wyglądać staromodnie, prawda? To część ich uroku. Zostajesz związany imieniem Adaona i moim własnym. Jestem Alessan, księżę Tigany, a ty jesteś moim czarodziejem!

Devin mimowolnie postąpił krok do przodu. Zobaczył, że Erlein odruchowo próbuje się

wyrwać. Wiążąca go ręka trzymała go jednak za głowę, a nożyczki, tak jeszcze przed chwilą zajęte, były przytknięte do jego szyi. Erlein zamarł na chwilę, lecz chwila wystarczyła.

– Zaraza na ciebie! – wrzasnął Erlein, kiedy Alessan go puścił i odstał do tyłu. Czarodziej zerwał się z kamienia jak oparzony i stanął twarzą w twarz z księciem. Rysy wykrzywiała mu wściekłość.

Bojąc się o Alessana, Devin ruszył ku strumieniowi, sięgając po miecz. Po chwili zauważył, że Baerd już nałożył strzałę na cięciwę swego łuku i wymierzył ją w serce Erleina. Devin zwolnił, a potem stanął. Tuż obok niego stanął Sandre ze swym zakrzywionym mieczem. Jego twarz mignęła Devinowi przed oczyma i chociaż w zapadającym mroku chłopak nie mógł być całkowicie pewien, wydało mu się, że dostrzegł na niej strach.

Odwrócił się do dwóch mężczyzn nad strumieniem. Alessan odłożył delikatnie nożyczki i grzebień na głaz. Stał spokojnie z rękoma opuszczonymi po bokach, lecz oddychał szybko.

Erlein dosłownie trząsł się z wściekłości. Devin spojrzał na niego i doznał wrażenia, jakby opadła jakaś zasłona. W oczach czarodzieja walczyły o przewagę nienawiść i przerażenie. Usta drżały mu spazmatycznie. Uniósł lewą rękę i wymierzył ją w Alessana gestem gwałtownego zaprzeczenia.

Devin zupełnie wyraźnie dostrzegł teraz, że jego trzeci i czwarty palec rzeczywiście zostały obcięte. To dawny znak związania czarodzieja z jego magią i z Dłonią.

– Alessanie? – odezwał się Baerd.

– Wszystko w porządku. Teraz nie może użyć swej mocy wbrew mojej woli. – Głos Alessana był cichy, nieomal bezcielesny, jakby to wszystko dotyczyło kogoś zupełnie innego. Dopiero wtedy Devin pojął, że gest czarodzieja był próbą rzucenia czaru. Magia. Nigdy nie sądził, że znajdzie się tak blisko niej. Poczul ciarki na karku, i to wcale nie z powodu wieczornego wiatru.

Erlein z wolna opuścił rękę i przestał się trząść.

– Bądź przeklęty od Triady – powiedział cichym i zimnym głosem. – Niech będą przeklęte kości twych przodków, a na twoje dzieci i dzieci twoich dzieci niech spadnie nieszczęście za to, co mi zrobiłeś. – Był to głos kogoś brutalnie i ciężko skrzywdzonego.

Alessan nie wzdrygnął się ani nie odwrócił.

– Zostałem przeklęty przed prawie dziewiętnastu laty, podobnie jak moi przodkowie i wszystkie dzieci, jakie mógłbym mieć ja i mój naród. Jest to przekleństwo, którego odwołanie stanowi cel mojego życia, póki jest jeszcze czas. Tylko dlatego związałem cię z sobą.

Na twarzy Erleina malowały się straszne uczucia.

– Każdy prawdziwy książę Tigany – powiedział czarodziej z pełną goryczy pasją – od początku wiedział, jakim darem obdarzył ich bóg. Potężną władzą nad wolną, żywą duszą. Czy chociaż wiesz... – Musiał przerwać, aby odzyskać panowanie nad sobą. Twarz miał pobladłą,

pięści zaciśnięte. – Czy chociaż wiesz, jak rzadko ten dar był wykorzystywany?

– Dwa razy – odparł spokojnie Alessan. – Dwa razy, o ile wiem. Tak zapisano to w starych księgach, choć obawiam się, że wszystkie księgi spłonęły.

– Dwa razy! – powtórzył Erlein piskliwie wznoszącym się głosem. – Dwa razy w ciągu ilu pokoleń sięgających do początku zapisków na tym półwyspie? A ty, kwilące książątko, nie mające nawet ziemi, którą mogłoby rządzić, tak niedbale – złośliwie – położyłeś rękę na moim życiu!

– Nie niedbale. I właśnie dlatego, że nie mam domu. Dlatego, że Tigana umiera i zginie, jeśli czegoś nie zrobię.

– A cóż daje ci prawo dysponowania moim życiem i śmiercią?

– Mam obowiązek – odparł poważnie Alessan. – Muszę używać narzędzi, jakie mi się trafiają.

– Nie jestem narzędziem!!! – zawołał Erlein. – Jestem wolną, żyjącą duszą, która ma własne przeznaczenie!

Obserwując twarz Alessana, Devin spostrzegł, jak ten krzyk go przeszył. Przez chwilę nad strumieniem panowała cisza. Devin zobaczył, jak książę ostrożnie wciąga powietrze do płuc, jakby chwytając równowagę pod kolejnym ciężarem dołączonym do tych, które już spoczywały na jego ramionach. Kolejna kwota dodana do ceny jego krwi.

– Nie skłamię i nie powiem, że jest mi przykro – rzekł w końcu Alessan, starannie dobierając słowa. – Zbyt długo marzyłem o znalezieniu czarodzieja. Powiem natomiast – i jest to prawdą – że rozumiem, co powiedziałaś oraz dlaczego będziesz mnie nienawidził, i mogę ci powiedzieć, że boleję nad tym, czego wymaga konieczność.

– Nie wymaga ona niczego! – odparł ostrym, pełnym oburzenia głosem Erlein. – Jesteśmy wolnymi ludźmi. Zawsze istnieje jakiś wybór.

– Pewne możliwości są przed niektórymi z nas zamknięte. – Powiedział to, o dziwo, Sandre.

Postąpił do przodu i stanął nieco przed Devinem.

– A niektórzy muszą wybierać za tych, którzy nie mogą tego uczynić, czy to z braku woli, czy też siły. – Podeszedł bliżej do dwóch mężczyzn stojących nad ciemną, szybko płynącą w ciszy wodą strumienia. – Tak jak możemy postanowić nie zabić człowieka, który próbuje uśmiercić nasze dziecko, tak Alessan mógł postanowić nie związać ze sobą czarodzieja, którego mógłby potrzebować jego lud. Jego dzieci. Żadna z tych decyzji nie stanowi dla kogoś ceniącego honor prawdziwej alternatywy, Erleinie di Senzio.

– Honor! – Erlein prychnął z pogardą. – A w jaki sposób honor nakazuje związać Senzianina z losem Tigany? Jaki książę skazuje wolnego człowieka na śmierć u swego boku, a potem mówi o honorze? – Potrząsnął głową. – Nazwijmy to nagą władzą i dajmy sobie spokój.

– Nie – odparł diuk.

Zrobiło się już ciemno i Devin nie widział głęboko osadzonych oczu Sandre. Z tyłu usłyszał trzask ognia rozpalanego przez Baerda. Na granatowo-błękitnym płaszczu nieba pojawiły się pierwsze gwiazdy. Gdzieś na zachodzie, po drugiej stronie strumienia, wzdłuż linii horyzontu było widać ostatni odblask purpury.

– Nie – powtórzył Sandre. – Honor władcy i jego obowiązek zasadza się na jego trosce o jego ziemię i lud. To jedyna prawdziwa miara. Cenę za to, czy też jej część, przychodzi mu zapłacić wtedy, kiedy musi sprzeciwić się własnej duszy i uczynić rzeczy, które przejmą go bólem do szpiku kości. Coś takiego – dodał cicho – co księżę Tigany właśnie zrobił tobie.

Erlein odparł jednak głosem brzmiącym uporem i pogardą:

– A jakimże to prawem wynajęty wojownik z Khardhun ośmiela się używać słowa „honor” lub mówić o ciężarze spoczywającym na księciu? – Devin wyczuł, że Erlein chciał, by słowa zraniły starca, lecz w jego głosie dało się słyszeć niepewność i strach.

Zapadło milczenie. Za nimi ogień rozpałił się z sykiem. Pomarańczowy poblask oświetlił napięte z wściekłości rysy Erleina i posępną, ciemną twarz Sandre. Devin widział, że stojący za nimi Alessan nie poruszył się.

Sandre rzekł:

– Wojownicy khardhuńscy, których znałem, byli wielkimi znawcami honoru. Nie będę sobie jednak przypisywał w tym względzie żadnych zasług. Nie daj się oszukać – nie jestem Khardhu. Nazywam się Sandre d’Astibar, jestem byłym diukiem tej prowincji. Mam pewne pojęcie o władzy.

Erlein otworzył usta.

– Jestem też czarodziejem – dodał spokojnie Sandre. – Dlatego zostałeś rozpoznany – z powodu nieznacznego czaru, którym maskujesz swoją dłoń.

Erlein zamknął usta. Wbił wzrok w diuka, jakby chciał przeniknąć spojrzeniem jego przebranie lub znaleźć w jego głęboko osadzonych oczach potwierdzenie. Po chwili spuścił oczy, niemal wbrew własnej woli.

Sandre pokazał mu rozpostarte palce lewej dłoni. Wszystkie pięć palców.

– Nigdy nie dokonałem ostatecznego związania – rzekł. – Kiedy odnalazła mnie moja magia, miałem dwanaście lat. Byłem też spadkobiercą Tellaniego, diuka Astibaru. Dokonałem wyboru: odwróciłem się od magii i oddałem się rządzeniu ludźmi. Posłużyłem się moją znikomą mocą może pięć razy w życiu. Albo sześć – poprawił się. – Było to bardzo niedawno temu.

– A więc istniała konspiracja przeciwko Barbadiorczykowi – mruknął z rozmysłem Erlein, na chwilę zapominając o wściekłości. – A potem... tak, oczywiście. Co takiego zrobiłeś? Zabiłeś własnego syna w lochu?

– Tak. – Głos był obojętny, niczego nie zdradzał.

– Mogłeś obciąć dwa palce i sprowadzić go z powrotem.

– Być może.

Na te słowa Devin rzucił diukowi ostre, pełne zaskoczenia spojrzenie.

– Nie wiem. Ja dokonałem swego wyboru dawno temu, Erleinie di Senzio. – Wydawało się, że przy tych słowach na polance pojawił się nowy wymiar bólu, niemal widoczny na granicy blasku rzucanego przez ogień.

Erlein zmusił się do szyderczego śmiechu.

– Piękny był to wybór! Twoje dominium nie istnieje, podobnie jak twoja rodzina, a ty sam zostałeś zniewolonym czarodziejem aroganckiego Tigańczyka. Jakże musisz być szczęśliwy!

– Mylisz się – wtrącił Alessan znad strumienia.

– Jestem tu z własnego wyboru – rzekł cicho Sandre. – Sprawa Tigany jest sprawą Astibaru, Senzio i Chiary – wszyscy mamy taki sam wybór. Czy mamy umrzeć jako bezwolne ofiary, czy też walcząc o wolność? Mamy się ukrywać, tak jak ty przez te wszystkie lata? A może chociaż raz w bezrozumnej historii tego półwyspu, podzielonego na wojujące ze sobą, zapiekłe w swej dumie prowincje, przyłożymy dłoń do dłoni i wypędzimy obu najeźdźców?

Devin był głęboko poruszony. Słowa diuka dźwięczały w oświetlonej blaskiem ognia ciemności niczym wyzwanie rzucone nocy. Kiedy skończył, usłyszeli szydercze oklaski Erleina di Senzio.

– Wspaniale – powiedział z pogardą. – Doprawdy, musisz to pamiętać, kiedy znajdziesz sobie armię prostaków. Wybacz, jeśli dzisiaj nie poruszą mnie przemowy o wolności. Przed zachodem słońca byłem wolnym człowiekiem idącym szeroką drogą. Teraz jestem niewolnikiem.

– Nie byłeś wolny – wybuchnął Devin.

– A ja ci powiadam, że byłem! – warknął Erlein. – Istniały przypuszczalnie prawa ograniczające moją swobodę i sprawujący władzę rząd, na miejscu którego być może wolałbym widzieć inny. Drogi są jednak teraz bezpieczniejsze niż wtedy, kiedy w Astibarze rządził ten człowiek, a w Tiganie ojciec tego, a ja mogłem wieść życie, gdzie mi się podobało. Będziecie musieli wybaczyć mi brak wrażliwości, jeśli powiem, że czar, jaki rzucił na nazwę Tigany Brandin z Ygrathu, nie był pierwszą i ostatnią myślą w moim życiu!

– Tak zrobimy – odezwał się wtedy Alessan nienaturalnie bezbarwnym głosem. – Wszyscy ci to wybaczymy. Nie będziemy się też starali teraz wpłynąć na zmianę twoich poglądów. Tylko jedno chcę ci powiedzieć: wolność, o której mówisz, odzyskasz wtedy, gdy świat znów usłyszy imię Tigany. Mam nadzieję – być może próżną – że z czasem zaczniesz z nami współpracować z własnej woli, lecz na razie mogę powiedzieć, że wystarczy mi przymuszenie cię dzięki darowi Adaona. Mój ojciec i bracia zginęli nad Deisą, walcząc o wolność, a wraz z nimi kwiat całego pokolenia. Nie po to prowadzę tak gorzkie życie i walczę od tak dawna, żeby wysłuchiwać, jak jakiś tchórz umniejsza zniszczenie narodu i jego dziedzictwa.

– Tchórz! – zawołał Erlein. – Zaraza na ciebie, aroganckie książątko! A cóż ty możesz o tym wiedzieć?

– Tylko to, co sam mi powiedziałeś – odparł Alessan posepnie. – Mówiłeś o bezpieczniejszych drogach. O jednym rządzie tam, gdzie być może wolałbyś jakiś inny. – Postąpił w kierunku Erleina, jakby chciał go uderzyć, zaczynając w końcu tracić panowanie nad sobą. – Stanowisz najgorszy przypadek, jaki znam: dobrowolny poddany dwóch tyranów. Właśnie takie pojmowanie wolności jak twoje pozwoliło im nas pokonać. I ty nazwałeś siebie wolnym? Owszem, wolno ci było ukrywać się... i zanieczyszczać spodnie, ilekroć w promieniu dziesięciu mil od twego niewielkiego czaru ochronnego pojawiał się jakiś inny czarodziej czy któryś z Tropicieli. Wolno ci było przechodzić obok kół śmierci z gnijącymi na nich twoimi kolegami, odwracać się do nich plecami i iść dalej. Odtąd będzie inaczej, Erleinie di Senzio. Na Triadę, teraz tkwisz w tym wszystkim! Tkwisz w tym tak głęboko, jak tylko się da! Oto mój pierwszy rozkaz: masz się posługiwać swoją magią do ukrywania palców dokładnie tak jak przedtem.

– Nie – rzekł beznamiętnym tonem Erlein.

Alessan nie powiedział nic więcej. Czekał. Devin zobaczył, że diuk robi pół kroku w ich kierunku, po czym staje. Przypomniał sobie, że Sandre nie wierzył, żeby coś takiego było możliwe.

Teraz zobaczył. Wszyscy zobaczyli w świetle gwiazd i rozpalonego przez Baerda ogniska.

Erlein walczył. Nic prawie nie rozumiejąc, Devin stopniowo zdał sobie sprawę, że czarodziej toczy straszliwą walkę wewnętrzną. Dawało się to poznać po jego sztywnej, napiętej postawie i zaciśniętych zębach, usłyszeć w chrapliwym, urywanym oddechu, zobaczyć po zamkniętych oczach i gwałtownie zaciśniętych u boków pięściach.

– Nie – wydyszał Erlein raz, drugi, trzeci, za każdym razem z większym wysiłkiem. – Nie, nie, nie! – Padł na kolana niczym podcięte drzewo. Powoli schylił głowę. Zgarbił ramiona, jakby przeciwstawiał się przemożnemu atakowi. Zaczął się spazmatycznie trząść.

– Nie – powtórzył wysokim, łamiącym się szeptem. Rozłożył szeroko ręce, mocno opierając się dłońmi o ziemię. W czerwonym blasku płomieni jego twarz stanowiła maskę bólu. Mimo chłodu nocy ociekała potem. Jego usta nagle szeroko się rozwarły.

Zanim krzyk czarodzieja rozdarł noc, Devin odwrócił wzrok, powodowany litością i przerażeniem. W tej samej chwili Catriana podbiegła dwa kroki i ukryła głowę na ramieniu Devina, chwytając go za rękę.

Ten okrzyk bólu, wycie torturowanego zwierzęcia wisiało w powietrzu między ogniem i gwiazdami przerażająco długą chwilę. Devin zdał sobie sprawę z intensywności ciszy, zakłócaney jedynie pojedynczymi trzaskami ognia, cichym szmerem strumienia i chrapliwym, zduszonym sapaniem Erleina di Senzio.

Catriana bez słowa wyprostowała się i puściła rękę Devina. Popatrzył na nią, ale dziewczyna nie odwzajemniła spojrzenia. Odwrócił się do czarodzieja.

Erlein nadal klęczał przed Alessanem na młodej trawie nad brzegiem strumienia. Jego ciałem wstrząsał szloch. Kiedy uniósł głowę, Devin dostrzegł na jego twarzy ślady łez, potu i smugi błota. Erlein powoli uniósł lewą rękę i popatrzył na nią, jakby była czymś obcym, nie należącym do niego. Wszyscy zobaczyli, co się stało, albo raczej mieli tego złudzenie.

Pięć palców. Erlein rzucił czar.

Nagle krótkim i przenikliwym głosem ozwała się sowa. Jej krzyk dobiegł znad strumienia, ale z miejsca położonego gdzieś dalej na północ, bliżej drzew. Devin spojrzał w górę. Na wschodzie wzeszedł błękitny Ilarion, cofający się do sierpa. Światło duchów, pomyślał Devin i zaraz tego pożałował.

– Honor! – odezwał się ledwie słyszalnym głosem Erlein di Senzio.

Alessan nie poruszył się od chwili wydania rozkazu. Spojrzał w dół na czarodzieja, którego ze sobą związał, i powiedział cicho:

– Nie podobało mi się to, przez co musieliśmy przejść. Mam nadzieję, że jeden raz wystarczył. Zjemy coś?

Podszedł do czekającego przy ognisku Baerda, mijając po drodze Devina, diuka i Catrianę. Mięso już się piekło. Devin spostrzegł badawcze spojrzenie, które Baerd posłał Alessanowi. Odwrócił się i zdążył zobaczyć, jak Sandre wyciąga rękę do Erleina, żeby pomóc mu wstać.

Przez długą chwilę Erlein nie zwracał na niego uwagi, po czym z westchnieniem chwycił rękę diuka i wstał.

Devin poszedł za Catriana do ogniska. Usłyszał za sobą kroki obu czarodziejów.

Kolacja minęła niemal w milczeniu. Erlein wziął swój talerz i kielich, po czym skierował się w stronę głazu nad strumieniem na samej granicy blasku ognia. Spojrzawszy na jego ciemną postać, Sandre doszedł do wniosku, że ktoś młodszy od niego prawdopodobnie nie chciałby jeść.

– On potrafi utrzymać się przy życiu – dodał diuk. – Każdy czarodziej, który przeżył tak długo, musi to umieć.

– Czy będzie się dobrze czuł z nami? – zapytała cicho Catriana.

– Chyba tak – odparł Sandre, sącząc wino. Zwrócił się do Alessana. – Dzisiejszej nocy spróbuje jednak uciec.

– Wiem – powiedział książę.

– Czy go zatrzymamy? – zapytał Baerd.

Alessan potrząsnął głową.

– Ty nie. Ja to zrobię. Nie może ode mnie odejść, chyba że mu pozwolę. Jeśli go wezwę, będzie musiał wrócić. Ja go... przywiązałem do mego umysłu. To dziwne uczucie.

Rzeczywiście, dziwne, pomyślał Devin. Przeniósł wzrok z księcia na ciemną postać siedzącą nad strumieniem. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jakie to może być uczucie.

Zdał sobie sprawę, że Catriana na niego patrzy, więc odwrócił się do niej. Tym razem nie uciekła wzrokiem. Wyraz jej twarzy też był dziwny i Devin uzmysłowił sobie, że dziewczyna na pewno doświadcza tego samego poczucia niepokoju i nierzeczywistości co on. Nagle przypomniał sobie z całą mocą dotyk jej głowy na swoim ramieniu. Wtedy tak bardzo był skupiony na Erleinie, że prawie nie zwrócił na to uwagi. Spróbował uśmiechnąć się pocieszająco, ale nie sądził, żeby mu się to udało.

– Trubadurze, obiecałeś nam grę na harfie! – zawołał nagle Sandre. Siedzący w ciemności czarodziej nie odpowiedział. Devin zapomniał o muzyce. Nie bardzo miał ochotę na śpiewanie i nie sądził, żeby Catriana do tego tęskniła.

Alessan bez słowa wziął swą tregeańską fletnię i sam zaczął grać przy ogniu.

Grał pięknie, nie szafując dźwiękami i wydobywając z instrumentu melodie tak słodkie, że Devinowi wydawało się, że gwiazdy Eanny i błękitny sierp księżycy przerywają swą wędrówkę, bo nie chcą oddalić się od tak wdzięcznej muzyki.

Devin zdał sobie sprawę z tego, co robi Alessan, i nagle poczuł, że lzy cisną mu się do oczu. Nie poruszał się, żeby nie stracić panowania nad sobą, i spojrzał przez czerwien płomieni na księcia.

Alessan grał z zamkniętymi oczyma. Jego szczupła twarz z wyraźnie odcinającymi się kośćmi policzkowymi wydawała się wychudzona. W dźwięki swej fletni wlewał jakby z wotywniej świątynnej misy dręczącą go tęsknotę i swoją wielką szlachetność. Nie to jednak tak bardzo wzruszyło Devina.

Każda grana przez Alessana piosenka, każda przeszywająco czysta melodia pochodziła z Senzio.

Były to piosenki dla Erleina di Senzio, okrytego płaszczem goryczy, kryjącego się samotnie w cieniach nocy nad brzegiem strumienia.

„Nie powiem, że jest mi przykro” – powiedział czarodziejowi Alessan, kiedy zaszło słońce. „Mogę ci jednak powiedzieć, że boleję”.

Tej nocy, słuchając muzyki, którą księżę Tigany wydobywał ze swojej fletni, Devin poznał różnicę między tymi dwoma uczuciami. Popatrzył na Alessana, a potem na innych, też obserwujących księcia, i kiedy spojrzał na Baerda, poczuł, że dłużej już nie powstrzyma łez. Na wezwanie górskiej fletni wezbrał osobisty ból Devina. Żal mu było Alessana i pokonanego Erleina. Baerda, którego coś wyganiało samotnie w noc. Sandre, jego dziesięciu palców i nieżyjącego syna. Catriany i siebie samego, całego ich bezdomnego, pozbawionego korzeni pokolenia. Bolał nad tysiącnymi stratami i tym, co w poszukiwaniu zadośćuczynienia muszą robić mężczyźni i kobiety.

Catriana podeszła do bagaży, wyjęła następną butelkę wina i rozlała je do kielichów. Trzeci kielich. Jak zwykle, wino było błękitne. W milczeniu napełniła kielich Devina. Przez cały wieczór prawie się nie odzywała, lecz czuł się jej bliższy niż kiedykolwiek. Pił powoli, patrząc, jak zimny dym unosi się znad powierzchni napoju i rozplywa w chłodnym, nocnym powietrzu. Wiszące wysoko gwiazdy wyglądały niczym lodowate punkciki ognia, a księżyc był błękitny jak wino i równie odległy jak wolność czy dom.

Devin dopił wino i odstawił kielich. Sięgnął po koc, owinął się nim i położył przy ognisku. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu pomyślał o ojcu i o bliźniakach.

Po kilku chwilach niedaleko ułożyła się Catriana. Zwykle rozkładała swoje poślanie po przeciwnej stronie ogniska niż on, obok diuka. Devin był już na tyle mądry, by poznać, że w ten sposób wyciąga do niego rękę i że wieczór ten być może oznacza początek naprawiania tego, co tak nieprzyjemnie legło między nimi, lecz był zbyt wyczerpany, żeby głębiej się nad tym zastanowić.

Życzył jej cicho dobrej nocy, ale ona milczała. Nie był pewien, czy go usłyszała, lecz nie powtórzył swoich słów. Zamknął oczy. Po chwili otworzył je, żeby spojrzeć na siedzącego po drugiej stronie ognia Sandre. Diuk wpatrywał się w płomienie. Devin zastanawiał się, co w nich widział. Zastanawiał się, ale tak naprawdę nie chciał tego wiedzieć. Erlein był cieniem, stanowił ciemniejszą plamę na tle zalegających nad strumieniem ciemności. Devin uniósł się na łokciu, szukając Baerda, lecz on odszedł samotnie w noc.

Alessan nie poruszył się ani nie otworzył oczu. Kiedy Devin zasypiał, księżę samotnie grał smutne melodie.

Obudził się, czując na ramieniu mocny dotyk dłoni Baerda. Było jeszcze ciemno, a na dodatek zrobiło się dość zimno. Ogień ledwie się żarzył. Catriana i diuk spali, lecz za Baerdem stał Alessan. Był blady, ale spokojny. Devin zastanawiał się, czy księżę w ogóle się kładł.

– Potrzebna mi twoja pomoc – mruknął Baerd. – Chodź.

Devin wygrzebał się z koców i zaczął wciągać buty. Drżał z zimna. Księżyc już zaszedł. Devin spojrzął ku wschodowi, ale nad horyzontem nie zauważył ani śladu świtu. Było bardzo cicho. Sennym ruchem włożył wełnianą kamizelę, którą przysłała mu przez Taccia Alais. Nie miał pojęcia, jak długo spał ani która była godzina.

Skończył się ubierać i poszedł w drzewa nad strumieniem, żeby ulżyć pęcherzowi. W mroźnym powietrzu unosił się jego własny oddech. Chociaż wiosna już nadchodziła, nie czuło się jej w środku nocy. Niebo było czyste i pełne gwiazd. Kiedy wszędzie słońce, będzie piękny dzień. Teraz jednak Devin wiązał troczki spodni palcami sztywniejącymi z zimna. Zdał sobie sprawę, że nigdzie nie widział Erleina.

– Co się stało? – szepnął do Alessana po powrocie do obozowiska. – Mówiłeś, że możesz go przywołać.

– Tak – odparł krótko książę. Devin podszedł do niego i zobaczył, jak bardzo jest zmęczony.
– Opierał się tak mocno, że właśnie stracił przytomność. Jest gdzieś tam. – Pokazał ręką na południowy zachód.

– Chodź – powtórzył Baerd. – Weź miecz. Musieli przejść przez strumień. Lodowata woda wygnała z Devina resztki snu.

– Przepraszam – powiedział Baerd. – Poszedłbym sam, ale nie wiem, jak daleko odszedł i z czym można się spotkać w tej okolicy. Alessan chce go mieć z powrotem w obozie, zanim przyjdzie do siebie. Wydało mi się rozsądniejsze pójście we dwóch.

– W porządku – powiedział Devin, szczękając zębami.

– Powiniennem być może obudzić starego diuka. Albo mogła mi pomóc Catriana.

– Co? Nie, Baerdzie, naprawdę. Nic mi nie jest. Już...

Przerwał, ponieważ Baerd się z niego śmiał. Devin ponieważ zorientował się, że z niego żartuje. To napełniło go dziwnym ciepłem. Właściwie po raz pierwszy znalazł się sam na sam w nocy z Baerdem. Postanowił widzieć w tym kolejny poziom zaufania, przychylności. Po trosze zaczynał się coraz bardziej czuć częścią tego, co Alessan i Baerd próbowali osiągnąć od tylu lat. Wyprostował się i ruszył za Baerdem na zachód, w ciemność.

Znaleźli Erleina di Senzio na skraju rosnącej na stoku wzgórza kępy drzewek oliwnych, jakąś godzinę drogi od obozu. Devin z trudem przełknął ślinę, kiedy zobaczył, co się stało. Baerd gwizdnął cicho przez zęby. Widok nie był przyjemny.

Erlein stracił przytomność. Przywiązał się do jednego z drzewek, wiążąc na linie przynajmniej dziesięć węzłów. Baerd pochylił się i podniósł manierkę czarodzieja. Była pusta – Erlein zwilżył węzły wodą, żeby się skurczyły. Jego tobolek i nóż leżały obok na ziemi, ale tak daleko od niego, żeby nie mógł ich dosięgnąć.

Lina była postrzępiona i splątana. Wyglądało na to, że kilka węzłów zostało rozwiązanych, lecz pięć czy sześć było nienaruszonych.

– Spójrz na jego palce – powiedział ponurym tonem Baerd. Wyjął sztylet i zaczął rozcinać linę.

Erlein miał poszarpane dłonie. Pokrywała je zaschnięta krew. Było jasne, co się stało. Usiłował uniemożliwić sobie posłuchanie wezwania Alessana. Devin zastanawiał się, na co liczył. Że książę pomyśli, iż jakoś mu się udało zbiec i o nim zapomni?

Devin właściwie wątpił, czy Erleinem kierowała jakakolwiek racjonalna myśl. Po prostu akt oporu, któremu trzeba było przyznać niezaprzeczalną siłę. Pomógł Baerdowi przeciąć ostatnie więzy. Erlein oddychał, ale był nieprzytomny. Devin zdał sobie sprawę, że jego ból musiał być porażający, i w przeblýsku pamięci ujrzał powalonego na kolana, krzyczącego nad rzeką czarodzieja. Zastanawiał się, jakie krzyki usłyszała noc w tym dzikim i opuszczonym miejscu.

Patrząc na siwowłosego trubadura, poczuł dziwną mieszaninę szacunku, żalu i gniewu.

Dlaczego tak im to utrudniał? Dlaczego zmuszał Alessana do wzięcia na siebie jeszcze większego bólu?

Niestety, znał niektóre odpowiedzi na te pytania, ale nie były one pocieszające.

– Czy on spróbuje się zabić? – zapytał nagle Baerda.

– Chyba nie. Jak powiedział Sandre, on potrafi utrzymać się przy życiu. Chyba już więcej tego nie zrobi. Musiał raz uciec, żeby przekonać się, na co go stać. Ja bym zrobił to samo. – Zawahał się. – Nie spodziewałem się jednak liny.

Devin wziął rzeczy Erleina oraz łuk, kołczan i miecz Baerda. Baerd stęknawszy, zarzucił sobie nieprzytomnego czarodzieja na plecy. Ruszyli w drogę powrotną. Szli wolniej. Kiedy dotarli do strumienia, na rozpościerającym się przed nimi horyzoncie pojawiła się pierwsza szarość fałszywego świtu, przyćmiewając blask późno wschodzących gwiazd.

Inni już wstali i czekali na nich. Baerd położył Erleina przy ognisku, które Sandre zdążył rozdmuchać. Devin zostawił tobolek oraz broń i wzięwszy miskę, poszedł do strumienia po wodę. Kiedy wrócił, Catriana i diuk zaczęły myć i bandażować zmasakrowane dłonie Erleina. Rozpięli mu koszulę i podwinęli rękawy, obnażając zaczerwienione pręgi w miejscach, gdzie – chcąc się uwolnić – czarodziej napierał na więzy.

A może jest na odwrót, pomyślał ponuro Devin. Czy związanie się liną nie było wyrazem jego walki o wolność? Podniósł wzrok i zobaczył, że Alessan patrzy na Erleina. W wyrazie twarzy księcia Devin nie potrafił niczego odczytać.

Wstało słońce i wkrótce potem obudził się Erlein.

Zauważyli, że widzi, gdzie się znajduje.

– Khavu? – zapytał go niedbale Sandre. Cała piątka siedziała przy ognisku; jedli śniadanie i popijali gorący khav. Wstawał bladej delikatny świt. Lśnił i skrzył się obiecująco na wodzie strumienia i przesyczał pączki na drzewach zielonozłocistym blaskiem. Powietrze wypełniał śpiew ptaków i plusk rzucających się pstrągów.

Erlein usiadł powoli i spojrzał na nich. Potem uświadomił sobie, że na rękach ma bandaż. Zauważył osiodłane konie i gotowe do drogi, załadowane oba wozy.

Zatrzymał wzrok na twarzy Alessana. Obaj mężczyźni, tak nieprawdopodobnie ze sobą związani, patrzyli na siebie bez słowa. Wtem Alessan uśmiechnął się. Devin znał ten uśmiech. Pod jego wpływem surowa twarz księcia nabierała ciepła i rozświeślały się jego szare oczy.

– Gdybym wiedział, że tak bardzo nie znosisz tregeańskiej fletni – powiedział Alessan – daję słowo, że bym na niej nie grał.

W chwilę później Erlein di Senzio zaczął się straszliwie śmiać. Nie było w tym śmiechu radości, nic zaraźliwego, nic, czym chciałby się podzielić. Mocno zacisnął oczy, z których pociekły mu na policzki łzy.

Nikt nic nie powiedział ani się nie poruszył. Trwało to przez dłuższą chwilę. Kiedy Erlein

w końcu się uspokoił, wytarł twarz rękawem, uważając, by nie urazić zabandażowanych rąk, i spojrzał na Alessana. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie rzekł ani słowa.

– Wiem – powiedział cicho Alessan. – Naprawdę.

– Khavu? – zapytał po chwili Sandre.

Tym razem Erlein przyjął kubek, obejmując go niezdarnie owiniętymi rękoma. Niedługo potem zwinęli obóz i wyruszyli w dalszą drogę na południe.

Rozdział 10

Pięć dni później przybyli do zamku Borso. Była wigilia wiosennych Dni Żaru.

Przez całe ostatnie popołudnie Devin patrzył na góry. Każde dziecko wychowane na podmokłych nizinach Asoli byłoby zafascynowane wspaniałymi łańcuchami górskimi: Braccio tu, w Certando, Parravi na wschodzie bliżej Tregei i, chociaż Devin nigdy ich nie widział, znanymi tylko z pogłosek najwyższymi z nich wszystkich, okrytymi śniegiem Sfaroni na zachodzie, gdzie niegdyś była Tigana.

Zrobiło się już późno. Tego samego popołudnia daleko na północy pod zakrwawionym całunem w sali audiencyjnej w pałacu w Chiarze leżała martwa i poćwiartowana Isolla z Ygrathu.

Słońce zachodzące za wysunięty górski grzbiet barwiło szczyty na kolor czerwonego wina i ciemnego fioleto. Na najwyższych wierzchołkach śnieg jeszcze lśnił i błyszczał w resztkach światła. Devin widział zarys schodzącej w dół przełęczy Braccio, jednego z trzech słynnych i trudnych do pokonania przejść łączących w niektórych porach roku Półwysep Dłoni z leżącą na południu Quileią.

W dawnych czasach, zanim jeszcze w Quilei zakorzenił się matriarchat, przez góry prowadziły szlaki handlowe, a pobożne rozmyślenia wiosennych Dni Żaru zapowiadały, wraz z obietnicą ponownego otwarcia przełęczy, wzmożony ruch na tych szlakach. Miasta i warowne zamki na tutejszej wyżynie tętniły wtedy życiem. Miały duże znaczenie i silną obronę, ponieważ tam, gdzie mogła przejść karawana, mogła przejść i armia. Żaden jednak z królów Quilei nie czuł się nigdy na tyle bezpiecznie na swoim tronie, żeby poprowadzić na północ wojsko, kiedy Wysokie Kapłanki tylko czekały na jego klęskę. Tutaj, w Certando, prywatne armie dobywały miecza i strzał głównie na siebie nawzajem, wykrwawiając się w bezlitosnych walkach, które ciągnęły się przez całe pokolenia i przeszły do legendy.

A potem, przed kilkuset laty, za czasów Achisa i Pasithei, do władzy w Quilei i tak doszedł matriarchat. Pod rządami kapłanek Quileią zamknęła się niczym kwiat o zmierzchu i karawany przestały ciągnąć przełęczami.

Leżące na południu miasta skurczyły się do wielkości wioski, a jeśli ich mieszkańcy okazali się wystarczająco elastyczni i energiczni, zmieniły swój charakter i zwróciły się ku północy i innym sprawom, jak w Tiganie zrobiło Avelle wież. Tutaj, w górach Certando, potężni panowie, którzy niegdyś w swoich warownych zamkach utrzymywali lśniące przepychem dwory, stali się żywymi skamieniałościami. Ich zbrojne wypadki i walki – składające się kiedyś na bieg wydarzeń w Dłoni – zaczęły coraz bardziej tracić na znaczeniu, chociaż nie stały się przez to ani trochę mniej zażarte.

Devinowi, gdy podróżował z Menico di Ferraut, wydawało się, że co druga śpiewana przez nich ballada opowiada o jakimś panu czy młodszym synu ściganym wśród tych skał przez wrogów, o nieszczęsnych kochankach z południa rozdzielonych przez nienawiść ich ojców albo o krwawych czynach owych ojców, którzy w swych wysokich, surowych zamkach u podnóża Braccio byli nieokiełznani niczym jastrzębie.

A z tych wszystkich ballad, czy to rozbrzmiewających odgłosami bitew, pełnych krwi i palonych wiosek, czy też oplakujących rozdzielonych kochanków, którzy topili się w milczących stawach ukrytych wśród zamglonych wzgórz – z tych wszystkich ballad znów połowa, jak wydawało się Devinowi, opowiadała o klanie Borso i rozgrywała się albo w potężnym, wyniosłym i ponurym zamku Borso leżącym tuż pod przełęczą Braccio, albo w jego okolicy.

Od dłuższego już czasu nie powstawały nowe ballady, a od kiedy zniknęły zdążające do Quilei karawany, powstało ich właściwie bardzo mało. W ciągu jednak ostatnich dwóch dekad pojawiło się dużo nowych opowieści i pogłosek. Bardzo dużo. Na swój szczególny sposób Alienor z zamku Borso już za życia stała się legendą wśród przemierzających Dłoń muzyków.

A jeśli te nowe historie traktowały, wzorem starszych pieśni, o miłości, to niewiele wspólnego miały ze zboląłą młodzieżą lamentującą nad swym losem wśród omiatanych wiatrem skał, a dotyczyły raczej pewnych zmian w samym zamku Borso. Opowiadały o miękkich dywanach i gobelinach, o importowanym jedwabiu, koronkach i aksamicie oraz o budzących głębokie zakłopotanie dziełach sztuki znajdujących się w komnatach, w których twardzi mężczyźni planowali niegdyś przy ustawionych na krzyżakach stołach nocne wypadki, a niesforne psy myśliwskie walczyły o kości rzucane na pokrywające posadzkę sitowie.

Siedząc na drugim wozie obok Erleina, Devin oderwał wzrok od ostatnich błysków światła na szczytach i spojrzał na zbliżający się zamek. Był wciśnięty między wzgórz i otoczony fosą, a za nim leżała niewielka wioska. Wszystko to skryło się już w cieniu. Właśnie pierwsze okna rozjaśniały się blaskiem rozpalanego światła. Później zostaną ciemne aż do końca Dni Żaru.

– Alienor jest przyjaciółką. – Alessan wyjawiał tylko tyle. – Starą przyjaciółką.

Tyle przynajmniej było widać po tym, jak go przywitała, kiedy zarządca dworu – wysoki i zgarbiony właściciel wspaniałej, siwej brody – uroczyście wprowadził ich do wielkiej sali oświetlonej ciepłym blaskiem ognia.

Kiedy pani zamku już wyplątała swe długie palce z włosów Alessana i oderwała wargi od jego ust, okazało się, że twarz księcia nabrała niespotykanych u niego kolorów. Alienor przeciągała powitanie, lecz, co ciekawsze, i Alessanowi nie było spieszno je przerywać. Alienor cofnęła się o krok z lekkim uśmiechem i przyjrzała się jego towarzyszom.

Erleina obdarzyła skinieniem głowy.

– Witaj powtórnie, trubadurze. To już dwa lata, prawda?

– Zaiste, pani. To dla mnie zaszczyt, że mnie pamiętasz. – Ukłon Erleina przywodził na myśl dawne czasy, kiedy jeszcze nie był związany z Alessanem.

– Pamiętam, że byłeś wtedy sam. Miło mi cię widzieć w tak doborowym towarzystwie.

Erlein otworzył usta, lecz zaraz je zamknął, nic nie mówiąc. Alienor zerknęła na Alessana z błyskiem przelotnej ciekawości w bardzo ciemnych oczach.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, spojrzała na diuka. Jej twarz wyrażała coraz większą ciekawość. Przyłożyła z namysłem palec do policzka i lekko przechyliła głowę. Przebrany Sandre przyjmował to obojętnie.

– Świetna robota – rzekła Alienor z Borso tak cicho, że nie usłyszeli jej stojący przy drzwiach służący i zarządca dworu. – Przypuszczam, że dzięki Baerdowi cała Dłoń bierze cię za Khardhu. Zastanawiam się, kogo naprawdę skrywa ta powłoka. – Jej uśmiech był oszałamiający.

Devin nie wiedział, czy ma być pełen podziwu, czy się niepokoić. Po chwili dylemat ten stracił jakiegokolwiek znaczenie.

– Nie wiesz? – spytał głośno Erlein di Senzio. – Cóż za straszne przeoczenie. Pozwól mi dopełnić tej formalności. Przedstawiam ci, pani...

Nie powiedział nic więcej.

Pierwszy zareagował Devin, co później wspominał z zaskoczeniem. Co prawda zawsze był szybki, a stał najbliżej czarodzieja. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to okrócić się błyskawicznie w miejscu i z całej siły uderzyć Erleina pięścią w brzuch.

Był zaledwie o ułamek sekundy szybszy od stojącej z drugiej strony Erleina Catriany, która rzuciła się, żeby zakryć mu ręką usta. Ugodzony przez Devina czarodziej zgiął się wpół z jękiem bólu, co z kolei miało ten niezamierzony skutek, że Catriana straciła równowagę i zachwiała się. Alienor zręcznie ją podtrzymała i objęła.

Całe zamieszanie trwało może trzy sekundy.

Erlein osunął się na kolana. Devin ukląkł obok niego na puszystym dywanie. Usłyszał, jak Alienor odprawia służących.

– Jesteś głupcem! – syknął Baerd do Erleina.

– Niewątpliwie – zgodziła się Alienor, mówiąc zupełnie innym, przesadnie rozdrażnionym tonem. – Dlaczego ktokolwiek miałby pomyśleć, że chciałabym obciążać się wiedzą co do prawdziwej tożsamości przebranego khardhuńskiego wojownika? – Nadal obejmowała, zupełnie już niepotrzebnie, Catrianę. Teraz ją puściła, kwitując pośpieszne odsunięcie się dziewczyny pełnym rozbawienia uśmiechem.

– Impulsywne z ciebie stworzenie, co? – szepnęła gładkim głosem.

– Nie bardzo – rzekła buńczucznie Catriana, zatrzymując się w odległości metra.

Wargi Alienor drgnęły. Zmierzyła Catrianę wprawnym okiem od stóp do głów.

– Jestem o ciebie straszliwie zazdrosna – oznajmiła w końcu. – Nic tego nie zmieni, nawet

gdybyś obcięła sobie włosy i zaszyła oczy. Podróżujesz z takimi wspaniałymi mężczyznami!

– Naprawdę? – W głosie Catriany brzmiała obojętność, lecz jej policzki nagle pokraśniały.

– Naprawdę? – powtórzyła Alienor ostrym tonem. – Chcesz powiedzieć, że jeszcze do tego nie doszłaś? Cóż ty robisz w nocy, drogie dziecko? Oczywiście, że oni są wspaniali. Nie marnuj młodości, kochanie.

Catriana spojrzała na nią beznamiętnym wzrokiem.

– Nie sędzę, żebym ją marnowała – rzekła. – Wątpię jednak, czy mamy w tej sprawie takie same poglądy.

Devin skrzywił się, ale odpowiedź Alienor była łagodna.

– Być może nie – zgodziła się nieporuszona. – Szczerze jednak mówiąc, przypuszczam, że znalazłybyśmy u siebie więcej wspólnego, niż sobie wyobrażasz. – Przerwała na chwilę. – Być może przekonasz się także z biegiem lat, że lód jest dobry w razie śmierci i kiedy coś się kończy, a nie, kiedy się zaczyna, obojętnie, cokolwiek by to było. Wydam jednak polecenie – dodała z niezwykle uprzejmym uśmiechem. – Dostaniesz tyle koców, że nie zmarzniesz w nocy.

Erlein jęknął, odciągając uwagę Devina od kobiet. Usłyszał odpowiedź Catriany: – Dziękuję za troskę – ale nie widział jej miny. Z tonu głosu mógł się jej jednak domyślać.

Podtrzymał głowę próbującego odzyskać oddech Erleina. Alienor nie zwracała na nich uwagi. Witaa się teraz przyjaźnie z Baerdem i Devin instynktownie zauważył, że swobodnemu tonowi jej głosu odpowiada zachowanie Baerda.

– Przepraszam – szepnął do Erleina. – Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Erlein słabo machnął nie zagojoną jeszcze ręką. Uparł się przed wejściem do zamku zdjąć bandaż.

– To ja przepraszam – wysapał, bardzo tym zaskakując Devina. – Zapomniałem o służbie. – Wytarł usta wierzchem dłoni. – Niewiele zyskam dla siebie, jeśli doprowadzę do śmierci nas wszystkich. Nie tak pojmuję wolność. Podobnie jak taka pozycja nie odpowiada mojemu pojęciu godności osoby w średnim wieku. Skoro znalazłem się na podłodze dzięki tobie, to pomóż mi z łaski swojej wstać.

Devin po raz pierwszy wyczuł w głosie trubadura nutę rozbawienia. Jak powiedział Sandre, on potrafi utrzymać się przy życiu.

Pomógł czarodziejowi wstać z największym taktem, na jaki było go stać.

– Ten gwałtownik – mówił oschłym tonem Alessan – to Devin d'Asoli. Potrafi także śpiewać. Jeśli będziesz bardzo miła, to być może zaśpiewa dla ciebie.

Devin odwrócił się od Erleina, ale to, co właśnie zaszło, tak go rozproszyło, że zupełnie nie był przygotowany na spojrzenie, jakie napotkał.

Pomyślał, że to absolutnie niemożliwe, aby ta kobieta miała czterdzieści lat. Chcąc pokryć swoje zmieszanie, odruchowo złożył teatralny ukłon, którego nauczył go Menico. Miała prawie

czterdzieści lat i Devin o tym wiedział. Alienor owdowiała, dwa lata po ślubie, kiedy Comaro z Borso zginął podczas barbadiorskiego najazdu na Certando. Niedługo potem zaczęły powstawać opowieści i opisy pięknej wdowy z leżącego na południu zamku.

Nawet w przybliżeniu nie potrafiły one oddać tego, kim była wytwornie ubrana stojąca teraz przed nim kobieta. Miała ciemnogrnatową suknię, lecz o tak głębokim odcieniu, że wpadała w czerń. Natomiast zdecydowanie czarne były wysoko upięte włosy Alienor. Przytrzymał je diadem z białego złota wysadzany klejnotami. Kilka pasemek włosów opadało swobodnie, podkreślając idealny owal jej twarzy. Spod długich rzęs lśniły oczy barwy indygo, nieomal fioletowe. Kiedy Alienor spojrzała na Devina, na jej pełnych, czerwonych wargach zakwitł bardzo osobisty uśmiech.

Devin zmusił się do wytrzymania tego spojrzenia i poczuł, że jego krew burzy się niczym spieniona rzeka. Uśmiech Alienor stał się głębszy i jeszcze bardziej osobisty, jakby widziała, co się dzieje z Devinem, a jej ciemne oczy na chwilę zrobiły się jeszcze większe.

– Chyba będę musiała być bardzo miła, by w ten sposób nakłonić cię do zaśpiewania dla mnie – rzekła Alienor di Certando.

Devin zauważył – nie mógł nie zauważyć – że jej piersi są i pełne i jędrne. W głębokim wycięciu sukni migotał na tle skóry i diamentowy naszyjnik, niczym błękitnobiały płomień,

Devin, nieco zaskoczony własną reakcją, potrząsnął głową, usiłując odzyskać przytomność umysłu. To idiotyczne, skarcił się surowo. Rozpały go zasłyszane opowieści, a bogaty, działający na zmysły wystrój pokoju pobudził jego wyobraźnię. Spojrzał w górę, by zająć umysł czymś innym – i natychmiast tego pożałował.

Na suficie ktoś, komu nieobca była sztuka miłości, namalował pierwotne zespolenie Adaona z Eanną. Twarz bogini miała bardzo wyraźne rysy Alienor, a sam obraz równie wyraźnie przedstawiał moment osiągnięcia ekstazy, z której narodziły się gwiazdy.

Tło fresku rzeczywiście tworzyły rozbryzgi gwiazd. Trudno było jednak patrzeć na tło. Devin zmusił się do spuszczenia wzroku. Równowagę pomogło mu odzyskać napotkane właśnie wtedy spojrzenie Catriany, w którym z kąśliwą ironią mieszało się coś, czego nie bardzo potrafił nazwać. Mimo całej swej wspaniałej urody i bujnej grzywy rudych włosów w tej chwili Catriana wyglądała wyjątkowo młodo. Prawie jak dziecko, pomyślał Devin.

Pani na zamku Borso w każdym calu była w pełni ukształtowaną osobowością, od obutych w sandały stóp po diadem na lśniących włosach. Devin zauważył dopiero teraz, że paznokcie pomalowała na ten sam ciemnogrnatowy, niebezpieczny kolor, który miała jej suknia.

Przełknął ślinę i znów odwrócił wzrok.

– Spodziewałam się ciebie wczoraj – mówiła Alienor do Alessana. – Czekałam pięknie ubrana dla ciebie, lecz ty się nie pojawiłeś.

– Całe szczęście – mruknął z uśmiechem Alessan. – Gdybym cię ujrzał jeszcze piękniejszą,

niż jesteś dzisiaj, mógłbym nie znaleźć w sobie dość siły, by odjechać.

Uśmiechnęła się figlarnie i zwróciła do pozostałych:

– Widzicie, jak on mnie dręczy? Jest tutaj niecały kwadrans i już mówi o odjeździe. Czy zasługuję na takiego przyjaciela?

Tak się złożyło, że pytanie to zadała bezpośrednio Devinowi. Zaszło mu w gardle. Jej spojrzenie zakłócało uporządkowany przepływ poleceń z jego mózgu do języka. Spróbował się uśmiechnąć, podejrzewając, że tak powstały grymas plasuje się gdzieś między głupkowatym a idiotycznym wyrazem twarzy.

Wina, pomyślał z rozpaczą Devin. Zdecydowanie potrzebował kieliszka z jakąś skuteczną zawartością.

Jakby kierowani wyczuciem czasu subtelniejszym od wszelkich czarów, pojawili się trzej służący w błękitnej liberii. Każdy z nich niósł tacę z siedmioma kielichami. Devin zauważył, że na dwóch tacach wino jest czerwone, prawie na pewno certando.

Wino w trzecim zestawie kielichów było błękitne. Devin odwrócił się do Alessana. Książę patrzył na Alienor, jego spojrzenie wyrażało coś bardzo osobistego; mówiło o czymś, co łączyło ich dawno w przeszłości. Na chwilę zmieniła się jej mina i zachowanie, jakby przestała snuć czar uwodzicielskich pajęczyn. Devinowi, który był teraz o wiele bardziej spostrzegawczym człowiekiem niż pół roku temu, wydawało się, że dostrzegł w jej oczach cień smutku.

A potem Alienor odezwała się i Devin nabrał co do tego smutku pewności. W nieuchwytny sposób uspokoiło go to i złagodziło nastrój, jaki zapanował w pokoju.

– Nie jest to coś, o czym potrafiłabym zapomnieć – powiedziała cicho do Alessana, gestem wskazując błękitne wino.

– Ani ja, skoro tutaj się to zaczęło – odparł. Przez chwilę milczała z opuszczonymi oczyma. Po chwili nastrój minął. Kiedy Alienor podniosła wzrok, jej oczy znów lśniły.

– Mam dla ciebie zwykłą porcję listów, ale jeden z nich przyszedł bardzo niedawno – rzekła. – Przywiózł go dwa dni temu bardzo młody kapłan Eanny, który przez cały czas strasznie się mnie bał. Nie chciał nawet zostać na noc, chociaż przybył dopiero o zachodzie słońca. Sądząc po pośpiechu, z jakim odjeżdżał, musiał się obawiać, że gdyby przyjął zaproszenie na kolację, na pewno zdarłabym z niego szaty.

– A zrobiłabyś to? – zapytał z szelmowskim uśmiechem Alessan.

Alienor skrzywiła się.

– Raczej nie. Ci od Eanny rzadko są warci zachodu. Co prawda, ten był ładniutki. Właściwie jak się zastanowić, to prawie tak ładny jak Baerd.

Baerd, zupełnie nie zmieszany, tylko się uśmiechnął. Alienor patrzyła na niego kokieteryjnie. A więc on też, zauważył Devin. Była to wymiana spojrzeń mówiąca o sprawach, które łączyły ich dawno temu. Devin poczuł się nagle bardzo młody i zagubiony.

– Skąd jest ta nowa wiadomość? – zapytał Alessan.

Alienor zawahała się.

– Z Zachodu – powiedziała tylko tyle i pytająco zerknęła na pozostałych. Alessan zauważył jej spojrzenie.

– Możesz mówić swobodnie. Wszystkim tu ufam. – Postarał się nawet nie spojrzeć na Erleina. Devin natomiast popatrzył na niego, ale jeśli spodziewał się po czarodzieju jakiejś reakcji, to się rozczarował.

Alienor gestem odprawiła służących. Stary zarządca dworu wyszedł już przedtem, żeby zająć się przygotowaniem pokoi dla gości. Kiedy zostali sami, Alienor podeszła do stojącego przy jednym z czterech kominków sekretarzyka, wyjęła z szuflady zapieczętowaną kopertę i podała ją Alessanowi.

– Jest od samego Danoleona – rzekła. – Z twojej prowincji, której nazwy nie potrafię jeszcze usłyszeć ani wypowiedzieć.

Tego Devin zupełnie się nie spodziewał.

– Wybaczcie – powiedział Alessan. Podeszedł szybko do najbliższego kominka, rozdzierając po drodze kopertę. Alienor pilnie zajęła się serwowaniem czerwonego wina. Devin pociągnął długi łyk. Potem zauważył, że Baerd nie tknął swego kielicha i że wpatruje się w stojącego po drugiej stronie pokoju Alessana. Devin też na niego spojrzał. Książę skończył czytać i znieruchomiał, wpatrzony w trzaskający ogień.

– Alessanie? – odezwał się Baerd. Na dźwięk tego słowa Alienor szybko się odwróciła. Alessan nie poruszył się i sprawiał wrażenie, jakby nawet nie usłyszał.

– Alessanie? – powtórzył Baerd z niepokojem. – Co się stało?

Książę Tigany powoli odwrócił się od ognia i spojrzał na nich. A może nie na nich, poprawił się w duchu Devin. Na Baerda. Jego twarz wydawała się zimna i ponura. Lód jest dobry, kiedy coś się kończy, pomyślał mimowolnie Devin.

– Obawiam się, że list rzeczywiście jest od Danoleona. Z Sanktuarium. – Alessan mówił bezbarwnym tonem. – Moja matka jest umierająca. Jutro będę musiał wyruszyć do domu.

Beard zbladł tak mocno jak Alessan.

– A spotkanie? – zapytał. – A jutrzejsze spotkanie?

– To najpierw – odparł Alessan. – Potem, cokolwiek się zdarzy, muszę jechać do domu.

Stukanie do drzwi komnaty Devina późną nocą zaskoczyło go.

Nie spał.

– Chwileczkę – zawołał cicho i szybko włożył spodnie. Przez głowę wciągnął luźną koszulę i podeszedł do drzwi w samych tylko pończochach, krzywiąc się z zimna, kiedy musiał zejść z dywanu na kamienną posadzkę. Otworzył drzwi, mając włosy w nieładzie i czując się ogólnie

bardzo kiepsko.

W korytarzu stała sama Alienor, trzymając pojedynczą świecę, która rzucała na ściany dziwaczne, rozchwiane cienie.

– Chodź – rzekła tylko tyle. Nie uśmiechała się, a zza płomienia Devin nie widział jej oczu. Miała na sobie kremową szatę oblamowaną futrem. Była ona spięta pod szyją, lecz Devin dostrzegł pod nią wypukłość piersi. Rozpuszczone włosy Alienor spadały na jej ramiona i plecy czarną kaskadą.

Devin zawahał się, czując ponownie suchość w ustach i kompletną pustkę w głowie. Uniósł rękę, żeby przygłodzić beznadziejnie splątane włosy.

Potrząsnęła głową.

– Zostaw tak, jak są – powiedziała. Podniosła wolną dłoń z długimi, ciemnymi paznokciami i przeciągnęła nią po jego brązowych kędziarach. – Zostaw – powtórzyła i odwróciła się.

Poszedł za nią. Za nią, za pojedynczą świecą i szumem swej wzburzonej krwi; szli najpierw długim, a potem krótszym korytarzem, przez skracającą amfiladę pustych komnat reprezentacyjnych, a potem w górę kręconymi schodami. U ich szczytu zza otwartych drzwi wylewało się pomarańczowe światło. Devin przekroczył te drzwi, idąc za panią na zamku Borso. Zdażył zauważyć trzaskający na kominku ogień, kosztowne gobeliny o skomplikowanych wzorach wiszące na ścianach, mnogość grubych dywanów na posadzce i szerokie łoże z baldachimem, zarzucone poduszkami wszystkich kolorów i wielkości. Leżący przy kominku smukły, szary pies myśliwski spojrzał na Devina, lecz się nie podniósł.

Alienor postawiła świecę. Zamknęła drzwi i odwróciła się do Devina, opierając się plecami o wypolerowane drewno. Jej oczy były olbrzymie i niesamowicie czarne. Devin czuł, że serce wali mu jak młotem. Słyszał szum krążącej w żyłach krwi.

– Płonę – rzekła Alienor.

Jakaś jego cząstka, w której przebywał zmysł proporcji i materializowała się ironia, chciała zaprotestować, a nawet okazać rozbawienie na takie dictum. Kiedy jednak na nią spojrzał, zauważył jej przyśpieszony, płytki oddech, dostrzegł głęboki rumieniec... jego dłoń uniosła się jakby kierowana własną wolą i dotknęła policzka Alienor.

Był rozpalony.

Z gardłowym pomrukiem Alienor chwyciła Devina za rękę i zatopiła zęby w jego dłoni.

Wraz z bólem Devin poczuł przyływ takiego pożądania, jakiego nie zaznał w całym swym życiu. Usłyszał dziwnie zniekształcony dźwięk i zdał sobie sprawę, że sam go wydał. Postąpił pół kroku do przodu i Alienor nagle znalazła się w jego ramionach. Palcami wpiła mu się we włosy, a ustami w wargi z chciwością, z pożądaniem, które rozdmuchało rodzący się żar jego własnego pragnienia do punktu, gdzie świadomość umyka i unosi się bardzo daleko.

Zaczął szarpać zapinki przy jej szacie i wtulił twarz między uwolnione piersi Alienor.

Westchnęła i zdarła z niego koszulę. Poczuł, jak jej paznokcie orzą mu skórę na plecach. Przekrzywił głowę i ugryzł Alienor. Poczuł smak krwi, a potem usłyszał śmiech kobiety.

Nigdy przedtem nie zrobił czegoś takiego. W jakiś sposób znaleźli się na łożu wśród barwnych poduszek. Naga Alienor nachyliła się nad nim, biorąc w siebie jego męskość i zatapiając wargi w jego ustach. W tym szaleństwie odrzucili od siebie cały świat. Chcieli odrzucić go jak najdalej.

Przez chwilę Devin myślał, że rozumie. W instynktownym przeblysku najgłębszych pokładów intuicji pomyślał, że pojmuje, dlaczego Alienor to robi. Ze pojmuje istotę jej potrzeby, która nie była tym, czym się wydawała. Gdyby miał jeszcze jedną chwilę, jakieś spokojne miejsce na firmamencie, to mógłby spróbować ją nazwać, dać ramy rozmytej świadomości. Spróbował...

Krzyknęła, upojona ekstatyczną rozkoszą. Przesunęła dłońmi w dół po jego ciele. Pożądanie zaćmiło myśl, jakiegokolwiek dążenie do myśli. Mocnym skrętem ciała Devin rzucił Alienor na bok i znalazł się nad nią, ani na chwilę nie opuszczając ciepłego schronienia między jej udami. Rozrzucili wokół siebie poduszki, niektóre z nich spadły na podłogę. Alienor zacisnęła powieki i bezgłośnie coś szeptała.

Kiedy minął spazm wielkiej rozkoszy, leżał drżący i opadły z sił, niepomny na to, gdzie się znajduje, resztką świadomości trwając przy swoim imieniu.

Usłyszał, jak Alienor szepcze je miękko raz po raz. Delikatnie wysunęła się spod niego. Nie otwierając oczu, przetoczył się na plecy. Poczuł na skórze jej palce. Bawiła się jego rękoma, pieszcząc je i rozkładając na boki. Palce i wargi tańczyły po jego piersi, brzuchu, zaspokojonej męskości, po całym ciele.

Zanim się zorientował, co z nim zrobiła, leżał rozkrzyżowany pod nią, z rękoma i nogami przywiązanymi do czterech wsporników baldachimu. Otworzył oczy, zaskoczony i zaniepokojony. Szarpnął się. Na próżno – krępowały go więzy z wielekroć owiniętego i zasupłanego jedwabnego sznura.

– To – rzekła Alienor schrypniętym głosem – był cudowny początek nocy. Chcesz, żebym cię teraz czegoś nauczyła? – Była naga i wspaniała, zarumieniona i poznaczona śladami jego namiętności. Sięgnęła ręką po jakiś przedmiot leżący na podłodze obok łoża. Na jego widok Devin szeroko otworzył oczy.

– Wiążesz mnie wbrew mojej woli – powiedział prawie rozpaczliwym tonem. – Nie tak wyobrażam sobie złączenie się w miłości. – Ponownie szarpnął ramionami i biodrami, lecz jedwabne więzy nie puszczały.

W odpowiedzi Alienor promiennie się uśmiechnęła. Była w tej chwili piękniejsza, niż potrafiłby sobie kiedykolwiek wyobrazić. W jej ciemnych, przepastnych oczach budziło się coś pierwotnego, niebezpiecznego i przerażająco podniecającego. Nieprawdopodobnie szybko Devin

poczuł pulsowanie przyrodzenia. Dostrzegła to. Jej uśmiech się pogłębił. Długim paznokciem lekko, prawie z zadumą przeciągnęła wzdłuż jego nabrzmiewającej męskości.

– Zmienisz zdanie – mruknęła jego ciemna pani, pani na zamku Borso. Rozchyliła wargi, ukazując ostre, białe zęby. Kiedy znów go okraczała, zauważył napiętą jędrność jej sutek. Zobaczył, jak się bawi tym, co podniosła z dywanu przed łóżem. Leżący za nią przy kominku wilczarz uniósł szlachetną głowę, obserwując ludzi.

– Zmienisz zdanie – powtórzyła Alienor. – Zaufaj mi. Nauczę cię i pokażę ci to, a potem to, i niedługo właśnie tak będziesz sobie wyobrażał złączenie dwojga ludzi. O, tak, Devinie, już bardzo niedługo.

Poruszyła się na jego ciele. Na skórze odbił się blask świecy, lecz kiedy opuściła się niżej, przesłoniła go. Devin zaczął się szamotać, ale tylko przez chwilę, bo serce znów mu mocno biło i zawładnęło nim pożądanie, podobnie jak u Alienor; znów zbudziły się jej własne, złożone potrzeby, widoczne w mrocznej głębi oczu – póki ich nie zamknęła; w jej ruchach nad nim i w chrapliwym, urywanym, coraz szybszym oddechu.

Zanim skończyła się ta noc, zanim minęła jej połowa i wypaliły się ostatnie zimowe świece, ku jego przerażeniu Alienor po wielokroć udowodniła mu, że ma rację. Co więcej, pod koniec to ona leżała związana i otwarta między czterema podporami świata, którym było jej łóże, a Devin nie był już pewien, kim jest, że robi z nią to, co robi. To, od czego wyszeptywała, a potem raz po raz wykrzykiwała jego imię. Wiedział jednak, że go zmieniła i że znalazła u niego potrzebę zapomnienia się równą jej potrzebie.

Stojąca z jego strony łoża świeca wypaliła się w jakiś czas potem. Uniosła się z niej wonna smużka dymu. Rozkład światła i cieni w komnacie zmienił się. Żadne z nich nie spało i oboje to zauważyli. Ogień przygasł do żaru. Pies nadal leżał przed kominkiem, złożony swą wspaniałą głowę na wyciągniętych łapach.

– Lepiej już idź – odezwała się Alienor, głaszcząc go z roztargnieniem po ramieniu. – Póki jest jeszcze dla ciebie świeca. Łatwo się tu w ciemnościach zgubić.

– Przestrzegasz Dni Żaru? – zapytał nieco zaskoczony taką pobożnością. – Żadnego ognia?

– Żadnego ognia – potwierdziła ze smutkiem. – Odeszłaby ode mnie połowa służby, a nie chcę nawet myśleć, co zrobiliby dzierżawcy czy wieśniacy. Chyba zdobyliby zamek albo sprowadzili jakąś dawną klątwę, zanurzając we krwi kłosa zboża. To są południowe wyżyny, Devinie – tu obrzędy traktuje się poważnie.

– Tak jak ty swoje?

Uśmiechnęła się na to i przeciągnęła kocim ruchem.

– Chyba tak. Wieśniacy dzisiaj w nocy i jutro będą robić rzeczy, o których wolę nic nie wiedzieć.

Płynnym ruchem wychyliła się z łoża i sięgnęła po coś leżącego na dywanie. Blask świecy oświetlał gładkie, białe krągłości jej ciała, na którym wciąż odznaczały się czerwienią ślady pozostawione przez paznokcie Devina.

Wyprostowała się i podała mu spodnie. Wyglądało to na odprawę i Devin posłał jej długie spojrzenie, nie ruszając się z miejsca. Wytrzymała jego wzrok, lecz w jej oczach nie było ani twardości, ani chęci pozbycia się go.

– Nie gniewaj się – powiedziała cicho. – Byłeś zbyt wspaniały, żeby odchodzić w gniewie. Mówię prawdę: przestrzegam obrzędów Żaru i trudno ci będzie znaleźć drogę powrotną bez światła. – Zawahała się i dodała po chwili: – Od śmierci mego męża zawsze sypiam sama.

Devin nic nie powiedział. Wstał i ubrał się. Koszulę, tak podartą, że powinno to być aż śmieszne, znalazł w połowie drogi między łożem i drzwiami. Nie było mu jednak do śmiechu. W gruncie rzeczy był zły, a może odczuwał coś mocniejszego od gniewu lub mu równorzędnego, coś bardziej złożonego. Leżąc naga i odkryta wśród porzucanych poduszek, Alienor patrzyła, jak Devin się ubiera. Spojrzał na nią, wciąż zachwycając się kocią giętkością jej ciała, a nawet – mimo zmiany nastroju – zdając sobie sprawę, z jaką łatwością znów mogłaby rozpalić w nim pożądanie.

Jednak kiedy na nią patrzył, uderzyła go uśpiona dotąd myśl, która wyłoniła się z miejsca, do którego w prymitywnym szale ostatnich kilku godzin został zapędzony rozum. Ułożył koszulę najlepiej, jak potrafił, i podszedł do mosiężnego świecznika, żeby wziąć z niego jedną ze świec. Alienor obróciła się na bok, żeby widzieć jego ruchy. Z głową podpartą na dłoni i czarnymi włosami rozsypanymi wokół niej oferowała jego oczom swe ciało jako dar, cudowny obraz w migotliwym świetle. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma z wręcz łagodnym uśmiechem.

– Dobranoc – powiedziała. – Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale jeśli kiedyś zechcesz tu przyjść, będziesz mile widziany.

Tego się nie spodziewał. Intuicja podpowiedziała, że tym zaproszeniem Alienor wyraża mu swe uznanie. Jego poprzednia myśl, jego niepokój nabrały jednak teraz mocy i zmieszały się z innymi obrazami, tak że chociaż uśmiechnął się w odpowiedzi i skinął głową, nie czuł się ani dumny, ani zaszczycony.

– Dobranoc – powiedział i odwrócił się, by wyjść. Przy drzwiach zatrzymał się i – tak ze względu na zapamiętane słowa Alessana, że rytuał błękitnego wina zaczął się od niej, jak i z wszelkich innych powodów znanych mu wtedy czy później – odwrócił się do Alienor. Nie poruszyła się. Patrzył, napawając się bogactwem komnaty i urodą leżącej na łóżku kobiety. W drugim końcu pokoju właśnie dogasła kolejna świeca.

– Czy to właśnie dzieje się z nami? – spytał wtedy cicho Devin, szukając słów do ujęcia tej trudnej, nowej myśli. – Kiedy nie jesteśmy już wolni. Czy to właśnie dzieje się z naszą miłością?

Nawet mimo odległości oraz chwiejnej gry światła i ciemności widział, że zmienił się wyraz jej oczu. Patrzyła na niego przez długą chwilę.

– Jesteś bystry – rzekła w końcu. – Alessan dobrze cię wybrał.

Czekał.

– Ach! – Tym gardłowym pomrukiem Alienor udała zdumienie. – On chce uzyskać odpowiedź. Prawdziwą odpowiedź od pani zamku na końcu świata. – Być może było to złudzenie spowodowane niepewnym oświetleniem, lecz wydawało się, że Alienor odwróciła wzrok i spojrzała gdzieś za Devina, poza pokryte gobelinami ściany swej komnaty.

– To jedna z rzeczy, która się nam przytrafia – odezwała się w końcu. – Jakby powstanie w mroku przeciwko wiążącym nas i nie dającym się już złamać prawom dnia.

Devin zastanowił się nad tym.

– To możliwe – zgodził się cicho w zamyśleniu. – Albo może jest to przyznanie się w duchu, że nie zasługujemy na nic więcej, na nic, co dociera głębiej. Ponieważ nie jesteśmy wolni i się z tym pogodziliśmy.

Zauważył, że wzdrygnęła się na te słowa i zamknęła oczy.

– Czy zasłużyłam na to? – zapytała.

Devin poczuł falę straszliwego smutku. Z pewnym trudem przełknął ślinę.

– Nie – odpowiedział. – Nie zasłużyłaś. Kiedy wychodził z komnaty, Alienor nadal miała zamknięte oczy.

Czuł się nie tylko zmęczony, ale ociążały i przygnieciony ciężarem swoich myśli, spowalniających jego ruchy. Schodząc ze schodów, potknął się i musiał wolną ręką oprzeć się o kamienną ścianę. W ten sposób odsłonił świecę, która zgasła.

Było już bardzo ciemno. W zamku panowała kompletna cisza. Devin zszedł ostrożnie na dół i postawił zgasłą świecę na jakimś występie muru. Przez umieszczone pod sufitem wysokie, wąskie okna wpadały do korytarza ukośne promienie księżyca, lecz późna godzina nie pozwalała dostrzec szczegółów.

Przez chwilę Devin zastanawiał się nad powrotem po jeszcze jedną świecę, ale kiedy powstał jakiś czas nieruchomo, przyzwyczajając oczy do mroku, postanowił iść dalej drogą, którą, jak sądził, szli tędy oboje.

Bardzo szybko zabłądził, chociaż w gruncie rzeczy nie zaniepokoił się tym. W jego obecnym nastroju taki cichy spacer ciemnymi przejściami starego, górskiego zamku w środku nocy był nawet czymś stosownym. Bose stopy marzły mu na kamiennych posadzkach.

„Nie ma złych zakrętów. Tylko ścieżki, o których nie wiedzieliśmy, że są nam przeznaczone”.

Kto mu to powiedział? Słowa te wypłynęły z jakichś zakamarków pamięci. Devin skręcił

w nie znany sobie korytarz i przeszedł przez, długą komnatę zawieszoną obrazami. W połowie drogi odnalazł dla tych słów głos: należał do starego kapłana Moriany ze świątyni stojącej w pobliżu jego rodzinnego gospodarstwa w Asoli. Uczył on bliźniaków, a potem Devina czytać i rachować, a kiedy okazało się, że najmłodszy, nieduży chłopiec potrafi śpiewać, udzielił Devinowi pierwszych lekcji podstaw harmonii.

Nie ma złych zakrętów, znów pomyślał Devin. A potem, z dreszczem, którego nie potrafił opanować, przypomniał sobie, że jest to nie tylko środek nocy, ale koniec zimy, pierwszy z Dni Żaru – kiedy podobno po świecie chodzą umarli.

Umarli. Kim byli jego zmarli? Marra. Jego matka, której nie znał. Tigana? Czy można powiedzieć o kraju, o prowincji, że umarła? Czy można ją utracić i opłakiwać niczym żyjącą duszę? Pomyślał o Barbadiorczyku, którego zabił w stajni Nievolenich.

Przyśpieszył kroku, idąc po ciemnych, czasami tylko oświetlonych księżycowym blaskiem kamieniach ogromnego, milczącego zamku.

Devinowi wydawało się, że idzie tak w nieskończoność – lub nawet poza nieskończoność – nie mijając nikogo i nie słysząc nic oprócz własnego oddechu czy własnych miękkich kroków. Wreszcie rozpoznał stojącą w niszy rzeźbę. Podziwiał ją w blasku pochodni wcześniej tego wieczora. Wiedział, że jego pokój znajduje się o kilka kroków dalej, za rogiem w prawo. Jakimś sposobem zupełnie niepotrzebnie obszedł całe przeciwległe skrzydło zamku Borso.

Wiedział też, że pokój znajdujący się dokładnie naprzeciwko pięknej statuetki brodatego mężczyzny naciągającego łuk został oddany Catrianie.

Rozejrzał się po korytarzu, lecz dostrzegł jedynie ciemniejsze i jaśniejsze cienie, poprzecinane pasmami padającego z góry białego księżycowego blasku. Wyteżył słuch, ale nic nie usłyszał. Jeśli zmarli wyszli w noc, musieli zrobić to w milczeniu.

Nie ma złych zakrętów, jak dawno temu powiedział mu kapłan Ploto.

Pomyślał o Alienor spoczywającej z zamkniętymi oczyma wśród kolorowych poduszek i świec; zrobiło mu się przykro z powodu tego, co powiedział jej na odchodnym. Było mu przykro z wielu powodów. Umierała matka Alessana. Jego własna już nie żyła.

Lód jest dobry w razie śmierci i kiedy coś się kończy, powiedziała Alienor do Catriany w wielkiej sali.

Było mu zimno i bardzo smutno. Postąpił do przodu i przerwał ciszę delikatnym stukaniem do drzwi Catriany.

* * *

Miała niespokojną noc, na co złożyło się wiele przyczyn.

Niepokoili ją Alienor, zarówno emanująca z niej niepohamowana zmysłowość, jak

i wyraźnie bliskie stosunki, jakie łączyły ją w nieznannej przeszłości z Alessanem i Baerdem.

Catriana nie znosiła nieznanego i ukrytych przed nią informacji. Nadał nie wiedziała, co Alessan zamierza jutro, na jakie tajemnicze spotkanie w górach się udaje, i taka niewiedza napawała ją niepokojem, a nawet, na bardziej nieświadomym poziomie, strachem.

Żałowała, że czasami nie jest bardziej podobna do Devina i nie dorównuje mu w pozornie spokojnej akceptacji tego, co wie lub czego nie wie. Widziała, jak zbiera informacje i cierpliwie czeka na kolejną ich porcję, a potem, niczym z płytek układanki tworzy odpowiednią całość.

Czasem to u niego podziwiała, a czasem jego akceptacja sporadycznej powściągliwości Alessana czy chronicznej rezerwy Baerda, wywoływała u niej złość i pogardę. Catriana musiała wszystko wiedzieć. Przez tyle czasu nie miała o niczym pojęcia, chroniona przed własną historią w maleńkiej wiosce rybackiej w Astibarze. Miała wrażenie, że musi odzyskać tyle straconego czasu. Czasami chciało jej się płakać.

Tak właśnie czuła się tego wieczoru, zanim odpłynęła w płytki, niespokojny sen o domu. Od czasu, kiedy go opuściła, często jej się śnił, a szczególnie matka.

Tym razem zobaczyła siebie idącą przez wioskę tuż po wschodzie słońca. Minęła ostatni dom – należał do Tendo, zobaczyła nawet jego psa – a potem poszła wzdłuż znajomej zatoki do miejsca, gdzie jej ojciec kupił zaniedbaną chatę, którą wyremontował i w której osiadł z rodziną.

We śnie zobaczyła łódź ojca już daleko na morzu. Ciągnęła sieć, wykorzystując poranny przyływ. Wyglądało na to, że jest wiosna. Matka siedziała na progu, naprawiając sieci w dobrym świetle ranka. Od lat pogarszał się jej wzrok i trudno jej było pracować igłą wieczorem. Podczas ostatniego roku pobytu w domu Catriana stopniowo przejmowała od matki wieczorne szycie.

We śnie był to piękny poranek. Leżące na plaży kamienie lśniły, a znad wody nadlatywała świeża bryza. Wszystkie inne łodzie też już wypłynęły, wykorzystując pogodę, ale łatwo było odróżnić tę należącą do ojca. Catriana podeszła ścieżką do niedawno naprawionego ganku, czekając, aż matka podniesie wzrok i ją zobaczy, a potem zerwie się z okrzykiem i przytuli córkę.

Matka rzeczywiście podniosła wzrok znad roboty, ale tylko po to, by zmrużywszy oczy w ostrym świetle, spojrzeć na morze i sprawdzić położenie łodzi. Był to jej dawny, nerwowy zwyczaj, który prawdopodobnie znacznie uszkodził jej oczy. Na tej łodzi znajdowali się jednak jej mąż i trzej synowie.

Wcale nie zauważyła córki. Catriana z dziwnym bólem zdała sobie sprawę, że jest tu niewidzialna. Dlatego że odeszła, że ich opuściła i już tu nie mieszka. Zauważyła we włosach matki więcej siwizny i z bolącym sercem stała w łagodnym blasku słońca, widząc spracowane, twarde ręce matki i jej zmęczoną, spokojną twarz. Zawsze myślała o matce jako o młodej kobiecie, dopóki sześć lat temu nie umarła na zarazę maleńka Tiena. Wtedy wszystko się

zmieniło.

To niesprawiedliwe, pomyślała i zakrzyknęła we śnie, ale matka jej nie usłyszała.

Siedziała na drewnianym krześle na ganku w porannym świetle, naprawiając sieci i od czasu do czasu podnosząc wzrok, by sprawdzić położenie jednej małej łódki huśtającej się wśród tak wielu innych na tym obcym, wschodnim morzu, tak odległym od tego, które ukochała.

Catriana obudziła się, jakby jej ciało pragnęło się oderwać od wszystkich smutków zawartych w tym obrazie. Otworzyła oczy i czekała, aż serce przestanie jej bić tak mocno, leżąc pod kilkoma kocami w pokoju w zamku Borso. W zamku Alienor.

Alienor, która miała tyle samo lat, co postarzała, znużona matka Catriany. To naprawdę niesprawiedliwe. Dlaczego ma dźwigać brzemie takiej winy za odejście, widząc we śnie takie smutne, bolesne obrazy? Dlaczego, skoro to jej matka dała jej pierścień, kiedy skończyła czternaście lat, w roku, w którym zmarło maleństwo. Pierścień, który każdemu, kto znał dawne symbole, lecz nikomu innemu, mówił, że pochodzi z Tigany, znad morza.

Pierścień, który powiedział to Alessanowi bar Valentinowi dwa lata temu, kiedy razem z Baerdem zobaczyli ją, jak sprzedaje węgorze i świeżo złowione telanki, w leżącym tuż obok wioski mieście Ardin.

W wieku osiemnastu lat nie była ufną osobą. Nie potrafiła wtedy powiedzieć, zresztą teraz też nie, dlaczego im zawierzyła i poszła z nimi na spacer w górę rzeki za miasto, w którym odbywał się targ. Gdyby ktoś domagał się od niej odpowiedzi, powiedziałaaby, że jej wątpliwości rozproszyło coś w zachowaniu Baerda.

To na tym spacerze powiedzieli jej o pierścieniu i o Tiganie. Wtedy to coś jej życia przechyliła się w drugą stronę. Od tej chwili czas zaczął się liczyć od nowa i Catriana poczuła potrzebę wiedzy.

Wieczorem po kolacji, kiedy chłopcy poszli spać, powiedziała rodzicom, że już wie, skąd pochodzą i co oznacza jej pierścień. Zapytała ojca, co zamierza zrobić, żeby pomóc jej przywrócić Tiganę do istnienia, i co zrobił przez te wszystkie lata. Wtedy jedyny raz w życiu widziała swego łagodnego, nieszkodliwego ojca wściekłym i wtedy jedyny raz ją uderzył.

Matka płakała. Ojciec miotał się po domu z zażenowaniem człowieka nienawykłego do gniewu i przysięgał na Triadę, że nie po to uchronił żonę i córkę przed ygratheńską inwazją i upadkiem, żeby teraz znów dać się wciągnąć w tę zadawnioną rozpacz.

W ten sposób Catriana dowiedziała się drugiej rzeczy, która zmieniła jej życie.

Najmłodszy z chłopców zaczął płakać. Ojciec wypadł wtedy z domu, trzaskając drzwiami, aż zadrżały szyby w oknach. Catriana i jej matka patrzyły na siebie w milczeniu przez długi czas, a przestraszone dziecko leżące nad ich głowami na półstryszku stopniowo się uciszyło. Catriana uniosła dłoń i pokazała pierścień, który nosiła przez ostatnie cztery lata. Zadała wzrokiem pytanie, a jej matka skinęła głową, już nie płacząc. Uścisk, w jakim się połączyły, obie uznały za

ostatni w ich życiu.

Catrina znalazła Alessana i Baerda w najbardziej znanej gospodzie miasta Ardin. Pamiętała, że noc wtedy była jasna, bo oba księżycy stały wysoko na niebie i były prawie w pełni. Nocny stróż w gospodzie spojrział na nią pożądliwie, a kiedy przeciskała się obok niego na schody prowadzące do pokoju, który jej wskazał, chciał ją schwycić.

Zastukała do drzwi. Na dźwięk jej imienia otworzył je Alessan. Jego szare oczy były dziwnie ciemne, jakby spodziewał się jakiegoś ciężaru czy smutku.

– Idę z wami – powiedziała wtedy. – Mój ojciec był tchórzem. Uciekliśmy przed inwazją. Zamierzam to naprawić. Nie będę jednak z wami spała. Nigdy jeszcze nie spałam z żadnym mężczyzną. Czy mogę wam zaufać?

Leżąc w zamku Borso, zarumieniła się w ciemności na samo wspomnienie swoich słów. Jak niemożliwie młoda musiała się im wydać. Żaden jednak się nie roześmiał ani nawet nie uśmiechnął. Nigdy tego nie zapomniał.

– Potrafisz śpiewać? – Tylko tyle powiedział wtedy Alessan.

Znów zasnęła, rozmyślając o muzyce, o wszystkich piosenkach, jakie z nim śpiewała, przez dwa lata przemierzając Dłoń. Tym razem śniła o wodzie – o pływaniu w morzu, o swej największej, najśłodszej radości. O nurkowaniu w poszukiwaniu muszli w letnim zmierzchu wśród zdumionych, błyskających ryb, czując, jak woda otula ją niczym drugą skórą.

Wtem bez żadnego ostrzeżenia sen przeniósł ją na most w Tregui. Zapadał zimowy zmierzch, wiał coraz silniejszy wiatr. Była bardziej przerażona, niż potrafiła to sobie kiedykolwiek wyobrazić. Mogła winić tylko siebie, swą własną dumę, swą dręczącą, trawiącą ją, nieugaszoną potrzebę zadośćuczynienia za ich ucieczkę. Znów zobaczyła samą siebie, jak staje na barierce mostu, zobaczyła daleko w dole wzburzone czarne wody, usłyszała, nawet poprzez głośny szum rzeki, bicie własnego serca...

I obudziła się po raz drugi tuż przed koszmarem swego skoku. Obudziła się, ponieważ to, co wzięła za bicie swego serca, było stukaniem do drzwi.

– Kto tam? – zawołała.

– Devin. Wpuść mnie?

Usiadła gwałtownie na łóżku i podciągnęła pod brodę leżący na wierzchu koc.

– O co chodzi? – zawołała.

– Właściwie nie bardzo wiem. Mogę wejść?

– Drzwi nie są zamknięte na klucz – powiedziała w końcu. Sprawdziła, czy koce ją przykrywają, ale w pokoju było tak ciemno, że nie miało to właściwie znaczenia.

Usłyszała, że wszedł, ale dostrzegła tylko zarys jego postaci.

– Dziękuję – powiedział. – Powinnaś się zamykać. Zastanawiała się, czy on ma pojęcie, jak nie znosiła takich uwag.

– Jedyną osobą, która może się snuć dzisiejszej nocy, jest nasza gospodyni, a ona raczej nie przyszłaby do mnie. Po lewej stronie łóżka stoi fotel.

Usłyszała, jak z westchnieniem zagłębia się w wygodne siedzisko.

– Przyznaję ci rację – powiedział wyczerpanym głosem. – I przepraszam, nie trzeba ci mówić, jak masz o siebie dbać. Podejrzewała ironię, ale jej nie usłyszała.

– Wydaje się, że dość dobrze sobie radzę bez twoich wskazówek – odparła łagodnie.

Milczał. Po chwili odezwał się:

– Catriano, naprawdę nie wiem, dlaczego tu się znalazłem. Jestem dziś w takim dziwnym nastroju. Czuję idiotyczny smutek.

W jego głosie było coś bardzo dziwnego. Przez chwilę się wahała, a potem, starannie poprawiając koce, wyciągnęła rękę, by skrzesać ogień.

– Zapalasz ogień w Dni Żaru? – zapytał.

– To chyba jasne.

Zapaliła stojącą przy łóżku świecę. Potem, nieco żałując opryskliwości swej odpowiedzi, dodała:

– Moja matka zapalała świecę – jedną świecę, jak mówiła, na wspomnienie Triady. Zrozumiałam, co miała na myśli, dopiero po poznaniu Alessana.

– To dziwne. Mój ojciec robił to samo – rzekł w zadumie Devin. – Nigdy o tym nie myślałem. Nie wiedziałem, dlaczego to robi. Mój ojciec nie był człowiekiem skorym do wyjaśnień.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, ale siedział głęboko w fotelu i oparcie zasłaniało mu twarz.

– Na wspomnienie Tigany? – zapytała.

– Musiało tak być. Jakby... jakby Triada nie zasługiwała na pełną cześć czy obrzędy za to, na co pozwoliła. – Po chwili dodał pogrążony w swoich myślach: – To kolejny przykład naszej dumy, prawda? Tej tigańskiej arogancji, o której zawsze mówi Sandre. Targujemy się z Triadą, patrzymy na szale: oni zabierają nam imię, a my im część ich obrzędów.

– Chyba tak – powiedziała, chociaż myślała nieco inaczej. Nie uważała takiego postępowania za akt dumy czy targowanie się, a za przypomnienie samemu sobie, jak wielka została wyrządzona krzywda. Takie samo przypomnienie, jak błękitne wino Alessana.

– Moja matka nie jest dumną kobietą – powiedziała ku swemu zaskoczeniu.

– Nie wiem, jaka była moja – rzekł tym samym zduszonym głosem. – Nie wiem nawet, czy mogę powiedzieć, że mój ojciec jest dumny. Chyba o nim też niewiele wiem. – Jego głos naprawdę brzmiał dziwnie.

– Devynie – powiedziała ostro. – Pochyl się do przodu. Chcę na ciebie spojrzeć. – Sprawdziła koce, przykrywały ją pod brodę.

Powoli zmienił pozycję. Blask świecy rozlał się po jego dziko zmierzwionych włosach, podartej koszuli i widocznych zadrapaniach oraz śladach po zębach. Poczła nagły przypływ gniewu, a potem wolniejszy, głębszy niepokój, który nie miał nic wspólnego z Devinem. Przynajmniej nie bezpośrednio.

Ukryła oba uczucia pod sardonicznym śmiechem.

– Ach, widzę, że jednak się snuła. Wyglądasz, jakbyś był na wojnie.

Udało mu się przelotnie uśmiechnąć, lecz w oczach miał coś smutnego. Widziała to nawet w blasku świecy.

Zdeprymowało ją to.

– O co więc chodzi? – zapytała z wyraźnym sarkazmem. – Zmęczyłeś ją i przyszedłeś tu po więcej? Mogę ci powiedzieć...

– Nie – rzekł szybko. – Nie, to nie to. To... wcale nie to, Catriano. To była... trudna noc.

– Twój wygląd z całą pewnością o tym świadczy – odparła, zaciskając dłonie na kocach. Devin uparcie ciągnął temat.

– To nie tak. To takie dziwne. Takie skomplikowane. Chyba czegoś się tam nauczyłem. Chyba...

– Devinie, szczegóły naprawdę mnie nie interesują! – Zła była na siebie za to, że denerwowały ją takie rzeczy.

– Nie, nie. Nie o to chodzi, chociaż na początku... – Zacerpnął powietrza. – Dowiedziałem się chyba czegoś o tym, co nam zrobili tyrani. Nie tylko Brandin, i nie tylko w Tiganie. Alberico też. Co obaj zrobili nam wszystkim.

– Cóż za przenikliwość – zakpiła odruchowo. – Ona musi być nawet sprawniejsza, niż sobie wyobrażałeś.

To go uciszyło. Z powrotem oparł się wygodnie w fotelu i Catriana już nie widziała jego twarzy. W ciszy, która nastąpiła, uspokoił się jej oddech.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – Nie to chciałam powiedzieć. Jestem zmęczona. Miałam złe sny. Czego ode mnie chcesz, Devinie?

– Nie jestem pewien – odparł. – Chyba, żebyś była mi przyjaciółką.

I znów poczuła się nieswojo, jakby ją do czegoś zmuszano. Oparła się instynktownej, nerwowej chęci zaproponowania mu, żeby napisał list do jednej z córek Rovigo.

– Nigdy nie byłam w tym dobra, nawet jako dziecko – rzekła.

– Ja też nie – powiedział, znów pochylając się do przodu. Jego włosy wyglądały już nieco lepiej. Dodał: – Między nami jednak to coś więcej. Czasami mnie nienawidzisz, prawda?

Serce zabiło jej mocniej.

– Nie musimy o tym rozmawiać, Devinie. Nie nienawidzę cię.

– Czasami tak – ciągnął tym dziwnym, zawziętym głosem. – Za to, co się stało w pałacu

Sandrenich. – Przerwał i zaczerpnął niepewnie powietrza. – Bo byłem pierwszym mężczyzną, z którym się kochałaś.

Zamknęła oczy. Spróbowała bezskutecznie sprawić, żeby to ostatnie zdanie nie zostało wypowiedziane.

– Wiedziałaś?

– Wtedy nie. Domyśliłem się później. Kawałki kolejnej układanki. Cierpliwie je dopasowywał. Domyślał się. Otworzyła oczy i spojrzała na niego posepnie.

– I uważasz, że rozmowa na ten interesujący temat uczyni nas przyjaciółmi? Skrzywił się.

– Pewnie nie. Nie wiem. Chciałem ci powiedzieć, że mi na tym zależy. – Zapadło milczenie.

– Przepraszam, Catriano.

To dziwne, ale minęły jej zaskoczenie i gniew. Zobaczyła, że znów odchyła się ze zmęczeniem na oparcie fotela, i zrobiła to samo, opierając się o drewniane wezglowie łóżka. Przez chwilę ze zdumieniem myślała, jak bardzo jest spokojna.

– Nie czuję do ciebie nienawiści, Devinie – rzekła w końcu. – Naprawdę. Nic podobnego. Nie przeczę, że jest to krępujące wspomnienie, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek przeszkadzało nam w tym, co mamy zrobić. A to właśnie naprawdę się liczy, prawda?

– Chyba tak – odparł. Nie widziała jego twarzy. – Jeśli liczy się tylko to.

– Chcę powiedzieć, że mówiłam prawdę: nigdy nie umiałam się zaprzyjaźnić.

– Dlaczego?

I znów kawałki układanki. Odpowiedziała jednak:

– Kiedy byłem dziewczynką, nie wiem. Może byłem nieśmiała albo dumna. Nigdy nie czułam się w naszej wiosce swobodnie, mimo że był to jedyny dom, jaki znałam. Lecz od czasu, gdy Baerd wymówił dla mnie nazwę Tigany, od czasu, gdy ją usłyszałam, stała się dla mnie wszystkim. Wszystkim, co choć odrobinę się liczy.

Niemal słyszała, jak Devin się nad tym zastanawia.

– Lód jest dobry, kiedy coś się kończy – rzekł. Właśnie to powiedziała jej Alienor. Devin ciągnął:

– Wciąż jesteś żyjącą osobą, Catriano. Masz serce, życie przed sobą, możliwość przyjaźni, nawet miłości. Dlaczego ograniczasz się tylko do tej jednej rzeczy?

I Cabriana usłyszała własną odpowiedź:

– Bo mój ojciec nie walczył. Uciekł z Tigany jak tchórz jeszcze przed bitwami nad rzeką.

W chwili, kiedy wypowiedziała te słowa, zapragnęła wyrwać sobie język, wydrzeć go u samej nasady.

– O – powiedział.

– Ani słowa, Devinie! Nic nie mów!

Usłuchał, siedząc w swoim fotelu bardzo spokojnie, prawie niewidoczny. Gwałtownie

zdmuchnęła świecę – nie chciała teraz światła. Wtedy, ponieważ było ciemno, a Devin tak posłusznie milczał, udało jej się stopniowo odzyskać panowanie nad sobą. Przejść nad znaczeniem tej chwili bez łez. Trwało to długo w ciemności, lecz w końcu mogła głęboko, spokojnie odetchnąć i nabrać pewności, że wszystko wróciło do normy.

– Dziękuję – powiedziała, nie bardzo wiedząc, za co mu dziękuje. Głównie za milczenie.

Nie otrzymała odpowiedzi. Poczekała chwilę, a potem cicho zawołała go po imieniu. I znów cisza. Wyteżyła słuch i w końcu udało jej się usłyszeć jego miarowy oddech przez sen.

Miała na tyle poczucia ironii, że ją to rozbawiło. Najwyraźniej jednak noc musiała być ciężka, i to nie tylko z oczywistych względów.

Pomyślała, czyby go nie obudzić i nie odesłać do jego komnaty. Ich widok wychodzących stąd rano razem prawie na pewno wywoła uśmieški. Stwierdziła jednak, że właściwie jej to nie obchodzi. Zdała też sobie sprawę, że o wiele mniej, niż się spodziewała, przeszkadza jej, że Devin domyślił się jej sekretu i właśnie dowiedział się o drugim. O jej ojcu, ale w rzeczywistości więcej o niej samej. Zastanawiała się, dlaczego nie martwi się tym bardziej.

Przyszło jej do głowy, żeby przykryć go jednym z koców, ale oparła się temu impulsowi. Z jakiegoś powodu nie chciała, żeby obudził się rano i poznał, że to zrobiła. Takie rzeczy robiły córki Rovigo, a nie ona. A właściwie nie: młodsza już by go zwabiła do tego łóżka i w siebie, mimo jego dziwnego nastroju i wyczerpania. A starsza? Utkalaby z cudowną szybkością nowy pled i otuliłaby nim Devina, przypinając karteczkę z genealogią owiec, które dostarczyły wełny, i historią wzoru, który wybrała.

Catriana uśmiechnęła się do siebie w ciemności i ułożyła się do snu. Niepokój minął i nic jej się nie śniło. Kiedy obudziła się tuż po wschodzie słońca, Devin już odszedł. Dopiero później dowiedziała się jak daleko.

Rozdział 11

Elena stała w otwartych drzwiach domu Mattia, wędrując spojrzeniem po ciemnej drodze ku fosie i podniesionemu zwodzonemu mostowi, patrząc, jak w oknach zamku Borso jedna po drugiej gasną świece. Co pewien czas mijali ją wchodzący do domu ludzie, z rzadka witając się skinieniem głowy czy krótkim pozdrowieniem. Była to noc oczekującej ich bitwy i każdy z przychodzących zdawał sobie z tego sprawę.

Z leżącej za nią wsi nie dochodził żaden dźwięk ani płomyk światła. Wszystkie świece zostały już dawno zdmuchnięte, ogień przysypany popiołem, okna zakryte, nawet szpary pod drzwiami zostały zasłonięte materiałem lub wetknięto w nie szmaty. Wszyscy wiedzieli, że pierwszej Nocy Żaru po świecie chodzą umarli.

Z domu za nią dochodziło niewiele dźwięków, chociaż do siedziby Mattia na skraju wsi musiało już przyjść piętnaście czy dwadzieścia osób. Elena nie wiedziała, ilu jeszcze Wędrowców miało przyjść teraz albo później na miejsce spotkania, ale wiedziała, że jest ich za mało. Tak było w zeszłym roku i o rok wcześniej, a tamte bitwy przegrali z dużymi stratami. Noce Żaru zabijały Wędrowców szybciej, niż dorastali nowi, młodzi jak Elena, którzy mogli ich zastąpić. Dlatego każdej wiosny przegrywali i dlatego prawie na pewno przegrają teraz.

Noc była gwiazdzista, bo na niebie wisiał tylko jeden księżyc – biały sierp malejącego Vidomniego. Było też zimno, jak to w górach wczesną wiosną. Elena objęła się rękoma, zaciskając dłonie na łokciach. Za kilka godzin, kiedy zacznie się bitwa, niebo będzie zupełnie inne i noc nabierze zupełnie innego charakteru.

Do środka weszła Carena, błyskając swym ciepłym uśmiechem, ale nie zatrzymała się na pogawędkę. To nie był czas na rozmowy. Elena martwiła się dzisiaj o Carenę, która przed dwoma tygodniami powiła. Upłynęło za mało czasu, żeby mogła walczyć. Była jednak potrzebna, wszyscy byli potrzebni, a wojny Nocy Żaru nie czekały na nikogo ani na nic, co zdarzało się w świecie dnia.

Skinęła głową parze ludzi, których nie znała. Weszli do domu za Carena. Mieli zakurzone ubrania. Odbyli prawdopodobnie daleką drogę ze wschodu, wyliczając swoje przybycie na czas po zachodzie słońca, po zamknięciu drzwi i okien w mieście i we wszystkich samotnych gospodarstwach otoczonych polami i nocą. Elena wiedziała, że za tymi drzwiami i oknami ludzie południowych gór będą czekać, modląc się w ciemnościach.

O deszcz i słońce, o żyzną ziemię na wiosnę i lato, o bogate plony jesienią. O to, żeby w ciemnej, wilgotnej, uległej glebie przyjęły się zasiane ziarna zboża i kukurydzy, a potem wyrosły z nich żółte, pełne obietnicy kłosa. Modlili się – chociaż w swoich spowitych ciemnością domach nie wiedzieli, co się naprawdę stanie tej nocy – o to, by Nocni Wędrowcy

uratowali pola, rok, zboża, żeby uratowali im wszystkim życie i ich wspomagali.

Elena odruchowo sięgnęła do niewielkiej ozdoby ze skóry, którą nosiła na szyi. Znajdowały się w niej wyschnięte resztki czepka, w którym się urodziła, bo podobnie jak wszyscy inni Wędrowcy, przyszła na świat otulona w przezroczystą błonę.

Wszędzie indziej w Dłoni akuszerki nazywały czepkę symbolem szczęścia. Mówiło się, że dzieci w czepku urodzone czeka życie z błogosławieństwem Triady.

Natomiast tutaj, na odległych południowych krańcach półwyspu, wśród dzikich wzgórz u stóp gór, podania były inne.

Tutaj starodawne obrzędy sięgały głębiej, były przekazywane z ust do ust od samych swych początków. Na wyżynie Certando o dziecku w czepku urodzonym nie mówiło się, że ustrzeże się śmierci na morzu albo że osiągnie bogactwo. Dziecko takie było naznaczone piętnem wojny. Wojny, która toczyła się co roku w pierwszą Noc Żaru rozpoczynającą wiosnę i zarazem cały rok. Wojny, która toczyła się na polach i o pola, o jeszcze nie wzeszłe nasiona będące nadzieją, życiem i obietnicą odnowionej ziemi. O mieszkańców wielkich miast odciętych od prawdy ziemi, nie mających pojęcia o tych sprawach, i o wszystkich mieszkańcach Certando kulących się w swoich czterech ścianach, którzy wiedzieli tylko tyle, żeby się modlić i bać nocnych dźwięków, branych za hałasy czynione przez umarłych.

Ktoś stojący za Elena dotknął jej ramienia. Odwróciła się i napotkała pytający wzrok Mattia. Potrząsnęła głową, odgarniając ręką włosy.

– Jeszcze nic – powiedziała.

Mattio nie odezwał się, lecz blade światło księżyca wydobywało z mroku jego zatroskane oczy i bujną, ciemną brodę. Zanim wrócił do środka, uściśnął ramię kobiety, pocieszając ją tym raczej z przyzwyczajenia niż z rzeczywistej potrzeby.

Elena popatrzyła za nim. Był silnym, sprawnym mężczyzną, ale szedł ciężkim krokiem. Zobaczyła przez otwarte drzwi, jak Mattio siada naprzeciwko Donara za długim stołem opartym na krzyżakach. Przez chwilę na nich patrzyła, myśląc o Verzarze, o miłości i pożądaniu.

Odwróciła się, by znów patrzeć w noc, w kierunku ogromnej, majaczącej w mroku sylwetki zamku, w którego cieniu spędziła całe życie. Nagle poczuła się stara, o wiele starsza niż liczyła sobie lat. Miała dwoje dzieci, które spały teraz z jej matką i ojcem w jednej z tych zamkniętych chat, gdzie nie paliło się żadne światło. Miała też męża, który spał na cmentarzu. Był jedną z tak licznych ofiar zeszłorocznej straszliwej bitwy, w której liczba Innych zdawała się o wiele większa niż kiedykolwiek przedtem i w której odnieśli oni tak okrutne, pełne złości zwycięstwo.

Verzar zmarł w kilka dni po klęsce. Tak umierały wszystkie ofiary nocnych bitew.

Ludzie dotknięci przez śmierć w wojnach Nocy Żaru nie padali na polach. Uznawali w głębi duszy to zimne, ostateczne dotknięcie – jak palec kładący się na sercu, powiedział jej Verzar – i wracali do domu, zasypiali, budzili się i żyli jeszcze dzień, tydzień albo i miesiąc, zanim

poddawali się końcowi, przed którym nie mogli już uciec.

Na północy, w miastach, mówiło się o ostatnim portalu Moriany, o wytęsknionej łasce w jej ciemnych Komnatach. O kapłańskim wstawiennictwie wśród świec i łez.

Ci, co urodzili się w czepku w południowych wyżynach, co walczyli w wojnach Żaru i widzieli postacie Innych, którzy przybywali na bitwy, tak nie mówili.

Nie byli na tyle głupi, żeby wyprzeć się Moriany od Portali, Eanny czy Adaona, tyle że wiedzieli, iż są moce starsze i mroczniejsze od Triady, moce wykraczające poza półwysep, a nawet, jak kiedyś powiedział jej Donar, poza ten świat z jego dwoma księżycami i słońcem. Raz do roku Nocni Wędrowcy Certando dostrzegali – byli zmuszeni dostrzec – strzępy prawd pod niebem, które nie było ich niebem.

Elena zadrżała. Wiedziała, że tej nocy śmierć zagarnie jeszcze więcej ludzi, których zabraknie w przyszłym roku, a do następnej bitwy stanie ich jeszcze mniej. Nie wiedziała, jak to się skończy. Nie była wykształcona w takich sprawach. Miała dwadzieścia dwa lata, była matką, wdową i córką kołodzieja na wyżynie. Była też dzieckiem urodzonym w czepku Nocnych Wędrowców w czasach, kiedy rok po roku wszystkie bitwy kończyły się klęską.

Cieszyła się też opinią osoby najlepiej spośród nich wszystkich widzącej w ciemnościach i dlatego Mattio postawił ją przy drzwiach, żeby wypatrywała na drodze tego, który wedle słów Donara mógł nadejść.

* * *

Ostatnio mało padało i fosa, tak jak się spodziewał, była płytka.

Kiedyś, dawno temu, panowie na zamku Borso lubili trzymać w fosie stworzenia mogące zabić człowieka. Baerd nie sądził, że spotka się z czymś takim teraz, po tak długim czasie.

Przeszedł na drugą stronę, brodząc w wodzie po biodra. Na wysokim niebie świeciły gwiazdy i nikły blask Vidomniego. Było zimno, ale już od dawna nie przejmował się pogodą. Nie przeszkadzało mu także, że była to Noc Żaru. Właściwie w ciągu tych lat stało się to jego prywatnym rytuałem: wiedza, że te święta są obchodzone w całej Dłoni i że ludzie czekają zamknięci w czterech ścianach w milczącej ciemności, wzmagала w nim poczucie samotności, którego tak łaknęła jego dusza. Bardzo do niego przemawiało poczucie poruszania się po ledwo oddychającym świetle, jakby skulonym w pradawnej ciemności pod gwiazdami, bez żadnych odpowiadających im śmiertelnych ogni – oprócz tych płomieni, które stworzyła dla siebie Triada uderzającymi z nieba błyskawicami.

Jeśli tej nocy budziły się duchy i widma, to chciał je zobaczyć. Jeśli po świetle chodzili umarli z jego przeszłości, chciał ich błagać o przebaczenie.

Jego własny ból utkany był z prześladowających go obrazów. Obrazów minionego spokoju,

marmuru białego w takim właśnie blasku księżyca, wdzięcznych portyków o proporcjach, których zrozumienie wymagało całego życia studiów, cichych głosów słyszanych i prawie rozumianych przez senne dziecko w drugim pokoju, następującego potem dźwięcznego śmiechu, porannego słońca na znanym podwórku i spokojnej, mocnej dłoni rzeźbiarza na ramieniu. Dłoni ojca.

A potem pożarów, krwi i popiołów na wietrze, zasnuwających południowe słońce czerwienią.

Dymu i śmierci, i rozbitego na kawałki marmuru, lecącej w powietrzu głowy boga, odbijającej się od spalonej ziemi jak zwykły głaz, a potem bezlitośnie rozkruszonej na mialki piasek. Piasek jak ten na plażach przemierzanych w ciemnościach jeszcze tego samego roku, nieskończonych i pozbawionych znaczenia, nad zimnym, obojętnym morzem.

Tacy byli posępni goście, towarzysze jego nocy. Tacy i jeszcze inni, bez końca przez niemal dziewiętnaście lat. Niczym bagaż, przygniatający kark, niczym kamień w sercu nosił ze sobą obrazy swojego narodu, jego zniszczonego świata, jego wymazanego z pamięci imienia. Wymazanego prawdziwie: był to dźwięk rok po roku odpływający coraz dalej od wybrzeży świata ludzi, niczym fala cofająca się w szarej godzinie zimowego brzasku. Dźwięk bardzo podobny do takiej fali, lecz zarazem odmienny, bo fale wracają.

Nauczył się żyć z tymi obrazami, ponieważ nie miał wyboru, chyba żeby postanowił się poddać. Umrzeć. Lub uciec w szaleństwo, jak jego matka. Określał samego siebie według swoich nieszczęść, które znał równie dobrze, jak inni znają kształt własnych dłoni.

Ale jedyna rzecz, która potrafiła wyrwać go ze snu i całkowicie zabronić mu wstępu do jego królestwa czy też pozbawić jakiegokolwiek odpoczynku; jedyna rzecz, która mogła go zmusić do wędrowania, tak jak zmuszała go, kiedy był chłopcem do wędrowania po zrujnowanym pałacu, nie była żadnym z tych obrazów. Ani przeblyskiem minionej chwały, ani wspomnieniem śmierci i straty. Była to przede wszystkim i ponad wszystko inne pamięć miłości wśród ruin i popiołów.

Jego bariery ochronne nie wytrzymały w ciemności wspomnienia wiosny i lata spędzonego z Dianorą, z siostrą.

Wychodził więc Baerd w noce oświetlone podwójnym lub pojedynczym blaskiem księżyca lub w noce ciemne, gdy świeciły tylko gwiazdy. Chodził wśród wrzosowych, letnich wzgórz Ferraut, ciężkich od owoców jesiennych winnic w Astibarze czy Senzio, okrytych płaszczem śniegu górskich zboczy w Tregei czy też tutaj, na wyżynie w Noc Żaru na przedwiośniu.

Szedł, by spacerować w spowijającej wszystko ciemności, czuć zapach ziemi i dotyk gleby, nasłuchiwać głosu zimowego wiatru, smakować winogrona i oświetloną księżycowym światłem wodę, leżeć bez ruchu na drzewie w lesie i obserwować polujące drapieżniki. A czasem, bardzo rzadko, kiedy zastępował mu drogę zbójczy najemnik, Baerd zabijał. Sam był nocnym

drapieżnikiem, niespokojnym i szybko znikającym. Stał się duchem, częścią tej osoby, która umarła wraz z umarłymi znad Deisy.

Robił te rzeczy całymi latami w każdym zakątku Dłoni z wyjątkiem własnego, nie istniejącego już zakątka, czując powolne zmiany pór roku, ucząc się znaczenia nocy w tym lesie i na tamtym polu, nad ciemną rzeką czy też na górskim grzbiecie, cały czas szukając poza sobą, w przeszłości lub w sobie ukojenia, którego wciąż nie było dane mu zaznać.

Bywał wśród tych wzgórz w takie same Noce Żaru wiele razy. Razem z Alessanem od dawna znali Alienor z Borso i wiele razem przeżyli, a był też i inny, ważniejszy powód, dla którego na początku co drugiego roku przybywali w południowe góry. Pomyślał o wieściach z Zachodu. Z domu. Przypomniał sobie wyraz twarzy Alessana czytającego list od Danoleona i poczuł nagły niepokój. To jednak należało do dnia jutrzejszego i stanowiło raczej brzemię Alessana niż jego, chociaż, jak zawsze, bardzo chciał mu pomóc w jego dźwiganu.

Dzisiejsza noc należała do niego, przyzywała go. Oddalał się od zamku samotnie, lecz z marzeniem o Dianorze w sercu. Zawsze przedtem szedł na wschód, a potem na południe od Borso, skręcając we wzgórze leżące pod przełęczą Braccio. Dzisiaj, bez żadnej znanej mu przyczyny, nogi poniosły go w przeciwnym kierunku, na południowy wschód. Zaprowadziły go drogą na skraj leżącej pod murami zamku wioski i tam, przechodząc obok domu z nieoczekiwaniem otwartymi drzwiami, Baerd zobaczył jasnowłosą kobietę, która stała w blasku księżyca, jakby na niego czekając. Zatrzymał się.

* * *

Siedzący za stołem Mattio opierał się pokusie, żeby jeszcze raz przeliczyć obecnych, usiłując sprawiać wrażenie, jakby wszystko tej nocy wojny było jak najbardziej normalne. Wtedy właśnie usłyszał, jak Elena woła z dworu najpierw jego, a potem Donara. Głos jak zawsze miała cichy, ale on był nań wyczulony, od wielu lat, jeszcze zanim zmarł biedny Verzar.

Spojrzał przez stół na Donara, ale starszy mężczyzna już sięgał po swe kule i wstawał, żeby pokuśtykać do drzwi. Mattio poszedł za nim. Kilkoro innych spojrzało na nich z niepokojem. Mattio zmusił się do uspokajającego uśmiechu. Carena pochwyliła jego spojrzenie i zaczęła coś mówić kojąco do bardziej nerwowych osób.

Sam też czując się dość niepewnie, Mattio wyszedł na zewnątrz z Denarem i zobaczył, że rzeczywiście ktoś przyszedł. Przed Eleną stał nieruchomo ciemnowłosy mężczyzna, średniego wzrostu, z zadbaną brodą. Przeniósł spojrzenie z kobiety na nich, ale nic nie mówił. Przez plecy miał przewieszony na tregeańską modłę miecz w pochwie.

Mattio spojrzał na Donara, którego twarz była całkowicie obojętna. Mimo całego doświadczenia nabytego w sprawach wojen Nocy Żaru i daru Donara, nie mógł powstrzymać

dreszczu.

„Ktoś może przyjść” – powiedział poprzedniego dnia jednonogi przywódca. A teraz ktoś rzeczywiście stał w świetle księżyca w godzinie poprzedzającej bitwę. Mattio spojrział na Elenę, która nie spuszczała oczu z obcego. Stała wyprostowana, nieruchoma, z dłońmi zaciśniętymi na łokciach, ukrywając strach i zdziwienie, najlepiej jak umiała. Mattio spędził jednak wiele lat, obserwując ją, i widział, że szczupła kobieta oddycha płytko i szybko. Kochał ją za jej spokój i za chęć ukrycia strachu.

Znów spojrział na Donara, a następnie postąpił do przodu, wyciągając w kierunku obcego otwarte dłonie. Rzekł ze spokojem:

– Witaj, chociaż nie jest to noc na wychodzenie z domu.

Mężczyzna skinął głową. Stał pewnie na szeroko rozstawionych nogach. Sprawiał wrażenie, że wie, jak zrobić użytek ze swego miecza. Powiedział:

– Ani, jeśli rozumiem wyżyny, na otwieranie okien i drzwi.

– A dlaczego sądzisz, że rozumiesz wyżyny? – zapytał Mattio. Zbyt szybko. Elena nadal nie odwracała wzroku od obcego. Jej twarz miała dziwny wyraz.

Przysuwając się do niej, Mattio uświadomił sobie, że już widział tego mężczyznę. Przychodził on kilka razy do zamku pani. Przypomnił sobie, że to chyba muzyk albo jakiś kupiec. Jeden z tych pozbawionych ziemi ludzi, którzy bez końca przemierzają drogi Dłoni. Otucha w jego sercu, wzbudzona widokiem miecza, nieco przygasła.

Obcy nie zareagował na tę ostrą ripostę. O ile było widać w świetle księżyca, wydawał się nad nią zastanawiać. Następnie zaskoczył Mattia.

– Przepraszam – rzekł. – Wybaczcie mi, jeśli w swojej ignorancji przeszkodziłem wam w jakimś obrzędzie. Wybrałem się na przechadzkę z własnych powodów. Zostawię was w pokoju.

I rzeczywiście się wtedy odwrócił, najwyraźniej zamierzając odejść.

– Nie! – powiedziała z naciskiem Elena.

W tej samej chwili po raz pierwszy odezwał się Donar.

– Dzisiejszej nocy nie ma pokoju – powiedział swym głębokim głosem, któremu wszyscy tak ufali. – A ty w niczym nam nie przeszkodziłeś. Spodziewałem się, że ktoś przybędzie tą drogą. Elena cię oczekiwała.

Na te słowa obcy odwrócił się. Po ciemku jego oczy wydawały się większe i w ich błysku pojawiło się coś nowego, chłodniejszego, bardziej taksującego.

– A po co ten ktoś miałby przybyć? – zapytał. Zapadło milczenie. Donar przesunął kule i postąpił do przodu. Elena odsunęła się na bok, żeby mógł stanąć przed obcym. Mattio spojrział na nią – białozłote w blasku księżyca włosy spadały jej przez jedno ramię. Nie odrywała wzroku od ciemnowłosego mężczyzny.

Patrzył nieruchomym spojrzeniem na Donara.

– Po co miałby przybyć? – powtórzył łagodnie.

Donar nadal się wahał i w tej chwili Mattio zdał sobie z zaskoczeniem sprawę, że młynarz, ich Starszy, boi się. Poczul mdlącą falę lęku, bo nagle pojął, co Donar chce zrobić. I Donar to zrobił. Wydał ich człowiekowi z północy.

– Jesteśmy Nocnymi Wędrowcami z Certando – rzekł spokojnym i głębokim głosem. – A dzisiaj przypada pierwsza z wiosennych Nocy Żaru. To nasza noc. Muszę cię zapytać, czy kiedy się urodziłeś, to był znak... czy akuszerki stwierdziły obecność znamienia błogosławieństwa? – Powoli sięgnął ręką za koszulę i wyciągnął skórzany woreczek, w którym przechowywał czepek, znak swego losu.

Kątem oka Mattio dostrzegł, że Elena przygryza dolną wargę. Spojrzał na obcego, popatrzył, jak ten przyjmuje słowa Donara, i zaczął oceniać swe szansę, gdyby przyszło do zabicia go.

Tym razem cisza była napięta. Przytłumione głosy dobiegające z domu za nimi wydawały się głośnie. Ciemnowłosa mężczyzna szerzej rozwarł oczy i wysoko uniósł głowę. Mattio widział, że rozważa on, co się kryje za właśnie wypowiedzianymi słowami.

Po chwili, nadal nic nie mówiąc, obcy podniósł jedną rękę do szyi i sięgając za koszulę, wyciągnął skórzany woreczek, który też nosił, tak by przy blasku księżyca i gwiazd mogła go zobaczyć cała trójka.

Mattio usłyszał cichy dźwięk wypuszczanego powietrza i potem dopiero uprzytomnił sobie, że sam go wydał.

– Chwała ziemi! – mruknęła Elena, nie mogąc się powstrzymać. Zamknęła oczy.

– Ziemi i wszystkiemu, co z niej wyrasta i do niej wraca – dodał Donar. To dziwne, ale głos mu drżał. Koniec zostawili dla Mattia.

– Wraca, by znów wyrosnąć w cyklu bez końca – powiedział, patrząc na obcego, na jego woreczek prawie identyczny z woreczkiem Mattia, Eleny i Donara, z woreczkami, które nosili wszyscy.

Dopiero przy słowach inwokacji wypowiedzianych po kolei przez nich troje, Baerd pojął w końcu, na co się natknął.

Przed dwustu laty, w czasach nie kończących się zaraz, klęsk nieurodzaju, krwi i przemocy, na południu zakorzeniła się herezja carlozziańska. Zaczęła się stąd rozprzestrzeniać na całą Dłoń, nabierając mocy i zwolenników z niewiarygodną szybkością. Duchowieństwo Dłoni wydało zdecydowaną walkę podstawowej nauce Carlozziego, że Triada to pomniejsze bóstwa, podległe starszym i mroczniejszym siłom.

Stanąwszy w obliczu tak niespotykanej i całkowitej jednomyślności duchownych oraz paniki spowodowanej dziesięcioleciem zarazy i głodu, diukowie, wielcy diukowie i nawet Valcanti, książę Tigany, uznali, że nie mają wyboru. Wyznawcy Carlozziego byli na całym półwyspie

wyłapywani, sądzeni i traceni w sposób, w jaki w owym czasie wykonywano wyroki śmierci w poszczególnych prowincjach.

Był to czas krwi i przemocy. Przed dwustu laty.

A teraz Beard stał tu ze skórzanym woreczkiem zawierającym czepek, w którym się urodził, i rozmawiał z trzema osobami, które właśnie zadeklarowały się jako carlozzianie.

A także jako ktoś więcej. Jednonogi starzec powiedział, że są Nocnymi Wędrowcami. Forpoczta, tajną armią sekty. Wybranymi w jakiś nikomu nie znany sposób. Teraz jednak już go znał, bo mu pokazali. Pomyślał, że z powodu tej wiedzy może znalazł się w niebezpieczeństwie. Rzeczywiście, roślejszy brodacz zdawał się zachowywać czujnie, jakby był gotów do ataku.

Jednak kobieta, która stała na straży, szlochała. Była bardzo piękna, chociaż nie tak jak Alienor, w każdym jej kocim ruchu, w każdym wypowiedzianym słowie mogło się kryć niebezpieczeństwo. Ta kobieta była zbyt młoda, zbyt nieśmiała – nie potrafił uwierzyć, że coś mu z jej strony grozi. Przynajmniej nie wtedy, kiedy szlocha. Zresztą wszyscy troje wypowiedzieli słowa wdzięczności. Nerwy miał napięte, ale nie w sposób oznaczający bezpośrednie niebezpieczeństwo. Baerd świadomie rozluźnił mięśnie i powiedział:

– Cóż zatem macie mi do powiedzenia?

Elena wytarła z twarzy łzy. Znów spojrzała na obcego, chłonąc jego solidną, spokojną realność, nieprawdopodobny fakt jego obecności. A potem długo stali naprzeciwko siebie w blasku księżyca, zanim impulsywnie wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, żeby się upewnić, że jest rzeczywisty. Dopiero wtedy zawołała Mattia i Donara. Działo się z nią coś dziwnego. Zmusiła się do skupienia uwagi na słowach Donara.

– To, co ci teraz powiem, da ci władzę życia i śmierci nad wieloma ludźmi – powiedział cicho. – Duchowieństwo nadal chce nas zniszczyć, a w takich sprawach tyran w Astibarze bardzo liczy się z ich zdaniem. Chyba o tym wiesz.

– Wiem – rzekł ciemnowłosy równie cicho. – Powiesz mi, dlaczego mi zawierzyłeś?

– Ponieważ dzisiejsza noc jest nocą bitwy – odparł Donar. – Dzisiaj poprowadzę Nocnych Wędrowców do walki, a wczoraj o zachodzie słońca zasnąłem i śnił mi się obcy, który do nas przyszedł. Nauczyłem się ufać moim snom, chociaż nie potrafię przewidzieć, kiedy nadejdą.

Elena zobaczyła, że obcy kiwa ze spokojem głową, nieporuszenie przyjmując to do wiadomości z taką samą łatwością, z jaką przyjął jej obecność na swej drodze. Spostrzegła, że na jego ramionach prężą się pod koszulą mięśnie i że ma wygląd i człowieka, który wie, co to walka. Wydawało jej się, że na jego twarzy rysuje się smutek, ale było zbyt ciemno, żeby móc to stwierdzić na pewno i Elena skarciła się za folgowanie wyobraźni w takiej chwili.

Z drugiej strony wypuścił się sam w Noc Żaru. Ludzie nie mający własnych nieszczęść nigdy by nie zrobili czegoś takiego, tego była pewna. Zastanawiała się, skąd pochodzi. Bała się go o to zapytać.

– A zatem jesteś przywódcą tych ludzi? – zapytał Donara.

– Owszem – wtrącił ostro Mattio. – I lepiej, żebyś się nie rozwodził nad jego ułomnością. – Zaczepność w tonie głosu dowodziła, że źle zrozumiał pytanie. Elena wiedziała, jak bardzo stara się ochraniać Donara, i to ceniła w nim najbardziej. Była to jednak chwila zbyt wielka, zbyt ważna na nieporozumienia. Odwróciła się do Mattia i potrząsnęła energicznie głową.

– Mattio! – zaczęła, lecz Donar już położył dłoń na ręce kowala i w tej chwili obcy po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Wietrzysz afront tam, gdzie go nie ma – powiedział. – Znam ludzi podobnie lub nawet bardziej okaleczonych, którzy dowodzili całymi armiami i sprawowali rządy. Chcę się jedynie zorientować w sytuacji. Jest tu dla mnie ciemniej niż dla was.

Mattio otworzył i zamknął usta. Poruszył niezręcznie rękoma w geście przeproszenia. Odezwał się Donar.

– Tak, jestem Starszym Wędrowców i z pomocą Mattia dowodzę nimi w walce. Trzeba ci jednak wiedzieć, że bitwa, którą mamy dzisiaj stoczyć, nie będzie podobna do żadnej znanej ci walki. Kiedy wyjdziemy z tego domu, znajdziemy się pod zupełnie innym niebem; w odmienionym świecie duchów i cieni, niewielu z nas będzie się jawić takimi, jak tutaj.

Ciemnowłosa mężczyzna po raz pierwszy poruszył się niepewnie. Niemal z niechęcią spojrzął w dół, na ręce Donara.

Ten uśmiechnął się i wyciągnął lewą dłoń z rozpostartymi szeroko pięcioma palcami.

– Nie jestem czarodziejem – rzekł cicho. – Jest tu magia, my w nią wступujemy i jesteśmy nią naznaczeni, lecz jej nie kształtujemy. To nie polega na czarach.

Obcy w końcu skinął głową, a następnie powiedział z wyważoną uprzejmością:

– To widzę. Nie rozumiem tego, lecz mogę jedynie przyjąć, że mówisz mi to w jakimś celu. Zechcesz mi teraz powiedzieć w jakim?

Wtedy Donar w końcu powiedział:

– Chcemy cię prosić o pomoc w naszej dzisiejszej bitwie.

W zapadłej ciszy odezwał się Mattio, a Elena domyśliła się, ile dumy kosztowały go te słowa:

– Jesteśmy w potrzebie. W wielkiej potrzebie.

– Z kim walczyć? – zapytał mężczyzna.

– Nazywamy ich Innymi – powiedziała Elena, bo obaj jej towarzysze milczeli. – Przychodzą do nas rok w rok, pokolenie za pokoleniem.

– Przychodzą, by zniszczyć pola i rzucić zły urok na zasiewy, pozbawiając nas plonów – rzekł Donar. – Od dwustu lat my, Nocni Wędrowcy Certando, ścieramy się z nimi w pierwszą Noc Żaru i przez cały ten czas udawało nam się powstrzymać ich przybywające z zachodu zastępy.

Wyjaśnianie przejął Mattio.

– Ale od prawie dwudziestu lat wiedzie się nam coraz gorzej. A podczas ostatnich trzech Nocy Żaru ponieśliśmy druzgocące klęski. Zginęło wielu z nas. Susze w Certando są coraz gorsze – zapewne o tym wiesz, a także o zarazach. Przez nie...

Obcy niespodziewanym gestem wyrzucił nagle w górę dłoń.

– Od prawie dwudziestu lat? I z zachodu? – rzekł ochryple. Postąpił krok do przodu i zwrócił się do Donara: – Tyrani nadeszli prawie dwadzieścia lat temu, a na zachodzie wylądował Brandin z Ygrathu.

Donar oparł się na kulach i utkwiał wzrok w obcym.

– Prawda – powiedział – i myśl owa przyszła do głowy niektórym z nas, ale nie sędzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Nasze bitwy toczone co roku tej nocy wychodzą poza codzienne zmartwienia dotyczące tego, kto w danym pokoleniu rządzi Dłonią, jak rządzi i skąd przybył.

– Ale przecież... – zaczął obcy.

– Ale przecież – rzekł Donar, kiwając głową – są z tym związane tajemnice, których nie potrafię pojąć. Jeśli widzisz jakieś prawidłowości, których nie dostrzegam... kimże ja jestem, żeby je kwestionować lub utrzymywać, że nie mogą istnieć?

Sięgnął ręką do szyi i dotknął skózanego woreczka.

– Masz przy sobie znak, który my wszyscy nosimy; a ja wyśniłem twoją dzisiejszą obecność. Mimo wszystko nie możemy od ciebie niczego żądać, zupełnie niczego, a muszę ci powiedzieć, że kiedy nadejdą Inni, na polach wyjdzie nam na spotkanie śmierć. Mogę ci jednak też powiedzieć, że nasza potrzeba wykracza poza te pola, poza Certando, a nawet, jak sędzę, poza ten Półwysep Dłoni. Czy będziesz z nami walczył dzisiejszej nocy?

Obcy milczał przez dłuższy czas. Odwrócił się od nich i spojrzał w górę, na cienki sierp księżycy i gwiazdy, lecz Elena miała wrażenie, że tak naprawdę spogląda do wewnątrz, że wcale nie patrzy na światło.

– Proszę cię – usłyszała własny głos. – Proszę.

Sprawa miała wrażenie, jakby w ogóle jej nie usłyszał. Kiedy się odwrócił, znów popatrzył na Donara i powiedział:

– Niewiele z tego rozumiem. Mam własne bitwy do stoczenia i ludzi, którym przysięgałem wierność, lecz nie słyszę w twoich słowach zła ani nieprawdy i chętnie sam zobaczę kształty, jakie przybierają ci Inni. Jeśli wyśniłeś moje nadejście, to dam się poprowadzić twojemu snowi.

A potem, kiedy oczy Eleny znów wezbrały łzami, zobaczyła, że mężczyzna zwraca się do niej.

– Dobrze – powiedział spokojnie, bez uśmiechu, z powagą w ciemnych oczach. – Będę dziś z wami walczył. Mam na imię Baerd.

Wyglądało więc na to, że jednak ją usłyszał.

Elena opanowała łzy, wyprostowując się na całą wysokość. Czuła jednak w duszy rosnący zamęt i straszliwy chaos, pośród którego usłyszała jakiś dźwięk niczym pojedynczą nutę wydobytą z jej serca. Stojący z drugiej strony Donara Mattio coś powiedział, lecz Elena nie dosłyszała. Patrzyła na obcego i kiedy ich spojrzenia się zetknęły, zdała sobie sprawę, iż miała rację, że instynkt jej nie zawiódł. W mężczyźnie tkwił głęboki smutek, który musiał dostrzec każdy, nawet w nocy, wśród cieni.

Odwróciła oczy i mocno je na chwilę zacisnęła, próbując zatrzymać nieco swego serca dla siebie, zanim wyrwie się jej z piersi na poszukiwania, w magię tej niesamowitej nocy. Och, Verzarze, pomyślała, o moja zmarła miłości.

Otworzyła oczy i zaczerpnęła powoli powietrza.

– Mam na imię Elena – powiedziała. – Zechcesz wejść do środka i przywitać się z pozostałymi?

– Tak – burknął Mattio. – Wejdz razem z nami, Baerdzie. Witaj w moim domu.

Jednak usłyszała w jego głosie umiejętnie skrywaną urazę. Skrzywiła się w duchu na ten ton, bo bardzo jej na nim zależało, na jego sile i wielkoduszności, i nie chciała przysparzać mu smutku. Była to jednak Noc Żaru, a porywów serca nie da się opanować nawet w świetle dnia.

Poza tym, kiedy we czworo wchodzili do domu, miała już bardzo poważne wątpliwości, czy w tym, co właśnie jej się przydarzyło, znajdzie jakąkolwiek radość. Czy będzie się mogła cieszyć tym obcym, który przyszedł do niej z ciemności, odpowiadając na wezwanie Donara lub wręcz przez niego wezwany.

* * *

Baerd spojrział na kubek, który właśnie włożyła mu w dłonie kobieta imieniem Carena. Był z nie malowanej gliny koloru czerwonej ziemi, szorstki w dotyku i wyszczerbiony.

Przeniósł wzrok z Careny na Donara – starszego, okaleczonego mężczyznę, którego nazywali Starszym – a potem na brodacza i tę drugą kobietę, Elenę. Kiedy patrzyła na niego, w jej twarzy płonęło światło, widoczne nawet w mroku chaty. Odwrócił się od niego jako od jednej z rzeczy – a może jedynej rzeczy – z którą nie potrafił sobie poradzić. Nie teraz, a może już nigdy w życiu. Obrzucił spojrzeniem zebranych. Siedemnaścioro. Dziewięciu mężczyzn i osiem kobiet. Wszyscy mieli w rękach kubki, czekali na niego. Mattio powiedział, że na miejscu spotkania będzie ich więcej. Nie potrafił powiedzieć o ile.

Wiedział, że postępuje nierozważnie. Że daje się ponieść potędze Nocy Żaru, niezaprzeczalnej prawdzie snu Donara, temu, że na niego czekali. Oraz, jeśli byłby względem siebie uczciwy, wyrazowi oczu Eleny w chwili, kiedy do niej podszedł. Kusił los, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

Uczył to jednak albo właśnie miał zamiar uczynić. Pomyślał o Alessanie i o wszystkich tych razach, kiedy beształ księcia, swoją bratnią duszę, lub sobie z niego dworował za to, że pozwalał swej pasji do muzyki sprowadzać się na niebezpieczne ścieżki. Co teraz powiedziałby Alessan lub wygadana Catriana? Albo Devin? Nie, Devin nic by nie powiedział – obserwowałby go uważnie i w swoim czasie doszedłby do własnych wniosków. Sandre natomiast nazwałby go głupcem.

Być może nim jest. Słowa Donara poruszyły jednak jakąś strunę głęboko ukrytą w sercu Baerda. Przez całe życie nosił przy sobie w skórzanym woreczku czepek, w którym się urodził. Po prostu nieszkodliwy przesąd. Powiedziano mu w dzieciństwie, że to amulet chroniący przed utonięciem. Tutaj jednak znaczył coś więcej i trzymany w dłoniach kubek świadczył o zaakceptowaniu przez niego tego faktu. Prawie dwadzieścia lat, powiedział Mattio. Inni z zachodu, powiedział Donar.

Mogło w tym być niewiele albo bardzo dużo, zupełnie nic albo wszystko.

Spojrzał na Elenę i wysączył napój do dna. Był gorzki, zabójczo gorzki. Przez jedną pełną paniki, irracjonalną chwilę bał się, że jest już po nim, że został otruty, złożony w krwawej ofierze w jakimś nieznanym wiosennym obrzędzie wyznawców Carlozziego.

Wtedy zobaczył kwaśną minę Carenni pijącej ze swojego kubka, spostrzegł, że smak napoju wykrzywia twarz brodacza, i panika minęła.

Długi stół zdjęto z krzyżaków i odstawiono, a na podłodze rozłożono sienniki. Podeszła do niego Elena i skinęła ręką. Niegrzecznie byłoby odmówić, więc Baerd podszedł z nią do jednej ze ścian i położył się na sienniku, który mu wskazała. Usiadła bez słowa na sąsiednim.

Baerd przywołał obraz swej siostry i tego, jak trzymając się za ręce, szli z Dianorą po ciemnej i cichej drodze, jakby na całym szerokim świecie spacerowali tylko oni.

Młynarz Donar podszedł do siennika z drugiej strony Baerda. Oparł kule o ścianę i osunął się na posłanie.

– Zostaw swój miecz tutaj – powiedział. Baerd uniósł brwi.

Donar uśmiechnął się enigmatycznie, bez wesołości. – Tam, dokąd idziemy, będzie beużyteczny. Znajdziemy broń na polach.

Baerd wahał się przez chwilę, a potem, czując jeszcze większą niefrasobliwość, mistyczne szaleństwo, którego nie potrafiłby wyjaśnić, zdjął przez głowę pochwę z mieczem i położył ją pod ścianą obok kul Donara.

– Zamknij oczy – usłyszał słowa Eleny. – Tak jest łatwiej. – Jej głos brzmiał dziwnie odległe. Napój zaczynał działać. – Będziesz miał wrażenie, że śpisz. Udziel nam, ziemio, łaski, a ty, niebo, światła. – To były ostatnie słowa, jakie usłyszał.

Nie śnił. Cokolwiek to było, nie było snem, bo żaden sen nie mógłby być taki wyraźny, żaden wiatr ze snu nie mógłby tak ciąć w twarz.

Stał na otwartym polu, szerokim, ciemnym ugorze, czuł zapach wiosennej gleby i zupełnie nie pamiętał, jak się tu dostał. Razem z nim była rzesza innych ludzi – dwie setki, a może więcej – i ich także nie pamiętał. Pewnie przybyli z innych górskich wiosek, z domów zebrani – jak dom Mattia.

Światło było dziwne. Baerd spojrzał w górę.

Zobaczył, że księżyc jest okrągły i duży – i zielony niczym pierwsza złocista zieleń wiosny. Świecił tym zielonym i złocistym blaskiem wśród konstelacji, których Baerd nigdy przedtem nie widział. Z mocno bijącym sercem, oszołomiony i dezorientowany, zakreślił się, szukając na niebie czegoś znajomego. Spojrzał ku południowi, gdzie powinny być góry, lecz tak daleko, jak sięgał w zielonym świetle jego wzrok, widział rozciągające się w dal płaskie pola. Niektóre były nagie, inne falowały dojrzałym, letnim zbożem, a przecież powinna być dopiero wiosna. Żadnych gór. Żadnych ośnieżonych szczytów, przełęczy Braccio i leżącej za nią Quilei. Znow się obrócił. Nie ma zamku Borso na północy ani na wschodzie. A może na zachodzie?

Zachód. Wiedziony złym przeczuciem odwrócił się, żeby spojrzeć w tym kierunku. Nie kończącymi się rzędami wznosiły się tam i opadały niskie wzgórza. Baerd zobaczył, że wzgórza są pozbawione drzew, trawy, kwiatów, zarośli i krzewów, że są ponure, nagie i jałowe.

– Dobrze, patrz tam – odezwał się z tyłu głęboki głos Denara – a zrozumiesz, dlaczego tu jesteśmy. Jeśli dzisiaj przegramy, to kiedy wrócimy za rok, pole, na którym stoimy, będzie równie opustoszałe jak tamte wzgórza. Inni doszli już na te nizinne pola uprawne. W ciągu minionych lat przegrywaliśmy bitwy o tamte wzgórza. Teraz walczymy na równinie i jeśli nic się nie zmieni, to pewnej nieodległej Nocy Żaru nasze dzieci czy też ich dzieci staną plecami do morza i przegrają ostatnią bitwę w naszej wojnie.

– I co wtedy? – Baerd wciąż wpatrywał się w leżącą na zachodzie szarą, kamienną pustynię wzgórz.

– Wtedy nie będzie zbiorów. Nie tylko tu, w Certando. Ludzie będą umierać z głodu i zarazy.

– W całej Dłoni? – Nie mógł oderwać wzroku od tego obrazu spustoszenia. Wyobraził sobie taki pozbawiony życia cały świat. Zadrzał. Serce mu się ściskało od tego widoku.

– W Dłoni i poza nią, Baerdzie. Pamiętaj, że to nie jakaś lokalna potyczka, bitwa o mały półwysep. Chodzi o cały świat, a może i o inne światy, jest bowiem powiedziane, że nasz świat nie jest jedynym rzuconym przez Moce między czas i gwiazdy.

– Nauczał tego Carlozzi?

– Nauczał tego Carlozzi. Jeśli właściwie rozumiem jego nauki, nasze troski są związane z jeszcze większym niebezpieczeństwem obecnym gdzie indziej, w światach, których nigdy nie widzieliśmy i nie zobaczymy, chyba że we śnie.

Baerd potrząsnął głową, wciąż patrząc na zachód, na wzgórza.

– To dla mnie zbyt odległe. Zbyt trudne. Potrafię obrabiać kamień, czasami jestem kupcem i w ciągu wielu lat wbrew własnej woli i skłonnościom nauczyłem się walczyć. Żyję na półwyspie zagarniętym przez zamorskich wrogów. To jest poziom zła, który potrafię ogarnąć.

Odwrócił się od wzgórz i spojrzał na Donara. Mimo że był uprzedzony, oczy rozwarły mu się ze zdumienia. Młynarz stał na dwóch zdrowych nogach, jego siwe, przerzedzone włosy stały się gęste i ciemnobrązowe jak u Baerda, a obrazu mężczyzny w sile wieku dopełniały wyprostowane szerokie ramiona i wysoko uniesiona głowa.

Wtedy podeszła do nich kobieta i Baerd poznał w niej Elenę, ponieważ nie była zbyt odmieniona. Wydawała się co prawda starsza, mniej krucha i miała krótsze włosy, lecz mimo obcości światła zachowała ich platynowy kolor. Spostrzegł, że jej oczy są ciemnoniebieskie.

– Czy przed godziną twoje oczy miały ten sam kolor? – zapytał.

Uśmiechnęła się nieśmiało, choć z zadowoleniem.

– Uplętnęło więcej czasu niż godzina. Nie wiem, jak wyglądam w tym roku. Za każdym razem jest trochę inaczej. Jakie są teraz?

– Niebieskie. Bardzo niebieskie.

– A zatem tak, zawsze takie były. Może nie bardzo niebieskie, ale niebieskie. – Uśmiechnęła się szeroko. – Mam ci powiedzieć, jak ty wyglądasz? – Jej głos brzmiał niestosowną lekkością. Nawet usta Donara drgały z rozbawienia.

– Powiedz.

– Wyglądasz jak chłopiec – odparła z cichym śmiechem. – Czternasto – czy piętnastoletni, o wiele za szczupły chłopiec bez brody i z szoną brązowych włosów, które z przyjemnością bym ci podcięła.

Baerd poczuł, że serce wali mu jak młotem. Miał wrażenie, że na moment przestało bić i dopiero po chwili wróciło z mozołem do pracy. Odwrócił się gwałtownie od Eleny i Donara, wpatrując się w swe dłonie. Rzeczywiście wydawały się jakieś inne. Gładsze, mniej pobrużdżone. Nie miał też blizny po ranie zadanej nożem przed pięciu laty w Tregei. Zamknął oczy, bo nagle zrobiło mu się słabo.

– Baerdzie? – zapytała z niepokojem Elena. – Przepraszam. Nie chciałam...

Potrząsnął głową. Chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Chciał uspokoić ją i Donara, że nic mu nie jest, ale, rzecz zupełnie nie do wiary, chyba płakał – po raz pierwszy od dwudziestu lat.

Po raz pierwszy od czasu, gdy jako czternastoletniego chłopca rozkaz księcia oraz ojca zatrzymał go w domu i nie pozwolił pójść na wojnę. Nie mógł walczyć i zginąć z nimi nad czerwonymi brzegami Deisy, kiedy skończył się cały blask.

– Zachowaj spokój, Baerdzie – usłyszał głęboki, łagodny głos Donara. – Zachowaj spokój. Tu zawsze jest dziwnie.

A potem poczuł na ramionach kobiece dłonie, które po chwili osunęły się w dół i złączyły na jego piersi. Przytuliła się policzkiem do jego pleców i obejmowała go tak przez jakiś czas, silna, opiekuńcza i wielkoduszna, a on płakał, zakrywając twarz rękoma.

Nad nimi księżyc w pełni był zielonozłocisty, a wokół nich leżały dziwne pola, to nagie, to świeżo obsiane, to pełne dojrzałych ziaren, to całkowicie jałowe i stracone, na zachodzie.

– Nadchodzą – powiedział ktoś, zbliżając się do nich. – Spójrzcie. Lepiej weźmy broń.

Rozpoznał głos Mattia. Elena puściła go i cofnęła się. Baerd wytarł oczy i znów spojrzał ku zachodowi.

I zrozumiał, że wojna Żaru daje mu jeszcze jedną szansę. Szansę naprawienia tego, co poszło tak strasznie źle w świecie latem tego roku, w którym miał czternaście lat.

Z zachodu nadciągali przez wzgórza nienaturalnie wyraźni, choć byli jeszcze daleko, w nienaturalnym świetle Inni. Wszyscy co do jednego mieli na sobie barwy Ygrathu.

– O Moriano! – szepnął, spazmatycznie wciągając powietrze.

– Co widzisz? – zapytał Mattio.

Baerd odwrócił się. Mężczyzna był szczuplejszy, a jego czarna broda na pewno została przyszytych, lecz można było w nim rozpoznać tę samą osobę.

– Ygratheńczyków – odparł wznoszącym się z emocji głosem. – Żołnierzy króla Ygrathu. Być może nigdy ich nie widzieliście tak daleko na wschodzie, ale to są właśnie wasi Inni.

Mattio zamyślił się. Potrząsnął głową, ale przemówił Donar.

– Nie daj się zwieść, Baerdzie. Pamiętaj o tym, gdzie jesteśmy i co ci powiedziałem. Nie znajdujesz się na naszym półwyspie, to nie jest walka z twoimi najeźdźcami zza morza.

– Ale ja ich widzę. Denarze. Wiem, co widzę.

– Czy mam ci powiedzieć, że ja tam widzę ohydne szare i bure kształty, nagie i bezwłose, które tańczą i kopulują, naigrawając się z nas swoją liczebnością?

– A dla mnie oni są zupełnie inni – powiedział ostro, prawie z gniewem Mattio. – Są więksi od ludzi, z futrem na grzbietach zbiegającym się w ogon jak u górskich kotów. Chodzą na dwóch nogach, ale na palcach mają pazury, a w pyskach ostre jak brzytwa zęby.

Baerd z powrotem odwrócił się ku zachodowi, wyężając wzrok w niesamowicie jasnym, zielonym świetle tego miejsca. Serce mu waliło. Wciąż jednak spośród wzgórz wylewali się żołnierze uzbrojeni w miecze, piki i faliste noże z Ygrathu.

Odwrócił się w rozpacz do Eleny.

– Nie chcę nazywać tego, co widzę – mruknęła, spuszczać oczy. – To zbyt przerażające. Stwory, których bałam się w dzieciństwie. Widzisz jednak coś innego, Baerdzie. Uwierz mi. Uwierz nam. Być może Inni przybierają kształt tego, czego najbardziej nienawidzimy, ale nie jest to bitwa z naszego dziennego świata.

Potrząsnął przecząco głową. Nie brakowało mu animuszu, słyszał szum krwi w żyłach. Inni

podchodzili coraz bliżej, wylewając się spośród wzgórz całymi setkami.

– Ja zawsze toczę tę samą bitwę – powiedział do Eleny i do obu mężczyzn. – Przez całe życie. Gdziekolwiek jestem. I wiem, co tam widzę. Mogę wam powiedzieć, że mam teraz piętnaście lat, a nie czternaście, bo inaczej by mnie tu nie było. Nie dostałbym zezwolenia. – Uderzyła go pewna myśl. – Powiedzcie mi, czy na zachód od nas jest jakiś strumień, rzeka, do której schodzą?

– Tak – odparł Donar. – Chcesz tam się włączyć do walki? Baerdem o władnęła czerwona, potężna radość, dzika i nieopanowana.

– Tak. O, tak. Skąd mamy wziąć broń, Mattio?

– Stamtąd. – Mattio wskazał ręką na pobliskie pólko, gdzie wbrew porze roku rosło wysokie zboże. – Chodź. Za chwilę znajdą się nad twoim strumieniem.

Baerd nic nie powiedział. Poszedł za Mattiem. Przyłączyli się do nich Elena i Donar. Na polu zboża byli już inni mężczyźni i kobiety; Baerd zauważył, że pochylają się, zrywając źdźbła, które tej nocy mają być ich bronią. Było to niewiarygodne, niesamowite, ale Baerd zaczynał się już oswajać z tym miejscem, rozumieć działającą tu magię. Częścią umysłu funkcjonującą poza surową logiką dnia pojął, że tak bardzo zagrożone wysokie, żółte zboże stanowi tej nocy jedyną możliwą broń. Będą walczyć o pola ze zbożem w dłoniach.

Wszedł między ludzi znajdujących się na polu, ostrożnie stawiając nogi, pochylił się i chwycił złotą łodygę. Wyszła z ziemi łatwo, chętnie poddając się jego ręce w tę zieloną noc. Wrócił na puste pole, zważył łodygę w dłoni, zamachnął się nią ostrożnie i zobaczył, że zeszywniała niby kuty metal. Przecięła powietrze ze świstem. Dotknął ostrza palcem i skaleczył się. Łodyga przewyższała ostrością wszystkie klingi, jakie kiedykolwiek trzymał w ręce, a miała tyle ostrzy, ile wyrabiane przed wiekami legendarne klingi z Quilei.

Spojrzał ku zachodowi. Ygratheńcy schodzili z najbliższego wzgórza. W świetle księżyca widział błysk ich broni. To nie sen, powiedział sobie w duchu. To nie sen.

Obok niego stał nieporuszony, posepny Donar. Dalej był Mattio z zaciętym wyrazem twarzy. Z tyłu i wokół nich gromadzili się mężczyźni i kobiety, a wszyscy trzymali w rękach zbożowe miecze i wszyscy wyglądali tak samo: twarze mieli surowe, stanowcze i bez cienia lęku.

– Ruszajmy – przemówił wtedy Donar, odwracając się, by na wszystkich spojrzeć. – Ruszajmy do walki o pola i nasze rodziny. Pójdziecie za mną na wojnę Żaru?

– Za pola! – krzyknęli Nocni Wędrowcy i unieśli w niebo swe żywe miecze.

To, co wykrzyczał Baerd di Tigana bar Saevar, wykrzyczał tylko w swym sercu, lecz ruszył naprzód ze wszystkimi, dzierżąc w ręku kłos zboża niczym długi miecz, by walczyć pod bladezielonym księżycem w tym zaczarowanym miejscu.

Kiedy Inni padali na ziemię, pokryci łuskami i szarzy, ślepi i rojący się od robaków, nie było widać krwi. Elena wiedziała, dlaczego tak się dzieje, bo przed laty wytłumaczył jej to Donar: krew oznacza życie, a ich nieprzyjaciele są wrogami, są przeciwieństwem jakiegokolwiek życia. Kiedy padają pod ciosami zbożowych mieczy, nic z nich nie wypływa, nic nie wsiąka w ziemię.

Było ich tak wielu. Przewalali się szarą masą niczym pozbawione muszli ślimaki, wylewając się spomiędzy wzgórz i ciągnąc nad strumień, gdzie stawili im czoło Donar, Mattio i Baerd.

Elena przygotowywała się do walki w głośnym, wirującym, zielonkawym chaosie nocy. Bała się, lecz wiedziała, że z tym da sobie radę. Pamiętała, jak śmiertelnie była przerażona podczas swej pierwszej wojny Żaru, zastanawiając się, jak może walczyć z tymi ohydnyimi stworami rodem z koszmaru, skoro w świetle dnia ledwo potrafi udźwignąć miecz.

Donar i Verzar uspokoili ją jednak: tu, w czasie zielonej nocy magii liczy się dusza i duch, tutaj ciała, w jakich się znaleźli, kształtuje i napędza odwaga oraz pragnienie. Podczas Nocy Żaru Elena czuła się o wiele silniejsza, o wiele zręczniejsza i szybsza. To też ją przerażało, tak za pierwszym razem, jak i potem: pod tym zielonym księżycem potrafiła zabijać. Musiała sobie jakoś z tą świadomością poradzić, oswoić się z nią. Udawało się to wszystkim, chociaż w różnym stopniu. Nikt z nich nie był taki sam jak pod słońcem czy dwoma księżycami ich świata. Owej wojennej nocy ciało Donara z każdym rokiem coraz bardziej przybliżało się do swego utraconego kształtu.

Podobnie jak Baerd, który też sięgnął wstecz, lecz bardziej niż można się było domyślić czy spodziewać. Powiedział, że ma piętnaście lat. Nie czternaście, bo wtedy nie pozwolono by mu przyjść. Elena tego nie rozumiała, ale nie miała czasu, żeby roztrząsać takie sprawy. Nie teraz. Inni znajdowali się już w strumieniu i próbowali z niego wyjść, przyobklekszy ohydne kształty, jakie nadał im jej umysł.

Uchyliła się przed toporem, którym zamachnął się ociekający wodą potwór, gramoląc się na brzeg, zacisnęła zęby i cięła w dół z instynktowną skutecznością, o jaką nigdy by się nie podejrzewała. Poczula, jak jej klinga, ten żywy miecz, rozcina łuskowaty pancerz i zagłębia się w pełne robaków ciało przeciwnika.

Z trudem wyciągnęła z niego miecz, nienawidząc tego, co robi, lecz jeszcze bardziej nienawidząc Innych. Odwróciła się, w ostatniej chwili parując kolejne uderzenie i cofnęła o krok przed dwoma atakującymi ją z prawej strony stworami. Uniosła broń w rozpaczliwej próbie obrony.

Nagle naprzeciw niej został tylko jeden z Innych. Po chwili nie było już żadnego.

Opuściła miecz i spojrzała na Baerda. Na tego obcego przybysza, na daną jej przez noc obietnicę. Uśmiechnął się do niej, stojąc z zaciśniętymi wargami nad ciałami Innych, których właśnie zabił. Uśmiechał się, uratowawszy jej życie, ale nie powiedział ani słowa. Potem poszedł nad brzeg rzeki. Patrzyła za nim, widziała, jak jego chłopiące ciało rzuca się w wir walki, i nie

wiedziała, czy poddać się fali nadziei wywołanej jego zdumiewającą sprawnością, czy boleć nad wyrazem jego zbyt młodzieńczego spojrzenia.

Nie było jednak czasu na takie rozważania. Rzeka kipiała od ciał brnących w niej Innych. Zieloną noc przecinały niczym ostrza dźwięku wrzaski bólu i okrzyki wściekłości. Zobaczyła stojącego na brzegu trochę dalej na południe Donara, który trzymanym oburącz mieczem zataczał kręgi sprzeciwu. Zobaczyła stojącego obok niego Mattia, który z niezachwianą odwagą zadawał cięcia i pchnięcia, zręcznie omijając padające ciała. Wszędzie wokół niej Nocni Wędrowcy Certando rzucali się do walki.

Zobaczyła jedną i drugą kobietę padającą pod ciosami zalewającej je fali stworów z zachodu. Krzyknęła z wściekłości i obrzydzenia; wróciła biegiem nad brzeg rzeki, do Carenni, wymachując mieczem i czując, jak krew – krew, która jest życiem i obietnicą życia – burzy się jej w żyłach z chęci odparcia wroga. Odparcia go teraz, tej nocy, a potem znów za rok, i jeszcze później, i w każdą następną Noc Żaru, by wiosenne siewy dały plony, by ziemia mogła jesienią dać owoce. W tym roku i w następnym, i jeszcze w następnym.

Tkwiąc pośród wrzawy i hałasu, Elena spojrzała w górę. Oceniała wysokość wciąż wznoszącego się księżycy i nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć z niepokojem na najbliższe ze zniszczonych wzgórz za strumieniem. Nikogo tam jeszcze nie było.

Ale będzie. Na pewno. Co wtedy? Przestała o tym myśleć. Co będzie, to będzie. Wokół niej szalała wojna, a wynurzający się z rzeki po obu jej stronach Inni budzili dość przerażenia, by sparaliżować każdego.

Przystała myśleć o wzgórzu i potężnie cięła w dół. Poczula, jak ostrze zagłębia się w chropawe ramię. Usłyszała, jak Inny wydaje wilgotny, bulgocący dźwięk. Wyszarpnęła miecz i rzuciła się w lewo, ledwo parując cięcie z boku i z trudem utrzymując równowagę. Carenna podtrzymała ją wolną ręką od tyłu – nie miała nawet czasu spojrzeć, ale wiedziała, kto jej pomógł.

Pod nieznanymi gwiazdami i w zielonym blasku księżycy panowało szaleństwo i chaos, wszędzie rozlegały się wrzaski, a brzeg rzeki był błotnisty, śliski i zdradziecki. Inni Eleny byli wilgotni i szarzy, ciemni od pasożytów i otwartych wrzodów. Zacisnęła zęby i walczyła, poddając swe odmienione w Noc Żaru ciało przewodnictwu duszy. Żdźbło zboża, które było jej mieczem, wibrowało życiem pochodzącym tyleż z niego samego, co z niej. Była schlapana błotem, wodą i chyba krwią, ale nie mogła tego sprawdzić, nie było czasu na nic poza parowaniem, zadawaniem ciosów i pchnięć, walką o utrzymanie równowagi na pochyłym brzegu, upadek bowiem oznaczał śmierć.

W rzadkich, halucynacyjnych przeblyskach zdawała sobie sprawę z obecności u swego boku Donara i Carenni. Potem zobaczyła, jak młynarz odchodzi z garstką innych, by zablokować wypad wroga ku południowi. W pewnej chwili z jej lewej strony pojawił się Baerd, osłaniając ją

w zastępstwie Donara, kiedy jednak znów rzuciła tam okiem – księżyc stał teraz bardzo wysoko – już zniknął.

Wtem zauważyła, dokąd się oddalił. Był w rzece, nie czekając, aż Inni zbliżą się do niego. Atakował ich w wodzie, wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa. Był szczupły, młody i bardzo piękny – a także zabójczo groźny. Zobaczyła ciała Innych piętrzące mu się u stóp niczym szare błoto tamujące bieg strumienia. Wiedziała, że on ich widzi inaczej. Powiedział, że dla niego byli to żołnierze z Ygrathu, żołnierze tyrana zachodu, Brandina.

Klinga jego miecza migała tak szybko, że tworzyła rozmazany wir. Stał mocno niczym drzewo, po kolana w wodzie i wrogowie nie mogli ani zepchnąć go w tył, ani przeżyć w bezpośrednim starciu. Inni zaczęli się gorączkowo wycofywać, usiłując omijać swoich zabitych, by przedostać się dalej w dół strumienia. Baerd spychał ich, walcząc samotnie w wodzie. Na jego twarz i żywe źdźbło zboża służące mu za miecz padało dziwne światło księżyca. Był zaledwie piętnastoletnim chłopcem. Serce Eleny wrywało się ku niemu, choć sama walczyła z wszechogarniającym znużeniem.

Zmusiła się do utrzymania swej pozycji na północ od niego, na błotnistym brzegu. Carena walczyła teraz u boku Donara, nieco dalej na południe. Przy Elenie stało dwóch mężczyzn i jedna kobieta z innej wioski. We czwórkę walczyli teraz o ich kawałek śliskiej ziemi, próbując w jedno zgrać swoje ruchy i myśli.

Nie byli wojownikami, nikt ich nie szkolił do walki. Byli rolnikami i żonami rolników, młynarzami, kowalami i tkaczami, murarzami i służebnymi, pasterzami kóz na wzgórzach Braccio. Wszyscy jednak urodzili się w czepku, w górach, dlatego w dzieciństwie zostali wyznaczeni do pobierania nauk Cariozziego i wzięcia udziału w wojnie Żaru. Pod tym zielonym księżycem – który minął już najwyższy punkt swej wędrówki po niebie i niedługo zajdzie – żarliwość dusz prowadziła ich dłonie, w imię życia władające klingami, w które zmieniło się wysokie zboże.

Tak walczyli Nocni Wędrowcy nad rzeką, by urzeczywistnić najgłębsze, najstarsze marzenie rozległych pól leżących poza wysokimi murami miast. Marzenie Ziemi, darzącej życiem gleby, żyznej, wilgotnej i rozkwitającej w cyklu pór roku i lat, marzenie odepchnięcia Innych coraz dalej, a w końcu, pewnego szczęśliwego roku, którego nikt z nich nie dożyje, ostatecznego ich pokonania.

I nadszedł czas, że pośród zamętu i szaleństwa, wśród krzyków, błyskawicznych ruchów i rozpasanej przemocy, Elena i jej troje towarzyszy wywalczyli sobie chwilę wytchnienia. Udało jej się podnieść wzrok i zobaczyć, że w strumieniu jest już mniej wrogów, a na zachód od rzeki Inni miotają się bezładnie. Zobaczyła, że Baerd wchodzi głębiej do wody, zanurzając się w niej po biodra i wołając do nieprzyjaciół, żeby do niego podeszli. Przeklinał ich głosem pełnym udręki, zmienionym prawie nie do poznania.

Elena ślaniała się z wyczerpania. Oparła się na mieczu i spazmatycznie chwytła wielkie hausty powietrza. Rozejrzała się i zauważyła, że jeden z mężczyzn, którzy walczyli obok niej, przykląkł, ściskając się za prawe ramię. Krwawił z paskudnej rany o poszarpanych brzegach. Ukłękła przy nim i osłabłymi palcami zaczęła szarpać na sobie ubranie, żeby przewiązać mu ranę. Mężczyzna ją powstrzymał.

Powstrzymał, dotknął jej ramienia i bez słowa pokazał na drugi brzeg strumienia. Skierowała wzrok ku zachodowi, czując ponowny przypływ strachu. W tej chwili pozornego zwycięstwa Elena zobaczyła, że czubek najbliższego wzgórza nie jest już pusty, że coś tam stoi.

– Spójrzcie! – zawołał wtedy któryś z mężczyzn znajdujący się dalej nad rzeką. – On znów jest z nimi! Jesteśmy zgubieni!

Ten krzyk podjęły z rozpaczą i przerażeniem inne głosy wzdłuż brzegów rzeki, wszyscy bowiem już zobaczyli tę spowitą cieniem postać. W najmroczniejszych zakamarkach swego serca Elena czuła, że tak będzie.

Było tak prawie zawsze w ciągu tych ostatnich piętnastu, dwudziestu lat, chociaż Donar mówił, że nigdy przedtem. Kiedy zielony księżyc w pełni zaczynał zachodzić, kiedy tyle razy wydawało się, że mają szansę odrzucić Innych, na tyłach szeregów wroga pojawiał się ten sam ciemny kształt spowity oparem i mgłą niczym całunem.

W latach klęsk właśnie tę postać postępującą do przodu widzieli Wędrowcy, kiedy oni sami cofali się, pobici. To właśnie ona wkraczała na zaciekle bronione tereny, na utracone pola, i brała je w posiadanie. Tam, gdzie stąpała po ziemi, wędły rośliny, rozprzestrzeniała się zaraza i spustoszenie.

Stała teraz na najbliższym z leżących na zachód od rzeki ogołoconych wzgórz. Unosiła się wokół niej chmura gęstej mgły. Elena nie widziała twarzy postaci – nikt z nich nigdy jej nie widział – lecz mimo oparu i ciemności zauważyła, jak unosi ręce i wyciąga je ku nim, sięgając po stojących na brzegu Wędrowców. Elena poczuła nagle ukłucie zimna przeszywające jej serce, sprowadzające na nią straszliwy, obezwładniający chłód. Zaczęły jej drżeć nogi i ręce; miała wrażenie, że nic, absolutnie nic nie może zrobić, by zachować odwagę.

Inni po drugiej stronie strumienia, armia, sprzymierzeńcy czy też bezpostaciowe emanacje ducha tej postaci, zobaczyli, że wyciąga ona ręce ku polu walki. Elena usłyszała w ich okrzykach nagłą, dziką radość i ujrzała, jak gromadzą się za rzeką do kolejnego ataku. Ze znużeniem i rozpaczą wkradającą się do serca przypomniała sobie, że tak samo było w zeszłym roku oraz poprzedniej wiosny i jeszcze wcześniej. Miała bolesną świadomość zbliżającej się przegranej, a mimo to starała się zmusić swe wyczerpane ciało do odparcia kolejnego ataku.

Obok niej stanął Mattio.

– Nie! – wydyszał z tępym, beznadziejnym uporem, ślepo przeciwstawiając się mocy stojącej na wzgórzu postaci. – Tym razem nie! Niech mnie zabiją! Nie wycofujemy się!

Mówił z trudem i Elena zobaczyła, że krwawi. Miał rozcięty prawy bok i nogę. Kiedy wyprostował się, żeby podejść do brzegu, kulał. Szedł jednak naprzód, prosto do rzeki ku temu, co na nich napierało. Elenie wyrwał się z zaschłego gardła szloch.

Inni znów nacierali. Ranny mężczyzna obok niej z trudem wstał z kolana, trzymając miecz w lewej dłoni. Jego bezużyteczna prawa ręka zwisała bezwładnie. Dalej wzdłuż brzegu zobaczyła mężczyzn i kobiety zranionych równie ciężko lub nawet ciężiej. Wszyscy jednak stali z uniesionymi klingami. Z miłością i ukłuciem dumy graniczącej z bólem Elena zobaczyła, że Nocni Wędrowcy się nie cofają. Byli gotowi utrzymać swoje pozycje, a przynajmniej tego spróbować. Wiedziała, że niektórzy z nich zginą.

Wtem u jej boku stanął Donar i Elena wzdrygnęła się na widok jego pobladłej twarzy.

– Nie – powiedział. – To szaleństwo. Musimy się wycofać. Nie mamy wyboru. Jeśli tej nocy stracimy zbyt wielu, następnej wiosny będzie jeszcze gorzej. Muszę grać na zwłokę, żywić nadzieję na coś, co przyniesie zmianę. – Słowa te brzmiały tak, jakby ktoś mu je wykrobywał z gardła.

Elena zaczęła płakać. Kiedy kiwnęła głową, żeby pokazać Denarowi, że go rozumie, wspiera i chce ulżyć jego bólowi, a tryumfujący, nienawistni i niezmordowani Inni znów się zbliżyli, nagle zdała sobie sprawę, że Baerda nie ma na brzegu. Odwróciła się ku rzece, szukając go, i zobaczyła początek cudu.

Ani przez chwilę nie miał najmniejszych wątpliwości. Gdy tylko spowita mgłą postać pojawiła się na czarnym wzgórzu, Baerd wiedział, kto to jest. W jakiś dziwny sposób wiedział to nawet jeszcze przed pojawieniem się owego okrytego cieniem kształtu. Baerd uświadomił sobie, że właśnie ta zjawka jest przyczyną jego tu obecności. Donar być może tego nie wiedział, ale właśnie dlatego Starszemu przyśnił się przybysz i dlatego tej nocy nogi zawiodły Baerda do miejsca, z którego Elena patrzyła w ciemność. Wydawało się, że było to bardzo dawno temu.

Nie widział postaci wyraźnie, lecz naprawdę nie miało to znaczenia. Wiedział, co tu jest stawką. Zupełnie jakby wszystkie smutki, lekcje i działania jego życia, dzielone z Alessanem doświadczenia sprowadziły go nad tę rzekę zalaną blaskiem zielonego księżyca, żeby ktoś tutaj mógł się dokładnie dowiedzieć, czym jest postać na czarnym wzgórzu i jaka jest istota jej mocy. Mocy, której Nocni Wędrowcy nie potrafili się przeciwstawić, ponieważ jej nie rozumieli.

Usłyszał za sobą plusk i instynktownie wyczuł obecność Mattio. Nie odwracając się, podał mu swój dziwny miecz. Inni – znienawidzeni Ygratheńscy z jego snów – znów się gromadzili na zachodnim brzegu.

Nie zwracał na nich uwagi. Byli narzędziami. W tej chwili nie mieli żadnego znaczenia. Zostali pokonani przez odwagę Donara i Wędrowców. Teraz liczyła się tylko osłonięta cieniem postać i Baerd wiedział, jak sobie z nią poradzić. Nie umiejętnościami szermierczymi ani nawet mieczami ze zboża. Ich czas już się skończył.

Zaczerpnął głęboko powietrza, uniósł ręce i wycelował je w niewyraźną postać stojącą na wzgórzu, dokładnie tak, jak ona mierzyła rękoma w nich. Z sercem wypełnionym po brzegi zadawnionym bólem i świeżą pewnością, świadom, że Alessan powiedziałby to lepiej, lecz wiedząc, że to jego zadanie, i wiedząc, co trzeba zrobić, Baerd zawołał w tę obcą noc:

– Idź precz! Nie lękamy się ciebie! Wiem, kim jesteś i skąd płynie twoja moc! Idź precz albo w tej chwili wypowiem twoje imię i zniszczę twoją siłę – obaj znamy siłę imion tej nocy!

Ochryple wrzaski po drugiej stronie rzeki stopniowo zamikły i ucichły pomruki Wędrowców. Zrobiło się bardzo cicho, śmiertelnie cicho. Baerd słyszał tuż za sobą wysilony, bolesny oddech Mattia. Nie obejrzał się. Czekał, usiłując przeniknąć opar spowijający postać na wzgórzu. Kiedy tak patrzył, serce mu żywiej zabiło, wydało mu się bowiem, że jej uniesione ramiona nieco opadły. Że gęsta mgła odrobinę się przerzedziła.

Nie zwlekał dłużej.

– Idź precz! – znów zawołał, tyle że jeszcze głośniejszym i pewniejszym głosem. – Powiedziałem, że wiem, kim jesteś. Jesteś duchem najeźdźców. Obecnością zarówno Ygrathu, jak i Barbadoru na tym półwyspie. Jesteś tyranią na ziemi, która była wolna. Jesteś zarazą i zniszczeniem tych pól. Posłużyłeś się na zachodzie swoją magią, by dokonać profanacji, by wymazać z pamięci nazwę. Dzierżysz władzę nad ciemnością i cieniem pod tym księżycem, ale ja cię znam i potrafię nazwać, zatem nikną wszystkie twoje cienie!

Spojrzał i zobaczył, że słowa, które do niego przysły, są prawdziwe! Działy. Widział, jak mgła rozwiewa się niczym pod uderzeniem wiatru. Jego radość mąciła jednak świadomość, że zwycięstwo zostało odniesione tylko tutaj, tylko w tym nierzeczywistym miejscu. Serce miał zarazem przepełnione i puste. Pomyślał o swym ojcu umierającym nad Deisą, o matce, o Dianorze i wyciągnięte w przód ręce zeszywniały mu. Za plecami usłyszał pierwsze głosy pełnej niedowierzania nadziei.

Mattio szeptał coś zduszonym głosem. Baerd wiedział, że to modlitwa.

Wciąż patrzył bez ruchu z wyciągniętymi rękoma i zamętem w sercu, jak coraz więcej cieni spowijających przywódcę Innych unosi się, rozwiewa i zaczyna znikać za wzgórzem. Przez chwilę Baerdowi wydało się, że widzi postać wyraźniej. Wydało mu się, że ma brodę, jest szczupła, niezbyt wysoka i pomyślał, że wie, który z tyranów nadszedł z zachodu. Na ten widok coś w nim narosło i przebiło się ku powierzchni, jakby jakaś fala rozbiła się o jego duszę.

– Mój miecz! – wychrypiał. – Szybko!

Sięgnął za siebie. Mattio umieścił miecz w jego dłoni. Przed nimi Inni zaczęli odstępować, z początku powoli, potem coraz szybciej i nagle zaczęli biec. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia.

Baerd podniósł wzrok na stojącą na wzgórzu postać. Zobaczył, jak rozwiewają się ostatnie cienie i jeszcze raz wzniosł głos, wkładając weń całą swą duszę:

– Zaczekaj na mnie! Jeśli ty to Ygrath, jeśli naprawdę jesteś czarnoksiężnikiem z Ygrathu, to chcę cię dopaść! Zaczekaj na mnie – już idę! Nadchodzę w imię mojej ojczyzny i mego ojca! Jestem Baerd di Tigana bar Saevar!

Rzucił się przez strumień, wykrzykując swe wyzwanie, i wspiał się na drugi brzeg. Zniszczona ziemia mroziła go przez mokre buty niczym lód. Zdał sobie sprawę, że wszedł na teren, gdzie nie ma miejsca na życie, lecz tej nocy, w tej chwili, w obecności stojącej przed nim na wzgórzu postaci to też nie miało znaczenia. Nie miałyby nawet znaczenia, gdyby zginął.

Armia Innych uciekała, rzucając w biegu broń. Nie było nikogo, kto by mu się przeciwstawił. Znów spojrzał w górę. Księżyc wydawał się zachodzić nienaturalnie szybko. Wyglądał, jakby jego olbrzymia, okrągła tarcza spoczywała na samym szczycie czarnego wzgórza. Postać odcinała się na jej zielonym tle. Cienie zniknęły i Baerd znów zobaczył ją prawie całkiem wyraźnie ponad dzielącymi ich martwymi polami.

Wtem usłyszał długi, szyderczy śmiech jakby w odpowiedzi na jego wykrzywane imię. Był to śmiech z jego snów, śmiech żołnierzy z roku upadku. Ciągłe śmiejąc się, postać bez pośpiechu odwróciła się i zeszła ze szczytu wzgórza, zmierzając ku zachodowi.

Baerd ruszył biegiem.

– Baerdzie, zaczekaj! – usłyszał za sobą wołanie Carennny. – Nie wolno ci przebywać na zniszczonej ziemi po zachodzie księżyca! Wracaj! Zwyciężyliśmy!

Zwyciężyli. On jednak nie odniósł zwycięstwa, cokolwiek Wędrowcy z wyżyn mogli sobie myśleć lub mówić. Walka jego i Alessana ani o krok nie przybliżyła się do zakończenia. Cokolwiek zrobił dla Nocnych Wędrowców Certo, zwycięstwo tej nocy nie należało i nie mogło do niego należeć. Wiedział to w głębi serca. Wiedział to równie dobrze jego wróg, obraz noszonej w duszy nienawiści, i śmiał się z niego, znikając za linią niskiego wzgórza.

– Zaczekaj na mnie! – znów zawołał Baerd, przesywając noc swym młodym, zagubionym głosem.

Rzucił się biegiem po martwej ziemi. Dogonił maruderów wycofującej się armii i zabił ich, nawet nie zwalniając. Nie miało to właściwie znaczenia, mogło jedynie pomóc Wędrowcom w przyszłym roku. Inni rozbiegli się na północ i na południe, uciekając od niego i od wzgórza. Baerd dotarł do zbocza i pobiegł prosto w górę, usiłując zachować równowagę na zimnej, spustoszonej ziemi. Po chwili wychynął na szczyt i wstrzymał oddech.

Znajdował się na szczycie dokładnie tam, gdzie stała spowita w cieniu postać, patrzył na zachód, w kierunku pustych dolin i leżących za nimi zniszczonych wzgórz, i nie widział nic. Nikogo tam nie było.

Dysząc ciężko, odwrócił się szybko ku północy i południowi i zobaczył, że armia Innych też jakby wyparowała. Znów popatrzył na zachód i wtedy zrozumiał.

Zielony księżyc zaszedł.

Był sam na tej pustyni pod czystym, wysokim sklepieniem pełnym lśniących, obcych gwiazd, a powrót Tigany był równie odległy jak przedtem. Jego ojciec nie żył i nigdy do niego nie wróci, a matka i siostra były martwe lub zaginęły gdzieś w świecie.

Baerd osunął się na kolana. Ziemia była zimna niczym w zimie. Zrobiło się chłodniej. Miecz wypadł mu z odrętwiałych nagle palców. Spojrzał na swe dłonie w blasku gwiazd, na szczupłe dłonie chłopca, którym niegdyś był, a potem po raz drugi tej Nocy Żaru zakrył nimi twarz i rozsłochał się, jakby jego serce pękło właśnie teraz, a nie dawno temu.

Elena dotarła do wzgórza i zaczęła na nie wchodzić. Zadyszła się, biegnąc, choć zbocze nie było strome. Kiedy zaczęła wchodzić do rzeki, Mattio chwycił ją za rękę. Powiedział, że przebywanie na zniszczonej ziemi po zachodzie księżyca może oznaczać śmierć, lecz Donar stwierdził, że teraz już nie. Od chwili, kiedy Baerd zmusił cienistą postać do odwrotu, Donar nie przestawał się uśmiechać. Jego twarz jaśniała pełną oszołomienia i niedowierzania radością.

Większość Wędrowców wróciła na pole, skąd wzięli swoją broń. Byli ranni i zmęczeni, lecz upojeni zwycięstwem. Stąd zostaną przed wschodem słońca przeniesieni do domu. Zawsze się tak działo.

Starannie unikając wzroku Mattia, Elena przeszła przez rzekę i poszła za Baerdem. Za sobą słyszała pierwsze pieśni. Wiedziała, co się stanie w zacisznych zagłębieniach, w ciemności tego pola po zwycięstwie Żaru. Elena poczuła, jak na samą myśl o tym szybciej bije jej serce. Domyślała się, co malowało się na twarzy Mattia, kiedy odchodziła od niego, wchodząc do rzeki. Przeprosiła go w duchu, lecz stąpała pewnie, a kiedy dotarła do połowy wzgórza, zaczęła biec, czując nagły lęk o mężczyznę, którego szukała, i o siebie, samotną wśród tej rozległej, ciemnej pustki.

Baerd siedział na szczycie wzgórza, tam gdzie przed swoją ucieczką stała na tle zachodzącego księżyca spowita cieniem postać. Spojrzał z dziwnym przestachem na zbliżającą się kobietę.

Elena zatrzymała się nieśmiało.

– To tylko ja – powiedziała, usiłując złapać oddech. Przez chwilę milczał.

– Przepraszam – rzekł. – Nie spodziewałem się nikogo. Przez chwilę... przez chwilę wyglądałaś prawie dokładnie tak, jak... jak coś, co zobaczyłem, będąc chłopcem. Coś, co zmieniło moje życie.

Elena nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nie zastanawiała się, co zrobi, kiedy już tu dotrze. Teraz, kiedy go znalazła, znów poczuła się niepewnie. Usiadła przed nim na martwej ziemi. Patrzył na nią, lecz nic już nie powiedział.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i rzekła odważnie:

– Powinieneś się kogoś spodziewać. Powinieneś wiedzieć, że przyjdę. – Przełknęła z wysiłkiem ślinę, czując, jak mocno bije jej serce.

Przez długą chwilę Baerd siedział bez ruchu. Głowę lekko przechylił na jedną stronę, jakby wsłuchiwał się w echo jej słów. Potem się uśmiechnął. Jego młoda, zbyt szczupła twarz i zapadnięte, skrzywdzone oczy rozjaśniły się.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję ci, Eleno. – Po raz pierwszy wypowiedział jej imię. Z dala dobiegał ich śpiew zgromadzonych na polu zboża Wędrowców. Gwiazdy świecące na czarnym sklepieniu nieba były niewiarygodnie jasne.

Elena poczuła, że się czerwieni. Spuściła wzrok, unikając jego otwartego spojrzenia. Powiedziała niezręcznie:

– Na martwej ziemi jest niebezpiecznie, a ty nic o tym nie wiesz. Jesteś przecież pierwszy raz. To znaczy z nami. Nawet nie wiedziałbyś, jak wrócić do domu.

– Mam o tym pewne pojęcie – odparł poważnie. – Przypuszczam, że mamy czas do wschodu słońca. W każdym razie nie są to już martwe ziemie. Dzisiaj je odzyskaliśmy. Spójrz na ziemię, po której przeszłaś, Eleno.

Odwróciła się. Z podziwu i zachwytu aż wstrzymała oddech, bo wzdłuż ścieżki, którą tu przyszła, na poprzednio nagiej ziemi wykwitły białe kwiaty.

Widziała kwiaty rozkwitające we wszystkich kierunkach od jej szlaku. Łzy zapiekły ją pod powiekami i potoczyły się po policzkach, zamazując obraz. Zobaczyła jednak wystarczająco dużo, zrozumiała. Odpowiedź Ziemi na to, co zrobili tej nocy. Delikatne białe kwiaty wschodzące w blasku gwiazd stanowiły najpiękniejszy widok w całym jej życiu.

Baerd powiedział cicho:

– Ty to sprawiłaś, Eleno. Twoja obecność tutaj. Musisz tego nauczyć Donara, Carenę i innych. Kiedy wygrywacie wojnę Żaru, nie chodzi tylko o utrzymanie pola walki. Musicie iść za Innymi i ich odepchnąć, Eleno. Można odzyskać ziemie stracone w poprzednich bitwach.

Kiwała głową. W jego słowach słyszała echo czegoś, co wiedziała i o czym zapomniała dawno temu. Teraz to wypowiedziała:

– Ziemia nigdy nie umiera naprawdę. Zawsze może się odrodzić. Inaczej jakież byłoby znaczenie cyklu pór roku i lat? – Otarła łzy i spojrzała na niego.

Wyraz jego pogrążonej w ciemności twarzy był o wiele za smutny na taką chwilę. Chciała znać sposób na rozproszenie tego smutku, i nie tylko na tę jedną noc. Baerd powiedział:

– Rzeczywiście. Przynajmniej jeśli chodzi o największe sprawy. Mniejsze mogą przepaść. Ludzie, marzenia, ojczyzna.

Elena impulsywnie ujęła go za rękę. Była delikatna i szczupła. Leżała w jej dłoni spokojnie, lecz bez reakcji. Daleko, na wschód od rzeki. Nocni Wędrowcy śpiewali pieśni dla uczczenia i powitania wiosny, dla pobłogosławienia letnich plonów. Elena z całego serca żałowała, że nie jest mądrzejsza, że nie zna odpowiedzi na to, co tak głęboko i boleśnie tkwi w sercu tego mężczyzny.

Rzekła:

– Jeśli umieramy, to jest to część cyklu. Wracamy w innej postaci. – Była to jednak myśl Donara, jego sposób mówienia, a nie jej.

Baerd milczał. Spojrzała na niego, ale nie potrafiła powiedzieć niczego, co by nie zabrzmiało źle lub nie było cudzymi słowami. Zamiast tego, sądząc, że to jakoś pomoże mu się otworzyć, zapytała:

– Powiedziałeś, że znasz tę cienistą postać. Skąd, Baerdzie? Możesz mi powiedzieć? – Wypowiedzenie jego imienia sprawiło jej dziwną, niemal zakazaną przyjemność.

Lekko się uśmiechnął. Miał łagodną twarz, szczególnie kiedy była taka młoda.

– Donar, Mattio i wy wszyscy znaleźcie wszelkie poszlaki. Przegrywacie od dwudziestu lat, prawda? Donar powiedział, że zbytnio jestem przywiązany do przemijających bitew dnia, pamiętasz?

Elena skinęła głową.

– Nie mylił się – ciągnął Baerd. – Zobaczyłem tu żołnierzy Ygrathu, choć oczywiście wcale nimi nie byli, mimo że bardzo tego pragnąłem. Jednak ja też tak bardzo się nie myliłem. – Po raz pierwszy lekko uścisnął jej dłoń. – Zło żywi się samym sobą, Eleno. Zło dnia, choćby było bardzo przemijające, musi powiększać moc tego, przed czym tu stajecie w Noce Żaru. Musi, Eleno, inaczej nie może być. Wszystko jest ze sobą powiązane. Nie możemy dążyć jedynie do własnych celów. Tego nauczył mnie mój najdroższy przyjaciel. Tyrani stworzyli na naszym półwyspie zło, które sięga poza to, kto rządzi w danym roku. Owo zło przeniosło się na pole, na którym walczyacie z Ciemnością w imię Światła.

– Ciemność powiększa Ciemność – rzekła. Nie była pewna, co kazało jej to powiedzieć.

– Właśnie – powiedział Baerd. – Rozumiem teraz wasze bitwy, rozumiem, jak daleko wykraczają poza moją własną wojnę w świecie dnia. Lecz takie wykraczanie nie oznacza braku powiązania. To był błąd Donara. Cały czas miał to przed oczyma.

– A nazywanie? – spytała Elena. – Co z tym wszystkim wspólnego ma nazywanie?

– Nazywanie jest tu najważniejsze – odparł cicho Baerd. Wysunął rękę z jej dłoni i przetarł sobie oczy. – Tutaj, w tym magicznym miejscu nazwy mają jeszcze większe znaczenie niż w domu, gdzie żyjemy i umieramy my, śmiertelnicy. – Zawahał się. Po chwili milczenia pogłębionego odległym śpiewem szepnął: – Słyszałaś, jak siebie nazwałem?

Pytanie to wydawało się nieomal głupie. Swoje imię wykrzyczał z całych sił. Wszyscy je słyszeli. W jego twarzy widniało jednak takie napięcie, że Elena musiała mu odpowiedzieć.

– Słyszałam. Powiedziałeś, że nazywasz się Baerd di Tigana bar Saevar.

Wtedy Baerd bardzo wolno ujął jej rękę i uniósł do swych ust, jakby Elena była panią na jednym z górskich zamków, a nie owdowiałą córką kołodzieja z wioski leżącej poniżej Borso.

– Dziękuję – powiedział dziwnym głosem. – Bardzo ci dziękuję. Myślałem... myślałem, że

może dzisiejszej nocy będzie inaczej. Że tutaj będzie inaczej.

Poczuła mrowienie w miejscu, gdzie wargi Baerda dotknęły jej dłoni, a serce biło jej jak oszalałe. Usiłując zachować spokój, Elena zapytała:

– Nie rozumiem. Co ja takiego zrobiłam? Na jego twarzy wciąż gościł smutek, lecz teraz wydawał się łagodniejszy, mniej obnażony. Powiedział spokojnie:

– Tigana to nazwa kraju, która została mu odebrana. Jej utrata stanowi część zła, które sprowadziło dziś na wzgórze tę mroczną postać i które sprowadza ją na wszystkie pola waszych bitew od dwudziestu lat. Nie zrozumiesz wszystkiego, Eleno, nie możesz tego zrozumieć, ale uwierz mi, że w swojej wiosce nie usłyszałaś tej nazwy czy to w świetle dnia, czy dwóch księżyców, nawet gdybym wypowiedział ją z tak bliska lub wykrzyczał ją głośniej niż wtedy w strumieniu.

Wtedy w końcu zrozumiała. Nie trudną całość, którą próbował jej przekazać, lecz coś, co dla niej było ważniejsze: źródło jego bólu, tego spojrzenia jego ciemnych oczu.

– A Tigana jest twoim domem – rzekła. To nie było pytanie. Ona to wiedziała.

Bardzo spokojnie skinął głową. Zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma ją za rękę.

– Tigana to mój dom – powtórzył. – Ludzie nazywają ją teraz Dolnym Corte.

Milczała przez długą chwilę, intensywnie myśląc. Wreszcie się odezwała:

– Musisz o tym porozmawiać z Denarem, zanim zabierze nas stąd poranek. Być może on coś wie o takich sprawach, być może będzie w stanie ci pomóc. Będzie chciał to zrobić.

Coś zamigotało w jego twarzy.

– Dobrze – powiedział. – Pomówię z nim, zanim odejdę. Oboje zamilkli. „Zanim odejdę”. Elena jak najdalej odsuwała od siebie tę myśl. Poczuła, że ma sucho w ustach i że serce nadal mocno jej bije, prawie tak, jak podczas walki. Baerd nie poruszył się. Wyglądał tak młodo. Powiedział, że ma piętnaście lat. Odwróciła wzrok, znów straciwszy pewność siebie, i zobaczyła, że wszędzie wokół nich wzgórze jest pokryte dywanem białych kwiatów.

– Spójrz! – powiedziała z zachwytem i zdumieniem w głosie. Rozejrzał się i na jego twarzy pojawił się serdeczny uśmiech.

– To ty je ze sobą przyniosłaś – powiedział.

Na polu zboża po wschodniej stronie rzeki śpiewało już tylko kilka głosów. Elena wiedziała, co to oznacza. Była to pierwsza z wiosennych Nocy Żaru. Początek roku, cyklu siewu i zbiorów. Dzisiaj wygrali wojnę Żaru. Wiedziała, co miało miejsce między mężczyznami i kobietami na tamtym polu. Zdawało się, że gwiazdy zniżyły się i są niemal tak blisko jak otaczające ich kwiaty.

Przełknęła ślinę, zebrała się na odwagę i powiedziała:

– Jeszcze inne rzeczy zmieniły się tej nocy. Tutaj.

– Wiem – rzekł miękko Baerd.

Wtedy w końcu poruszył się i ukląkł przed nią wśród młodych białych kwiatów. Puścił jej rękę, lecz tylko po to, by obiema dłońmi ująć jej twarz. Zrobił to tak delikatnie, jakby się bał, że może ją swym dotykiem zgnieść. Ponad gwałtownie przybierającymi na sile uderzeniami własnego pulsu Elena usłyszała, jak Baerd raz jeden szepcze jej imię niczym modlitwę i zanim dotknął ustami jej warg, zdążyła odpowiedzieć jego pełnym imieniem niby darem.

Potem już nie mogła mówić, ponieważ zawładnęło ją pożądanie, które porwało ją niczym olbrzymia, rozpędzona fala kawałek drewna czy odłamek kory. Był z nią jednak Baerd. Byli razem w tym miejscu, a po chwili leżeli nadzy wśród dopiero co rozkwitłych białych kwiatów.

Kiedy Elena przyciągała go ku sobie, czując przeraźliwą tęsknotę i bolesną czułość, spojrzała przez chwilę nad jego ramieniem na krążące na nieboskłonie jasne gwiazdy Nocy Żaru. Przyszła jej do głowy cudowna i radosna myśl, że każdy z tych diamentów ma swoją nazwę.

Wtedy zmienił się rytm ruchów Baerda, rozgorzało jej pożądanie, a wszystkie myśli rozproszyły się niby rozsypany między tymi gwiazdami pył. Przesunęła głowę, żeby jej usta mogły odnaleźć jego wargi, i objęła go ramionami, przytrzymując w sobie; zamknęła oczy i wraz z nim dała się ponieść tej wezbranej fali w początek wiosny.

Rozdział 12

Zimno i odrętwienie zeszywniałego ciała obudziły Devina jakąś godzinę przed wschodem słońca. Dopiero po chwili przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Rozmasował szyję i wsłuchał się w dobiegający spod koców cichy oddech Catriany. Na jego twarzy pojawił się grymas.

To dziwne, pomyślał, kręcąc na boki głową, by pozbyć się bólu, jak kilka zaledwie godzin w miękkim fotelu może przyprawić człowieka o gorsze męki niż cała noc na zimnej ziemi.

Czuł się jednak zdumiewająco rzeško, zważywszy na to, jak spędził noc oraz że nie spał więcej niż jakieś trzy godziny. Zastanawiał się, czy nie wrócić do własnego łóżka, lecz miał przecucie, że tej nocy nie będzie już mógł zasnąć. Postanowił zejść do kuchni i namówić kogoś ze służby, by przyrządzono mu dzbanek khavu.

Wyszedł z pokoju, cicho zamykając drzwi. Robił to w takim skupieniu, że kiedy zobaczył obserwującego go spod swoich drzwi Alessana, niemal podskoczył.

Księżę podszedł do niego, unosząc brwi.

Devin energicznie potrząsnął głową.

– Tylko rozmawialiśmy. Spałem w fotelu. Odgniotłem sobie od tego szyję.

– Oczywiście – mruknął Alessan.

– Nie, naprawdę – powiedział z naciskiem Devin.

– Oczywiście – powtórzył Alessan i uśmiechnął się. – Wierzę ci. Gdybyś spróbował czegoś więcej, usłyszałbym krzyki, najprawdopodobniej twoje, z powodu jakiejś niemiłej rany.

– Całkiem możliwe – zgodził się Devin. Odeszli spod drzwi Catriany.

– A jak Alienor?

Devin poczuł, że się czerwieni.

– Jak...? – zaczął, po czym stopniowo zdał sobie sprawę ze stanu swego ubrania i rozbawionego spojrzenia Alessana.

– Interesująca – stwierdził. Alessan znów się uśmiechnął.

– Chodź ze mną na dół i pomóż mi rozwiązać pewien problem. I tak muszę się przed wyjazdem napić khavu.

– Właśnie szedłem do kuchni. Daj mi dwie minuty na przebranie się.

– Niezły pomysł – mruknął Alessan, przyglądając się podartej koszuli Devina. – Spotkamy się na dole.

Devin zanurkował do swego pokoju i szybko się przebrał. Dla porządku włożył kamizelę, którą przysłała mu Alais. Myśl o niej, o jej bezpiecznej, cichej niewinności paradoksalnie przypomniawszy mu o wydarzeniach minionej nocy. Przez chwilę stał nieruchomo na środku swego pokoju, usiłując pojąć, co sam zrobił i co zrobiono jemu.

Interesujące, tak to określił. Ach, ten język. Proces dzielenia się słowami wydawał się czasem takim bezużytecznym ćwiczeniem. Ogarnęły go resztki smutku, jaki odczuwał, wychodząc od Alienor, a dołączył do niego też ból Catriany. Poczul się jak rozbitek wyrzucony w ciemności przez morze na jakąś szarą plażę.

– Khavu – powiedział głośno Devin – bo inaczej nigdy nie otrząsnę się z tego nastroju.

Dopiero schodząc, zrozumiał, co Alessan miał na myśli, mówiąc „przed wyjazdem”. Dzisiaj miało nastąpić jego spotkanie – spotkanie, do którego przygotowywali się pół roku.

A potem pojedzie na zachód. Do Tigany. Tam, gdzie w sanktuarium Eanny umiera jego matka.

Devin, całkowicie rozbudzony i z umysłem zwróconym po nocnych rozmyślaniach ku wyraźniejszym problemom dnia, poszedł, kierując się blaskiem światła, do olbrzymiej kuchni zamku Borso. Zatrzymał się w jej sklepionych drzwiach i zajrzał do środka.

Alessan siedział przy huczącym ogniu i ostrożnie pił khav z parującego, dużego kubka. Towarzyszył mu w tym siedzący obok w fotelu Erlein di Senzio. Obaj patrzyli w płomienie, otoczeni coraz żywiej krzątającą się służbą kuchenną.

Devin przez chwilę stał w drzwiach nie zauważony, przyglądając się obu mężczyznom. W swej milczącej powadze wydali mu się fragmentem jakiegoś fryzu, żywym obrazem symbolizującym wszystkie takie godziny przed wschodem słońca dla przemierzających dalekie drogi wędrowców. Devin wiedział, że żadnemu z nich taka wczesna pora nie jest obca. Często siadywali w zamkowych kuchniach wśród służby, w ostatniej ciemnej godzinie przed świtem, rozbudzając powoli zmysły i szukając ulotnego ciepła, przygotowując się znów do drogi i do różnych zakrętów, które mogą się na niej pojawić w nadchodzącym dniu.

Devinowi wydało się, że siedzących razem Alessana i Erleina łączy coś, co wykracza poza przykre wydarzenia zaszłe owego wieczoru nad strumieniem w Ferraut. To nie był związek księcia i czarodzieja, lecz coś, co wyrastało z ich czynów. Takich samych czynów. Z ich wspomnień, którymi mogliby się dzielić, gdyby po tym, co się stało, mogli się jeszcze czymkolwiek szczerze dzielić.

Każdy z nich od lat podróżował. Musiało istnieć tyle nakładających się obrazów, które mogły przypomnieć te same nastroje i emocje, te same dźwięki i zapachy. Takich jak ten: ciemność na zewnątrz, a potem wywołana przez słońce krawędź szarego świtu i ruch na zamku, chłód korytarzy i świadomość hulającego za murami wiatru, trzaskanie ognia na palenisku i uspokajająca para unosząca się wraz z zapachem z trzymanyh w dłoniach kubków, odpływanie senności i marzeń sennych i powolne zwracanie myśli ku dniu spowitemu w nisko leżącą mgłą. Patrząc na ich nieruchome sylwetki wśród kuchennej krzątania, Devin znów poczuł smutek, który pozostał mu po tej długiej, dziwnej nocy spędzonej w górach.

Smutek i tęsknotę. Devin zdał sobie sprawę, że sam chce mieć udział w tej wspólnej historii,

że chce należeć do zamkniętego bractwa ludzi tak dobrze znających tę scenę. Był na tyle młody, żeby smakować jej nieodparty urok, lecz na tyle dorosły – szczególnie po ostatniej zimie i terminowaniu u Menico – żeby domyślać się ceny tych wspomnień, ceny opanowania, niezależności i wiarygodności, która biła z tych dwóch mężczyzn.

Devin wszedł do kuchni. Zauważyła go ładniutka służąca i nieśmiało uśmiechnęła się. Bez słowa przyniosła mu kubek gorącego khavu. Alessan rzucił na niego okiem i swą długą nogą przyciągnął do ognia trzeci fotel. Devin z wdzięcznością usiadł w ciepłe. Wciąż czuł zeszywniałą szyję.

– Nawet nie musiałem być czarujący – zaczął wesoło Alessan. – Był już tu Erlein z dzbankiem świeżego khavu. W kuchni ktoś siedział przez całą noc, żeby podtrzymać ogień. Nie można przecież zapalać nowego w Dzień Żaru.

Devin skinął głową, ostrożnie i z wielką wdzięcznością popijając parujący khav.

– A ten problem, o którym wspominałeś? – zapytał ostrożnie, rzucając okiem na Erleina.

– Rozwiązany – odparł natychmiast książę. Wydawał się nienaturalnie ożywiony i promieniował energią. – Będzie musiał ze mną pojechać Erlein. Okazuje się, że nie możemy się zbyt od siebie oddalać, bo moje wezwanie nie skutkuje. Po prostu musi jechać tam, gdzie ja. W tym wypadku daleko na zachód. Chyba rzeczywiście jesteśmy ze sobą związani, prawda? – Błysnął zębami, uśmiechając się do czarodzieja. Erlein nie raczył zareagować i nadal sączył napój, wpatrując się beznamiętnie w ogień.

– Dlaczego wstałeś tak wcześniej? – zapytał go Devin po chwili.

Erlein skrzywił się.

– Niewolnictwo nie sprzyja odpoczynkowi – burknął, pochylając się nad swym khavem.

Devin pominął to milczeniem. Czasami naprawdę było mu żal czarodzieja, ale nie wtedy, gdy Erlein demonstracyjnie użalał się nad sobą.

Devinowi przyszła do głowy pewna myśl. Zwrócił się do Alessana:

– Czy on też jedzie na to wasze ranne spotkanie?

– Chyba tak – odparł Alessan z udawaną obojętnością. – To drobna nagroda za jego lojalność i długą drogę, jaka go potem czeka. Chcę jechać prawie bez popasów. – Mówił naprawdę dziwnym tonem, ze zbyt wymuszoną swobodą.

– Rozumiem – rzekł Devin tak obojętnie, jak tylko potrafił, i utkwiał wzrok w ogniu.

Zapadło milczenie. Kiedy zaczęło się przeciągać, Devin spojrzał na Alessana i zobaczył, że książę na niego patrzy.

– Chcesz pojechać z nami? – zapytał.

Czy chce pojechać? Przez pół roku, od przyłączenia się do trójki spiskowców Devina i Sandre, Alessan powtarzał im, że wszystko, co chcą osiągnąć, będzie zależało od pewnego spotkania w górach na południu pierwszego z Dni Żaru.

Czy chce pojechać?

Devin zakrztusił się, rozlewając na kamienną posadzkę nieco khavu.

– No cóż, naturalnie, jeśli nie będę przeszkadzał. Tylko wtedy, jeśli uważasz, że mogę się przydać i może jeśli... – Urwał, bo Alessan śmiał się z niego.

Nawet Erlein nieco się rozchmurzył i lekkim parsknięciem dał wyraz niechętnemu rozbawieniu. Obaj starsi mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Straszny z ciebie kłamca – rzekł czarodziej do Devina.

– On ma rację – powiedział Alessan z tłumionym śmiechem. – Ale nie szkodzi. Właściwie nie sędzę, żebyś się na coś przydał – nie o to chodzi w tym, co muszę zrobić. Jestem jednak pewien, że nam nie zaszkodzisz, a razem z Erleinem możecie sobie nawzajem dostarczać rozrywki. Droga będzie bardzo długa.

– Co, na to spotkanie? – zapytał zaskoczony Devin.

Alessan potrząsnął głową.

– Tam zajedziemy w dwie czy trzy godziny, zależnie od warunków na przełęczy. Nie, Devinie, biorę cię ze sobą na zachód. – Tu głos mu się zmienił. – Do domu.

– Gołębiu! – zawołał łysiejący, krzepko wyglądający mężczyzna, chociaż znajdowali się jeszcze daleko. Siedział w masywnym dębowym fotelu ustawionym pośrodku przełęczy Braccio. Na niższych zboczach kwitły już wczesne wiosenne kwiaty, ale tak wysoko nie było ich wiele. Po obu stronach ścieżki skały i kamienie ustępowały lasowi. Wyżej, bardziej na południe, leżały już tylko skały i śnieg.

Do dębowego fotela były przymocowane drągi umożliwiające niesienie go, a za nim stało sześciu mężczyzn w ciemnoczerwonej liberii. Devin myślał, że to służący, ale kiedy podjechał bliżej, poznał po ich broni, że są to żołnierze i strażnicy.

– Gołębiu – głośno powtórzył siedzący w fotelu mężczyzna. – Nabrałeś znaczenia w świecie! Tym razem przyprowadzasz towarzyszy!

Devin oszołomiony zdał sobie sprawę, że to dziecinne imię i wypowiedziane ochryplym, dźwięcznym głosem słowa były skierowane do Alessana.

A na twarzy księcia pojawił się nagle przedziwny wyraz. Podjeżdżając do siedmiu mężczyzn na przełęczy, nic jednak nie odpowiedział. Zsiadł z konia, a jadący za nim Devin i Erlein poszli w jego ślady. Mężczyzna nie wstał z fotela, żeby ich przywitać, lecz jego bystre, małe oczy śledziły każdy ruch Alessana. Ogromne dłonie spoczywały nieruchomo na rzeźbionych poręczach fotela. Miał na palcach co najmniej sześć pierścieni, które skrzyły się w porannym słońcu. Jego zakrzywiony, po wielokroć złamany nos tkwił w ogorzalej twarzy o grubych rysach, naznaczonej dwiema szramami. Jedna z nich przecinała białą linią jego prawy policzek, świadcząc o starej ranie. Druga, o wiele świeższa, biegła mu czerwoną nitką przez czoło do

siwiejącej, cofającej się linii włosów nad lewym uchem.

– To towarzysze umilający mi drogę – rzekł łagodnie Alessan. – Nie byłem pewien, czy się pojawisz. Obaj śpiewają. Mogliby mnie pocieszać w drodze powrotnej. Ten młodszy nazywa się Devin, a starszy Erlein. Potwornie przytyłeś przez ten rok.

– A dlaczegoż nie miałbym przytyć? – ryknął zachwycony mężczyzna. – I jak śmiałeś wątpić, czy przybędę?! Czy kiedykolwiek nie dochowałem ci wiary? – Mówił co prawda rozbawionym tonem, lecz Devin zauważył, że jego małe oczka są bystre i bardzo czujne.

– Nigdy – zgodził się spokojnie Alessan. Jego poprzednie gorączkowe zachowanie zastąpił niemal nadnaturalny spokój. – Lecz przez dwa lata wiele się zmieniło. Już mnie nie potrzebujesz, szczególnie od zeszłego lata.

– Nie potrzebuję cię! – wrzasnął olbrzym. – Oczywiście, że cię potrzebuję, Gołębiu. Jesteś moją młodością, pamięcią tego, kim byłem. A także moim talizmanem szczęścia w walce.

– Tyle że nie będzie już więcej walk – rzekł cicho Alessan. – Czy pozwolisz, że złożę ci pokornie gratulacje?

– Nie! – wymruczał mężczyzna. – Nie pozwolę ci. Od ciebie nie przyjmę żadnych płaczliwych dworskich frazesów. Chcę natomiast, żebyś tu podszedł, uścisnął mnie i przestał bredzić bez sensu! Kimże jesteśmy, żeby tak szczebiotać? I to my dwaj!

Przy tych ostatnich słowach dźwignął się na nogi, mocno odpychając muskularnymi rękami od fotela. Olbrzymi dębowy mebel zachwiał się, przechylając do tyłu. Trzech strażników w liberiach rzuciło się, by go przytrzymać.

Rosły mężczyzna zrobił dwa niezgrabne kroki, a raczej podskoki do idącego w jego kierunku Alessana. Devin zdał sobie nagle sprawę – podziałało to na niego niczym wiadro lodu wysypanego na plecy – kim zapewne jest pokryty bliznami, okaleczony mężczyzna.

– Niedźwiedziu! – zawołał Alessan, krztusząc się śmiechem. Mocno objął mężczyznę ramionami. – Och, Mariusie, naprawdę nie wiedziałem, czy przybędziesz.

Marius.

Oszołomiony czymś więcej niż wysokością i bezsenną nocą Devin ujrzał, jak samozwańczy król Ouilei – okaleczony mężczyzna, który w świętym gaju zabił gołymi rękami siedmiu uzbrojonych pretendentów – unosi księcia Tigany w powietrze i głośno całuje go w oba policzki. Postawił zaczerwienionego Alessana z powrotem na ścieżce i odsunął na odległość wyciągniętych rąk, by lepiej mu się przyjrzeć.

– W istocie – powiedział w końcu, kiedy zniknął uśmiech Alessana. – Teraz to widzę. Ty naprawdę we mnie wątpiłeś. Powinienem być oburzony, Gołębiu. Powinienem być urażony. Co powiedział Gołąb Dwa?

– Baerd był pewien, że się pojawisz – przyznał ponuro Alessan. – Obawiam się, że jestem mu winien jakieś pieniądze.

– Przynajmniej jeden z was dorósł na tyle, żeby nabrać nieco rozsądku – powiedział przeciągle Marius. Wtem jakby sobie coś uświadomił. – Co? To wy, gałgany, stawialiście na mnie pieniądze? Jak mogliście! – Śmiał się, lecz od potężnego kuksańca, jaki wymierzył Alessanowi w ramię, książę się zachwiał.

Marius wrócił, kuśtykając, do swego fotela i usiadł. Devina znów uderzyła przenikliwość spojrzenia, jakim ich obrzucił. Tylko przez chwilę zatrzymało się ono na Devinie, a chłopak odczuł niesamowite wrażenie, że w tej jednej sekundzie Marius dokładnie go ocenił i że jeśli przypadkiem się kiedyś spotkają, choćby nawet za dziesięć lat, to go rozpozna i sobie przypomni.

Przez króciutką chwilę zrobiło mu się dziwnie żal owych siedmiu wojowników, którzy musieli stoczyć z tym człowiekiem nocną walkę w gaju, mając do dyspozycji zaledwie miecze czy włócznie, zbroje i po dwie zdrowe nogi.

Te ramiona podobne konarom drzewa i wyraz tych oczu powiedziały Devinowi, na którą stronę musiała się przechylić szala zwycięstwa mimo obrzędowego okaleczenia – przecięcia ścięgien przy kostkach – małżonka, który miał umrzeć w gaju ku chwale Bogini Matki i jej Wysokiej Kapłanki.

Marius nie umarł. Nie powiększył niczyjej chwały. Nie umarł siedem razy. A teraz, po tym siódmym razie, w Quilei znów panował prawdziwy król, a ostatnia Wysoka Kapłanka nie żyła. Devin nagle przypomniał sobie, że ową wiadomość pierwszy przyniósł mu Rovigo. Było to w zatechłej gospodzie „Pod Ptakiem” pół roku albo pół życia temu.

– Zeszłego lata w Gaju musiałeś być rozleniwiony albo już tłusty – powiedział Alessan. Wykonał gest w kierunku szramy na czole Mariusa. – Tonaliusowi nie powinno się udać tak blisko do ciebie podejść.

Uśmiech na twarzy króla Quilei naprawdę nie był przyjemny.

– Wcale mu się nie udało – rzekł Marius ponurym tonem. – Zastosowałem nasz skok z kopnięciem z dwudziestego siódmego drzewa i zanim obaj padliśmy na ziemię, już nie żył. Ta blizna to prezent pożegnalny od mojej zmarłej żony. Dała mi go podczas naszego ostatniego spotkania. Niech nasza święta Matka strzeże jej błogosławionego ducha. Napijcie się wina i zjecie ze mną?

Alessan zamrugał szarymi oczyma i odrzekł:

– Z przyjemnością.

– Doskonale – rzekł Marius i machnął ręką w kierunku swoich strażników. – W takim razie, zanim moi ludzie przygotowują posiłek, możesz mi powiedzieć, Gołębiu, i mam nadzieję, że mi powiesz, dlaczego zawahałeś się przed przyjęciem tego zaproszenia.

Teraz zamrugał Devin – nawet nie zauważył wahania księcia. Alessan uśmiechał się jednak.

– Doprawdy chciałbym – powiedział, robiąc kwaśną minę – żeby od czasu do czasu coś ci

umykało. Marius uśmiechnął się lekko, ale milczał.

– Czekam na długą podróż. Przynajmniej trzydniowa, i to bez popasów. Muszę do kogoś jak najszybciej dotrzeć.

– Czy to ktoś ważniejszy ode mnie, Gołębiu? Jestem niepokieszony.

Alessan potrząsnął głową.

– To nie jest ktoś ważniejszy, bo inaczej by mnie tu nie było. Może bardziej wymagający. Kiedy zeszłego wieczoru przybyłem do zamku Borso, czekała tam na mnie wiadomość od Danoleona. Moja matka umiera.

Wyraz twarzy Mariusa szybko się zmienił.

– Jest mi bardzo przykro – rzekł. – Naprawdę, Alessanie. – Przerwał i po chwili dodał: – Wiedząc to, na pewno niełatwo ci było przyjechać najpierw tu.

Alessan po swoim wzruszył nieznacznie ramionami. Przeniósł wzrok z Mariusa na górujące nad przełęczą szczyty. Żołnierze rozpostarli już krzykliwie złocistą materię na płaskim kawałku ziemi przed fotelem. Teraz zaczęli wykladać na nią wielobarwne poduszki oraz ustawiać kosze i talerze z jedzeniem.

– Przełamiemy się chlebem – rzekł zwięźle Marius – i omówimy to, co mamy do omówienia, a potem będziesz musiał jechać. Wierzysz tej wiadomości? Czy powrót nie jest dla ciebie niebezpieczny?

Devin nawet o tym nie pomyślał.

– Chyba jest – odparł obojętnym tonem Alessan. – Ale owszem, ufam Danoleonowi. Oczywiście, że mu ufam. Przecież to on mnie do ciebie przywiózł.

– Wiem o tym – rzekł łagodnie Marius. – Pamiętam go. Wiem także, że jeśli nie zaszły wielkie zmiany, nie jest on jedynym kapłanem w sanktuarium Eanny, a wasze duchowieństwo w Dłoni nie jest szczególnie znane ze swojej wiarogodności.

Alessan znów wzruszył ramionami.

– A cóż ja mogę zrobić? Moja matka jest umierająca. Nie widziałem jej od prawie dwudziestu lat, Niedźwiedziu. – Skrzywił usta. – Nie sądzę, żeby mogło mnie rozpoznać wielu ludzi, nawet bez przebrań Baerda. Nie sądzisz, że trochę się zmieniłem od czasu, kiedy miałem czternaście lat? – Słowa te zabrzmiały nieco wyzywająco.

– Trochę – powiedział cicho Marius. – Ale nie tak bardzo, jak można by pomyśleć. Pod wieloma względami już wtedy byłeś dorosłym mężczyzną. Tak jak Baerd, kiedy się do ciebie przyłączył.

I znów oczy Alessana powędrowały wzdłuż przełęcz, jakby goniły wspomnienie odległego obrazu leżącego na południu. Devin miał dojmujące wrażenie, że mówi się tu o wiele więcej, niż on słyszy.

– Zapraszam – rzekł Marius, opuszczając ręce na poręcz fotela. – Przysiądźcie się do mnie

na dywanie.

– Zostań w fotelu! – rzucił ostro Alessan, co klóciło się z nadal łagodnym i spokojnym wyrazem jego twarzy. – Ilu ludzi przyszło tu z tobą, Niedźwiedziu?

Marius się nie poruszył.

– Drużyna do przedgórza i tych sześciu przez przełęcz. Dlaczego pytasz?

Uśmiechając się beztrąsko, Alessan usiadł swobodnie na materiale u stóp króla.

– To niemądre brać ze sobą tak niewielu.

– Nie ma dużego niebezpieczeństwa. Moi wrogowie są zbyt przesądni, żeby zapuszczać się w góry. Przecież wiesz o tym, Gołębiu. Dawno temu, kiedy zakazano handlu z Dłonią, przełęcze zostały ogłoszone tabu.

– W takim razie – rzekł Alessan, ciągle się uśmiechając – trudno mi wyjaśnić obecność łuczniaka, którego właśnie zauważyłem za skałą na przełęczy.

– Jesteś pewien? – Marius mówił równie swobodnie jak Alessan, lecz jego oczy nagle zaśnieżyły lodem.

– Widziałem go już dwa razy.

– Jestem głęboko zaniepokojony – powiedział król Quilei. – Ktoś taki może się tu znajdować jedynie dlatego, żeby mnie zabić. A jeśli łamią górskie tabu, to będę zmuszony przemyśleć kilka założeń. Napijesz się wina? – Zrobił ruch dłonią i jeden z mężczyzn w czerwieni napełnił mu kielich lekko drżącą ręką.

– Dziękuję – mruknął Alessan. – Erleinie, potrafisz coś tu wykonać, żeby nikt się na tym nie poznał?

Czarodziej zbladł, lecz w jego głosie też zabrzmiała obojętność.

– Żadnego ataku. Wymagałoby to zbyt wielkiej mocy, a nie ma tu nic, co osłoniłoby ją przed jakimś znajdującym się w okolicy Tropicielem.

– A tarcza dla króla?

Erlein zawahał się.

– Przyjacielu – powiedział z powagą Alessan – potrzebuję cię i będę potrzebował w przyszłości. Wiem, że posługiwanie się twoją magią jest niebezpieczne dla nas wszystkich. Żeby jednak podejmować inteligentne decyzje, muszę otrzymywać uczciwe odpowiedzi. Nalej mi wina – zwrócił się do quilejskiego żołnierza.

Erlein przyjął kielich i wychylił go.

– Mogę ustawić za nim osłonę niskiego poziomu przeciw strzałom. – Przerwał na chwilę. – Chcesz? Wiąże się z tym pewne ryzyko.

– Chyba tak – odparł Alessan. – Wznies osłonę jak najbardziej niepostrzeżenie.

Erlein zacisnął usta, lecz nic nie powiedział. Bardzo nieznacznie poruszył na boki lewą dłonią. Devin widział teraz dwa brakujące palce, ale o ile potrafił ocenić, nie stało się nic więcej.

– Gotowe – oznajmił ponuro Erlein. – Ryzyko będzie tym większe, im dłużej będę ją utrzymywał. – Napił się wina.

Alessan skinął głową, przyjmując od jednego z Quilejan kawałek chleba oraz talerz mięsiwa i sera.

– Devinie?

Devin tylko na to czekał.

– Widzę tę skałę – powiedział cicho. – Nad ścieżką. Po prawej stronie. W zasięgu strzału z łuku. Wyślij mnie do domu.

– Weź mojego konia. Przy siodle jest łuk. Devin potrząsnął głową.

– Może zauważyć, a ja i tak nie najlepiej sobie radzę z łukiem. Zrobię, co mogę. Możecie za jakieś dwadzieścia minut trochę pohłasować?

– Możemy nawet bardzo pohłasować – rzekł Marius z Quilei. – Wspinaczka będzie łatwiejsza z lewej strony, jadąc w dół, tuż za zakrętem. No i bardzo chciałbym dostać tego człowieka żywego.

Devin uśmiechnął się. Marius nagle ryknął śmiechem, a Alessan mu zawtórował. Erlein milczał. Po chwili Alessan machnął władczo na Devina.

– Skoro zapomniałeś, to masz go teraz przywieźć, półgłówku! Zaczekamy tu, dogadzając naszym podniebieniom. Być może zostawimy ci jakieś resztki.

– To nie była moja wina! – głośno zaprotestował Devin, przybierając płaczący wyraz twarzy. Podszedł do spętanych koni. Potrząsając głową, wyraźnie niezadowolony wsiadł na swojego siwka i ruszył w dół ścieżką, którą tu przyjechali.

Dojechał do zakrętu.

Zsiadł z konia i spętał go. Po chwili namysłu zostawił miecz tam, gdzie był – w pochwie u siodła. Zdawał sobie sprawę, że i decyzja ta mogła go kosztować życie. Widział jednak zalesione zbocza obok przełęczy. Przy wspinaczce miecz by mu przeszkadzał i robił hałas.

Ruszył ku zachodowi i wkrótce znalazł się wśród drzew. Skręcił na południe, pod górę, tak daleko od przełęczy, jak tylko pozwalało mu na to ukształtowanie terenu. Podejście było trudne i musiał się śpieszyć, ale zawsze był szybki i zwinny, czym nadrabiał niski wzrost. Piął się po stromym zboczu, omijając górskie drzewa i ciemne krzaki serrano, chwytając się głęboko wrosniętych w ziemię korzeni.

W pewnym miejscu drzewa nieco się przerzedziły przed krótką, stromą ścianą. Mógł się na nią wspiąć lub ją obejść, skręcając ku przełęczy. Spróbował się zorientować w terenie, lecz było to trudne – w takiej odległości od szlaku nie docierały do niego żadne dźwięki. Nie był pewien, czy już znalazł się powyżej miejsca, w którym rozłożono w charakterze obrusa quilejską tkaninę. Powiedział: dwadzieścia minut. Zacisnął zęby, pomodlił się krótko do Adaona i zaczął wchodzić na skałę. Przyszło mu do głowy, że jest coś wybitnie niewłaściwego w tym, że syn rolnika

z północnych mokradeł Asoli wspina się na skałę w górach Braccio.

Nie był jednak synem rolnika z Asoli. Pochodził z Tigany, tak jak jego ojciec, a poprosił go o to jego księżę.

Devin przesuwiał się bokiem wzdłuż skały, próbując nie strącać kamyków. Dotarł do występu skalnego, zmienił chwyt, przez chwilę zwisał na rękach, a potem wciągnął się na występ. Przebiegł szybko po kawałku poziomego terenu, padł na brzuch i ciężko dysząc, spojrzał w górę, na południe.

Następnie spojrzał prosto w dół. Wstrzymał oddech, kiedy uświadomił sobie, ile ma szczęścia. Prawie tuż pod nim za głazem chowała się jakaś postać. Devin na pewno był widoczny podczas ostatniego odcinka wspinaczki, gdzie skalna ściana wylaniała się zza drzew. Unikanie hałasu dobrze mu się jednak przysłużyło, bo znajdujący się poniżej niego człowiek nie, miał pojęcia o jego obecności, całą uwagę skupiając na grupce uczającej na ścieżce. Devin nie widział ich, ale słyszał głosy. Słońce zaszło za chmurę i Devin instynktownie przypadł do ziemi. W tej samej chwili morderca spojrzał w górę, by ocenić zmianę światła.

Devin wiedział, że dla łucznika ma to znaczenie. To był długi strzał w dół, a na przeszkodzie częściowo stali strażnicy. Najprawdopodobniej zabójca miałby czas na wypuszczenie tylko jednej strzały. Devin zastanawiał się, czy groty są zatrute. Pewnie tak.

Zaczął bardzo ostrożnie pełznąć w górę, starając się obejść zabójcę bardziej z tyłu. Kiedy wśliznął się do stojącego wyżej skupiska drzew, przeżył prawdziwą burzę myśli. Jak ma podejść do łucznika na tyle blisko, żeby go unieszkodliwić?

Właśnie wtedy usłyszał dźwięk fletni Alessana, której w takt później zawtórowała harfa Erleina. Po chwili kilka głosów zaczęło śpiewać jedną z najstarszych i najbardziej zawadiackich górskich ballad. Opowiadała ona o legendarnej bandzie zbójców, którzy bezkarnie rządzą tymi wzgórzami i skałami, dopóki nie zaskoczyły ich i nie pokonały połączone siły Quilei i Certando:

*Z północy przybyło trzydziestu jak burza,
Z Quilei czterdziestu do nich dołączyło,
Przysięgą związali nawzajem się w górach
I na Gana Burdasha ruszyli, aż miło!*

Grzmiący głos Mariusa poprowadził refren. Wtedy Devin coś sobie przypomniał i już wiedział, co spróbuje zrobić. Zdawał sobie sprawę, że jego plan zawiera więcej niż odrobinę szaleństwa, ale wiedział też, że nie ma za wiele czasu ani możliwości.

Serce waliło mu jak młotem. Wytarł ręce do sucha w spodnie i zaczął szybciej przemieszczać się wśród drzew wzdłuż linii grzbietu, na który się wspiął. Za sobą słyszał śpiew, a pod sobą, może o jakieś piętnaście stóp na wschód od tego wyższego grzbietu i dwadzieścia

stóp poniżej, miał zabójcę z łukiem. Zza chmur wyszło słońce.

Devin znajdował się teraz nad mężczyzną. Gdyby miał ze sobą łuk i potrafił dobrze strzelać, zabójca znalazłby się na jego łasce.

Tymczasem miał tylko nóż, dumę i zaufanie do swojej koordynacji ruchów oraz olbrzymią górską sosnę wznoszącą się do samego grzbietu, a wyrastającą tuż za głazem, za którym skrył się łucznik. Widział go teraz wyraźnie: był odziany w ochronną zieleń, miał napięty łuk i kilka strzał pod ręką.

Devin wiedział, co musi zrobić. Wiedział także, że nie ma mowy o zejściu po tym drzewie bez zwrócenia na siebie uwagi. Nawet przy głośnych, zdecydowanie fałszujących głosach maskujących z dołu jego ruchy.

O ile więc potrafił ocenić, zostawała mu tylko ta jedna możliwość. Ktoś inny mógłby to zaplanować lepiej, lecz na tym grzbiecie nie było nikogo innego. Devin jeszcze raz starannie wytarł wilgotne dłonie i zaczął uważnie przyglądać się grubemu konarowi sterczącemu z pnia bardziej od innych, jedynemu, który mógł mu się na coś przydać. Spróbował jak najdokładniej wyliczyć kąt i odległość, nie mając w tej szczególnej ewolucji prawie żadnego doświadczenia. Tego, co zaraz miał spróbować, raczej się nigdzie nie ćwiczyło.

Sprawdził umocowanie sztyletu za pasem, znowu wytarł ręce i wstał. Pamięć podsunęła mu wtedy absurdalne wspomnienie owego dnia, kiedy to bracia zaskoczyli go zwisającego z drzewa głową w dół, co miało mu dodać wzrostu.

Devin uśmiechnął się zaciśniętymi wargami i podszedł do krawędzi urwiska. Gałąź wydawała się nedorzecznie daleka, a i tak znajdowała się tylko w połowie odległości do poziomu przełęczy. Przysiągł sobie w duchu, że jeżeli to przeżyje, Baerd będzie musiał go nauczyć posługiwania się łukiem.

Z biegnącej poniżej ścieżki dobiegały ochryple głosy zmierzające nierówno do ostatniej zwrotki:

*Gan Burdash rządził wśród wysokich wierchów,
Ze swoją bandą przemierzał doliny,
Lecz siedemdziesięciu dostało go zuchów
I gdy zaszły księżyce, szczyty wolne znów były!*

Devin skoczył. Powietrze zagwizdało mu w uszach. Konar wleciał mu na spotkanie, rozmazany szybkością. Devin wyciągnął ręce, zacisnął je na nim i zawahał się. Tylko na tyle, żeby zmienić kąt spadania, zmniejszyć rozpęd. Żeby zeskoczyć wprost na schowanego za głazem zabójcę.

Konar wytrzymał, ale kiedy Devin na nim zawisł, igły zaszeleściły głośno. Wiedział, że tak

będzie. Quilejski łucznik spojrział z zaskoczeniem w górę i sięgnął po łuk.

Nie zdążył. Krzycząc na całe gardło, Devin spadł z wysokości niczym drapieźny ptak. Zanim jego cel zdążył się poruszyć, Devin już go dopadł.

Nasz skok z kopnięciem z dwudziestego siódmego drzewa, pomyślał.

Spadając, przechylił tors tak, aby uderzyć bokiem w tułów zabójcy, i mocno wyrzucił w jego kierunku obie nogi. Siła zderzenia była tak ogromna, że wypchnęła mu całe powietrze z płuc.

Razem runęli na ziemię, koziółkując coraz dalej od podstawy głazu. Devin spazmatycznie chwycił powietrze, a świat szaleńczo wirował mu przed oczyma. Zacisnął zęby i sięgnął po sztylet.

Zdał sobie sprawę, że nie jest to już konieczne.

Zanim obaj padliśmy na ziemię, już nie żył, powiedział Marius. Drżącym haustem Devin wciągnął powietrze do udreńczonych płuc. Prawą nogę przeszywał mu dziwny ból. Zmusił się do zignorowania go. Odtoczył się na bok od nieprzytomnego przeciwnika i z wysiłkiem, krztusząc się i sapiąc, wciągnął kolejną porcję cennego powietrza. Potem spojrział.

Zabójcą okazała się kobieta. W tych okolicznościach nie było to wielkim zaskoczeniem. Żyła. Upadając, uderzyła chyba czołem o skałę. Leżała na boku, z mocno krwawiącą raną na głowie. Swoim kopnięciem złamał jej prawdopodobnie kilka żeber. Staczając się po zboczu, zebrała mnóstwo skaleczeń i otarć.

Devin też, jak zauważył. Koszulę miał podartą i po raz drugi w ciągu pół doby był mocno podrapany. Powinno być w tym coś zabawnego, lecz nie potrafił się tego dopatrzeć. Jeszcze nie teraz.

Chyba jednak przeżył. Dokonał też tego, o co go proszono. Udało mu się zrobić pełny, uspokajający oddech i właśnie wtedy ścieżką nadbiegł Alessan i jeden z quilejskich żołnierzy. Ku swemu zaskoczeniu Devin zobaczył, że tuż za nimi biegnie Erlein.

Zaczął wstawać, ale świat mu zawirował i musiał się wesprzeć na Alessanie. Quilejski strażnik odwrócił zabójczynię na plecy. Popatrzył na nią i z rozmysłem splunął jej w zakrwawioną twarz. Devin odwrócił spojrzenie i napotkał wzrok Alessana.

– Zobaczyliśmy, jak skaczesz. Zanim spróbuje się czegoś takiego, trzeba raczej mieć skrzydła – powiedział książę. – Nikt ci tego nie powiedział?

Wyraz szarych oczu przeczył lekkiemu tonowi.

– Bałem się o ciebie – dodał cicho.

– Nie mogłem wymyślić niczego innego – odparł przeproszająco Devin. Poczł wzbierającą w nim głęboką dumę. Wzruszył ramionami. – Ten śpiew doprowadzał mnie do szału. Musiałem jakoś go przerwać.

Uśmiech Alessana poszerzył się. Objął Devina ramieniem i uściśnął go. Baerd też to kiedyś zrobił – w szopie Nievolenich.

Żart rozśmieszył Erleina.

– Wracaj na dół – rzekł czarodziej. – Będę musiał przemyć ci te zadrapania.

Pomogli mu zejść. Żołnierz niósł kobietę i jej łuk. Devin zobaczył, że był zrobiony z bardzo ciemnego, prawie czarnego drewna i że został wyrzeźbiony na kształt sierpu księżyca. Z jego jednego końca zwisał skręcony lok siwiejących włosów. Devin zadrżał. Domyślał się, czyje mogły one być.

Marius stał z jedną ręką na oparciu fotela. Ledwo obrzucił spojrzeniem czterech mężczyzn i niesioną zabójczynię. Zimny i ponury wzrok utkwiał w czarnym księżycowym łuku. Wyglądał strasznie.

Tym bardziej, pomyślał Devin, że nie jest przestraszony.

– Chyba nie musimy już prowadzić tej słownej gry – rzeki Alessan. – Chciałbym ci powiedzieć, czego potrzebuję, ty mi powiesz, czy możesz to zrobić, i nie będziemy musieli więcej mówić.

Marius uniósł rękę, żeby mu przerwać.

Siedział razem z pozostałą trójką wśród poduszek na złocistej materii. Talerze i koszyki zostały uprzątnięte. Dwóch żołnierzy odprowadziło kobietę za przełęcz, gdzie czekała reszta eskorty. Pozostali czterej zostali rozstawieni w pewnej odległości. Słońce stało wysoko, tak wysoko, jak to było możliwe w środku dnia tak daleko na południu i na początku wiosny. Zrobił się ciepły, przyjemny dzień.

– Jeśli chodzi o słowa, to ten Niedźwiedź jest bardzo złym graczem, Gołębiu – rzekł poważnie król Quilei. – Wiesz o tym. Prawdopodobnie wiesz także coś jeszcze – jaki ból sprawi mi odmówienie jakiegokolwiek twojej prośbie. Chciałbym zrobić to inaczej. Chciałbym ci powiedzieć, czego nie mogę zrobić, żebyś mnie o to nie prosił i nie zmusił do odmowy.

Alessan skinął głową. Patrzył na króla w milczeniu.

– Nie mogę dać ci armii – zaczął bez ogródek Marius. – Ani teraz, ani prawdopodobnie w przyszłości. Całkiem niedawno objąłem władzę, dlatego daleko mi do stabilności, jakiej potrzebuję w kraju, żeby poprowadzić czy choćby tylko wysłać wojsko przez te góry. W bardzo krótkim czasie muszę zmienić kilkusetletnie tradycje. Nie jestem już młodym człowiekiem, Gołębiu.

Devin poczuł przyływ podniecenia i z trudem je opanował. Sytuacja była zbyt poważna na dziecinne uczucia. Ledwo jednak potrafił uwierzyć, że się tu znajduje, tak blisko – w samym sercu – czegoś tak wielkiego. Spojrzał kątem oka na Erleina, po czym przyjrzał mu się uważniej: w twarzy czarodzieja rozbłysła taka sama iskra zaciekawienia. Devin miał poważne wątpliwości, czy mimo swego wieku i długich podróży ten trubadur i czarodziej w jednej osobie kiedykolwiek znajdował się tak blisko wielkich wydarzeń.

Alessan potrząsnął głową i powiedział:

– Nigdy bym cię o to nie prosił, Niedźwiedziu. Tak ze względu na nas, jak i na ciebie. Nie chcę, żeby pamiętano mnie jako człowieka, który pierwszy zaprosił świeżo obudzoną potęgę Quilei na północ. Jeśli jakaś armia kiedykolwiek wypuści się z Quilei przez te przełęcze – a mam nadzieję, że zanim nastanie taki dzień, obaj od dawna będziemy już martwi – to moim najszczerzym pragnieniem będzie wycięcie jej i odepchnięcie z tak krwawymi stratami, że żaden król z południa nigdy więcej nie spróbuje czegoś takiego.

– Jeśli przez kolejne czterysta lat na południu będzie król, a nie Matka i jej kapłanki. Dobrze, a zatem powiedz mi, czego ci trzeba.

Alessan siedział ze skrzyżowanymi nogami, a długie palce rąk splótł na podołku. Zupełnie nie sprawiał wrażenia, że omawia coś ważniejszego niż kolejność pieśni podczas wieczornego występu.

Tyle że jego palce, co zauważył Devin, były tak mocno zaciśnięte, że aż pobielaly.

– Najpierw zadam ci pytanie – powiedział Alessan, panując nad głosem. – Czy otrzymałeś listy z propozycjami nawiązania stosunków handlowych?

Marius skinął głową.

– Od obu waszych tyranów. Prezenty, gratulacje i hojne propozycje odnowienia dawnych szlaków handlowych na morzu i lądzie.

– I każdy z nich zalecał ci odrzucenie oferty drugiego jako człowieka niegodnego zaufania i niepewnie dzierżącego władzę.

Marius lekko się uśmiechał.

– Przejmujesz moją pocztę, Gołębiu? Właśnie tak zrobili.

– I co im odpowiedziałeś? – Pytanie Alessana dążyło bezpośrednio do celu niczym strzała wypuszczona z łuku. Po raz pierwszy w jego głosie dało się wyraźnie wyczuć napięcie.

Marius też je usłyszał.

– Jeszcze nic – odparł i przestał się uśmiechać. – Zanim wykonam jakieś posunięcie, chcę jeszcze od każdego dostać kilka pism.

Alessan spuścił wzrok. Mogło się zdawać, że dopiero teraz spostrzegł swoje zaciśnięte palce. Rozplótł je i oczywiście przeczesał sobie ręką włosy.

– Będziesz jednak musiał zrobić jakieś posunięcie – powiedział z pewnym trudem. – Handel będzie ci potrzebny. Mając władzę, musisz zacząć pokazywać Quilei, jakie korzyści możesz jej dać. Kontakty handlowe z północą będą najszybszym sposobem, prawda? – W jego głosie brzmiało swoiste wyzwanie.

– Oczywiście – odparł po prostu Marius. – Muszę to zrobić. Od czego jestem królem? To tylko kwestia czasu – a po wydarzeniach dzisiejszego poranka ten czas chyba się trochę skrócił.

Alessan skinął głową.

– A więc co zrobisz? – zapytał.

– Otworzę przełęcz dla nich obu. Od żadnego nie zażadam zabezpieczeń ani na żadnego nie nałożę ceł. Pozwolę Alberico i Brandinowi przysyłać mi tyle prezentów, towarów i posłów, ile im się spodoba. Pozwolę, by handel z nimi uczynił mnie prawdziwym królem – królem, który daje swojemu ludowi dobrobyt. Będę musiał zacząć niedługo, a teraz podejrzewam, że natychmiast. Muszę wyznaczyć Quilei nowy kurs tak zdecydowanie, że stary po prostu się rozplynie w niepamięci. W przeciwnym razie umrę, dokonawszy tylko tego, że przeżyłem nieco dłużej niż większość dorocznych królów, a kapłanki wrócą do władzy, jeszcze zanim moje kości zostaną objedzone przez robaki.

Alessan zamknął oczy. Devin usłyszał dobiegający zewsząd poszum drzew i z rzadka rozlegający się śpiew ptaków. Po chwili Alessan znów spojrzał na Mariusa spokojnie i powiedział bez ogródek:

– Proszę cię, żebyś mi dał pół roku, zanim podejmiesz jakąś decyzję co do handlu. I o coś jeszcze przez te sześć miesięcy.

– Już sam ten czas ma wielkie znaczenie – powiedział Marius bardzo cicho. – Ale powiedz mi resztę, Gołębiu. Powiedz mi o tym czymś jeszcze.

– Trzy listy, Niedźwiedziu. Potrzebuję trzech listów wysłanych na północ. W pierwszym liście udzielasz Brandinowi warunkowej zgody. Prosisz o czas na umocnienie własnej pozycji przed wystawieniem Quilei na zewnętrzne wpływy. Dajesz mu jasno do zrozumienia, że twoja przychylność wynika z przeświadczenia, iż jest silniejszy od Alberico i że raczej utrzyma swoją pozycję. W drugim liście z żalem odrzucasz wszelkie propozycje Astibaru. Piszesz do Alberico, że przestraszyły cię groźby Brandina. Że bardzo chciałbyś handlować z Imperium Barbadioru, że potrzebujesz tego handlu, ale Ygratheńczyk wydaje się zbyt mocno osadzony w Dłoni, żebyś ryzykował urażenie go. Życzysz Alberico wszystkiego najlepszego. Prosisz, żeby dyskretnie utrzymywał z tobą kontakt. Mówisz, że będziesz z uwagą obserwował wydarzenia na północy. Nie dałeś jeszcze Brandinowi ostatecznej odpowiedzi i będziesz jak najdłużej z nią zwlekał. Przesyłaś najserdeczniejsze pozdrowienia imperatorowi.

Devin stracił wątek. Wrócił do swego zimowego zwyczaju: słuchać, zapamiętać, zastanawiać się później. Oczy Mariusa jednak błyszczały, a na jego usta powrócił zimny, niepokojący uśmiech.

– A mój trzeci list? – zapytał.

– Napiszesz go do gubernatora prowincji Senzio. Zaproponujesz mu natychmiastowe wznowienie handlu bez żadnych ceł, prawo pierwokupu najlepszych towarów i bezpieczne kotwicowiska w twoich portach dla senziańskich statków. Wyrazisz głęboki podziw dla odważnej niezależności Senzio w obliczu trudności. – Alessan na chwilę przerwał oczywiście ten trzeci list...

– Przechwyci Alberico z Barbadioru. Czy zdajesz sobie sprawę, co chcesz puścić w ruch,

Gołębiu? Jak niewiarygodnie niebezpieczna jest to gra?

– Chwileczkę! – wtrącił się nagle Erlein di Senzio, podnosząc się z ziemi.

– Zamilcz! – Alessan dosłownie wypluł rozkaz głosem, jakiego Devin nigdy u niego nie słyszał.

Erlein zaniemówił. Usiadł, oddychając chrapliwie, z oczyma płonącymi gniewem i rodzącym się zrozumieniem. Alessan nawet na niego nie spojrział. Marius też nie. Siedzieli na złocistym dywanie wysoko w górach, niepomni na istnienie czegokolwiek w świecie poza nimi samymi.

– Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? – odezwał się w końcu Marius. – I to bardzo dokładnie. – W jego głosie brzmiał pewien podziw.

Alessan skinął głową.

– Triada wie, że miałem dość czasu, żeby to przemyśleć. Uważam, że kiedy tylko zostaną otwarte szlaki handlowe, przypadnie moja prowincja, a wraz z nią jej imię. Dzięki temu, co możesz zaoferować Brandinowi, zostanie on bohaterem, a nie tyranem zachodu. Stanie się tak pewny siebie, że nic już nie będę mógł zrobić, Niedźwiedziu. Twój królewski tron może oznaczać moją klęskę. I klęskę mojej ojczyzny.

– Żałujesz, że pomogłeś mi go zdobyć?

Devin obserwował, jak Alessan zмага się z tym pytaniem. Głęboko pod powierzchnią tego, co widział i rozumiał, przebiegały prądy rozlicznych emocji. Słuchał i zapamiętywał.

– Powinienem tego żałować – mruknął wreszcie Alessan. – W pewnym sensie popełniam zdradę, nie żałując. Ale nie, jakże mógłbym żałować tego, nad osiągnięciem czego tak ciężko pracowaliśmy? – Jego uśmiech był smutny.

Marius powiedział:

– Wiesz, że cię kocham, Gołębiu. Obu was kocham.

– Wiem. Obaj to wiemy.

– Wiesz, co mnie czeka w domu.

– Wiem. Mam pewne powody, żeby o tym nie zapomnieć.

W ciszy, jaka nastąpiła, Devin poczuł ogarniający go smutek, jakby echo jego nastroju z końca nocy. Miał poczucie straszliwych przestrzeni, które zawsze wydawały się leżeć między ludźmi. Przepaści, które trzeba było przebyć, chcąc kogoś choćby dotknąć.

Jakże szersze muszą być te przepaści dla ludzi takich, jak ci dwaj, mających swe długoletnie marzenia i dźwigających brzemień tego, kim są. Jakże trudne, jakże okrutnie trudne wydawało się pokonywanie tylu przeżyć, takiego ciężaru odpowiedzialności i straty.

– Och, Gołębiu – odezwał się Marius z Ouilei prawie szeptem – równie dobrze osiemnaście lat temu mogłeś być strzałą wystrzeloną z białego księżycy prosto w moje serce. Kocham cię jak własnego syna, Alessanie bar Valentin. Dam ci pół roku i te trzy listy. Jeśli usłyszysz, że

umarłem, rozpal na moją pamiątkę ognisko.

Nawet będąc na marginesie wydarzeń i niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc, Devin poczuł ucisk w gardle. Spojrzał na obu mężczyzn i nie potrafiłby powiedzieć, którego z nich bardziej w tej chwili podziwia. Tego, który poprosił, wiedząc, o co prosi, czy tego, który dał, wiedząc, co daje. Miał jednak otrzeźwiająca i nieuchronną świadomość tego, jak daleką musi jeszcze przebyć drogę – być może nigdy nie potrafi tego zrobić – zanim będzie mógł stać się człowiekiem podobnym do nich dwóch.

– Czy którykolwiek z was ma choćby najmniejsze pojęcie – przerwał ciszę ponurym głosem Erlein di Senzio – ilu niewinnych ludzi może zginąć z powodu tego, co chcecie zrobić?

Mariusz nic nie powiedział, lecz Alessan zaatakował czarodzieja.

– A czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie – rzekł z oczyma zmienionymi w kawałki szarego lodu – jak wielką mam ochotę cię zabić za takie słowa?

Erlein zbladł, lecz się nie cofnął ani nie spuścił wzroku.

– Nie prosiłem o przyjęcie na świat w ten czas ani o obarczenie mnie z racji mojego pochodzenia obowiązkiem naprawy go – rzekł Alessan głosem tak napiętym, jakby trzymał go na smyczy. – Byłem najmłodszym synem. To powinno być brzemię któregoś z moich braci czy też ich obu. Zginęli nad Deisą. Znaleźli się wśród szczęśliwców. – Na chwilę do jego głosu wdarła się gorycz.

Została pokonana.

– Usiłuję działać dla dobra całej Dłoni, a nie jedynie Tigany i jej utraconej nazwy. Uragano mi za to jako zdrajcy i głupcowi. Przeklęła mnie z tego powodu moja matka. Od niej to przyjmę. Jeśli zawiodę, przyjmę przed nią odpowiedzialność za krew, śmierć i zniszczenie Tigany. Nie zamierzam natomiast poddawać się twemu osądowi, Erleinie di Senzio! Nie musisz mi mówić, kto lub co jest narażone na ryzyko w tym przedsięwzięciu. Masz robić to, co ci każe, i nic ponadto! Jeśli chcesz umrzeć jako niewolnik, równie dobrze ja mogę być twoim panem. Będziesz walczył u mego boku, Senzianinie. Z własnej woli czy też wbrew niej, ale będziesz wraz ze mną walczył o wolność!

Zamilkł. Devin drżał, jakby nad górami przeszła tytaniczna burza.

– Dlaczego pozwalasz mu żyć? – zapytał Mariusz z Quilei. Alessan opanował się z trudem. Sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się nad pytaniem.

– Bo na swój sposób jest dzielnym człowiekiem – odpowiedział w końcu. – Bo to prawda, że nasz plan sprowadzi na jego naród wielkie niebezpieczeństwo. Bo w jego i moim pojęciu bardzo go skrzywdziłem. I ponieważ muszę go wykorzystać.

Mariusz potrząsnął masywną głową.

– Złe jest kogoś wykorzystywać.

– Wiem, Niedźwiedziu.

– Może do ciebie wrócić, nawet po wielu latach, i poprosić cię o jakąś wielką rzecz. O coś, czego twoje serce nie pozwoli mu odmówić.

– Wiem, Niedźwiedziu – powtórzył Alessan. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie, siedząc bez ruchu na złocistym dywanie.

Devin odwrócił się, czując, że nie powinien podglądać tej wymiany spojrzeń. W ciszy, która zapadła nad tą przełęczą pod szczytami łańcucha Braccio, z przeszywającą słodyczą brzmiał śpiew ptaków, a spojrzawszy na południe, Devin zauważył, że rozproszyły się resztki wysokich, białych chmur, ukazując oślepiające w słonecznym blasku ośnieżone szczyty. Na świecie istniało więcej piękna i bólu, niż Devin kiedykolwiek sobie wyobrażał.

Kiedy zjechali z przełęczy, Baerd czekał na nich o parę mil na południe od zamku, siedząc samotnie na koniu wśród zielonych wzgórz.

Na widok Devina i Erleina oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, a na jego twarzy zagościło widoczne nawet mimo brody rozbawienie, które nieczęsto gościło na jego obliczu. Kiedy Alessan zatrzymał konia przed nim, Baerd powiedział:

– Wbrew temu, co mówisz, jesteś w tych sprawach nawet gorszy ode mnie.

– Nie gorszy. Może tak samo kiepski – odparł Alessan, ze smutkiem pochylając głowę. – Przecież nie chciałeś jechać ze mną tylko dlatego, żeby nie wywierać na niego dodatkowego nacisku...

– A ty, po słownym skarceniu mnie za to, dobierasz sobie dwóch obcych ludzi, żeby jeszcze bardziej zmniejszyć nacisk. Pozostanę przy swoim zdaniu: jesteś gorszy ode mnie.

– Skarć mnie słownie.

Baerd potrząsnął głową.

– Jak on się czuje?

– Nieźle. Żyje w napięciu. Devin udaremnił próbę zabójstwa.

– Co się stało? – Baerd rzucił okiem na Devina, zauważając rozdartą koszulę i spodnie, a także liczne zadrapania i skaleczenia.

– Będziesz musiał nauczyć mnie strzelania z łuku – odezwał się chłopak. – Mniej się człowiek od tego zużywa.

Baerd uśmiechnął się.

– Dobrze, przy najbliższej okazji. – Wtem jakby uderzyła go jakaś myśl. – Zabójstwo? – zwrócił się do Alessana. – W górach? Przecież to niemożliwe! Alessan miał ponurą minę.

– Niestety. Miała przy sobie księżycowy łuk z puklem jego włosów. Górskie tabu najwyraźniej zostało zniesione – przynajmniej jeśli chodzi o morderstwo.

Baerd zmarszczył z z troskaniem czoło. Przez chwilę siedział na koniu w milczeniu, wreszcie odezwał się:

– A więc tak naprawdę nie miał wyjścia. Musi działać natychmiast. Odmówił?

– Zgodził się. Mamy pół roku i wyśle te listy. – Alessan zawahał się. – Poprosił, żebyśmy po jego śmierci rozpalili na jego pamiątkę ognisko.

Baerd nagle zawrócił konia. Siedział w siodle, patrząc nieruchomo na zachód. Popołudniowe słońce rzucało na pokryte wrzosem i paprociami wzgórze bursztynowy blask.

– Kocham tego człowieka – rzekł Baerd, wciąż wpatrując się w dal.

– Wiem – odparł Alessan. Baerd powoli odwrócił się do niego. Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Senzio? – zapytał Baerd.

Alessan skinął głową.

– Będziesz musiał wyjaśnić Alienor, jak ma ukartować przechwycenie listu. Ci dwaj pojedą ze mną na zachód. Ty z Catrianą i diukiem pojedziesz na północ, a potem do Tregei. Zaczynamy zbierać, cośmy zasiali, Baerdzie. Znasz terminy równie dobrze, jak ja, i wiesz, co robić do naszego spotkania, kto nam będzie potrzebny ze wschodu. Nie jestem pewien co do Rovigo – decyzję zostawiam tobie.

– Nie podoba mi się to rozdzielanie sił – mruknął Baerd.

– Mnie też, jeśli chcesz wiedzieć. Jeżeli widzisz inną możliwość, to rad jej wysłucham.

Baerd potrząsnął głową.

– Co zamierzasz?

– Porozmawiam z kilkoma ludźmi po drodze. Zobaczą się z matką. Reszta zależy od tego, czego się dowiem. Zbiorę własne plony na zachodzie, nim nadejdzie lato.

Baerd zerknął na Devina i Erleina.

– Spróbuj nie dać się zranić – powiedział.

Alessan po swoim wzruszył ramionami.

– Ona umiera, Baerdzie, a ja raniłem ją wystarczająco często w ciągu tych osiemnastu lat.

– Nieprawda! – odparł Baerd z nagłym gniewem. – Jeśli tak myślisz, to sam sobie zadajesz rany.

Alessan westchnął.

– Umiera nikomu nie znana i samotna w sanktuarium Eanny w prowincji zwanej Dolnym Corte. Nie jest w Nadmorskim Pałacu w Tiganie. Nie mów, że nie została zraniona.

– Ale nie przez ciebie! – zaprotestował Baerd.

Znów wzruszenie ramion.

– Od czasu, kiedy wróciliśmy z Quilei, dokonałem pewnych wyborów. Przyjmuję do wiadomości, że inni mogą się z tymi wyborami nie zgadzać. – Rzucił okiem na Erleina. – Daj spokój, Baerdzie. Obiecuję ci, że nie dam się wyprowadzić z równowagi, nawet bez ciebie przy boku. Jeśli będę potrzebował pomocy, Devin mi jej udzieli.

Baerd skrzywił się pod osłoną brody i sprawiał wrażenie, jakby dalej chciał dążyć sprawę, ale kiedy się znów odezwał, mówił już innym tonem:

– Sądysz zatem, że nadszedł czas? Sądysz, że naprawdę może się to stać teraz?

– Sądzę, że musi się to stać tego lata albo nie dojdzie do tego nigdy. Chyba że ktoś rzeczywiście zabije Mariusa w Quilei, wtedy znów wrócimy do punktu wyjścia, nie mając żadnego oparcia. Znaczyłoby to, że moja matka i wielu innych ludzi miało rację. Wtedy ty i ja będziemy po prostu musieli wpłynąć do portu Chiara, samotnie wdrzeć się na mury pałacu, zabić Brandina z Ygrathu i patrzeć, jak Dłoń staje się placówką imperium Barbadoru. Jaką cenę zapłaci wtedy Tigana?

Powstrzymał się. Po chwili mówił dalej już cichszym głosem:

– Marius to jedyna dzika karta, jaką kiedykolwiek mieliśmy, jedyna rzecz, na którą czekałem i pracowałem przez wszystkie te lata. Właśnie zgodził się, żebyśmy nią zagrali tak, jak chcemy. Mamy szansę. Nie zaszkodzi, żebyśmy w nadchodzących dniach wszyscy trochę się modlili. Czekaliśmy na to wystarczająco długo.

Baerd tkwił w bezruchu.

– Wystarczająco długo – powtórzył w końcu, a pewna nuta w jego głosie przejęła Devina dreszczem. – Niech Eanna oświetlą ci ścieżkę w Dni Żaru i później. – Umilkł, spojrzał na Erleina. – Całej waszej trójce.

Twarz Alessana wyrażała wiele odczuć naraz, książę powiedział jednak tylko:

– I wam trojgu też. – Zawrócił konia, ruszając ku zachodowi.

Jadąc za nim, Devin obejrzał się i zobaczył, że Baerd się nie poruszył. Siedział na koniu i patrzył za nimi, a padające mu na włosy i brodę promienie słońca nadawały im złocisty blask, który Devin zapamiętał z pierwszego spotkania. Był za daleko, żeby dostrzec wyraz jego twarzy.

Devin uniósł dłoń w pożegnalnym geście, rozwierając szeroko palce, po czym z zaskoczeniem i zadowoleniem zobaczył, że Erlein szybkim gestem robi to samo.

Baerd uniósł wysoko jedną rękę, a potem potrząsnął wodzami, zwracając konia na północ.

Alessan, ruszając miarowym tempem ku zachodzącemu słońcu, wcale się nie obejrzał.

CZEŚĆ IV

CENA KRWI

Rozdział 13

Jeszcze przed świtem Dianora wstała z łóżka i podeszła do okien wychodzących na balkon. Nie spała całą noc, podobnie jak jej brat, walczący daleko na południu w wojnie Żaru, a potem dzielący z Eleną początek wiosny na szczycie wzgórza odebranego Ciemności.

Ona sama tej nocy z nikim niczego nie dzieliła, leżąc samotnie w łóżku, nawiedzana przez duchy i wspomnienia, teraz patrzyła na zimną ciemność mającą w sobie niewiele z wiosny czy obietnicy nadchodzącego odrodzenia. Późne gwiazdy wciąż świeciły, chociaż księżyc dawno już zaszedł. Znad morza wiał wiatr Dianora dostrzegła zarysy bander powiewających z masztów statków zakotwiczonych w porcie za mołem Nurkowania za Pierścieniem.

Jeden z tych statków właśnie przybył z Ygrathu. Przywiózł na swoim pokładzie śpiewaczkę Isollę. Nie odwiezie jej z powrotem.

– Khavu, pani? – zapytał cicho za jej plecami Scelto.

Nie odwracając się, skinęła głową.

– Proszę A potem usiądź przy mnie, musimy o czymś porozmawiać. – Pomyślała, że jeśli zadziała odpowiednio szybko, jeśli puści wszystko w ruch, nie dając sobie czasu na wahanie czy strach, to być może jej się uda. Inaczej będzie zgubiona.

Słyszała sprawną krzątanicę Scelto w kuchence należącej do jej apartamentu. Ogień płonął przez całą noc Ygrath może i nie przestrzegał wiosennych i jesiennych obrzędów Dłoni, lecz Brandin rzadko mieszał się do miejscowych zwyczajów czy religii i Dianora nigdy nie zapalała nowego ognia w żaden z Dni Żaru. Jeśli już o to chodzi, nie robiła tego większość kobiet w saizanie. Wschodnie skrzydło pałacu będzie po zachodzie słońca ciemne jeszcze przez dwie noce.

Pomyślała, czy nie wyjść na balkon, ale wyglądało ze jest na to o wiele za zimno. Poniżej nie było jeszcze żadnych oznak życia. Pomyślała o Camenie di Chiara. O wschodzie słońca prawdopodobnie go wyniosą z połamanymi kośćmi, żeby umarł na kole na oczach ludzi. Odwróciła myśli i od tego obrazu.

– Jest khav – powiedział Scelto. – Bardzo mocny mi wyszedł – dodał niezręcznie.

Na te słowa odwróciła się i na widok bezradności w jego zmartwionych oczach poczuła w sercu lekkie ukłucie bólu. Wiedziała, jak mu jej było żal tej nocy. Jego twarz nosiła ślady bezsenności, a domyślała się, że sama wygląda podobnie. Zmusiła się do uśmiechu i przyjęła kubek. Był ciepły i sam jego dotyk podziałał na nią uspokajająco, zanim jeszcze pociągnęła łyk napoju.

Usiadła w jednym z foteli przy oknie i gestem zaprosiła Scelto na drugi z nich. Zawahał się, lecz po chwili usiadł. Milczała, ważąc słowa. Nagle zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak

zrobić to delikatnie. To tyle, pomyślała szyderczo, jeśli chodzi o cyniczną dworską manipulatorkę.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i powiedziała:

– Scelto, muszę tego ranka sama znaleźć się na górze. Zdaję sobie sprawę z wszystkich trudności, ale mam ważne powody. Jak możemy to załatwić?

Zmarszczył gładkie czoło. Nic jednak nie powiedział i Dianora domyślała się, że Scelto zastanawia się nad odpowiedzią na jej pytanie, natomiast nie próbuje go ocenić czy zrozumieć. Bała się innej reakcji, ale teraz uświadomiła sobie, że niepotrzebnie. Nie w przypadku Scelto.

– To zależy, czy będzie dziś na górze wyścig – odrzekł.

Serce jej wezbrało wdzięcznością dla niego. Nawet nie zapytał o powód.

– A dlaczego miałby się nie odbyć? – zapytała głupio i odgadła odpowiedź, zanim jeszcze padła.

– Camena – powiedział. – Nie wiem, czy król pozwoli na wiosenny bieg w dzień egzekucji. Jeśli bieg się odbędzie, to jak zawsze zostaniesz zaproszona do oglądania jego zakończenia z królewskiego namiotu na łące.

– Muszę być sama – powtórzyła. – I to na górze.

– Sama ze mną – poprawił. Była to prawie prośba. Upiła khavu. Nadszedł trudny moment.

– Przez część drogi, Scelto – rzekła. – Jest coś, co muszę zrobić zupełnie sama. Będę musiała zostawić cię po drodze.

Patrzyła, jak się z tym zмага. Zanim zdążył coś powiedzieć, dodała:

– Nie mówiłabym tego, gdybym nie musiała. Nie ma nikogo, kogo bardziej bym chciała mieć u swego boku.

Nie powiedziała, do czego to było konieczne, i zobaczyła, jak Scelto walczy, by o to nie zapytać. Przemógł się i Dianora wiedziała, ile go to kosztowało.

Wstał.

– Będę więc musiał sprawdzić, co się dzieje. Niedługo wrócę. Jeśli bieg się odbędzie, będziemy przynajmniej mieli wymówkę do wyjścia. Jeśli nie, trzeba coś wymyślić.

Skinęła z wdzięcznością głową i popatrzyła, jak wychodzi, schludny i nieskończenie uspokajający swą kompetencją. Dopiła khav, spoglądając przez okno. Na dworze wciąż było ciemno. Przeszła do drugiego pokoju, żeby się umyć i ubrać. Robiła to dość starannie, bo wiedziała, że dzisiaj może to mieć znaczenie. Wybrała prostą szatę z brązowej wełny, którą przewiązała paskiem. To jest Dzień Żaru, a nie pora na wspaniałe ubiory. Szata miała kaptur, pod którym mogła skryć włosy – to też mogło mieć znaczenie.

Scelto wrócił, zanim skończyła. Miał dziwny wyraz twarzy.

– Bieg się odbędzie – powiedział, – A Camena nie zostanie stracony na kole.

– Co się z nim stało? – zapytała, czując instynktowne przerażenie.

Scelto zawahał się.

– Rozpuszcza się pogłoski, że dostał łaski szybkiej śmierci, bo sama konspiracja miała miejsce w Ygrath, a Camena był zaledwie ofiarą, narzędziem.

Skinęła głową.

– A co się naprawdę stało?

Scelto miał zmartwioną minę.

– Może lepiej nie powinnaś tego wiedzieć, pani.

Pewnie ma rację, pomyślała. Zaszła jednak za daleko tej nocy, a przed sobą miała jeszcze zbyt długą drogę. To nie pora na dawanie czy szukanie schronienia.

– Może. Ale wolalabym, żebyś mi powiedział, Scelto.

Odezwał się po chwili:

– Powiedziano mi, że zostanie... zmieniony. Rhun się starzeje, a król musi mieć błazna. Trzeba go przygotować, a to może długo potrwać, zależnie od okoliczności.

Okoliczności, pomyślała Dianora, czując napływającą falę mdłości. Jak na przykład to, czy przyszedł błazen był zdrowym, utalentowanym, normalnym młodym człowiekiem kochającym swój dom.

Nawet rozumiejąc, czym są dla swoich królów błazni Ygrathu, nawet pojmując, że wczorajszym czynem Camena przekreślił swoje życie, nie potrafiła powstrzymać reakcji żołądka na znaczenie słów Scelto. Pamiętała, jak wczoraj Rhun siekł ciało Isolli. Pamiętała twarz Brandina. Zmusiła się do zmiany biegu myśli. Tego ranka nie może sobie pozwolić na myślenie o Brandinie. Właściwie lepiej, żeby w ogóle o niczym nie myślała.

– Czy przyszło już wezwanie? – zapytała zwięźle.

– Jeszcze nie, ale przyjdzie. – Słyszała w jego głosie napięcie. Wiadomość o Camenie najwyraźniej też go poruszyła.

– Wiem – powiedziała. – Nie możemy jednak czekać. Jeśli pójdę z innymi, nie będziemy mogli się wymknąć. Jak myślisz, co by się stało, gdybyśmy tak teraz spróbowali razem zejść?

Mówiła spokojnym głosem. Scelto zamyślił się i po chwili powiedział:

– Możemy spróbować.

– To chodźmy.

Bała się bardzo prostej rzeczy: jeśli będzie zwlekała zbyt długo lub za bardzo się nad tym zastanawiała, to wątpliwości ją sparaliżują. Trzeba zacząć działać i nie ustawać w tych działaniach, dopóki nie osiągnie się pewnego punktu.

To, co się wtedy stanie, jeśli w ogóle coś się wydarzy, Dianora pozostawi łasce Triady.

Z bijącym gwałtownie sercem wyszła za Scelto z apartamentu na główny korytarz saisanu. Przez okna na jego wschodnim końcu zaczęły wpadać pierwsze nikłe smugi światła. Poszli w przeciwnym kierunku, mijając dwóch młodych kastratów zmierzających do apartamentu

Vencela. Dianora spojrzała wprost na nich. Po raz pierwszy sprawił jej przyjemność błysk strachu w oczach obu chłopców. Dzisiaj strach był bronią, narzędziem, a ona będzie potrzebowała wszystkich narzędzi, jakie uda jej się znaleźć.

Scelto sprowadził ją niespiesznie szerokimi schodami do podwójnych drzwi prowadzących na szeroki świat. Dogoniła go w chwili, kiedy w nie zastukał. Stojący na zewnątrz strażnik otworzył i Dianora przestąpiła próg, nie czekając na jego pytania ani na oznajmienie Scelto. Mijając strażnika, zmierzyła go chłodnym spojrzeniem i zobaczyła jego rozszerzone oczy, kiedy ją rozpoznał. Ruszyła długim korytarzem. Mijając drugiego strażnika, zauważyła, że to młodzieniec, do którego się wczoraj uśmiechnęła. Dzisiaj tego nie zrobiła.

Usłyszała za sobą głos Scelto wypowiadającego jedno szybkie, tajemnicze zdanie, a potem jeszcze jedno w odpowiedzi na jakieś pytanie. Następnie usłyszała jego kroki zbliżające się korytarzem. Po chwili drzwi zamknęły się za nimi. Scelto ją dogonił.

– Chyba trzeba dużej odwagi, żeby cię dzisiaj zatrzymać – powiedział cicho. – Wszyscy wiedzą, co się wczoraj stało. To dobry poranek, żeby spróbować czegoś takiego.

Dianora pomyślała, że to jedyny poranek na taką próbę.

– Co im powiedziałaś? – zapytała, nie zatrzymując się.

– Jedyne, co zdołałem wymyślić. Idziesz na spotkanie z d'Eymonem w sprawie wczorajszych wydarzeń.

Zwolniła nieco, zastanawiając się nad jego słowami, i wtedy przyszedł jej do głowy zarys właściwego planu.

– Dobrze – powiedziała, kiwając głową. – Bardzo dobrze, Scelto. Właśnie tak. – Obok przeszło dwóch innych strażników, zupełnie nie zwracając na nich uwagi. Kiedy znów byli sami, rzekła: – Scelto, chciałabym, żebyś znalazł d'Eymona. Powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać na osobności, zanim wszyscy pójdziemy po południu oglądać zakończenie wyścigu. Powiedz mu, że za dwie godziny będę czekała w Królewskim Ogrodzie.

Dwie godziny mogły wystarczyć albo nie; tego nie wiedziała. Wiedziała jednak, że gdzieś na rozległym terenie Królewskiego Ogrodu po północnej stronie pałacu jest brama prowadząca na łąki i dalej na leżące za nimi stoki Sangariosa.

Scelto zatrzymał się, zmuszając ją do tego samego.

– Chcesz iść beze mnie, prawda? – powiedział. Nie chciała kłamać.

– Tak – odparła. – Spodziewam się, że zdążę na to spotkanie. Kiedy przekażesz mu wiadomość, wracaj do saizanu. Brandin nie wie, że już wyszliśmy, więc będzie musiał po mnie posłać. Dopilnuj, żeby wezwanie dotarło bezpośrednio do ciebie, nie obchodzi mnie jak.

– Zwykle tak się dzieje – powiedział cicho, najwyraźniej zmartwiony.

– Wiem. Kiedy przyśle po mnie Brandin, będziemy mieli usprawiedliwienie nieobecności. Za dwie godziny zejdź na dół. Powinam być razem z nim w ogrodzie. Znajdź nas.

– A jeśli was tam nie będzie?

Wzruszyła ramionami.

– Graj na zwłokę. Miej nadzieję. Ja to muszę zrobić, Scelto, mówiłam ci.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem skinął głową. Poszli dalej. Tuż przed znajdującym się po ich lewej stronie łukiem Wielkich Schodów Scelto skręcił w prawo. Zeszli mniejszą klatką schodową na parter i znaleźli się w kolejnym korytarzu prowadzącym ze wschodu na zachód. Nikogo w nim nie było. Pałac dopiero zaczynał się budzić.

Spojrzała na Scelto. Ich oczy spotkały się. Przez króciutką chwilę czuła silną pokusę zwierzenia się mu, uczynienia z przyjaciela sojusznika. Co jednak miała mu powiedzieć? Jak wyjaśnić o świcie na środku korytarza ciemną noc i łańcuch lat, które ją tu przywiodły?

Położyła mu dłoń na ramieniu i lekko ją zacisnęła.

– Idź już – powiedziała. – Poradzę sobie.

Przeszła kawałek korytarzem, nie oglądając się za siebie, pchnęła dwoje szklanych drzwi prowadzących do Królewskiego Ogródu i wyszła w szary, zimny początek świtu.

Ogród ten nie zawsze nosił miano Królewskiego i nie zawsze był taki dziki. Wielcy diukowie Chiary kształtowali ten teren dla swojej przyjemności przez kolejne pokolenia. Zmieniał się on w ciągu tych lat wraz ze zmianami w gustach i stylach wyspiarskiego dworu.

Kiedy przybył tu Brandin z Ygrathu, ogród stanowił olśniewający przykład mistrzostwa w strzyżeniu drzew i krzewów: żywopłoty były przycięte na kształt ptaków i zwierząt, drzewa rosły w dokładnych odstępach i zaaranżowanych grupach na całym olbrzymim terenie ogrodu, alejki były szerokie i stały wzdłuż nich liczne rzeźbione ławki, z których każdą ocieniała wonna sedzjoja. Był też bukszpanowy labirynt z ławką dla zakochanych w środku oraz całe szeregi starannie dobranych, uzupełniających się kolorami kwiatów.

Banalny i nudny, określił ogród król Ygrathu podczas pierwszego spaceru.

W ciągu dwóch lat ogród znów się zmienił. Tym razem bardzo. Ścieżki były teraz węższe, ocienione zwisającymi gałęziami w lecie i jesienią. Wiły się pozornie bezładnie wśród gęstych gajów, do których drzewa sprowadzono z pewnym trudem z górskich zboczy i lasów na północy wyspy. Niektóre z rzeźbionych ławek ocalały, podobnie jak gęste, wonne klomby, lecz ptasie żywopłoty i zwierzęce krzewy zniknęły pierwsze. Ich miejsce zajęły dziko rosnące, wyższe i ciemniejsze, podobne do drzew schłudne, symetrycznie przycięte krzaki serrano. Labirynt zniknął – był nim teraz cały ogród.

Wyprowadzono na powierzchnię i zmieniono bieg podziemnego strumienia, i wszędzie teraz słychać było szmer płynącej wody. Można było natknąć się na zarzucone liśćmi stawy obrośnięte pochylonymi drzewami, które dawały cień w letnie upały. Królewski Ogród był teraz dziwnym miejscem, nie zarośniętym i w najmniejszym stopniu nie zaniedbanym, lecz celowo ukształtowanym tak, by dawał poczucie bezruchu, izolacji, a czasami zagrożenia.

Tak jak teraz, kiedy poranny wiatr wciąż był zimny, a ledwo wzeszło słońce dopiero zaczynało ogrzewać powietrze. Na gałęziach drzew tkwiły tylko najwcześniejsze pączki i tylko pierwsze kwiaty – anemony i dzikie różyczki caiana – ożywiały blady ranek plamami koloru. Na tle szarego nieba stały wysokie i ciemne zimowe drzewa.

Dianora zadrżała i zamknęła za sobą szklane drzwi. Zaczepnęła głęboko rześkiego powietrza i spojrzała na wypiętrzone nad Sangariosem, skrywające jego szczyt chmury. Na wschodzie chmury zaczynały się rozrywać. Później będzie ładny dzień, ale jeszcze nie teraz. Stała na krawędzi dzikiego ogrodu końca zimy i próbowała odnaleźć w sobie spokój i pewność.

Wiedziała, że w północnym murze jest brama, ale nie pamiętała gdzie. Pokazał ją Brandin pewnej letniej nocy przed laty, kiedy błądzili bez celu wśród świetlików, grania świerszczy i szmeru wody płynącej w ciemności poza blaskiem pochodni oświetlających ścieżki. Przeprowadził ją do bramy, na którą natknął się pewnego dnia. Była na wpół zakryta przez pnącza i krzak róży. Pokazał jej bramę w ciemności, mając za sobą światło pochodni, a nad głową błękitnego Ilariona.

Pamiętała, że spacerując owej nocy, trzymał ją za rękę i mówił jej o ziołach i właściwościach kwiatów. Opowiedział jej ygratheńską bajkę o leśnej księżniczce urodzonej w jakimś odległym, innym świecie, na zaczarowanym łożu śnieżnobiałych kwiatów, które kwitły tylko w ciemności.

Dianora, odpędzając to wspomnienie, potrząsnęła głową i ruszyła szybkim krokiem jedną z węższych żwirowych ścieżek prowadzących przez drzewa ku północnemu wschodowi.

Kiedy obejrzała się po dwudziestu krokach, nie dostrzegła już pałacu. Nad jej głową zaczynały śpiewać ptaki. Nadal było zimno. Naciągnęła na głowę kaptur, czując się jak brązowo odziana kapłanka jakiegoś nieznanego leśnego bożka.

Myśląc tak, modliła się do boga, którego znała, a także do Moriany i Eanny, żeby Triada zesłała jej mądrość i czystość serca, na poszukiwanie których wybrała się tego poranka Żaru. Była w pełni świadoma, co to za dzień.

Prawie dokładnie w tej samej chwili Alessan, księżę Tigany, wyruszał konno z zamku Borso w certandańskich górach na spotkanie na przełęczy Braccio, które jego zdaniem mogło odmienić świat.

Dianora minęła klomb anemonów, jeszcze za małych i zbyt delikatnych, żeby je zrywać. Były białe, co czyniło je kwiatami Eanny. Czerwone należały do Moriany, z wyjątkiem Tregei, gdzie mawiano, że splamiła je krew Adaona. Dianora zatrzymała się i spojrzała na kwiaty, na ich delikatne płatki drżące na wietrze. Myślami wróciła jednak do bajki Brandina o księżniczce z dalekiego kraju, urodzonej pod letnimi gwiazdami i układanej do snu na takich kwiatkach.

Zamknęła oczy, wiedząc, że takie rozmyślenia nie przyniosą jej nic dobrego.

Powoli, celowo, dogrzebując się bólu, by był jej ostrogą, ościeniem, zbudowała w myślach obraz odjeżdżającego konno ojca, potem matki, a potem Baerda między żołnierzami na placu.

Kiedy otworzyła oczy, żeby pójść dalej, nie miała w sercu żadnych bajek.

Ścieżki wiły się beznadziejnie, ale główna masa chmur leżała na północy, nad szczytem góry i Dianora cały czas starała się podążać w jej kierunku. Dziwnie było tak iść, prawie błądząc wśród drzew, i z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że od wielu lat nie była tak samotna.

Miała tylko dwie godziny, a przed sobą długą drogę. Przyśpieszyła kroku. Nieco później z prawej strony weszło słońce i kiedy następnym razem podniosła głowę, część nieba nad nią była błękitna, a na tle tego błękitu krążyły mewy. Zdjęła kaptur i potrząsając głową, oswobodziła swe długie włosy. Właśnie wtedy poprzez szpaler drzew oliwkowych zobaczyła gruby, wysoki północny mur z szarego kamienia.

Porastały go pnącza i fioletowe oraz ciemnozielone plamy mchu laren. Ścieżka kończyła się przy oliwkach, rozgałęziając się na wschód i zachód. Dianora zatrzymała się, próbując zorientować się w terenie według tego, co pamiętała z lata i oświetlonej pochodniami nocy. Po chwili wzruszyła ramionami i skierowała się na zachód, bo tak jej zawsze dyktowało serce.

Po dziesięciu minutach, minawszy staw ze zmierzwionym odbiciem białych chmur, przyszła pod bramę.

Stała, nagle znów czując zimno, chociaż słońce już nieco ogrzało poranne powietrze. Spojrzała na sklepione wrota i zardzewiałe żelazne zawiasy. Na bardzo starej bramie kiedyś było coś wyrzeźbione, ale teraz ten wizerunek czy symbol prawie zupełnie się już zatarał. Bramę zarastał bluszcz i pnącza. Krzak róży, który zapamiętała, był tego pierwszego dnia wiosny jeszcze nagi, lecz kolce miał długie i ostre. Dostrzegła ciężki rygiel, równie zardzewiały jak zawiasy. Nie było zamka, ale Dianora nagle zwątpiła, czy będzie w stanie choćby poruszyć skorodowany rygiel. Zadała sobie pytanie, kto ostatnio wychodził przez bramę na leżące za nią łąki. Kto, kiedy i po co. Pomyślała o wejściu na mur i spojrzała w górę. Miał trzy metry wysokości, ale Dianorze wydało się, że znajdzie na nim oparcie dla rąk i nóg. Już miała postąpić do przodu, gdy usłyszała za sobą jakiś dźwięk.

Później, kiedy nad tym myślała, próbowała zrozumieć, dlaczego bardziej się nie bała. Doszła do wniosku, że pewnie podświadomie brała pod uwagę możliwość takiego obrotu wypadków. Szary gład na zboczu góry stanowił tylko punkt zaczepienia. Nie było najmniejszego powodu oczekiwać, że go znajdzie lub że znajdzie przy nim to, co było jej potrzebne.

Odwróciła się w Królewskim Ogrodzie, sama wśród drzew i wczesnych kwiatów, i zobaczyła nad stawem riselkę czeszącą swe długie, zielone włosy.

Można je znaleźć tylko wtedy, kiedy same tego chcą, przypomniała sobie. A potem przyszła jej do głowy inna myśl i Dianora szybko się rozejrzała, żeby sprawdzić, czy jest tam ktoś jeszcze.

Były jednak zupełnie same w ogrodzie lub w tej jego części. Riselka uśmiechnęła się, jakby odgadując myśli Dianory; drobna, bardzo szczupła, lecz włosy miała tak długie, że mogły służyć

za szatę. Jej skóra była tak przezroczysta, jak opisał to Brandin, a oczy w bladej twarzy przerażająco ogromne, białe jak mleko.

Wygląda jak ty, powiedział wtedy Brandin. Nie, to było inaczej. Przypominała mi ciebie, tak powiedział. W niesamowity, budzący dreszcz sposób Dianora wyczuła, co miał na myśli. Pamiętała samą siebie w roku upadku Tigany, była zbyt szczupła i blada, a oczy w wychudłej twarzy miała prawie tak ogromne, jak te.

Lecz Brandin jej nie znał w tamtych czasach.

Dianora zadrżała. Riselka uśmiechnęła się szerzej. Nie było w niej ani odrobiny ciepła czy pociechy. Dianora nie wiedziała, czy liczyła na którąś z tych rzeczy. Właściwie zupełnie nie wiedziała, co spodziewała się znaleźć. Przyszła, by odnaleźć wyraźną ścieżkę ze starej wierszowanej przepowiedni i wydawało jej się, że jeśli mają odnaleźć, to stanie się to właśnie tutaj, wśród pogmatwanych drózek Królewskiego Ogrodu.

Riselka była bardzo piękna. Dianorze zaschło w ustach. Nawet nie próbowała się odezwać. Stała nieruchomo w swej prostej, brązowej szacie z ciemnymi włosami spadającymi swobodnie na plecy, i patrzyła, jak riselka kładzie na kamiennej ławce przy stawie grzebień biały niczym kość i przyzywa ją gestem.

Dianorze drżały ręce. Zeszła powoli ze ścieżki i wyszedłszy spod sklepienia drzew, stanęła przed bladą, ulotną istotą z legendy. Była tak blisko, że widziała blask zielonych włosów w miękkim świetle poranka. Białe oczy miały w sobie grającą różnymi odcieniami głębię. Riselka uniosła dłoń o palcach dłuższych i szczuplejszych niż u jakiegokolwiek śmiertelnika, i dotknęła twarzy Dianory.

Dotyk był chłodny, lecz nie tak zimny, jak mogła się obawiać. Riselka delikatnie pogłaskała jej policzek i szyję. A potem, znów pogłębiając swój niesamowity, obcy uśmiech, zsunęła rękę niżej, rozpięła guzik szaty Dianory i sięgnęła do jej piersi. Dotknęła najpierw jednej, potem drugiej, bez pośpiechu, cały czas uśmiechając się tym niezgłębionym uśmiechem.

Dianora nie potrafiła powstrzymać drżenia, jakie ją ogarnęło. Z niedowierzaniem i lękiem poczuła, jak jej ciało mimowolnie reaguje na ten badawczy dotyk. Widziała dziecinne piersi riselki na wpół ukryte pod zasłoną jej włosów. Nagle poczuła, jak mięknią jej kolana. Uśmiech riselki odsłaniał małe, ostre, bardzo białe zęby. Dianora przełknęła ślinę, czując w środku ból, którego zupełnie nie pojmowała. Potrząsnęła głową, niezdolna wydobyć słowa. Zaczęła szlochać.

Uśmiech riselki zniknął. Cofnęła rękę i zapięła szatę Dianory jakby przeproszającym gestem. Równie delikatnie jak przedtem dotknęła łyż na jej policzku, po czym przytknęła palec do warg i posmakowała go.

Ona naprawdę jest dzieckiem, przyszła nagle Dianorze do głowy myśl jakby wyrzucona na plażę jej umysłu falą przyływu. Jednocześnie wiedziała, że to prawda bez względu na to, ile lat

liczy sobie owa istota. Zastanawiała się, czy to ta sama szczupła, budząca nabożną cześć postać, którą spotkał Baerd w blasku księżycy nad morzem w noc, kiedy odszedł.

Riselka dotknęła i posmakowała jeszcze jedną łzę. Jej oczy były tak ogromne, że Dianora miała wrażenie, iż mogłaby w nie zapaść się na zawsze. Był to obraz niezwykle kuszący, ścieżka w zapomnieniu. Patrzyła jeszcze przez chwilę, po czym powoli, z wysiłkiem znów potrząsnęła głową.

– Proszę – szepnęła w poczuciu wielkiej potrzeby i tej potrzeby się bojąc. Bojąc się, że słowa, potrzeba czy tęsknota – cokolwiek – mogą spłoszyć riselkę.

Zielonowłosa istota odwróciła się i Dianora zacisnęła dłonie. Riselka jednak obejrzała się poważnie, bez uśmiechu, przez ramię i Dianora zrozumiała, że ma iść za nią.

Doszły nad brzeg stawu. Riselka patrzyła w wodę, Dianora poszła więc za jej przykładem. Zobaczyła odbicie błękitnego nieba, pojedynczej białej mewy przecinającej przestrzeń nad stawem, ciemnozielonych cyprysów stojących niczym wartownicy i gałęzi innych, jeszcze nagich drzew. Patrząc tak i czując przenikający ją chłód jakby przyniesiony przez zbyt szybko nadeszła zimą, zdała sobie sprawę, co jest nie w porządku. Nad nimi i wszędzie wokół wiał wiatr, słyszała jego szum wśród drzew, czuła go na twarzy i we włosach, lecz woda w stawie była niczym szkło zwierciadła, całkowicie nieruchoma, nie poruszona najmniejszym podmuchem wiatru czy poruszeniem we własnych głębinach.

Dianora odsunęła się od brzegu i odwróciła do riselki. Istota z innego świata patrzyła na nią. Wiatr odgarniał zielone włosy z jej drobnej, białej twarzy. Oczy miała teraz ciemniejsze, matowe i nie wyglądała już jak dziecko. Wyglądała jak potęga przyrody lub wysłanniczka takiej potęgi, nie mająca ani odrobiny ciepła dla śmiertelnika czy śmiertelniczki. Żadnej przychylności, żadnej ochrony. Walcząc jednak z ogarniającym ją strachem, Dianora napomniła się, że nie przyszła tu po ochronę, lecz po wyznaczenie drogi, i dostrzegła wtedy, że riselka trzyma w ręce biały kamyczek, który właśnie wrzuca do stawu.

Żadnych kręgów. Najmniejszego ruchu. Kamyczek wpadł w wodę bez śladu. Jej powierzchnia jednak wkrótce się zmieniła, pociemniała, zniknęły z niej wszystkie odbicia. Żadnych cyprysów. Żadnego porannego kręgu nieba. Żadnych nagich drzew obramowujących skośny lot mew. Woda za bardzo pociemniała, niczego już nie odbijała. Dianora poczuła jednak, jak riselka ujmując ją za rękę i delikatnie, lecz nieubłaganie, przyciąga ją z powrotem nad brzeg stawu. Spojrzała w dół, przyszedłszy z saisanu, by odnaleźć tę prawdę, ten znak. I w ciemnych wodach ujrziała odbicie.

Nie swoje czy riselki, nic z Królewskiego Ogrodu w ten pierwszy z Dni Żaru. Zamiast tego zobaczyła obraz innej pory roku, późnej wiosny czy lata, innego miejsca pełnego barw, tłumy ludzi i w jakiś sposób słyszała nawet ich gwar, a zza niego dochodził nieustanny poszum fal.

I w głębinie stawu Dianora ujrziała siebie, odzianą w szatę zieloną jak włosy riselki, idącą

samotnie wśród tłumu. Po chwili zobaczyła, dokąd wiodą jej kroki.

Przez sekundę poczuła lodowaty dotyk strachu. Gdy minął, jej bijące szybko serce uspokoiło się, a potem zwolniło jeszcze bardziej. Ogarnął ją głęboki spokój. W chwilę później, nie bez i ciężaru smutku, przyszła akceptacja. Od lat śniło jej się takie zakończenie. Tego ranka wyszła z saizanu, szukając tej pewności. A teraz, nad stawem zobaczyła w końcu wyraźnie swą ścieżkę, która prowadziła do morza.

Szmer tłumu ścichł, a potem zniknęły wszystkie obrazy, jaskrawe słońce lata. W ciemnym stawie znów nic się nie odbijało.

W jakiś czas później, to mogły być równie dobrze chwile jak godziny, Dianora znów podniosła wzrok. Riselka wciąż stała obok niej. Dianora zajrzała w blade oczy, o tyle jaśniejsze od zaczarowanych wód, lecz równie głębokie, i zobaczyła siebie jako dziecko, tak dawno temu. A jednak nie tak dawno, wedle miary czasu tej istoty upłynęło zaledwie tyle czasu, ile trwało mrugnięcie okiem czy lot jesiennego liścia na ziemię.

– Dziękuję – szepnęła. – Rozumiem.

Stała nieruchomo, nawet nie drgnęła, kiedy riselka wspięła się na palce i pocałowała ją w usta, miękko niczym dotyk motylego skrzydła. Tym razem nie było w dawaniu czy braniu ani cienia pożądania. To był finał, po spełnieniu. Usta riselki smakowały solą. Solą łez Dianory. Nie czuła już strachu, tylko spokojny smutek niczym gładki kamień w sercu.

Usłyszała jakiś dźwięk i odwróciła się do stawu. Znów zobaczyła odbicie cyprysów, pomarszczone i porożrywane przez smagający wodę wiatr.

Kiedy ponownie podniosła wzrok, odgarniając z twarzy włosy, zobaczyła, że jest sama.

Wyszła na otwartą przestrzeń przed wrotami pałacu, a tam czekał już na nią d'Eymon ubrany w oficjalne szarości, z Pieczęcią Urzędu na szyi. Siedział na jednej z kamiennych ławek, oparłszy obok siebie laskę. Scelto kręcił się w pobliżu bramy i wychodząc spomiędzy drzew, Dianora dostrzegła na jego twarzy przelotny wyraz ulgi.

Zatrzymała się i spojrzała na kanclerza, pozwalając sobie na lekki uśmiech. Oczywiście był udawany, ale teraz potrafiła go już przywoływać odruchowo. W zwykle nieodgadnionej twarzy d'Eymona wyczytała zdenerwowanie i gniew, a także inne ślady wczorajszych wydarzeń. Domyślała się, że pewnie marzy o kłótni. Trudno, zdumiewająco trudno było jej z powrotem wejść w koleiny dworskich manier i spraw państwowych, musiała to jednak zrobić.

– Spóźniłeś się – powiedziała łagodnie, podchodząc do d'Eymona. Wstał na jej powitanie z nieskazitelną kurtuazją. – Poszłam na spacer po ogrodzie. Zaczynają już kwitnąć anemony.

– Przyszedłem punktualnie – rzekł d'Eymon.

Kiedyś mogłaby się zmieszać, ale nie teraz. Wziął Pieczęć, chcąc wzmocnić swój autorytet, ale Dianora wiedziała, jak bardzo wczorajszy dzień wytrącił go z równowagi. Była prawie

pewna, że zeszłego wieczoru zaproponował Brandinowi, że popełni samobójstwo – był człowiekiem, dla którego dawne tradycje mają znaczenie. Tak czy owak, miała przeciwko niemu broń: rano widziała riselkę.

– A zatem to ja musiałam przyjść za wcześnie – powiedziała niedbale. – Wybacz. Dobrze widzieć cię w tak dobrej formie po wczorajszym... zamieszaniu. Długo czekałeś?

– Dość długo. Jak rozumiem, chcesz porozmawiać o wczorajszym dniu. O co chodzi? – Dianora chyba nigdy nie słyszała z ust d'Eymona błahej uwagi, nie mówiąc już o komplementach.

Nie chcąc się śpieszyć, usiadła na ławce, z której właśnie wstał, i wygładziła szatę na kolanach. Splotła na podołku palce i podniosła wzrok, nagle równie zimny, co oczy d'Eymona.

– On wczoraj omal nie zginął – rzekła bezbarwnym tonem, dopiero w tej chwili decydując się, jaki obierze kurs. – Mógł stracić życie. Czy wiesz dlaczego, kanclerzu? – Nie czekała na odpowiedź. – Król omal nie zginął, ponieważ twoi ludzie byli zbyt zadowoleni z siebie czy niedbali, by zawracać sobie głowę przeszukaniem grupy Ygratheńczyków. Co ty sobie myślałeś? Ze niebezpieczeństwo może nadejść tylko z Dłoni? Oczekuję, że wczorajsi strażnicy zostaną odpowiednio potraktowani, d'Eymonie. I to wkrótce.

Celowo użyła jego imienia, a nie stanowiska. Otworzył i zamknął usta, wyraźnie powstrzymując się od szybkiej riposty. Przeciągała strunę, Triada wiedziała, jak bardzo ją przeciąga, ale jeśli miała kiedykolwiek szansę tego dokonać, to właśnie teraz. Zaskoczony D'Eymon pobladł ze złości. Zacerpnął głęboko powietrza, żeby się opanować.

– Już zostali odpowiednio potraktowani – odparł. – Nie żyją.

Nie spodziewała się tego. Z trudem udało jej się ukryć zmieszanie.

– To nie wszystko – ciągnęła, wykorzystując swoją przewagę. – Chcę wiedzieć, dlaczego nie obserwowano Cameny di Chiara, kiedy w zeszłym roku udał się do Ygrathu.

– Ależ był obserwowany. Co mieliśmy robić? Wiesz, kto stał za wczorajszym atakiem. Przecież słyszałaś.

– Wszyscy słyszeliśmy. Dlaczego nie wiedziałeś o Isolli i królowej? – Tym razem zarzut w jej głosie był prawdziwy, a nie jedynie taktyczny.

Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach przelotne wahanie. Dotknął Pieczęci, potem jakby zdał sobie sprawę, co robi, i opuścił rękę. Zapadło krótkie milczenie.

– Wiedziałem – odezwał się w końcu. Wytrzymał jej wzrok. Patrzył wyzywająco.

– Rozumiem – powiedziała Dianora po chwili i odwróciła wzrok. Słońce stało już wyżej, oświetlając ukośnymi promieniami prawie całą polanę. Gdyby nieco się przesunęła, objęłoby ją swoim ciepłem. W oczach d'Eymona czaiło się ostre, niewypowiedziane pytanie: a ty powiedziałabyś królowi to, co wiedziałabyś o królowej?

Dianora milczała, rozważając wszelkie możliwe konsekwencje. Zdała sobie sprawę, że przyznając się do tego, d'Eymon znalazł się na jej łasce, jeśli jeszcze tak nie było po jego

wczorajszej porażce i jej akcji w obronie króla. Pomyślała, że jednocześnie ona sama znalazła się w dość dużym niebezpieczeństwie. Kanclerz nie był człowiekiem, którego można by kiedykolwiek zlekceważyć. Większość sajszanu miała swoje podejrzenia co do tego, jak i dlaczego zmarła Chloese di Chiara dziesięć lat temu.

Podniosła wzrok i pokryła niepokój rosnącym gniewem.

– Wspaniale – rzekła kwaśno. – Jaka skuteczna ochrona. Teraz oczywiście dzięki temu, do czego zostałam zmuszona, twój ulubiony dworak Neso po prostu musi otrzymać to stanowisko w Asoli, prawda? Przecież otrzymał honorową ranę, próbując ratować życie królowi. Bardzo to sprytnie rozegrałeś, d'Eymonie!

Przeliczyła się. Po raz pierwszy się uśmiechnęła, rozciągając wąskie usta w pozbawionym wesołości grymasie.

– A więc o to ci chodzi? – zapytał cicho.

Powstrzymała szybkie zaprzeczenie. Może i dobrze, że tak uważa, pomyślała.

– Między innymi – przyznała jakby niechętnie. – Chciałabym wiedzieć, dlaczego go faworyzujesz, jeśli chodzi o stanowisko w Asoli. Chciałam o tym z tobą porozmawiać.

– Tak myślałem – powiedział, odzyskując nieco ze swego zwykłego samozadowolenia. – Śledziłem drogę niektórych – nie łudzę się, że wszystkich – prezentów, jakie w ciągu ostatnich tygodni otrzymywał Scelto w twoim imieniu. Skoro już o tym mówimy, to wczorajszy naszyjnik był wspaniały. Czy to za pieniądze Neso? Jako próba skłonienia cię do przeciągnięcia mnie na jego stronę?

Był niezwykle dobrze poinformowany i przebiegły. Zawsze o tym wiedziała. Niedocenianie kanclerza nigdy nie było rozsądne.

– Pomogły za niego zapłacić – odparła krótko. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego go faworyzujesz? Przecież chyba wiesz, jaki to człowiek.

– Oczywiście, że wiem – odpowiedział zniecierpliwiony. – Jak myślisz, dlaczego chcę się go stąd pozbyć? Chcę go umieścić w Asoli, bo nie dowierzam mu na dworze. Chcę go utrzymać z dala od króla, w miejscu, gdzie będzie go można w miarę wygodnie zabić. To chyba wyczerpująca odpowiedź?

Przełknęła ślinę. Nigdy, przenigdy nie wolno go nie doceniać, znów powiedziała sobie w duchu.

– Owszem – rzekła. – Kto ma go zabić?

– To powinno być oczywiste. Zostaną rozpuszczone pogłoski, że zrobili to sami Asolczycy. Spodziewam się, że danie im powodu nie zajmie Neso dużo czasu.

– Oczywiście. A potem?

– A potem król zbada sprawę i dowie się, że Neso był winien rażącej korupcji, co niewątpliwie będzie prawdą. Stracimy tego czy owego za morderstwo, lecz król stanowczo

odetnie się od metod i chciwości Neso. Wyznaczy nowego poborcę podatków i obieca sprawiedliwe postępowanie w przyszłości. To chyba powinno na jakiś czas uspokoić sytuację w północnym Asoli.

– Dobrze – powiedziała Dianora, usiłując zignorować niedbałe sformułowanie „tego czy owego”. – Niezłe rozwiązanie. Mam tylko jedno do dodania: tym nowym urzędnikiem będzie Rhamanus. – Wiedziała, że podejmuje kolejne ryzyko. W gruncie rzeczy jest branką i konkubiną, a on kanclerzem Ygrathu oraz Zachodniej Dłoni. Z drugiej strony równowagę utrzymującą się między nimi można było odmierzać innymi sposobami i Dianora starała się skupić właśnie na nich.

D'Eymon spojrzał na nią chłodno. Patrzyła wprost na niego szeroko rozwartymi, obłudnymi oczyma.

– Od dawna bawi mnie to – odezwał się w końcu – że darzysz taką życzliwością człowieka, który cię pojmał. Można by pomyśleć, że nie broniłaś się, że chciałaś tu przybyć.

Niebezpiecznie, niesamowicie blisko prawdy, ale widziała, że d'Eymon się z nią drażni, że nie mówi poważnie. Zmusiła się do swobodnego uśmiechu.

– Jak można się bronić przed pobytem tutaj? Inaczej nie miałabym okazji do takich miłych spotkań. Tak czy owak – tu zmieniła ton – darzę go życzliwością. Robię to w interesie mieszkańców tego półwyspu. Przecież wiesz, kanclerzu, że to zawsze będzie moją troską. Jest przywoitym człowiekiem. Obawiam się, że nie ma wielu takich Ygratheńczyków.

Przez chwilę milczał.

– Jest ich więcej, niż sądzisz. – Zanim jednak zdołała zinterpretować jego słowa czy zaskakujący ton, jakim je wypowiedział, dodał: – Poważnie się zastanawiałem, czyby nie kazać cię zeszłej nocy otłuć. Albo nie zasugerować uwolnienia cię i nadania ci ygratheńskiego obywatelstwa.

– Cóż za skrajności, mój drogi! – Poczowała jednak przesywający ją chłód. – Czy nie uczyłeś nas, że równowaga jest wszystkim?

– Owszem – odrzekł trzeźwo, nie dając się złapać. Zawsze tak było. – Masz choćby najmniejsze pojęcie, co uczyniłaś z równowagą na dworze?

– A co miałam według ciebie wczoraj zrobić? – zapytała opryskliwie.

– Nie w tym rzecz. To oczywiste. – Na policzkach pojawiły mu się rzadko widywane u niego rumieńce. Kiedy jednak zaczął mówić dalej, jego głos brzmiał jak zwykle. – Sam myślałem o Rhamanusie. Będzie tak, jak proponujesz. Tymczasem prawie zapomniałem wspomnieć, że król posłał po ciebie. Przejąłem wiadomość, zanim dotarła do saiznanu. Będzie czekał w bibliotece.

Zerwała się na równe nogi. Była poruszona – zgodnie z jego oczekiwaniami.

– Dawno temu? – zapytała szybko.

– Nie bardzo. A co? Chyba nie masz nic przeciwko spóźnieniu się? Możesz mu powiedzieć, że w ogrodzie są anemony.

– Mogłabym mu też powiedzieć o paru innych sprawach, d'Eymonie. – Prawie замуrowało ją z gniewu. Z trudem się opanowała.

– Ja też. Podobnie jak Solores. Rzadko to jednak robimy, prawda? Równowaga, jak przed chwilą zauważyłaś, jest wszystkim. Dlatego mimo wczorajszych wydarzeń wciąż byłbym bardzo ostrożny, Dianoro. Równowaga jest wszystkim. Nie zapominaj o tym.

Usiłowała wymyślić jakąś odpowiedź, ostatnie słowo, ale jej się nie udało. Miała w głowie zamęt. Mówił o zabiciu jej, o uwolnieniu, zgodził się z jej wyborem urzędnika dla Asoli, a potem znów jej groził. I wszystko to w ciągu kilku minut, na dodatek wiedząc, że przez cały czas czeka na nią król!

Odwróciła się, uświadomiwszy sobie nagle swój nieciekawy strój oraz fakt, że nie ma czasu wrócić do saiznanu, żeby się przebrać. Czuła, jak się czerwieni ze złości i zdenerwowania.

Scelto najwyraźniej usłyszał ostatnie uwagi kanclerza. W jego oczach odbijała się głęboka troska i poczucie winy, chociaż skoro d'Eymon przejął wiadomość, nic nie mógł na to poradzić.

Stanąła przed bramą pałacu i obejrzała się. Kanclerz stał samotnie w ogrodzie, wsparty o laskę, wysoka, szara, szczupła postać na tle nagich drzew. Niebo znów się zachmurzyło. Nic dziwnego, pomyślała złośliwie Dianora.

A potem przypomniała sobie staw i jej nastrój się zmienił. Jakie znaczenie mają w ostatecznym rozrachunku te dworskie manewry? D'Eymon jedynie robił to, co do niego należało, a teraz ona postąpi podobnie. Ujrzała swą ścieżkę. Udało jej się uśmiechnąć i znów poczuła, jak ogarniają ten wewnętrzny spokój, chociaż w samym jego środku wciąż tkwił kamień smutku. Złożyła niski, bardzo formalny ukłon. Zaskoczony d'Eymon niezręcznie skinął głową.

Dianora odwróciła się i przeszła przez drzwi, które przytrzymał dla niej Scelto. Poszła korytarzem, potem schodami na górę, przecięła hol leżący na osi północ-południe i minęła dwoje ciężkich drzwi. Zatrzymała się przed trzecią parą drzwi. Odruchowo i raczej zgodnie z wieloletnim nawykiem niż z prawdziwej potrzeby sprawdziła swoje odbicie w brązowej tarczy wiszącej na ścianie. Poprawiła szatę i obiema rękami przeciągnęła po beznadziejnie zmierzwionych wiatrem włosach.

Następnie zastukała do drzwi biblioteki i weszła do środka, kurczowo trzymając się swego spokoju i obrazu stawu. Miała nadzieję, że okrągły kamień wiedzy i smutku, który miała w sercu, mocno je zakotwiczy i nie pozwoli ulecieć.

Brandin stał odwrócony plecami do drzwi i oglądał bardzo starą mapę ówczesnego znanego świata, która wisiała nad większym z kominków. Nie odwrócił się. Dianora spojrzała na mapę. Półwysep Dłoni, a nawet większą masę lądową Quilei rozciągającą się za górami na południe aż

do samego Lodu przytłaczał od wschodu olbrzymi Barbador i jego imperium, a od zachodu leżący za morzem Ygrath.

Zaciągnięte aksamitne zasłony nie dopuszczały do biblioteki porannego światła, a na kominkach płonął ogień, co zaniepokoiło Dianorę. Trudno jej było przyzwyczaić się do ognia i w Dzień Żaru. Brandin trzymał pogrzebacz. Był ubrany równie niedbale jak ona – miał na sobie czarny strój do konnej jazdy; jego wysokie buty były zabłocone, musiał więc wybrać się na przejażdżkę bardzo wcześnie.

Dianora przeszła do porządku dziennego nad spotkaniem z d'Eymonem, ale nie z riselką w ogrodzie. Ten mężczyzna stanowił centrum jej życia; wszystko inne mogło się zmienić, lecz wizja riselki podsunęła jej ścieżkę, a Brandin wczoraj zafundował jej samotną, bezseną noc.

– Wybacz mi, panie – odezwała się. – Spędziłam rano z kanclerzem, a on dopiero teraz uznał za stosowne powiedzieć mi, że tu na mnie czekasz.

– Po co się z nim widziałaś? – Pełen odcieni znaczeniowych, znajomy głos wyrażał jedynie lekkie zainteresowanie. Brandin wydawał się pochłonięty mapą.

Nie okłamała króla.

– Sprawa poborcy podatków w Asoli. Chciałam się dowiedzieć, dlaczego faworyzuje Neso.

W jego głosie dała się wyczuć słaba nuta rozbawienia.

– Zapewne d'Eymon powiedział ci coś wiarygodnego. – Wreszcie się odwrócił i po raz pierwszy na nią spojrział. Wyglądał dokładnie tak, jak zawsze, a Dianora wiedziała, co się zwykle działo, kiedy po raz pierwszy spotykali się wzrokiem.

Przed godziną widziała jednak riselkę i coś się chyba zmieniło. Nie opuścił jej spokój. Na chwilę zamknęła oczy, godząc się tak na tę zmianę i przeminięcie pewnej prawdy. Czuła, że jeśli nie będzie bardzo ostrożna, to zacznie z wielu powodów płakać.

Brandin opadł na fotel stojący przy kominku. Wyglądał na zmęczonego. Ujawniało się to w drobnych szczegółach, ale Dianora znała go długo.

– Teraz będę musiał dać stanowisko Neso – powiedział. – Chyba o tym wiesz. Przepraszam.

Wydawało się, że pewne rzeczy się nie zmieniły: zawsze owa poważna, niespodziewana uprzejmość, kiedy mówił z nią o takich sprawach. Czy król Ygrathu musiał ją przeproszać za wybór tego, a nie innego dworaka? Trzymając się swego postanowienia, postąpiła kilka kroków i, zaproszona gestem Brandina, usiadła w fotelu naprzeciwko niego. Jego oczy spoczęły na niej z dziwną, niemal obojętną uwagą. Zastanawiała się, co dostrzegą.

Usłyszała dobiegający z przeciwległego końca komnaty jakiś dźwięk. Zerknęła w tamtym kierunku i zobaczyła Rhuna siedzącego przy drugim kominku, bezmyślnie przeglądającego książkę z obrazkami. Jego obecność o czymś jej przypominała i Dianora poczuła raptowny nawrót gniewu.

– To oczywiście, że będziesz musiał je zaproponować Neso – rzekła. – Asoli to jego nagroda

za dzielność w służbie króla. – Prawie na to nie zareagował. Zadrżały mu tylko usta w lekko ironicznym grymasie, lecz w dalszym ciągu sprawiał wrażenie zamyślnego i niezbyt uważnie słuchał, co do niego mówi.

– Dzielność, odwaga. Tak to będą nazywać – powiedział z roztargnieniem. – Tak naprawdę, nie usunął się na czas. Zeszłej nocy d'Eymon już czynił przygotowania do rozpuszczania wieści, że to Neso uratował mi życie.

Nie dała się sprowokować. Nie ma mowy. Nawet nie rozumiała, czemu on jej o tym mówi.

Powiedziała natomiast, patrząc przez komnatę na Rhuna, a nie na króla:

– To ma sens i zapewne wiesz, że jest mi wszystko jedno. Nie rozumiem jednak, dlaczego rozpowszechniasz kłamstwa o losie Cameny. – Zaczerpnęła oddechu, po czym brnęła dalej: – Znam prawdę. Wstrętny, zły postępek. Jeśli musisz przygotować sobie błazna na miejsce Rhuna, dlaczego kaleczysz zdrowego mężczyznę? Dlaczego to robisz?

Przez długi czas nie odpowiadał i Dianora bała się na niego spojrzeć. Rhun siedział za daleko, żeby coś słyszeć, ale mimo to przestał przewracać karty książki i spoglądał na nich.

– Tak się składa, że istnieją precedensy – powiedział w końcu Brandin wciąż łagodnym tonem. Po chwili jednak dodał: – Prawdopodobnie powinienem ci zabrać Scelto już dawno temu. Oboje dowiadujecie się za dużo i za szybko.

Otworzyła usta, lecz nie wydobyła z siebie głosu. Cóż mogła powiedzieć? Sama się o to prosiła. Dokładnie o to.

Po chwili jednak kątem oka dostrzegła, że Brandin się uśmiecha. Dziwny to był uśmiech, a w jego spojrzeniu też było coś niezwykłego. Powiedział:

– Tak się składa, że Scelto miałby dziś rano rację, ale jego wiadomości są już przestarzałe.

– Co chcesz powiedzieć? – Poczła pierwsze ukłucia prawdziwego niepokoju. W jego zachowaniu było coś dziwnego, nie mogła jednak pojąć co. Wiedziała tylko, że to coś więcej niż zmęczenie.

– Odwołałem wczorajsze rozkazy po powrocie z przejażdżki – rzekł cicho Brandin. – Camena już prawdopodobnie nie żyje. Miał łatwą śmierć. Dokładnie tak, jak głoszą plotki.

Spostrzegła, że jej spoczywające na podolku dłonie są mocno splecione. Powiedziała głupio, bezmyślnie:

– Czy to prawda?

Uniósł tylko brwi, ale Dianora poczuła, że robi się purpurowa.

– Nie muszę cię oszukiwać, Dianoro. Poleciłem sprowadzić świadków spośród Chiaran, żeby nie było żadnych wątpliwości. Co cię o tym przekona – mam kazać przysłać jego głowę do twojego apartamentu?

Znów spuściła wzrok, myśląc o głowie Isolli rozpryskującej się niczym rozbity owoc. Przełknęła ślinę – on sprawił to gestem dłoni. Spojrzała na króla. W milczeniu potrząsnęła

głową. Co się wydarzyło podczas tej przejażdżki? Co tu się dzieje?

Nagle przypomniała sobie, co innego przytrafiło mu się wczoraj. Na zboczu góry, w miejscu, gdzie przy ścieżce biegaczy stoi szary głaz. Jeden mąż widzi riselkę, to jego życia rozstaje.

Brandin odwrócił się do ognia i założył nogę na nogę. Oparł pogrzebacz jednym końcem o obmurze paleniska, a drugim o fotel.

– Nie zapytałaś mnie, dlaczego zmieniłem rozkazy. To do ciebie niepodobne, Dianoro.

– Po prostu boję się zapytać – odparła zgodnie z prawdą.

Zerknął na nią. Jego brwi stanowiły teraz linię prostą, a szare oczy onieśmiały wyczerniającą z nich inteligencją.

– To też do ciebie niepodobne.

– Bo i ty nie jesteś dziś... sobą.

– Słusznie – rzekł cicho. Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu, a potem jakby pomyślał o czymś innym. – Powiedz mi, czy d'Eymon robił ci teraz jakieś trudności? Czy... ostrzegł cię lub ci groził?

To nie jest magia, powiedziała sobie stanowczo. Żadne czytanie w myślach. Brandin po prostu taki jest, wyczuwa wszelkie niuanse stosunków między osobami krążącymi po orbicie wokół niego.

– Nie bezpośrednio – odparła niezręcznie. Kiedyś mogłaby w tym widzieć okazję, lecz nastrój tego poranka był taki dziwny. – Był zdenerwowany wczorajszym dniem. Chyba obawiał się zachwiania równowagi na dworze. Kiedy rozniesie się wieść, że Neso uratował ci życie, kanclerz odetchnie swobodniej. Nie będzie mu trudno to rozgłosić, wszystko stało się tak nagle. Wątpię, czy ktoś zauważył, co naprawdę zaszło.

Tym razem uśmiech Brandina był taki, jaki znała i kochała: przeznaczony dla partnera w rozmowie, z którym dzielił bieg złożonych myśli. Kiedy jednak skończyła mówić, wyraz jego twarzy zmienił się.

– Ja zauważyłem – powiedział.

Znów spuściła oczy, wpatrując się w swoje leżące na podolku dłonie. Twoja ścieżka jest teraz jasno wytyczona, powiedziała sobie najsurowiej, jak potrafiła. Pamiętaj o tym.

– Zgadza się, że łatwo byłoby rozgłosić bajeczkę o Neso – powiedział Brandin. – Zeszłej nocy dużo jednak rozmyślałem, podobnie jak w czasie dzisiejszej przejażdżki. Po obejrzeniu finału wyścigu porozmawiam z d'Eymonem. Opowieść, która się rozniesie, będzie prawdziwa, Dianoro.

Nie była pewna, czy dobrze usłyszała, lecz po chwili nabrała pewności. Coś jakby się w niej przepełniło niczym zbyt hojnie napełniony kielich wina.

– Powinieneś częściej jeździć konno – mruknęła. Usłyszał. Roześmiał się cicho, ale Dianora

na niego nie spojrziała. Miała przemożne wrażenie, że nie może sobie na to pozwolić.

– Dlaczego? – zapytała wpatrzona w swoje splecione palce. – Dlaczego zrobiłeś te dwie rzeczy? Najpierw los Cameny, a teraz to?

Milczał tak długo, że w końcu ostrożnie na niego zerknęła. Był z powrotem odwrócony do ognia i roztrząsał drewno pogrzebaczem. Rhun zamknął książkę i stał teraz obok swego stołu, patrząc na nich. Był oczywiście ubrany na czarno. Dokładnie tak, jak król.

– Czy opowiedziałem ci kiedyś – odezwał się bardzo cicho Brandin z Ygrathu – legendę o Finavirze, którą w dzieciństwie opowiadała mi niańka?

Znów miała sucho w ustach. Coś w jego tonie, sposób, w jaki siedział, nagła zmiana tematu.

– Nie – odparła. Próbowała wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź, ale jej się nie udało.

– O Finavirze lub Finvairze – ciągnął, właściwie nie czekając na jej odpowiedź, nie patrząc na nią. – Kiedy podrosłem i przeglądałem księgi z takimi opowieściami, znajdowałem obie pisownie, a czasami kilka innych. To się często zdarza przy opowieściach pochodzących sprzed czasów, kiedy zaczęliśmy je zapisywać.

Wciąż wpatrzony w płomienie, siadł na fotelu, oparłszy o niego pogrzebacz. Rhun podszedł trochę bliżej, jakby przyciągany opowiadaniem. Opierał się teraz o jedną z ciężkich draperii przy oknie, mnąc w obu rękach zwinięty kawał materiału.

Brandin powiedział:

– W Ygrath czasami się opowiada, a czasami nawet wierzy, że ten nasz świat, zarówno tutaj na ziemiach południowych, jak i na północy za pustyniami i tropikalnymi lasami, cokolwiek tam się znajduje, jest tylko jednym z wielu światów, jakie bogowie wysłali w Czas. Te inne światy są podobno bardzo odległe, rozrzucone wśród gwiazd, niewidzialne dla nas.

– Tutaj też istniała taka wiara – rzekła cicho Dianora, kiedy przerwał. – W Certando. W górach panowała niegdyś bardzo podobna nauka, chociaż kapłani Triady palili ludzi za jej głoszenie. – To była prawda: dawno temu w czasach zarazy heretycy Carlozziego masowo płonęli na stosach.

– My nigdy nie paliliśmy ani nie traciliśmy ludzi na kołach za tę myśl – powiedział Brandin. – Czasami się z nich wyśmiewano, ale to co innego. To, co opowiadała mi niańka, na pewno opowiadała też jej matka, a przedtem jej babka: że niektórzy z nas wciąż się rodzą od nowa w różnych światach, aż w końcu, jeśli zasłużyliśmy na to swoim życiem, rodzimy się po raz ostatni w Finavirze lub Finvairze, który ze wszystkich światów leży najbliżej tego, w którym mieszkają prawdziwi bogowie.

– A potem? – zapytała. Jego ciche słowa zdawały się częścią czaru tego dnia.

– Potem nikt nie wiedział albo nie chciał mi powiedzieć. Nie znalazłem tego też w żadnych pergaminach ani księgach, które przeczytałem, kiedy podrosłem. – Poruszył się w fotelu, opierając swe piękne dłonie na jego rzeźbionych poręczach. – Nigdy mi się nie podobała legenda

niańki o Finavirze. Są inne opowieści, niektóre z nich całkiem inne i wiele bardzo mi się podobało, ale z jakiejś przyczyny tę jedną zapamiętałem. Niepokoili mnie. Przedstawiała nasze tutejsze życie jako preludium samo w sobie bez znaczenia, ważne jedynie ze względu na to, dokąd nas potem zaprowadzi. Zawsze chciałem czuć, że to, co robię, ma znaczenie tu i teraz.

– Chyba się z tobą zgadzam – rzekła. Jej własne dłonie leżały teraz spokojnie; Brandin stworzył nowy nastrój. – Czemu mi ją opowiadasz, skoro nigdy ci się ta opowieść nie podobała?

Najprostsze z pytań.

I Brandin odpowiedział:

– Ponieważ przez cały ostatni rok, a nawet wcześniej, miałem powracający sen o powtórnych narodzinach z dala od tego wszystkiego, w Finavirze. – Po raz pierwszy od rozpoczęcia opowieści spojrział prosto na nią, a jego szare oczy przepelniał spokój. Głos miał tak opanowany, że aż brzmiał monotonicznie. – A we wszystkich tych snach byłaś u mego boku i nic nas nie rozdzielało, nikt między nas nie wchodził.

Nie była na to przygotowana, zupełnie. Chociaż może cały czas istniały pewne wskazówki, ale ona była zbyt ślepa, by je dostrzec. Nagle rzeczywiście zaniewidziała: z oczu pociekły jej bezradne łzy zaskoczenia, a serce tłukło się w piersi.

– Dianoro, zeszłej nocy tak bardzo cię potrzebowałem, że sam się przeraziłem. Nie posłałem po ciebie tylko dlatego, że jakoś musiałem przyjść do siebie po tym, co się ze mną stało, kiedy zablokowałaś strzałę Cameny. Solores była jedynie dworskim kamuflażem, aby nie pomyślano, że niebezpieczeństwo pozbawiło mnie męskości. Całą noc chodziłem wokół biurka, usiłując dociec, dokąd zawiodło mnie życie. Co znaczy to, że moja żona i jedyny żyjący syn próbują mnie zabić i nie udaje im się to tylko dzięki tobie. Pochłonięty takimi rozmyślaniami dopiero przed świtem zdałem sobie sprawę, że zostawiłem cię samą na całą noc. Czy mi to kiedykolwiek wybaczysz, moja droga?

Chcę, żeby czas się zatrzymał, myślała, na próżno ocierając łzy, by wyraźnie go widzieć. Nie chcę wychodzić z tej komnaty, chcę słyszeć te słowa bez końca, aż do śmierci.

– Powziąłem podczas przejażdżki decyzję. Myślałem o tym, co powiedziała Isolla, i w końcu przyznałem jej rację. Ponieważ nie chcę, żadną miarą nie potrafię zmienić tego, czemu się tu poświęciłem, muszę być gotów zapłacić całą cenę osobiście, a nie przez innych w Ygrath.

Trzęsła się i nie mogła powstrzymać łez. Nie dotknął jej ani nawet się do niej nie zbliżył. Twarz stojącego za nim Rhuna stanowiła wykrzywioną maskę bólu i pragnienia, a także czegoś jeszcze. Tego, co czasem Dianora w niej dostrzegała i czemu nie potrafiła stawić czoła. Zamknęła oczy.

– Co zamierzasz uczynić? – wyszeptwała. Trudno jej było mówić.

Powiedział jej. Wszystko. Określił rozstaje na drodze, którą wybrał. Słuchała, a jej łzy spadały rzadziej, spływając z przepelnionego serca, i w końcu zrozumiała, że koło zatoczyło

pełny krąg.

Słuchając poważnego głosu Brandina wśród trzasku ognia w Dniu Żaru, Dianora widziała w myślach jedynie obrazy wody. Ciemne wody stawu w ogrodzie i wizję morza, jaką tam otrzymała. Choć nie miała daru przewidywania przyszłości, wiedziała, dokąd prowadzą ich jego słowa, dokąd prowadzą ich wszystkich, i wreszcie zrozumiała obraz ze stawu.

Zapytała swego serca i z niezmiernym żalem zrozumiała, że ono należy do niego, że mimo wszystko nie wróciło do niej. Co jednak było najstraszniejsze, wiedziała, co się ma stać, co zamierza zrobić.

Przez długie lata spędzone w saizanie śniła w samotne noce o znalezieniu ścieżki jak ta, którą teraz przed nią otwierały wypowiedziane przez Brandina słowa. W pewnej chwili, słuchając go i przypominając sobie te sny, nie potrafiła już znieść fizycznej odległości między nimi. Wstała z fotela i usiadła na dywanie u jego stóp, kładąc mu głowę na kolanach. Dotknął jej włosów i zaczął je głaskać bez końca. Mówił o tym, co wymyślił w nocy i podczas przejażdżki, mówił o tym, że w końcu przyjmie cenę tego, co robi w Dłoni, i mówił jej o jedynej rzeczy, na którą nigdy nie zdołałaby się przygotować. O miłości.

Szlochała cicho, nie mogła się powstrzymać. Jego słowa płynęły, ogień na kominku powoli dogasał. Płakała z miłości do niego, do swej rodziny i do swego domu, płakała za niewinnością, którą straciła w ciągu tych lat i za wszystkim innym, co utraciła, a najbardziej gorzkie łyzy ronila z powodu przyszłych zdrad. Wszystkich zdrad czekających na zewnątrz tej komnaty, dokąd zanieś ich czas, który nie chciał się zatrzymać.

Rozdział 14

Naprzód! – zawołał Alessan, wskazując przesmyk między wzgórzami. – Tam dalej jest wioska!

Devin zaklął, pochylił głowę nad szyją konia i wbił pięty w jego boki, ruszając za Erleinem di Senzio w kierunku przesmyku i nisko wiszącego nad zachodem czerwonego dysku słońca.

Za nim spośród brązowych, już pociemniałych wzgórz wypadło z grzotem kopyt przynajmniej ośmiu, a może dwunastu górskich zbójców. Devin nie oglądał się za siebie od czasu, kiedy niespodziewanie zauważyli banitów i usłyszeli ich wołanie, żeby się zatrzymać.

Bez względu na to, jak blisko mogła być ta wioska, Devin nie sądził, żeby mieli jakąś szansę. Od wielu godzin pędzili tak, że nie czuli już kości, a konie, które dała im Alienor, były zmęczone. Jeśli miał to być wyścig z banitami mającymi świeże konie, to prawdopodobnie byli już martwi. Zaciśnął zęby i jechał dalej, nie zwracając uwagi na ból w nodze i pieczenie podrażnionych skaleczeń, których nabawił się wcześniej tego dnia, rzucając się w dół ze skały.

Wiatr świszcział mu w uszach. Zobaczył, jak Alessan odwraca się w siodle ze strzałą założoną na naciągnięty łuk. Księżę strzelił do tyłu dwa razy, napinając twarde mięśnie w wysiłku. Niemożliwa, rozpaczliwa próba przy takiej szybkości i wietrze.

Krzyknęło dwóch mężczyzn. Devin szybko się obejrzał i zobaczył, jak jeden z nich osuwa się z konia. Daleko za trójką uciekinierów spadła garść chaotycznie wystrzelonych strzał.

– Zwolnili! – wychrypiał Erlein, też się oglądając. – Jak daleko do tej wioski!

– Teraz wąż i jeszcze dwadzieścia minut! Jedźcie! – Alessan już nie strzelał, pochylając się nisko, żeby wykrzesać ze swego siwka jeszcze trochę szybkości. Pędzili pod wiatr śladem słońca, wpadając na ścieżkę między cienistymi sylwetkami porośniętych wrzosem wzgórz.

W miejscu, gdzie ścieżka zakręcała wraz z linią otaczających ją grzbietów, czekało ośmiu jeźdźców ustawionych w poprzek i spokojnie mierzących z łuków do trójki uciekinierów.

Zdarli konie. Devin rzucił okiem przez ramię i zobaczył, że ścigający ich banici wjeżdżają do wąwozu. Był wśród nich jeden koń bez jeźdźca, a jeden z mężczyzn trzymał się za ramię, w którym tkwiła strzała.

Spojrzał na Alessana, zobaczył w oczach księcia gorączkowe, harde błyski.

– Nie bądź głupcem! – warknął Erlein. – Nie dasz rady przejechać przez nich i nie dasz rady zabić tylu ludzi.

– Mogę spróbować – odparł Alessan, gorączkowo rozglądając się po wąwozie i stromych zboczach po obu jego stronach w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki. Zatrzymał jednak konia i nie uniósł łuku. – Prosto w pułapkę! Cóż za wspaniałe zakończenie dwóch dziesięcioleci marzeń! – W jego ochryplym głosie brzmiała porażająca gorycz i złość na samego siebie.

Była to jednak prawda, z czego zbyt późno zdał sobie sprawę Devin. Ten wąwóz między wzgórzami stanowił naturalne miejsce na zasadzkę, a Triada jedyna wiedziała, że na pustkowiach południowego Certando, gdzie rzadko się zapuszczali nawet barbadiorscy najemnicy, a uczciwi ludzie nigdy nie podróżowali o zmroku, grasuje wystarczająco wielu banitów. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, jak daleko i jak szybko zamierzali jechać, nie mieli zbyt wielkiego wyboru.

Wyglądało na to, że nie dotrą do celu podróży ani gdziekolwiek indziej. Było jeszcze na tyle jasno, że zbójcy byli dobrze widoczni i ich wygląd nie budził otuchy. Może ubrania mieli źle dobrane i niechlujne, ale konie w niczym nie przypominały wysłużonych stworzeń, na których jeździła większość banitów. Ci ludzie sprawiali wrażenie zdyscyplinowanych, a wymierzona w nich broń wyglądała groźnie. Najwyraźniej była to bardzo starannie przygotowana zasadzka.

Jeden z mężczyzn wysunął się na parę kroków z milczącego szeregu.

– Rzućcie łuki – powiedział swobodnym tonem. – Nie lubię rozmawiać z uzbrojonymi ludźmi.

– Ja też nie – odparł ponuro Alessan, wpatrując się w mężczyznę. Po chwili jednak upuścił łuk na ziemię. Znajdujący się obok Devina Erlein zrobił to samo.

– Chłopak też – powiedział wciąż miękkim głosem przywódca banitów. Był to rostry mężczyzna w średnim wieku o szerokiej twarzy i bujnej brodzie, w której gasnące światło zapalało ciemnorude błyski. Oczy skrywał pod szerokim rondem ciemnego kapelusza.

– Nie mam łuku – powiedział krótko Devin, upuszczając miecz.

Zagradzający im drogę banici roześmiali się szyderczo.

– Magianie, dlaczego twoi ludzie byli w zasięgu strzału? – zapytał głośniejszym tonem brodac. On sam się nie roześmiał. – Znałeś moje polecenia. Wiesz, jak przeprowadzamy takie sprawy.

– Nie sądziłem, że może kogoś trafić – dobiegł ich z tyłu gniewny głos zagłuszany stukiem kopyt. Nadjechali ścigający. Pułapka zamknęła się z obu stron. – Strzelał z daleka w kiepskim świetle i z wiatrem. Miał szczęście, Ducasie.

– Nie miałyby takiej możliwości, gdybyś właściwie wykonał zadanie. Gdzie jest Abhar?

– Dostał strzałę w udo i spadł z konia. Wrócił po niego Torre.

– Marnotrawstwo. – Rudobrody zmarszczył czoło. – Nie lubię marnotrawstwa. – Na tle zachodzącego słońca rysował się ciemną, potężną sylwetką: Znajdujących się za nim siedmiu pozostałych jeźdźców nie opuszczało łuków.

– Jeśli mierzi cię marnotrawstwo – odezwał się Alessan – to wcale ci się nie spodoba ta wieczorna praca. Nie możemy ci dać nic poza naszą bronią. Albo życiem, jeśli jesteś z tych, co zabijają dla przyjemności.

– Czasami – powiedział mężczyzna nazwany Ducasem, nie podnosząc głosu.

Devin pomyślał, że sprawia wrażenie groźnie spokojnego i w pełni panującego nad swoją bandą. – Czy moi dwaj ludzie umrą? Używasz zatrutych strzał?

Alessan spojrzał na niego z pogardą.

– Nie, nawet przeciwko Barbadiorczykom. Dlaczego pytasz? Ty używasz?

– Czasami – powtórzył banita. – Szczególnie przeciwko Barbadiorczykom. To są przecież góry. – Uśmiechnął się po raz pierwszy zimnym, wilczym uśmiechem. Devin pomyślał nagle, że nie chciałby mieć wspomnień tego człowieka lub jego snów.

Alessan nic nie powiedział. Robiło się coraz ciemniej. Devin zobaczył, że księżę zerka pytająco na Erleina. Czarodziej prawie niezauważalnie potrząsnął głową.

– Zbyt wielu – wyszeptał. – A poza tym...

– Ten siwy to czarodziej! – zawołał ktoś z szeregu za Ducasem.

Do przywódcy podjechał przysadzisty mężczyzna o okrągłej twarzy.

– Nawet o tym nie myśl – ciągnął, patrząc wprost na Erleina. – Potrafię zablokować wszystko, czego byś spróbował. – Zaskoczony Devin spojrzał na dłonie mężczyzny, ale przy tej odległości było zbyt ciemno, żeby mógł zobaczyć, czy brakuje mu dwóch palców. Na pewno jednak tak było.

Natknęli się na innego czarodzieja – dużo im to pomoże.

– A jak sądzisz, ile dokładnie czasu zajęłoby potem wyśledzenie cię jakimś Tropicielowi? – zapytał jedwabistym tonem Erlein. – Przy śladach użycia magii przez obu z nas prowadzących do tego miejsca?

– W twoje serce i gardło jest wymierzonych dość strzał – przerwał mu dowódca – żeby zapobiec czemuś takiemu. Wyznaję jednak, że sytuacja z każdą chwilą robi się coraz ciekawsza. Łucznik i czarodziej podróżujący w Dzień Żaru. Nie boicie się zmarłych? I co robi chłopak?

– Jestem śpiewakiem – rzekł ponuro Devin. – Devin d'Asoli, do niedawna w trupie Menico di Ferraut, jeśli ci to coś mówi. – Najwyraźniej chodziło o to, żeby jakoś podtrzymać rozmowę. Słyszał też opowieści – być może były to tylko bajdurzenia podróżnych – o bandytach oszczędzających muzyków w zamian za nocne śpiewanie. Coś przyszło mu do głowy. – Myśleliście, że jesteśmy Barbadiorczykami, tak? Z odległości. Dlatego urządziliście zasadzkę.

– Śpiewak. Sprytny śpiewak – mruknął Ducas. – Chociaż nie na tyle sprytny, żeby w Dzień Żaru zostać w domu. Oczywiście, że wzięliśmy was za Barbadiorczyków. Któż na wschodzie półwyspu oprócz Barbadiorczyków i banitów wybrałby się dzisiaj w drogę? A wszyscy banici w promieniu dwudziestu mil należą do mojej bandy.

– Są banici i banici – rzekł cicho Alessan. – Jeśli jednak polujecie na barbadiorskich najemników, to macie takie same serca, jak nasze. Mogę ci powiedzieć – a ja nie kłamię, Ducasie – że jeśli nas tu zatrzymacie lub zabijecie, to wyrządzą Barbadiorowi – oraz Ygrathowi – taką przysługę, o jakiej nawet nie mogłyby marzyć. – Zapadła, nie bez powodu,

cisza. Zimny wiatr wdzierał się do wąwozu, targając w zapadającej ciemności młodą trawę.

– Zdaje się, że masz dość wysokie mniemanie o sobie – powiedział w końcu z namysłem Ducas. – Może powinienem się dowiedzieć dlaczego. Chyba nadszedł czas, żebyś powiedział mi, kim dokładnie jesteś i dokąd zmierzasz o zmroku w Dzień Żaru, a ja wyciągnę własne wnioski.

– Mam na imię Alessan. Jadę na zachód. Moja matka umiera i wezwała mnie do siebie.

– Jakież oddany z ciebie syn – rzekł Ducas. – Samo imię nic mi jednak nie mówi, a zachód to rozległe miejsce, mój przyjacielu z łukiem. Kim jesteś i dokąd jedziesz? – Pytanie to zostało zadane tonem przypominającym trzask z bata. Devin podskoczył. Za Ducasem naciągnęło się kilka łuków.

Devinowi serce waliło jak młotem. Zobaczył, że Alessan się waha. Słońce prawie już zaszło, na horyzoncie za wąwozem widać było już tylko pół czerwonego dysku. Wiatr jakby tężał, obiecując chłodną noc po tym pierwszym dniu wiosny.

Devin też czuł chłód. Zerknął na Erleina i przekonał się, że czarodziej wpatruje się w niego, jakby na coś czekał. Alessan dalej nic nie mówił. Ducas poruszył się znacząco w siodle.

Devin przełknął ślinę i wiedząc, że bez względu na to, jak jest to trudne dla niego, dla Alessana będzie jeszcze trudniejsze, powiedział:

– On jest z Tigany, tak jak ja.

Mówiąc to, patrzył wprost na obcego czarodzieja, nie na Ducasa czy innych jeźdźców. Kątem oka dostrzegł, że Alessan robi to samo, żeby nie widzieć pustych, nie rozumiejących spojrzeń, jakie, co obaj wiedzieli, wywołają jego słowa. Z czarodziejem będzie inaczej. Czarodzieje słyszeli tę nazwę.

Wśród zebranych z przodu i z tyłu mężczyzn podniósł się pomruk. Wtem jeden z nich odezwał się głośno w zapadającym zmroku.

– Na krew boga! – Dochodzący z tyłu głos wyrwał się z głębi serca. Devin odwrócił się. Jakiś mężczyzna zsiadł z konia i szedł wielkimi krokami w ich kierunku. Devin zauważył, że mężczyzna jest drobny, niewiele większy od niego, ma może trzydzieści lat lub nieco więcej i że porusza się niezręcznie, walcząc z bólem. W jego ramieniu tkwiła strzała Alessana.

Ducas patrzył na swego czarodzieja.

– O co tu chodzi, Sertino? – spytał ostrzejszym tonem. – Zupełnie nie...

– Czarnoksiężstwo – odparł bez ogródek czarodziej.

– Co? Jego? – Ducas skinął głową w kierunku Erleina.

– Nie, nie jego. – To odezwał się ranny, nie spuszczać wzroku z twarzy Alessana. – Nie tego biednego czarodzieja. To jest prawdziwe czarnoksiężstwo. To moc Brandina z Ygrathu nie pozwala wam usłyszeć tej nazwy.

Ducas zerwał kapelusz z głowy gniewnym ruchem, odsłaniając łysiejącą czaszkę okoloną jasnorudymi włosami.

– A ty, Naddo? W jaki sposób ty ją słyszysz? Stojący na ziemi mężczyzna zachwiał się.

– Ponieważ ja też się tam urodziłem, jestem więc uodporniony na ten czar lub też jestem jeszcze jedną jego ofiarą, jak wolisz. – Devin słyszał napięcie w jego głosie, jakby mężczyzna zwany Naddo bardzo starał się nad sobą panować. Usłyszał, jak podnosząc wzrok na Alessana, pyta:

– Zapytano cię o imię, ale ty podałeś tylko jego część. Powiesz nam resztę? Powiesz mi? – Trudno było dostrzec jego oczy, lecz w głosie Naddo brzmiała stara historia.

Nawet po całym dniu spędzonym w siodle Alessan siedział na koniu ze swobodą zdającą się nie dopuszczać nawet możliwości zmęczenia czy też napięcia spowodowanego sytuacją, w jakiej się znaleźli. Po chwili jednak uniósł prawą rękę i bezwiednie zanurzył ją w i tak już splątanych włosach. Widząc ten znajomy gest, Devin poznał, że to, co sam teraz odczuwał, kłębi się w mężczyźnie, za którym podąża, w dwójnasób.

I wtedy w ciszy wąwozu, gdzie jedynymi innymi dźwiękami był świst wiatru wśród wzgórz i tupot koni na młodej trawie, Devin usłyszał słowa:

– Nazywam się Alessan di Tigana bar Valentin. Jeśli masz tyle lat, na ile wyglądasz, Naddo di Tigana, to wiesz, kim jestem.

Czując, jak na karku jeżą mu się włosy, a całe ciało przenika nieopanowany dreszcz, Devin ujrzał, że zanim przebrzmiały jeszcze ostatnie słowa, Naddo pada na kolana na zimną ziemię.

– O mój książę! – zawołał schrypniętym głosem i zakrywszy twarz zdrową ręką, zapłakał.

– Książę? – zapytał Ducas bardzo cicho. Wśród banitów wszczął się niespokojny ruch. – Sertino, natychmiast mi to wyjaśnisz!

Czarodziej Sertino przeniósł wzrok z Alessana na Erleina, a potem na szlochającego mężczyznę. Na chwilę jego blada, okrągła twarz przybrała dziwny, prawie przestraszony wyraz. Powiedział:

– Oni pochodzą z Dolnego Corte. Przed przyjściem Brandina z Ygrathu miało inną nazwę. Posłużył się swoimi czarami, by ją odebrać. Tylko ludzie tam urodzeni i, ze względu na swoją magię, czarodzieje mogą usłyszeć tę prawdziwą nazwę. To właśnie się tu teraz dzieje.

– A „książę”? Naddo tak go nazwał.

Sertino milczał. Spojrzał na Erleina z tym samym dziwnym, niespokojnym wyrazem twarzy i zapytał:

– Czy to prawda?

Erlein di Senzio odparł z ironicznym półuśmiechem:

– Tylko nie pozwól mu obciąć sobie włosów, bracie. Chyba że chcesz dać się zniewolić.

Sertino zaniemówił. Ducas uderzył się kapeluszem po kolanie.

– Tego już w ogóle nie rozumiem – warknął. – Zbyt wiele tu nie rozumiem. Żądam od was wszystkich wyjaśnień! – Mówił ostrym tonem, o wiele głośniejszym niż przedtem. Nie spojrzął

jednak na Alessana.

– Ja rozumiem dość dobrze, Ducasio – usłyszał czyjś głos z tyłu. To był Magian, dowódca grupki, która zapędziła ich w zasadzkę. Kiedy na niego spojrzeli, ruszył koniem do przodu. – Rozumiem, że dzisiejszego wieczoru wszyscy zdobyliśmy majątek. Jeśli to jest książe prowincji, której nienawidzi Brandin, wystarczy go tylko zabrać do fortu Forese po drugiej stronie granicy i wydać go Ygratheńczykom, dorzucając na dodatek czarodzieja. A kto wie, może któryś z nich lubi mieć w łóżku chłopców. Śpiewających chłopców. – Po ciemku jego szeroki uśmiech wydawał się dziwnie rozwiąły. – Będą nagrody. Ziemia. Może nawet...

Nie powiedział nic więcej. Nic już nigdy nie powiedział. Devin z niedowierzaniem zobaczył, jak Magianowi na krótko rozszerzają się oczy, po czym mężczyzna powoli przechylił się na bok i osunął się na ziemię obok Erleina z klekotem miecza i łuku.

W jego plecach tkwił sztylet o długiej rękojeści.

Jeden z banitów ze stojącej za nim grupki niespiesznie zsiadł z konia i wyciągnął sztylet z ciała. Starannie wytarł go w opończę trupa, po czym schował do pochwy za pasem.

– To nie najlepszy pomysł – rzekł cicho, prostując się, by spojrzeć na Ducasa. – A nawet zupełnie kiepski. Nie jesteśmy informatorami i nie służymy tyranom.

Ducas nasadził sobie z powrotem kapelusz na głowę, wyraźnie starając się opanować. Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Tak się składa, że jestem tego samego zdania. Tak się też składa, Arkinie, że mamy tu pewne zasady na temat dobywania przeciwko sobie broni.

Arkin był bardzo wysoki, prawie wychudły i nawet w ciemności Devin zobaczył, że jego pociągła twarz jest blada.

– Wiem o tym, Ducasio – rzekł Arkin. – To marnotrawstwo. Wiem. Będziesz musiał mi wybaczyć.

Ducas przez dłuższy czas milczał. Milczeli także inni. Patrząc ponad zabitym, Devin spostrzegł, że obaj czarodzieje uparcie się w siebie wpatrują.

Arkin wciąż patrzył na Ducasa.

Dowódca w końcu przerwał milczenie.

– Masz szczęście, że się z tobą zgadzam – powiedział.

Arkin potrząsnął głową.

– Inaczej nie trzymalibyśmy się razem tak długo.

Alessan zrećnie zsiadł z konia. Podszedł do Ducasa, nie zwracając uwagi na wciąż wymierzone w niego strzały.

– Jeśli polujesz na Barbadorczyków – odezwał się cicho – to chyba wiem dlaczego. Na swój sposób robię to samo. – Zawahał się. – Możesz postąpić wedle sugestii twego martwego człowieka: wydać mnie Ygrathowi. Oczywiście podejrzewam, że będzie za to jakaś nagroda.

Albo możesz nas tu zabić i mieć problem z głowy. Możesz także puścić nas wolno albo zrobić coś zupełnie innego.

– To znaczy? – Wyglądało, że Ducas odzyskał równowagę. Znów mówił spokojnym głosem, jak na początku.

– Przyłączyć się do mnie. W tym, co chcę uczynić.

– To znaczy?

– Wypędzić obu tyranów z Dłoni jeszcze przed końcem lata.

Naddo uniósł nagle głowę z rozjaśnioną twarzą.

– Naprawdę, panie? Możemy to zrobić? Teraz?

– Istnieje szansa – odparł Alessan. – Szczególnie teraz. Po raz pierwszy istnieje szansa. – Przeniósł wzrok na Ducasa. – Gdzie się urodziłeś?

– W Tregei – odpowiedział zapytany po chwili. – W górach.

Devin miał chwilę na pomyślenie, jak całkowicie zmienił się układ sił, skoro to Alessan teraz zadaje pytania. Poczul przyływ odnowionej nadziei i dumy. Księżę kiwnął głową.

– Tak przypuszczałem. Słyszałem opowieści o rudowłosym kapitanie Ducasie, który był jednym z dowódców w Boriforcie w Tregei podczas barbadiorskiego oblężenia. Nie został odnaleziony po upadku fortu. – Zawahał się. – Trudno nie zauważyć koloru twoich włosów.

Przez chwilę obaj mężczyźni, jeden na ziemi, a drugi na komu, trwali nieruchomo, tworząc jakby żywy obraz. Wtem Ducas di Tregea niespodziewanie się uśmiechnął.

– Tego, co z nich zostało – mruknął kwaśno, zdejmując kapelusz szerokim gestem.

Puścił wodze, zeskoczył z konia i podszedł do Alessana z otwartą dłonią. Księżę oddał mu uśmiech i wyciągnął do niego rękę.

Devin odetchnął z ulgą, po czym zachłysnął się krzykiem, wiwatując na całe gardło z dwudziestoma banitami w tym ciemnym certandańskim wąwozie.

Zauważył jednak, że chociaż wiwaty osiągnęły punkt szczytowy, nie krzyczy żaden z czarodziei. Erlein i Sertino siedzieli na koniach nieruchomo, jakby się na czymś koncentrując. Spojrzeli po sobie z jednakowo ponurymi minami.

Ponieważ Devin to zauważył, stawał się chyba bowiem człowiekiem, który zauważa takie rzeczy, zamilkł pierwszy, a nawet odruchowo uniósł rękę, żeby uciszyć innych. Alessan i Ducas opuścili złączone dłonie i stopniowo, w miarę jak do wąwozu wróciła cisza, wszyscy obrócili wzrok na czarodziejów.

– O co chodzi? – zapytał Ducas. Odwrócił się do niego Sertino.

– Tropiciel. Na północny wschód od nas, całkiem blisko. Właśnie wyczułem jego dotyk. Nie znajdzie mnie jednak, bo od dłuższego czasu nie posługiwałem się magią.

– Ja jej używałem – rzekł Erlein di Senzio. – Dzisiaj na przełęczy Braccio. To było lekkie zaklęcie, tarcza ochronna dla kogoś. Widać wystarczyło. W jednym z południowych fortów mają

pewnie Tropicielea.

– Prawie zawsze jakiś tam jest – powiedział beznamiętnym tonem Sertino.

– Co takiego robiliście na przełęczy Braccio? – zapytał Ducas.

– Zbieraliśmy kwiatki – odparł Alessan. – Później ci powiem. Teraz mamy na karku Barbadiorczyków. Ilu ich będzie z Tropicielem?

– Nie mniej niż dwudziestu. Zapewne więcej. Na wzgórzach na południe stąd mamy obóz. Uciekamy?

– Pojadą za nami – powiedział Erlein. – Namierzył mnie. Ślady użycia magii będą na mnie wskazywać co najmniej przez jeszcze jeden dzień.

– I tak nie mam zbyt wielkiej ochoty na ukrywanie się – powiedział cicho Alessan.

Devin szybko odwrócił się do niego. To samo zrobił Ducas. Naddo chwiejnie wstał z ziemi.

– Właściwie jak dobrzy są twoi ludzie? – zapytał Alessan z wyzwaniem w głosie i szarych oczach.

W prawie całkowitej już ciemności Devin zobaczył nagły błysk zębów tregeańskiego banity.

– Są aż nadto dobrzy, by zmierzyć się z dwudziestką Barbadiorczyków. Nigdy jeszcze nie zmierzyliśmy się z tak dużym oddziałem, ale też nigdy jeszcze nie walczyliśmy u boku księcia. Właściwie ja też mam już dość ukrywania się – dodał w zamyśleniu.

Devin spojrział na czarodziejów. Trudno było po ciemku dostrzec ich rysy, ale Erlein powiedział twardym tonem:

– Alessanie, Tropicielea trzeba będzie natychmiast zabić, bo inaczej prześle do Alberico obraz tego miejsca.

– Tak się stanie – rzekł cicho Alessan. W jego głosie też było słycać nową nutę. Obecność czegoś, czego Devin przedtem nie słyszał. W sekundę uświadomił sobie, że to śmierć.

Płaszcz Alessana zatrzepotał w podmuchu wiatru. Książę starannie naciągnął kaptur na twarz.

Ciężko było Devinowi pogodzić się z tym, że Tropiciel Alberico okazał się dwunastolatkiem.

Wysłali Erleina z przesmyku na zachód jako przynętę. To on był poszukiwany. Miał ze sobą Sertino di Certando, drugiego czarodzieja, i jeszcze dwóch ludzi, z których jednym był Naddo. Upierał się, że będzie przydatny, chociaż nie mógł walczyć. Wyciągnięto mu z ramienia strzałę i jak najlepiej zabandażowano ranę. Było oczywiste, że trudno mu się poruszać, ale jeszcze bardziej oczywiste było to, że w obecności Alessana nie zamierza się poddać.

W chwilę później Barbadiorczycy wjechali do wąwozu w świetle gwiazd i wiszącego nisko nad wschodnim horyzontem Vidomniego. Dwudziestu pięciu, nie licząc Tropicielea. Sześciu z nich trzymało pochodnie, co znacznie uprościło sytuację. Co prawda nie dla nich.

Strzały Alessana i Ducasa, wypuszczone z przeciwległych stoków wąwozu, spotkały się w piersi Tropicieła. Pod pierwszym deszczem pocisków padło jedenastu najemników, po czym Devin wraz z Alessanem i pół tuzinem innych rzucił się z ukrycia szaleńczym galopem w dół. Zmierzali do zamknięcia zachodniego wejścia, podczas gdy Ducas i dziewięciu pozostałych banitów odcięło wschodni kraniec wąwozu, którądy wkroczyli Barbadiorczycy.

Tak więc tej Nocy Żaru, w towarzystwie banitów w górach Certando z dała od swego utraconego domu, Alessan bar Valentin, księżę Tigany, stoczył pierwszą prawdziwą bitwę w swej długiej wojnie o powrót. Po latach manewrów, misternego zbierania informacji i delikatnego sterowania wydarzeniami, w tym oświetlonym blaskiem księżyca wąwozie dobył miecza przeciwko siłom tyra.

Nie będzie już więcej podstępów, ukrytego manipulowania zza kulis. Nadszedł czas walki.

Przechodząc wszelkie nadzieje, tego dnia Marius z Quilei złożył mu obietnicę sprzeczną z jego rozsądkiem i doświadczeniem. Dzięki obietnicy Mariusa wszystko się zmieniło. Skończyło się czekanie. Mógł rozluźnić ciasne więzy, które przez te wszystkie lata tak mocno ścisnęły jego serce. Dzisiaj w wąwozie potrafił zabijać: ze względu na pamięć swego ojca, braci i wszystkich zabitych nad Deisą oraz później, w roku, w którym jemu samemu nie pozwolono umrzeć.

Wywieziono go i ukryto w Quilei na południe od gór, u Mariusa, ówczesnego kapitana straży wysokiej kapłanki. Był to człowiek mający własne powody do ukrywania i wychowywania młodego księcia z północy. To było niespełna dziewiętnaście lat temu. Wtedy zaczęło się ukrywanie.

Miał dosyć chowania się. Czas uciekania już się skończył i zaczęła się pora wojny. Prawda, że teraz dobyli miecza przeciwko żołnierzom Barbadioru, a nie Ygrathu, lecz w ostatecznym rozrachunku chodziło o to samo. Obaj tyrani byli tacy sami. Powtarzał to przez wszystkie lata od czasu powrotu z Baerdem na północ, na półwysep; prawdę wykuta na twardym kowadle jego serca. Musieli zniszczyć ich obu, inaczej ani na krok nie przybliżą się do wolności.

A niszczenie to zaczęło się owego ranka na przełęczy Braccio. Pod zaprojektowaną przez niego budowlę został położony kamień węgielny. Tak więc mógł wreszcie tej nocy w ciemnym wąwozie uwolnić nagromadzone namiętności oraz własną pamięć straty i oswobodzić ramię dzierżące miecz.

Devin z całych sił starał się dotrzymać kroku księciu i rzucił się do pierwszego starcia z dziką paniką i radością walczącymi o prym w jego sercu. Nie krzyczał jak większość banitów, starając się skoncentrować tak na ignorowaniu bólu w zranionej nodze, jak na wszystkim innym. Ścisnął w dłoni ciemny miecz, który kupił dla niego Baerd, trzymając go wygiętym czubkiem w górę, jak uczono go podczas lekcji w zimowe poranki, które wydawały się niewyobrażalnie odległe od wydarzeń tej nocy.

Zobaczył, że Alessan pędzi prosto niczym jedna z jego strzał i na zwartych w kregi najemników, jakby tym jednym bezpośrednim czynem chciał odciąć się od wszystkich lat, kiedy taka rzecz była niedozwolona.

Zacisnąwszy zęby, Devin rzucił się rozpaczliwie za Alessanem. Kiedy jednak tuż obok niego wyrósł olbrzymi barbadiorski jeździec o blond brodzie, Devin był sam i znajdował się o pół tuzina długości w tyle za księciem. Krzyknął z zaskoczenia. Życie uratował mu ślepy instykt samozachowawczy i wrodzone odruchy. Gwałtownie zawrócił konia w lewo, celując w zauważone miejsce, a potem odchyliwszy się w prawo, jak najbliżej ziemi, z całych sił ciął w górę. Poczul w zranionej nodze przeszywający ból i o mało nie spadł z konia. Klinga Barbadiorczyka przecięła ze świstem powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa Devina. O jedno uderzenie serca później Devin poczuł, jak jego własny, groźnie zakrzywiony w górę miecz przecina skórzaną zbroję i zagłębia się w ciało.

Barbadiorczyk krzyknął, a raczej zabalgotał. Zachwiał się dziko w siodle i wypuścił z ręki miecz. Dziwnie dziecinnym gestem uniósł do ust jedną dłoń, po czym przechylił się i zwałił powoli na ziemię niczym ścięte górskie drzewo.

Devin już oswobodził miecz. Obracając konia, szukał przeciwników. Nikt jednak się nie zbliżał. Alessan był wraz z innymi w przedzie, gromiąc najemników i starając się połączyć z grupą Ducasa i Arkina przedzierającą się od wschodu.

Devin zdał sobie sprawę, że to prawie koniec. Tak naprawdę nie miał już nic do roboty. Czując złożoną mieszaninę emocji, których nawet nie próbował w tej chwili zrozumieć, zobaczył trzykrotnie wznoszącą się klingę księcia oraz śmierć trzech Barbadiorczyków. Sześć pochodni spadło kolejno na ziemię, gdzie zgasły. Wkrótce – Devinowi wydawało się, że nastąpiło to zaledwie kilka chwil po tym, jak wjechali do wąwozu – został powalony i zabity ostatni Barbadiorczyk.

Wtedy właśnie zobaczył, co zostało z Tropicielea i jak młodym był on człowiekiem. Jego ciało zostało straszliwie stratowane podczas walki. Leżało nienaturalnie poskręcane. Jakimś cudem ocalała twarz, chociaż dla patrzącego na nią Devina to właśnie było najgorsze ze wszystkiego. W ciele dziecka wciąż tkwiły obie strzały, choć jedna z nich była ułamana.

Devin odwrócił się. Pogłaskał konia otrzymanego od Alienor i przemówił do niego. Następnie zmusił się, aby powrócić do człowieka, którego zabił. To było co innego niż zabicie śpiącego żołnierza w szopie Nievolenich. To miało miejsce w otwartej wojnie, a uzbrojony Barbadiorczyk zamachnął się swoim potężnym mieczem, by pozbawić życia. Devin nie miał najmniejszych złudzeń co do swego losu, gdyby Barbadiorczycy i Tropiciel zaatakowali ich trójkę na pustkowiu.

Wiał nadal zimny wiatr. Devin podniósł wzrok i zdał sobie sprawę, że jakiś czas temu podjechał do niego cicho Alessan, i teraz on też patrzy na zabitego przez Devina człowieka. Oba

konie tupają i parskały, rozgorączkowane szaleństwem i zapachem krwi.

– Uwierz mi, Devinie, jest mi przykro – mruknął cicho Alessan, żeby nikt inny go nie usłyszał. – Najtrudniej jest za pierwszym razem, a ja nie dałem ci możliwości przygotowania się.

Devin potrząsała głową. Czuł się wycieńczony, niemal otępiały.

– Nie miałeś wyboru. Może tak jest lepiej. – Odchrząknął niezręcznie. – Alessanie, masz ważniejsze sprawy na głowie. Zeszłej jesieni w Lesie Sandrenich dokonałem wyboru. Nie jesteś za mnie odpowiedzialny.

– W jakiś sposób jestem.

– Nie w taki, żeby to miało znaczenie. Sam dokonałem wyboru.

– A czy przyjaźń nie ma znaczenia?

Devin zamilkł, nagle onieśmielony. Alessan potrafił tak działać na ludzi. Po chwili księżę dodał:

– Kiedy wróciłem z Ouilei, byłem w twoim wieku. Przez chwilę wydawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu tego nie zrobił. Devin domyślał się jednak, co Alessan ma na myśli, i coś w nim rozjarzyło się niczym świeca spokojnym płomieniem.

Jeszcze przez chwilę patrzyli na zabitego. Białe światło Vidomniego na nowiu było na tyle jasne, że dostrzegli rysujący się na jego twarzy ból.

– Wybrałem dobrowolnie i rozumiem potrzebę zabijania, ale chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję – powiedział Devin.

– Ja się nigdy nie przyzwyczailem – rzekł Alessan. Zawahał się. – Każdy z moich braci o ileż lepiej wypełniłby to, do czego zostałem zachowany przy życiu.

Devin odwrócił się wtedy, usiłując dostrzec w ciemności wyraz twarzy księcia. Po chwili powiedział:

– Nie znałem ich, lecz czy pozwolisz sobie powiedzieć, że w to wątpię? Naprawdę w to wątpię, Alessanie.

Po chwili księżę dotknął jego ramienia.

– Dziękuję. Obawiam się jednak, że są ludzie, którzy by się z tobą nie zgodzili. Ale dziękuję. Wydawało się, że przy tych słowach coś sobie przypomniał. Głos mu się zmienił.

– Lepiej już jedźmy. Muszę porozmawiać z Ducasem, a potem będziemy musieli dogonić Erleina i kontynuować podróż. Przed nami jeszcze daleka droga. – Spojrzał badawczo na Devina. – Wyglądasz na wyczerpanego. Powinienem spytać wcześniej: jak twoja noga? Możesz jechać?

– Nic mi nie jest – zachnął się Devin. – Oczywiście, że mogę jechać.

Za nimi ktoś się szyderczo roześmiał. Odwrócili się. Do wozu wrócił Erlein i reszta banitów.

– Powiedz mi – odezwał się czarodziej do Alessana z ostrą drwiną w głosie – jakiej się od

niego spodziewałeś odpowiedzi? Oczywiście, że ci powie, że może jechać. Jechałby dla Ciebie północy przez całą noc. Podobnie jak ten – machnął ręką w kierunku Naddo – za ledwie po godzinie znajomości z tobą. Zastanawiam się, książę Alessanie, jakie to uczucie mieć taką władzę nad ludzkimi sercami?

Podczas przemowy Erleina nadjechał Ducas. Nie odezwał się jednak, a bez pochodni było zbyt ciemno, żeby dojrzeć wyraźnie czyjekolwiek rysy. Trzeba było oceniać po słowach i tonie.

Alessan odparł cicho:

– Chyba znasz moją odpowiedź na to pytanie. Tak czy owak, mając ciebie u boku i wysłuchując twoich uwag, nie nabiorę raczej zbyt wysokiego mniemania o sobie. – Po chwili dodał: – Niech Triada broni, żebyś ty się kiedyś zaoferował jechać całą noc w nie swojej sprawie.

– Ja – powiedział bezbarwnym tonem Erlein – nie mam już w tej kwestii wyboru. Może o tym zapomniałeś?

– Nie. Nie mam jednak teraz ochoty powtarzać naszej sprzeczki, Erleinie. Ducas i jego ludzie właśnie zaryzykowali własne życie, żeby uratować twoje. Jeżeli...

– Żeby uratować moje życie! Nigdy nie znalazłbym się w niebezpieczeństwie, gdybyś nie zmusił mnie do...

– Dosyć, Erleinie! Mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia i nie mam ochoty na dyskusję.

Devin zobaczył w ciemności, jak Erlein składa z grzbietu konia szyderczy ukłon.

– Najpokorniej błagam o przebaczenie – rzekł przesadnie uniżonym tonem. – Doprawdy musisz dać mi znać, kiedy będziesz miał ochotę na dyskusję. Zgodzisz się, że jest to sprawa mająca dla mnie pewną wagę.

Alessan milczał przez dłuższą chwilę, po czym odezwał się łagodnie:

– Chyba domyślam się, co się za tym kryje. Rozumiem. Chodzi o spotkanie innego czarodzieja, tak? Przy Sertino tym bardziej odczuwasz, co się z tobą stało.

– Nie udawaj, że mnie rozumiesz, Alessanie! – odrzekł Erlein z wściekłością.

Wciąż zachowując spokój, książę powiedział:

– Dobrze zatem, jak chcesz. Pod pewnymi względami być może nigdy nie zrozumie cię ani twojego stylu życia – powiedziałem ci to w wieczór naszego spotkania. Na razie jednak sprawa jest zamknięta. Będę gotów ją omówić w dniu, w którym tyrani odejdą z Dłoni. Nie wcześniej.

– Prędzej zginiesz. Obaj zginiemy.

– Nie dotykaj go! – rzucił ostro Alessan. Devin teraz dopiero zauważył, że Naddo uniósł zdrową rękę, by uderzyć czarodzieja. Książę dodał już spokojniejszym tonem: – Jeśli obaj zginiemy, nasze duchy będą mogły się spierać w Komnatach Moriany, Erleinie. Do tego czasu dosyć. W nadchodzących tygodniach będziemy mieli razem dużo do zrobienia.

Ducas kaszlnął.

– Powinniśmy na ten temat obaj porozmawiać. Zanim pociągnę dalej to, czego tutaj dokonaliśmy – choć sprawiło mi to dużo przyjemności – chciałbym się dowiedzieć wielu rzeczy.

– Wiem – powiedział Alessan, odwracając się do niego. – Pojedziesz kawalek z nami. Tylko do wioski. Ty i Naddo, ze względu na jego ramię.

– Dlaczego do wioski i dlaczego ze względu na jego ramię? Nie rozumiem. Powinieneś wiedzieć, że nie jesteśmy w wiosce mile widziani. Z oczywistych powodów.

– Mogę się domyślać. To nie będzie miało znaczenia. Nie w Noc Żaru. Zrozumiesz, kiedy dojedziemy. Chodź. Chcę, żeby mój zacny przyjaciel Erlein di Senzio coś zobaczył. Chyba też lepiej, żeby i Sertino się do nas przyłączył.

– Nie chciałbym tego stracić, choćby mi ktoś dawał całe błękitne wino w Astibarze – powiedział pulchny certańdański czarodziej. Interesujące wrażenie, które kiedy indziej mogło nawet być zabawne, sprawiały jego nieustanne starania o utrzymanie jak największej odległości między sobą i księciem. Jego słowa były żartobliwe, lecz wypowiedział je śmiertelnie poważnym tonem.

– Jedźmy więc – rzucił szorstko Alessan. Przejechał obok Erleina, prawie się o niego ocierając koniem, i wyjechałszy z wąwozu, skierował się na zachód. Za nim ruszyli ci, których wymienił. Ducas wydał kilka zwięzłych rozkazów Arkinowi, lecz mówił zbyt cicho, żeby Devin go dosłyszał. Arkin przez chwilę się wahał, wyraźnie był w rozterce, chciał pojechać ze swoim dowódcą. Po chwili jednak bez słowa zawrócił konia. Kiedy Devin obejrzał się, zobaczył, że banici ograbiają z broni ciała Barbadiorczyków.

Po jakimś czasie znowu spojrzął do tyłu, ale znajdowali się już na otwartym terenie. Pograżone w ciemności wzgórza leżały na południe i wschód od nich, a na północy rozciągała się przed nimi trawiasta równina. Nie było już nawet widać wejścia do wąwozu. Devin wiedział, że Arkin i pozostali banici wkrótce go opuszczą, zostawiając tam tylko trupy. Tylko trupy dla ścierwojadów. Jeden zginął od jego własnego miecza, a inny był dzieckiem.

* * *

Starzec leżał w łóżku w mroku Nocy Żaru oraz w mroku własnej przypadłości. Zupełnie rozbudzony, nasłuchiwał świstu wiatru na zewnątrz i mamrotania kobiety klekoczącej w drugim pokoju modlitelnymi paciorkami i bez końca intonującej tę samą litanie.

– Eanno, miłuj nas, Adaonie, zachowaj nas, Moriano, strzeż naszych dusz. Eanno, miłuj nas, Adaonie, zachowaj nas, Moriano, strzeż naszych dusz. Eanno, miłuj nas... – dobiegało zza ściany.

Miał bardzo dobry słuch. Najczęściej stanowiło to rekompensatę, lecz czasami – jak

dzisiejszej nocy, kiedy kobieta modliła się jak obłąkana – było przekleństwem. Używała swoich starych paciorków – potrafił odróżnić ich przenikliwy dźwięk nawet przez ścianę. Przed trzema laty zrobił jej na dzień nadania imienia nowy pierścień paciorków z rzadkiego, wypolerowanego tandrewna. Najczęściej używała tego właśnie pierścienia, lecz nie w Dni Żaru. Wtedy wracała do starych paciorków i modliła się głośno przez większą część trzech dni i trzech nocy.

Na samym początku spędzonych tu lat jej nie kończąca się litania tak bardzo mu przeszkadzała, że przesypiał owe trzy noce w szopie z dwoma chłopcami, którzy go tu przyprowadzili. Teraz jednak zestarzał się, w takie wietrzne noce strzykało mu w obolałych kościach, zostawał więc we własnym łóżku pod stertą koców i starał się jakoś przetrzymać jej głos.

– Eanno, miłuj nas niezmiennie, Adaonie, zachowaj nas od wszelakiego niebezpieczeństwa, Moriano, strzeż naszych dusz i ochraniaj nas. Eanno, miłuj nas...

Dni Żaru były czasem skruchy i pokuty, ale i podzięką za dary. Z uzasadnionych i różnych powodów starzec był cynikiem, lecz nie nazwałby się niereligijnym człowiekiem ani właściwie nie stwierdziłby, że miał złe życie, mimo trwającej prawie dwadzieścia lat ślepoty. Większość życia spędził w bogactwie i w pobliżu władzy. Jego błogosławieństwem była długowieczność i wrodzona umiejętność obchodzenia się z drewnem. Początkowo była to tylko zabawa, rozrywka, lecz od czasu przybycia do wioski stała się czymś więcej.

Miał też inną umiejętność, lecz o niej wiedziało niewielu ludzi. Gdyby było inaczej, nie mógłby prowadzić tu, w górach, cichego życia, a na takim mu szczególnie zależało, ponieważ ukrywał się. Wciąż się ukrywał.

Już sam fakt przeżycia tej tak długiej podróży po omacku był szczególnym błogosławieństwem. Nie miał najmniejszych złudzeń, że zginąłby, gdyby nie lojalność jego dwóch młodych służących. Jedynych, którym pozwolono z nim zostać, i którzy chcieli z nim zostać.

Teraz nie byli już młodzi ani mu nie służyli. Uprawiali ziemię, której wraz z nim byli właścicielami. Nie spali już na podłodze we frontowym pokoju ich pierwszej chaty ani w szopie, jak na początku, lecz we własnych domach u boku żon i z dziećmi w pobliżu. Podziękował za to, leżąc w ciemności, z taką samą wdzięcznością, jak za wszystko, co kiedykolwiek sam otrzymał.

Każdy z nich zaoferowałby mu łóżko w swoim domu na te trzy noce, żeby mógł uciec przed nie kończącym się mamrotaniem kobiety w sąsiednim pokoju, ale on nie śmiałby o to prosić. Nie w Noce Żaru ani w żadną inną noc. Miał własne poczucie tego, co uchodzi, a przede wszystkim wraz z upływem lat coraz bardziej lubił własne łóżko.

– Eanno, miłuj nas jako swoje dzieci, Adaonie, zachowaj nas jako swoje dzieci...

Z pewnością nie będzie mógł zasnąć. Pomyślał, czyby nie wstać i nie wziąć się do polerowania jakiejś laski czy łuku, ale wiedział, że Menna go usłyszy i zmusi do odpokutowania

profanacji Nocy Żaru pracą. Wodnista owsianka, kwaśne wino, kaptcie złośliwie zabrane z miejsca, gdzie je zostawił.

– Przeszkadzały mi – powie, kiedy się poskarży. A kiedy znów będzie można palić ogień, będzie przypalone mięso, nie nadający się do picia khav, gorzki chleb. Przynajmniej przez tydzień. Menna miała własne sposoby poinformowania go o tym, co jest dla niej ważne. Po tych wszystkich latach mieli niepisane umowy jak każda stara para, chociaż oczywiście się z nią nie ożenił.

Wiedział, kim jest i co mu przystoi, nawet w tak oplakanyim stanie, z dala od domu, od wspomnień bogactwa czy władzy. Tu, na tym niewielkim skrawku ziemi uprawnej, którą kupił za złoto ze strachem ukrywane w ubraniu podczas tej długiej podróży. Odbył ją dawno przed siedemnastu laty. Szedł na ślepo i był przekonany, że depte mu po piętach morderczy pościg.

Mimo wszystko jednak przeżył, a wraz z nim chłopcy. Pewnego jesiennego dnia przybyli do tej wioski jako obcy w mrocznych czasach. W czasach, kiedy zginęło tylu ludzi, a tylu innych w całej Dłoni zostało brutalnie odciętych od swoich korzeni w rezultacie przybycia tyranów. Oni trzej jakoś wytrwali, a w dobrych latach udawało im się nawet wyżyć z ziemi. W ciągu ostatnich złych lat, jakie nastąpiły w Certando, musiał uszczuplić swoje niewielkie już zapasy złota, ale na cóż innego mogły się one teraz przydać?

Doprawdy, na cóż innego? Menna i dwaj chłopcy – oczywiście nie byli już chłopcami – byli jego spadkobiercami. Teraz stanowili jego jedyną rodzinę. Miał tylko ich, jeśli nie liczyć snów, które wciąż miewał nocą.

Był cynikiem, bo wiele widział, zanim ogarnęła go ciemność, a także potem, choć w inny już sposób, lecz ironia nie pokonała w nim mądrości. Wiedział, że wygnańcy zawsze śnią o domu i że ciężko pokrzywdzeni nigdy naprawdę nie zapominają. Nie miał złudzeń, że jest pod tym względem niepowtarzalny.

– Eanno, miłuj nas, Adaonie, zachowaj nas od... Triado, ratuj nas!

Menna gwałtownie zamilkła. Z tej samej przyczyny starzec nagle usiadł na łóżku, krzywiąc się na ostre protesty kręgosłupa. Oboje usłyszeli jakiś dźwięk na dworze. W Noc Żaru, kiedy nikt nie powinien wychodzić z domu.

Nasłuchując uważnie, znów uchwycił ten dźwięk: delikatne i dalekie tony fletni, które mijały w ciemności ściany jego domu. Skupiwszy uwagę, mężczyzna zdołał rozróżnić kroki. Policzył je. Następnie z niebezpiecznie szybko bijącym sercem wstał z łóżka, najszybciej jak umiał, i zaczął się ubierać.

– To umarli! – zawodziła Menna w sąsiednim pokoju. – Adaonie, zachowaj nas od mściwych duchów, od wszelkiej krzywdy. Eanno, miłuj nas! Przyszli po nas umarli. Moriano od Portali, strzeż naszych dusz!

Mimo podniecenia starzec nie omieszkał zauważyć, że Menna, nawet przestraszona, wciąż

uwzględnia go w swoich modlitwach. Szczerze go to wzruszyło. Jednak ze smutkiem pomyślał o nieuchronnym fakcie, że następne dwa tygodnie jego życia – co najmniej dwa – będą prawdopodobnie straszliwą domową torturą.

Oczywiście miał zamiar wyjść na dwór. Dokładnie wiedział, kto to jest. Skończył się ubierać i sięgnął po ulubioną laskę stojącą przy drzwiach. Poruszał się jak najciszej, ale ściany były cienkie, a Menna miała słuch prawie tak dobry jak on. Nie było sensu próbować wymknąć się niepostrzeżenie. I tak będzie wiedziała, co robi. I każe mu za to zapłacić.

Zdarzało się to już wcześniej. W Noce Żaru i w zwykłe noce od prawie dziesięciu lat. Pewnie stąpając we własnym domu, podszedł do drzwi frontowych i laską odgarnął zrolowany dywanik zasłaniający szparę pod drzwiami. Następnie otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Menna już się znów modliła:

– Eanno, miłuj mnie, Adaonie, zachowaj mnie, Moriano, strzeż mojej duszy.

Starzec uśmiechnął się smutno. Co najmniej dwa tygodnie. Wodnista owsianka rano. Przypalony khav bez smaku. Gorzka herbata mahgoti. Przez chwilę stał nieruchomo, wciąż lekko się uśmiechając, wdychając rześkie powietrze. Na szczęście wiatr nieco ucichł, kości starca miały się dobrze. Uniósłszy twarz w nocny wiatr, nieomal wyczuwał smak nadchodzącej wiosny.

Starannie zamknął za sobą drzwi i ruszył w kierunku szopy, stukając po ścieżce laską. Wyrzeźbił ją jeszcze wtedy, kiedy widział. Często miał ją przy sobie w pałacu jako oznakę miejsca zajmowanego na rozwiązłym dworze. Nigdy się nie spodziewał, że będzie jej używał w takim celu. Główkę laski stanowiła głowa orła ze starannie wyrzeźbionymi, szeroko rozstawionymi, wyzywająco patrzącymi oczyma.

Być może dlatego, że tej nocy Devin po raz drugi w życiu zabił człowieka, przypomniał sobie tę o wiele większą stajnię z minionej zimy w Astibarze.

Ta była znacznie skromniejsza. Stały w niej tylko dwie mleczne krowy i para roboczych koni. Była jednak solidnie zbudowana i ciepła, pachniała zwierzętami i czystą słomą. Ściany nie miały żadnych szpar, którymi mógłby się wdierać wiatr, słoma była świeżo pościelona, podłoga zamieciona do czysta, a narzędzia pod ścianami równo ułożone.

Właściwie, jeśli nie będzie uważał, to zapach i atmosfera tej stajni mogą go przenieść znacznie dalej w przeszłość niż zeszła zima: do ich własnego gospodarstwa w Asoli, o którym starał się nigdy nie myśleć. Był zmęczony, straszliwie zmęczony po dwóch bezsennych nocach, i przypuszczał, że jest podatny na takie wspomnienia. Prawe kolano, które nadwreżył w górach, bardzo go bolało. Spuchło tak, że było dwa razy większe niż normalnie i bardzo wrażliwe na dotyk. Musiał chodzić powoli, naprawdę starając się nie utykać.

Nikt nic nie mówił. Nikt nic nie powiedział od czasu, kiedy dotarli na skraj tej wioski, liczącej jakieś dwadzieścia domów. Jedynym dźwiękiem przez ostatnie kilka chwil, po tym jak

uwiązali konie i ruszyli piechotą, był cichy śpiew fletni Alessana. Devin zastanawiał się, czy tę kołysankę z Avalor zna tylko on, czy może Naddo też ją rozpoznał.

W stajni Alessan grał nadal, równie delikatnie jak przedtem. Melodia ta była jeszcze jedną rzeczą, która przenosiła Devina z powrotem na łono rodziny. Opierał się jej. Jeśli podąży tą drogą w stanie, w jakim się teraz znajduje, prawdopodobnie skończy się to łzami.

Devin próbował sobie wyobrazić, jak ta zapadająca w pamięć, ulotna melodia brzmiałaby dla uszu kogoś skulonego w ścianach ciemnego domu w tę Noc Żaru. Pewnie wydałoby się mu, że to wędruje grupka duchów. Zmarli błakający się po świetle za cichą, zapomnianą melodią. Pamiętał, jak Catriana śpiewała w Lesie Sandrenich:

*Lecz gdziekolwiek zastanę mnie noce czy dnie,
Nad wodą czy pośród wysokich pni drzew,
Me serce zawsze przeniesie mnie
Do marzeń o wieżach Avalor.*

Zastanawiał się, gdzie teraz jest Catriana. I Sandre. Baerd. Zastanawiał się, czy jeszcze kogoś z nich zobaczy. Wczesnym wieczorem, kiedy uciekał przed banitami do wąwozu, myślał, że niedługo zginie. Teraz, w dwie godziny później, dno wąwozu zaścierały ciała dwudziestu pięciu Barbadiorczyków, których zabili wspólnie z banitami, a trzech z tych banitów siedziało oto z nimi w tej nieznannej szopie, gdzie słuchali granej przez Alessana kołysanki.

Devin uznał, że nie zrozumie dziwnych kolei losu, choćby dożył i stu lat.

Z zewnątrz dobiegł jakiś dźwięk i otworzyły się drzwi. Devin mimowolnie zeszywniał, tak jak Ducas di Tregea, który sięgnął po miecz. Alessan spojrział na drzwi, lecz jego palce nie zgubiły rytmu i muzyka fletni wciąż płynęła.

W drzwiach stanął stary mężczyzna, oświetlony nagle od tyłu blaskiem księżyca. Był lekko zgarbiony, lecz miał lwią grzywę zaczesanych do tyłu siwych włosów. Po chwili wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi trzymaną w ręce laską. W stajni znowu zrobiło się ciemno i przez jakiś czas trudno było w niej cokolwiek dostrzec.

Nikt się nie odezwał. Alessan nawet nie podniósł wzroku. Skończył grać melodię miękko, z uczuciem. Devin patrzył na grającego księcia i zastanawiał się, czy jest tu jedynym człowiekiem, który rozumie, co dla niego znaczy muzyka. Pomyślał o tym, co Alessan przeszedł tylko tego jednego dnia i dokąd jedzie, i słuchając smutnego zakończenia piosenki, doznał osobliwych odczuć. Zobaczył, że księżę odkłada fletnię ruchem pełnym żalu. Odkłada to, co przynosi mu ulgę, i z powrotem bierze na ramiona swój ciężar. Wszystkie ciężary będące jego dziedzictwem, ceną jego krwi.

– Dziękuję, że przyszedłeś, stary przyjacielu – powiedział cicho Alessan do mężczyzny

stojącego w drzwiach.

– Będziesz moim dłużnikiem, Alessanie – odparł starzec czystym, mocnym głosem. – Skazałeś mnie na skwaśniałe mleko i zepsute mięso przez miesiąc.

– Tego się bałem – rzekł w ciemności Alessan. Devin usłyszał w jego głosie serdeczność i niespodziewane rozbawienie. – Menna wcale się nie zmieniła, co?

Mężczyzna prychnął.

– Menna i zmiana nie współlistnieją – powiedział. – Są z tobą nowi ludzie i brakuje jednego przyjaciela. Czy nic mu się nie stało?

– Nie. Jest o pół dnia jazdy na wschód. Mam ci dużo do powiedzenia. Przyjechałem nie bez powodu, Rinaldo.

– To dla mnie jasne. Jeden mężczyzna ze zwichniętą nogą. Inny z raną od strzały. Obaj czarodzieje nie są zachwyceni, ale nic nie poradzę na ich brakujące palce i żaden z nich nie jest chory. Szósty teraz się mnie boi, ale niepotrzebnie.

Devin wstrzymał ze zdumienia oddech. Siedzący obok niego Ducas zaklął głośno.

– Wytłumacz to! – warknął wściekle. – Wytłumacz to wszystko!

Alessan śmiał się. Śmiał się też, ale ciszej, mężczyzna, którego nazwał Rinaldem.

– Jesteś zepsutym i małostkowym starcem – rzekł książę, jeszcze się śmiejąc – a zaskakujesz ludzi dla samej przyjemności. Powinieneś się wstydzić.

– W moim wieku zostało mi tak mało przyjemności – odparł starzec. – Czy i tej chcesz mi odmówić? Twierdzisz, że masz mi wiele do powiedzenia? Mów zatem.

Alessan spoważniał.

– Dziś rano odbyłem w górach pewne spotkanie.

– A, myślałem o tym! I co z niego wynikło?

– Wszystko, Rinaldo. Wszystko. Tego lata. Zgodził się. Będziemy mieli te listy. Jeden do Alberico, jeden do Brandina i jeden do gubernatora Senzio.

– A – powtórzył Rinaldo. – Do gubernatora Senzio. – Powiedział to cicho, lecz nie potrafił całkowicie ukryć w głosie podniecenia. Postąpił krok do przodu. – Nie marzyłem, że dożyję tego dnia. Czy zaczniemy działać, Alessanie?

– Już zaczęliśmy. Ducas wraz ze swymi ludźmi przyłączył się dzisiejszego wieczoru do nas w bitwie. Zabiliśmy trochę Barbadorczyków i Tropiciele, którzy ścigali jadącego z nami czarodzieja.

– Ducas? To on? – Starzec cicho gwizdnął, co było dziwnie niestosownym dźwiękiem. – Teraz wiem, dlaczego się boi. Masz w tej wiosce pewną liczbę wrogów, mój przyjacielu.

– Zdaję sobie z tego sprawę – rzekł sucho Ducas.

– Rinaldo – powiedział Alessan – czy pamiętasz oblężenie Borifortu, kiedy najechał te ziemie Alberico? Opowieści o rudobrodym kapitanie, jednym z przywódców tamtejszych

Tregeañczyków? O tym, którego nigdy nie odnaleziono?

– Ducas di Tregea? To on? – Starzec znów gwizdnął. – Zatem cieszę się z tego spotkania, kapitanie, chociaż w gruncie rzeczy już się znamy. Jeśli dobrze pamiętam, byłeś w orszaku, diuka Tregei, kiedy jakieś dwadzieścia lat temu składałem tam oficjalną wizytę. – A skąd przybywałeś? – zapytał Ducas, wyraźnie usiłując zrozumieć sytuację. Devin współczuł mu: robił to samo, a wiedział nieco więcej od rudobrodego. – Z... z prowincji Alessana? – zaryzykował Ducas.

– Z Tigany? Ależ oczywiście – wtrącił szorstko Erlein di Senzio. – Oczywiście, że pochodzi stamtąd. To jeszcze jedno urażone paniątko z zachodu. Czy dlatego mnie tu przyprowadziłeś, Alessanie? Żeby mi pokazać, jak dzielny może być stary człowiek? Wybacz, ale nie skorzystam z tej lekcji.

– Nie usłyszałem początku – powiedział cicho Rinaldo do czarodzieja. – Co mówiłeś?

Erlein zamilkł, odwracając się od Alessana do stojącego przy drzwiach mężczyzny. Nawet po ciemku Devin widział jego nagłe zmieszanie.

– Wypowiedział nazwę mojej prowincji – rzekł Alessan. – Obaj sądzą, że z niej pochodzisz.

– To oburzająca potwarz – powiedział spokojnie Rinaldo. Zwrócił swoją dużą, piękną głowę w kierunku Ducasa i Erleina. – W swej próżności myślałem, że może mnie rozpoznaliście. Nazywam się Rinaldo di Senzio.

– Co? Senzio? – zawołał Erlein, wytrącony z równowagi. – Niemożliwe! Zapadła cisza.

– Kim właściwie jest ten arogant? – rzucił Rinaldo w powietrze.

– Obawiam się, że moim czarodziejem – odparł Alessan. – Związałem go z sobą dzięki darowi Adaona dla linii naszych i książąt. Chyba kiedyś ci o tym mówiłem. Nazywa się Erlein. Erlein di Senzio.

– A! – Rinaldo powoli wypuścił powietrze. – Rozumiem. Związany czarodziej, i w dodatku Senzianin. To tłumaczy jego gniew. – Postąpił kilka kroków do przodu, badając grunt przed sobą laską.

Dopiero w tej chwili Devin zdał sobie sprawę, że Rinaldo jest niewidomy. Ducas doszedł do tego samego wniosku.

– Nie masz oczu – powiedział.

– Nie – odparł spokojnie. – Kiedyś je oczywiście miałem, ale siedemnaście lat temu mój bratanek za namową obu tyranów uznał je za nieodpowiednie dla mnie. Byłem na tyle lekkomyślny, że przeciwstawiłem się decyzji Casalii zrzeczenia się pozycji diuka i zostania gubernatorem.

Kiedy Rinaldo mówił, Alessan cały czas wpatrywał się pilnie w Erleina. Devin poszedł za jego przykładem. Czarodziej nigdy jeszcze nie zdradzał takiego pomieszania.

– A zatem wiem, kim jesteś – powiedział, prawie się jękając.

– Oczywiście, że wiesz. Tak jak ja znam ciebie i jak znałem twego ojca, Erleinie bar Alein. Byłem bratem ostatniego prawdziwego diuka Senzio i jestem wujem podłej zakąły naszego rodu, Casalii, który teraz jest gubernatorem Senzio. Byłem tak dumny z tego pierwszego pokrewieństwa, jak mi wstyd za to drugie.

Erlein powiedział, wyraźnie starając się zachować panowanie nad sobą:

– Ale przecież wiedziałeś, co planuje Alessan. Wiedziałeś o tych listach. Powiedział ci o nich. Wiesz, co zamierza z nimi zrobić! Wiesz, co to oznacza dla naszej prowincji! I mimo to trzymasz z nim? Pomagasz mu? – Przy tych ostatnich słowach jego głos wzniósł się nierówno w górę.

– Ty głupi, mały człowieku – powiedział powoli Rinaldo, wypowiadając twardym jak kamień głosem każde słowo oddzielnie dla nadania im większej wagi. – Oczywiście, że mu pomagam. Jak inaczej mamy dać sobie radę z tyranami? Jakie inne pole bitwy jest w ogóle możliwe dzisiaj w Dłoni, jeśli nie nasze biedne Senzio, gdzie Barbador i Ygrath krążą wokół siebie niczym wilki, a mój rozpustny bratanek topi się w alkoholu i zalewa swym nasieniem tyłki dziwek! Chciałbyś, żeby wolność przyszła łatwo, Erleinie bar Alein? Uważasz, że spada ona jak żołądź z drzew jesienią?

– On myśli, że jest wolny – rzekł bez ogródek Alessan. – Albo że byłby wolny, gdyby nie ja. Myśli, że był wolny, dopóki nie spotkał mnie w zeszłym tygodniu nad strumieniem w Ferraut.

– W takim razie nie mam mu już nic więcej do powiedzenia – powiedział z pogardą Rinaldo di Senzio.

– Jak... jak znalazłeś tego człowieka? – zapytał Alessana Sertino. Devin zauważył, że Certandanin wciąż trzyma się jak najdalej od księcia.

– Znajdowanie takich ludzi było moim zadaniem przez ponad dwadzieścia lat – odparł Alessan. – Mężczyzn i kobiet z mojej czy twojej ojczyzny, z Astibaru, z Tregei... z całego półwyspu. Ludzi, których uznałem za godnych zaufania i którzy mogli mieć powody do tak wielkiej nienawiści dla tyranów, jak moja. Oraz pragnienie wolności dorównujące mojemu. Prawdziwej wolności – powiedział, spoglądając na Erleina. – Pragnienie bycia panami naszego własnego półwyspu.

Zwrócił się z lekkim uśmiechem do Ducasa:

– Tak się składa, że ty ukryłeś się dobrze, przyjacielu. Myślałem, że może żyjesz, ale nie miałem pojęcia gdzie. Mieszkaliśmy w Tregei z przerwami przez ponad rok, ale nikt, z kim rozmawialiśmy, nie znał twego losu albo nic nie chciał o nim powiedzieć. Dlatego dzisiaj wieczorem musiałem się strasznie napracować, żeby sprowokować cię do znalezienia mnie.

Ducas roześmiał się na to z głębi serca, a poważniejąc, powiedział:

– Żałuję, że nie doszło do tego wcześniej.

– Ja też. Nie masz nawet pojęcia jak bardzo. Mam przyjaciela, któremu, jak sądzę,

spodobał się tak samo, jak on tobie.

– Poznam go?

– W Senzio, jeszcze tej wiosny, jeśli wydarzenia potoczą się dobrze. Jeśli uda nam się sprawić, żeby potoczyły się dobrze.

– Skoro tak, to lepiej zacznij opowiadać, jak powinny się według ciebie potoczyć – rzekł prozaicznie Rinaldo. – Zajmę się twoimi dwoma rannymi, a ty mów, co powinniśmy wiedzieć.

Podszedł do Devina, postukując przed sobą.

– Jestem uzdrowicielem – powiedział poważnym i pozbawionym ostrości tonem. – Twoja noga jest w złym stanie i trzeba się nią zająć. Pozwolisz mi spróbować?

– A, to tak nas rozpoznałeś – odezwał się Ducas ze zdumieniem w głosie. – Nigdy jeszcze nie spotkałem prawdziwego uzdrowiciela.

– Nie jest nas wielu i staramy się nie rozgłaszać naszego istnienia – odparł Rinaldo, utkwivszy puste oczodoły w nicości. – Było tak nawet przed przybyciem tyranów: jest to dar nakładający pewne ograniczenia oraz cenę. Teraz ukrywamy się z tej samej albo prawie tej samej przyczyny, co czarodzieje tyrani chętnie by nas chwyтали i zmuszali do służenia im aż do wyczerpania naszych sił.

– Mogą coś takiego zrobić? – zapytał Devin. Głos miał chrapliwy. Uświadomił sobie, że od dawna nic nie mówił. Skrzywił się na myśl o tym, jak brzmiałby jego głos, gdyby spróbował coś zaśpiewać. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak wyczerpany.

– Oczywiście – odparł krótko Rinaldo. – Chyba że wybierzemy śmierć na ich kołach. Znane były takie wypadki.

– Z przyjemnością poznałbym różnicę między takim przymuszaniem i tym, co zrobił mi ten człowiek – rzekł zimno Erlein.

– A ja z przyjemnością ci ją wyjawię – odciął się Rinaldo – gdy tylko skończę to, co robię. – Zwrócił się do Devina: – Za tobą powinna być słoma. Połóżysz się na niej i pozwolisz mi zobaczyć, co mogę zrobić?

Po kilku chwilach Devin leżał rozciągnięty na posłaniu ze słomy. Rinaldo ukląkł przy nim ze starczą ostrożnością i zaczął powoli pocierać dłonią o dłoń.

Uzdrowiciel powiedział przez ramię:

– Alessanie, ja mówię poważnie. Chcę słuchać, pracując. Zacznij od Baerda. Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie ma go z tobą.

– Baerd! – wtrącił się jakiś głos. – Czy to jest ten twój przyjaciel? Baerd bar Saevar? – Powiedział to ranny mężczyzna, Naddo, który podszedł chwiejnie do krawędzi słomy.

– Tak, jego ojcem był Saevar – rzekł Alessan. – Znałeś go?

Naddo był tak roztrzęsiony, że ledwo mówił.

– Czy go znałem? Oczywiście, że tak. Byłem... byłem... – Przełknął z trudem ślinę. – Byłem

ostatnim uczniem jego ojca. Kochałem Baerda jak... jak starszego brata. Rozstaliśmy się w gniewie. Odszedłem w roku po upadku.

– Tak jak on – powiedział łagodnie Alessan, kładąc dłoń na drżącym ramieniu Naddo. – Niedługo po tobie. Teraz wiem, kim jesteś, Naddo. Często mi opowiadał o tym rozstaniu. Mogę ci powiedzieć, że bardzo nad nim bolał. Że nadal boleje. Zapewne sam ci o tym powie, kiedy się spotkacie.

– To jest ten przyjaciel, o którym wspominałeś? – zapytał cicho Ducas.

– Tak.

– Mówił ci o mnie? – Głos Naddo wzniósł się piskliwie ze zdumienia.

– Mówił.

Alessan znów się uśmiechał. Mimo zmęczenia Devin zrobił to samo. Stojący przed nimi mężczyzna sprawiał w tej chwili wrażenie młodego chłopca.

– Czy wiesz... czy on wie, co się stało z jego siostrą? Z Dianorą? – zapytał Naddo. Uśmiech Alessana znikł.

– Nie. Poszukujemy jej od dziesięciu lat, pytamy o nią w niezliczonych miejscach, wszędzie tam, gdzie znajdujemy ocalonych z pogromu. Jest tyle kobiet o tym imieniu. Ona też odeszła w jakiś czas po tym, jak Baerd wyruszył na poszukiwanie mnie. Nikt nie wie, dlaczego ani dokąd poszła, a matka zmarła niedługo potem. Strata ich obu jest źródłem największego cierpienia Baerda.

Naddo milczał, a po chwili zorientowali się, że stara się powstrzymać łzy.

– Potrafię to zrozumieć – powiedział w końcu ochrypłym głosem. – Najdzielniejsza dziewczyna, jaką znałem. Najdzielniejsza kobieta. A jeśli nie była naprawdę piękna, to i tak bardzo... – Przerwał na chwilę, starając się opanować emocje, po czym powiedział cicho: – Chyba ją kochałem. Wiem, że tak było. Tamtego roku miałem trzynaście lat.

– Jeśli boginie i bóg nas kochają – rzekł miękko Alessan – to jeszcze ją odnajdziemy.

Devin nic o tych sprawach nie wiedział. Podobnie jak o wielu innych. Miał mnóstwo pytań, może nawet więcej niż Ducas. Wtedy jednak klęczący obok niego Rinaldo przestał rozcierać sobie dłonie i pochylił się do przodu.

– Bardzo potrzebny ci odpoczynek – mruknął tak cicho, że nie usłyszał go nikt inny. – Potrzebujesz snu tak bardzo, jak twoja noga potrzebuje leczenia. – Mówiąc to, delikatnie położył dłoń na czole Devina. Mimo wszystkich swych pytań i całego wzburzenia Devin nagle poczuł, że zaczyna odpływać, jakby unosił się na otwartym, spokojnym morzu ku brzegom snu, z dala od ludzkich rozmów, ich głosów, bólu i pragnień. Nie usłyszał już nic więcej z tego, o czym mówiło się tej nocy w stajni.

Rozdział 15

W trzy dni później przekroczyli granicę na południe od obu fortów i Devin wszedł na ziemię Tigany po raz pierwszy od czasu, kiedy ojciec wyniósł go z niej jako dziecko.

Do Dolnego Corte przybywali tylko muzycy znajdujący się w największej potrzebie, trupy zdecydowane zgodzić się na jakiegokolwiek występy, choćby i najgorzej płatne, choćby i przed najbardziej ponurą publicznością. Nawet tak długo po zwycięstwie tyranów wędrowni muzycy Dłoni wiedzieli, że Dolne Corte oznacza pecha, niskie płace i poważne ryzyko narażenia się Ygratheńczykom czy to w samej prowincji, czy też na jej granicy przy wjeździe albo wyjeździe.

Wszyscy wiedzieli, że Dolnocorteńczycy zabili syna Brandina i że teraz płacą za to krwią, pieniędzmi i okupacją. Wędrowni artyści omawiający te sprawy w karczmach i zajazdach Ferraut i Corte zgadzali się, że nie tworzy to sympatycznej atmosfery. Tylko głodni lub świeżo upieczeni muzycy odważali się przyjmować mało płatne, ryzykowne zlecenia w tej leżącej na południowym zachodzie smutnej prowincji. Zanim Devin przystąpił do trupy Menico di Ferraut, ten podróżował już od dawna i zyskał sobie wystarczająco dobrą reputację, że nie musiał tutaj występować.

Była też w to wszystko zamieszana magia. Nikt tak naprawdę jej nie rozumiał, ale wędrowcy byli przesadni i mając alternatywę, tylko nieliczni udaliby się z własnej woli do miejsca, gdzie działały czary. Wszyscy znali kłopoty, na jakie można było natrafić w Dolnym Corte. Wszyscy słyszeli o nich opowieści.

Devin przez ostatnie godziny jazdy w mroku czekał na moment przekroczenia granicy, wiedząc, że skoro już jakiś czas temu mignął im na północy fort Sinave, to musi ona być blisko.

Teraz, mając za plecami pierwszy brzask nowego dnia, przybyli do linii kopców granicznych ciągnących się na północ i południe między dwoma fortami. Devin spojrzął na najbliższy ze starych, wygładzonych monolitów i przejechawszy obok niego, przekroczył granicę Tigany.

I nagle poczuł się rozbity i oszołomiony. Przed kilkoma godzinami, kiedy zobaczyli w ciemności odległe światła Sinave, drżał na całym ciele. Wkrótce będę w domu, powiedział sobie w duchu. Na ziemi, na której się urodziłem.

Teraz, minawszy kopiec i jadąc na zachód, Devin rozglądał się badawczo na boki, a światło powoli rozlewało się po niebie, potem dosięgło szczytów wzgórz i drzew, aż w końcu zalało cały wiosenny świat.

Krajobraz był bardzo podobny do tego, przez który jechali w ciągu ostatnich dwóch dni. Pagórkowata okolica, wznoszące się na południu stoki okryte gęstym lasem, a za nimi góry. Devin zobaczył jelenia unoszącego głowę znad potoku. Zwierzę na moment zastygło w bezruchu, obserwując ich, a potem przypomniało sobie, że należy uciekać.

W Certoando też widzieli jelenie.

To jest dom, znów powiedział sobie w duchu Devin, szukając odpowiedniej reakcji. Na tej ziemi ojciec poznał i zalecał się do matki, urodzili się on i bracia, i stąd Garin di Tigana, wdowiec z dziećmi, uciekł na północ, chroniąc się przed morderczym gniewem Ygrathu. Devin spróbował to sobie wyobrazić: ojciec na wozie, jeden z bliźniaków siedzi obok niego, drugi – na pewno się zmieniali – jedzie z tyłu z resztkami ich dobytku, tuląc w ramionach Devina. Czerwony zachód słońca plamiał dym i pożary na horyzoncie.

W jakiś dziwny sposób, którego Devin nie potrafił wyjaśnić, obraz ten wydawał się fałszywy. A jeśli nie całkiem fałszywy, to jakoś nierzeczywisty. Zbyt łatwy. Chodziło o to, że mógł nawet być prawdziwy, mógł być całkowicie prawdziwy, ale Devin tego nie wiedział. Nie mógł tego wiedzieć. Nie miał żadnych wspomnień tamtej drogi, tego miejsca. Żadnych korzeni, żadnej historii. To był jego dom, ale wcale nim nie był. Tak naprawdę kraj, przez który jechali, nawet nie nazywał się Tigana. Samą tę nazwę usłyszał dopiero pół roku temu, a co tu mówić o opowieściach, legendach czy kronikach jej przeszłości.

Była to prowincja Dolne Corte – taką znał ją przez całe życie.

Potrząsnął głową, zdenerwowany i głęboko zaniepokojony. Jadący obok Erlein spojrzali na niego z ironicznym uśmiechem. To jeszcze bardziej rozdrażniło Devina. Alessan jechał samotnie przed nimi. Od przekroczenia granicy nie odezwał się ani słowem.

Devin wiedział, że on ma wspomnienia, i w pewnym sensie zazdrościł księciu tych obrazów bez względu na to, jak były bolesne. Były tu zakorzenione, wyraźne i ukształtowało je to miejsce – jego prawdziwy dom.

Cokolwiek czuł lub pamiętał teraz Alessan, nie było w tym nic nierzeczywistego. Żywe i brutalnie realne stanowiło zdeptaną materię jego własnego życia. Jadąc wśród radosnego śpiewu ptaków na cześć pięknego wiosennego ranka, Devin próbował sobie wyobrazić, jak się czuje książę. Mógł się tego jedynie domyślać. Alessan wszak zdążył do miejsca, w którym umierała jego matka. Nic dziwnego, że popędzał konia, nic dziwnego, że milczał.

Ma do tego prawo, pomyślał Devin, patrząc na jadącego przed nim Alessana. Książę trzymał się w siodle prosto, spokojnie. Ma prawo do wszelkiej samotności, do wszelkiego wyzwolenia, jakiego potrzebuje. Nosi w sobie marzenie narodu, a większość z tych ludzi nawet o tym nie wie.

Rozważania te pomogły Devinowi pokonać zamęt panujący w jego myślach, przerwać wewnętrzną szamotaninę związaną z dostosowywaniem się do sytuacji. Skupiwszy się na Alessanie, ponownie odnalazł swą ścieżkę do palących uczuć, do gorącej reakcji na to, co się tu wydarzyło – i wciąż się działo. Każdej godziny, każdego dnia w spustoszonej, złamanej prowincji zwanej Dolnym Corte.

Gdzieś w głębi duszy – co było owocem długich zimowych rozmyślań oraz słuchania w milczeniu tego, co mówią starsi i mądrzejsi – Devin wiedział, że nie jest pierwszą ani ostatnią

osobą, która w pojedynczym człowieku odnalazła kształt i rysy o tyle trudniejszej miłości do abstrakcji czy marzenia.

Właśnie wtedy, rozglądając się po ziemi rozciągającej się pod szerokim łukiem wysokiego nieba, Devin poczuł, jak coś uderza w struny jego serca, jakby było ono harfą. Jakby on sam był harfą. Czuł uderzenia kopyt swego konia o twardą ziemię i galopując tak za księciem, pomyślał, że są to uderzenia w struny harfy.

Czekało na nich przeznaczenie tak olśniewające w jego myślach, jak kolorowe namioty rozstawione na równinie podczas Igrzysk Triady, które odbywały się co trzy lata. To, co robili, miało teraz znaczenie, mogło coś zmienić. Znaleźli się w samym środku wydarzeń ich czasów. Devin poczuł, jak coś go ciągnie w przód, unosi i umieszcza na szczycie wzbierającej fali, w wirze przyszłości. W samym środku tego, o co będzie chodziło w jego życiu, kiedy to wszystko się skończy.

Zobaczył, że Erlein znów zerka w jego stronę, i tym razem Devin się do niego uśmiechnął. Zaciętym, zawziętym uśmiechem. Z pociągłej twarzy czarodzieja zniknęła jego zwykła odruchowa ironia, zastąpiona na chwilę przez cień wątpliwości. Devinowi znów zrobiło się go prawie żal.

Bez zastanowienia skierował swego konia bliżej kasztana Erleina i pochylił się, by uścisnąć czarodzieja za ramię.

– Uda nam się! – powiedział żywo, prawie radośnie. Twarz Erleina stężała.

– Jesteś głupcem – rzekł dosadnie. – Młodym, nieświadomym niczego głupcem. – Powiedział to jednak bez przekonania, odruchowo.

Devin roześmiał się w głos.

Później tę chwilę też pamiętał. Swoje słowa, odpowiedź Erleina, swój śmiech pod błękitnym, bezchmurnym niebem. Lasy i góry po lewej stronie, a w dali przed nimi pierwsze przebłyaski rzeki Sperion, lśniącej wstęgi płynącej szybko na pomoc, zanim jeszcze wyginała się ku zachodowi w łuk, by odnaleźć morze.

* * *

Sanktuarium Eanny znajdowało się w wysoko położonej dolinie, odciętej od świata kręgiem wzgórz, na południowy zachód od Sperionu i byłego Avaloru. Niedaleko stąd była droga, dzięki której odbywał się niegdyś tak ożywiony handel między Tigoną i Quileią, biegnąca przez wysoko położone siodło przełęczy Sfaroni.

Kapłani Eanny i Moriany oraz kapłanki Adaona mieli takie ustronia we wszystkich dziewięciu prowincjach. Założone w niezwykle czasami odległych częściach półwyspu, służyły jako ośrodki nauczania świeżo wtajemniczonego duchowieństwa, składnice wiedzy i kanonów

Triady oraz miejsca odosobnienia, w których murach kapłani i kapłanki mogli wedle swego życzenia na jakiś czas lub na całe życie porzucić brzemię zewnętrznego świata.

Czyniło tak nie tylko duchowieństwo. Podobnie postępowali niekiedy ludzie świeccy, jeśli tylko było ich stać na „datki”, uznawane za odpowiednie ofiary w zamian za przywilej schronienia się na kilka dni czy lat w obrębie tych samotni.

Wiele przyczyn sprowadzało ludzi do sanktuariów. Od dawna znany był żart, że kapłanki Adaona są najlepszymi akuszerkami w Dłoni, bo tyle córek z wybitnych lub tylko zamożnych rodzin postanawiało spędzić jakiś czas w jednym z sanktuariów boga w okresie, który inaczej mógłby być dla owych rodzin krępujący. Oczywiście wiadomo było, że nieznany, lecz wysoki odsetek duchowieństwa wywodził się z żywych datków, jakie te same córki zostawiały w sanktuariach, wracając do domu. Dziewczynki zostawały u Adaona, chłopcy szli do Moriany. Odziani na biało kapłani Eanny zawsze utrzymywali, że nie chcą mieć nic wspólnego z takimi poczynaniami, ale istniały też przeczące temu opowieści.

Po nadejściu tyranów niewiele się zmieniło. Ani Brandin, ani Alberico nie byli na tyle lekkomyślni czy nieorientowani w sytuacji, żeby wzburzyć przeciwko swoim rządóm duchowieństwo Triady. Kapłanom i kapłankom pozwolono postępować jak dotąd. Mieszkańcom Dłoni zezwolono na czczenie ich bogów bez względu na to, jak dziwna, a nawet prymitywna mogła się wydawać ich wiara nowym władcom zza morza.

Obaj tyrani natomiast z lepszym lub gorszym skutkiem wygrywali przeciw sobie rywalizujące świątynie, bo nie mogli nie zauważyć napięcia i wrogości wzbierających i wybuchających między trzema zakonami Triady. Nie było w tym nic nowego: każdy diuk, wielki diuk czy książę na półwyspie starał nie wykorzystać te zmienne, potrójne tarcia dla siebie. Wiele układów mogło ulec zmianie z upływem lat, niektóre nawet nie do poznania, a inne mogły zagaść czy zostać całkowicie zapomniane, ale nie to. Nie ten delikatny, współzależny taniec państwa i duchowieństwa.

Tak więc świątynie stały nadal, a najważniejsze z nich pyszniły się swoim złotem i machiałem, rzeźbami i szatami rytualnymi ze złotogłowiu. Z wyjątkiem jednego tylko miejsca: w Dolnym Corte, gdzie rzeźby, złoto i machiał zniknęły, a biblioteki zostały rozgrabione i spalone. Co prawda stanowiło to część innego procesu i po kilku pierwszych latach panowania tyranów niewielu już ludzi o tym mówiło. Nawet w tej ciemnej prowincji duchowieństwo mogło nadal żyć w ściśle odmierzonej rytmie swych obyczajów w miastach, miasteczkach i sanktuariach.

Do sanktuariów tych przybywali od czasu do czasu przeróżni ludzie. Nie tylko brzemienne kobiety znajdowały powody, by konno lub na wozie oddalić się od zawirowań życia. W czasach zamętu, panującego czy to w duszy, czy w szerokim świecie, mieszkańcy Dłoni zawsze wiedzieli, że mają swoje sanktuaria, zawieszane na ośnieżonych szczytach gór lub zagubione

w spowitych we mgle dolinach.

Ludzie dobrze też wiedzieli, że – za odpowiednią opłatą – mogą się wycofać w ten uregulowany świat, w starannie zaplanowane godziny ustroni takich jak to w dolinie, poświęcone Eannie. Na jakiś czas. Na całe życie. Kimkolwiek byli w leżących za wzgórzami miastach.

Kimkolwiek byli.

Na jakiś czas, na całe życie, pomyślała stara kobieta, wyglądając przez okno swego pokoju na dolinę leżącą w wiosennym słońcu. Nigdy nie potrafiła powstrzymać myśli przed cofaniem się w przeszłość. W przeszłości tyle na nią czekało, a tutaj, teraz, w boleśnie powoli mijającym życiu było tak niewiele. Pory roku jedna za drugą spadały na ziemię niczym zestrzelone ptaki z grotami w piersi.

Wspomnienia towarzyszyły jej zawsze i wszędzie: przy wołaniu kulika o świcie czy wezwaniu do modlitwy, przy świetle świecy o zmierzchu, przy widoku dymu wznoszącego się z komina ciemną nitką prosto w szare światło zimowego dnia, przy bębnieniu deszczu o dach i okno pod koniec zimy, przy skrzypieniu jej własnego łóżka w nocy, znów przy wezwaniu do modlitwy, przy mamrotaniu modlących się kapłanów, w zimnej ciemności Dni Żaru... wspomnienia były obecne w każdym poruszeniu jej osoby i świata, w każdym dźwięku, w każdym odcieniu koloru, w każdej woni niesionej wiatrem w dolinie. Pamięć tego, jaka strata sprowadziła ją między białe odzianych kapłanów z ich nie kończącymi się obrzędami i nieskończoną małostkowością, i z ich akceptacją tego, co przydarzyło się im wszystkim.

To ostatnie niemal ją na początku zabiło. Zabijało ją i teraz – powiedziała to w zeszłym tygodniu Danoleonowi – bez względu na to, co mówił o guzach w jej piersi ów kapłan-lekarz.

Jesienią znaleźli uzdrowiciela. Przyszedł do niej niespokojny, trawiony gorączką, mizerny, zaniedbany mężczyzna o nerwowych ruchach i zaczerwienionym czole. Usiadł przy jej łóżku, a ona zdała sobie sprawę, że człowiek ten posiada dar, bo uspokoił się i rozjaśnił czoło. Kiedy jej dotykał – tu i tu – rękę miał spokojną, a jej ból zniknął, zostawiając po sobie przyjemne zmęczenie.

Na koniec jednak potrząsnął głową, a ona wyczytała w jego bladych oczach nieoczekiwany żal, chociaż uzdrowiciel nie mógł wiedzieć, z kim ma do czynienia. Jego smutek był związany z prostą stratą, z porażką, i nie miał nic wspólnego z tym, kto umiera.

– To by mnie zabiło – powiedział cicho. – Choroba za bardzo się rozwinęła. Umarłbym i nie uratowałbym ciebie. Nic już nie mogę zrobić.

– Ile mam czasu? – zapytała. To były jej jedyne słowa. Powiedział jej, że pół roku, może mniej, zależnie od tego, jak jest silna.

Jak jest silna? Była bardzo silna. Silniejsza niż ktokolwiek z nich się domyślał, może z wyjątkiem Danoleona, znającego ją najdłużej. Odesłała uzdrowiciela i poprosiła, żeby

Danoleon też wyszedł, podobnie jak powolny służący, którego kapłani przydzielili jej, kobiecie znanej im tylko jako wdowa z posiadłości leżącej na północ od Stevanien.

Tak się złożyło, że naprawdę знаła kobietę, której tożsamość przybrała – przez jakiś czas była to jedna z jej dam dworu. Jasnowłosa dziewczyna o zielonych oczach i miłym obejściu, skora do śmiechu. Melina bren Tonaro. Była wdową przez tydzień, może mniej. Zabiła się w Nadmorskim Pałacu, kiedy przyszły wieści o drugiej bitwie nad Deisą.

Oszustwo to było konieczne dla ukrycia jej tożsamości, a zaproponował je Danoleon. Przed prawie dziewiętnastu laty. Wysoki kapłan powiedział, że ona i jej chłopiec będą poszukiwani. Chłopca zabierał, wkrótce znajdzie się w bezpiecznym miejscu, unosząc w sobie ich marzenia, nadzieję żywą dopóty, dopóki żył on sam. W tamtych czasach miała jasne włosy. To wszystko wydarzyło się tak dawno temu. Stała się Meliną bren Tonaro i przybyła do sanktuarium Eanny leżącego w wysokogórskiej dolinie nad Avalor.

Nad Stevanien. Przybyła i czekała. Na czekaniu mijały jej zmieniające się pory roku i niezmiennie lata. Czekala, żeby ten chłopiec wyrósł na mężczyznę, jakim był jego ojciec czy bracia, a potem żeby uczynił to, co godziło się uczynić potomkowi pochodzącemu w linii prostej od Micaeli i boga.

Czekala. Rok po roku, wiosna, lato, jesień, zima – spadające z nieba postrzelone ptaki.

Aż do ostatniej jesieni, kiedy uzdrowiciel powiedział jej tę straszną prawdę, której sama już się domyślała. Pół roku, powiedział. Jeśli jest silna.

Wyprosiła ich z pokoju i leżała w swoim żelaznym łóżku, patrząc na liście na drzewach w dolinie. Już zmieniały kolory. Dawniej bardzo lubiła jesień; była to jej ulubiona pora roku do konnej jazdy. Kiedy była dziewczynką, kiedy była kobietą. Przyszło jej na myśl, że to ostatnie jesienne liście, jakie widzi.

Odwrociła się od takich myśli i zaczęła obliczać. Dni i miesiące oraz kolejne lata. Zrobiła rachunek dwa razy, a potem jeszcze raz, żeby być pewną wyniku. Nic jeszcze wtedy nie powiedziała Danoleonowi. Było za wcześnie.

Dopiero pod koniec zimy, kiedy opadły już wszystkie liście, a okapy dachów właśnie zaczęły ociekać wodą z topniejącego lodu, wezwała wysokiego kapłana i wydała mu polecenia. Chciała wysłać list do miejsca, o którym wiedziała – tak jak wiedział on, jako jedyny spośród kapłanów – że jej syn będzie tam w zaczynające się tej wiosny Dni Żaru. Dokonała odpowiednich obliczeń. Wielokrotnie.

Bardzo dobrze zgrała też rzecz w czasie, i to wcale nie przypadkiem. Widziała, że Danoleon chce zaprotestować, odwieść ją od tego zamiaru, mówić o niebezpieczeństwach i ostrożności. Stracił już jednak grunt pod nogami, poznała to po nerwowych ruchach jego dużych dłoni i sposobie, w jaki jego błękitne oczy błędziły po pokoju, jakby szukając argumentów na pustych ścianach. Czekala cierpliwie, aż w końcu spojrział jej w oczy i powoli skłonił głowę.

Jak można odmówić umierającej matce wysłania wiadomości do jedyne go żyjącego dziecka? Prośby do tego dziecka, żeby przyjechało się z nią pożegnać, zanim ona odejdzie do Moriany? Szczególnie kiedy to dziecko, chłopiec, którego przed tyloma laty sam przeprowadził przez góry na południe, był ostatnim ogniwem łączącym ją z tym, kim była, z jej zniweczonymi marzeniami i utraconymi marzeniami jej ludu?

Danoleon obiecał napisać i wysłać list. Podziękowała mu i kiedy wyszedł, opadła na poduszki. Była naprawdę znużona i cierpiała prawdziwy ból. Trzymała się kurczowo życia. Pół roku minie tuż po wiosennych Dniach Żaru. Obliczyła to sobie. Jeśli przyjedzie, ona będzie jeszcze żyła i go zobaczy. A przyjedzie na pewno, wiedziała, że do niej przyjedzie.

Okno było uchylone, chociaż tego dnia było jeszcze zimno. Śnieg leżał w łagodnie pofalowanych zaspach na dnie doliny i na stokach wzgórz. Patrzyła tam, lecz nieoczekiwanie jej myślami zawładnęło morze. Z suchymi oczyma, bo od czasu, kiedy wszystko upadło, nie płakała ani razu, chodziła po dawno minionych pałacach pamięci i widziała, jak na białych piaskach brzegu załamują się fale, zostawiając na biegnącej łukiem plaży muszelki, perły i inne dary.

Pasithea di Tigana bren Serazi. Niegdyś księżna w pałacu nad morzem, matka dwóch martwych synów i jednego, który jeszcze żył. Czeka, a zima w górach zmieniła się tymczasem w wiosnę.

* * *

– Dwie sprawy. Po pierwsze, jesteśmy muzykami – rzekł Alessan. – Właśnie utworzyliśmy trupe. Po drugie, nie używajcie mojego imienia. Nie tutaj. – Jego głos nabrał ostrych, twardych tonów, które Devin pamiętał z pierwszej nocy w chacie Sandrenich, kiedy wszystko się dla niego zaczęło.

W jasnym blasku popołudnia patrzyli z góry na biegnącą na zachód dolinę. Za nimi leżał Sperion. Nierówna, wąska droga wiała się całymi godzinami po grzbietach coraz wyższych wzgórz, aż doszła do tego najwyższego punktu. Teraz rozwijała się przed nimi dolina z drzewami i trawą muśniętymi pierwszą złocistą zielenią wiosny. Spośród wzgórz wypływał ku północnemu zachodowi lśniący potok spęczniały topniejącymi śniegami. Niedaleko błyszcząca srebrem kopuła stojącej pośrodku sanktuarium świątyni.

– Jak zatem mamy cię nazywać? – zapytał cicho Erlein. Wydawał się przygaszony – Devin nie wiedział, czy z powodu tonu Alessana, czy dlatego, że wyczuwał niebezpieczeństwo.

– Adreano – powiedział ksiązę po chwili. – Dzisiaj jestem Adreano d' Astibar. Będę poetą. Na ten triumfalny, radosny powrót do domu.

Devin pamiętał to imię: tak się nazywał młody poeta, którego po skandalu z Elegiami sandreńskimi Alberico rozkazał stracić na kole zeszłej zimy. Przez chwilę uważnie przyglądał

się księciu, ale zaraz odwrócił wzrok: to nie był dzień na dociekania. Jeśli znajdował się tu z jakiegoś powodu, to dlatego, żeby ulżyć Alessanowi. Co prawda nie wiedział, jak ma się do tego zabrać. Znowu czuł się całkowicie nie na miejscu, a jego wcześniejsza fala podniecenia opadła w zetknięciu z ponurym nastrojem księcia.

Na południe od nich wznosiły się górujące nad doliną szczyty łańcucha Sfaroni, wyższe nawet od gór znad zamku Borso. Na szczytach, a nawet do połowy zboczy leżał jeszcze śnieg. Tak wysoko i tak daleko na południu zima nie ustępowała szybko. Pod nimi jednak, na południe od wyraźnie zarysowanych niższych wzgórz, w zaciszu doliny biegnącej ze wschodu na zachód, Devin widział nabrzmiewające na gałęziach drzew zielone pączki. Na chwilę nad kolumną wznoszącego się powietrza zawisł prawie nieruchomo szary jastrząb, po czym zatoczył koło na południe i w dół, by zniknąć na tle wzgórz. Na dnie doliny sanktuarium leżało w swoich murach niczym obietnica spokoju i łagodności, odizolowane od całego zła świata.

Devin wiedział, że tak nie jest.

Zjechali w dół bez pośpiechu, który byłby niezwykły u trzech muzyków w środku dnia. Devin jasno zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Mężczyzna, za którym jechał, był ostatnim dziedzicem Tigany. Zastanawiał się, co zrobiłby Alessanowi Brandin z Ygrathu, gdyby po tylu latach księżę został zdradzony i schwytyany. Przypomnił sobie Mariusa z Quilei na górskiej przełęczy: „Wierzysz tej wiadomości?”

Devin nigdy w życiu nie ufał kapłanom Eanny. Byli za sprytni, byli najbardziej z całego duchowieństwa subtelni, najbardziej zdolni do sterowania wydarzeniami dla własnych celów, które mogły leżeć w odległej przyszłości, niewidoczne dla współczesnych pokoleń. Przypuszczał, że służącym bogini łatwiej było posługiwać się odleglejszą perspektywą. Wszyscy jednak wiedzieli, że na całym półwyspie duchowieństwo Triady ma własne potrójne porozumienie z zamorskimi tyranami: zbiorowe milczenie, cichy współdziałanie kupiony za pozwolenie zachowania obrzędów, które miały, jak się zdawało, dla duchownych znaczenie większe niż wolność Dłoni.

Jeszcze przed poznaniem Alessana Devin miał na ten temat własne przemyślenia. Jego ojciec nigdy nie wahał się wypowiadać swojego zdania na temat duchowieństwa. Teraz Devin znowu przypomniał sobie pojedynczą świecę sprzeciwu, jaką dwa razy do roku zapalał Garin w Noce Żaru za czasów dzieciństwa Devina w Asoli. Skoro już zaczął o tym myśleć, wydawało się, że płęgające w ciemności płomyki tych świec kryły w sobie wiele niuansów, a jego powściągliwy ojciec miał bardziej złożoną osobowość, niż Devin sądził. Chłopak potrząsnął głową – nie była teraz pora na wędrowanie tą ścieżką.

Kiedy górską drogą dotarła w końcu do dna doliny, zmieniła się w szerszy, równiejszy trakt, prowadzący ukośnie do sanktuarium, które leżało pośrodku. W odległości około pół mili od jego kamiennych murów zewnętrznych po obu stronach drogi pojawił się podwójny szpaler drzew.

Były to wiązy pokrywające się wczesnymi liśćmi. Za nimi po obu stronach Devin widział pracujących na polach ludzi, tak świeckich służących, jak i kapłanów, odzianych nie w ceremonialną biel, lecz w nie rzucające się w oczy beżowe szaty. Zaczynali prace, których wymagała ziemia przy końcu zimy. Jeden z nich śpiewał pięknym, czystym tenorem.

Wschodnie wrota kompleksu sanktuarium, proste i ozdobione jedynie gwiazdowym symbolem Eanny, były otwarte. Devin zauważył jednak, że wrota są wysokie i wykute z grubego żelaza. Mury otaczające rozległe tereny sanktuarium też były wysokie i grube. Wychylało się z nich w równych odstępach osiem wież. Wyraźnie miejsce to zostało wybudowane wieśset lat temu po to, by wytrzymać przeciwności losu. Umieszczona wewnątrz kompleksu, wznosząca się spokojnie ponad innymi budynkami kopuła świątyni Eanny lśniła w słonecznym blasku. Zbliżyli się do otwartych wrót i wjechali do środka.

Tuż za bramą Alessan zatrzymał konia. Z przodu, z lewej strony, nieoczekiwanie dobiegł ich śmiech dzieci. Na otwartym, trawiastym placu zabaw leżącym za stajnią i dużym domem kapłanów, z pół tuzina chłopców w niebieskich tunikach pod nadzorem młodego kapłana w beżowych szatach grało w maracco, używając do tego kijów i piłki.

Devin, patrząc na nich, poczuł ukłucie smutku i nostalgii. Dokładnie pamiętał, jak mając pięć lat, poszedł z Povarem i Nico do lasu sąsiadującego z ich gospodarstwem, żeby bliźniacy wycięli dla niego pierwszy kij do maracco. A potem godziny – choć częściej minuty – wyrwane z domowych obowiązków, kiedy cała trójka chwyciła za kije, brała kolejną z wysłużonych piłek, które Nico cierpliwie zwijał z materiału, i z krzykiem zaczynała uganiać się za nią w błocie w kącie podwórka za stodołą, udając asolską drużynę podczas zbliżających się Igrzysk Triady.

– W ostatnim roku nauki w świątyni zdobyłem cztery punkty – powiedział w zamyśleniu Erlein di Senzio. – Będę to chyba pamiętał do końca życia.

Devin spojrział na czarodzieja zdziwiony i rozbawiony. Alessan także odwrócił się w siodle. Po chwili cała trojka wymieniła uśmiechy. Dobiegające z oddali wołania i śmiech dzieci stopniowo ucichły. Zostali dostrzeżeni. Pojawienie się obcych w tym miejscu zapewne nie było pospolitym wydarzeniem, szczególnie tak szybko po stopnieniu śniegów.

Młody kapłan opuścił plac zabaw i szedł w ich kierunku, podobnie jak starszy mężczyzna w czarnym skórzanym fartuchu ochraniającym jego beżowe szaty, który pojawił się z drugiej strony głównej drogi, gdzie trzymano w zagrodach owce, kozy i krowy. W pewnej odległości przed nimi leżało sklepione wejście do świątyni, a obok niego z prawej strony i nieco z tyłu widać było mniejszą kopułę obserwatorium – we wszystkich bowiem sanktuariach Eanny jej kapłani śledzili i obserwowali gwiazdy, którym bogini nadała imiona.

Kompleks był ogromny, większy nawet niż im się wydawało z leżących wyżej stoków wzgórz. Po jego terenie poruszało się wielu kapłanów i służących, którzy wchodzili i wychodzili z samej świątyni, pracowali wśród zwierząt albo w ogrodach warzywnych, które Devin widział

za obserwatorium. Z tego samego kierunku dochodziły także charakterystyczne odgłosy kuźni. Wznosił się stamtąd dym, unoszony łagodnym wiatrem. Nad głową Devin znów zobaczył jastrzębia leniwie krążącego na błękitnie.

Alessan zsiadł z konia i Devin z Erleinem poszli za jego przykładem. Prawie w tej samej chwili podeszło do nich dwóch kapłanów. Młodszy z nich, jasnowłosy i drobny jak Devin, roześmiał się i pokazał ręką na siebie i swego kolegę.

– Obawiam się, że niewielki z nas komitet powitalny. Muszę przyznać, że nie spodziewaliśmy się gości o tak wczesnej porze roku. Nikt nawet nie zauważył, jak zjeżdżaliście z góry. Niemniej witamy, serdecznie witamy w sanktuarium Eanny bez względu na przyczynę, jaka was tu przywiodła. Niech bogini was pozna i nazwie swoimi. – Kapłan był pogodny i często się uśmiechał.

Alessan odwzajemnił uśmiech.

– Niech pozna i nazwie wszystkich, którzy mieszkają w tych murach. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedzielibyśmy, jak zareagować na bardziej oficjalne powitanie. Nie wypracowaliśmy sobie jeszcze stylu na wejście. A co do wczesnej pory roku – cóż, wszyscy wiedzą, że nowo utworzone trupy muszą ruszać się szybciej niż te z większym stażem, bo inaczej umrą z głodu.

– Jesteście muzykami? – zapytał poważnie starszy kapłan, wycierając ręce w swój skórzany fartuch. Jego siwiejące brązowe włosy były już przerzedzone i brakowało mu dwóch przednich zębów.

– Rzekłeś – potwierdził Alessan, próbując podniosłego stylu. – Nazywam się Adreano d’Astibar. Gram na tregeańskiej fletni, a wtóruje mi Erlein di Senzio, najwspanialszy harfiarz na całym półwyspie. Muszę wam też szczerze powiedzieć, że dopóki nie słyszeliście naszego młodego towarzysza, Devina d’Asoli, to nie wiecie, co to śpiew.

Młodszy kapłan znowu się roześmiał.

– Och, pięknie! Powinienem zaprowadzić cię do szkoły zewnętrznej, żeby dać moim wychowankom lekcję retoryki.

– Lepiej by mi poszło uczenie gry na fletni – powiedział z uśmiechem Alessan. – Jeśli uczycie tu też muzyki.

Usta kapłana drgnęły.

– Muzyki formalnej – odparł. – To jednak jest Eanna, a nie Moriana.

– Oczywiście – rzekł pośpiesznie Alessan. – Dla mieszkającej tu młodzieży bardzo formalna muzyka. Ale dla samych sług bogini...? – Uniósł ciemną brew.

– Przyznam się – powiedział jasnowłosy młody kapłan, znów się uśmiechając – że sam bardzo lubię wczesne utwory Raudera.

– A nikt ich nie gra lepiej od nas – rzekł gładko Alessan. – Widzę, że przyjechaliśmy we właściwe miejsce. Czy powinniśmy pokłonić się wysokiemu kapłanowi?

– Powinniście – odpowiedział bez uśmiechu starszy mężczyzna. Zaczął rozwiązywać za plecami rzemienie fartucha. – Zaprowadzę was do niego. Savandi, twoi podopieczni za chwilę zaczną się bić albo zrobią coś jeszcze gorszego. Czy ty w ogóle nad nimi nie panujesz?

Savandi odwrócił się błyskawicznie, żeby spojrzeć na chłopców, zupełnie nie po kapłańsku soczyście zaklął i rzucił się biegiem w kierunku placu zabaw, wykrzykując przekleństwa. Z tej odległości Devinowi rzeczywiście wydawało się, że młodzi podopieczni Savandiego używają kijów do maracco w sposób wyraźnie sprzeczny z ogólnie przyjętymi zasadami gry.

Devin zobaczył uśmiech na twarzy obserwującego chłopców Erleina. Szczupła twarz czarodzieja zmieniała się pod wpływem uśmiechu – wtedy, kiedy był to prawdziwy uśmiech, a nie ironiczny grymas wykrzywionych ust, którym Erlein tak często wyrażał pełną wyższości pogardę.

Starszy kapłan o ponurej twarzy ściągnął swój skórzany fartuch przez głowę, starannie go złożył i powiesił na ogrodzeniu pobliskiej owczarni. Rzucił imię, którego Devin nie zrozumiał, i ze stajni leżących z ich lewej strony wyszedł pośpiesznie inny młody mężczyzna, tym razem służący.

– Weź ich konie – rozkazał kapłan szorstko. – Dopilnuj, żeby ich rzeczy zostały zaniesione do domu gościnnego.

– Zatrzymam fletnię – powiedział szybko Alessan.

– A ja swoją harfę – dodał Erlein. – Nie chodzi tu o brak zaufania, sam rozumiesz, ale muzyk i jego instrument...

Kapłanowi nieco zbywało na swobodnym zachowaniu Savandiego.

– Jak chcecie – powiedział. – Chodźcie. Mam na imię Torre, jestem odźwiernym tego świętego sanktuarium. Musicie stanąć przed wysokim kapłanem. – Odwrócił się i nie czekając na nich, ruszył ścieżką okrążającą świątynię z lewej strony.

Devin i Erlein wymienili spojrzenia i wzruszyli ramionami. Ruszyli za Torre i Alessanem, mijając po drodze kapłanów i świeckich służących, z których większość uśmiechała się do nich, wynagradzając im zachowanie surowego, samozwańczego przewodnika.

Dogonili ich, kiedy obchodzili południową stronę świątyni. Torre i Alessan zatrzymali się. Łysiejący odźwierny rozejrzył się od niechcenia i powiedział z prawie taką samą nonszalancją:

– Nie wierz nikomu. Mów prawdę tylko Danoleonowi albo mnie. To są jego słowa. Czeka na ciebie. Myśleliśmy, że minie jeszcze jedna, może dwie noce, zanim przyjedziesz, ale ona powiedziała, że pojawisz się dzisiaj.

– A zatem udowodniłem, że ma rację. Jakież to miłe – powiedział Alessan dziwnym głosem.

Devin poczuł nagle zimno. Po lewej stronie, na placu zabaw chłopcy Savandiego znów się śmiali. Ich drobne, niebieskie sylwetki uganiały się za białą piłką. Z wnętrza kopuły dobiegał delikatny śpiew. Zbliżał się koniec popołudniowych modłów. Z przeciwnego kierunku nadeszło

ścieżką dwóch kapłanów w oficjalnej bieli, zawzięcie nad czymś dyskutując.

– To jest kuchnia, a to piekarnia – powiedział wyraźnie Torre, pokazując ręką. – Tam jest browar. Niewątpliwie słyszeliście o piwie, które tu warzymy.

– Oczywiście – mruknął grzecznie Erlein, bo Alessan milczał.

Dwaj kapłani zwolnili, przyjrzeni się gościom oraz ich instrumentom i poszli dalej.

– Tam dalej jest dom wysokiego kapłana – ciągnął Torre – za kuchnią i szkołą zewnętrzną.

Dwaj kapłani podjęli swój spór i szybko zniknęli za zakrętem ścieżki prowadzącej przed front świątyni. Torre zamilkł, a po chwili bardzo cicho powiedział:

– Chwała Eannie za jej łaskawą miłość. Niech chwałą ją wszystkie języki. Witaj w domu, mój księżę. Och, w imię miłości, nareszcie witaj nam w domu.

Devin przełknął z trudem ślinę, przenosząc wzrok z Torre na Alessana. Po plecach przebiegł mu mimowolny dreszcz: w oczach odźwiernego lśniły w blasku słońca łzy.

Alessan nic nie powiedział. Pochylił głowę, tak że Devin nie widział jego oczu. Słyszeli śmiech dzieci, ostatnie nuty śpiewanej modlitwy.

– A zatem jeszcze żyje? – zapytał Alessan, podnosząc w końcu wzrok.

– Tak – odrzekł z uczuciem Torre. – Jeszcze żyje. Jest bardzo... – Nie mógł dokończyć zdania.

– Nie ma sensu, żeby nasza trójka zachowywała ostrożność, jeżeli ty będziesz ronił łzy jak dziecko – powiedział ostro Alessan. – Dosyć tego, chyba że chcesz, abym zginął.

Torre przełknął ślinę.

– Wybacz mi – szepnął. – Wybacz mi, panie.

– Nie! Nie „panie”. Nawet kiedy będziemy sami. Jestem Adreano d’Astibar, muzyk. – Głos Alessana brzmiał twardo. – A teraz zaprowadź mnie do Danoleona.

Odźwierny szybko otarł oczy. Wyprostował ramiona.

– A jak myślisz, dokąd idziemy? – warknął, wracając do poprzedniego tonu. Odwrócił się na pięcie i ruszył ścieżką.

– Dobrze – mruknął z tyłu do kapłana Alessan. – Bardzo dobrze, przyjacielu. – Idąc za nimi, Devin zauważył, że na te słowa Torre uniósł głowę. Chłopak zerknął na Erleina, ale tym razem czarodziej nie odwzajemnił spojrzenia. Był zamyślony.

Minęli kuchnię, a potem szkołę zewnętrzną, gdzie podopieczni Savandiego – wysłani tu na naukę synowie ludzi szlachecko urodzonych lub zamożnych kupców – uczyli się i spali. W całej Dłoni takie nauczanie należało do zadań duchowieństwa i stanowiło źródło sporej części jego bogactwa. Sanktuaria współzawodniczyły między sobą o uczniów – oraz o pieniądze ich ojców.

Teraz w dużym budynku panowała cisza. Jeśli w kompleksie jest tylko tuzin uczniów, bawiących się teraz pod okiem Savandiego, znaczyłoby to, że sanktuarium Eanny w Dolnym Corte wcale nie powodziło się dobrze.

Z drugiej strony, pomyślał Devin, kto z tych, którzy pozostali w Dolnym Corte, mógł sobie teraz pozwolić na naukę dzieci w sanktuarium? I jaki obrotny człowiek interesu z Corte albo Chiary, który tanio kupił ziemię tu na południu, nie wysłałby swego syna na naukę do domu? Dolne Corte było miejscem, gdzie sprytny człowiek z innej prowincji mógł zarobić na nieszczęściu mieszkańców, ale nie było to miejsce, w którym zapuszczało się korzenie. Kto chciałby się zakorzenić w glebie nienawiści Brandina?

Torre poprowadził ich po stopniach zadaszonych portyku do otwartych drzwi domu wysokiego kapłana. Po dopiero co minionych świętych Dniach Żaru, kiedy wszystko szczelnie zamykano, teraz drzwi były otwarte na wiosenne słońce.

Stali w dużym, pięknym, wysokim salonie. Jego południowo-zachodnią część zdominował olbrzymi kominek, a na puszystym dywanie było rozstawionych kilka wygodnych foteli i stolików. W stojących na kredensie kryształowych karafkach lśniły różne gatunki win. Devin zauważył pod południową ścianą dwie szafy biblioteczne bez książek. Niepokojąco puste szafy zostawiono na swoim miejscu. Książki Tigany spalono. Opowiedziano mu o tym.

Sklezione drzwi we wschodniej i zachodniej ścianie prowadziły na portyki, gdzie rano i o zmierzchu można było złapać słoneczny blask. Po przeciwnej stronie pokoju znajdowały się zamknięte drzwi, prawie na pewno prowadzące do sypialni. W ścianach były cztery zmyślnie zaprojektowane, kwadratowe wnęki, a piąta, mniejsza, widniała nad kominkiem – stały w nich kiedyś posągi. One też zniknęły. Jediną ozdobą ścian były namalowane na nich wszechobecne srebrne gwiazdy Eanny.

Drzwi sypialni otworzyły się i wyszło z niej dwóch kapłanów.

Wydawali się zaskoczeni, jednak nie nadmiernie, widokiem odźwiernego czekającego z trzema gośćmi. Jeden z mężczyzn był średniego wzrostu, w średnim wieku, o ostrej twarzy i krótko ostrzyżonych szpakowatych włosach. Przed sobą niósł lekarską tacę z ziołami i proszkami, podtrzymywaną rzemieniem założonym na szyję.

Devin wlepił jednak spojrzenie w drugiego mężczyznę. To on trzymał w ręku urzędową laskę wysokiego kapłana. Patrzył na niego i był pewien, że to Danoleon. Przez głowę przemknęła mu myśl, że zwracałby on na siebie uwagę nawet bez tej laski.

Wysoki kapłan był roslym człowiekiem o szerokich ramionach, wypukłej piersi i prostych mimo wieku plecach. Jego długie włosy i broda opadająca do połowy piersi były śnieżnobiałe, nawet na tle białej szaty. Pośrodku spokojnego czoła, nad oczyma jasnymi i błękitnymi jak u dziecka, spotykały się gęste, proste brwi. Ręka spoczywająca na potężnej lasce trzymała ją tak, jakby to była zaledwie leszczynowa witka pastucha.

Jeśli byli właśnie tacy, pomyślał Devin, patrząc ze złością na człowieka, który niegdyś, podczas najazdu Ygratheńczyków był wysokim kapłanem Eanny w Tiganie, jeśli wszyscy przywódcy byli właśnie tacy, to naprawdę przed upadkiem mieszkali tu wielcy ludzie.

Tłumaczył sobie racjonalnie, że nie mogli się tak bardzo różnić od dzisiejszych mieszkańców prowincji. Minęło tylko dwadzieścia lat, choć wiele mogło się zmienić czy zginąć. Mimo wszystko trudno było nie czuć się nieswojo w obecności tego władczego człowieka. Devin przeniósł spojrzenie z Danoleona na Alessana: swoją drobną budową, rozczochranymi, przedwcześnie przyprószonymi siwizną włosami i chłodnymi, czujnymi oczyma oraz zakurzonym, poplamionym w podróży strojem do konnej jazdy nie sprawiał imponującego wrażenia.

Kiedy jednak Devin z powrotem odwrócił się do wysokiego kapłana, zobaczył, że to Danoleon zaciska oczy i wciąga nierówno powietrze. W tej chwili z dreszczem dziwnie podobnym do bólu Devin zdał sobie sprawę, jaki jest naprawdę, mimo wszelkich pozorów, stosunek władzy między tymi ludźmi. Pamiętał, że to Danoleon zabrał małego Alessana, ostatniego księcia Tigany, na południe, by ukryć go po drugiej stronie gór.

I od tamtego dawno minionego czasu go nie widział. Włosy znużonego mężczyzny stojącego teraz przed wysokim kapłanem przyprószone były siwizną. Danoleon na pewno to zauważył i starał się jakoś sobie z tym poradzić. Devinowi nagle zrobiło się ich obu bardzo żal. Pomyślał o wszystkich straconych latach, które spadały, wirowały i unosiły się między nimi niczym liście czy śnieg, wtedy i teraz.

Żałował, że nie jest starszy i mądrzejszy. Ostatnio na krawędzi jego świadomości pojawiło się tyle prawd czy odkryć czekających na zrozumienie, a jednak pozostających poza jego zasięgiem.

– Mamy gości – odezwał się szorstko Torre. – Nowo powstałą trupę trzech muzyków.

– Ha! – mruknął z kwaśną miną kapłan z lekarską tacą. – Nowo powstała? Zapewne, skoro zapuścili się tu o tak wczesnej porze roku. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni pojawił się w tym sanktuarium ktoś mający jaki taki talent. Czy potraficie zagrać coś, co nie wypędzi słuchaczy z pokoju?

– To zależy od słuchaczy – odparł łagodnie Alessan. Danoleon odpowiedział uśmiechem, choć wydawało się, że chce ten uśmiech powstrzymać. Zwrócił się do drugiego kapłana:

– Idrisi, istnieje niewielka możliwość, że gdybyśmy wystąpili z cieplejszym powitaniem, to zostalibyśmy obdarzeni gośćmi chętniejszymi do wykazania się swą sztuką.

Pod badawczym spojrzeniem tych spokojnych, błękitnych oczu drugi kapłan wymruczał coś, co mogło, ale nie musiało być przeprosinami.

Danoleon zwrócił się do trójki muzyków.

– Wybaczcie nam – mruknął. Miał głęboki, kojący głos. – Ostatnio otrzymaliśmy kilka niepokojących wiadomości, a teraz zajmujemy się osobą cierpiącą niejaki ból. Tu obecny Idrisi di Corte, nasz lekarz, bywa w takich przypadkach zdenerwowany.

W głębi ducha Devin wątpił, czy nerwy mają wiele wspólnego z nieuprzejmością

corteńskiego kapłana, ale zachował spokój. Alessan przyjął przeprosiny Danoleona krótkim ukłonem.

– Przykro mi to słyszeć – rzekł do Idrisiego. – Może moglibyśmy pomóc? Od dawna wiadomo, że muzyka znakomicie łagodzi ból. Bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy mogli zagrać dla któregoś z twoich pacjentów. – Devin zauważył, że na razie Alessan pomija wspomniane przez Danoleona wiadomości. Nie było raczej przypadkiem, że Danoleon wymienił pełne imię Idrisiego, wyraźnie dając im do zrozumienia, że pochodzi on z Corte.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Jak chcecie. Pacjentka z całą pewnością nie śpi i na pewno jej to nie zaszkodzi. Właściwie i tak jej zdrowie nie spoczywa już w moich rękach. Wysoki kapłan sprowadził ją tutaj wbrew mojej woli. Ja nie mogę wiele dla niej uczynić. W gruncie rzeczy ona już należy do Moriany. – Zwrócił się do Danoleona. – Jeśli ją zmęczą, to dobrze. Sen byłby dla niej błogosławieństwem. Będę w szpitalu albo w moim ogrodzie. Wpadnę wieczorem, chyba że wcześniej otrzymam od ciebie wiadomość.

– Nie zostaniesz zatem, żeby posłuchać, jak gramy? – zapytał Alessan. – Moglibyśmy sprawić ci niespodziankę.

Idrisi skrzywił się.

– Nie mam czasu na takie rzeczy. Może wieczorem w refektarzu. Sprawcie mi niespodziankę. – Błysnął krótkim, nieoczekiwanym uśmiechem, który zniknął tak szybko, jak się pojawił, i minął ich energicznym, rozdrażnionym krokiem, wychodząc z pokoju.

Zapadło krótkie milczenie.

– To dobry człowiek – powiedział cicho, prawie przepaszając Danoleon.

– To Corteńczyk – mruknął ponuro Torre.

Wysoki kapłan potrząsnął piękną głową.

– To dobry człowiek – powtórzył. – Złości go, kiedy ludzie powierzeni jego opiece umierają. – Znów spojrzął na Alessana. Poruszył ręką spoczywającą na lasce. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

– Mój panie, nazywam się Adreano d' Astibar – rzekł stanowczym tonem Alessan. – To jest Devin... d'Asoli, którego ojca, Garina, być może pamiętasz ze Stevanien. – Czekał. Błękitne oczy Danoleona spoczywające na Devinie rozszerzyły się. – A to – zakończył prezentację Alessan – jest nasz przyjaciel Erlein di Senzio, który oprócz innych darów dłoni posiada także umiejętność gry na harfie.

Przy tych ostatnich słowach Alessan uniósł lewą dłoń z zagiętymi do dołu dwoma palcami. Danoleon spojrzął szybko na Erleina, a potem znów na księcia. Zbladł i Devin nagle uświadomił sobie, że wysoki kapłan jest bardzo starym człowiekiem.

– Eanno, miej nas wszystkich w opiece – szepnął stojący za nimi Torre.

Alessan spojrział znacząco na sklepione wyjścia prowadzące na portyki.

– Rozumiem więc, że ta szczególna pacjentka jest bliska śmierci?

Devin miał wrażenie, że Danoleon pożera wzrokiem Alessana. Był w nim prawie wyczuwalny głód, łaknienie człowieka umierającego z głodu.

– Obawiam się, że tak – powiedział głosem spokojnym tylko dzięki wyraźnemu wysiłkowi.

– Oddałem jej mój pokój, żeby mogła słyszeć modły w świątyni. Szpital i jej własne pokoje znajdują się za daleko.

Alessan skinął głową. Wydawało się, że zapanował nad sobą, że starannie kontroluje ruchy i słowa. Uniósł schowaną w futerale z brązowej skóry tregeańską fletnię i spojrział na nią.

– Może więc powinniśmy do niej pójść i coś jej zagrać. Wygląda na to, że popołudniowe modlitwy się skończyły.

Tak było. Śpiewy ustały. Za domem chłopcy ze szkoły zewnętrznej nadal biegali i śmiali się w słońcu. Devin słyszał ich przez otwarte drzwi. Zawahał się, niepewny swoich słów, a potem odchrząknął niezręcznie i powiedział:

– Może chciałbyś zagrać dla niej sam? Fletnia ma kojący wpływ, może sprowadzi na chora sen.

Danoleon energicznie kiwał głową na zgodę, lecz Alessan odwrócił się, żeby spojrzeć na Devina, a potem na Erleina. Z wyrazu jego twarzy nic nie można było wyczytać.

– Co? – spytał w końcu. – Chcecie mnie porzucić tak szybko po utworzeniu trupy? – Po chwili dodał ciszej: – Nie zostanie powiedziane nic takiego, czego nie możecie wiedzieć, a niektóre rzeczy być może powinniście usłyszeć.

– Ale ona umiera – zaprotestował Devin, czując, że coś tu jest nie w porządku, że została zachwiana jakaś równowaga. – Ona umiera i... – przerwał.

Oczy Alessana były takie dziwne.

– Umiera i jest moją matką – wyszeptał. – Wiem. Dlatego chcę mieć was przy sobie. Chyba nadeszły też jakieś wieści. Lepiej ich wysłuchajmy.

Odwrócił się i podszedł do drzwi sypialni. Danoleon stał tuż przed nimi. Alessan zatrzymał się przed wysokim kapłanem i obaj spojrzeli na siebie. Księżę wyszeptał coś, czego Devin nie dosłyszał, i ucałował starca w policzek.

Następnie minął go, zatrzymał się na chwilę przed samymi drzwiami i wziął głęboki, uspokajający oddech. Uniósł rękę, jakby chciał nią przeczesać włosy, ale się powstrzymał. Po twarzy przebiegł mu dziwny uśmiech.

– To zły nawyk – mruknął. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju, a oni poszli za nim.

Sypialnia wysokiego kapłana wielkością przypominała salon od frontu, ale jej umeblowanie było niezwykle proste. Dwa fotele, para wiejskich, wytartych dywanów, umywalnia, biurko, skrzynia do przechowywania dobytku, w południowo-wschodnim rogu niewielki ustęp.

W północnej ścianie był kominek identyczny jak ten w salonie, z którym dzielił komin. Mimo ciepłego dnia płonął w nim ogień, jako że oba okna pokoju pozostawały otwarte, a zasłony odsunięte, by do środka wpadało nieco światła spod okapu zachodniego portyku.

Łóżko stojące u przeciwległej ściany pod srebrną gwiazdą Eanny prezentowało się okazale, bo Danoleon należał do rośliwych mężczyzn, było solidne, proste i pozbawione ozdób. Żadnego baldachimu, zwykłe sosnowe słupki w czterech rogach i sosnowe wezglowie. Było też puste.

Devin, nerwowo idący za Alessanem i wysokim kapłanem, spodziewał się zastać w nim umierającą kobietę. Spojrzał, mocno skrępowany, w kierunku drzwi ustępu. I prawie podskoczył z zaskoczenia, kiedy z cienia przy ogniu, gdzie nie dochodziło wpadające przez okna ukośne światło, rozległ się głos:

– Kim są ci obcy?

Sam Alessan bezbłędnie odwrócił się w kierunku ognia, gdy tylko wszedł do pokoju – Devin nigdy się nie dowiedział, jakim zmysłem się kierował – sprawiał więc wrażenie opanowanego i nie zaskoczonego, kiedy odezwał się ten zimny głos. Ani kiedy z cieni wynurzyła się kobieta i stanęła przy jednym z foteli, a potem na nim usiadła, trzymając się bardzo prosto i patrząc na niego z wysoko uniesioną głową. Patrzyła na nich wszystkich.

Pasithea di Tigana bren Serazi, żona księcia Valentina.

W młodości musiała być kobietą niedoścignionej urody, co wciąż było widoczne, nawet tutaj, nawet teraz, na progu ostatniego portalu Moriany. Wydawała się wysoka i bardzo szczupła, chociaż po części zawdzięczała to wyraźnie toczącej ją od środka chorobie. Widać to było w jej twarzy, tak bladej, że niemal przezroczystej, w której kości policzkowe odcinały się zbyt ostro. Szyję zasłaniał jej wysoki, sztywny kołnierz szkarłatnej szaty, której barwa podkreślała nienaturalną, nieziemską bladość księżnej – Devin pomyślał, że wyglądała, jakby już przeszła na stronę Moriany i spoglądała na nich z przeciwnego brzegu.

Jej długie palce zdobiły jednak złote pierścienie, pochodzące zdecydowanie z tego świata, a w naszyjniku układającym się na jej szacie lśnił oślepiającym blaskiem niebieski klejnot.

Włosy miała zebrane w czarną siatkę, które to uczesanie już dawno wyszło z mody w Dłoni. Devin był całkowicie pewien, że aktualna moda nie znaczyłaby dla tej kobiety nic, absolutnie nic. Właśnie wtedy obrzuciła go taksującym spojrzeniem, po czym przeniosła je na Erleina, a w końcu popatrzyła na swego syna.

Syna, którego nie widziała od czasu, kiedy miał czternaście lat.

Oczy miała szare jak Alessan, lecz twardsze, lśniące i zimne, ukrywające swą głębię, jakby tuż pod powierzchnią tkwił w nich jakiś półszlachetny kamień. Błyszczały, nieposkromione i wyzywające w świetle zalewającym pokój, i w chwili, kiedy znów miała się odezwać – nawet nie czekając na odpowiedź na swoje pierwsze pytanie – Devin uświadomił sobie, że w jej oczach widzi furję.

Niemal przebijała ona z tego wyniosłego oblicza i postawy oraz z palców, mocno ściskających poręczę fotela. Był to wewnętrzny płomień gniewu, który dawno temu wyszedł poza domenę słów czy jakiegokolwiek innej formy ekspresji. Umierała na wygnaniu, podczas gdy człowiek, który zabił jej męża, rządził jej ziemią. Wszystko to było widoczne dla każdego, kto znał choć połowę tej historii.

Devin przełknął ślinę i zwalczył chęć przesunięcia się w kierunku drzwi, poza zasięg jej wzroku. W chwilę później zdał sobie sprawę, że może się nie trudzić jeśli chodzi o tę kobietę w fotelu, to on jest dla niej niczym. Jakby go w ogóle nie było. Nie zapytała po to, żeby uzyskać odpowiedź; tak naprawdę nie obchodziło jej, kim są. Chciała się rozmówić z kim innym.

Przez długi czas, ciąg chwil wydający się wisieć w nieskończoność w tej ciszy, lustrowała Alessana bez słowa. Jej blada twarz o wielkopańskich rysach niczego nie zdradzała. W końcu, powoli potrząsając głową, rzekła:

– Twój ojciec był takim przystojnym mężczyzną.

Devin wzdrygnął się na te słowa i ton głosu, lecz Alessan nie zareagował. Skinął głową, ze spokojem przyjmując werdykt matki.

– Wiem. Pamiętam. Tak jak moi bracia. – Uśmiechnął się ironicznie. – Ta cecha zapewne się wyczerpała, nim zdążyła do mnie.

Mówił łagodnym tonem, ale kiedy skończył, spojrzał ostro na Danoleona, który wyczytał w jego spojrzeniu polecenie. Wysoki kapłan mruknął coś do Torre, który szybko wyszedł z pokoju.

Aby stanąć na straży u drzwi, pomyślał Devin, czując mimo płonącego ognia chłód. Zostały tu właśnie wypowiedziane słowa, które mogły spowodować na nich wszystkich śmierć. Zerknął na Erleina i zobaczył, że czarodziej wyjął harfę z futerału. Senzianin z ponurą miną zajął miejsce przy wschodnim oknie i zaczął cicho stroić instrument.

Oczywiście, pomyślał Devin, Erlein wie, co robi. Przyszli tu pod pretekstem zagrania dla umierającej kobiety. Byłoby dziwne, gdyby z tego pokoju nie dobiegały dźwięki muzyki. Z drugiej strony nie bardzo miał ochotę teraz śpiewać.

– Muzycy – powiedziała z pogardą siedząca w fotelu kobieta do swego syna. – Jakie to wspaniałe. Przyszedłeś, żeby mi zagrać jakąś skoczną melodyjkę? Żeby mi pokazać, jak wielkich nabrałeś umiejętności w tak ważnej dziedzinie? Żeby ulżyć matczynej duszy przed śmiercią?

Alessan nie poruszył się, chociaż on też teraz pobladł. W żaden inny sposób nie zdradził jednak swego napięcia, poza może zbyt swobodną postawą, przesadnym udawaniem spokoju.

– Jeśli zechcesz, pani matko, zagram dla ciebie – rzekł cicho. – Pamiętam, że był taki czas, kiedy muzyka rzeczywiście sprawiała ci przyjemność.

Oczy siedzącej w fotelu kobiety lśniły zimno.

– Był kiedyś czas na muzykę. Kiedy tu panowaliśmy. Kiedy mężczyźni w naszej rodzinie byli mężczyznami nie tylko z nazwy.

– Och, wiem – powiedział Alessan nieco ostrzej. – Prawdziwi mężczyźni, a każdy zdumiewająco dumny. Mężczyźni, którzy już dawno temu rzuciliby się samotnie na umocnienia Chiary i zabili Brandina, który padłby z przerażenia na sam widok ich zajadłości. Matko, czy nawet teraz nie możesz dać temu spokoju? Jesteśmy ostatnimi członkami naszej rodziny i nie rozmawialiśmy ze sobą przez dziewiętnaście lat. – Głos mu się zmienił, złagodniał, zrobił się dziwnie nieporadny. – Czy ciągle musimy się spierać, czy rozmowa nie może się niczym różnić od naszych listów? Czy poprosiłaś mnie o przyjazd tylko dlatego, żeby jeszcze raz powiedzieć to, co już tyle razy napisałaś?

Stara kobieta potrząsnęła głową. Była wyniosła i ponura, nieprzejednana jak śmierć, która po nią przyszła.

– Nie o to mi chodzi – rzekła. – Nie mam tyle sił, żeby je marnować. Wezwałam cię tutaj, żebyś przyjął przekleństwo umierającej matki.

– Nie! – zawołał Devin, zanim mógł się powstrzymać.

W tej samej chwili Danoleon postąpił długi krok do przodu.

– Doprawdy, nie, moja pani – rzekł z bólem w głosie. – To nie jest...

– Ja umieram – przerwała mu szorstko Pasithea bren Serazi. Na jej policzkach wykwitły plamy nienaturalnych kolorów. – Nie muszę cię już więcej słuchać, Danoleonie. Nikogo nie muszę już słuchać. Przez te wszystkie lata mówiłaś mi, że mam czekać. Bądź cierpliwa, mówiłaś. Ja już nie mam czasu na cierpliwość. Za dzień umrę. Czeka na mnie Moriana. Nie mam już czasu na czekanie, podczas gdy moje tchórzliwe dziecko swawoli po całej Dłoni, grając piosenki po wiejskich weselach.

Dał się słyszeć nieharmonijny dźwięk strun harfy.

– To – odezwał się spod wschodniego okna Erlein di Senzio – dowodzi ignorancji i jest niesprawiedliwe! – Przerwał, jakby zaskoczony własnym wybuchem. – Sama Triada wie, że nie mam powodu kochać twego syna. Teraz jest dla mnie więcej niż jasne, skąd się bierze jego arogancja oraz brak szacunku dla cudzego życia, dla wszystkiego, co nie jest celem, jaki sobie wyznaczył. Jeśli jednak nazywasz go tchórzem tylko dlatego, że nie próbował zabić Brandina z Ygrathu, to umierasz jako próżna, głupia kobieta. Mówiąc całkiem szczerze, wcale mnie to w tej prowincji nie dziwi!

Oparł się o parapet, dysząc ciężko i na nikogo nie patrząc. W ciszy, jaka zapadła, w końcu poruszył się Alessan. Kiedy ukląkł obok fotela matki, jego poprzedni bezruch wydał się nieludzki, nienaturalny.

– Przeklinałaś mnie już przedtem – powiedział poważnie. – Pamiętasz? Większość życia spędziłem w cieniu twego przekleństwa. Pod wieloma względami łatwiej byłoby mi umrzeć

przed laty: Baerd i ja zabici w próbie zabójstwa tyrana w Chiarze... może nawet jakimś cudem udałoby się nam go zabić. Czy wiesz, że często o tym rozmawialiśmy po nocach, każdej nocy, kiedy jako chłopcy mieszkaliśmy w Quilei? Układaliśmy dziesiątki planów zabójstwa na Wyspie. Marzyliśmy o tym, jak to po śmierci będziemy kochani i szanowani w prowincji, której nazwa została przywrócona dzięki nam.

Jego głos był cichy, prawie hipnotyczny w swej miarowości.

Devin zobaczył, że Danoleon siada w drugim fotelu. Twarz mieniła mu się emocjami. Pasithea wciąż była jak marmur: bez wyrazu i zimna. Devin przysunął się cicho do ognia, daremnie usiłując opanować dreszcze. Erlein wciąż tkwił przy oknie. Znowu cicho grał na harfie, dobywając z niej pojedyncze nuty i przypadkowe akordy, nie splatające się wyraźnie w żadną melodię.

– Ale podrośliśmy – ciągnął Alessan i w jego głosie pojawiło się napięcie, straszliwa potrzeba bycia zrozumianym. – W wigilię letniego przesilenia Marius z naszą pomocą został w Quilei dorocznym królem. Kiedy potem rozmawialiśmy we trójkę, mówiliśmy już inaczej. Baerd i ja zaczęliśmy się uczyć pewnych prawd o władzy i o świecie. Wtedy wszystko się dla mnie zmieniło. Zaczęło narastać coś nowego, myśl, marzenie większe i sięgające głębiej niż próba zabicia tyrana. Wróciliśmy do Dłoni i zaczęliśmy podróżować. Tak, jako muzycy. I jako rzemieślnicy, kupcy, raz jako lekkoatleci w roku Igrzysk Triady, jako murarze i budowniczowie, ochrona senziańskiego bankiera, marynarze na tuzinie różnych statków handlowych. Ale zanim jeszcze zaczęły się te podróże, matko, zanim jeszcze wróciliśmy przez góry na pomoc, wszystko się dla mnie zmieniło. W końcu pojąłem, jaki ma być cel mojego życia. Co trzeba zrobić albo spróbować zrobić. Wiesz o tym ty, wie o tym Danoleon; napisałem ci przed laty o moim nowym celu z prośbą o błogosławieństwo. To była taka prosta prawda: żeby ten cały półwysep znów mógł być wolny, musimy pokonać obu tyranów naraz.

Wtedy jego żarowi przeciwstawił się głos matki – głos ostry, nieprzejednany, zawzięty:

– Pamiętam. Pamiętam dzień, kiedy przyszedł ten list. I jeszcze raz powiem ci to, co napisałam wtedy do tej ladacznicy w Certando: chciałeś kupić wolność Corte, Astibaru i Tregai kosztem imienia Tigany. Kosztem naszego istnienia na świecie. Kosztem wszystkiego, co mieliśmy i czym byliśmy przed nadejściem Brandina. Kosztem zemsty i naszej dumy.

– Naszej dumy – powtórzył Alessan tak cicho, że ledwo go było słyhać. – Och, ta nasza duma. Rosłem, wciąż słysząc o naszej dumie, matko. Ty mnie jej uczyłaś, nawet bardziej niż ojciec. Później jednak, już jako mężczyzna, nauczyłem się czegoś więcej. Na wygnaniu. Nauczyłem się o dumie Astibaru. O dumie Senzio, Asoli i Certando. Nauczyłem się, w jaki sposób duma zniszczyła Dłoń w roku przybycia tyranów.

– Dłoń? – zapytała piskliwym głosem Pasithea. – A czymże jest Dłoń? Kawalkiem ziemi. Skała, ziemia i woda. Czymże jest półwysep, że mielibyśmy się o niego martwić?

– A czymże jest Tigana? – zapytał bez ogródek Erlein di Senzio. Jego harfa milczała.

Pasithea zmiażdżyła go wzrokiem.

– Pomyślałabym, że związany czarodziej powinien to wiedzieć! – rzekła zjadliwie, chcąc go zranić. Devin aż zamrugął, zaskoczony jej bystrością – nikt nic nie powiedział o Erieinie, domyśliła się tego w ciągu kilku minut z rozproszonych przesłanek.

Powiedziała:

– Tigana to kraj, gdzie Adaon legł z Micaelą, kiedy świat był młody, gdzie obdarzył ją miłością oraz dzieckiem, a samo dziecko i jego następców boskim darem mocy. Teraz świat daleko odbiegł od owej nocy, a ostatni potomek tamtego związku znajduje się w tym pokoju z całą przeszłością jego narodu przeciekającą mu przez palce. – Pochyliła się nieco. Jej szare oczy płonęły, a głos wzniósł się oskarżycielsko: – Przeciejącą mu przez palce. Jest i głupcem, i tchórzem. Stawką jest o wiele więcej niż wolność półwyspu dla jednego pokolenia!

Opadła na oparcie, kaszląc i wyjmując z kieszeni chustkę z niebieskiego jedwabiu. Devin zobaczył, że Alessan zrobił ruch, jakby chciał się podnieść z kolan, ale nie zmienił pozycji. Jego matką wstrząsnął atak kaszlu i zanim Devin odwrócił wzrok, zauważył, że kiedy odjęła chustkę od ust, jedwab był zabarwiony na czerwono. Klęczący obok niej na dywanie Alessan pochylił głowę.

Erlein di Senzio, znajdujący się po drugiej stronie pokoju, być może za daleko, żeby dostrzec krew, powiedział:

– Czy mam ci może opowiedzieć legendy o wyższości Senzio? Astibaru? Wysłuchasz mojej pieśni o Eannie na Wyspie, formującej gwiazdy z miłosnego uniesienia dzielonego z bogiem? Czy wiesz, że Certando utrzymuje, iż jest sercem i duszą Dłoni? Pamiętasz carlozzian? Nocnych Wędrowców w górach przed dwustu laty?

Siedząca w fotelu kobieta wyprostowała się i wbiła w niego wzrok. Bojąc się jej, nienawidząc za wypowiedzane słowa, zachowanie i to, co robiła swemu synowi, Devin czuł się jednak malutki w obliczu tak wielkiej odwagi i siły woli.

– Ależ o to właśnie chodzi – powiedziała trochę ciszej, oszczędzając siły. – To jest właśnie sedno sprawy. Nie dostrzegasz tego? Ja te opowieści pamiętam. Pamięta je każdy, kto ma jakieś wykształcenie albo bibliotekę, pamięta je każdy głupiec, który kiedykolwiek słyszał sentymentalne pojękiwania trubadurów. Można usłyszeć dwadzieścia różnych pieśni o Eannie i Adaonie na zboczach Sangariosa. Ale nie o nas. Nie rozumiesz? Już nigdy więcej o Tiganie. Kto zaśpiewa o Micaeli pod gwiazdami nad morzem, kiedy my odejdziemy? Kto zostanie, żeby o tym zaśpiewać, kiedy wymrze jeszcze jedno pokolenie?

– Ja – odezwał się Devin z rękoma opuszczonymi po bokach.

Zobaczył, że Alessan podnosi głowę. Pasithea odwróciła się, by spojrzeć zimno na Devina.

– My wszyscy – powiedział tak stanowczo, jak tylko potrafił. Popatrzył na księcia, a potem

zmusił się do spojżenia na umierającą kobietę, miotaną niepokromionym poczuciem dumy. – Cała Dłoń jeszcze usłyszy tę pieśń, pani. Dlatego że twój syn nie jest tchórzem. Nie jest jakimś próżnym głupcem, szukającym szybkiej śmierci i płytkiej sławy. Próbuje osiągnąć coś większego i uda mu się to. Coś się wydarzyło tej wiosny i właśnie dlatego zrobi on to, co zaplanował: uwolni półwysep i przywróci światu imię Tigany.

Skończył, ciężko dysząc, jakby brał udział w wyścigu. Po chwili poczuł, że czerwienieje ze wstydu. Pasithea bren Serazi śmiała się. Szydziła z niego, a jej kruche, szczupłe ciało aż się trzęsło na fotelu. Jej wysoki śmiech zmienił się w kolejny atak kaszlu. Ponownie pojawiła się błękitna chustka, a kiedy księżna ją chowała, znów było na niej sporo krwi. Chwyła się poręczy fotela, żeby się uspokoić.

– Jesteś dzieckiem – oznajmiła w końcu. – Mój syn też jest dzieckiem mimo całej tej siwizny. Nie mam wątpliwości, że Baerd bar Saevar jest dokładnie taki sam, dysponując na dodatek tylko połową wdzięku i talentu swego ojca. „Coś się wydarzyło tej wiosny” – powtórzyła z okrutną dokładnością. Jej głos stał się twardy i zimny jak lód. – Czy wy, niemowlęta, macie jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się właśnie wydarzyło w Dłoni?

Jej syn powoli wstał z kolan.

– Jechaliśmy kilka dni i nocy. Nie słyszeliśmy żadnych wieści. O co chodzi?

– Mówiłem ci, że są wiadomości – powiedział szybko Danoleon. – Nie miałem jednak okazji, żeby ci je...

– Cieszę się – przerwała mu Pasithea. – Bardzo się cieszę. Wygląda na to, że wciąż mam coś do powiedzenia mojemu synowi, zanim opuścę go na zawsze. Coś, o czym się jeszcze nie dowiedział ani czego się sam nie domyślił. – Znów wyprostowała się z wysiłkiem. Jej oczy były zimne i jasne niczym kryształki lodu w świetle błękitnego księżyca, w jej głosie jednak pobrzmiwały usiłujące wydostać się na zewnątrz nuty szaleństwa i zagubienia. Nuty potwornego strachu, i to przed czymś więcej niż śmiercią.

– Wczoraj o zachodzie słońca, pod koniec Dni Żaru przybył posłaniec – powiedziała Pasithea. – Ygratheńczyk, jadący ze Stevanien z wiadomością z Chiary. Wiadomością tak pilną, że Brandin wysłał ją, posługując się czarnoksięskim połączeniem umysłów, do wszystkich swoich gubernatorów z poleceniem rozgłoszenia jej.

– A ta wiadomość brzmi? – Alessan zebrał się w sobie, jakby przygotowywał się na przyjęcie ciosu.

– Wiadomość? Owa wiadomość, moje nieudolne dziecko, to to, że Brandin właśnie abdykował jako król Ygrathu. Wysłał swoją armię do domu. Swoich gubernatorów też. Wszyscy, którzy zechcą z nim zostać, muszą się stać obywatelami tego półwyspu. Nowego dominium: Królestwa Zachodniej Dłoni, Chiary, Corte, Asoli i Dolnego Corte. Cztery prowincje pod rządami Brandina na Wyspie. Ogłosił, że jesteśmy uwolnieni spod władzy Ygrathu, że nie

jesteśmy już kolonią. Podatki będą teraz dzielone równo i zostały obniżone o połowę. Od wczoraj. Tutaj, w Dolnym Corte, zostały obniżone o wiele więcej niż o połowę. Nasze obciążenia będą teraz takie same, jak w innych prowincjach. Posłaniec powiedział, że mieszkańcy tej prowincji – ludzie, którymi rządził twój ojciec – wyśpiewują imię Brandina na ulicach Stevanien.

Alessan odwrócił się do Danoleona. Poruszał się bardzo ostrożnie, jakby dźwigał duży ciężar, który mógłby się przesunąć i upaść. Danoleon kiwał głową.

– Wygląda na to, że trzy dni temu na Wyspie doszło do próby zabójstwa – rzekł wysoki kapłan. – Plan narodził się w Ygrath, w głowach królowej i syna Brandina, regenta. Nie powiódł się jedynie dzięki jednej z jego kobiet, sprowadzonej w ramach daniny. Tej z Certando, która prawie wywołała wojnę. Może pamiętasz, dwanaście, czternaście lat temu? Wydaje się, że w rezultacie Brandin zmienił swoje plany. Nie względem pozostania w Dłoni czy Tigany i swojej zemsty, ale względem tego, co trzeba zrobić w Ygrath, jeśli ma ciągnąć swoje dzieło.

– A zamierza je ciągnąć – rzekła Pasithea. – Tigana umrze, zginie na zawsze w wyniku jego zemsty, ale nasz naród, umierając, będzie wyśpiewywał imię tyrana. Imię człowieka, który zabił twojego ojca.

Alessan odruchowo kiwał głową. Właściwie sprawiał wrażenie, jakby wcale nie słuchał, jakby nagle zamknął się w sobie. Pasithea zamilkła, patrząc na syna. W pokoju zapadła śmiertelna cisza. Z dworu, z daleka, znów dobiegły nieopanowane krzyki i śmiech bawiących się dzieci, tym głośniejsze, że w pokoju było tak cicho. Devin słuchał dźwięków tej odległej radości i usiłował uspokoić chaos panujący w jego sercu, jakoś poradzić sobie z tym, co właśnie usłyszeli.

Spojrzał na Erleina, który odłożył harfę na parapet i postąpił kilka kroków ku środkowi pokoju z wyrazem niepokoju na twarzy. Devin rozpaczliwie usiłował zebrać rozproszone myśli, ale wiadomość całkowicie go zaskoczyła. Uwolnieni spod władzy Ygrathu. Tego przecież chcieli, prawda? Nieprawda. Brandin zostawał, nie byli wolni od niego ani od ciężaru jego magii. A Tigana? Co teraz będzie z Tigana?

Wtem, zupełnie nieoczekiwanie, zaniepokoiło go coś jeszcze. Coś zupełnie innego. Rozpraszająca, natrętna świadomość kołatająca się w zakamarkach umysłu. Mówiąca mu, że jest coś, co powinien wiedzieć, co powinien pamiętać.

Nagle to coś, także bez ostrzeżenia, wskoczyło na swoje miejsce. Właściwie...

Właściwie Devin dokładnie wiedział, co jest nie tak.

Zamknął na chwilę oczy, walcząc z nagłym paraliżującym strachem. Potem, jak tylko potrafił najciszej, zaczął oddalać się wzdłuż zachodniej ściany od kominka, przy którym cały czas stał.

Mówił teraz Alessan, jakby do siebie:

– To oczywiście zmienia postać rzeczy. Wiele zmienia. Będę potrzebował czasu na przemyślenie, ale sądzę, że właściwie może nam to pomóc. Naprawdę może okazać się darem, a nie przekleństwem.

– Jak? Czy ty naprawdę jesteś niespełna rozumu? – warknęła jego matka. – Na ulicach Avaloru ludzie wyśpiewują imię tyrana!

Devin wzdrygnął się na tę dawną nazwę, na dźwięk rozpaczliwego bólu zawartego w tym wołaniu, ale zmusił się do dalszego ruchu. Wzrastała w nim przerażająca pewność.

– Słyszę cię i rozumiem, co mówisz. Ale czy ty niczego nie pojmujesz? – Alessan znów opadł na kolana przy fotelu matki. – Armia Ygratheńczyka wraca do domu. Jeśli będzie musiał wziąć udział w wojnie, to będzie zmuszony posłużyć się armią złożoną z naszych ludzi i tych nielicznych Ygratheńczyków, którzy z nim zostaną. Jak myślisz... och, matko!... jak myślisz, co zrobi Barbadorczyk w Astibarze, kiedy się o tym dowie?

– Nie robi nic – rzekła stanowczo Pasithea. – Alberico jest bojaźliwym człowiekiem, po szyję zaplątany w własne pajęczę sieci, które prowadzą do imperatorskiej tiary. Z Brandinem zostanie przynajmniej czwarta część ygratheńskiej armii. A ci śpiewający ludzie to najbardziej uciskani mieszkańcy półwyspu. Jeśli oni się cieszą, to co, według ciebie, dzieje się gdzie indziej? Nie potrafisz sobie wyobrazić, że w Chiarze, Corte i Asoli można by powołać armię do walki przeciwko Barbadorowi pod rozkazami człowieka, który zrzekł się własnego królestwa dla tego półwyspu? – Znów nadszedł atak kaszlu, wstrząsając jej ciałem jeszcze bardziej niż poprzednio.

Devin nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie próbował nawet się domyślać. Wiedział, że równowaga, o której Alessan od tak dawna mówił i którą od tak dawna manipulował, całkowicie się zachwiała. Wiedział także coś innego.

Stanął przy oknie. Parapet miał na wysokości swojej piersi. Był niedużym mężczyzną i nie po raz pierwszy tego żałował. Następnie podziękował za inne swoje zalety, króciutko pomodlił się do Eanny i położywszy dłonie na parapecie, mocno wypchnął się w górę, niczym gimnastyk, przerzucając ciało na portyk. Za sobą wciąż słyszał twardy, bolesny kaszel Pasithei. Danoleon coś zawołał.

Devin potknął się i upadł, uderzając ramieniem i biodrem w kolumnę. Odepchnął się od niej i wstał na tyle szybko, żeby zobaczyć, jak skulona pod oknem postać w beżowej szacie zrywa się do ucieczki, wściekle klnąc. Devin poszukał noża u pasa, ogarnięty ślepą, niweczającą wszelkie myśli wściekłością. Na placu zabaw rzeczywiście było za głośno. Tak jak poprzednio, kiedy kapłan zostawił chłopców samych.

Tylko że tym razem kapłan zostawił ich samych, żeby podsłuchiwać toczącą się w tym pokoju rozmowę.

Przy oknie pojawił się Alessan, a obok niego Erlein.

– Savandi! – wydyszał Devin. – Podsłuchiwał! – Wyrzucił z siebie te słowa przez ramię, bo

już biegł za kapłanem. Krótką chwilę poświęcił na dziękczynienie i zdumienie tym, co uzdrowiciel Rinaldo zrobił z jego nogą w certandańskiej stajni. Po chwili znów ogarnął go gniew, strach i poczucie absolutnej konieczności schwytania kapłana.

Przeskoczył kamienną balustradę na końcu portyku, nie zmieniając kroku. Biegący z całych sił Savandi zdążył ku zachodniemu krańcowi terenów sanktuarium. Z daleka, z lewej strony, Devin widział bawiących się chłopców. Zaciśnął zęby i pobiegł dalej. Ci przekłęci kapłani, pomyślał, dusząc się z wściekłości. Czy wszystko chcą zniszczyć, w tej właśnie chwili?

Jeśli w sanktuarium odkryto by tożsamość Alessana, to Devin nie wątpił, że Brandin z Ygrathu bardzo szybko się o tym dowie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, co się wtedy stanie.

Wtem zaatakowała go inna myśl, myśl przerażająca. Zmusił się do jeszcze większej szybkości. Nogi pracowały mu niczym tłoki, płuca z trudem chwytały powietrze. Połączenie umysłów. A jeśli Savandi potrafi połączyć się z królem? A jeśli szpieg Brandina potrafi bezpośrednio się z nim skontaktować w Chiarze?

Devin zaklął w głębi serca, nie na głos, oszczędzając oddech. Savandi, sam zręczny i szybki, minął w pędzie niewielki budynek z prawej strony ścieżki i ostro skręcił w prawo, jakieś dwadzieścia kroków przed Devinem, biegnąc wzdłuż tylnej części samej świątyni.

Devin minął róg. Savandiego nigdzie nie dostrzegł. Na chwilę zamarł, zdjęty paniką. Nie było tu żadnych drzwi prowadzących do świątyni, jedynie gruba bariera właśnie zaczynających się zielenić żywopłotów.

Wtem zobaczył, że w jednym miejscu krzaki drżą, i rzucił się w tym kierunku. Nisko przy ziemi była w nich przerwa. Devin padł na kolana i przecisnął się na drugą stronę, drapiąc sobie ręce i twarz o gałązki.

Znajdował się wśród klasztornych krużganków, na dużym, cudownie spokojnym, wdzięcznie zaprojektowanym dziedzińcu z szmerzącą pośrodku fontanną. Nie miał jednak czasu na kontemplację. W północno-zachodnim rogu krużganki przechodziły w kolejny portyk oraz długi budynek z niewielką kopułą na bliższym końcu dachu. Savandi wbiegał właśnie na stopnie portyku, po czym rzucił się przez drzwi do budynku. Devin spojrzał w górę. W oknie na drugim piętrze stał starzec o białych włosach i wpadniętych policzkach, który obojętnie patrzył w dół na zalany słońcem dziedziniec.

Ruszając pędem w kierunku drzwi, Devin zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. To był szpital, a niewielka kopuła to zapewne świątynia dla chorych, którzy szukali pociechy u Eanny, a nie mogli udać się na wyprawę do większej świątyni.

Pokonał trzy stopnie portyku jednym susem i wpadł w drzwi z nożem w ręku. Zdawał sobie sprawę, że podążając tak szybko za Savandim, stanowi łatwy cel, gdyby ścigany zdecydował się na niego zacząć. Nie sądził jednak, żeby tak było – co jedynie wzmogło jego strach.

Wydawało się, że Savandi oddala się od miejsc, gdzie mogliby się znajdować inni kapłani – od świątyni, kuchni, dormitorium czy refektarza. Oznaczało to, że nie liczy na pomoc, że w gruncie rzeczy nie ma nadziei na ucieczkę.

Oznaczało to z kolei, że jeśli Devin da mu wystarczająco dużo czasu, kapłan będzie próbował zrobić prawdopodobnie tylko jedną rzecz.

Drzwi wychodziły na długi korytarz i klatkę schodową prowadzącą na górę. Savandi zniknął, ale rzuciwszy okiem pod nogi, Devin zmówił króciutko dziękczynienie do Eanny: biegnąc przez wilgotny dziedziniec, kapłan ubłocił sobie buty. Jego ślady na kamiennej posadzce były wyraźne i prowadziły korytarzem, a nie po schodach.

Devin rzucił się tym tropem, wpadając poślizgiem w zakręt w lewo na końcu korytarza. Wzdłuż następnego korytarza znajdowały się w pewnych odstępach pokoje, a na jego drugim końcu chłopak dostrzegł sklepione wejście do małej szpitalnej świątyni. Większość drzwi było otwartych, większość pokoi pustych.

Natknął się jednak na jedne zamknięte drzwi. Prowadziły do nich ślady Savandiego. Devin chwycił klamkę i mocno naparł ramieniem na drewno. Zamknięte. Nieporuszone.

Ciężko dysząc, padł na kolana, żeby poszukać w kieszeni zwoju drutu, który zawsze miał przy sobie od chwili poznania Marry. Od czasu, kiedy nauczyła go wszystkiego, co powinien wiedzieć o zamkach. Rozwinął drut i usiłował nadać mu kształt, ale ręce mu się trzęsły. Pot zalewał mu oczy. Wytarł go wściekłym ruchem i usiłował się uspokoić. Musi otworzyć te drzwi, zanim znajdujący się w środku mężczyzna wyśle wiadomość, która ich wszystkich zniszczy.

Otworzyły się za nim jakieś zewnętrzne drzwi. Wzdłuż korytarza poniosło się dudnienie szybkich kroków.

Nie podnosząc wzroku, Devin powiedział:

– Ten, kto mnie dotknie lub mi przeszkodzi, zginie. Savandi jest szpiegiem króla Ygrathu. Znajdźcie mi klucz do tych drzwi!

– Gotowe! – usłyszał znajomy głos. – Otwarte. Idź! Obejrzał się błyskawicznie przez ramię i zobaczył stojącego z mieczem w ręce Erleina di Senzio.

Zrywając się na nogi, Devin jeszcze raz nacisnął klamkę. Drzwi stanęły otworem. Rzucił się do pokoju. Na półkach pod ścianami stały słoiki i fiołki, a na stołach leżały instrumenty medyczne. Savandi siedział na ławce pośrodku pokoju, wyraźnie usiłując się skoncentrować.

– Niech ci zgnije dusza! – wrzasnął Devin na całe gardło. Savandi jakby się ocknął. Wstał z dzikim warknięciem i sięgnął po skalpel leżący obok niego na stole.

Nie dosięgnął go.

Devin rzucił się na niego z krzykiem, lewą ręką mierząc w oczy kapłana. Prawą rękę wyrzucił w przód i w górę, wbijając Savandiemu nóż między żebra. Pchnął raz, a potem drugi, ciągnąc mocno w górę, czując, jak klinga przekreśla się i zgrzyta o kość. Poczuł mdłości. Usta

młodego kapłana otworzyły się, a jego oczy rozszerzyły w zdumieniu. Krzyknął, wysoko i krótko, wyrzucając ręce na boki. W tej chwili umarł.

Devin puścił go i padł na ławkę, walcząc o odzyskanie oddechu. W głowie pulsowała krew, czuł nabrzmiałą żyłkę na skroni. Przez chwilę miał problemy z oczami i Devin przymknął powieki. Kiedy je podniósł, zobaczył, że ręce wciąż mu drżą.

Erlein schował miecz do pochwy. Podeszedł do Devina.

– Czy... czy coś wysłał...? – Devin przekonał się, że nie może nawet normalnie mówić.

– Nie. – Czarodziej potrząsnął głową. – Zdażyłeś. Nie połączył się. Nie poszła żadna wiadomość.

Devin spojrział na puste, wytrzeszczone oczy, na ciało młodego kapłana, który chciał ich zdradzić. Jak długo?, pomyślał. Jak długo to robił?

– Jak się tu dostałeś? – zapytał Erleina ochryłym głosem. Ręce wciąż mu drżały. Wypuścił z ręki zakrwawiony nóż, który z hałasem upadł na stół.

– Wybiegłem z sypialni. Widziałem, dokąd biegliście, dopóki nie straciłem was z oczu za świątynią. Potem potrzebowałem magii. Wyśledziłem aurę Savandiego.

– Przedarliśmy się przez żywopłot i przecięliśmy dziedziniec. Próbował mnie zgubić.

– To oczywiste. Znowu krwawisz.

– Nieważne. – Devin głęboko zaczerpnął powietrza. W korytarzu na zewnątrz rozległy się kroki. – Dlaczego przybiegłeś? Dlaczego zrobiłeś to dla nas?

Erlein przez sekundę wyglądał, jakby chciał się bronić, ale szybko odzyskał sardoniczny wyraz twarzy.

– Dla was? Nie bądź głupcem, Devinie. Jeśli Alessan umrze, to umrę i ja. Jestem z nim związany, może pamiętasz? To była samoobrona. Nic innego.

Devin podniósł na niego wzrok, chcąc powiedzieć coś jeszcze, ale właśnie wtedy kroki dotarły do drzwi i do pokoju wszedł szybko Danoleon, a za nim Torre. Żaden z nich nie powiedział słowa, chłonąc widok.

– Próbował nawiązać kontakt umysłowy z Brandinem – powiedział Devin. – Erlein i ja dotarliśmy do niego na czas.

Erlein prychnął lekceważąco.

– To zasługa Devina. Musiałem jednak rzucić zaklęcie, żeby ich wyśledzić, a potem jeszcze jedno przy drzwiach. Nie sądzę, żeby były na tyle silne, by zwrócić na siebie uwagę, ale jeśli gdzieś w pobliżu znajduje się Tropiciel, to powinniśmy odjechać przed świtem.

Wydawało się, że Danoleon nawet go nie usłyszał. Patrzył na ciało Savandiego. Na policzkach miał łzy.

– Nie marnuj swego żalu na padlinożercę – powiedział ochryple Torre.

– Muszę – odparł miękko wysoki kapłan, opierając się na swej lasce. – Muszę. Nie

rozumiesz? Urodził się w Avelle. Był jednym z nas.

Devin gwałtownie odwrócił głowę. Zrobiło mu się niedobrze i poczuł kolejną falę palącej wściekłości, która go tu przygnała i popchnęła do tak gwałtownego zadania śmierci. „Był jednym z nas”. Pamiętał Sandre d’Astibar w leśnej chacie, zdradzonego przez własnego wnuka. Zaczął się poważnie obawiać, że zwymiotuje. „Był jednym z nas”.

Erlein di Senzio roześmiał się. Devin odwrócił się gniewnie do niego z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Musiał mieć w oczach mordercze błyski, bo czarodziej szybko otrzeźwiał, a kpina zniknęła z jego twarzy niczym starta ścierka.

Zapadło krótkie milczenie.

Danoleon wyprostował swą potężną postać i powiedział:

– Trzeba będzie załatwić sprawę ostrożnie, bo inaczej wszystko się rozniesie. Nie możemy dopuścić, żeby śmierć Savandiego wiązano z naszymi gośćmi. Torre, kiedy wyjdziemy, zamknij ten pokój, nie ruszając ciała. Zajmiemy się nim po zapadnięciu zmroku, kiedy wszyscy będą już spali.

– Jego nieobecność na kolacji zostanie zauważona – rzekł Torre.

– Nie. Jesteś odzwiernym. Zobaczysz go, jak późnym popołudniem będzie wyjeżdżał przez bramę. Pojedzie odwiedzić rodzinę. To pasuje, tuż po zakończeniu Dni Żaru i w świetle wiadomości z Chiary. Wyjeżdżał dość często i nie zawsze z moim pozwoleniem. Chyba teraz już wiem dlaczego. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek dojeżdżał do domu swego ojca. Tak się nieszczęśliwie dla Savandiego złoży, że tym razem zostanie zabity na drodze tuż po opuszczeniu naszej doliny.

W głosie wysokiego kapłana brzmiała twardość, jakiej Devin dotąd u niego nie słyszał. „Był jednym z nas”. Znowu spojrzął na martwego człowieka. Jego trzeci zabity. Tym razem było inaczej. Strażnik w stajni Nievolenich i żołnierz w wąwozie między wzgórzami robili to, po co przybyli do Dłoni. Byli lojalni względem swoich panów, niczego ze swej natury nie ukrywali, służyli swojej oczywistej sprawie. Żałował ich śmierci, żałował linii życia, które postawiły go na ich drodze.

Z Savandim było inaczej. Ta śmierć była inna. Devin zajrzał w swoją duszę i stwierdził, że nie potrafi żałować swego czynu. Z poczuciem prawdziwego niepokoju zdał sobie sprawę, że ledwo powstrzymuje się od ponownego zatopienia sztyletu w ciele trupa. Zupełnie jakby haniebna zdrada młodego kapłana, jego okraszone uśmiechem oszustwo uwolniło pokłady gwałtowności, o jaką Devin siebie nie posądzał. Prawie dokładnie tak, pomyślał nagle, jak zrobiła to Alienor z zamku Borso, w zupełnie odmiennej sferze życia.

A może, jeśli sprowadzić zagadnienie do jego istoty, nie tak zupełnie odmiennej. Było to jednak zbyt trudne, był to zbyt niebezpieczny węzeł, żeby próbować go rozplatać akurat teraz, w obliczu śmierci. Przypomniało mu to coś, uświadomiło mu nagle czyjaś nieobecność. Spojrzął

szybko na Danoleona.

– Gdzie jest Alessan? – zapytał ostro. – Dlaczego nie przyszedł za nami?

Zanim jednak otrzymał odpowiedź, już ją znał. Mogła być tylko jedna przyczyna, dla której księżę nie przyszedł.

Wysoki kapłan spojrzał na niego z góry.

– Jest wciąż w mojej komnacie. Ze swoją matką. Co prawda obawiam się, że może już być po wszystkim.

– Nie – powiedział Devin – och, nie.

Wstał, podszedł do drzwi, wyszedł na korytarz, a potem przez wschodnie wejście do szpitala na ukośnie padające światło późnego popołudnia. Znow zaczął biec.

Wzdłuż tylnej ściany świątyni, obok tego samego niewielkiego budynku i małego ogródka, którego przedtem nie zauważył, a potem ścieżką do domu wysokiego kapłana, na portyk między filary, jakby związał wydarzenia niczym kłębek wełny, do okna, przez które tak niedawno wyskoczył. Jakby mógł wrócić biegiem nie tylko obok Savandiego i obok ich własnego tu przyjazdu, ale do samego końca, z nagłą, szaloną tęsknotą do miejsca, gdzie z chwilą przybycia tyranów zostały zasiane ziarna tego żalu.

Czasu nie dało się jednak zwinąć, ani w sercu, ani w znanym im świecie. Płynął dalej, wszystko się zmieniało na lepsze lub gorsze, mijały pory roku, upływały godziny słonecznego dnia, zapadała ciemność i trwała aż do świtu, lata przemijały rok po roku, ludzie rodzili się, żyli z łaski Triady i umierali.

I umierali.

Alessan wciąż był w pokoju, wciąż na kolanach na prostym dywanie, ale teraz obok łóżka, a nie przy ciężkim fotelu z ciemnego dębu jak przedtem. Przesunął się on, przesunął się czas, słońce znalazło się dalej na zachód na łuku nieba.

Devin chciał wrócić biegiem przez minione chwile. Żeby Alessan nie został sam, nie w tej sytuacji. Pierwszego dnia w Tiganie od czasów dzieciństwa. Nie był już chłopcem; jego włosy pokryły się siwizną. Czas upłynął. Minęło dwadzieścia lat i Alessan znow był w domu.

A jego matka leżała na łóżku wysokiego kapłana. Alessan splótł ręce wokół jej dłoni, tuląc ją delikatnie. Tak się trzyma ptaszka, który umarłby ze strachu, gdyby ścisnąć go mocniej, ale odleciałby na zawsze, gdyby go wypuścić.

Devin musiał wywołać jakiś dźwięk przy oknie, bo księżę podniósł głowę. Ich oczy spotkały się. Devin czuł wewnętrzny ból, a smutek odebrał mu mowę. Czuł, że ma pokaleczone, osaczone serce. Czuł się zupełnie bezradny w takiej chwili. Żałował, że nie ma tu Baerda albo Sandre. Nawet Catriana wiedziałaby lepiej od niego, co robić.

– Tamten nie żyje – powiedział. – Savandi. Złapaliśmy go na czas.

Alessan skinął głową, przyjmując to do wiadomości. Potem znow opuścił wzrok na teraz już

spokojną twarz matki. Tak spokojną, jak prawdopodobnie nie była przez ostatnie długie lata życia. Czas płynął dla niej nieubłaganie, zabierając ze sobą pamięć, zabierając dumę. Zabierając miłość.

– Przykro mi – powiedział Devin. – Alessanie, tak mi przykro.

Książę znów podniósł głowę. Jego szare oczy były jasne, lecz straszliwie dalekie. Ścigały obrazy umykające w głąb czasu. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał. Po chwili wzruszył po swojemu ramionami, dając znak tym spokojnym, znajomym ruchem, że przyjmuje fakty, że bierze na siebie kolejny ciężar.

Devin nagle poczuł, że dłużej już tego nie zniesie. Ciche pogodzenie się Alessana z losem było niczym ostateczny cios w jego własne serce. Poczul się rozdarty, zraniony przez twarde prawdy świata, przez przemijanie. Opuścił głowę na parapet i rozplakał się jak dziecko w obliczu czegoś, co je przerasta.

W pokoju Alessan klęczał w milczeniu przy łóżku, trzymając w dłoniach rękę matki. Chylące się ku zachodowi popołudniowe słońce posyłało złociste promienie, które padały ukośnie z okna na podłogę, na niego, na łóżko, na leżącą tam kobietę, na złote monety przykrywające jej szare oczy.

Rozdział 16

Wiosna zawitała wcześniej do miasta Astibar. Prawie zawsze tak się działo na tym północno-zachodnim, osłoniętym krańcu prowincji, wychodzącym na zatokę i rozciągnięty łańcuch wysp Archipelagu. Na wschodzie i południu niczym nie zatrzymywane wiatry znad morza opóźniały początek okresu wegetacji o kilka tygodni i kazały mniejszym łodziom rybackim trzymać się blisko brzegu.

Senzio już kwitło, jak mówili kupcy w porcie Astibar, a tamtejsze powietrze przesycone zapachem białych kwiatów drzew sedzoi zapowiadało nadejście lata. Na Chiarze było podobno jeszcze zimno, ale tak się czasami zdarzało na Wyspie wczesną wiosną. Już niedługo wiatry znad Kahrdhunu ogrzeją otaczające ją powietrze i wody.

Senzio i Chiara.

Alberico z Barbadioru rozmyślał o nich całymi nocami i wstawał rano wciąż pogrążony w tych samych myślach. Podczas tych niespokojnych, męczących nocy nawiedzały go czasem złowieszcze, niepokojące sny.

Jeśli zima była dziwna, pełna drobnych wydarzeń i pogłosek, to wypadki wczesnej wiosny okazały się zupełnie inne. I nic w nich nie było drobnego, nic marginesowego.

Wszystko zdawało się dziać równocześnie. Po drodze z sypialni do leżącego poniżej gabinetu nastrój Alberico pogarszał się z każdym krokiem w obawie przed kolejnymi doniesieniami.

Okna pałacu już otwierano, by wpuścić łagodne powiewy wiatru. Dopiero niedawno zrobiło się dostatecznie ciepło, a poza tym przez większość jesieni i zimy na kołach śmierci ustawionych na placu gniły ciała. Ciała Sandrenich, Nievolenich, Scalvaiów. Tuzina wyrywkowo straconych poetów. Nie sprzyjało to otwieraniu okien. Było jednak konieczne, i lukratywne po konfiskacie ziemi konspiratorów; Alberico lubił, kiedy konieczność zbiegała się z zyskiem. Nie zdarzało się to często, ale gdy już do tego doszło, połączenie owo stanowiło dlań najczystsza przyjemność płynąca z władzy.

Jednak tej wiosny jego przyjemności były nieliczne i niewielkie, a zewsząd wyrastające nowe kłopoty sprowadziły zimowe wydarzenia do rozmiarów efemerycznych błahostek – niczym niewielkich zawirowań śniegu nocą. Teraz miał do czynienia z wezbranymi rzekami, i to wszędzie, gdzie spojrział.

Na samym początku wiosny w południowych górach wykryto czarodzieja, ale Tropicieła oraz dwudziestu pięciu ludzi, których Siferval rozkazał natychmiast za nim wysłać, wycięli w pień banici w jakimś wąwozie. Cóż za niewiarygodny akt buntu i arogancji.

Alberico nie mógł nawet wziąć odpowiedniego odwetu: mieszkańcy wiosek i gospodarstw

rozrzuconych w górach nienawidzili banitów tak samo lub nawet bardziej niż Barbadiorczy. Na dodatek stało się to w Noc Żaru, kiedy wszyscy przyzwoici ludzie siedzieli w domu i nikt nie widział, kto mógł się dopuścić tego niesłychanego czynu. Siferval wysłał z fortu Ortiz setkę ludzi w pościgu za banitami. Nie znaleźli ani śladu po nich. Jedynie dawno wystygłe ogniska wśród wzgórz. Zupełnie jakby tych dwudziestu pięciu żołnierzy zabiły duchy, jak prawdopodobnie już twierdzili górale. Miało to przecież miejsce w Noc Żaru, a wszyscy wiedzą, że w takie noce po świecie chodzą zmarli. Zmarli łaknący zemsty.

„Jak sprytnie postąpili ci zmarli, używając strzał ze świeżo założonymi piórami” – napisał uszczypliwie Siferval w swoim raporcie, wysyłając z wiadomościami na północ dwóch podkomendnych. Kiedy zobaczyli wyraz twarzy Alberico, cofnęli się, pobladłszy z przerażenia. To przecież Trzecia Drużyna pozwoliła zabić dwudziestu pięciu swoich ludzi, a potem wysłała kolejną setkę durniów, żeby jedynie budzili śmiech, wałęsając się po wzgórzach.

To doprowadzało do szału. Alberico musiał zwalczyć chęć podpalenia certandańskiej osady leżącej najbliżej tych wzgórz, ale wiedział, jak bardzo może mu coś takiego na dłuższą metę zaszkodzić. Zniweczyłoby to wszystkie korzyści płynące z surowej powściągliwości, jaką okazał w sprawie spisku Sandrenich. Tej nocy znów mu zaczęła opadać powieka, tak samo jak na początku jesieni.

Wkrótce potem nadeszły wieści z Quilei.

Po wstrząsającym upadku matriarchatu jakież nadzieje żywił co do tej prowincji. Był to taki olbrzymi, dojrzały nowy rynek, złota żyła dla Imperium. Co najważniejsze, rynek ten miał zostać wciągnięty w strefę wpływów Barbadioru przez niego, zawsze czujnego strażnika zachodnich rubieży Imperium, Alberico ze Wschodniej Dłoni.

Tyle wielkich nadziei i tak mało trudności. Nawet gdyby ten Marius, ten okaleczony zabójca kapłanki siedzący na chwiejącym się tronie, postanowił handlować jednocześnie z Ygrath, to nic nie szkodzi. Quileia jest wystarczająco rozległa, żeby obie strony znalazły tam bogactwa. Przez pewien czas. Wkrótce powinna zaistnieć możliwość przekonania tego dzikusa o rozlicznych korzyściach płynących ze zwrócenia się ku Barbadiorowi.

W trakcie ewolucji Imperium Barbadioru wyłoniło się sporo sposobów, sposobów uświęconych tradycją – jednych subtelnych, innych nieco mniej – by ludzie widzieli problemy w określonym świetle. Alberico miał też kilka własnych oryginalnych pomysłów na przekonanie drobnych królewiatek do pożytecznych poglądów. Po powrocie do domu zamierzał je wypróbować.

Po powrocie do domu jako imperator. Bo przecież o to chodziło. Tyle że wydarzenia wiosny zupełnie nie chciały się do tego nagiąć.

Marius z Quilei udzielił zadowolająco szybkiej odpowiedzi na łaskawą propozycję handlu. Posłaniec doręczył ją bezpośrednio Sifervalowi w forcie Ortiz.

Niestety, to krótkotrwałe zadowolenie całkowicie prysnęło, kiedy list dotarł do Astibaru, przywieziony na północ przez samego Sifervalą, który domyślił się jego wagi. Zawierał on ujęte w nieoczekiwane wyrafinowane słowa przesłanie, które choć uprzejme i oględne, było stanowcze i wyraźne: Quilejczyk, z żalem oceniał, iż Brandin z Ygrathu stanowi większą, silniejszą potęgę w Dłoni, a jako niedoświadczony jeszcze władca nie może ryzykować jego gniewu, handlując – chociaż bardzo by tego chciał – z Alberico, zaledwie wielmożą Imperium.

Był to list, który z łatwością mógł przyprawić człowieka o morderczą wściekłość.

Usiłując zachować panowanie nad sobą, Alberico zobaczył u swoich urzędników i doradców lękliwą nerwowość, a w oczach kapitana Trzeciej Drużyny nawet szybko ukryty strach. Następnie, kiedy Siferval podał mu drugi list, który, jak wyjaśnił, sprytnie polecił wydobyć z sakwy zbyt gadatliwego quilejskiego posłańca i skopiować, Alberico poczuł, że traci panowanie nad sobą.

Musiał się odwrócić, podejść do okien znajdujących się w przeciwległej ścianie gabinetu i wciągnąć kilka haustów powietrza, by uspokoić wrzący umysł. Czuł znów w prawej powiece znajome drżenie – to dygotanie, którego nie mógł się pozbyć od owej nocy, kiedy omal nie zginął w Lesie Sandrenich. Ściskając parapet szerokimi dłońmi niczym w żelaznym imadle, usiłował odzyskać spokój, który pozwoliłby mu starannie zważyć implikacje tej przechwyconej wiadomości. Chwilowy spokój okazywał się jednak iluzją, a myśli Alberico były tego słonecznego poranka czarne i spienione niczym rozszalałe morze.

Senzio! Quilejski głupiec chciał się związać z tymi rozwiązłymi marionetkami z dziewiętej prowincji! Było po prostu nie do uwierzenia, że ktoś, choćby nowicjusz na scenie świata, może być takim idiotą.

Stojąc tyłem do swych doradców i dowódców, patrząc pustym wzrokiem na zbyt jasny Wielki Plac, Alberico zaczął się nagle zastanawiać, jak to będzie wyglądało w oczach szerszego świata. W oczach tej części świata, która się liczy: imperatora oraz osób mających u niego posłuch, a uważających się za rywali Alberico. Jak zostanie odczytana ta wiadomość, jeśli Brandin z Ygrathu będzie intensywnie handlował z południem, jeżeli senziańscy kupcy będą radośnie żeglować wzdłuż Archipelagu i dalej za Tregeę do quilejskich portów i wszystkich bajecznych bogactw tej ziemi, tak długo trzymającej się na uboczu pod władzą kapłanek?

Gdyby Imperium jako jedyne nie otrzymało wstępu na ten nowy rynek... nie otrzymało wstępu, bo Alberico z Barbadoru został uznany za osobę zbyt słabo dzierżącą władzę w porównaniu z tym Ygratheńczykiem na zachodzie... Alberico zaczął się pocić – po boku pociekła mu zimna, mokra strużka. Poczuł w piersi ukłucie bólu spowodowane skurczem mięśnia w okolicy serca. Zmusił się do głębokiego oddychania, dopóki ból nie minął.

Nagle wydało mu się, że ze źródła tak wielkich obietnic wynurzył się sztylet, ostrzejszy i groźniejszy niż ten, którego mógłby dobyć jakiś jego wróg w Barbadorze.

Senzio. Rozmyślał i śnił o tej dziewiątej prowincji przez wszystkie te skute mrozem i zasypane śniegiem miesiące, poszukując w bezsenne noce sposobu na przełamanie impasu, na odzyskanie kontroli nad sytuacją, która coraz bardziej wydawała się nim kierować, miast poddawać się jego woli.

A działo się tak już w zimie, zanim jeszcze dotarła do niego ta wiadomość spoza gór.

Wkrótce potem, wraz z pierwszymi kwiatami w ogrodach Astibaru, pojawiło się jeszcze więcej podobnych wieści. W tym samym tygodniu dowiedział się, że ktoś próbował zabić Brandina z Ygrathu.

Próbował, ale mu się nie udało. Przez jedną błogą noc Alberico przeżywał we śnie wspaniałe sceny tryumfu. Przyjemność była tak wielka, że bez końca śnił o tym, jak to zabójca – było wiadomo, że posłużył się kuszą – dopiął swego. Byłoby to idealne rozwiązanie, przypadające w idealnym dla niego czasie, wspaniale współgrając z jego potrzebami. Musiałby to potraktować jako dar, jako promień łaskawego spojrzenia bogów Imperium padający na jego twarz. Cały Półwysep Dłoni należałby do niego w ciągu roku, a może nawet, w ciągu pół roku. Okaleczony monarcha Quilei, rozpaczliwie potrzebujący związków ze światem zewnętrznym, musiałby zgodzić się na takie warunki handlu, jakie Alberico zechciałby mu wtedy zaoferować.

A Imperium? W najgorszym wypadku byłoby jego w rok po tym wszystkim.

Mając tutaj taką nie zagrożoną pozycję, nie musiałby nawet czekać, aż schorowany imperator w końcu umrze. Mógłby popłynąć do domu ze swymi armiami jako zwycięzca i bohater ludu, obsypawszy go przedtem ziarnem, złotem i zalawszy rzeką wina z Dłoni, a na dodatek wszelkimi na nowo odkrytymi bogactwami Quilei.

Byłoby wspaniale. Przez tę jedną noc Alberico pozwolił sobie na marzenia, uśmiechając się we śnie. A potem się obudził, zszedł schodami do swego gabinetu, gdzie zastał czekających na niego z ponurymi minami wszystkich swych trzech dowódców. Był z nimi nowy posłaniec. Znów z zachodu, w dzień po poprzednim, przynosząc wieści, które rozbiły dwadzieścia lat utrzymywania równowagi w drobne, ostre kawałki, jakich już nigdy nie da się złożyć w poprzednią całość.

Brandin rzekł się tronu w Ygrath i ogłosił się królem Zachodniej Dłoni.

Na Chiarze, jak donosił posłaniec, trzęsąc się przed swym panem, zaczęto świętować w kilka godzin po tym oświadczeniu.

– A Ygratheńscy? – zapytał ostro Karalius z Pierwszej, chociaż właściwie nie miał prawa się odezwać.

– Większość z nich wróci do domu – odparł posłaniec. – Jeśli zostaną, będą musieli zostać obywatelami, zaledwie równoprawnymi obywatelami nowego królestwa.

– Mówisz, że odejdą do domu – odezwał się Alberico. Jego spokojne i ciężkie spojrzenie maskowało burzę emocji. – Wiesz to, bo tak ci powiedziano, czy tylko się domyślasz?

Posłaniec zszarzał na twarzy i wyjąkał coś o logice, oczywistych konsekwencjach i przewidywaniach wszystkich, którzy...

– Obciąć mu język, a potem zabić – powiedział Alberico. – Nie obchodzi mnie jak. Nakarmić nim zwierzęta. Moi posłańcy przynoszą mi wiadomości, których się dowiadują. Wszelkie wnioski wyciągam ja.

Posłaniec natychmiast zemdleł, padając bokiem na posadzkę. Było widać, że się zanieczyścił. Grancal z Drugiej Drużyny szybko nakazał gestem dwóm ludziom, żeby go wynieśli.

Alberico nawet na niego nie spojrzał. W pewnym sensie był zadowolony, że posłaniec odezwał się z taką zarozumiałością. Potrzebował pretekstu, żeby kogoś zabić.

Wykonał dwoma palcami gest, na co jego kamerdyner pośpiesznie wyprosił z sali wszystkich oprócz trzech dowódców. Co prawda żaden z pomniejszych urzędników nie wydawał się skłonny do pozostania w pomieszczeniu w tej akurat chwili. Tak właśnie powinno być. Nie dowierzał żadnemu z nich.

Nie darzył też pełnym zaufaniem swoich dowódców, ale ich potrzebował, oni zaś potrzebowali jego, a dbał o to, żeby ich ze sobą skłócić i skłonić do wzajemnej czujności. Taki układ działał znakomicie. Przynajmniej do niedawna.

Ważna była jednak chwila obecna, a Brandin właśnie pograżył półwysep w chaosie. Sama Dłoń jako taka co prawda się nie liczyła. Była to furtka, odskocznia. Alberico wyprowadził się z Barbadoru jako młody mężczyzna, aby nabrać znaczenia w świecie i wrócić jako przywódca w sile wieku; w dwudziestoletnim wygnaniu nie było najmniejszego sensu, jeśli nie będzie mógł wrócić do domu w tryumfie. W czymś więcej. W pełni władzy.

Odwrócił się plecami do dowódców i podszedł do okna, ukradkiem masując sobie oko. Czekał, żeby zobaczyć, kto odezwie się pierwszy i co powie. Narastał w nim strach, który bardzo starał się ukryć. Nic nie wychodziło, cała jego ostrożność i powściągliwość nie przydawała się na nic.

Bardzo cicho zza pleców Alberico odezwał się Karalius:

– Jest w tym pewna szansa, panie. Wielka szansa.

Były to dokładnie takie słowa, jakich się obawiał. Obawiał się, ponieważ wiedział, że to prawda, i ponieważ oznaczało to kolejny ruch, i to szybki ruch, zaangażowanie się w niebezpieczne, stanowcze działanie. Działanie tutaj, nie w Imperium, nie w domu, do którego szykował się wrócić. Oznaczało wojnę na tym dzikim, zatwardziałym półwyspie, gdzie dążąc do podboju, którego wcale nie chciał, mógł stracić wszystko.

– Lepiej postępujmy ostrożnie – odezwał się szybko Grancal. Alberico wiedział, że bardziej z chęci przeciwstawienia się Karaliusowi niż z jakichś innych pobudek. Zauważył jednak liczbę mnogą.

Odwrócił się i utkwiał w dowódcy Drugiej Drużyny lodowate spojrzenie.

– Zaiste, ja nie podejmę żadnych działań bezmyślnie – rzekł, wyraźnie akcentując zaimek. Grancial odwrócił wzrok. Siferval uśmiechnął się pod swym zakreconym blond wąsem.

Karalius był poważny. Zachował trzeźwy i zamyślony wyraz twarzy. Alberico wiedział, że jest najlepszy z całej trójki. A także najbardziej niebezpieczny, bo u takiego człowieka szło to w parze. Alberico obszedł swoje szerokie dębowe biurko i usiadł. Podniósł wzrok na dowódcę Pierwszej Drużyny i czekał.

Karalius odezwał się znowu:

– Szansa istnieje teraz. Na zachodzie powstanie zamęt, dezorganizacja, Ygratheńscy odpłyną do domu. Czy mam ci powiedzieć, co myślę? – Jego blada skóra zarumieniła się od rosnącego podniecenia. Alberico to rozumiał: człowiek ów dostrzegał własne szansę, ziemie i bogactwo dla siebie.

Błędem byłoby pozwolić Karaliusowi na wyjawienie zbyt wiele. Będzie myślał, że on to wszystko zaplanował. Alberico powiedział:

– Wiem dokładnie, co myślisz, znam słowa, które chcesz wypowiedzieć. Zamilcz. Wiem o wszystkim, co będzie się działo na zachodzie, z wyjątkiem jednego: ilu zostanie ygratheńskich żołnierzy. Domyślam się, że większość z nich będzie wolała odpłynąć, niż dać się zdegradować do poziomu ludzi, nad którymi przez te wszystkie lata mieli władzę. Nie przybyli tu po to, żeby zostać w Dłoni postaciami bez znaczenia.

– Podobnie jak my – odezwał się z naciskiem Siferval. Alberico po raz kolejny stłumił gniew. Wydawało się, że ostatnio był zmuszany przez nich robić to bardzo często. Mieli oni jednak własne cele, własne szeroko zakrojone plany, u których podłoża leżały bogactwo i sława. Musiało tak być w przypadku wszystkich ambitnych ludzi z Imperium, bo ku czemuż innemu powinien dążyć ambitny człowiek?

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział z największym spokojem, na jaki go było stać.

– A zatem co zrobimy? – zapytał Grancial. Było to prawdziwe pytanie, a nie wyzwanie. Grancial był najślabszy i najbardziej lojalny – właśnie z powodu tej słabości – z nich trzech.

Alberico podniósł wzrok. Na Karaliusa, nie na Granciala.

– Zbierzecie moje armie – powiedział z namysłem, chociaż serce biło mu przyśpieszonym rytmem. Czuł instynktownie, że jest to niebezpieczne i może oznaczać koniec wszystkiego. Wiedział też, że czas i bogowie rzucili ku niemu z nieba lśniący klejnot i że jeśli nie wykona ruchu, to go nie złapie. – Zbierzecie moje armie z wszystkich czterech prowincji i poprowadzicie je na północ. Mają być zmasowane jak najszybciej.

– Gdzie? – Oczywiście Karaliusa niemal lśniły w oczekiwaniu.

– Oczywiście w Ferraut. Na północnej granicy z Senzio. – Senzio, pomyślał. Dziewiąta prowincja. Klejnot. Pole bitwy. – Ile czasu wam to zajmie? – zapytał wszystkich trzech.

– Pięć tygodni, nie więcej – odparł szybko Grancial.

– Cztery – powiedział z uśmiechem Siferval.

– Pierwsza Drużyna – odezwał się Karalius – stanie na granicy za trzy tygodnie. Możesz na to liczyć.

– Liczę – powiedział Alberico i odprawił ich.

Potem przez dłuższy czas siedział samotnie przy biurku, bawiąc się przyciskiem do papieru, bez końca rozważając wszystkie aspekty swego posunięcia. Jakkolwiek jednak na nie patrzył, wszystkie kawałki zdawały się wchodzić na swoje miejsce. Można tu było zdobyć władzę, osiągnąć tryumf, prawie widział ten lśniący klejnot spadający przez powietrze, nad wodą, nad ziemią, wprost do jego wyciągniętej dłoni.

Działał. Tworzył wydarzenia, a nie dawał się im ponosić. Dopóki zachód nie otrząśnie się z chaosu, jego wróg będzie osłabiony, bardzo osłabiony. Wybór Quilei zostanie wymuszony i nie będzie żadnym wyborem. W przeddzień jego ostatecznej podróży do domu pokaże Imperium, co mogą sprawić jego czary i jego armie. Czas rzeczywiście oferował mu spadający z nieba klejnot, tylko czekający, by go schwycić. By go osadzić na czole.

Wciąż jednak czuł się nieswojo, osobliwie dziwnie, siedząc tak samotnie w coraz jaśniejszym świetle poranka i usiłując przekonać siebie samego o prawdziwości wszystkich tych promiennych obietnic. Czuł się bardziej niż nieswojo – miał sucho w ustach, a wiosenne słońce wydawało mu się prawie boleśnie ostre. Pomyślał, czy nie jest chory. Coś go gnębiło, niczym robak toczący w ciemności mroczne zakamarki jego umysłu. Zmusił się do stawienia temu czoła, do uczynienia ze swego ostrożnego rozsądku pochodni, która pozwoliłaby mu zajrzeć w głąb siebie i wypełnić przyczynę niepokoju.

I rzeczywiście ją dostrzegł. W tej samej chwili pojął, że nie można jej wypełnić ani nigdy się do niej nikomu przyznać.

Prawda bowiem, trująca goryczą prawda była taka, że Alberico się bał. W najgłębszych zakamarkach swej duszy śmiertelnie się bał tego drugiego człowieka. Brandina z Ygrathu, a teraz Brandina z Zachodniej Dłoni. Zmienił się tytuł, całkowicie zmienił się układ sił.

Prawda strachu była dokładnie taka sama, jak przez prawie dwadzieścia lat.

Po chwili Alberico wyszedł z komnaty i zszedł do podziemi, żeby zobaczyć, jaką śmiercią ginie posłaniec.

* * *

Alais wiedziała, dlaczego otrzymała ten bezprecedensowy prezent, jakim był rejs „Panna Morską” z ojcem pod koniec lata Selvena wychodziła za mąż.

Wczesną wiosną o rękę drugiej córki Rovigo poprosił Catini bar Edinio, którego ojciec był

właścicielem sporej posiadłości z plantacją oliwek i winnicami na północ od Astibaru oraz skromnego, lecz prosperującego domu bankowego w mieście. Rovigo, uprzedzony o tym przez córkę, zgodził się. Decyzję tę podjął między innymi dlatego, że Selvena często oświadczała, że skończy ze sobą, jeśli jesienią wciąż będzie mieszkała w domu z rodzicami jako kobieta niezamężna. Catini był poważny i miły, choć nieco nudny, a Rovigo lubił Edinio, z którym robił w przeszłości interesy.

Selvena szalała ze szczęścia, pomagając w przygotowaniach do ślubu, snując plany prowadzenia własnego domu – Edinio zaproponował młodej parze niewielki dom na wzgórzu nad winnicami – oraz, co podsłuchał Rovigo pewnego wieczoru, kiedy rozmawiała z młodszymi dziewczętami, spodziewając się przyjemności małżeńskiego łoża.

Cieszył się jej szczęściem i chętnie by przyśpieszył uroczystości ślubne. Jeśli przeżywał chwile smutku, które usiłował ukrywać, to przypisywał je naturalnym uczuciom człowieka, który widzi, że jego mała córeczka stała się kobietą wcześniej, niż był na to gotów. Widok jej, przygotowującej czerwoną rękawiczkę na noc poślubną, podziałał na Rovigo bardziej, niż się tego spodziewał. Odwracał się od rozszczebiotanej, jaśniejącej Selveny do wykwintnej, cichej, czujnej Alais i pośród panującej w domu gorączki przygotowań jego duszę dotykało coś na podobieństwo smutku.

Wydawało się, że Alix to wszystko rozumie, może nawet lepiej od niego. Żona nabrała zwyczaju poklepywania go po ramieniu w nieoczekiwanych momentach, jakby uspokajała nerwowe zwierzę.

Rovigo rzeczywiście się denerwował. Tej wiosny wieści z szerokiego świata były zaskakujące i miały olbrzymie znaczenie. Zmierzające do północnego Ferraut, ku granicy z Senzio, barbadiorskie oddziały zaczynały blokować drogi. Z nowo utworzonego Królestwa Zachodniej Dłoni nie nadeszła jeszcze na tę prowokację żadna wyraźna odpowiedź, a przynajmniej nie dotarła ona do Astibaru. Rovigo nie miał od czasu sprzed Dni Żaru wiadomości od Alessana, ale już dawno słyszał, że ta wiosna może oznaczać początek czegoś nowego.

I coś rzeczywiście wisiało w powietrzu, jakieś wrażenie przyśpieszenia i zmiany pasujące do atmosfery pączkującej wiosny, lecz wykraczające poza nią w niebezpieczeństwo i groźbę przemocy. Wydawało mu się, że słyszy to i widzi wszędzie, w kroku maszerujących armii i w ściszonych głosach ludzi w gospodach, którzy zbyt szybko podnosili głowy, gdy ktoś stawał w drzwiach.

Kiedy Rovigo obudził się pewnego ranka, miał pod powiekami obraz wielkich kawałów kry pokrywających całą rzekę. Widział coś takiego przed wieloma laty daleko na południu, podczas długiego rejsu wzdłuż wybrzeży Quilei. Leżąc teraz w łóżku, zawieszony między snem i jawą, zobaczył, jak lód pęka i wody rzeki znów zaczynają płynąć swobodnie, niosąc ze sobą do morza

zderzające się i kruszące kawały kry.

Tego samego ranka, stojąc w kuchni nad khavem, oznajmił, że wybiera się do miasta w sprawie wyekwipowania „Panny” na jej pierwszy w sezonie rejs do Tregei z towarem, może winem – może winem Edinio – które chce wymienić na całą ładownię wiosennej wełny i tregeańskiego koziego sera.

Była to nagła, ale słuszna decyzja. Zwykle pływał wiosną na południe, chociaż może nieco później, głównie w celach handlowych, a także po to, by zdobyć jak najwięcej wiadomości dla Alessana. Robił to od lat, odkąd poznał Alessana i Baerda, spędziwszy z nimi długą noc w gospodzie leżącej na południu. Wyszedł z niej przekonany o wspólnym pragnieniu płynącym z głębi duszy, poznawszy sprawę, której dojrzewanie mogło trwać całe jego życie.

Wiosenny rejs stanowił zatem część corocznego planu. Natomiast prawdziwie niespodziewana była propozycja, którą przedstawił między porannymi łykami khavu. Chciał zabrać ze sobą Alais.

Jego najstarszą, najmądrzejszą córkę, źródło jego dumy. Uważał, że jej urody nie mogą opisać żadne słowa. Nikt jeszcze nie poprosił o jej rękę. Chociaż wiedział, że Alais szczerze się cieszy razem z Selveną i wcale się nad sobą nie rozczuła, to ilekroć widział ją wśród rosnącego podniecenia towarzyszącego weselnym przygotowaniom Selveny, odczuwał pewien smutek.

Zapytał ją więc, nieco zbyt swobodnie, czy chce z nim popłynąć, na co Alix szybko podniosła zmartwione, ciemne oczy, Alais zaś jeszcze szybciej odpowiedziała z rzadką u niej żarliwością:

– Och, na Triadę, tak! Bardzo chciałabym popłynąć!

Tak się składało, że było to jej marzenie.

Jedno z najstarszych marzeń, o którego spełnienie nigdy nie prosiła, którego nawet głośno nie wypowiadała. Alais poczuła, że się rumieni. Zobaczyła, jak jej rodzice wymieniają spojrzenia. Czasami zazdrościła im tej wspólnoty spojrzeń. Nie padały wtedy żadne słowa, wydawało się, że wcale ich wtedy nie potrzebują. Potem Alais zobaczyła, jak jej matka kiwa głową, i odwróciła się na tyle szybko, żeby uchwycić uśmiech, który powoli rozlał się na twarzy ojca w odpowiedzi. Wiedziała już, a że po raz pierwszy w życiu popłynie „Panną” na morze.

Chciała wypłynąć w rejs od tak dawna, że nie potrafiła nawet przypomnieć sobie czasu, kiedy nie odczuwała tego pragnienia. Pamiętała, że kiedy była małą dziewczynką, na tyle lekką, że ojciec mógł ją podnieść, podczas gdy matka niosła Selvenę, zeszli raz do portu w Astibarze, by popatrzeć na nowy statek, który był kluczem do ich niewielkiej fortuny.

Tak bardzo jej się podobał. Trzy maszty – wydawały jej się wtedy takie wysokie – strzelające w niebo, galion na dziobie przedstawiający ciemnowłosą pannę, jasnoblękitna świeża farba na relingach, skrzypienie lin i drewna. I sam port: zapach smoły, sosny, ryb, piwa i sera, wełny, przypraw i skór. Turkot wozów wyładowanych towarem, jadących do jakiegoś miejsca

w znanym świecie lub przybywających z odległych miejsc, których nazwy były dla niej niczym magiczne zaklęcia.

Obok przeszedł wtedy jakiś marynarz w czerwono-zielonym stroju z małąką na ramieniu i ojciec przyjaźnie go pozdrowił. Ojciec czuł się tu jak u siebie w domu, znał tych ludzi i dzikie, egzotyczne miejsca, z których przybywali i do których wyruszali. Słyszała krzyki i nagły wybuch ochryplego śmiechu, głosy podniesione w pełnej przekleństwach kłótni o wagę tego czy cenę tamtego. Wtem ktoś krzyknął, że w zatoce są delfiny – to wtedy ojciec wziął ją na barana, żeby mogła je zobaczyć.

Alais pamiętała, że w całym tym zamęcie Selvena zaczęła płakać i zaraz trzeba było wracać do wozu i odjechać z portu, mijając czujnych, potężnych Barbadiorczyków, jasnowłosych mężczyzn siedzących na rosłych koniach, strzegących portu w Astibarze. Była za mała, żeby rozumieć, kim są, ale nagłe milczenie ojca, kiedy przejeżdżał obok nich, i jego twarz bez wyrazu coś jej powiedziały. Później dowiedziała się o wiele więcej, rosnąc w okupacyjnej rzeczywistości swego świata.

Jej miłość do statków i portu nie przeminęła. Gdy tylko mogła, wybierała się z Rovigo nad wodę. Łatwiej było zimą, kiedy wszyscy przeprowadzali się do miejskiego domu w Astibarze, ale nawet wiosną, latem i wczesną jesienią znajdowała preteksty, powody i sposoby na towarzyszenie mu do miasta i na nabrzeże, przy którym cumowała „Panna”. Chłoneła ten obraz, a w nocy śniła o otwierających się przed nią oceanach i słonej pianie zdmuchiwanej z fal.

Sny. Była kobietą. Kobiety nie wypływają na morze. A posłuszne, inteligentne córki nie kłopotują ojców, choćby prosząc o coś takiego. Wydawało się jednak, że czasami, w pewne zupełnie nieprzewidziane poranki Eanna mogła spojrzeć w dół i uśmiechnąć się spośród swych światła na niebie, i że można było dostać coś cudownego, o co się nigdy nie zabiegało.

Wyglądało, że jest dobrą żeglarką, z łatwością bowiem przywykła do kołysania statku na fali. Z prawej burty przesuwało się wybrzeże Astibaru. Płynęli na północ wzdłuż brzegu zatoki, a potem przedostawszy się przez wyspy Archipelagu, wypłynęli na otwarte morze. Rovigo i jego pięciu marynarzy prowadzili statek z łatwością, w której Alais dostrzegła i swobodę, i precyzję. Była rozradowana i przyglądała się wszystkiemu w tym nieznanym świecie z uwagą, co powodowało, że śmiali się i droczyli z nią. W ich żartach nie było jednak złośliwości – wszystkich pięciu znała przez większość swego życia.

Opłynęli północny czubek prowincji. Jeden z marynarzy nazwał owo miejsce przyłaskiem burz. Tego wiosennego dnia było jednak spokojnie i kiedy zawracali na południe, Alais stała przy relingu, patrząc na przesuwane się zielone wzgórza prowincji, schodzące do białego piasku wybrzeży usianych rybackimi wioskami.

W kilka nocy później od skał północnej Tregei rzeczywiście nadszedł sztorm. Rovigo dostrzegł go o zachodzie słońca lub wyczuł jego zapach w powietrzu, ale wybrzeże było tu

skaliste i groźne, nie dawało żadnego schronienia. Przygotowali się na uderzenie wiatru w należytej odległości od brzegu, aby nie wpaść na skały. Kiedy przyszedł szkwał, Alais znajdowała się pod pokładem w swojej kabine, żeby nie zawadzać mężczyznom.

Nawet taka pogoda, o czym się z ulgą przekonała, niezbyt jej przeszkadzała. Nie było nic przyjemnego w odczuwaniu własnym ciałem jęków i wstrząsów „Panny Morskiej”, miotanej w ciemności uderzeniami deszczu i wiatru, lecz Alais powiedziała sobie, że jej ojciec przetrzymał nieskończenie gorsze warunki w ciągu trzydziestu lat spędzonych na morzu i że ona sama nie da się zastraszyć czy zaniepokoić drobnemu wiosennemu sztormowi ze wschodu.

Nie omieszkała wrócić na pokład, gdy tylko poczuła, że wiatr i fale słabną. Wciąż padało i Alais naciągnęła na głowę kaptur płaszcz. Uważając, by nie przeszkadzać marynarzom w pracy, stanęła przy relingu i spojrzała w górę. Na wschód od nich szybko pędzące chmury odsłaniały skrawki czystego nieba i przez chwilę przedarło się przez nie światło Yidomniego. Później wiatr znacznie przycichł, deszcz przestał padać, rozwiały się chmury i Alais zobaczyła pojawiające się nad morzem niczym obietnica, niczym dar, jasne, dalekie gwiazdy Eanny. Zsunęła kaptur i potrząsnęła ciemnymi włosami. Głęboko zaczerpnęła świeżego, czystego powietrza i przeżyła chwilę niczym nie zakłóconego szczęścia.

Obejrzała się i zobaczyła, że patrzy na nią ojciec. Uśmiechnęła się do niego. Nie odwzajemnił uśmiechu, ale kiedy podchodził, dostrzegła w jego oczach czułość i powagę. Oparł się o reling obok niej, patrząc na zachód ku brzegowi. Włosy i krótka jeszcze broda lśniły mu od wody. Niedaleko powoli przesuwali się skały Tregei – ciąg mrocznych, zwartych brył przyprószonych blaskiem księżyca.

– Masz to w sobie – odezwał się cicho ojciec ponad pluskiem i szmerem fal. – W sercu i we krwi. Masz tego więcej niż ja, masz to od mojego ojca i od jego ojca. – Przez chwilę milczał, a potem powoli potrząsnął głową. – Ale, Alais, kochanie moje, kobieta nie może prowadzić życia na morzu. Nie w tym świecie.

Jej marzenie. Wyraźne i jasne jak lśnienie białego światła Vidomniego na falach. Ujawnione, a potem zniweczone w tak prostych słowach.

Przełknęła ślinę. Wypowiedziała długo ćwiczoną, nigdy nie wygłoszoną mowę:

– Nie masz synów. Ja jestem najstarsza. Czy oddasz „Pannę” i wszystko, dla czego pracowałeś, kiedy... kiedy już nie zechcesz prowadzić takiego życia?

– Kiedy umrę? – Powiedział to łagodnie, ale na jej sercu położyło się coś ciężkiego, bolesnego. Wsunęła mu rękę pod ramię i mocno się do niego przytuliła, opierając mu głowę na ramieniu.

W milczeniu obserwowali skały i grę białego światła na falach. Statek nigdy nie milczał, lecz Alais lubiła wydawane przez niego odgłosy. Przez ostatnich kilka nocy zapadała w sen, mając za kołysankę nie kończącą się litanię głosów „Panny Morskiej”.

Powiedziała, nie zdejmując głowy z ramienia ojca:

– Czy nie mogłabym się nauczyć? Myślę o pomaganiu ci w interesach. Nawet gdybym nie wypływała na morze.

Przez jakiś czas ojciec milczał. Oparta o niego, czuła jego spokojny oddech. Ręce splótł luźno na relingu.

– To można zrobić, Alais – rzekł. – Jeśli chcesz, można to zrobić. Kobiety prowadzą interesy w całej Dłoni. Najczęściej wdowy, ale nie tylko. – Zawahał się. – Sądzę, że twoja matka mogłaby ciągnąć moje dzieło, gdyby chciała, gdyby miała dobrych doradców. – Chciał na nią spojrzeć, ale ona wciąż opierała głowę na jego ramieniu. – Ale to jest twarde, zimne życie, moje kochanie. Dla kobiety, dla mężczyzny, bez ciepłego kominka pod koniec dnia. Bez miłości, która by cię wiodła i zaprowadziła z powrotem do domu.

Zamknęła oczy na te słowa. Trafiały w samo sedno problemu. Nigdy jej nie ponaglali, nie nękali pytaniami, chociaż miała prawie dwadzieścia lat i był już czas, było już dawno po czasie. A jej przez wiele nocy minionej zimy śnił się ten jeden dziwny sen: ona i jakaś cienista postać na tle księżyca, mężczyzna w jakimś wysoko położonym, nieznanym miejscu, wśród kwiatów, pod sklepieniem gwiazd, jego ciało opuszczające się na nią, jej ręce sięgające do niego.

Uniosła głowę, cofnęła rękę. Powiedziała, starannie odmierzając słowa i patrząc na fale:

– Lubię Catiniego. Naprawdę. Cieszę się szczęściem Selveny. Ona jest gotowa, chce tego od tak dawna i myślę, że on będzie dla niej dobry. Ale ja, ojczu, potrzebuję czegoś więcej, niż będzie miała ona. Nie wiem, co to jest, ale trzeba mi czegoś więcej.

Jej ojciec poruszył się. Patrzyła, jak głęboko wciąga powietrze, a potem powoli je wypuszcza.

– Wiem – usłyszała jego słowa. – Wiem, kochanie moje. Gdybym wiedział, co to jest, i gdybym mógł ci to dać, już byłoby twoje. Świat i gwiazdy Eanny byłyby twoje.

Rozplakała się wtedy, co rzadko jej się zdarzało. Kochała go jednak i sprawiła mu ból, a on właśnie dwa razy wspominał o śmierci, a biały blask księżyca na skałach i morzu po sztormie nie przypominał niczego, co dotąd znała czy kiedykolwiek pozna.

* * *

Wychodząc z kotlinki, Catriana nie widziała drogi, ale po dobiegających z dala odgłosach i pełnej napięcia, czujnej postawie stojących w trawie na granicy drzew Baerda i Sandre poznała, że coś jest nie w porządku. Już dawno temu doszła do wniosku, że w takich sytuacjach mężczyźni, w przeciwieństwie do kobiet, nie potrafią ukryć swoich uczuć.

Z włosami jeszcze mokrymi po kąpieli w stawie – było to jej ulubione miejsce, obok którego przejeżdżali za każdym razem, kursując między Ferraut i Certando – wdrapała się na stok, żeby

zobaczyć, co się dzieje.

Kiedy pojawiła się obok mężczyzn, żaden z nich nic nie powiedział. Wóz został sprowadzony z drogi w cień, a oba konie puszczono na trawę. Łuk i kołczan Baerda leżały pod drzewami w zasięgu jego ręki. Spojrzała na drogę i zobaczyła barbadiorskie oddziały, wzbijające wokół siebie gęstą chmurę pyłu.

– Kolejni żołnierze Trzeciej Drużyny – powiedział Sandre z zimnym gniewem w głosie.

– Wygląda na to, że wszyscy się ruszyli, prawda? – mruknął ponuro Baerd.

Świetnie, lepiej niż świetnie, właśnie tego chcieli. Gniew, ponury ton były prawie całkowicie nie usprawiedliwione, wydawały się instynktowną męską reakcją na bliskość wroga. Catriana miała ochotę potrząsnąć nimi oboma.

Doprawdy, to było takie jasne. Sam Baerd im to wyjaśnił, jej, Sandre oraz Alienor z Borso w dniu, kiedy Alessan spotkał się w górach z Mariusem z Quilei i pojechał z Devinem i Erleinem na zachód.

Słuchając go owego dnia ze spokojem, do którego zmusiła się w obecności Alienor, Catriana w końcu zrozumiała, co oznaczały słowa Alessana, że będą musieli poczekać do wiosny. Czekali, żeby Marius zgodził się albo odmówił. Żeby powiedział, czy zgodzi się zaryzykować dla nich własną, niezbyt mocno osadzoną koronę oraz życie. Owego dnia na przełęczy Braccio oznajmił, że tak. Baerd wyjaśnił im pokrótce dlaczego.

W dziesięć dni później wraz z Baerdem i Sandre czatowała wśród wzgórz pod fortem Ortiz. Drogą nadjechali wysłannicy z quilejską flagą. Wyjechali im na spotkanie Barbadiorczycy, powitali z wszelkimi honorami pod murami fortu i wprowadzili do środka.

Nazajutrz Quilejczycy pojechali dalej bez pośpiechu drogą na północ. W dwie godziny po ich odjeździe bramy fortu znów się otworzyły i wypadło z nich galopem sześciu jeźdźców. Jednym z nich – zauważył to Sandre – był sam Siferval, dowódca Trzeciej Drużyny.

– Stało się – powiedział wtedy Baerd z nabożną czcią w głosie. – To nie do wiary, ale chyba nam się udało!

Nieco później niż po tygodniu zaczęły się ruchy pierwszych oddziałów i wtedy zobaczyli, że Baerd miał rację. Dopiero jednak po kilku dniach, kupując rzeźby i gotowe materiały w wiosce rzemieślników w północnym Certando, dowiedzieli się z opóźnieniem, co zrobił w Chiarze Brandin z Ygrathu. Królestwo Zachodniej Dłoni.

– Jesteś hazardzistą? – zapytał Sandre Baerda. – Kości się toczą i nikt ich już nie powstrzyma ani nad nimi nie zapanuje, dopóki nie zatrzymają się same. – Baerd nic nie odpowiedział, ale coś bliskiego oszołomienia w jego oczach sprawiło, że Catriana podeszła do niego i ujęła go za rękę. Takie zachowanie wcale nie było do niej podobne.

Wszystko się jednak zmieniło albo właśnie się zmieniało. Od Dni Żaru i ich pobytu w zamku Borso Baerd nie był sobą. Coś się z nim tam stało, ale tego już im nie wyjaśnił. Alessana

i Devina nie było, i chociaż nie chciała się do tego przyznać, brakowało jej chłopaka prawie tak samo jak księcia. Nawet ich rola tu, na wschodzie, całkowicie się teraz zmieniła.

Czekali na wyżynie na wysłanników na wszelki wypadek, gdyby coś poszło źle. Teraz jednak Baerd utrzymywał szybkie tempo podróży z miasta do miasta i zatrzymywał się tylko po to, by porozmawiać z mężczyznami, a czasami kobietami, o których Catriana nigdy nawet nie słyszała. Mówił im, żeby byli gotowi, że w lecie może być powstanie.

Dla niektórych z nich, nielicznych, jedynie dla wybranej garstki, jego wiadomość była bardzo dokładna: Senzio. Udaj się na północ do Senzio, zanim nadejdzie pełnia lata. Jeśli i możesz, weź ze sobą broń.

Właśnie te ostatnie słowa najsilniej uświadomiły Catrianie fakt, że naprawdę nadszedł czas działania. Niedługo wszystko się zacznie. Nie będzie już nękania z ukrycia czy krążenia na krawędzi wydarzeń. Wydarzenia mają teraz ośrodek, którym jest lub wkrótce zostanie Senzio, a oni właśnie się tam udają. Nie wiedziała jeszcze, co się stanie. Jeśli Baerd wiedział, to nic nie mówił.

Powiedział natomiast jej i Sandre imiona ludzi.

Dziesiątki imion. Imiona, które przechowywał w pamięci, niekiedy przez dziesięć lat. Imiona ludzi, będących z nimi w tym dziele, którym należało zaufać. Którym trzeba było powiedzieć, tu, w prowincjach rządzonych przez Barbador, że ruchy wojsk Alberico są sygnałem, by przejść w stan gotowości. By obserwować rozwój wydarzeń i przygotować się do reakcji na nie. Nareszcie.

Siadywali razem wieczorem, wszyscy troje, wokół ogniska pod gwiazdami lub w odosobnionym kącie gospody w jakiejś osadzie czy wiosce, i Baerd podawał im imiona, które musieli poznać.

Dopiero trzeciego wieczoru, zasypiając, Catriana zdała sobie sprawę, że muszą je poznać na wypadek, gdyby Baerd zginął, a Alessan wciąż był na zachodzie.

– Ricaso bar Dellano – mówił Baerd. – Bednarz w Marsilian, pierwszej wiosce na południe od fortu Ciorone. Urodził się w Avalle. Nie mógł pójść na wojnę z powodu chromej stopy. Pomówcie z nim. Nie będzie sam mógł pójść na północ, ale zna innych w okolicy. Jeśli będzie trzeba powstać, roześle wiadomość i poprowadzi naszych ludzi w tym rejonie.

– Ricaso bar Dellano – powtarzała. – W Marsilian.

– Porrena bren Cullion. W Delonghi, tuż za granicą z Tregęą przy głównej drodze z Ferraut. Jest trochę starsza od ciebie, Catriano. Jej ojciec zginął nad Deisą. Wie, z kim pomówić.

– Porrena – mrucał Sandre w skupieniu, złożony razem kościste, powykrzywiane dłonie.
– W Delonghi. – A Catriana dziwiła się, ile jest tych imion, ilu istnień dotknęli Baerd i Alessan w czasie swych podróży przez ponad dziesięć lat od ich powrotu z Quilei, przygotowując siebie i tych nieznanym innym na jakiś okres, na jakąś chwilę w przyszłości – która właśnie nadeszła.

Której dożyli. Kiedy tak powtarzała sobie szeptem te imiona, jakby były jakimiś potężnymi zaklęciami, jej serce przepełniała nadzieja.

W ciągu następnych tygodni, kiedy wiosna wybuchnęła kwiatami, podróżowali niemal z szaleńczą szybkością, ledwo trzymając się swej roli kupców. Zawierali niekorzystne, pośpieszne transakcje w miejscach postoju, nie chcąc zatrzymywać się na dłużej, by targować się o lepsze ceny. Zatrzymywali się tylko po to, żeby znaleźć najważniejszą osobę w wiosce czy grupie gospodarstw, osobę, która zna innych i przekaże wiadomość dalej.

Tracili pieniądze, mieli jednak dość astinów od Alienor. Catriana, uczciwa wobec siebie, zdawała sobie sprawę, że wciąż z niechęcią przyjmuje do wiadomości rolę, jaką ta kobieta przez lata odgrywała w działaniach Alessana. Przez lata, kiedy ona sama rosła w nieświadomości jako dziecko z rybackiej wioski, w Astibarze.

Raz Baerd pozwolił jej nawiązać kontakt w mieście. Kobieta była tkaczką słynącą ze swych umiejętności. Catriana znalazła jej dom na skraju wioski. Obszczały ją dwa psy, ale uspokoił je łagodny głos dobiegający ze środka domu. Catriana zastała w nim kobietę tylko trochę młodszą od jej matki. Upewniła się, że są same, a potem, tak jak pouczył ją Baerd, pokazała swój pierścień z delfinem, wymówiła imię Alessana i przekazała wiadomość. Tę samą wiadomość dotyczącą gotowości, co wszędzie indziej. Następnie starannie wymówiła imiona dwóch mężczyzn i przekazała drugą wiadomość Baerda: „Senzio. Pełnia lata. Powiedz im, żeby w miarę możliwości byli uzbrojeni”.

Kobieta pobladła i gwałtownie wstała, gdy tylko Catriana zaczęła mówić. Była bardzo wysoka, wyższa nawet od Catriany. Po wysłuchaniu drugiej wiadomości przez chwilę trwała w bezruchu, po czym postąpiła do przodu i pocałowała Catrianę w usta.

– Niech Triada ma w opiece ciebie i ich obu – rzekła. – Nie sądziłam, że dożyję tego dnia. – Płakała. Catriana poczuła na wargach coś słonego.

Wyszła na słońce i wróciła do Baerda i Sandre. Właśnie sfinalizowali zakup tuzina baryłek certandańskiego piwa. Była to kiepska transakcja.

– Przecież jedziemy na północ, wy głupcy – zawołała z irytacją, ogarnięta chwilowo duchem handlu. – Przecież wiecie, że w Ferraut piwo nie idzie!

– No to będziemy musieli wypić je sami – odparł Sandre, ze śmiechem wsiadając na konia. Baerd, który śmiał się tak rzadko, ale który od ostatnich Dni Żaru tak bardzo się zmienił, też nagle parsknął śmiechem. Po chwili siedząca obok niego na wozie Catriana zawtórowała mu. Słuchała ich śmiechu, czując świeżość wiatru buszującego w jej włosach i, jak się wydawało, w jej sercu.

Tego samego dnia wczesnym popołudniem dojechali do kotlinki, którą tak lubiła. Baerd o tym pamiętał i zjechał z drogi, żeby Catriana mogła wykąpać się w stawie. Kiedy wyszła z kotlinki, żaden z mężczyzn już się nie śmiał ani nie był rozbawiony. Obserwowali

przeciągających drogą Barbadiorczyków.

Catriana była pewna, że kłopoty sprowadził sposób, w jaki stali jej towarzysze. Zanim jednak zdołała do nich dotrzeć, było za późno. To głównie wygląd Baerda przyciągał uwagę. Sandre w swoim khardhuńskim wcieleniu prawie wcale Barbadiorczyków nie interesował.

Natomiast kupiec, drobny handlarz z jednym wozem i zapasowym chudym koniem, który stoi i patrzy na przechodzącą armię w taki sposób, zimno, z arogancko uniesioną głową, bez śladu pokory czy poddaństwa, nie mówiąc już o odrobinie strachu, właściwego w takiej sytuacji...

Catriana pomyślała, że czasem mowa ciała daje się słyszeć nazbyt wyraźnie. Spojrzała na stojącego obok Baerda, który utkwił kamienne spojrzenie swych ciemnych oczu w idących oddziałach. Doszła do wniosku, że to nie arogancja, nie zwykła męska duma. Było to coś innego, coś starszego. Pierwotna reakcja na demonstrację siły tyrana, której nie mógł ukryć, tak jak nie mógł ukryć tuzina wiezionych na wozie baryłek piwa.

– Przestań! – szepnęła ostro. Jednocześnie usłyszała jednak, jak jeden z Barbadiorczyków rzuca krótki rozkaz. Od ruchomej kolumny oderwało się sześciu jeźdźców i przygalopowało do nich. Catrianie zaschło w ustach. Zobaczyła, że Baerd zerka w kierunku leżącego w trawie łuku. Poruszył się lekko, stając w lepszej równowadze. Sandre zrobił to samo.

– Co robicie? – syknęła. – Pamiętajcie, gdzie jesteśmy!

Na więcej nie miała czasu. Podjechali do nich olbrzymi Barbadiorczycy, patrząc z wysokości siodeł na mężczyznę i kobietę z Dłoni i na ten chudy, siwowłosy zabytek z Khardun.

– Nie podoba mi się twoja mina – powiedział dowódca, patrząc na Baerda. Włosy miał ciemniejsze od innych, ale jego oczy były jasne i twarde.

Catriana przełknęła ślinę. To było ich pierwsze w tym roku tak bezpośrednie spotkanie z Barbadiorczykami. Opuściła wzrok, wzywając w duchu Baerda do spokoju, do wypowiedzania właściwych słów.

Nie wiedziała jednak, bo nikt, kogo tam wtedy nie było, nie mógł tego wiedzieć, co Baerd widział w tej chwili.

Nie sześciu Barbadiorczyków na koniach przy drodze w Certando, lecz sześciu ygratheńskich żołnierzy na placu przed domem jego ojca dawno temu. Tyle lat, a pamięć wciąż świeża niczym wczorajsza rana. Wszystkie zwykłe miary czasu zdawały się w takich chwilach rozpadać i znikać.

Baerd zmusił się do odwrócenia wzroku pod spojrzeniem Barbadiorczyka. Wiedział, że popełnił błąd, wiedział, że jeśli nie będzie ostrożny, zawsze będzie go popełniał. Za bardzo poddał się euforii, dał się ponieść emocjom na widok tej maszerującej kolumny, która stawiała kroki w takt melodii granej przez niego i Alessana. Było jednak za wcześnie, o wiele za

wcześniej; przyszłość kryła w sobie tyle rzeczy nieznanych, od nich niezależnych. Musieli przeżyć, by ją ujrzeć, inaczej wszystko poszłoby na marne: całe lata, ludzkie istnienia, cierpliwe wyczarowywanie rzeczywistości z marzeń.

Powiedział cichym głosem, ze spuszczonego wzrokiem:

– Przepraszam, jeśli czymś uraziłem. Tylko się wam dziwowałem. Od lat nie widzieliśmy na drodze tyłu żołnierzy.

– Zjechaliśmy na bok, żeby zrobić miejsce – dodał Sandre swym głębokim głosem.

– Milcz – warknął dowódca. – Jeśli zapragnę rozmawiać ze służącymi, dam ci znać. – Jeden z żołnierzy podjechał do Sandre, zmuszając go do cofnięcia się. Pod stojącą za nim Catriana ugięły się nogi. Wyciągnęła rękę i chwyciła się poręczy wozu. Dłonie miała wilgotne ze strachu. Zobaczyła, że dwaj z Barbadiorczyków otwarcie taksują ją wzrokiem, nieprzyjemnie się uśmiechając. Uświadomiła sobie nagle, w jaki sposób ubranie musi przylegać jej do ciała po kąpieli w stawie.

– Wybacz nam – powtórzył stłumionym głosem Baerd. – Nie chcieliśmy zrobić nic złego.

– Naprawdę? Dlaczego nas liczyłeś?

– Liczyłem? Was? Dlaczego miałbym robić coś takiego?

– Ty mi to powiedz, kupcze.

– To nieprawda – zaprotestował Baerd, przeklinając się w duchu za amatorszczyznę i głupotę. Po dwunastu latach coś takiego! Sytuacja szybko wymykała się spod kontroli, a prawda była taka, że rzeczywiście liczył Barbadiorczyków. – Jesteśmy tylko kupcami – dodał.

– Tylko drobnymi kupcami.

– Z khardhuńskim wojownikiem dla ochrony? Chyba nie tak drobnymi.

Baerd zamrugał oczyma i z pokorą ścisnął dłonie. Popęłnił straszliwy błąd. Ten człowiek był niebezpiecznie bystry.

– Bałem się o żonę – powiedział. – Krążą plotki o banitach na południu, o wielkich niepokojach. – Było to prawdą. W pewnym wąwozie zginęło dwudziestu pięciu Barbadiorczyków. Był prawie pewien, że pojawił się tam i Alessan.

– O żonę czy o towar? – zapytał szyderczo któryś z pozostałych Barbadiorczyków. – Wiemy, co tacy jak wy cenią sobie bardziej. – Spojrzał przeciągle na Catrianę, a na jego twarz wypełził lubieżny uśmiezek. Reszta żołnierzy roześmiała się. Baerd szybko opuścił głowę – nie chciał, żeby dostrzegli czającą mu się w oczach śmierć. Pamiętał taki śmiech, jego brzmienie. Wiedział, do czego może on doprowadzić. Do czego doprowadził na placu w Tiganie przed osiemnastu laty. Milczał ze spuszczonego wzrokiem i mordem w sercu, związany pamięcią.

– Co wieziecie? – zapytał obcesowo pierwszy Barbadiorczyk.

– Piwo – odparł Baerd, ściskając dłonie. – Tylko baryłki piwa na północ.

– Piwo dla Ferraut? Jednak jesteś kłamcą. Albo głupcem.

– Nie, nie – rzekł pośpiesznie Baerd. – Nie dla Ferraut. Dostaliśmy bardzo dobrą cenę. Jedenaście astinów za baryłkę. Warto je zawieźć aż na północ. Jedziemy do Astibaru. Możemy tam je sprzedać za trzy razy tyle.

Co byłoby prawdą, gdyby nie zapłacił za każdą baryłkę po dwadzieścia trzy astiny.

Dowódca gestem nakazał dwóm swoim żołnierzom zejście z koni. Otworzyli jedną z baryłek, używając mieczy jako dźwigni. Otoczył ich cierpki, gęsty zapach certandańskiego piwa. Dowódca spojrzął w kierunku spieszonych żołnierzy, zobaczył, że kiwają głowami, i znów zwrócił się do Baerda. Na twarzy rozlał mu się złośliwy uśmiech.

– Jedenaście astinów za baryłkę? Zaiste dobra to cena. Tak dobra, że nawet chciwy kupiec nie zawaha się zaproponować tych baryłek armii Barbadioru, która broni ciebie i tobie podobnych.

Baerd właściwie się tego spodziewał. Starając się nie wypaść z roli, powiedział:

– Jeśli... jeśli tego pragniesz, to proszę. Czy... czy zechcesz je kupić zaledwie po cenie, jaką zapłaciłem?

Zapadło milczenie. Za sześcioma Barbadiorczykami drogą wciąż maszerowała armia. Prawie już ich minęła. Baerd ustalił liczbę żołnierzy z niezłym przybliżeniem. Wtedy mężczyzna na koniu przed nim dobył miecza. Baerd usłyszał jakiś cichy dźwięk, który wyrwał się Catrianie. Barbadiorek pochylał się nad szyją konia z wyciągniętą bronią i delikatnie dotknął brodatego policzka Baerda płazem miecza.

– My się nie targujemy – rzekł cicho – ani nie kradniemy. My przyjmujemy dary. Zaproponuj nam dar, kupcze. – Poruszył lekko mieczem. Baerd czuł, jak ostrze muska jego twarz.

– Przyjmij, proszę... przyjmij, proszę, od nas to piwo jako dar dla żołnierzy Trzeciej Drużyny – powiedział. Wzrok miał odwrócony od twarzy dowódcy, co przychodziło mu z wysiłkiem.

– Ach, dzięki ci, kupcze – odparł Barbadiorek z sarkazmem w głosie. Cofnął powoli miecz, ocierając go o policzek Baerda, jakby to była pieszczota. – A ponieważ dałeś nam te baryłki, to chyba nie pożałujesz nam konia i wozu, na którym je wieszysz?

– Weź też i wóz – usłyszał własne słowa Baerd. Nagle poczuł się tak, jakby opuścił swoje ciało. Jakby unosił się nad tą sceną, patrząc w dół.

I jakby z tego wysoko położonego, oderwanego punktu obserwacyjnego widział, że Barbadiorczyki zabierają im wóz. Zaprzęgli konia. Jeden z nich, młodszy od innych, zrzucił na ziemię ich tobołki i żywność. Obejrzał się nieśmiało na Catrianę, lekko speszony, po czym szybko wspiał się na kozioł i cmoknął na konia. Wóz potoczył się powoli, dołączając do wolno sunącego końca barbadiorskiej kolumny.

Pozostałych pięciu żołnierzy pojechało za nim, prowadząc konia powożącego żołnierza.

Śmiali się swobodnym, dźwięcznym śmiechem mężczyzn czujących się dobrze w swoim towarzystwie, pewnych swego miejsca w życiu i jego biegu. Baerd znów rzucił okiem na swój łuk. Był pewien, że zanim ktoś potrafi go powstrzymać, może zabić wszystkich sześciu, poczynając od dowódcy.

Nie poruszył się. Nie poruszył się nikt z nich, dopóki kolumna wojska nie zniknęła im z oczu, a wraz z nią jadący za nią wóz. Baerd odwrócił się wtedy i spojrzał na Catrianę. Drżała, ale znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że powodem tego jest tyleż strach, co gniew.

– Przepraszam – powiedział, sięgając ręką do jej ramienia.

– Mogłabym cię zabić za to, że tak mnie przeraziłeś.

– Wiem. A ja zasłużyłbym na śmierć. Nie doceniłem ich.

– Mogło być gorzej – rzekł prozaicznie Sandre.

– Owszem – odparła cierpko Catriana. – Mogliśmy wszyscy tu leżeć martwi.

– To rzeczywiście byłoby gorsze położenie – zgodził się z powagą Sandre. Chwilę trwało, zanim pojęła, że się z nią droczy. Ku swemu zdumieniu wybuchnęła śmiechem, choć pobrzmiwała w nim nuta hysterii.

Sandre powiedział wtedy coś zupełnie nieoczekiwanego:

– Nie masz pojęcia – mruknął – jak bardzo chciałbym, żebyś pochodziła z mojej krwi. Żebyś była moją córką, wnuczką. Pozwolisz mi być dumnym z ciebie?

Była tak zaskoczona, że nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi. Po chwili, głęboko wzruszona, podeszła do niego i pocałowała go w policzek. Sandre objął ją swym długim, kościstym ramieniem i na chwilę przytulił do piersi. Zrobił to ostrożnie, jakby była krucha albo bardzo cenna, albo i jedno, i drugie. Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś ją tak obejmował.

Sandre cofnął się, chrząkając z zakłopotaniem. Catriana spostrzegła, że Baerd patrzy na nich niezwykle u niego, miękkim wzrokiem.

– Wszystko to jest bardzo piękne – powiedziała rozmyślnie oschłym tonem. – Czy spędzimy tu resztę dnia, mówiąc sobie nawzajem, jak wspaniałymi ludźmi się sobie wydajemy?

Baerd pokazał w uśmiechu zęby.

– Niezły pomysł, ale nie najlepszy. Chyba będziemy musieli wrócić tam, gdzie kupiliśmy piwo. Potrzebujemy wozu i konia.

– Dobrze. Przydałaby mi się flaszka piwa – powiedział Sandre. Catriana szybko obejrzała się, uchwyciła błysk w jego oku i roześmiała się. Wiedziała, co robi Sandre, ale nigdy nie sądziła, że będzie się mogła śmiać tak szybko po przeżyciu widoku miecza przytkniętego do twarzy Baerda.

Baerd podniósł z trawy swój łuk i kołczan. Zarzucili sobie tobołki na plecy i zmusili ją do pojechania na koniu – Sandre powiedział, że tylko to będzie wyglądało naturalnie. Chciała się o to sprzeczać, ale nie miała sił. Była też w duchu wdzięczna za możliwość jechania na koniu –

wciąż miała miękkie nogi.

Po przejściu armii droga była bardzo zakurzona na odcinku kilku mil, więc trzymali się trawy na poboczu. Koń przestraszył królika i zanim Catriana zdążyła się zorientować, co się dzieje, Baerd ustrzelił go z łuku. Wkrótce wymienili go w gospodarstwie po drodze na dzbanek piwa, trochę chleba i sera, po czym znów ruszyli w drogę.

Pod koniec dnia, zanim powoli wrócili do wioski, Catriana przekonała samą siebie, że wypadek ten był niefortunny, ale właściwie zupełnie nieważny.

W osiem dni później znaleźli się w mieście Tregea. Przez ten cały tydzień nie widzieli już więcej żołnierzy, bo ich trasa wiodła z dala od głównych dróg. Zostawili nowy wóz z towarem jak zwykle w zaprzyjaźnionej gospodzie i poszli na główne targowisko. Było późne popołudnie ciepłego jak na wiosnę dnia. Patrząc na północ między budynkami w kierunku doków, Catriana widziała maszty pierwszych statków, które po zimie wpłynęły rzeką do portu. Sandre zatrzymał się przy straganie rymarza, żeby oddać do naprawy pas od miecza. Idącą te Baerdem przez zatłoczony plac Catrianę zobaczył starszy barbadiorski najemnik, lekko kulejący i prawdopodobnie pijany wiosennym winem. Wytoczył się z zajazdu i rzucił się na dziewczynę, sięgając niezdarnymi łapskami do jej piersi i między jej nogi.

Catriana wrzasnęła, bardziej zaskoczona niż przestraszona.

Po chwili całym sercem żałowała, że to zrobiła. Idący tuż przed nią Baerd odwrócił się w jednej sekundzie, zobaczył napastnika i z tą samą morderczą, odruchową szybkością, z którą zabił królika, powalił Barbadiorczyka na ziemię ciosem w skroń.

Catriana wiedziała – wiedziała to z absolutną pewnością – że Baerd uderza nie tylko pijanego strażnika rezerwy, ale i oficera, który tydzień temu dotknął go mieczem przy tamtym zagajniku w Certando.

Wokół nich zapanowała nagła, pełna przerażenia cisza, a potem nagle wybuchła wrzawa. Przez ułamek sekundy patrzyli na siebie.

– Uciekaj! – rozkazał chrapliwym głosem Baerd. – Spotkamy się wieczorem tam, gdzie zeszłej zimy wyszłaś z rzeki. Jeżeli nie przyjdę, działajcie dalej sami. Znacie imiona. Została ich już tylko garstka. Niech Eanna ma was w opiece!

Rzucił się biegiem przez plac tą samą drogą, którą przyszli, a w ich kierunku zaczęła się szybko przesuwać przez tłum rozwinięta w wachlarz grupka najemników. Mężczyzna leżący na ziemi nie ruszał się. Catriana nie czekała, żeby zobaczyć, czy żyje. Rzuciła się biegiem w przeciwnym do Baerda kierunku. Kątem oka zobaczyła, że obserwuje ich stojący przy straganie rymarza kompletnie zaskoczony Sandre. Rozpaczliwie się starała nie patrzeć na niego, nie biec w jego stronę. Żeby jedno z nich, och. Triado, dozwól, żeby choć jedno z nich uszło stąd z życiem, znając imiona i doprowadzając marzenie do płomieni pełni lata.

Pobiegła zatłoczoną ulicą, a potem ostro skręciła na pierwszym skrzyżowaniu w lewo

w płataninę wąskich uliczek stanowiących najstarszą dzielnicę Tregei nad rzeką. Nad jej głową pierwsze piętra domów wychylały się chwiejnie ku sobie, a jeśli jakimś promieniem słońca udało się przedrzeć przez tę zapórę, to i tak miejscami były całkowicie przesłonięte przez kryte mostki, które łączyły ze sobą rozpadające się domy po obu stronach ulicy.

Obejrzała się i zobaczyła, że goni ją z tupotem czterech najemników. Jeden z nich zawołał, żeby się zatrzymała. Catriana pomyślała, że gdyby którykolwiek z nich miał łuk, to prawdopodobnie zginęłaby w ciągu kilku następnych sekund. Robiąc uniki, skręciła w prawo w zaułek, a potem zaraz na pierwszym skrzyżowaniu znów w prawo, zawracając w kierunku, skąd przybiegła.

W Tregei na liście Baerda były trzy imiona. Catriana wiedziała, gdzie może znaleźć dwie osoby, ale żadną miarą nie mogła się do nich udać po pomoc z depczącymi jej po piętach Barbadiorczykami. Sama będzie musiała ich zgubić i zostawić sprawę kontaktu Sandre. Albo Baerdowi, jeśli przeżyje.

Zanurkowała pod powiewającym na wietrze czymś praniem rozwieszonym nad ulicą i skręciła w lewo, nad wodę. W wąskich uliczkach przepychali się ludzie, zerkając na nią z lekkim zaciekawieniem. Wiedziała, że za chwilę, kiedy zaczną się za nią przedzierać Barbadiorczyki, ich wzrok się zmieni.

Uliczki tworzyły beznadziejnie splątany labirynt. Nie była pewna, gdzie jest, wiedziała jedynie, że rzeka znajduje się na północ od niej – czasami migały jej najwyższe maszty statków. Nabrzeże będzie jednak niebezpieczne, za bardzo otwarte. Znów zawróciła na południe, wciągając powietrze wielkimi haustami. Usłyszała za sobą jakiś trzask, a potem kakofonię gniewnych okrzyków i przekleństw.

Potknęła się na kolejnym zakręcie w prawo. W każdej chwili, za każdym zakrętem spodziewała się, że te kręte uliczki, wyprowadzą ją wprost na jej prześladowców. Jeżeli się rozdziela, będzie to prawdopodobnie oznaczało jej koniec. Uliczkę zablokował wózek kołodzieja. Przywarła do ściany i przycisnęła się obok niego. Dotarła do kolejnego skrzyżowania. Tym razem pobiegła prosto, mijając pół tuzina dzieci skaczących ze skakankami. Na następnym skrzyżowaniu skręciła.

Ktoś mocno ją schwycił nad prawym łokciem. Zaczęła krzyczeć, ale natychmiast poczuła na ustach czyjąś dłoń. Odsloniła zęby, żeby ją ugryźć, gwałtownie się wyrывая. Wtem zamarła z zaskoczenia.

– Spokojnie, serce moje. Chodź tędy – powiedział Rovigo d’Astibar, zdejmując dłoń z jej ust. – Żadnego biegania. Są o dwie ulice dalej. Udawaj, że idziesz ze mną. – Trzymając ją za ramię, skierowali się szybko w wąziutką, prawie pustą uliczkę, następnie obejrzał się raz do tyłu, a potem pchnął ją lekko przez drzwi sklepu bławatnego.

– Schowaj się za ladą, szybko.

– Jak mnie...? – wydyszała.

– Zobaczyłem cię na placu. Pobiegłem za tobą. Ruszaj się, dziewczyno!

Ruszyła się. Jakaś stara kobieta ujęła ją za rękę i ścisnęła, po czym uniosła klapę na zawiasach. Catriana przemknęła pod nią i padła na podłogę za ladą. Po chwili kłapa znów się uniosła. Na widok groźnego cienia trzymającego coś długiego i ostrego, serce Catriany zamarło.

– Wybacz mi – szepnęła Alais bren Rovigo, klękając obok niej. – Mój ojciec mówi, że kiedy będziemy wychodzić, twoje włosy mogą cię zdradzić. – Uniosła trzymane w ręku nożyce.

Catriana na moment zeszytywniała, a potem, zamknąwszy bez słowa oczy, powoli odwróciła się plecami do Alais. Po chwili poczuła, jak czyjeś ręce zbierają i naciągają jej długie, rude włosy. Tuż nad jej ramionami szczęknęły w mroku długie, ostre nożyce do cięcia materiału, w jednej chwili odcinając włosy hodowane od dziesięciu lat.

Na zewnątrz dał się słyszeć hałas, stukot i ochryple krzyki. Przybliżył się, dotarł do ich drzwi, minął je. Catriana zdała sobie sprawę, że drży. Alais dotknęła jej ramienia, a potem nieśmiało cofnęła rękę. Po drugiej stronie lady stara kobieta krzątała się spokojnie w mroku zalegającym sklep. Rovigo nigdzie nie było widać. Catriana wciągała powietrze świszczącymi, nieregularnymi haustami i bolał ją bok – pewnie na coś wpadła, biegnąc jak oszalała. Nie pamiętała tego.

Na podłodze obok jej nóg coś leżało. Sięgnęła ręką i zebrała gęstą, rudą zasłonę swych obciętych włosów. Stało się to tak szybko, że właściwie nie zdążyła sobie zdać sprawy, co się dzieje.

– Tak mi przykro, Catriano – znów szepnęła Alais. W jej głosie brzmiał szczery żal. Catriana potrząsnęła głową.

– To nic... to mniej niż nic – rzekła. Trudno jej było mówić. – To tylko marność. Jakie to ma znaczenie? – Chyba płakała, Strasznie ją bolały żebra. Sięgnęła ręką do resztek swych włosów, a potem obróciła się nieco w bok, kuląc się za ladą na podłodze sklepu, i ze znużeniem oparła głowę na ramieniu Alais. Ta objęła ramionami szlochającą dziewczynę i mocno ją przytuliła.

Po drugiej stronie lady stara kobieta nuciła coś niemelodyjnie do siebie. Składała i sortowała materiały o wielu kolorach i równie wielu fakturach, pracując przy nikłym popołudniowym świetle przesączającym się na ulice w dzielnicy, gdzie nachylone ku sobie domy prawie całkowicie zasłaniały słońce,

* * *

Baerd leżał w półmroku na brzegu rzeki, wspominając, jak wielki panował tu chłód za ostatniej jego bytności, kiedy w zimowym zmierzchu czekał z Devinem na mającą przyplynieć wplaw Catrianę.

Zgubił pościg już kilka godzin temu. Bardzo dobrze znał Tregeę. Mieszkał tu z Alessanem po ich powrocie z Quilei z przerwami ponad rok, słusznie uznając tę dziką, górzystą prowincję za dobre miejsce do wykrycia i podsycania wszelkich powoli tłących się płomieni buntu.

Szukali głównie jednego człowieka, którego nie udało im się znaleźć, dowódcy oblężonego Borifortu. Odkryli jednak innych, rozmawiali z nimi i przekonali ich do swej sprawy. W ciągu minionych lat często tu wracali, do samego miasta i do gór jego distrady, odnajdując w surowym, prostym życiu tej prowincji siłę oraz wyraźne poczucie kierunku, co pomagało im przemierzać straszliwie kręte ścieżki ich życia.

Znał labirynt uliczek miasta nieskończenie lepiej od skoszarowanych tu Barbadiorczyków. Wiedział, na które domy można się szybko wdrapać, które dachy są ze sobą połączone, a których należy unikać jako niebezpiecznych ślepych uliczek. W życiu, które prowadzili, taka wiedza była bardzo ważna.

Wydostał się z placu od jego południowej strony, pobiegł na wschód, a potem wspiał się na dach ich starej gospody „Pod Laską Pasterza”, wybijając się do skoku z przylegającego do jej ściany ukośnego daszku nad stertą drewna. Pamiętał, że to samo zrobił przed laty, kiedy uciekał przed nocną strażą po zmroku. Skulił się i szybko przebiegł dwa dachy, a potem przeczołgał się na drugą stronę ulicy po jednym z owych chwiejnych, krytych mostków łączących stojące naprzeciwko siebie domy.

Coraz dalej za sobą słyszał odgłosy pościgu zatrzymywanego przez pozornie przypadkowe przeszkody. Domyślał się, jakie one mogły być: wózek mleczarza z obłuzowanym kołem, szybko zebrany tłumek obserwujący uliczną bijatykę, rozbita przy wtaczaniu do zajazdu beczka wina. Znał Tregeę, co oznaczało też znajomość ducha jej mieszkańców.

W krótkim czasie znalazł się daleko od placu targowego, pokonawszy całą odległość po dachach, przemykając lekko niby cień. Mógłby się może nawet i cieszyć tym pościgiem, gdyby nie bał się tak bardzo o Catrianę. Na wyżej położonych, południowych krańcach Tregei domy były wyższe, a ulice szersze. Pamięć go jednak nie zawiodła: wiedział, gdzie skręcić, żeby cały czas wchodzić wyżej, aż dotarł do domu, którego szukał, i wskoczył na jego dach.

Został na nim kilka minut, nasłuchując oznak alarmu z leżącej poniżej ulicy. Słyszał jedynie odgłosy zwykłego popołudniowego ruchu, wyjął więc ze starej kryjówki pod jedynym nadpalonym gontem klucz, otworzył płaską klapę w dachu i bezszelestnie ześliznął się na strych Tremazzo.

Opuścił za sobą klapę i zaczekał, aż oczy przyzwyczają mu się do ciemności. Wyraźnie słyszał głosy dobiegające z leżącej poniżej apteki i szybko wychwycił spośród nich charakterystyczny bas Tremazzo. Upłynęło już dużo czasu, ale pewne rzeczy nigdy się chyba nie zmieniały. Wokół siebie czuł woń mydła i perfum oraz cierpkie lub słodkie zapachy rozmaitych leków. Kiedy mógł już cokolwiek dojrzeć w mroku, znalazł sfatygowane krzesło, które

Tremazzo zawsze tu dla nich zostawiał, i usiadł na nim. Już sama ta czynność przywołała wspomnienia sprzed lat. Niektóre rzeczy się nie zmieniły.

W końcu głosy ucichły. Nasłuchując uważnie, Baerd słyszał już tylko charakterystyczny, ciężki krok jednej osoby. Pochylił się i poskrobał w podłogę, tak jak mógłby skrobać szczur na strychu. Szczur, który potrafił skrobnać trzy razy szybko, a potem jeszcze raz. Trzy razy dla Triady jako całości i jeszcze raz dla samego boga. Tregeę i Tiganeę łączyły pradawne więzy z Adaonem i ustalając swój sygnał, postanowili to podkreślić.

Usłyszał, jak kroki pod nim się zatrzymują, a po chwili podejmują miarowy rytm, jakby nic się nie stało. Baerd odchylił się spokojnie na oparcie krzesła.

Nie trwało to długo. Był już koniec dnia i tak czy owak zbliżała się pora zamknięcia sklepu. Baerd usłyszał, jak Tremazzo przeciera ladę i zamiata podłogę, a potem dobiegło go trzaśnięcie frontowych drzwi i stuknięcie zasuwanego rygla. Po chwili została ustawiona drabina, dały się słyszeć coraz bliższe kroki, uniosła się kłapa w podłodze i na strych wszedł, trzymając świecę, Tremazzo. Sapał z wysiłku, bo przybrał na wadze.

Postawił świecę na jakiejś skrzyni i stanął, wsparłszy się pod pulchne boki rękoma, patrząc na Baerda. Był doskonale ubrany, a czarną brodę starannie przyciął w szpic. I naperfumował, zorientował się Baerd po chwili.

Wstał z uśmiechem i wykonał gest w kierunku zbyt koczowniczo odzianej postaci, demonstracyjnie pociągając nosem. Aptekarz skrzywił się.

– Ci klienci – mruknął. – Taka dzisiaj moda. Tego się spodziewają w takim sklepie. Niedługo stoczmy się do poziomu Senzio. Czy to ty spowodowałeś taki zamęt po południu? – Tylko tyle, żadnego powitania, żadnej wylewności. Tremazzo nic się nie zmienił – zawsze chłodny i bezpośredni jak górski wiatr.

– Obawiam się, że tak – odparł Baerd. – Czy ten żołnierz zmarł?

– Gdzie tam – rzekł Tremazzo swym charakterystycznym, lekceważącym tonem. – Nie jesteś na tyle silny.

– Czy mówi się coś o schwyтaniu kobiety?

– Nie słyszałem. Kim ona jest?

– To jedna z nas, Tremazzo. Posłuchaj, mam nowe informacje. Musisz też znaleźć kharduńskiego wojownika i przekazać mu ode mnie wiadomość.

Kiedy Baerd zaczął mówić, oczy Tremazzo na chwilę się rozwarły, po czym zwięzły w skupieniu w miarę rozwoju opowieści. Wyjaśnienia nie zajęły dużo czasu. Tremazzo miał bystry umysł. Otyły aptekarz nie był człowiekiem, który sam by wyruszył na północ do Senzio, ale mógł dać znać innym ochotnikom. Powinno mu się też udać znaleźć Sandre w ich gospodarstwie. Zszedł po drabinie i sapiąc, wrócił z bochenkiem chleba, kawałkiem zimnego mięsa i flaszką dobrego wina do popicia.

Na chwilę zetknęli dłonie, a potem Tremazzo wyszedł szukać Sandre. Baerd siedział wśród rozmaitych przedmiotów zgromadzonych na strychu nad apteką, jadł, pił i czekał na zapadnięcie ciemności. Kiedy zyskał pewność, że słońce już zaszło, wymknął się na dach i ruszył na północ. Po chwili zszedł na ziemię i uważając na pochodnie straży, poszedł krętymi uliczkami na wschód do miejsca na skraju miasta, gdzie Catriana zimą wyszła po swym skoku z wody. Usiadł w trawie nad rzeką w prawie bezwietrznej ciemności i czekał.

Tak naprawdę nigdy się nie bał, że zostanie schwytyany. Zbyt długo już żył w ten sposób, mając zwinne i zahartowane ciało, wyostrzone zmysły, spostrzegawczy umysł i umiejętność wykorzystywania każdej nadarzającej się okazji.

Żadna z tych rzeczy nie wyjaśniała ani nie usprawiedliwiała tego, co zrobił, żeby ich w to wszystko wplątać. Jego impulsywny cios wymierzony pijanemu Barbadiorczykowi był aktem bezmyślnej głupoty, bez względu na fakt, że zarazem było to coś, co chciała kiedyś zrobić większość ludzi znajdujących się na tym placu. W dzisiejszej Dłoni tyranów albo się takie chęci tłumiło, albo się za nie umierało. Albo widziało się, jak i Umierają za nie bliscy.

Doprowadziło go to do Catriany. W tę usianą gwiazdami – Wiosenną noc pamiętał, jak niczym duch wynurzyła się z zimowej wody. Leżał cicho w trawie, rozmyślając o niej, a potem, i być może naturalną kolejną rzeczą, o Elenie. A później, zawsze i na zawsze, z nieuchronnością świtu, zmierzchu czy zmian pór roku, o Dianorze, która nie żyła lub zaginęła gdzieś w świecie.

Liście rosnącego za nim drzewa zaszeleściły, ale zbyt cicho, by go zaniepokoić, i po chwili zaczęła śpiewać trialla. Słuchał jej głosu i szmeru płynącej rzeki, samotny i swobodny w ciemności, mężczyzna ukształtowany i określony swą potrzebą samotności i milczącą grą wspomnień.

Tak się składało, że jego ojciec robił to samo nad brzegiem Deisy, w noc przed śmiercią.

Niedługo potem znad brzegu rzeki trochę na zachód od Baerda odezwała się sowa. Zahukał cicho w odpowiedzi, uciszając zarazem pieśń trialli. Sandre nadszedł niepostrzeżenie, ledwie znacząc swój ślad w trawie. Przykucnął, a potem stęknąwszy cicho, usiadł. Spojrzeli na siebie.

– Catriana? – mruknął Baerd.

– Nie wiem. Ale jej chyba nie złapali. Usłyszałbym. Kręciłem się po placu i w okolicy. Widziałem wracającą straż. Człowiekowi, którego uderzyłeś, nic się nie stało. Potem się z niego śmiali. Sprawa chyba przycichnie.

Baerd świadomie rozluźnił napięte mięśnie. Powiedział swobodnym tonem:

– Zauważyłeś, że czasami zachowuję się jak straszny głupiec?

– Nie bardzo. Będziesz mi musiał kiedyś o tym opowiedzieć. Kim był ten strasznie gruby człowiek, który mnie zagadnął?

– To Tremazzo. Jest z nami od dawna. Kiedy tu mieszkaliśmy, a także później, odbywaliśmy spotkania w jego magazynie na strychu.

Sandre stęknął.

– Podszedł do mnie przed gospodą i zaproponował sprzedaż eliksiru, który zapewni mi pożądanie każdej kobiety czy chłopca, jakiego zapragnę.

Baerd pokazał w uśmiechu zęby.

– Poprzedzają cię plotki o khardhuńskich obyczajach.

– Najwyraźniej. – W ciemności błysnęły białą zęby Sandre. – Zważ jednak, że podał dobrą cenę. Kupiłem dwie fiołki.

Śmiejąc się cicho, Baerd doznał dziwnego uczucia, jakby jego serce wyrywało się ku siedzącemu obok mężczyźnie. Przypomniał sobie Sandre w tę noc, kiedy się poznali, kiedy wszystkie jego starcze plany zostały zniweczone, kiedy dla całej rodziny Sandrenich nadszedł ostateczny, brutalny koniec. W noc, która skończyła się dopiero wtedy, gdy diuk dostał się za pomocą swej magii do lochów Alberico i zabił własnego syna. Tomasso. Każda kobieta czy chłopiec, jakiego zapragnę.

Baerd poczuł się przytłoczony siłą siedzącego obok starca. W ciągu ponad pół roku podróży w ciężkich warunkach, w przejmującym zimnie i po twardych, zimowych koleinach, Sandre ani razu nie poprosił o zrobienie postoju czy zwolnienie kroku. Ani razu nie uchylił się przed żadnym zadaniem, nie okazał zmęczenia, nie zwlekał ze wstawaniem o wilgotnym brzasku. Ani razu nie ujawnił wściekłości czy bólu, jaki musiał go dusić na każdą wieść o kolejnych ludziach ginących na kołach śmierci w Astibarze. Obdarzył ich tym wszystkim, co miał – swą znajomością Dłoni, świata, a szczególnie Alberico, doświadczeniem całego życia składającym się na jego subtelność i zdolności przywódcze, obdarzył ich tym bez cienia arogancji i bez reszty, niczego nie zachowując dla siebie.

Baerd pomyślał, że tacy właśnie ludzie byli chwałą i zgubą Dłoni przed jej upadkiem. Chwałą w potęgę ich władzy, zgubą w ich nienawiściach i wojnach, które doprowadziły do przybycia tyranów i zajęcia kolejno wszystkich prowincji, samotnych przez swą dumę.

Siedząc tak po ciemku nad rzeką, Baerd bar Saevar znów poczuł w głębi serca pewność, że to, co robi Alessan – co on robi z Alessanem – jest słuszne. Ze ich cel jest wart osiągnięcia: ta próba uczynienia z Dłoni całości, wypędzenia tyranów i związania prowincji we wspólnym trwaniu w mających nadejść latach. Cel wart wszystkich dni i nocy ludzkiego życia, bez względu na to, czy zostanie kiedykolwiek osiągnięty, czy kiedykolwiek da się go urzeczywistnić. Cel związany z tą inną wielką i pełną goryczy sprawą, którą była Tigana i jej imię.

Niektóre rzeczy przychodziły Baerdowi z trudem, właściwie były dla niego niemożliwe od czasu, kiedy w roku upadku Tigany została mu wydarta jego młodość. Podczas minionych właśnie Dni Żaru legł jednak z kobietą w miejscu najgłębszej magii i poczuł, jakby w owej zielonej ciemności rozluźniły się mocne więzy kępujące jego serce. To też było ciemne miejsce, spokojne miejsce nad rzeką, a w Dłoni zaczęły przybierać kształt wydarzenia, których mógł nie

dożyć. Tego się bał.

– Panie – odezwał się cicho do siedzącego z nim starego człowieka – czy wiesz, że pokochałem cię, będąc z tobą tyle czasu w drodze?

– Na Triadę! – powiedział Sandre, trochę zbyt szybko. – A ja nawet nie dałem ci tego eliksiru!

Baerd uśmiechnął się i nic nie powiedział, domyślając się więzów, które kępowały diuka. Po chwili jednak usłyszał słowa Sandre wypowiedziane zupełnie innym tonem:

– I ja ciebie, przyjacielu. Wszystkich was. Daliście mi drugie życie i jego cel. Nawet nadzieję, że przed nami może leżeć przyszłość warta poznania. Za to macie moją dozgonną miłość.

Z powagą wyciągnął dłoń i w ciemności obaj mężczyźni zetknęli się palcami. Siedzieli tak bez ruchu jakiś czas i po chwili usłyszeli plusk wody delikatnie zmaconej wiosłem. Wstali w milczeniu, sięgając po miecze. Wtedy dobiegł ich z rzeki głos sowy.

Baerd odpowiedział cicho i po chwili do stromego brzegu przybiła łódka, z której lekkim krokiem wyszła Catriana.

Na jej widok Baerd westchnął z prawdziwą ulgą – sam był zaskoczony, jak bardzo się o nią bał. W łódce został mężczyzna trzymający wiosła, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł i Baerd nie widział, kto to jest.

– Niezły cios. Czy powinno mi to pochlebiać? – zapytała Catriana.

Stojący z tyłu Sandre parsknął śmiechem. Baerd miał wrażenie, że serce mu stopnieje z dumy. Była taka spokojna, praktyczna w swej odwadze. Z trudem dostosowując głos do jej tonu, powiedział tylko:

– Nie powinnaś była krzyknąć. Pół Tregei myślało, że cię gwałcą.

– No cóż – rzekła sucho. – Wybacz mi. Nie miałam pewności.

– Co się stało z twoimi włosami? – zapytał nagle Sandre zza jego pleców i Baerd zobaczył, że rzeczywiście zostały niezbyt równo obcięte tuż nad jej ramionami.

Machnęła ręką z przesadną obojętnością.

– Przeszkadzały mi i postanowiliśmy je obciąć.

– Jacy my? – zapytał Baerd. Jakiejś części jego duszy było przykro z powodu sztucznej swobody zachowania dziewczyny. – Kto jest w łodzi? Zakładam, że przyjaciel, zważywszy na miejsce spotkania.

– Słuszne założenie – odpowiedział mężczyzna za siebie. – Chociaż muszę powiedzieć, że ja wybrałbym lepsze miejsce na zebranie naszej centralny.

– Rovigo! – mruknął Baerd ze zdumieniem i nagłą radością. – Cóż za szczęśliwy traf! Zbyt długo się nie widzieliśmy.

– Rovigo d’Astibar? – rzekł nagle Sandre, postępując do przodu. – To on?

– Wydawało mi się, że znam ten głos – powiedział Rovigo, składając wiosła i gwałtownie wstając z ławki. Baerd zbiegł nad wodę, by przytrzymać kołyszącą się łódkę. Rovigo postąpił dwa dokładnie odmierzone kroki i wyskoczył na brzeg. – Znam go, ale nie wierzę, że go słyszę. W imię Moriany od Portali, czy powstałeś z martwych, panie?

Jeszcze mówiąc, ukląkł w wysokiej trawie przed Sandre, diukiem Astibaru. Na wschód od nich, za ujściem rzeki do morza, wzeszedł Ilarion, posyłając swe błękitne światło nad wodę i falujące trawy na brzegu.

– W pewnym sensie tak – rzekł Sandre. – Zmieniwszy nieco skórę przy wydatnej pomocy Baerda. – Wyciągnął rękę i pomógł Rovigo wstać. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie.

– Alessan nic nie chciał mówić zeszłej jesieni, ale powiedział, że będę zadowolony, kiedy się dowiem, kto jest moim kolejnym współnikiem – szepnął Rovigo, wyraźnie wzruszony. – Miał więcej racji, niż sądził. Jak to możliwe, panie?

– Nie umarłem – rzekł po prostu Sandre. – Iluzja. Część spisku biednego, głupiego starca. Gdyby owej nocy Alessan i Baerd nie wrócili do chaty, to po odejściu Barbadiorczyków zabiłbym się. – Przerwał. – Co chyba znaczy, że za mój obecny stan muszę podziękować tobie, sąsiedzie Rovigo. Za liczne noce przez wiele lat spędzane pod moimi oknami. Za podsłuchiwanie naszych kiepskich intryg.

W ukośnie padającym błękitnym świetle księżycy dało się w jego oku widzieć błysk. Rovigo cofnął się nieco, ale głowę trzymał wysoko i nie odwracał wzroku.

– To było w znanej ci sprawie, panie – rzekł. – W sprawie, do której przystąpiłeś. Prędzej bym sobie odciął język, niż cię wydał Barbadiorowi. Chyba o tym wiesz.

– Wiem – odparł po chwili Sandre. – Niestety, nie mogę tego powiedzieć o własnych krewnych.

– Tylko o jednym – powiedział pośpiesznie Rovigo – a on już nie żyje.

– On już nie żyje – powtórzył Sandre. – Wszyscy nie żyją. Jestem ostatnim z Sandrenich. I co my w związku z tym zrobimy, Rovigo? Co zrobimy z Alberico z Barbadioru?

Rovigo nic nie powiedział. Odezwał się Baerd znad wody.

– Zniszczymy go – powiedział. – Zniszczymy ich obu.

CZEŚĆ V

Pamięć płomienia

Rozdział 17

W dzień obrzędu Scelto obudził ją bardzo wcześnie rano. Tę noc spędziła samotnie, jak należało, a wieczorem złożyła ofiary w świątyniach Adaona i Moriany. Brandin teraz pilnował, by widziano, że przestrzega wszystkich obrzędów Dłoni. Kapłani i kapłanki w świątyniach prawie się płaszczyli z wdzięczności. Dianora wiedziała, że w tym, co teraz robi, kryje się dla nich władza. Oni to też wiedzieli.

Spała krótko, niespokojnie i kiedy Scelto obudził ją delikatnym dotykiem i postawił pod ręką kubek z khavem, poczuła, że odbiega ją ostatni sen minionej nocy. Zamknęła oczy, jeszcze na wpół przytomna, i próbowała go schwytać, czując, że sen oddala się korytarzami jej umysłu. Próbowała uchwycić obraz, który powstrzymałby ucieczkę snu, i w chwili, kiedy już miał zblednąć i zaginać, przypomniała go sobie.

Usiadła powoli na łóżku i sięgnęła po khav. Objęła kubek obiema dłońmi, szukając ciepła. W pokoju nie było zimno, ale Dianora nagle przypomniała sobie, co to za dzień, i w sercu poczuła chłód, który wykraczając poza przecucie czegoś złego, ocierał się o pewność.

Kiedy Dianora była bardzo małą dziewczynką – miała wtedy może pięć lat, może nieco mniej – śniło jej się pewnej nocy, że tonie. Morze zamknęło się nad jej głową, a do niej zbliżyło się coś ciemnego, jakiś kształt, ostateczny i straszliwy, który chciał ją wciągnąć w mroczną głębię.

Obudziła się, chwytając powietrze. Krzyczała i rzucała się na łóżku, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

Zaraz pojawiła się przy niej matka, przytuliła ją do piersi, mrużąc coś i kołysząc ją, dopóki nie przycichł jej spazmatyczny szloch. Kiedy Dianora uniosła w końcu głowę, zobaczyła w blasku świecy, że ojciec też tam jest. Stał w drzwiach, trzymając na ręku Baerda. Zobaczyła, że braciszek też płacze, obudzony krzykiem dochodzącym do jego pokoju leżącego po przeciwnej stronie korytarza.

Ojciec uśmiechnął się wtedy, podszedł do niej z Baerdem na rękach i cała czwórka siedziała tak na łóżku Dianory w środku nocy, a świece rzucały wokół nich kręgi światła, tworząc wyspę w ciemności.

– Opowiedz, co ci się śniło – powiedział wtedy ojciec. Potem rzucał dłońmi śmieszne cienie na ścianę, a uspokojony i rozespany Baerd zasnął mu na kolanach. – Opowiedz mi swój sen, kochanie.

„Opowiedz mi swój sen, kochanie”. Na Chiarze, prawie w trzydzieści lat później, Dianora poczuła taki ból straty, jakby to wszystko wydarzyło się przed chwilą. Dnie, tygodnie, czas. Kiedy te świece w jej pokoju utraciły moc powstrzymywania ciemności?

Opowiedziała matce i ojcu, cicho, żeby nie obudzić Baerda, a w jej pośpiesznych słowach dawał się słyszeć powracający strach. Zamykające się nad nią wody, wciągający ją w głębinę kształt. Pamiętała, że matka uczyniła wtedy znak przeciw złu, by uwolnić prawdę snu i go odpędzić.

Następnego dnia przed otwarciem pracowni i rozpoczęciem codziennej pracy Saevar poszedł z obojgiem dzieci nad morze. Minęli port oraz bramy pałacu i znaleźli się na plaży, gdzie ojciec zaczął uczyć ich pływać w płytkiej zatoczce osłoniętej od fal i zachodniego wiatru. Kiedy Dianora zorientowała się, dokąd idą, myślała, że będzie się bać, ale kiedy był z nią ojciec, niczego tak naprawdę się nie bała. Oboje z Baerdem przekonali się, krzycząc z radości, że uwielbiają wodę.

Pamiętała – jakie dziwne rzeczy pamięta człowiek – że schylając się na płyciźnie owego pierwszego poranka, Baerd złapał gołymi rękoma zwinną rybkę. Oczy i usta zaokrągliły mu się komicznie ze zdumienia nad własnym osiągnięciem, a ojciec roześmiał się z dumą.

Tego lata każdego ładnego poranka wszyscy troje chodzili do zatoczki, żeby popływać, i zanim nadeszła chłodna i dżdżysta jesień, Dianora czuła się w wodzie jak ryba.

Pamiętała, że raz – i nie było to wcale zaskakujące wspomnienie – kiedy przechodzili obok pałacu, przyłączył się do nich sam książę. Odprawivszy swój orszak, Valentin poszedł z nimi do zatoczki i rozebrał się, by wskoczyć do morza obok ich ojca. Płynął prosto pod fale jeszcze długo po tym, jak Saevar zawrócił, minął cypel osłaniający zatoczkę i wypuścił się między grzywacze na pełnym morzu. Wtedy zawrócił i przypłynął do nich z uśmiechem jaśniejącym niczym u boga, z kropelkami wody lśnącymi na jego złocistej brodzie i twardym, szczupłym ciele.

Dianora od razu spostrzegła, choć była dzieckiem, że książę jest lepszym pływakiem od jej ojca. Wiedziała też, że właściwie nie ma to żadnego znaczenia. On był księciem i musiał być lepszy we wszystkim.

Jej ojciec i tak był najwspanialszym człowiekiem na świecie i nie zmieni tego nic, czego mogłaby się dowiedzieć.

Nic tego nie zmieniło, pomyślała, wolno potrząsając głową w saizanie, jakby próbując się uwolnić od lepkich pajęczyn wspomnień. Nic tego nie zmieniło. Chociaż może Brandin, w innym, lepszym świecie, w jego wymyślnym Finavirze...

Przetarła oczy i znów potrząsnęła głową, starając się w pełni obudzić. Nagle zadała sobie pytanie, czy tamtego straszego dnia nad Deisą ci dwaj, jej ojciec i król Ygrathu, spojrzeli sobie w oczy.

Była to tak bolesna myśl, iż Dianora przestraszyła się, że może się rozplakać. A to w niczym jej nie pomoże. Nie dzisiaj. Przez następne kilka godzin nikt, nawet Scelto – szczególnie Scelto, który zna ją zbyt dobrze – nie może dostrzec u niej niczego poza cichą dumą i pewnością

sukcesu. Następne kilka godzin. Ostatnie kilka godzin. Godziny, które zaprowadzą ją nad brzeg morza, a potem w głąb ciemnozielonych wód, które pokazała jej riselka. Zaprowadzą ją do miejsca, gdzie jej ścieżka nareszcie stanie się wyraźna, a potem, przynosząc ulgę mimo strachu i poczucia straty, dobiegnie wreszcie końca.

Wszystko rysowało się z taką prostotą od owej chwili, kiedy stanęła nad stawem w Królewskim Ogrodzie i zobaczyła obraz samej siebie wśród tłumów w porcie, a potem już samotnej pod wodą, przyciąganej ku kształtowi w ciemności, który nie był już źródłem dziecięcego strachu, lecz, nareszcie, wyzwoleniem.

Tego samego dnia Brandin powiedział jej w bibliotece, że abdykuje w Ygrath na rzecz Giralda, ale że jego żona Dorotea będzie musiała za swój czyn umrzeć. Powiedział, że prowadzi życie na oczach świata. Nawet gdyby chciał ją oszczędzić, tak naprawdę nie miał wyboru.

Brandin powiedział, że nie chce jej oszczędzić.

A potem mówił, co jeszcze zobaczył podczas porannej przejażdżki w mgłach Wyspy: wizję królestwa Zachodniej Dłoni. Powiedział, że on tę wizję urzeczywistni. Dla samego Ygrathu i dla tutejszych mieszkańców prowincji. Dla swej własnej duszy. I dla niej.

Powiedział, że pozwoli zostać tylko tym Ygratheńczykom, którzy zechcą stać się obywatelami jego czterech połączonych prowincji. Wszyscy inni będą mogli odpłynąć do domu, do Giraida.

On tu zostanie. Nie tylko dla Stevana i tego, co się stało z jego sercem po śmierci syna – to się nigdy nie zmieni – ale po to, by wybudować tu zjednoczone królestwo, świat lepszy od znanego dotychczas.

To się nigdy nie zmieni.

Dianora słuchała go i poczuła, że zaczynają jej po policzkach spływać łzy. Przysunęła się, by złożyć głowę na jego kolanach. Brandin gładził ją po włosach.

Powiedział, siedząc tak przy ogniu, że będzie potrzebował królowej.

Zrobił to głosem, jakiego nigdy przedtem u niego nie słyszała, głosem, o którym tak długo marzyła. Brandin powiedział, że chce mieć teraz w Dłoni synów i córki, żeby wszystko zacząć od nowa i budować na bólu po stracie Stevana, żeby z tych wszystkich lat smutku mogło powstać coś jasnego i pięknego.

A potem mówił o miłości. Przesuwając delikatnie rękoma po jej włosach, mówił o miłości do niej. O tym jak w końcu do jego serca dotarła prawda. Kiedyś sądziła, że o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że złapie i utrzyma w ręku księżycę, niż że usłyszy z jego ust takie słowa.

Nie mogła powstrzymać szlochu, bo w jego słowach wszystko się teraz zbiegało, widziała, jak wszystko się do siebie dopasowuje, a taka jasność i znajomość przyszłości to było zbyt wiele

dla śmiertelnej duszy. Dla jej śmiertelnej duszy. To było wino Triady i na dnie kielicha znajdowało się zbyt wiele goryczy i smutku. Widziała jednak riselkę, wiedziała, co nadchodzi, dokąd ich teraz zaprowadzi ta ścieżka. Przez jedną chwilę, przez kilka uderzeń serca zastanawiała się, co by się stało, gdyby te same słowa wyszeptał do niej zeszłego wieczoru, zamiast zostawiać ją samą w płomieniach wspomnień. Ta myśl bolała tak bardzo, jak nic przedtem w jej życiu.

Zapomnij!, chciała powiedzieć, tak bardzo chciała powiedzieć, że zagryzła wargę, by powstrzymać słowa. Och, kochanie moje, zdejmij czar. Pozwól wrócić Tiganie, a powróci całe piękno świata.

Nie powiedziała nic. Wiedziała, że nie może tego zrobić i wiedziała, bo nie była już dzieckiem, że łaski nie da się zdobyć tak łatwo. Gdyby nie upłynęło tyle lat, gdyby Tigana i Stevan nie byli tak ze sobą związani i tak głęboko zatopieni w bólu Brandina. Gdyby nie zrobił tego wszystkiego z jej domem. Gdyby żyli w innym świecie. Poza tym i ponad wszystko inne była riselka i ścieżka Dianory rysowała się coraz wyraźniej z każdym wyszeptanym przy ogniu Aowem. Czuła się, jakby wiedziała wszystko, co zostanie powiedziane, wszystko, co z tego wyniknie. I każda mijająca chwila prowadziła ich – widziała to niczym migotliwy obrazku morzu.

Została prawie jedna trzecia Ygratheńczyków. Brandin powiedział jej, że jest to więcej, niż się spodziewał. Stał, w dwa tygodnie później, na balkonie wychodzącym na port, obserwując wypłynięcie większości swej floty w rejs do domu, do jego byłego domu. Był teraz z własnej woli wygnancom, i to bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Powiedział jej też jeszcze tego samego dnia, że Dorotea nie żyje. Nie zapytała, jak zginęła ani skąd to wie. Wciąż nie chciała mieć do czynienia z jego czarnoksięstwem.

Wkrótce potem nadeszły jednak złe wieści. Barbadiorczycy zaczęli przemieszczać się na północ przez Ferraut i wszystkie trzy armie najwyraźniej kierowały się ku granicy z Senzio. Spostrzegła, że był zaskoczony szybkością rozwoju wydarzeń. Takie stanowcze posunięcie było zbyt niepodobne do ostrożnego Alberico.

– Coś musiało się tam stać. Coś go zmusza do działania – rzekł Brandin. – Chciałbym wiedzieć co.

Problem leżał w tym, że Brandin był teraz słaby i bezbronny. Potrzebował czasu i wszyscy o tym wiedzieli. Opuszczony przez większość ygratheńskiej armii, potrzebował czasu, by ustanowić w zachodnich prowincjach nową strukturę władzy, by zmienić pierwszą falę euforii spowodowaną jego decyzją w hierarchię poddaństwa, która stworzy prawdziwe królestwo. To pozwoli mu zebrać spośród pokonanego narodu, tak ostatnio ciemiężonego, armię do walki w jego imieniu.

Rozpaczliwie potrzebował czasu, a Alberico wcale mu go nie dawał.

– Mógłbyś posłać nas – powiedział kanclerz d'Eymon pewnego poranka, kiedy rozmiary kryzysu zaczęły się wyraźnie rysować. – Poślij tych Ygratheńczyków, którzy nam pozostali, i rozlokuj statki u wybrzeży Senzio. Przekonajmy się, czy to nie powstrzyma Alberico na jakiś czas.

Kanclerz został z nimi. Nigdy właściwie nie było co do tego wątpliwości. Mimo wszystkich jego zastrzeżeń – przez wiele dni po oświadczeniu Brandina wyglądał na chorego i starego – Dianora wiedziała, że d'Eymon swą najgłębszą lojalnością i miłością, chociaż wyparłby się niezręcznie tego słowa, obdarzył człowieka, któremu służył, a nie naród. Przeżywając te dni nieomal sparaliżowana podziałami we własnym sercu, zazdrościła d'Eymonowi tej prostoty.

Brandin stanowczo jednak odrzucił jego sugestie. Pamiętała wyraz jego twarzy, kiedy wyjaśniał swoją decyzję, podnosząc wzrok znad mapy i porozrzucanych kartek papieru pokrytych liczbami. Zebrali się we troje wokół stołu w salonie obok sypialni króla. Po przeciwnej stronie pokoju siedział na kanapie nerwowy, zatroskany Rhun. Król Zachodniej Dłoni wciąż miał swojego błazna, chociaż król Ygrathu miał teraz na imię Girald.

– Nie mogę zmusić ich, żeby walczyli sami – powiedział cicho Brandin. – Żeby ponosili cały ciężar obrony ludzi, z którymi właśnie ich zrównałem. To nie może być ygratheńska wojna. Przede wszystkim jest ich za mało, przegramy. Chodzi jednak o coś jeszcze. Jeśli wyślemy armię czy flotę, to musi się ona składać z nas wszystkich, inaczej to królestwo upadnie, nim zacznę je budować.

D'Eymon wstał od stołu, wyraźnie zdenerwowany.

– Muszę zatem powtórzyć, co powiedziałem już wcześniej: to jest szaleństwo. Twoim zadaniem jest wrócić do domu i tam zareagować na wydarzenia. Oni cię w Ygrath potrzebują.

– Nie sędzę, d'Eymonie. Nie będę sobie pochlebiał. Girald rządzi Ygrathem od dwudziestu lat.

– Girald jest zdrajcą i powinien zostać stracony razem ze swoją matką!

Brandin spojrział na niego z nagłym chłodem w szarych oczach.

– Czy musimy powtarzać tę dyskusję? Jestem tu z pewnego powodu i dobrze go znasz, d'Eymonie. Nie mogę się wycofać, bo sprzeciwiłbym się swojej naturze. – Wyraz jego twarzy zmieniał się, – Nikt nie musi ze mną zostawać, ale ja jestem związany z tym półwyspem przez miłość i ból, i przez moją naturę, i te trzy rzeczy mnie tu zatrzymują.

– Pani Dianora mogłaby pojechać z nami! Skoro Dorotea nie żyje, byłaby ci potrzebna w Ygrath królowa, a ona...

– D'Eymonie! Przestań. – Ton głosu był ostateczny, kończył dyskusję.

Kanclerz był jednak odważnym człowiekiem.

– Panie – ciągnął z zaciętą twarzą, cichym, pełnym napięcia głosem – jeśli nie wolno mi

o tym mówić, a ty nie chcesz wysłać naszej floty naprzeciw Barbadorowi, nie wiem, jak mam ci doradzać. Wiemy, że prowincje nie pójdą za ciebie na wojnę. Jest jeszcze za wcześnie. Potrzebują czasu, żeby się przekonać i uwierzyć, że jesteś jednym z nich.

– A ja nie mam czasu – odparł Brandin ze spokojem, który po tej pełnej napięcia wymianie zdań wydawał się nienaturalny. – Muszę więc natychmiast coś zrobić. Doradź mi, kanclerzu. Jak mam im pokazać? Jak mam ich skłonić do uwierzenia, że jestem prawdziwie związany z Dłonią?

A więc o to chodzi. Dianora poznała, że wreszcie nadeszła jej chwila.

Nie mogę się wycofać, bo sprzeciwiłbym się mojej naturze. Tak naprawdę nigdy nie żywiła żadnych złudzeń, że Brandin z własnej woli kiedykolwiek zdejmie zaklęcie. Zbyt dobrze go znała. Nie był typem człowieka, który wycofuje się ze swoich działań. To jego natura. W miłości, nienawiści i dumie.

Wstała. W uszach słyszała dziwny szum i była pewna, że gdyby zamknęła oczy, zobaczyłaby przed sobą ścieżkę, prostą i wyraźną niczym jasne światło księżyca kładące się na falach morza. Wszystko ją tam prowadziło, prowadziło ich wszystkich. On był bezbronny, odsłonięty i nigdy nie zawróci ze swej drogi.

Kiedy wstawała, w jej sercu zakwitł obraz Tigany. Nawet tu, nawet teraz – obraz jej domu. W głębi stawu riselki widziała tłum ludzi zgromadzony pod sztandarami wszystkich prowincji, a ona sama schodziła do morza.

Ostrożnie położyła ręce na oparciu krzesła i spojrzała na Brandina. W jego brodzie dostrzegала nitki siwizny, wydawało się, że za każdym razem więcej, lecz oczy miał takie jak zawsze i nie kryła się w nich obawa ani wątpliwości. Zaczerpnęła głęboko powietrza przed wypowiedzeniem słów, które zdawała się mieć gotowe od dawna, stów, które jakby czekały na tę chwilę.

– Ja to dla ciebie zrobię – rzekła. – Ja sprawię, że w ciebie uwierzą. Wykonam Nurkowanie po Pierścień wielkich diuków Chiary, jak robiło się to niegdyś przed przystąpieniem do wojny. Poślubisz morza półwyspu, a kiedy wyłowię dla ciebie z morza morski pierścień, zwiążę cię w oczach wszystkich ludzi z Dłonią i sprowadzę na ciebie szczęście.

Patrzyła mu pewnie w ciemne, czyste i spokojne oczy, wypowiadając w końcu po tylu latach słowa, które wprowadziły ją na tę końcową ścieżkę. Wprowadziły one na tę ścieżkę także jego, wprowadziły ich wszystkich, żywych i umarłych, znanych i utraconych. Kochając go rozdartym sercem, kłamała.

Dopiła khav i wstała z łóżka. Scelto odsłonił okna i Dianora zobaczyła, jak wschodzące słońce rozjaśnia ciemne morze. Niebo było bezchmurne. W porcie dostrzegła sztandary leniwie poruszające się w porannej bryzie. Mimo że uroczystość miała się rozpocząć dopiero za kilka godzin, zebrał się tam już olbrzymi tłum. Dużo ludzi spędziło noc na placu portowym, żeby zapewnić sobie dobre miejsce w pobliżu molo, z którego miała skoczyć Dianora. Wydało jej się,

że zobaczyła, jak ktoś – z tej odległości maleńka figurka – podnosi rękę, wskazując na jej okno, i szybko się cofnęła.

Scelto już przygotował dla niej ubranie, a właściwie rytualne szaty. Ciemna zieleń na drogę do portu: płaszcz i sandały, siatka na włosy i jedwabna tunika, w której będzie nurkować. Na potem, kiedy wyjdzie z morza, była inna szata – biała, bogato haftowana złotem. Wtedy będzie przedstawiać, nie, będzie oblubienicą, która wyszła z morza, trzymając w dłoni pierścień dla króla.

Kiedy wyjdzie z morza. Jeśli z niego wyjdzie.

Własny spokój nieomal ją zdumiewał. Właściwie było jej łatwiej, ponieważ zgodnie z rytuałem nie widziała Brandina od przedwczorajszego poranka, a wszystkie obrazy wydawały się cudownie wyraźne i płynnie doprowadziły ją do tej chwili, jakby ona sama nie podejmowała żadnych decyzji, a jedynie szła szlakiem wytyczonym gdzie indziej, dawno temu.

Było też jej łatwiej, bo w końcu w pełni zrozumiała i zaakceptowała fakt, że urodziła się w takim świecie i do takiego życia, które na zawsze złamie jej serce.

To nie Finavir ani żadne inne miejsce ze snów. To jedyne wycie, jedyny świat, jaki jej dano. W tym życiu Brandin z Ygrathu przybył na Półwysep Dłoni, by wykroić z niego królestwo dla syna, a Valentin di Tigana zabił Stevana, księcia Ygrathu. To już się stało i niczego nie da się cofnąć.

Z powodu śmierci syna Brandin z Ygrathu uderzył na Tiganę i jej naród i wydarł go ze znanej przeszłości, spośród wciąż przewracających się kart księgi świata. I zostawał tu, by na zawsze i nieodwołalnie przypieczętować prawdę w zemście za syna. To się już stało, nadal się działo i trzeba było to cofnąć.

Przybyła więc tu, by go zabić. W imieniu ojca, matki, Baerda i swoim własnym, za wszystkich zaginionych i zrujnowanych rodaków. Na Chiarze jednak ze smutkiem, z bólem i czcią odkryła, że wyspy rzeczywiście stanowią inny świat, że tu sprawy mają się inaczej. Już dawno przekonała się, że go kocha. A teraz z czcią, z bólem i zdumieniem zrozumiała, że i on ją kocha. Wszystko się już stało, ona próbowała to cofnąć, lecz bez powodzenia.

Jej życie od początku miało zostać złamane. Dianora widziała to teraz bardzo wyraźnie i w ostatecznym zrozumieniu znalazła źródło spokoju.

Życie niektórych ludzi jest nieszczęśliwe. Niektórzy mają szansę kształtować swój świat. Wydawało się – któż mógł przewidzieć przyszłość? – że o niej można powiedzieć obie te rzeczy.

O Dianorze di Tigana bren Saevar, córce rzeźbiarza, ciemnowłosej i ciemnookiej dziewczynce, niezgrabnej i niezbyt ładnej w dzieciństwie, poważnej, choć z błyskami dowcipu i czułości, która rozkwitła urodą później, a jeszcze później poznała mądrość. Poznała ją dopiero teraz – za późno.

Nic nie jadła, chociaż pozwoliła sobie na khav – ostatnie ustępstwo na rzecz wieloletniego

nawyku. Nie sądziła, żeby naruszała w ten sposób jakiś rytuał. Wiedziała także, że nie ma to znaczenia. Scelto pomógł jej się ubrać, a potem w milczeniu starannie zebrał i upiął Dianorze włosy, przykrywając je ciemnozieloną siatką, by nie zakryły oczu, kiedy będzie nurkowała.

Gdy skończył, Dianora wstała i jak zwykle przed wyjściem na zewnątrz poddała się jego ocenie. Słońce już wzeszło, zalewając komnatę mocnym blaskiem. Z portu dochodził coraz głośniejszy hałas. Pomyślała, że tłum musi być już ogromny, ale nie podeszła do okna, żeby to sprawdzić. Zobaczy go niedługo. W pomruku głosów czuło się wyczekiwanie, które dobitniej niż cokolwiek innego świadczyło o stawce, o jaką dziś rano toczyła się gra.

Półwysep. Dwa oddzielne dominia. Może nawet samo Imperium Barbadioru, którego imperator, jak wszyscy wiedzieli, jest umierający. I jeszcze jedna rzecz, chociaż o niej wiedziała tylko Dianora: Tigana. Ostatnia tajna moneta na stoliku, ukryta pod kartą położoną w imię miłości.

– Dobrze wyglądam? – zapytała Scelto wymuszenie swobodnym tonem.

Nie podjął go.

– Przerażasz mnie – odparł cicho. – Wyglądasz, jakbyś już nie należała do tego świata. Jakbyś nas już zostawiła daleko za sobą.

To niesamowite, jak łatwo potrafił ją przejrzeć. Bolało ją, że musi go oszukiwać, że nie będzie go miała przy sobie w tej ostatniej sprawie, ale nie mógłby jej pomóc i nie było powodu, żeby sprawiać ból jemu, a przy tym kazać mu ponosić ryzyko.

– Nie jestem pewna, czy to komplement – powiedziała wciąż lekkim tonem – ale spróbuję to tak potraktować. Nie chciał się uśmiechnąć.

– Chyba wiesz, jak mi się to nie podoba – zauważył.

– Scelto, za dwa tygodnie na granicy z Senzio stanie cała armia Alberico. Brandin nie ma wyboru. Jeśli wejdą do Senzio, to wcale się tam nie zatrzymają. To dla niego najlepsza okazja, prawdopodobnie jedyna okazja związania się z Dłonią na czas. Przecież to wiesz. – Zmusiła się do lekkiego zniecierpliwienia.

Mówiła całą prawdę. Nic jednak z tego nie było tą właściwą prawdą. Była nią riselka owego ranka i sny, które Dianora śniła w samotności przez wszystkie lata przebywania w saizanie.

– Wiem – rzekł Scelto, wyraźnie zatroskany. – Oczywiście, że wiem. A to, co myślę, nie ma żadnego znaczenia. Tylko że...

– Proszę cię! – zawołała, żeby go powstrzymać, zanim doprowadzi ją do łez. – Nie sądzę, żebym mogła o tym teraz z tobą dyskutować, Scelto. Idziemy? – O mój drogi, myślała. O Scelto, jeszcze mnie zgubisz.

Zatrzymał się, zraniony jej wyrzutem. Zobaczyła, że przetyka ślinę i ma opuszczone oczy. Po chwili podniósł wzrok.

– Wybacz mi, pani – szepnął. Postąpił krok do przodu i nieoczekiwanie ujął jej dłonie

i przycisnął je do ust. – Mówię tylko przez wzgląd na ciebie. Boję się. Proszę o wybaczenie.

– Oczywiście – rzekła. – Oczywiście. Nie ma tu nic do wybaczenia, Scelto. – Lekko ścisnęła jego rękę.

W sercu jednak żegnała się z nim, wiedząc, że nie wolno jej płakać. Patrzyła w jego uczciwą, zatroskaną twarz, twarz najszczerzego przyjaciela, którego miała przez tyle lat, właściwie jedyne prawdziwego przyjaciela od czasu dzieciństwa, i wbrew wszelkiej nadziei pragnęła, by w przyszłości pamiętał uścisk jej dłoni, a nie swobodne, ostre brzmienie jej głosu.

– Chodźmy – powiedziała i odwróciła od niego twarz. Ruszyła w długą drogę wiodącą przez pałac, a potem ku porannemu morzu.

Nurkowanie po Pierścień wielkich diuków Chiary było najbardziej dramatycznym obrzędem doczesnej władzy na Półwyspie Dłoni. Przywódcy Chiary wiedzieli od samego początku swego panowania na Wyspie, że do nich należy władza udzielana przez otaczające wody i wodom tym podlegająca. Morze strzegło ich i żywiło. Dawało ich statkom – zawsze największej flocie na półwyspie – dostęp do handlu i grabieży, otaczało ich i zamykało we własnym świetle. Nic dziwnego, jak mówili bajarze, nic dziwnego, że to właśnie na Wyspie Eanna zesłała się z Adaonem, by począć Morianę, dopełniając tym Triadę.

Świat w świetle, opasany morzem.

Mówiło się, że to pierwszy wielki diuk zapoczątkował uroczystość, która później przerodziła się w Nurkowanie po Pierścień. W owych dawnych czasach wyglądała ona inaczej. Przede wszystkim nie było to wcale nurkowanie, a wrzucenie do morza pierścienia ofiarnego na znak przebłagania i dziękczynienia w dniach, kiedy świat zwracał twarz ku słońcu i zaczynał się sezon żeglugowy.

A potem pewnej wiosny, po wielu, wielu latach, kiedy ówczesny wielki diuk wrzucił pierścień do morza, wskoczyła za nim do wody pewna kobieta. Jedni mówili później, że ogarnął ją szal miłosny czy religijny, a inni, że była po prostu przebiegła i ambitna.

Tak czy owak, wynurzyła się z wód zatoki, trzymając w dłoni lśniący pierścień.

I kiedy ludzie, którzy tłumnie przyszli, żeby obejrzeć zaślubiny wielkiego diuka z morzem, zaczęli w pomieszaniu i zdumieniu krzyczeć i mówić wszyscy naraz, wysoki kapłan Moriany w Chiarze wyrzekł nagle wielkim głosem słowa, które miały nigdy nie zagaść, przekazywane z pokolenia na pokolenie:

„Oto patrzcie! Patrzcie, jak oceany przyjmują wielkiego diuka jako swego małżonka! Jak oddają mu pierścień niczym kochankowi!”

Wysoki kapłan podszedł do samego końca mola, gdzie stał diuk, i ukląkł, by pomóc kobiecie wyjść z wody, zapoczątkowując w ten sposób wszystko, co działo się potem. Wielki diuk Saronte dopiero niedawno objął władzę i nie miał jeszcze żony. Letizia, kobieta, która przybyła

do miasta z gospodarstwa leżącego w jego distradzie i dokonała tego bezprecedensowego czynu, była jasnowłosa, ładna i bardzo młoda. Ich dłonie połączył wtedy nad morskimi wodami Mellidar, ów wysoki kapłan Moriany, a Saronte włożył pierścień na palec Letizii.

Ślub odbył się w pełni lata. Tamtej jesieni toczyła się wojna przeciw Asoli i Astibarowi. Młody Saronte di Chiara odniósł wspaniałe zwycięstwo w bitwie morskiej, która rozegrała się w Zatoce Corte. Chiara wciąż obchodziła rocznicę tego zwycięstwa. Odtąd nowo powstały rytuał Nurkowania po Pierścień był odprawiany wyłącznie wtedy, kiedy Chiara znajdowała się w potrzebie.

Po trzydziestu latach, pod koniec długiego panowania Saronte, w trakcie jednej ze sprzeczek o pierwszeństwo wciąż powtarzających się wśród duchowieństwa Triady, świeżo namaszczony wysoki kapłan Eanny ujawnił, że Letizia była bliską krewną Mellidara, owego kapłana Moriany, który wyciągnął ją z wody i połączył z diukiem. Kapłan Eanny pobudził mieszkańców Wyspy do snucia własnych wniosków na temat intryg duchownych służących Morianie oraz ich nie kończących się zabiegów o prymat i władzę.

W miesiącach następujących po tych rewelacjach doszło między sługami Triady do kilku przykrych incydentów, lecz żaden z nich ani odrobinę nie zagroził lśniącej nowością świętości samego rytuału. Uroczystość ta zawładnęła wyobraźnią ludzi. Wydawała się przemawiać do czegoś, co tkwiło w nich głęboko, czy to była potrzeba składania ofiary lub hołdu, czy potrzeba miłości, czy lęk przed niebezpieczeństwem, czy wreszcie poczucie jakiegoś mrocznego, prawdziwego związku z wodami morza.

Tak więc Nurkowanie po Pierścień ostało się długo po tym, jak owi skłócenie duchowni Triady zostali złożeni na wieczny spoczynek, a ich imiona ledwie pamiętano, i to tylko z powodu roli, jaką odegrali w historii Nurkowania.

Ostatecznie kres odprawianiu uroczystości położyła znacznie później – dwieście pięćdziesiąt lat temu – śmierć Onestry, żony wielkiego diuka Cazala.

Nie była to bynajmniej pierwsza taka śmierć: kobietom, które zgłaszały się, by nurkować dla wielkich diuków, zawsze niezwykle dobitnie uświadamiano, że ich życie jest warte nieskończenie mniej niż pierścień, który pragnęły wydobyć z morza. Powrót bez pierścienia oznaczał dożywotnie wygnanie z Wyspy i pogardę całego półwyspu. Uroczystość powtarzano wtedy do skutku z udziałem innej kobiety, wrzucając do morza inny pierścień.

Pływaczkę zaś, która wyniosła na molo morski pierścień, ogłaszano za talizman Chiary i miała ona do końca życia zapewniony dostatek, bogactwo, zaszczyty, a także zaaranżowane małżeństwo z kimś dobrze urodzonym. Niejedna z pływaczek powiła dziecko swojemu wielkiemu diukowi. Dwie śladem Letizii dotarły na tron małżonki diuka. Dziewczęta z rodzin nie mających przed sobą jasnych perspektyw nie bały się ryzykować życia dla takiej olśniewającej, fantastycznej przyszłości.

Onestra di Chiara była inna i z jej powodu wszystko uległo zmianie.

Młoda żona wielkiego diuka Cazała, piękna niczym bohaterka legend i równie dumna, uparła się, że sama zanurkuje po pierścień, nie chcąc u progu niebezpiecznej wojny odstąpić takiej pełnej blasku uroczystości jakiejś niewychowanej dziewczce z distrady. Jak zgodnie wspominali ówcześni kronikarze, kiedy tak szła do morza w rytualnej ciemnej zieleni, była najpiękniejszą istotą, jaką którykolwiek z nich widział w życiu.

Kiedy w pewnej odległości od brzegu, lecz na oczach zgromadzonego tłumu, wypłynęła bez życia na powierzchnię wody, diuk Casal krzyknął niczym dziewczyna i padł zemdlny.

Wyspa pogrążyła się w piekle zamieszek i przerażenia, jakiego nie zaznała nigdy przedtem ani potem. W pewnej samotnej świątyni Adaona na północnym wybrzeżu, na wieść o nieszczęściu przyniesioną przez jedną z kapłanek, wszystkie służki boga popełniły samobójstwo. Te złowróźbne znaki odczytywano jako zapowiedź gniewu boga i Chiara niemal zadławiła się własnym strachem.

Wyzyty ostrożności i załamany diuk Casal poległ tego lata w bitwie z połączonymi armiami Corte i Ferraut, po której Chiara przeżyła okres upadku trwający dwa pokolenia i odzyskała potęgę dopiero po zaciętej, wyniszczającej wojnie między byłymi sprzymierzeńcami, którzy ją pokonali. Taki bieg rzeczy nie był oczywiście niczym wyjątkowym. Działo się tak w Dłoni od początków pisanej historii.

Jednak od śmierci Onestry Nurkowania po Pierścień nie podjęła się żadna kobieta.

Z jej skokiem zmieniły się wszystkie symbole, stawka podniosła się za wysoko. Gdyby w morzu miała zginąć jeszcze jedna kobieta, to przy takim dziedzictwie chaosu i klęsk...

Kolejni wielcy diukowie oznajmiali, że jest to zbyt niebezpieczne, i znajdowali sposoby na utrzymanie morskiej potęgi Wyspy bez uciekania się do tej niezwykle skutecznej uroczystości.

Gdy przed dziewiętnastu laty dostrzeżono ygratheńską flotę, ostatni wielki diuk Chiary popełnił samobójstwo na stopniach świątyni Eanny, nie było więc owego roku nikogo, kto wrzuciłby pierścień do morza – nawet gdyby znalazła się kobieta, która chciałaby za nim skoczyć w poszukiwaniu wstawiennictwa Moriany i Adaona.

Kiedy Dianora w towarzystwie Scelto wyszła ze swych komnat, w saizanie panowała niesamowita cisza. Zwykle o tej porze korytarze rozbrzmiewały krzątaniem eunuchów i oszalałymi woniami perfum oraz barwami strojów kobiet podążających leniwie do kąpieli czy na poranny posiłek. Dzisiaj było inaczej. Korytarze wypełniała pustka i cisza. Dianora opanowała drżenie wywołane echem kroków jej i Scelto.

Minęli wejście do łaźni, a potem drzwi prowadzące do jadalni. Oba pomieszczenia były puste i ciche. Za rogiem skręcili do schodów prowadzących na dół, do wyjścia z kobiecego skrzydła pałacu, i tutaj Dianora przekonała się, że przynajmniej jedna osoba została w budynku

i na nich czeka.

– Niech ci się przyjrzę – powiedział jak zwykle Vencel. – Muszę zaaprobować twój wygląd, zanim zejdziesz na dół.

Przełożony saisanu jak zwykle spoczywał wśród kolorowych poduszek na swojej ruchomej platformie. Dianora niemal się uśmiechnęła na widok jego otyłości i dźwięk znajomych słów.

– Oczywiście – odparła i powoli obróciła się dookoła pod jego badawczym spojrzeniem.

– Do przyjęcia – zawyrokował w końcu. Był to jego zwykły osąd, chociaż jego wysoki, charakterystyczny głos jeszcze nigdy nie brzmiał tak niepewnie. – Może jednak... może chciałabyś włożyć ten naszyjnik z blaskami z Khardhun? Na szczęście? Przyniosłem ci go ze skarbca saisanu.

Vencel prawie nieśmiało wyciągnął dużą, miękką dłoń i Dianora zobaczyła leżący na niej czerwony klejnot, który miała na sobie w dniu, kiedy Isolla z Ygrathu próbowała zabić króla.

Już miała odmówić, kiedy przypomniała sobie, że Scelto kupił go dla niej specjalnie na taką okazję i przyniósł go, zanim ubrała się do wyjścia. Wzruszył ją też gest Vencela, więc powiedziała:

– Dziękuję. Z przyjemnością włożę ten naszyjnik. – Zawahała się. – Zechcesz mi go zapiąć?

Uśmiechnął się niemal z zawstydzeniem. Dianora uklękła, a olbrzymi przełożony saisanu zręcznymi i delikatnymi palcami zapiął zameczek na jej karku. Klęcząc tak blisko niego, wyraźnie czuła odurzający zapach srebrnokwiatu, który zawsze go otaczał.

Vencel cofnął ręce i odchylił się, żeby spojrzeć na Dianorę. Jego oczy przybrały niezwykle u niego, łagodny wyraz.

– Kiedy w Khardhun ktoś wybiera się w podróż, mówimy mu: „Niech cię tam odnajdzie szczęście i poprowadzi do domu”. Tego ci dzisiaj życzę. – Ukrył dłonie w fałdach swej białej szaty i odwrócił wzrok, patrząc w głąb pustego korytarza.

– Dziękuję. – Bała się powiedzieć więcej. Wstała i zerknęła na Scelto. Miał w oczach łzy. Wytarł je pośpiesznie i zaczął sprowadzać ją ze schodów. W połowie drogi odwróciła się i spojrzała na Vencela, na jego prawie nieludzko otyłą postać spowitą w falującą biel. Patrzył za nimi obojętnym wzrokiem. Siedział ufortyfikowany jaskrawymi poduszkami niczym egzotyczna postać z zupełnie odmiennego świata, jakimś sposobem wyrzucona na brzeg i osadzona tu, w chiarańskim saisanie.

U dołu schodów Dianora spostrzegła, że podwójne drzwi nie są zaryglowane. Scelto nie będzie musiał pukać. Nie dzisiaj. Pchnął drzwi i przepuścił ją przed sobą.

W długim korytarzu za drzwiami czekali na nią kapłani Moriany i kapłanki Adaona. Widziała w ich oczach ledwo zamaskowany tryumf, zbiorowy błysk oczekiwania.

Wszyscy wstrzymali oddech, kiedy przeszła przez drzwi w zielonych szatach rytuału, którego nie odprawiano od dwustu pięćdziesięciu lat, z włosami ściągniętymi do tyłu

i przytrzymanymi siatką zieloną jak morze.

Duchowni, nawykli do panowania nad emocjami, milczeli. W ciszy tej zrobili jej przejście, a potem ruszyli za nią równymi, szkarłatnymi i szarymi rzędami.

Wiedziała, że zmuszą Scelto, żeby szedł na końcu. Nie mógł brać udziału w tej rytualnej procesji. Wiedziała, że nie pożegnała się z nim jak należy. Cóż, jej życie musiało zostać złamane.

Szli korytarzem prowadzącym w kierunku zachodnim do Wielkich Schodów. U szczytu szerokich, marmurowych stopni Dianora zatrzymała się, spojrzała w dół i wreszcie zrozumiała, dlaczego w saizanie jest tak cicho. Wszystkie kobiety i eunuchowie zebrali się w holu. Pozwolono im wyjść, dozwolono im przyjść aż tu, żeby mogli ją zobaczyć. Uniósłszy wysoko głowę i nie patrząc naprawo czy lewo, Dianora postawiła stopę na pierwszym stopniu i zaczęła schodzić. Pomyślała, że nie jest już sobą. Nie jest już Dianora, a raczej jest już nie tylko Dianora. Z każdym krokiem coraz bardziej stapiała się z legendą.

A potem, u dołu schodów, kiedy stanęła na tworzących mozaikę płytkach posadzki, uświadomiła sobie, kto czeka przy wrotach pałacu, by wyprowadzić ją na zewnątrz, i serce niemal w niej zamarło.

Stała tam grupka mężczyzn. Przede wszystkim d'Eymon i Rhamanus, który został w Dłoni, jak była tego pewna, i otrzymał nominację na pierwszego dowódcę floty Brandina. Obok nich stał poeta Doarde, reprezentujący mieszkańców Chiary. Spodziewała się jego obecności: d'Eymon wpadł na błyskotliwy pomysł zrównoważenia zbrodni i śmierci jednego poety z Wyspy przez zaproszenie do uczestnictwa innego. Przy Doarde stał krzepki mężczyzna o ostrych rysach twarzy, odziany w brązowe aksamity obwieszane złotem, mogącym wykupić człowieka z niewoli. Kupiec z Corte, i to najwyraźniej taki, któremu dobrze się powodzi; bardzo prawdopodobne, że to jeden z tych krwiopijców, którzy zdobyli majątek, żerując na zgłiszczach Tigany przed dwudziestu laty. Za nim stał szczupły, szaro odziany kapłan Moriany, oczywiście z Asoli. Poznała to po jego karnacji; wszyscy Asolczycy z pochodzenia tak wyglądali.

Wiedziała też, że jest z Asoli, ponieważ ostatni z czekających na nią mężczyzn pochodził z Dolnego Corte i Dianora go znała. Była to postać z jej własnych legend, z mitów i nadziei, które dotąd utrzymywały ją przy życiu. Człowiek, którego widok niemal zmroził jej krew w żyłach.

Oczywiście w białych szatach, tak majestatyczny, jak go pamiętała z dzieciństwa, trzymając grubą laskę, która była jego znakiem rozpoznawczym, górując nad wszystkimi zebranymi, stał tam Danoleon, wysoki kapłan Eanny w Tiganie.

Człowiek, który wywiózł księcia Alessana na południe. Tak jej powiedział Baerd owej nocy, kiedy zobaczył swoją riselkę i odszedł do kapłana i księcia na południe.

Znała go, wszyscy znali Danoleona, jego długi krok, barczystą postać i wspaniały instrument

o głębokim brzmieniu, jakim stawał się jego głos podczas świątynnych uroczystości. Podchodząc do drzwi, Dianora przez chwilę walczyła z ogarniającą ją dziką paniką. Danoleon w żadnym razie nie może jej rozpoznać. Nie znał jej, kiedy była dzieckiem, a właściwie dorastającą córką artysty luźno związanego z dworem. Poza tym zmieniała się, od tamtego czasu bardzo się zmieniała.

Nie mogła jednak oderwać od niego oczu. Wiedziała, że d'Eymon chce sprowadzić kogoś z Dolnego Corte, ale nie spodziewała się samego Danoleona. W czasach, kiedy pracowała w gospodzie „Pod Królową” w Stevanien, wszyscy wiedzieli, że wysoki kapłan Eanny wycofał się ze światowego życia do sanktuarium bogini leżącego wśród południowych wzgórz.

Teraz wyszedł z ukrycia i patrząc na niego, chłonąc jego realność, Dianora poczuła absurdalną, potężną falę dumy, że Danoleon samą swoją obecnością przytłacza wszystkich zebranych.

To dla niego i dla podobnych mu ludzi, tych, którzy zginęli, i tych, którzy jeszcze mieszkali w złamanym kraju, zamierzała dzisiaj zrobić to, co miała zrobić. Wzrok kapłana spoczął na niej badawczo. Wszyscy jej się przyglądali, ale to pod spojrzeniem czystych, błękitnych oczu Danoleona Dianora wyprostowała się jeszcze bardziej. Wydawało jej się, że za nimi, za wrotami, które nie zostały jeszcze otwarte, coraz wyraźniej widzi jaśniejącą ścieżkę riselki.

Zatrzymała się. Złożyli jej ukłon. Każdy z sześciu mężczyzn wysunął do przodu wyprostowaną nogę i zgiął się w niskim pokłonie, jakiego nie praktykowano od wieków. To była legenda, uroczystość ku czci wielu potęg i Dianora wyczuła, że musi się im wydawać jakąś wyniosłą postacią z dawnego gobelinu.

– Pani – powiedział d'Eymon – jeśli takie jest twoje życzenie i zechcesz nam na to pozwolić, to chcielibyśmy ci usłużyć i zawieść do Króla Zachodniej Dłoni.

Słowa te zostały wypowiedziane starannie i wyraźnie, bo miały być później zapamiętane i powtarzane. Wszystko trzeba było zapamiętać. To jeden z powodów obecności kapłanów i poety.

– Zechcę – odparła po prostu. – Chodźmy. – Nie powiedziała nic więcej, lecz jej słowa będą miały mniejszą wagę. Ma być przecież zapamiętane nie to, co dzisiaj powie.

Wciąż nie mogła oderwać wzroku od Danoleona. Zdała sobie sprawę, że to pierwsza osoba z Tigany, jaką widzi od przybycia na Wyspę. Odczuła wielką ulgę, że Eanna, której dziećmi wszyscy byli, pozwoliła jej zobaczyć tego człowieka, zanim pograży się w morzu.

D'Eymon wydał polecenie skinieniem głowy. Masywne, spiżowe wrota powoli otworzyły się, ukazując olbrzymi tłum zgromadzony na przestrzeni między pałacem i mołem. Zobaczyła, że ludzie wylewają się z placu, wypełniając najdalsze zakątki portu, tłocząc się nawet na pokładach zakotwiczonych tam statków. Kiedy wrota otwarły się, monotony pomruk głosów słyszalny od samego rana wzrósł nagle do krzyku, a potem, kiedy tłum zobaczył Dianorę, nagle

zamarł. Wydawało się, że Chiarą leżącą pod błękitnym sklepieniem niebios zawładnęła sztywna, pełna napięcia cisza. W tę ciszę weszła Dianora.

I właśnie wtedy, gdy wstąpili na zalaną słonecznym blaskiem drogę, która wiodła przez ciżbę, Dianora spostrzegła Brandina czekającego na nią na brzegu morza, ubranego jak król-żołnierz, bez ekstrawagancji, z odkrytą głową w wiosennym słońcu.

Na jego widok coś ją zakłuło w środku, niczym klinga przekrecona w ranie. Już niedługo będzie po wszystkim, powiedziała sobie stanowczo. Jeszcze trochę. Już niedługo wszystko się skończy.

Ruszyła ku niemu królewskim krokiem, szczupła, wysoka i dumna, odziana w barwy ciemnozielonego morza, ze szkarłatnym klejnotem na szyi. Wiedziała, że go kocha, tak jak wiedziała, że jeśli nie zostanie wygnany lub zabity, to jej kraj zginie, i z całej duszy rozpacziała nad prostą prawdą, że dawno temu jej matce i ojcu urodziła się córka.

* * *

Dla kogoś tak drobnego jak on, próba zobaczenia czegokolwiek z placu portowego byłaby beznadziejnym przedsięwzięciem, zresztą nawet pokład statku, którym przyплыnęli tu z Corte, pełen był ludzi płacących kapitanowi za szansę oglądania nurkowania z tego dogodnego miejsca. Devin precisnął się do grotmasztu i wspiął się nań, dołączając do tuzina innych ludzi oblepiających takielunek wysoko nad morzem. Zwinność miała swoje zalety.

Erlein stał gdzieś w ciżbie na pokładzie. Po trzech dniach pobytu na Chiarze wciąż był przerażony bliskością czarnoksiężnika z Ygrathu. Powiedział z gniewem, że wymykanie się Tropicielom na południu to jedno, a dobrowolne zbliżenie się do czarnoksiężnika to drugie.

Alessan był gdzieś w tłumie wypełniającym port. W pewnej chwili Devin zobaczył go, jak przeciska się w kierunku mola, ale teraz stracił go z oczu. Danoleon przebywał w samym pałacu, reprezentując na uroczystości Dolne Corte. Ilekroć Devin pozwalał sobie o tym pomyśleć, ironia całej sytuacji niemal go przytłaczała. Starał się tego nie robić, bo zaczynał się wtedy o nich wszystkich bać.

Kiedy wysoki kapłan otrzymał uprzejmie sformułowane zaproszenie do odbycia podróży na północ i przyłączenia się do przedstawicieli pozostałych trzech prowincji, mających być świadkami Nurkowania po Pierścień, Alessan natychmiast podjął decyzję.

– Oczywiście pojedziesz – powiedział wtedy książę, jakby była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. – My też tam będziemy. Muszę się zorientować w sytuacji na Chiarze po tej zmianie.

– Czyś ty zupełnie oszalał? – zachnął się Erlein, nawet nie próbując ukryć dezaprobaty.

Alessan tylko się wtedy roześmiał, chociaż, jak pomyślał Devin, bez odrobiny radości. Od

śmierci matki nie można go było przeniknąć. Devin czuł, że nie potrafi przerzucić mostu nad powstałą przepaścią. W ciągu kilku dni, które upłynęły od śmierci Pasithei, wiele razy rozpaczliwie pragnął, żeby był z nimi Baerd.

– A co z Savandim? – chciał wiedzieć Erlein. – To może być pułapka na Danoleona. Albo nawet na ciebie.

Alessan potrząsnął głową.

– Raczej nie. Sam powiedziałeś, że nie wysłał żadnej wiadomości. Jego śmierć na drodze z ręki bandytów, upozorowana przez Torre, jest zupełnie prawdopodobna. Król Zachodniej Dłoni ma teraz na głowie ważniejsze sprawy niż śmierć któregoś z jego pomniejszych szpiegów. Nie martwię się tym, Erleinie, ale dziękuję ci za troskę. – Uśmiechnął się chłodno. Erlein zmarszczył brwi i odszedł.

– A czym się martwisz? – zapytał księcia Devin.

Alessan mu nie odpowiedział.

Siedząc wysoko wśród takielunku „Sokoła Aemy”, Devin czekał z innymi na otwarcie wrót pałacu i próbował uspokoić mocno bijące serce. Było to jednak trudne, bo nastrój podniecenia i wyczekiwania, który narastał na Wyspie od trzech dni, tego ranka stał się wręcz przytłaczający i przybrał nieomal wyczuwalny kształt, kiedy w porcie pojawił się sam Brandin. Wszedł spokojnie na molo w towarzystwie niewielkiej świty, wśród której znajdował się zgarbiony, łysiejący starzec ubrany dokładnie tak samo jak król.

– Błazen Brandina – odpowiedział na pytanie Devina jego sąsiad z want, Corteañczyk. – To ma coś wspólnego z czarnoksięstwem, jak zwykle w Ygrath. Lepiej nie wiedzieć za dużo – dodał mrukliwie.

Devin po raz pierwszy patrzył na człowieka, który zniszczył Tigane, i próbował sobie wyobrazić, jakby to było trzymać teraz w dłoniach łuk i mieć umiejętności Baerda czy Alessana. Byłby to trudny, ale nie beznadziejny strzał, wymierzony w dół, nad wodą, w skromnie odzianego, brodatego mężczyznę stojącego nad morzem.

Wyobrażając sobie lot tej strzały w porannym słońcu, Devin przypomniał sobie inną rozmowę z Alessanem. Stali wtedy przy relingu „Sokoła”, który jeszcze tej nocy dotarł do Chiary.

– Co chcemy, żeby się wydarzyło? – zapytał Devin. Tuż przed ich wypłynięciem dotarła do Zatoki Corte wiadomość, że większość Drugiej Drużyny barbadiorskich najemników Alberico została wycofana spod granicznych fortów oraz miast Ferraut i wraz z resztą wojsk maszeruje ku Senzio. Słyszając to, Alessan zbladł, a oczy zalśniły mu twardym blaskiem.

Zupełnie jak jego matka, pomyślał Devin, ale nawet mu się nie śniło tego powiedzieć.

Na statku Alessan na chwilę się do niego odwrócił, słysząc pytanie, a potem znów spojrział na morze. Było bardzo późno, bliżej świtu niż północy. Żaden z nich nie mógł spać. Na niebie

wisiały oba księżycy i woda lśniła i skrzyła się w ich zmieszanej poświacie.

– Co chcemy, żeby się wydarzyło? – powtórzył Alessan. – Nie jestem pewien. Chyba wiem, ale nie mam jeszcze całkowitej pewności. Dlatego będziemy obserwować to Nurkowanie.

Słuchali odgłosów statku na nocnym morzu. Devin odchrząknął.

– A jeśli jej się nie uda?

Alessan milczał tak długo, że Devin stracił nadzieję na uzyskanie odpowiedzi. Wtedy jednak książę powiedział bardzo cicho:

– Jeśli tej Certandance się nie uda, to Brandin będzie chyba skończony. Jestem tego prawie pewien. Devin zerknął na niego.

– No to wtedy znaczy, że...

– To znaczy wiele rzeczy. Jedną z nich będzie powrót naszego imienia. Drugą rządy Alberico w Dłoni. Prawie na pewno jeszcze przed końcem roku.

Devin usiłował to pojąć. „Jeśli mamy ich zgładzić, musimy zgładzić obu”, pamiętał słowa księcia w chacie Sandrenich, kiedy sam ukrywał się na półstryszku.

– A jeśli jej się uda?

Alessan wzruszył ramionami. W błękitnym i srebrzystym świetle księżyców jego profil wydawał się jak wykuty z marmuru.

– Ty mi to powiedz. Ilu mieszkańców prowincji zechce walczyć z Imperium Barbadioru dla króla, który dzięki morskiej oblubienicy z tego półwyspu został zaślubiony morzom Dłoni?

Devin zastanowił się nad tym.

– Bardzo wielu – powiedział w końcu. – Myślę, że będzie walczyć dużo ludzi.

– Ja też – rzekł Alessan. – Nasuwa się następne pytanie: kto wygra? I jeszcze jedno: czy możemy coś na to poradzić?

– A możemy?

Alessan spojrział wtedy na niego z krzywym uśmiechem.

– Wierzyłem w to przez całe życie. Być może już bardzo szybko przekonamy się, czy słusznie.

Devin nie zadawał dalszych pytań. Dzięki obu księżycom było bardzo jasno. Po chwili Alessan dotknął jego ramienia i pokazał coś drugą ręką. Devin powiódł za nią wzrokiem i zobaczył w dali wylaniający się z morza wysoki, ciemny ląd.

– Chiara – rzekł Alessan.

Tak więc Devin po raz pierwszy w życiu ujrzał Wyspę.

– Byłeś już tu kiedyś? – zapytał cicho.

Alessan potrząsnął głową, nie odrywając wzroku od ciemnej, górzystej masy na horyzoncie.

– Tylko w snach – odpowiedział.

– Idzie! – zawołał ktoś ze szczytu masztu asolińskiego statku zakotwiczonego obok nich. Okrzyk ten został natychmiast podchwycony i przekazany dalej wzdłuż nabrzeża, zmieniając się po drodze w pełen oczekiwania ryk.

A potem ścichł do niesamowitej, przyprawiającej o dreszcz ciszy. Potężne, spiżowe wrota chiarańskiego pałacu rozwarły się do końca, ukazując stojącą w nich kobietę.

Cisza trwała nawet wtedy, kiedy ruszyła. Wolno szła wśród tłumów zgromadzonych na placu, prawie ich nie zauważając. Devin znajdował się za daleko, żeby wyraźnie widzieć twarz kobiety, ale nagle uświadomił sobie jej niezwykłą urodę i wdzięk. To przez tę uroczystość, pomyślał; to tylko przez miejsce, w którym się znalazła. Zobaczył za nią Danoleona, górującego nad resztą jej świty.

A potem, powodowany jakimś impulsem, odwrócił się i spojrzał w kierunku stojącego na moło Brandina z Ygrathu. Król znajdował się bliżej niego i Devin widział, jak patrzy na zbliżającą się kobietę. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Lodowata.

Rozważa sytuację, pomyślał Devin. Liczby, szansę. Wykorzystuje to wszystko – tę kobietę, rytuał, wszystkich tu zgromadzonych, całą ich żarliwość – dla czysto politycznego celu. Zdał sobie sprawę, że przede wszystkim gardzi nim za to, nienawidzi go za to beznamietne spojrzenie, jakim patrzył na kobietę gotową zaryzykować dla niego życie. Na Triadę, przecież on podobno jest w niej zakochany!

Devin zauważył, że nawet stojący przy nim zgarbiony starzec, królewski błazen, ubrany dokładnie jak Brandin, nieustannie splata i rozplata dłonie z wyraźnym niepokojem widocznym na twarzy.

W przeciwieństwie do niego oblicze króla Zachodniej Dłoni przypominało zastygłą, obojętną maskę. Devin nie chciał dłużej na nie patrzeć. Odwrócił się z powrotem do kobiety, która teraz znajdowała się już znacznie bliżej.

Dlatego też, ponieważ doszła już prawie na skraj wody, Devin spostrzegł, że jego pierwsze wrażenie okazało się słuszne, a jego pospieszne wyjaśnienie błędne: Dianora di Certando odziana w rytualne szaty koloru morskiej zieleni była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

Co chcemy, żeby się wydarzyło?, zapytał Alessana trzy noce temu, zbliżając się do Wyspy.

Wciąż nie znał odpowiedzi. Kiedy jednak tak patrzył w dół na zbliżającą się do morza kobietę, odczuł nagły strach i zupełnie nieoczekiwaną litość. Mocno chwycił się olinowania, by jak najlepiej wszystko widzieć z góry.

* * *

O Brandinie wiedziała więcej niż ktokolwiek inny – było to konieczne, aby przeżyć,

szczególnie na początku, aby w śmiertelnie niebezpiecznym miejscu mówić i robić właściwe rzeczy. Później, w miarę upływu lat, konieczność ta zmieniła się w coś innego. W miłość, co było jej straszliwie trudno przyznać. Przybyła tu, by zabić, mając w sercu bliźniacze węże pamięci i nienawiści. Zamiast tego zaczęła go rozumieć lepiej niż kogokolwiek innego na świecie, bo nie istniał nikt inny, kto byłby dla niej choć w połowie tak ważny.

Dlatego prawie się załamała, kiedy idąc do molo poprzez mrowie ludzi, zobaczyła, jak zaciekle walczy z samym sobą, by nie okazać swych uczuć. Jakby dusza chciała wyrwać się przez okna jego oczu, a on, urodzony do władzy, będąc tym, kim jest, uznał za konieczne zatrzymać ją w środku, tu, w obecności tak wielu ludzi.

Nie potrafił jednak ukryć tego przed nią. Nie musiała nawet patrzeć na Rhuna, żeby przejrzeć Brandina. Odciał się od własnego domu, od wszystkiego, co trzymało go przy życiu, znajdował się wśród obcych, podbitych przez siebie ludzi, prosząc ich o pomoc, potrzebując ich wiary w niego. Ona teraz była jego ratunkiem, jego jedynym mostem z Dłonią, właściwie jego jedynym połączeniem z jakąkolwiek przyszłością czy tu, czy gdziekolwiek indziej.

Zniszczenie Tigany leżało jednak między nimi niczym przepaść dzieląca świat na dwie części. Dianora pomyślała sobie, że nauką płynącą z jej życia jest to, że miłość nie wystarcza. Bez względu na wszystko, co mówią pieśni trubadurów. Bez względu na to, jaką nadzieję zdawała się dawać miłość, ona po prostu nie wystarczała, by przerzucić most nad tą przepaścią w świecie Dianory. Dlatego znalazła się tutaj, dlatego wizja riselki w ogrodzie podsunęła jej takie zakończenie strasznych, głębokich podziałów w jej sercu. Cena tej oferty nie podlegała negocjacom. Nie można targować się z bogami.

Podeszła do Brandina stojącego na końcu mola i zatrzymała się. Inni zatrzymali się wraz z nią. Przez plac przebiegło westchnienie, wznosząc się i opadając niczym zamierający wiatr. Jakimś dziwnym sposobem jej świadomość oderwała się na chwilę od ciała i Dianora mogła spojrzeć na molo z góry. Zobaczyła, jaka musi się wydawać zebrany tam ludziom: nieludzka, nie z tego świata.

Taka musiała się też wydawać Onestra przed ostatnim Nurkowaniem. Onestra nie wróciła, a potem nastąpiło zniszczenie. Dlatego stała teraz przed nią szansa: zaoferowane przez historię mroczne drzwi prowadzące do wyzwolenia i do ucieleśnienia długiego snu Dianory w saizanie.

Słońce świeciło bardzo jasno, jego blask tańczył na błękitno-zielonych falach. Jakże wielkie jest na świecie bogactwo kolorów. Zobaczyła stojącą za Rhunem kobietę w jaskrawożółtej sukni, starego mężczyznę w błękitach i żółciach, młodszego, ciemnowłosego mężczyznę ubranego w brąz, który trzymał na ramionach dziecko. Wszyscy oni przyszli, żeby zobaczyć, jak nurkuje. Na chwilę zamknęła oczy, a potem odwróciła się do Brandina. Łatwiej byłoby tego nie robić, ale wiedziała, że unikanie jego wzroku niesie ze sobą niebezpieczeństwo. I w końcu jest to człowiek, którego kocha.

Zesłej bezsennej nocy patrzyła na powolną drogę wyznaczaną przez księżyc na szybie jej okna i próbowała wymyślić słowa, które mogłaby mu powiedzieć, kiedy dojdzie do końca mola. Słowa nie związane z rytuałem, słowa, które udźwigną całe pokłady znaczeń i poniosą je przez lata.

W tym jednak też kryło się niebezpieczeństwo, ryzyko zniszczenia wszystkiego, czym miała się stać ta chwila. A słowa, to, które chciałyby wypowiedzieć, to przecież tylko próba naprawienia czegoś, co zostało złamane, prawda? Próba przerzucenia mostu nad przepaścią. Przecież o to w końcu chodzi, prawda? Dla niej już nie było mostów.

Nie w tym życiu.

– Panie – rzekła oficjalnie, wyraźnie – wiem, że jestem tego niegodna i boję się nadużyć twoich względów, jeśli jednak jest to zgodne z życzeniem twoim i wszystkich, którzy tu przyszli, spróbuję ci przynieść z morza morski pierścień.

Oczy Brandina miały kolor nieba przed deszczem. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Powiedział:

– Nie ma w tym żadnego nadużycia, najdroższa, a za to nieskończona godność. Swoją obecnością uszlachetniasz tę uroczystość.

Zmieszała się, bo nie były to słowa, które przygotowali. Wtedy jednak powoli odwrócił od niej wzrok, jakby odwracał się od światła.

– Ludu Zachodniej Dłoni! – zawołał czystym i silnym głosem, głosem króla, przywódcy ludzi. Poniósł się on dźwięcznie poprzez plac, wpadł między żaglowce i łodzie rybackie. – Pani Dianora zapytała, czy uznajemy ją za godną nurkowania dla nas. Czy zechcemy związać z nią nasze nadzieje na szczęście, czy ma poprosić Triadę o błogosławieństwo w wojnie, którą sprowadza na nas Barbadior. Co jej odpowiecie? Pani Dianora chce usłyszeć waszą odpowiedź!

Wśród ogłuszającego ryku zgody, ryku, który był tak głośny i stanowczy, jak przewidywali po całym tym wyczekiwaniu, Dianora poczuła falę brutalnej, gorzkiej ironii.

„Nasze nadzieje na szczęście”. Związać z nią? „Błogosławieństwo Triady”. Za jej pośrednictwem?

W tej chwili, tu, na samym brzegu morza, po raz pierwszy poczuła w sercu dotknięcie strachu. Zaiste jest to rytuał ku czci bogów, uroczystość bardzo stara i pełna boskiej potęgi, a ona chce wykorzystać ją do własnych ukrytych celów, do czegoś, co zrodziło się w jej ludzkim sercu. Czy można dopuścić do czegoś takiego, bez względu na szczerłość intencji?

Obejrzała się wtedy na pałac i góry, które tak długo określały jej życie. Ze szczytu Sangariosa śnieg już zniknął. To na nim Eanna podobno stworzyła gwiazdy. I wszystkie je nazwała. Dianora spojrzała w dół i zobaczyła patrzącego na nią Danoleona. Zajrzała w spokojny, łagodny błękit jego oczu i poczuła, że czerpie z nich siłę i pewność siebie.

Strach ustąpił niczym zrzucone ubranie. Jest tutaj właśnie dla Danoleona i dla takich jak on,

ktorzy zginęli, dla ksiąg, posągów, pieśni i imion, co zaginęły. Chyba Triada to zrozumie, kiedy będzie osądzana za tę herezję? Chyba Adaon będzie pamiętał o Micaeli nad morzem? Chyba Eanna od Gwiazd okaże miłosierdzie?

Dianora powoli skinęła głową, a tłum w końcu zamilkł. Widząc to, wysoka kapłanka boga odziana w szkarłatną szatę postąpiła do przodu i pomogła Dianorze zdjąć ciemnozielony płaszcz.

A potem Dianora stała nad wodą, mając na sobie jedynie cienką, zieloną tunikę, która ledwo sięgała jej kolan, a Brandin trzymał w dłoni pierścień.

– W imię Adaona i Moriany – wyrzekł starannie przygotowane i przećwiczone słowa rytuału – oraz zawsze i po wsze czasy w imię Eanny, Królowej Światał, szukamy tu stawy duchowej i schronienia. Czy morze przyjmie nas i udźwignie na swej piersi, jak matka tuli dziecko? Czy oceany tego półwyspu przyjmą ofiarny pierścień w moim imieniu i w imieniu wszystkich tu zebranych, i odeśle go nam na znak związania naszych losów? Jestem Brandin di Chiara, król Zachodniej Dłoni, i proszę cię o błogosławieństwo.

Następnie zwrócił się do Dianory przy wtórce pomruku zdumienia, jaki się rozległ przy ostatnich słowach, kiedy to nazwał się królem Zachodniej Dłoni, i jakby kryjąc się w tym dźwięku, wyszeptał coś jeszcze, słowa przeznaczone wyłącznie dla niej.

A potem odwrócił się do morza, odwiódł rękę, rzucił złoty pierścień wysokim i lśniącym łukiem w świetliste niebo i oslepiające słońce.

Dianora zobaczyła, jak pierścień osiąga najwyższy punkt lotu i zaczyna spadać. Zobaczyła, jak uderza w taflę wody. Skoczyła.

Woda była o tak wczesnej porze roku przeroźliwie zimna. Wykorzystując siłę skoku, parła w dół, mocno wyrzucając nogi. Zielona siatka przytrzymała jej włosy, więc wszystko widziała. Brandin rzucił pierścień z pewną starannością, ale wiedział, że nie może go po prostu wrzucić przy molo – zbyt wielu ludzi czekałoby na to. Rzuciła się w przód i w dół kilkoma mocnymi pociągnięciami rąk, wyteżając wzrok w błękitnozielonym, przefiltrowanym przez wodę świetle.

Właściwie może go dosięgnąć. Może sprawdzić, czy zdoła odzyskać pierścień, zanim umrze. Może zanieść go w ofierze Morianie.

Ku swemu zaskoczeniu zupełnie już nie odczuwała strachu. A może nie powinna być zaskoczona. Czyż riselka nie dała jej właśnie tej pewności, pewności przeprowadzenia jej przez zadawniony strach przed ciemnymi wodami do ostatniego portalu Moriany? Teraz wszystko się kończy. Powinno się skończyć dawno temu.

Nic nie zobaczyła, machnęła nogami, płynąc dalej i głębiej, w kierunku miejsca, gdzie pierścień wpadł do wody.

Czuła w sobie pewność, jasną i kryształowo czystą świadomość sposobu, w jaki wydarzenia zmierzały ku tej chwili. Chwili, w której po prostu umierając, może w końcu wybawić Tigane.

Znała historię Onestry i Cazala – znała ją każda osoba w tym porcie. Wszyscy wiedzieli, jakie klęski nastąpiły po śmierci Onestry.

Brandin postawił wszystko na tę jedną uroczystość, nie mając innego wyboru w obliczu zbyt szybko sprowadzonej na niego wojny. Alberico go jednak zgładzi; nie może być innego wyniku. Dokładnie wiedziała, co się stanie po jej śmierci. Chaos i ostre potępienie, wyrok Triady na arogackiego, samozwańczego króla Zachodniej Dłoni. Nie będzie na zachodzie żadnej armii, która przeciwstawiłaby się Barbadorczykowi. Alberico będzie mógł zebrać żniwo z Półwyspu Dłoni jak z winnicy lub zetrzeć go niczym ziarno w żarnach swej ambicji.

Szkoda, pomyślała, ale naprawienie tego zła będzie musiało przypaść komu innemu. Będzie to pragnienie duszy następnego pokolenia. Jej własnym marzeniem, celem, jaki postawiła sobie z młodzieńczą dumą, siedząc dawno temu przy wygasłym kominku w domu ojca, było przywrócenie światu imienia Tigany.

Jej jedynym życzeniem, gdyby dano jej jedno życzenie, zanim zamknie się nad nią ciemność i stanie się dla niej wszystkim, było to, żeby przed nadejściem końca Brandin odszedł, żeby znalazł sobie jakieś miejsce daleko od tego półwyspu. I żeby jakoś się dowiedział, że jego życie, gdziekolwiek by się udał, było ostatnim darem jej miłości.

Jej własna śmierć nie miała znaczenia. Kobiety, które sypiały z imperatorami, zabijano. Nazywano je zdrajczyniami i zabijano na wiele różnych sposobów. Jednym z nich może być utonięcie.

Zastanawiała się, czy zobaczy tu riselkę, morskozieloną istotę morza, wysłanniczkę przeznaczenia, strażniczkę progów.

Zastanawiała się, czy przed końcem otrzyma jakąś ostateczną wizję. Czy przyjdzie do niej Adaon, surowy i wspaniały bóg, objawiając jej się tak, jak objawił się Micaeli dawno temu na plaży. Co prawda nie była Micaelą, jasną, ładną i niewinną w młodości. Nie sądziła, że ujrzy boga.

Zamiast niego zobaczyła pierścień.

Znajdował się po jej prawej stronie i nieco powyżej, opadając przez wolno poruszające się, zimne wody niczym obietnica lub wysłuchana modlitwa, daleko od słonecznego światła. Wyciągnęła rękę z senną powolnością wszystkich ruchów w głębinie morza, chwyciła pierścień i włożyła go, żeby mogła umrzeć jako oblubienica morza z morskim złotem na palcu.

Zanurkowała już bardzo głęboko. Przefiltrowane światło prawie tu nie docierało. Wiedziała, że niedługo zabraknie jej powietrza, a potrzeba wynurzenia stanie się coraz przemożniejsza, coraz bardziej odruchowa. Spojrzała na pierścień, pierścień Brandina, swoją ostatnią i jedyną nadzieję. Uniosła go do ust i ucałowała, a potem oderwała oczy, życie i długie poszukiwanie od powierzchni i słonecznego blasku, od miłości.

Zanurkowała głębiej, zmuszając się do najwyższego wysiłku. Wtedy, właśnie wtedy, zaczęły

się wizje.

Zobaczyła wyraźnie obraz ojca z dłutem i młotkiem w ręku, z ramionami i torsem pokrytym miałkim marmurowym pyłem, jak razem z księciem chodzi po dziedzińcu pracowni, a Valentin poufałym gestem opiera mu rękę na ramieniu, a potem zobaczyła go takim, jaki był przed odjazdem na wojnę – skrepowany i ponury. Następnie w jej myślach zagościł Baerd: jako chłopiec o miłym usposobieniu, który zawsze wydawał się roześmiany, a potem szlochający pod jej drzwiami w noc, kiedy odszedł Naddo, a po chwili wtulony w nią w zniszczonym, zalanym księżycową poświatą świecie, a w końcu w drzwiach domu owej nocy, kiedy odszedł. Następnie Dianora zobaczyła matkę – i poczuła, jakby płynęła przez te wszystkie lata z powrotem do swojej rodziny. Wszystkie bowiem obrazy matki pochodziły sprzed upadku, sprzed okresu szaleństwa, z czasów, kiedy jej głos wydawał się zdolny ogrzać wieczorne powietrze, a jej dotyk odegnać gorączkę i strach przed ciemnością.

Morze zrobiło się ciemne i bardzo zimne. Dianora poczuła pierwsze oznaki tego, co wkrótce przerodzi się w rozpaczliwe pragnienie powietrza. Pojawiły się wtedy przed nią, niczym na rozwijającym się w jej myślach zwoju, migawki z życia po opuszczeniu domu. Wioska w Certando. Dym nad Avalorze widziany z wysoko położonych, odległych pól. Mężczyzna – nawet nie pamiętała jego imienia – który chciał się z nią ożenić. Inni, którzy brali ją do łóżka w tamtym pokoiku na górze. „Pod Królową” w Stevanien. Arduini. Rhamanus wywożący ją na pokładzie rzecznej galery. Otwarte morze. Chiara. Scelto.

Brandin.

I tak, kiedy przyszedł koniec, to on znalazł się w jej myślach. Ponad trudnymi, szybko zmieniającymi się obrazami z przestrzeni ponad tuzina lat Dianora nagle znów usłyszała jego ostatnie słowa na molo. Słowa, które starała się wypchnąć ze świadomości, których starała się nawet nie słyszeć czy nie zrozumieć ze strachu przed tym, jak mogłyby wpłynąć na jej postanowienie. Ze strachu przed tym, co mógłby zrobić Brandin.

„Wróć do mnie, miłości moja” – szepnął wtedy. „Stevan nie żyje. Nie mogę stracić was obojga, bo inaczej umrę”.

Nie chciała tego słyszeć. Słowa miały moc, słowa starały się zmienić człowieka, budować mosty tęsknoty, po których nikt tak naprawdę nie mógł przejść.

„Bo inaczej umrę”.

Dianora wiedziała, że mówił prawdę; nie mogła nawet próbować temu zaprzeczyć. Wiedziała, że Brandin umrze. Że jej fałszywa, szczęśliwa wizja Brandina żyjącego gdzie indziej, czule ją wspominającego, jest po prostu kolejnym kłamstwem w jej duszy. Nie zrobiłby nic podobnego. Powiedział do niej: „miłości moja”. Wiedziała – o bogowie, jak dobrze ona i jej ojczyzna wiedziała – co dla tego człowieka znaczy miłość, jak głębokie jej pokłady ma w sobie.

Jak głębokie. Słyszała teraz w uszach potężny szum, spowodowany ciśnieniem wody tak

daleko pod powierzchnią morza. Czowała, że zaraz jej pękną płuca. Z trudem odwróciła głowę.

Wydawało jej się, że coś tam jest obok niej w ciemności. Szybko poruszająca się postać w głębi morza. Cień kształtu, nie wiedziała, człowieka czy boga. Tak głęboko nie mógł to jednak być człowiek. Nie tak daleko od światła i fal, i nie tak świetlisty.

To kolejna wizja, powiedziała sobie w duchu. Ostatnia. Postać wydawała się powoli od niej oddalać, otoczona światłem niby aureolą. Dianora była już wyczerpana. Czowała ból, tęsknotę, przemożne pragnienie ukojenia. Chciała popłynąć za tym łagodnym, niewiarygodnym światłem. Chciała odpocząć, wolna od rozterek, udreń i pożądania.

Wtem zrozumiała, a przynajmniej tak jej się wydało. Ta postać to musi być Adaon. To na pewno przyszedł po nią bóg. Odwrócił się jednak od niej. Oddalał się w ciemność morskich głębin, a wraz z nim zniknęła delikatna poświata.

Nie należała do niego. Jeszcze nie teraz.

Spojrzała na swoją dłoń. W nikłym świetle prawie nie było na niej widać pierścienia. Czowała go jednak i wiedziała, do kogo należy. Wiedziała.

Głęboko w mroku morza, straszliwie daleko od świata, w którym żyli i oddychali powietrzem śmiertelnicy, Dianora zawróciła. Wyrzuciła ręce nad głowę, zetknęła i rozdzieliła dłonie, rozcinając wodę, wyrzucając ciało niczym włócznię przez wszystkie warstwy morza, ciemnozielonej śmierci, ku życiu i wszystkim przepaściom pełnym powietrza, światła i miłości.

* * *

Kiedy Devin zobaczył, jak kobieta wynurza się nad powierzchnię morza, zapłakał. Zapłakał, nim jeszcze zobaczył błysk złota na uniesionej w górę, drżącej ze zmęczenia dłoni. Pierścień dostrzegli wszyscy.

Ocierając mokre oczy, krzycząc na całe gardło wraz z innymi na statku, na wszystkich statkach, w całym porcie Chiary, zobaczył coś jeszcze.

Brandin z Ygrathu, który nazwał się Brandinem di Chiara, padł na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Ramiona trzęsły mu się od niepohamowanego szloch. Devin wtedy zrozumiał, jak bardzo się przedtem mylił, zrozumiał, że nie jest to człowiek zadowolony i szczęśliwy tylko dlatego, że udał mu się jakiś plan.

Kobieta bardzo wolno podpłynęła do mola. Kapłan i kapłanka pośpieszyli z pomocą. Pomogli jej wyjść z wody, podtrzymali ją i owinęli drżące ciało w biało-złocistą szatę. Ledwo trzymała się na nogach. Devin zobaczył jednak przez łzy, że odwracając się do Brandina i podając mu drżącą ręką pierścień, uniosła wysoko głowę.

I zobaczył, jak król, ten tyran, czarnoksiężnik, który zniszczył ich swoją straszliwą mocą, delikatnie i z czułością bierze kobietę w ramiona, zdradzając tym gestem zbyt długo tłumioną

potrzebę.

* * *

Alessan zdjął siedzące mu na ramionach dziecko i ostrożnie postawił je na ziemi obok matki. Kobieta uśmiechnęła się do niego. Jej jasne włosy pasowały do żółtej sukni. Alessan odwzajemnił uśmiech, ale odwrócił się. Od niej, od mężczyzny i kobiety gorączkowo obejmujących się obok. Zbierało mu się na mdłości. W całym porcie powstał radosny chaos. Żołądek Alessana buntował się. Książę zamknął oczy, walcząc z mdłościami i zawrotem głowy, z nawałą uczuć.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył błazna – powiedziano mu, że ma na imię Rhun. Widok błazna, tego zastępcy, który przy królu nie hamującym własnych uczuć, tulącym kobietę z tak wyraźną determinacją, wydawał się nagle pusty i wydrażony, wzbudzał u niego głęboki niepokój. Był w nim tępy, potężny smutek, stanowiący w ogólnej radości wyraźny dysonans. Wśród wrzawy, szlochów i śmiechu Rhun stanowił nieruchomy, milczący punkt odrętwienia.

Alessan patrzył na zgarbioną, łysiejącą postać o dziwnie zdeformowanej twarzy i poczuł niejasne, dezorientujące powinowactwo z tym człowiekiem. Jakby byli ze sobą związani, choćby tylko przez niewiedzę, jak na to wszystko zareagować.

On musi mieć osłonę, po raz dziesiąty, dwudziesty, powtórzył w myślach Alessan. Musi. Znów spojrzał na Brandina, po czym odwrócił wzrok, czując bolesny zamęt i żal.

Przez ile lat w Ouilei wymyślał wraz z Baerdem młodzieńcze plany przybycia na Chiarę? Planu napaści na tyrana, zabicia go, a potem wykrzyczenia imienia Tigany, rzucenia go z powrotem w świat.

A tego ranka, teraz, stoi zaledwie piętnaście stóp od niego, niepodejrzewany, nieznany, ze sztyletem u pasa i tylko jednym rzędem ludzi oddzielającym go od człowieka, który torturował i zabił jego ojca.

On musi mieć osłonę przeciwko klindze.

Rzecz jednak w tym, że Alessan nie mógł mieć pewności. Nie sprawdził, nie spróbował. Stał i patrzył. Obserwował. Realizował własny plan wpływania na wydarzenia, kierując je ku jakiejś większej abstrakcji.

Bolały go oczy, czuł za nimi tępe pulsowanie, jakby słońce świeciło zbyt jasno. Kobieta w żółtej sukni nie odeszła, wciąż patrzyła na niego spod oka z niedwuznaczną miną. Nie wiedział, gdzie znajduje się ojciec dziecka, ale było jasne, że kobieta w tej chwili o to nie dba. Z właściwą sobie przewrotnością pomyślał, że ciekawie byłoby się dowiedzieć, ile dzieci narodzi się w Chiarze za dziewięć miesięcy.

Jeszcze raz uśmiechnął się obojętnie do kobiety i wymruczał jakieś przeprosiny, po czym

zaczął się wycofywać poprzez rozradowany, rozkrzyczany tłum do gospody, gdzie ich trójka zatrzymała się trzy dni temu, płacąc za pokój graniem i śpiewaniem. Pomyślał, że muzyka może mu teraz pomóc. Bardzo często pomagała mu tylko ona. Cały czas od chwili, kiedy kobieta po tak długiej chwili wynurzyła się z wody z pierścieniem na palcu, serce biło mu dziwnie szybko.

Znajdowała się pod wodą tak długo, że Alessan zaczął się zastanawiać, czy mógłby jakoś wykorzystać zamęt i strach, jaki nastąpiłby po jej śmierci.

Ona jednak wypłynęła o własnych siłach, wszyscy ją widzieli. Brandin z Ygrathu, trwający w bezruchu od chwili, kiedy wskoczyła do wody, padł wtedy na kolana, jakby został powalony potężnym ciosem. Tłum zareagował rykiem.

A Alessanowi było niedobrze i czuł beznadziejny zamęt w sercu. Po całym porcie i po statkach przebiegały fale okrzyków tryumfu i entuzjazmu.

W porządku, mówił do siebie, przepychając się obok roztańczonego kręgu ludzi. To pasuje, to da się dopasować. Wszystko wchodzi na swoje miejsce. Jak planowałem. Będzie wojna. Staną naprzeciwko siebie. W Senzio. Tak jak planowałem.

Jego matka nie żyła. Stał o piętnaście stóp od Brandina z Ygrathu ze sztyletem za pasem.

Na placu było tak jasno i o wiele za głośno. Ktoś chwycił go za rękę i usiłował wciągnąć do roztańczonego kręgu. Wyrwał się. Wpadła na niego jakaś kobieta i zanim zdążył wyplatać się z jej uścisku, ucałowała go prosto w usta. Nie znał jej. Nikogo tu nie znał. Przeciskał się przez ciżbę, kluczył, potykał się, usiłując – jak korek unoszony prądem – iść w kierunku „Pod Triallą”, gdzie czekał na niego pokój, wino i muzyka.

Kiedy w końcu dotarł do gospody, Devin tkwił już przy zatłoczonym kontuarze. Erleina jeszcze nie było. Pewnie został na statku, trzymając się jak najdalej od Brandina. Jakby czarnoksiężnik miał teraz ochotę ścigać czarodziejów.

Devin na szczęście nic nie powiedział. Pchnął tylko w kierunku Alessana dzban wina i pełny kielich. Książę wypił go bardzo szybko, zaraz nalał i wypił drugą porcję. Nalał sobie trzeci kielich i umoczył w nim usta, ale Devin dotknął jego ręki i Alessan doznał prawie fizycznego wstrząsu, uświadamiając sobie, że zapomniał swojej przysięgi. Błękitne wino. Trzeci kielich.

Odsunął dzban i ukrył twarz w dłoniach.

Obok niego sprzeczało się dwóch mężczyzn.

– Naprawdę chcesz to zrobić? Jesteś zrodzonym z kozła głupcem! – warknął pierwszy.

– Wstępuję do armii – odpowiedział drugi z wyraźnym akcentem z Asoli. – Po tym, co zrobiła dla Brandina ta kobieta, uważam, że cieszy się on łaską bogów. A ktoś, kto nazywa sam siebie Brandinem di Chiara, jest o niebo lepszy od tego rzeźnika z Barbadoru. Boisz się, przyjacielu, walki?

Pierwszy mężczyzna roześmiał się skrzekliwie.

– Ty tępy durniu – zaczął naśladować wymowę Asolczyka. – „Po tym, co zrobiła dla

Brandina ta kobieta”. Wszyscy wiemy, co dla niego robiła, noc w noc. To dziwka tyrana. Spędziła dwanaście lat, kopulując z człowiekiem, który pokonał nas wszystkich. Rozkładała przed nim nogi dla własnych korzyści. A teraz ty – wy wszyscy – robicie sobie z dziwki królową.

Alessan uniósł głowę. Przesunął stopy, szukając lepszego oparcia. Następnie bez jednego słowa uderzył pięścią w twarz mówiącego, wkładając w ten cios całą siłę. Usłyszał chrzęst pękających kości; mężczyzna wpadł tyłem na bar, rozrzucając z trzaskiem kieliszki i butelki. Posypało się szkło.

Alessan spojrział na swoją dłoń, która już zaczynała puchnąć. Kłykcie miał zakrwawione. Zastanawiał się, czy czegoś sobie nie złamał, a także czy zostanie wyrzucony z sali, czy może zapłaci za swoją głupotę udziałem w ogólnej bijatyce.

Nic takiego się nie stało. Asolczyk, który oznajmił swoją gotowość do wzięcia udziału w wojnie, mocno i radośnie klepnął go w plecy, a właściciel „Pod Triallą” – ich pracodawca – uśmiechnął się szeroko, zupełnie nie zwracając uwagi na kawałki szkła zaścielające kontuar.

– Miałem nadzieję, że ktoś zamknie mu gębę! – ryknął, przekrzykując panujący w sali hałas. Do Alessana podszedł jakiś człowiek i uścisnął mu rękę, która straszliwie go zaboląła. Trzech innych gości głośno proponowało, że postawią mu wino. Czterech innych podniosło nieprzytomnego mężczyznę i zaczęło go bezceremonialnie wynosić w poszukiwaniu pomocy medycznej. Ktoś splunął na jego rozbitą twarz.

Alessan odwrócił się z powrotem do kontuaru. Stał przed nim pojedynczy kielich astibarskiego błękitnego. Zerknął na Devina, który jednak nic nie powiedział.

– Tigano – mruknął pod nosem. Stojący za nim corteański i marynarz wyrzycał słowa aprobaty i zmierzwił mu włosy, a ktoś inny przepchnął się, żeby klepnąć go po plecach. – Och, Tigano, niech moje wspomnienie o tobie będzie niczym nóż wbity w moje serce.

Wysączył wino. Ktoś – nie Devin – natychmiast sięgnął po jego kielich, by cisnąć nim o podłogę. Oczywiście inni natychmiast poszli za tym przykładem. Tak szybko, jak pozwalała mu na to przyzwoitość, Alessan wyszedł z sali i udał się na górę. Nie zapomniał po drodze dotknąć z wdzięcznością ramienia Devina. W pokoju zastał Erleina. Czarodziej leżał na łóżku z rękoma pod głową i wzrokiem wbitym w sufit. Spojrział na Alessana, a w jego oczach zagościła szczerza ciekawość,

Alessan nic nie powiedział. Rzucił się na posłanie i zamknął wciąż bolące oczy. Wino oczywiście wcale nie pomogło. Nie potrafił przestać myśleć o tej kobiecie, o tym, co zrobiła i jak wyłoniła się z morza niczym jakaś nadprzyrodzona istota. Nie potrafił wyrzucić z myśli obrazu tyrana Brandina padającego na kolana i ukrywającego twarz w dłoniach.

Ukrywał oczy, lecz stojący w odległości zaledwie piętnastu stóp Alessan zdążył zobaczyć gorejącą w nich potężną ulgę i płomień miłości niczym białe światło spadającej gwiazdy,

Dłoń strasznie go bolała, lecz poruszył nią ostrożnie i stwierdził, że chyba nic sobie nie złamał. Naprawdę nie mógł powiedzieć, dlaczego powalił tamtego człowieka. Wszystko, co powiedział o tej kobiecie z Certando, było prawdą, ale nie prawda rzeczywistą. Cały ten dzień okazał się niemożliwie wprost zagmatwany.

Nieoczekiwanie taktowny Erlein chrząknął w sposób sugerujący, że chce o coś zapytać,

– Tak? – odezwał się Alessan ze znużeniem w głosie, nie otwierając oczu.

– Chciałeś właśnie takiego obrotu wydarzeń, prawda? – zapytał czarodziej z niezwykle u niego wahaniem.

Alessan z wysiłkiem otworzył oczy i spojrzał na niego. Erlein podpierał się na łokciu z zamyśloną, złagodniałą twarzą.

– Tak, tego chciałem – odparł w końcu książę. Erlein powoli skinął głową.

– A zatem oznacza to wojnę. W mojej prowincji.

Alessanowi wciąż pulsowało w głowie, ale mniej niż przedtem. Na górze było ciszej, chociaż hałas z dołu wciąż był słyszalny – przytłumiony, ciągły pomruk świętowania.

– Tak, w Senzio – powiedział.

Poczuł straszliwy smutek. Tyle lat planowania, a teraz, kiedy się tu znaleźli, co osiągnęli? Jego matka nie żyje. Przed śmiercią go przeklęła, ale pozwoliła mu ująć się za rękę przed samym końcem. Co to oznaczało? Czy można by to odczytać tak, jak tego pragnął?

Znajdował się na Wyspie. Widział Brandina z Ygrathu. Co powie Baerdowi? Cienki sztylet u jego boku ciążył mu niczym miecz. Ta kobieta była o wiele piękniejsza, niż się spodziewał. Devin musiał mu dać błękitne wino – trudno mu było w to uwierzyć. Przed chwilą brutalnie pobił niewinnego człowieka, rozbił mu twarz. Pomyślał, że naprawdę musi strasznie wyglądać, skoro nawet Erlein odnosi się do niego z taką łagodnością. Szli na wojnę w Senzio. Powtórzył sobie w duchu: Tak, tego właśnie chciałem.

– Tak mi przykro, Erleinie – zaryzykował, starając się otrząsnąć ze smutku.

Przygotował się na zjadliwą odpowiedź, prawie jej pragnął, ale Erlein początkowo w ogóle się nie odezwał. Kiedy zaś przemówił, jego głos był łagodny.

– Chyba już czas – powiedział tylko tyle. – Zejdziemy na dół zagrać? Czy to ci pomoże?

„Czy to ci pomoże?” Od kiedy jego ludzie – szczególnie Erlein – muszą się nim tak opiekować?

Zeszli do sali. Devin czekał na nich na prowizorycznej scenie pod ścianą. Alessan wziął do ręki swoją tregeańską fletnię. Prawa dłoń bolała i była spuchnięta, ale to nie powstrzyma go przed graniem. Bardzo teraz potrzebował muzyki. Zamknął oczy i zaczął grać. W zatłoczonej sali zapadła cisza. Erlein czekał z rękoma znieruchomiałymi na harfie, podobnie jak Devin, dając Alessanowi przestrzeń, w której mógłby się wznieść samotnie ku tej wysokiej nucie, gdzie na bardzo krótką chwilę uwolni się od zamętu, bólu i miłości, śmierci i tęsknoty.

Rozdział 18

Zwykle, gdy wychodziła na blanki swego zamku o zachodzie słońca, to po to, by popatrzeć na południe, na grę światła i zmieniające się kolory nieba wysoko ponad szczytami gór. Ostatnio jednak, kiedy wiosna powoli zmieniała się w lato, na które wszyscy tak czekali, Alienor zaczęła wspinać się na północne blanki, gdzie chodziła po pomoście dla straży lub opierała się o chłodny, szorstki kamień i patrzyła w dal, otulona w ciepły szal, bo po zachodzie słońca wciąż jeszcze było chłodno.

Jakby rzeczywiście mogła dotrzeć wzrokiem aż do Senzio.

Szal był nowy. Przywieźli go posłańcy z Quilei, którzy przybyli zgodnie z zapewnieniem Baerda. Posłańcy, którzy wieźli wieści, mogące – jeśli wszystko pójdzie dobrze – wywrócić cały świat do góry nogami. Nie tylko Dłoń, ale i Barbadior, gdzie podobno umierał imperator, oraz Ygrath i samą Quileię, gdzie to, co właśnie robił dla nich Marius, mogło sprowadzić nań śmierć.

Quilejscy posłańcy zatrzymali się po drodze do fortu Ortiz, by zgodnie z wymaganiami etykiety złożyć uszanowanie pani na zamku Borso i wręczyć jej dar od nowego króla Quilei: szal koloru indygo, którego to koloru w tej części Dłoni właściwie nie można było znaleźć, a który, jak wiedziała, oznaczał w Quilei szlachectwo. Było oczywiste, że Alessan sporo opowiedział temu Mariusowi o ich wieloletnim związku. W porządku. Wyglądało na to, że Marius z Quilei jest jednym z nich; w gruncie rzeczy, co wyjaśnił jej Baerd po południu tego dnia, kiedy Alessan pojechał na przełęcz Braccio, a potem dalej na zachód, Marius jest kluczem do wszystkiego.

W dwa dni po odjeździe Quileian Alienor nabrała zwyczaju wiosennych przejażdżek, podczas których zapuszczała się niepostrzeżenie tak daleko od Borso, że kilka razy musiała prosić o nocleg w sąsiednich zamkach. Przekazywała wtedy dość szczególną wiadomość kilku równie szczególnym osobom.

Senzio. Przed letnim przesileniem.

Niedługo potem do zamku Borso przyjechał handlarz jedwabiami, a wkrótce śpiewak, który jej się spodobał, przynosząc wieści o ogromnych ruchach barbadiorskich wojsk. Powiedzieli, że drogi są całkowicie zablokowane przez maszerujących na północ najemników. Alienor uniosła brwi w pełnym zaskoczenia zdumieniu, lecz w oba wieczory pozwoliła sobie na więcej wina niż zwykle, a później wynagrodziła obu mężczyzn – na swój własny sposób.

Stojąc teraz na blankach zamku o zachodzie słońca, usłyszała kroki na schodach za sobą. Czekala na nie.

Nie odwracając się, powiedziała:

– Spóźniłaś się. Słońce niemal już zaszło.

Była to prawda: niebo i cienkie, oświetlone od spodu chmury na zachodzie ściemniały,

przeszły od różu poprzez szkarłat i fiolet aż do indygo spowijającego ramiona Alienor.

Elena wyszła na pomost dla straży.

– Przepraszam – rzekła niepotrzebnie. Zawsze przepraszała, wciąż niepewnie czując się na zamku. Podeszła do Alienor i spojrzała w ciemność zapadającą nad wiosennymi polami. Długie, jasne włosy leżały wachlarzem na jej ramionach, a wiatr igrał z ich końcami.

Była tu pod pretekstem służenia Alienor jako nowa dama dworu. Sprowadziła się do Borso z dwojgiem dzieci i nielicznym dobytkiem drugiego ranka po zakończeniu Dni Żaru. Uznano, że powinna się tu zadomowić na długo przedtem, nim będzie potrzebna. Trudno uwierzyć, ale wydawało się, iż rzeczywiście może nadejść czas, kiedy jej obecność w zamku będzie pożądana.

Tomaz, ten chudy, podstarzały kharduński wojownik powiedział, że ktoś z nich będzie musiał tu zostać. Tomaz, który najwyraźniej wcale nie pochodził z Khardhun i który równie wyraźnie nie miał ochoty powiedzieć, kim naprawdę jest. Alienor to nie obchodziło. Ważne było to, że Baerd i Alessan mu ufają, a w tej kwestii Baerd bez zastrzeżeń zgodził się z opinią ciemnoskórego mężczyzny o zapadłych policzkach.

– Ktoś z nich? To znaczy z kogo? – zapytała wtedy Alienor. Byli sami we czwórce: ona, Baerd, Tomaz i ta rudowłosa dziewczyna, której się nie spodobała, Catriana.

Baerd długą chwilę się wahał.

– Ktoś spośród Nocnych Wędrowców – powiedział w końcu.

Uniosła na te słowa brwi. Owym lekkim ruchem pokazała, że tylko tyle chce ujawnić ze swego wewnętrznego zdumienia.

– Naprawdę? Tutaj? Wciąż jeszcze istnieją?

Baerd skinął głową.

– I tam właśnie byłeś, kiedy wyszedłeś zeszłej nocy?

Po sekundzie Baerd znów skinął głową.

Catriana zamrugała oczyma z wyraźnym zaskoczeniem. Jest sprytna i naprawdę piękna, pomyślała Alienor, ale wciąż musi się jeszcze dużo uczyć.

– A co takiego robiłeś? – zapytała Baerda Alienor.

Tym razem jednak potrzęsnał głową, odmawiając odpowiedzi. Spodziewała się tego. Baerd wyznaczał granice i próby wybadania, gdzie leżą, sprawiały Alienor przyjemność. Pewnej nocy dziesięć lat temu odkryła, którą dokładnie przebiega granica jego prywatności, przynajmniej w jednym wymiarze. Być może to dziwne, ale od tego czasu ich przyjaźń się pogłębiła.

Teraz niespodziewanie uśmiechnął się.

– Oczywiście mogłabyś przyjąć tu wszystkich, a nie tylko jedną osobę.

Skrzywiła się z tylko częściowo udawanym niesmakiem.

– Jedna osoba wystarczy, dzięki. Zakładając, że wystarczy to też do waszych celów, jakiegokolwiek by one były. – Ostatnie słowa skierowała do starca przebranego za kharduńskiego

wojownika. Barwa jego skóry była naprawdę dobrze zrobiona, lecz Alienor doskonale знаła sztuczki Baerda. W ciągu tych wszystkich lat pokazywał się tu z Alessanem w różnych przebraniach.

– Nie jestem całkowicie pewien, jakie są nasze cele – odparł wtedy szczerze Tomaz. – Jeżeli jednak potrzebujemy wsparcia w tym, co według Baerda powinniśmy przynajmniej spróbować osiągnąć, to obecność w zamku jednej osoby powinna wystarczyć.

– Do czego? – spróbowała jeszcze raz, w gruncie rzeczy nie spodziewając się odpowiedzi.

– Do tego, żebym mógł swoją magią sięgnąć aż tutaj – odparł bez ogródek Tomaz.

Tym razem to ona zamruła powiekami, a Catriana wyglądała na nieporuszoną. Alienor stwierdziła później, że było to niesprawiedliwe, bo dziewczyna musiała wiedzieć, że stary jest czarodziejem. Dlatego nie zareagowała. Alienor miała na tyle poczucia humoru, żeby bawić się ich gierkami, a nawet odczuwać pewien żal po wyjeździe Catriany.

W dwa dni później przybyła Elena. Baerd powiedział, że to będzie kobieta. Poprosił Alienor o zaopiekowanie się nią. Na te słowa też uniosła brwi.

Stojąc na północnych blankach, zerknęła w bok. Elena przysła bez płaszcza i mocno przyciskała dłońmi łokcie do ciała.

Czując niezrozumiałą irytację, Alienor gwałtownie zdjęła szal i otuliła nim ramiona Eleny.

– Powinnaś już nabrać rozumu – powiedziała ostro. – Kiedy słońce zachodzi, robi się tu chłodno. – Przepraszam – powtórzyła Elena, robiąc szybki ruch, jakby chciała zdjąć szal. – Ale tobie będzie teraz zimno. Zejdę na dół i coś sobie przyniosę.

– Zostań tu! – warknęła Alienor. Elena zamarła z lękiem w oczach. Alienor spojrzała ponad nią, ponad ciemniejącymi polami i błyskami światła tam, gdzie w leżących poniżej domach i gospodarstwach zapalano świece i ogień. Posyłała spojrzenie pod pierwszymi gwiazdami wieczoru na północ, sięgając wyobraźnią dalej niż wzrokiem do miejsca, gdzie teraz lub już wkrótce zbiorą się inni.

– Zostań tu – powtórzyła, już łagodniej. – Zostań ze mną. Elena spojrzała na nią w ciemności szeroko rozwartymi oczyma. Miała poważną, zamyśloną twarz. Niespodziewanie uśmiechnęła się. A potem, co było jeszcze bardziej zdumiewające, przysunęła się do Alienor i wzięła ją pod ramię, przyciągając do siebie. Alienor na sekundę zeszywniała, po czym rozluźniła się, przytulona do Eleny. Poprosiła ją o towarzystwo. Poprosiła o nie po raz pierwszy od wielu, bardzo wielu lat. Był to zupełnie inny rodzaj intymności. Ostatnio miała wrażenie, jakby kruszyło się w niej coś sztywnego i twardego. Tyle lat czekała na to lato, na to, co ono mogło oznaczać.

Co powiedział ten młodzieniec, Devin? Ze można otrzymać coś więcej niż przelotne pożądanie, jeśli tylko się wierzy, że się na to zasłużyło. Od czasu, kiedy Cornaro z Borso zginął w walce z Barbadiorem, nikt jej nigdy nie powiedział czegoś takiego. Wtedy to, w czarnym

okresie po jego śmierci młoda wdowa, mieszkająca w wysokogórskim zamku samotnie ze swym żalem i gniewem, weszła na drogę ku temu, czym się później stała.

Devin odjechał z Alessanem. Teraz pewnie też już są na północy. Alienor spojrzała w przestrzeń, wypuszczając myśli niczym ptaki pędzące lotem strzały przez mrok, przez mile oddzielające ją od miejsca, w którym wszystko się zadecyduje, gdy nadejdzie pełnia lata.

Z ciemnymi i jasnymi włosami zmieszanymi przez wiatr dwie kobiety przez dłuższy czas stały na wysokich murach zamku, dzieląc się ciepłem, nocą i oczekiwaniem.

* * *

Od dawna mówiono, czasem z drwiną, a czasem ze zdumieniem graniczącym z grozą, że wraz z letnim ociepleniem rośnie temperatura nocnych namiętności w Senzio. Hedonistyczne zamięłowania tej północnej prowincji, cieszącej się żyzną glebą i łagodnym klimatem, były przysłowiowe w całej Dłoni, a nawet za morzem. W Senzio można było dostać wszystko, czego dusza zapragnie, jeśli tylko chciało się za to zapłacić. I walczyć z innymi o utrzymanie tego, jak często dodawali znawcy tematu.

Pod koniec wiosny tego roku można było pomyśleć, że rosnące napięcie i wyczuwalna groźba wojny ochłodzią nocny zapał Senzian – oraz nie kończący się strumień ich gości – do wina, miłości w rozmaitych kombinacjach oraz bójek na ulicach i w karczmach.

Ktoś rzeczywiście mógłby tak pomyśleć, lecz nie byłby to ktoś znający Senzio. Właściwie wydawało się, że zbliżające się oznaki katastrofy – Barbadiorczyki gromadzili się złowrogo na granicy z Ferraut, a coraz większa liczba statków z ygratheńskiej floty zarzucała kotwicę przy wyspie Farsaro u północno-zachodniego skraju prowincji – jedynie potęgują nocne szaleństwa w mieście Senzio. Tutaj nie było godziny policyjnej – miasto nie znało jej od setek lat. I chociaż w przeciwległych skrzydłach zamku, zwanego teraz Zamkiem Gubernatora, zamieszkali z całą pompą wysłannicy obu najeźdźczych mocarstw, Senzianie wciąż chęlni się, że są jedyną wolną prowincją Dłoni.

W czasie kiedy cały półwysep przygotowywał się do pożogi, z każdym dniem i każdą rozwiązłą nocą przechwałki te brzmiały coraz fałszywiej.

W obliczu nacierającej zewsząd rzeczywistości miasto Senzio jedynie wzmogło i tak szalone już tempo swych mrocznych godzin. Legendarne przybytki pijaństwa, jak „Czerwona Rękawiczka” czy „Thetaph”, co noc wypełniały tłumy spoconych, rozkrzyczanych klientów, pijących mocne alkohole o zawyżonych cenach, a przez labirynt ich dusznych pokoi na piętrze przelewał się nieprzerwany strumień męskich i damskich ciał wystawianych na sprzedaż.

Karczmarze, którzy z różnych przyczyn nie handlowali miłością, przyciągali klientów czymś zupełnie innym. Właścicielowi zajazdu „U Solinghiego”, położonego niedaleko zamku, dobre

jedzenie, przyzwoite wina i piwa oraz czyste pokoje do spania przynosiły przyzwoite, acz nie oszałamiające dochody, które zapewniali mu głównie kupcy nie mający chęci na nocne uciechy ciała czy choćby na spanie i jedzenie wśród tego całego zepsucia. Solinghi szczylił się też tym, że o każdej porze dnia i nocy można było usłyszeć u niego najlepszych muzyków w mieście.

W tej właśnie chwili, tuż przed porą kolacji pewnego dnia pod koniec wiosny, klienci przy barze i stołach prawie pełnego zajazdu rozkoszowali się muzyką dość nieprawdopodobnego tria: senziańskiego harfiarza, fletniarza z Astibaru i młodego asolskiego tenora, który – według krążących od paru dni plotek – był tym samym śpiewakiem, który zeszłej jesieni zniknął po uroczystościach pogrzebowych Sandre d' Astibar.

Owej wiosny po Senzio krążyły plotki wszelkiego autoramentu, ale tej wierzyli nieliczni: naprawdę cudowny śpiewak w żadnym wypadku nie występowałby w tak pospiesznie skleconym zespole. Młody tenor miał jednak rzeczywiście wyjątkowy głos, a gra pozostałej dwójki dorównywała mu pięknem. Solinghi di Senzio był bardzo zadowolony z ich wpływu na ruch w interesie przez ostatni tydzień.

Prawdę mówiąc, zatrudniłby ich i dał im pokój na górze nawet wtedy, gdyby ich muzyka przypominała wycie goniących się psów. Solinghi od prawie dziesięciu lat był przyjacielem ciemnowłosego mężczyzny, który nazywał się teraz Adreano d' Astibar. Przyjacielem, a także czymś więcej: tak się składało, że prawie połowa gości odwiedzających zajazd tej wiosny przyjechała do Senzio specjalnie po to, żeby spotkać się z tymi muzykami. Solinghi trzymał język za zębami, nalewał wino i piwo, nadzorował kucharzy i dziewczki służebne i co noc przed snem modlił się do Eanny od Świąteł, żeby Alessan wiedział, co robi.

Tego popołudnia rytm wybijany na barze przez rozochoconych słuchaczy certandańskiej ballady, żywiołowo wykonywanej przez młodego tenora, został zakłócony gwałtownym otwarciem drzwi wejściowych, w których stanęła spora grupa nowych gości. Oczywiście nie było w tym nic niezwykłego. A przynajmniej dopóki śpiewak w połowie refrenu nie krzyknął z radości, fletniarz szybko nie odłożył instrumentu i nie zeskoczył z podium, a harfiarz nie opuścił harfy i nie poszedł w jego ślady, choć nieco wolniej.

Gdyby wśród przybyszów nie znajdowały się dwie niezwykle atrakcyjne młode kobiety, jedna o krótko obciętych, rudych włosach, a druga kruczoczarna, to entuzjazm, z jakim zaczęły się witać obie grupy, pozwoliłby na podstawie senziańskich doświadczeń wyciągnąć obecnym dość cyniczne wnioski co do natury rozradowanych mężczyzn. Nawet harfiarz, niezwykle ponury, wiecznie skrzywiony człowiek, został prawie wbrew swojej woli wciągnięty do koła, gdzie omal nie zmiażdżył go w uścisku górujący nad pozostałymi wzrostem kościsty kharduński najemnik.

Po chwili odbyło się jeszcze jedno powitanie. Miało ono zupełnie inny wydźwięk, który przytłumił wesołość nawet tej nowo powstałej grupy. Od jednego ze stołów podniósł się jakiś

mężczyzna i nieśmiało podszedł do przybyłej piątki. Ci, którzy przyglądali się uważnie, widzieli, że drżą mu ręce.

– Baerd? – usłyszeli jego głos.

Nastąpiła chwila ciszy. Następnie zagadnięty mężczyzna odpowiedział: – Naddo? – tonem, który potrafiłby zinterpretować nawet najniewinniejszy Senzianin. Resztki wątpliwości w tym względzie zostały rozwiane w sekundę później, gdy ujrzano, w jaki sposób tych dwóch się objęło.

Oni nawet szlochali.

Niejeden mężczyzna patrzący ze szczerym uwielbieniem na dwie kobiety stwierdził, że jeśli wszyscy ci mężczyźni są tacy, to jego szansę na rozmowę z którąś z nich i kto wie, na co jeszcze, mogą być większe, niż wydawało się na początku.

* * *

Od Tregi Alais trwała w stanie ożywienia, które prawie stale zabarwiała rumieńcem jej bladą cerę. Dziewczyna nawet się nie domyślała, jakiej delikatności nadaje to jej urodzie. Domyślała się natomiast, dlaczego pozwolono jej tu przyjść.

Od chwili, kiedy do „Panny Morskiej” zakotwiczonej w zatoce Tregi zalanej księżycowym blaskiem wróciła szalupa z ojcem Alais, Catrianą i dwoma mężczyznami, na których spotkanie wypłynęli, dziewczyna zdawała sobie sprawę, że chodzi tu o coś więcej niż przyjaźń.

Ciemnoskóry wojownik z Khardhun obrzucił ją taksującym wzrokiem, a potem popatrzył na Rovigo z rozbawieniem malującym się na pobrużdżonej twarzy. Wtedy Rovigo, wahając się tylko przez chwilę, powiedział jej, kto to naprawdę jest. A potem, cicho, lecz z wiarą w córkę, wyjaśnił jej, co ci ludzie, jego nowi wspólnicy, tak naprawdę tu robią i co on sam robił z nimi w tajemnicy przez wiele lat.

Wyglądało na to, że spotkanie z trojgiem muzyków na drodze przed ich domem, podczas Święta Winorośli zeszłej jesieni, nie było tak zupełnie przypadkowe.

Pilnie słuchając, starając się nie uronić ani sylaby czy aluzji, Alais oceniała własną wewnętrzną reakcję na to wszystko i z niepomiernym zadowoleniem odkryła, że się nie boi. Miał z tym wiele wspólnego głos i zachowanie jej ojca oraz fakt, że poddaje jaw ten sposób egzaminowi.

To ten inny mężczyzna – nazywali go Baerdem – powiedział do Rovigo:

– Jeśli naprawdę chcesz się udać z nami do Senzio, będziemy musieli znaleźć na brzegu miejsce, w którym wysadzimy twoją córkę.

– A niby dlaczego? – zapytała szybko Alais, zanim Rovigo mógł odpowiedzieć. Wszystkie oczy zwróciły się na nią i dziewczyna poczuła, że się rumieni. Byli stłoczeni w kabinie jej ojca

pod pokładem.

W blasku świec oczy Baerda wydawały się bardzo ciemne. Wyglądał na twardego, nawet niebezpiecznego mężczyznę, ale kiedy się odezwał, żeby jej odpowiedzieć, jego głos brzmiał łagodnie.

– Ponieważ nie lubię wystawiać ludzi na niepotrzebne ryzyko. To, co zamierzamy uczynić, jest niebezpieczne. Istnieją także przyczyny, dla których chcemy stawić czoło tym niebezpieczeństwom, a pomoc twego ojca i jego ludzi, jeśli im ufa, jest dla nas ważna. Twoja obecność stwarza niepotrzebne niebezpieczeństwo. Czy brzmi to rozsądnie?

Zmusiła się do zachowania spokoju.

– Tak, jeśli uważasz mnie za dziecko, niezdolne do żadnej pomocy. – Przełknęła ślinę. – Mam tyle samo lat, co Catriana, i chyba już rozumiem, co się tutaj dzieje. Co staracie się zrobić. Pragnę... Mogę powiedzieć, że tak samo jak wy pragnę być wolna.

– To prawda. Uważam, że powinna iść z nami. – O dziwo, wypowiedziała owe słowa Catriana. – Baerdzie – ciągnęła jeśli rzeczywiście teraz wszystko się decyduje, nie możemy odmawiać ludziom, którzy czują to samo, co my. Nie mamy prawa kazać im kulić się w domach i czekać na wyjaśnienie tego, czy kiedy skończy się lato, wciąż jeszcze będą niewolnikami.

Baerd patrzył na Catrianę przez długą chwilę, lecz nic nie mówił. Zwrócił się do Rovigo, oddając gestem decyzję jemu. Alais dostrzegła na twarzy ojca troskę i miłość walczące o lepsze z dumą z jej zachowania. Zobaczyła w blasku świec, że ta wewnętrzna walka się kończy.

– Jeśli wyjdziemy z tego żywi – powiedział Rovigo d’Astibar do swej córki, swego życia, swej radości życia – twoja matka mnie zabije. Wiesz o tym, prawda?

– Będę się starała cię obronić – odparła poważnie Alais, chociaż serce waliło jej szaleńczo.

Wiedziała, że to sprawa ich rozmowy przy relingu. Bez cienia wątpliwości. Wtedy, kiedy patrzyli razem na oświetlone księżycowym blaskiem skały po sztormie.

– Nie wiem, co to jest – powiedziała wtedy – ale trzeba mi czegoś więcej.

– Wiem – odpowiedział ojciec. – Wiem o tym. Gdybym mógł ci to dać, już byłoby twoje. Świat i gwiazdy Eanny byłyby twoje.

Dlatego – dlatego, że ją kocha i że nie rzucał słów na wiatr – pozwolił jej razem z nimi udać się tam, gdzie miały rozstrzygnąć się losy znanego im świata.

Z tej podróży do Senzio pamiętała szczególnie dwie rzeczy. Pewnego poranka, kiedy płynęli na północ wzdłuż wybrzeża Astibaru, stała przy relingu z Catrianą. Jedna mała wioska, potem następna i jeszcze jedna, dachy domów jasne w słońcu, rybackie łódki kołyszące się na falach między „Panną Morską” i brzegiem.

– To mój dom – powiedziała nagle Catriana, przerywając milczenie, mówiła jednak tak cicho, że słyszała ją tylko Alais. – A ta z niebieskim żaglem to łódka mojego ojca. – Jej głos był

dziwny, oderwany od znaczenia słów.

– Musimy się więc zatrzymać! – mruknęła stanowczo Alais. – Powiem ojcu! Na pewno...

Catrianą położyła jej rękę na ramieniu.

– Jeszcze nie – powiedziała wtedy. – Jeszcze nie mogę się z nim zobaczyć. Potem. Po Senzio. Może.

To było jedno wspomnienie. Drugie, bardzo odmienne, dotyczyło okrążenia pewnego poranka północnego skraju wyspy Farsaro i widoku zakotwiczonych tam statków z Ygrathu i Zachodniej Dłoni. Statków czekających wojny. Wtedy przestraszyła się, bo obraz ten uświadomił jej rzeczywistość, ku której żeglowali, rzeczywistość barwną i zarazem ponurą niczym szara śmierć. Spojrzała wówczas na Catrianę, a potem na ojca i starego diuka Sandre, który teraz nazywał się Tomazem, i u każdego z nich dostrzegła cień zwątpienia i niepokoju. Tylko na twarzy Baerda, starannie liczącego flotyllę, malowało się coś innego.

Gdyby musiała dać temu nazwę, powiedziałaaby z wahaniem, że jest to pożądanie.

Następnego popołudnia przybyli do Senzio, rzucili kotwicę w zatłoczonym porcie, zeszli na brzeg i w ten sposób pod koniec dnia trafili do zajazdu znanego chyba wszystkim innym. Całą piątką weszli w blask radości, który roztoczył się nagle i jasno niczym blask wstającego nad morza słońca.

Devin mocno ją objął i ucałował w usta, a potem zrobił to samo Alessan, który przed chwilą spoglądał badawczo na Rovigo, wyraźnie zaniepokojony jej obecnością. Był z nimi siwowłosa mężczyzna o pociągłej twarzy imieniem Erlein. Podeszło jeszcze kilku mężczyzn – jeden z nich nazywał się Naddo, inny Ducas, a towarzyszył im starszy ślepiec, którego imienia jakoś nie dosłyszała. Chodził, podpierając się wspaniałą laską. Miała niezwykłą główkę w kształcie orlej głowy o tak przenikliwych oczach, że wydawały się niemal zastępować starcowi jego własne.

Podchodzili też inni, wydawało się, że z całego zajazdu. Większości imion nie dosłyszała. Było bardzo głośno. Karczmarz przyniósł im wino: dwie butelki zielonego senziańskiego i jedną błękitnego astibarskiego. Wypiła ostrożnie po małym kieliszku każdego z nich, obserwując wszystkich wokoło i usiłując wydobyć jakąś treść z otaczającego ją gwaru. Zauważyła, że Alessan i Baerd na chwilę odeszli na stronę, a kiedy wrócili do stołu, byli zamyśleni i posepni.

Potem Devin, Alessan i Erlein musieli na godzinę wrócić do muzyki, a przybysze zasiedli do jedzenia. Alais, zarumieniona i niezwykle ożywiona, jeszcze raz przeżywała w duchu dotknięcie ust obu mężczyzn na swoich wargach. Do wszystkich uśmiechała się nieśmiało w obawie, że twarz zdradza jej uczucia.

Potem poszli do swoich pokojów, idąc na górę za szerokimi plecami karczmarzowej. A później, kiedy wszystko już ucichło, Catriana poprowadziła ją z ich pokoju korytarzem do

sypialni Devina, Alessana i Erleina.

Oprócz nich znajdowało się tam też paru innych mężczyzn – niektórych poznała wcześniej, inni byli obcy. Po chwili wszedł jej ojciec z Sandre i Baerdem. Alais i Catriana były tam jedynymi kobietami. Przez chwilę czuła się z tego powodu nieco dziwnie i pomyślała, że jest bardzo daleko od domu, ale nie miała więcej czasu na rozmyślanie, bo wszyscy ucichli. To Alessan, przeczesawszy palcami włosy, zaczął mówić.

Słuchając go w skupieniu, Alais stopniowo wraz z innymi pojęła cały ogrom, przerażający kształt tego, co zamierzał zrobić.

W pewnej chwili przerwał i po kolei spojrzał na trzech mężczyzn. Najpierw na diuka Sandre, potem na okrągłolicęgo Certandańczyka imieniem Sertino siedzącego obok Ducasa, a w końcu, prawie wyzywająco, na Erleina di Senzio.

Zrozumiała, że ci trzej to czarodzieje. Trudno jej się było z tym pogodzić. Szczególnie jeśli chodziło o Sandre. Wygnanego diuka Astibaru. Ich sąsiada w distradzie przez całe jej życie.

Mężczyzna imieniem Erlein siedział na swoim łóżku, opierając się plecami o ścianę, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Oddychał ciężko.

– Teraz jasno widzę, że postradałeś rozum – odezwał się. Głos mu drżał. – Tak długo żyłeś w swoich snach, że straciłeś z oczu świat. A teraz chcesz w swym szaleństwie zabijać ludzi.

Alais zobaczyła, że Devin otwiera usta i szybko je bez słowa zamyka.

– Wszystko to jest możliwe – rzekł Alessan z nieoczekiwaną łagodnością w głosie. – Możliwe, że wkroczyłem na ścieżkę szaleństwa, chociaż ja tak nie uważam. Ale owszem, możliwe, że zginie wielu ludzi. Zawsze o tym wiedzieliśmy; prawdziwym szaleństwem byłoby udawanie, że tak nie będzie. Na razie jednak uspokój swe myśli i daj ukojenie duszy. Wiesz równie dobrze jak ja, że nic się nie dzieje.

– Nic? Jak to? – odezwał się jej ojciec. Alessan skrzywił się.

– Nie zauważyłeś? Byłeś w porcie, szedłeś przez miasto. Widziałeś jakieś barbadiorskie oddziały? Jakichś Ygratheńczyków, żołnierzy z zachodu? Nie dzieje się absolutnie nic. Alberico z Barbadioru zgromadził na granicy całą swoją armię i nie chce jej pchnąć na północ!

– Boi się – rzekł stanowczo Sandre w zapadłej ciszy. – Boi się Brandina.

– Być może – powiedział z namysłem jej ojciec. – Albo jest po prostu ostrożny. Nadto ostrożny.

– To co robimy? – zapytał rudobrody Tregeańczyk zwany Ducasem.

Alessan potrząsnął głową.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. To jedyna rzecz, jakiej się nie spodziewałem. Wy mi powiedzcie. Jak mamy go zmusić do przekroczenia granicy? Jak mamy doprowadzić do wojny?

– Spojrzał na Ducasa, a potem po kolei na wszystkich zgromadzonych w pokoju.

Nikt mu nie odpowiedział.

* * *

Pomyślą, że jest tchórzem. To głupcy. Naprawdę głupcy. Tylko głupiec wyrusza lekką stopą na wojnę. Szczególnie na taką wojnę, w której ryzykuje się cały swój byt dla zysku, a na tym właściwie mu nie zależy. Senzio? Dłoń? A jakież one mają znaczenie? Czy dla nich ma odrzucić dwadzieścia lat swego życia?

Za każdym razem, kiedy z Astibaru przybywał posłaniec, serce biło mu nadzieją. Jeśli umarł imperator...

Gdyby umarł Imperator, on i jego ludzie wyruszyliby. Wyruszyliby z tego zapowietrzonego półwyspu do domu, żeby sięgnąć w Barbadorze po imperatorską tiarę. To właśnie jest jego wojna, wojna, w której chciał wziąć udział. Wojna, która się liczy, jedyna rzecz, która przez te wszystkie lata miała prawdziwe znaczenie. Popłynie do domu z trzema armiami i wydrze tiarę dworakom krążącym tam niczym bezradne, trzepoczące się ćmy.

A potem może przynieść wojnę tutaj z całą nagromadzoną potęgą Barbadoru. Niech wtedy Brandin z Ygrathu czy z Zachodniej Dłoni, obojętne, jak zechce się tytułować, niech wtedy spróbuje stanąć przed Alberico, imperatorem Barbadoru.

O bogowie, jakąż słodycz...

Ze wschodu nie nadchodziła jednak upragniona wiadomość, nie jaśniała jutrzienka nadziei. Rzeczywistość była zatem taka, że Alberico obozował ze swymi najemnikami na granicy między Ferraut i Senzio, przygotowując się do stawienia czoła armiom Ygrathu i Zachodniej Dłoni, wiedząc, że na nich skupi się wzrok całego świata. Jeśli przegra, straci wszystko. Jeśli wygra... cóż, to zależało od kosztów. Jeżeli polegnie zbyt wielu jego ludzi, to jaką armię będzie mógł poprowadzić do domu?

A zbyt wielka liczba poległych stanowiła teraz realną perspektywę. Od czasu wydarzeń w porcie Chiary. Zgodnie z jego przewidywaniami większość ygratheńskiej armii rzeczywiście odpłynęła do domu, osłabiając i odsłaniając Brandina. Dlatego Alberico wykonał ruch, dlatego znajdowały się tu trzy drużyny, a on z nimi. Wypadki zdawały się im wyraźnie sprzyjać.

A potem Certandanka wyłowiła z wody pierścień dla Brandina.

Ta nigdy nie widziana kobieta nawiedzała sny Alberico. Już trzy razy niczym jakiś koszmar wypłynęła na powierzchnię jego życia. Dawno temu, kiedy Brandin przyjął ją do swego saisanu, niemal wciągnęła go w obłąkańczą wojnę. Alberico pamiętał, że Siferval chciał wtedy walczyć. Kapitan Trzeciej Drużyny miał ochotę wdrzeć się do Dolnego Corte i złupić samo Stevanien.

O bogowie. Nawet teraz, po tylu latach Alberico wzdrygnął się na samą myśl o takiej wojnie na dalekim zachodzie z Ygratheńczykami znajdującymi się u szczytu potęgi. Przełknął zniewagę

i przyjął wszystkie szyderstwa wysłane na wschód przez Brandina. Nawet wtedy, tak dawno temu, panował nad sobą, nie spuszczać oka z prawdziwej wygranej w domu.

Gdyby jednak dwa miesiące wcześniej ta sama Dianora z Certando nie uratowała Ygratheńczykowi życia, Alberico mógłby już tej wiosny bez najmniejszego wysiłku zawładnąć Półwyspem Dłoni niczym darem niebios. Spadał mu prosto w ręce: po zabójstwie Brandina wszyscy Ygratheńczycy odpłynęliby do domu, a zachodnie prowincje leżałyby przed nim jak dojrzały, gotowy do zerwania owoc.

Okulawiony król Quilei przekuśtykałby przez góry, żeby ukorzyć się przed Alberico, błagając o nawiązanie potrzebnych mu stosunków handlowych. Nie byłoby wtedy żadnych kwiecistych listów o obawie przed wielką potęgą Ygrathu. Wszystko byłoby takie łatwe, takie... eleganckie.

Nie stało się tak jednak przez tę kobietę. Kobietę z jednej z jego własnych prowincji. Ironia tego wszystkiego aż się skrzyła, paliła mu duszę kwasem. Certando należy do niego, a jedyny powód, dla którego Brandin jeszcze żyje, stanowi Dianora di Certando.

I teraz – po raz trzeci w jego życiu – była jedyną przyczyną, dla której w Zatoce Farsaro kotwiczyła flotylla z zachodu, czekająca na najmniejszy ruch Alberico.

– Jest ich mniej niż nas – donosili codziennie jego szpiedzy. – I nie są tak dobrze uzbrojeni.

„Mniej” – powtarzali w bezmyślnej litanii jego trzech kapitanowie. „Nie tak dobrze uzbrojeni” – mamrotali. „Musimy wykonać ruch” – mówili chórem, a ich kretyńskie twarze majaczyły w jego snach, unosząc się blisko siebie niczym trupioblade księżycy wiszące zbyt nisko nad ziemią.

Anghiar, jego wysłannik mieszkający na Zamku Gubernatora w Senzio, przysłał mu wiadomość, że Casalia wciąż go popiera, że gubernator zdaje sobie sprawę, iż Brandin nie jest tak mocny jak oni. Że dostrzegł korzyści w jeszcze silniejszym ciężeniu ku Barbadorowi. Wysłannik z Zachodniej Dłoni, jeden z nielicznych Ygratheńczyków, którzy postanowili zostać z Brandinem, z każdym dniem miał coraz większe trudności w uzyskaniu audiencji u gubernatora, lecz Anghiar prawie co wieczór jadł kolację z tym pulchnym sybarytą.

Zatem nawet Anghiar, który w ciągu licznych lat swego pobytu w Senzio rozleniwił się, zaczął sobie dogadzać i stoczył się moralnie jak pierwszy lepszy Senzianin, mówił tak, jak wszyscy: Senzio to winnica gotowa do zbiorów! Przybywaj!

Gotowa do zbiorów? Czyż oni nie rozumieją? Czy nikt z nich nie zdaje sobie sprawy, że w grę wchodzi tu czary?

Wiedział, jak silny jest Brandin; w roku, kiedy obaj tu przybyli, chciał go sprawdzić i szybko cofnął się przed mocą Ygratheńczyka, choć wtedy on sam był w szczytowej formie. Nie jak teraz, kiedy był pusty i osłabiony, chromy i z opadającą powieką, po tym jak ledwo uszedł z życiem w tej przeklętej chacie Sandrenich w zeszłym roku. Teraz nie jest już sobą – wiedział to

tylko on, nikt inny. Jeśli przystąpi do wojny, decyzję będzie musiał podjąć w świetle tego faktu. Jego przewaga militarna musi mu wystarczyć do odparcia czarów Ygratheńczyka. Chciał mieć pewność. Chyba każdy, kto nie jest głupcem, widzi, że nie ma to nic wspólnego z tchórzostwem! Jedynie ze starannym rozważaniem zysków i strat, ryzyka i możliwości.

Śniąc w swoim namiocie stojącym na granicy, odrzucał bezmyślne księżycowe twarze swoich kapitanów z powrotem w niebo i pod pięcioma, a nie dwoma księżycami, powoli ćwiartował i bezcześcił rozciągnięte ciało kobiety z Certando.

A potem przychodziło rano. Przezuwając wiadomości niczym stęchłą żywność, znów zaczynał bez końca zmagać się z tą inną sprawą, która dokuczała mu ostatnio jak jątrząca się rana.

Coś było nie tak. W łańcuchu wydarzeń od samej jesieni coś zgrzytało fałszywą, natrętą nutą.

Tutaj, na granicy, otoczony całą swoją armią powinien się czuć, jakby to on dyktował tempo tańca. Jakby zmuszał Brandina i całą Dłoń do ruchów w rytm jego melodii. Jakby po trywialnych, niepokojących wydarzeniach zimy znów przejmował kontrolę. Jakby kształtował wydarzenia tak, by Quileia musiała się do niego zwrócić, by w Imperium nikt nie mógł zlekceważyć jego potęgi, siły jego woli, wspaniałości jego pomysłów.

Tak właśnie powinien się czuć. Jak przez krótką chwilę owego poranka, kiedy usłyszał, że Brandin abdykował w Ygrath. Kiedy rozkazał swoim trzem armiom wyruszyć na północ, na granicę z Senzio.

Coś się jednak od tego dnia zmieniło i było to coś więcej niż sama tylko obecność przeciwnika czekającego w Zatoce Farsaro. Było coś innego, coś tak niejasnego i nieokreślonego, że nie potrafił o tym mówić – nawet gdyby miał go kto wysłuchać – ani umiejscowić, coś, co dokuczało mu niczym stara rana.

Alberico z Barbadioru doszedł do swojej potęgi i osiągnął pozycję, z której mógł sięgnąć po tiarę, nie bez subtelności i rozważań, cały czas ucząc się polegania na swoim instynkcie.

A jego instynkt mówił mu, tu, na granicy, gdzie jego kapitanowie, szpiedzy i wysłannik w Senzio dosłownie błagali go, żeby poderwał wojsko, jego instynkt mówił mu, że coś jest nie tak.

Że nie on gra do tańca. Że robi to ktoś inny. Ktoś inny narzuca kroki tego niebezpiecznego pląsu. Nie miał pojęcia, kto to może być, ale co rano budził się z tym uczuciem i nie potrafił się go pozbyć. W wyjaśnieniu wątpliwości nie pomagało nawet wiosenne słońce i przygraniczna łąka rozedrgana kolorami barbadiorskich sztandarów, kosańców i złotogłówów ani wszechobecny aromat otaczających ją sosen.

Czekał więc, modląc się do swych bogów, by przyszła z domu wiadomość o śmierci, boleśnie świadom, że wkrótce świat może się zacząć z niego śmiać, jeśli się wycofa. Wiedział

przecież od szpiegów pędzących sztafetą na południe, że w Farsaro Brandin z każdym dniem rośnie w siłę; trwał jednak na granicy, trzymany tu przez swoją przebiegłość, instynkt przeżycia, przez tę zadrę wątpliwości. Czekał, aż coś się wyjaśni.

Mimo upływających dni nie chciał tańczyć tak, jak zagra mu ktoś inny, bez względu na to, jak skoczna była muzyka ukrytej fletni.

* * *

Zdrętwiała ze strachu. To było nieskończenie gorsze od mostu w Tregui. Tam zaakceptowała niebezpieczeństwo, ponieważ istniała nadzieja, że przeżyje skok. Na dole była tylko woda, co prawda lodowata, a za zakrętem czekali w ciemności przyjaciele, którzy mieli ją wyciągnąć z rzeki i rozetrzeć odrętwiałe z zimna ciało.

Tego wieczoru było inaczej. Catriana uświadomiła sobie z przerażeniem, że trzęsą jej się ręce. Przystanąła w cieniu zaułka, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Sięgnęła nerwowo pod ciemny kaptur, żeby poprawić fryzurę, i dotknęła palcami wysadzanego klejnotami grzebienia, wpiętego we włosy. Alais, która powiedziała, że zawsze strzyże siostry, wyrównała i wycieniowała podczas podróży statkiem włosy Catriany, pospiesznie obcięte na podłodze sklepu w Tregui. Catriana wiedziała, że wygląda teraz zupełnie przyzwoicie – właściwie lepiej niż przyzwoicie, jeśli reakcje mężczyzn w Senzio przez te kilka ostatnich dni cokolwiek znaczyły.

A musiały coś znaczyć. Właśnie to sprawiło, że znalazła się sama w ciemności, przyciśnięta do szorstkiej, kamiennej ściany, czekając, aż wylot zaułka minie hałaśliwa grupa rozochoconych ludzi. Owa część miasta zaliczała się do lepszych, jako że leżała blisko zamku, lecz dla kobiety samotnie przemierzającej nocą ulice nie było w Senzio naprawdę bezpiecznej dzielnicy.

Nie znalazła się tutaj jednak w poszukiwaniu bezpieczeństwa i dlatego nikt z jej towarzyszy nie wiedział, gdzie jest. Nie pozwoliliby, żeby tu przyszła. Podobnie Catriana przyznała się sama przed sobą, że nigdy dobrowolnie nie zgodziłaby się, żeby ktokolwiek z nich podjął się czegoś takiego.

To oznaczało śmierć. Nie miała co do tego żadnych złudzeń.

Przez całe popołudnie, kiedy chodziła po targu z Devinem, Rovigo i Alais, układała ten plan i wspominała matkę. Pojedynczą świecę zawsze zapalaną o zachodzie słońca pierwszego z Dni Żaru. Pamiętała, jak Devin mówił, że jego ojciec robił to samo. Zapewne z powodu dumy: ojciec odmawiał czegoś Triadzie z powodu tego, na co zezwoliła. Jej matka nie była dumną kobietą, ale i ona nie pozwalała sobie zapomnieć.

Tej nocy Catriana widziała siebie jako jedną z zakazanych świec swojej matki w Noce Żaru, kiedy całą resztę świata spowijał mrok. Stanowiła niewielki płomyk, tak jak owe świece;

plomyk, który nie przetrwa nocy, ale który, jeśli Triada choć trochę ją kocha, spowoduje przed zgaśnięciem pożar.

Pijane towarzystwo w końcu minęło wylot zaułka, podążając w kierunku portowych tawern. Oczekała jeszcze chwilę, a potem szybko wyszła na ulicę i trzymając się blisko ścian, ruszyła w drugą stronę. Do zamku. Twarz osłaniała kapturem.

Pomyślała, że byłoby o wiele lepiej, gdyby mogła uspokoić ręce i sprawić, by serce wolniej biło. Powinna była wychylić kieliszek wina, zanim potajemnie wymknęła się z zajazdu „U Solinghiego” tylnymi schodami. Wymawiając się kobiecym niedomaganiem, wyszła Alais sama na dół na kolację, obiecując, że dołączy do niej, gdy tylko poczuje się lepiej.

Kłamała z taką łatwością, udało jej się nawet przywołać na twarz uspokajający uśmiech. A potem Alais wyszła i Catriana została sama, uświadamiając sobie w chwili, kiedy drzwi delikatnie się zamknęły, że nigdy już nie zobaczy nikogo z nich.

Na ulicy zamknęła oczy, bo nagle zrobiło jej się słabo. Oparła się o witrynę sklepu, głęboko oddychając nocnym powietrzem. Gdzieś niedaleko rosły srebrnokwiaty, a wokół unosił się charakterystyczny zapach sedzoi. Znajdowała się więc w pobliżu zamkowych ogrodów. Zagryzła wargi, żeby nabrały koloru. Jasne gwiazdy wisały nisko na niebie. Na wschodzie już wzeszedł Vidomni, a błękitny Ilarion pojawi się za chwilę. Z następnej przecznicy dobiegł Catrianę nagły wybuch kobiecego śmiechu. Potem rozległy się jakieś krzyki. Męski głos. Znów śmiech.

Szli w przeciwną stronę. Kiedy Catriana podniosła wzrok, zobaczyła spadającą gwiazdę. Wiodąc za nią wzrokiem, zobaczyła mur zamkowego ogrodu. Wejście będzie gdzieś dalej. Wejścia i zakończenia, przed którymi staje się samotnie. Ale przecież była samotnym dzieckiem, a potem samotną kobietą, wciągniętą na własną orbitę, która oddaliła ją od wszystkich innych, nawet tych, co chcieli zostać jej przyjaciółmi. Devin It Alais to zaledwie ostatni, którzy tego próbowali. W wiosce Catriany przed jej odejściem byli inni. Wiedziała, że matkę boli jej dumna samotność.

Duma. Znowu.

Ojciec uciekł z Tigany przed bitwami nad rzeką.

No właśnie. No właśnie.

Ostrożnie zsunęła kaptur. Z prawdziwą ulgą odkryła, że ma spokojne ręce. Sprawdziła kolczyki, srebrny naszyjnik, ozdobiony klejnotami grzebień we włosach. Potem naciągnęła na dłoń czerwoną rękawiczkę, którą kupiła tego popołudnia na targu, i przeszła przez ulicę, wychodząc zza rogu ogrodowego muru w blask światła rozlanego przed wejściem do Zamku Gubernatora Senzio.

Stało tam czterech wartowników: dwóch przed zamkniętą bramą i dwóch tuż za nią. Catriana rozchyliła nieco płaszcz, żeby zobaczyli jej czarną suknię.

Wartownicy stojący przed bramą zerknęli po sobie i wyraźnie się rozluźnili, zdejmując

dłonie z mieczy. Pozostali dwaj przysunęli się bliżej, żeby lepiej widzieć w świetle pochodni.

Zatrzymała się przed pierwszą parą. Uśmiechnęła się.

– Czy zechcecie z łaski swojej zawiadomić Anghiara z Barbadioru, że przyszła jego ruda lisica? – Mówiąc to, uniosła lewą rękę odzianą w jaskrawoczerwoną rękawiczkę.

W pierwszej chwili reakcja Devina i Rovigo na targu nawet ją rozbawiła. Właśnie przejeżdżał Casalia, pulchny, niezdrowo, wyglądający gubernator. U boku miał wysłannika z Barbadioru. Śmiali się. Wysłannik Brandina z Zachodniej Dłoni jechał o kilka kroków za nimi, w grupce pomniejszych Senzian. Wymowa tego obrazu nie mogła być jaśniejsza.

Alais i Catriana stały przy straganie sprzedawcy jedwabiu. Odwróciły się, żeby popatrzeć na przejeżdżającego gubernatora.

Gubernator nie przejechał obok nich. Anghiar z Barbadioru zatrzymał go, szybkim gestem kładąc dłoń na jego zdobnej w bransoletę ręce. Zatrzymali tańczące konie tuż przed dwiema kobietami. Wracając myślami do tamtej chwili, Catriana uświadomiła sobie, że musiały tworzyć z Alais osobliwą parę. Anghiar, muskularny blondyn o podkreślonych do góry wąsach i włosach tak długich jak jej, najwyraźniej to zauważył.

– Norka i ruda lisica! – powiedział głosem przeznaczonym dla uszu Casalii. Pulchny gubernator roześmiał się – zbyt szybko i nieco za głośno.

W jasnym blasku słońca błękitne oczy Anghiara rozebrały kobiety do naga. Alais spojrzała w bok, ale nie spuściła wzroku. Catriana patrzyła Barbadiorczykowi w oczy z największym i spokojem, na jaki umiała się zdobyć. Nie odwróci się od tych mężczyzn. Jego uśmiech jedynie się pogłębił.

– Zaiste, ruda lisica – powtórzył, lecz tym razem mówił do niej, a nie do Casalii.

Gubernator i tak się roześmiał. Pojechali dalej, a za nimi ich orszak z wysłannikiem Brandina, który mimo całego piękna poranka wyglądał ponuro i miał kwaśną minę.

Catriana zdała sobie sprawę z obecności Devina obok niej i Rovigo stojącego przy córce. Spojrzała na nich i zauważyła w ich oczach tłumioną wściekłość. Wtedy przez chwilę poczuła rozbawienie.

– Właśnie tak wyglądał Baerd, zanim omal nie sprowadził i na nas śmierci w Tregui – powiedziała lekkim tonem. – Chyba i nie jestem gotowa powtórzyć tego doświadczenia. Nie mogę już bardziej obciąć włosów.

To Alais, osóбка o wiele sprytniejsza, niż Catriana sądziła, śmiechem rozładowała sytuację. Cała czwórka ruszyła dalej.

– Zabiłbym go – powiedział cicho Devin do Catriany, kiedy zatrzymali się przy straganie z wyrobami ze skóry.

– Oczywiście – odrzekła swobodnym tonem. Po czym zdała sobie sprawę, jak to musiało

zabrzmieć i że on mówił to całkiem poważnie, więc uściśnęła go za ramię. Jeszcze pół roku, temu nie zrobiłaby czegoś takiego. Zmieniała się, wszyscy oni się zmieniali,

Właśnie wtedy jej rozbawienie i gniew znikły i Catriana zaczęła myśleć o czym innym. Wydało jej się, że przez chwilę blask dnia przygasł, chociaż na niebie nie było ani jednej chmurki.

Zdała sobie potem sprawę, że postanowiła zrealizować pomysł prawie w tej samej chwili, w której przyszedł jej do głowy.

Zanim skończył się poranny targ, udało jej się odłączyć od reszty na wystarczająco długo, żeby kupić potrzebne rzeczy. Kolczyki, sukienkę, czarny grzebień. Czerwoną rękawiczkę.

Wówczas zaczęła myśleć o matce i wspominać most w Tregei. Nic w tym dziwnego – myśli biegną takimi właśnie torami. Dlatego to robiła, dlatego w ogóle była zdolna o tym pomyśleć. Kiedy zapadnie noc, będzie musiała wyjść, nikomu nic nie mówiąc. Jakieś kłamstwo dla Alais. Żadnych pożegnań; zatrzymałby ją, tak jak ona zatrzymałaby każdego z nich.

Wszyscy jednak wiedzieli, że coś trzeba zrobić. Po prostu wykonać jakiś ruch, a owego ranka na targu Catrianie wydało się, że odkryła jaki.

Na początku swego samotnego spaceru w ciemności żałowała, że nie jest bardziej odważna i że aż tak jej drżą ręce. Kiedy jednak dotarła do muru ogrodu i zobaczyła na granatowoczarным aksamicie nieba spadającą gwiazdę, przestały drżeć.

– Chyba rozumiesz, że będziemy musieli cię obszukać – powiedział z krzywym uśmiezkiem jeden z wartowników stojących przed bramą.

– Oczywiście – mruknęła, podchodząc bliżej. – Stanie tu na warcie to przecież nic przyjemnego, prawda?

Drugi wartownik roześmiał się i dość łagodnie pociągnął ją w przód, do światła pochodni, a potem nieco dalej, do bardziej intymnego cienia na skraju placu. Usłyszała krótką, cichą sprzeczkę dwóch mężczyzn stojących po drugiej stronie bramy, zakończoną zwięzłym rozkazem składającym się z sześciu słów. Jeden z wartowników, najwyraźniej niższy rangą, z niechęcią ruszył przez dziedziniec, żeby znaleźć Anghiara z Barbadioru i powiedzieć mu, że właśnie spełniły się jego sny czy coś w tym rodzaju. Drugi wartownik pospiesznie otworzył bramę kluczem zwisającym mu na kółku u pasa i przyłączył się do towarzyszy.

Nie spieszyli się, ale byli delikatni i w sumie nie pozwolili sobie na zbyt wiele. Jeśli idzie do Barbadiorczyka i zaskarbi sobie jego przychylność, to obrażenie jej mogłoby się okazać ryzykowne. Na coś takiego liczyła. Udało jej się kilka razy cicho roześmiać, ale nie na tyle, by ich ośmielić. Wciąż myślała o biegu wydarzeń, wspominając ten wieczór, kiedy przyszła do Alessana i Baerda. Nocnego stróża w zajeździe próbującego obłapić ją z obleśnym uśmiechem, kiedy przechodziła obok niego, przekonanego, że wie, po co tam przyszła.

„Nie będę z wami spała” – powiedziała, kiedy otworzyli drzwi na jej pukanie. „Nigdy

jeszcze nie spałam z żadnym mężczyzną”. Patrząc wstecz na swe życie wśród tych splątanych cieni i czując na sobie dłonie wartowników, dostrzegała tyle ironii. Który śmiertelnik wie, jaką ścieżkę wyznaczy mu los? Być może było nieuniknione, że pomyślała o Devinie i o komórce w pałacu Sandrenich. Rezultaty owego wydarzenia okazały się pod każdym prawie względem zupełnie inne, niż się spodziewała. Oczywiście tamtego dnia nie myślała o przyszłości czy losie. Jeszcze nie.

A teraz? O czym powinna teraz myśleć, kiedy znów dały znać o sobie zasady rozwoju wypadków? O obrazach, powiedziała sobie w duchu, ukryta w cieniu z trzema wartownikami: trzymaj się obrazów. Wejścia i zakończenia, rozpalająca się świeca.

Zanim z nią skończyli, czwarty wartownik wrócił z dwoma Barbadiorczykami. Też się uśmiechali. Prowadząc ją przez główny dziedziniec, odnosili się do niej z pewną kurtuazją. Z leżących powyżej okien tu i tam wylewało się światło. Zanim weszli do zamku, spojrzała na gwiazdy. Światła Eanny. Każde z nich ma własne imię.

Do zamku prowadziło dwoje masywnych drzwi pilnowanych przez kolejnych czterech mężczyzn. Potem Catriana wraz z eskortą weszła marmurowymi schodami na ostatnie piętro i ruszyła jasno oświetlonym korytarzem. Przy jego końcu widać było uchylone drzwi. Kiedy się do nich zbliżyła, zauważyła przez szparę bogato umeblowany, mroczny pokój.

W drzwiach stał Anghiar z Barbadioru w niebieskim szlafroku pasującym do koloru jego oczu. W rękę trzymał kieliszek zielonego wina i pożerał Catrianę wzrokiem – już drugi raz tego dnia.

Uśmiechnęła się i pozwoliła jego wypielegnowanej dłoni ująć jej opięte czerwoną rękawiczką palce. Wprowadził ją do pokoju i zamknął drzwi na klucz. Byli sami. Wszędzie płonęły świece.

– Jak lubisz się bawić, ruda lisico? – zapytał.

* * *

Devin przez cały tydzień chodził rozdrażniony, jakby źle mu było we własnej skórze. Wiedział, że inni czują się podobnie. Narastające napięcie i wymuszona bezczynność w połączeniu ze świadomością – czasami wystarczyło tylko spojrzeć na twarz Alessana – bliskości przełomu wywoływało u nich wszystkich ciągłą, niebezpieczną nerwowość.

Wobec takich nastrojów Alais była przez ostatnie kilka dni czystym błogosławieństwem. Z każdym dniem córka Rovigo zdawała się nabierać mądrości, łagodności i swobody w kontaktach z nimi wszystkimi, jakby wyczuwała, że jej obecność jest im potrzebna. Uważna, nieustannie tryskająca dobrym humorem, bez wysiłku podtrzymywała rozmowę pytaniami, inteligentnymi odpowiedziami oraz gotowością chłonięcia każdej długiej anegdoty

opowiedzianej przez któreś z nich; nie dopuściła, żeby wspólne posiłki zamieniły się w ponure stypy czy pojedynki na złośliwości. Niewidomy uzdrowiciel Rinaldo wydawał się nieomal w niej zakochany – kiedy znajdowała się u jego boku, po prostu rozkwitał. Devin pomyślał, że nie on jeden. Był prawie zadowolony, że napięcie ostatnich dni nie pozwalało mu zastanawiać się nad własnymi uczuciami.

W cieplarnianej atmosferze Senzio delikatna, pastelowa uroda Alais i jej nieśmiały wdzięk wyróżniały ją niczym kwiat przesadzony tu z ogrodu jakiegoś chłodniejszego, łagodniejszego świata. Oczywiście była to szczerza prawda. Będąc uważnym obserwatorem, Devin widywał Rovigo patrzącego wielce wymownym wzrokiem na córkę, wciągającą któregoś ze swych nowych towarzyszy do rozmowy.

Teraz, pod koniec kolacji, spędziwszy ostatnie pół godziny na przedstawianiu porannej i popołudniowej eskapady na targowisko jako istnej wyprawy odkrywczej, Alais przeprosiła towarzystwo i poszła na górę. Po jej odejściu przy stole natychmiast zapadł ponury nastrój, spowodowany nieuniknionym powrotem do najważniejszej sprawy ich życia. Uległ mu nawet Rovigo: nachylił się do Alessana i cicho zapytał o ostatni wypad za mury miasta.

Alessan, Baerd, Ducas, Arkin i Naddo przemierzali distradę w poszukiwaniu możliwych pól bitewnych, a więc i najlepszego miejsca dla siebie, kiedy nadejdzie czas ostatniego rzutu kości. Devin nie bardzo lubił o tym myśleć. Miało to związek z magią, a magia zawsze go niepokoiła. Poza tym, żeby coś miało się zdarzyć, musiała zostać stoczona bitwa, a Alberico z Barbadioru przyczaił się na swojej łące przy granicy i nie wykazywał żadnej ochoty do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Już samo to doprowadzało do szału.

Za dnia i wieczorami zaczęli spędzać coraz więcej czasu osobno, częściowo z ostrożności, ale niewątpliwie i dlatego, że zbytnia bliskość w takim nastroju nikomu z nich nie służyła. Baerd i Ducas poszli tego wieczoru do jednej z portowych tawern, by narażając się na nagabywania handlarzy żywym towarem, podtrzymać kontakty z Tregeańczykami i marynarzami Rovigo oraz innymi ludźmi, którzy przybyli na północ w odpowiedzi na długo oczekiwane wezwanie.

Mieli także rozpuścić plotkę, że Rinaldo di Senzio, wygnany wuj gubernatora, jest gdzieś w mieście i zagrzewa do powstania przeciwko Casalii i tyranom. Devin zastanawiał się przez chwilę nad roztropnością tego posunięcia, ale Alessan wyjaśnił, zanim jeszcze Devin zadał pytanie, że Rinaldo przez osiemnaście lat bardzo się zmienił i że nawet mało kto wiedział, że został oślepiiony. Cieszył się wielką popularnością i rozpowszechnienie wiadomości o tym byłoby w tamtych czasach dla Casalii niebezpieczne. Rinaldo wyłupiono oczy, żeby go unieszkodliwić, a potem trzymano to w tajemnicy.

Było zupełnie nieprawdopodobne, żeby ktoś rozpoznał milczącego starca, skulonego w kącie u Solinghiego, a jedyne, co mogli teraz robić, to jak najbardziej przyczynić się do wzrostu napięcia w mieście. Gdyby tylko jeszcze bardziej zaniepokoić gubernatora i zdenerwować

wysłanników tyranów...

Sam Rinaldo mówił niewiele, chociaż to on zaproponował rozpuszczenie tyczącej go plotki. Wydawało się, że zbiera siły – zbliżająca się wojna będzie stanowiła dla uzdrowiciela wielkie obciążenie, a Rinaldo nie był już młody. Odzywał się najczęściej do Sandre. Dwaj starcy, wrogowie z prowincji rywalizujących ze sobą przed nadejściem tyranów, teraz wzajemnie dostarczali sobie rozrywki i dodawali ducha snutymi szeptem opowieściami z minionych czasów o ludziach, z których prawie wszyscy dawno temu odeszli do Moriany.

Erlein di Senzio ostatnio rzadko przebywał z nimi. Grał z Devinem i Alessanem, ale wolał jeść i pić samotnie, czasem u Solinghiego, lecz częściej gdzie indziej. Podczas ich pobytu w mieście rozpoznało trubadura kilku Senzian, lecz on nie zachowywał się względem nich ani trochę bardziej wylewnie niż wobec członków własnej grupy. Pewnego poranka Devin zobaczył go w towarzystwie kobiety tak do niego podobnej, iż był pewien, że to jego siostra. Zastanawiał się, czy do nich podejść i przedstawić się, ale nie miał ochoty narażać się na szorstkość, Erleina. Można było naiwnie pomyśleć, że w chwili, kiedy do rozniecenia płomienia wojny brakuje tylko iskry, czarodziej w końcu wyzbędzie się swoich uraz. Tak się nie stało.

Devin nie martwił się nieobecnością Erleina, ponieważ nie i martwił się nią Alessan. Jakakolwiek zdrada względem nich oznaczała pewną śmierć dla zdrajcy. Erlein mógł być wściekły, rozgoryczony i ponury, ale żadną miarą nie był głupcem.

Tego wieczoru też poszedł na kolację gdzie indziej, chociaż wkrótce musiał się pojawić „U Solinghiego”. Za kilka minut mieli zacząć grać, a Erlein nigdy nie spóźniał się na występy. Podczas tych ostatnich dni muzyka była ich jedynym schronieniem, lecz Devin wiedział, że w rzeczywistości dotyczy to jedynie ich trzech. W jaki sposób inni, rozrzucony po mieście, rozładowywali napięcie, nie miał pojęcia. Albo właściwie miał. To przecież jest Senzio.

– Coś jest nie w porządku! – powiedział nagle siedzący obok niego Rinaldo, przechylając głowę, jakby węszył. Alessan przestał szkicować na obrusie mapę distrady i szybko podniósł głowę. To samo zrobił Rovigo. Sandre już wstawał ze swego krzesła.

Do stołu przybiegła Alais. Devin poczuł zimny dotyk strachu, zanim jeszcze się odezwała.

– Catriana zniknęła! – powiedziała, starając się mówić cicho. Przeniosła spojrzenie z ojca na Devina i zatrzymała je na Alessanie.

– Co? Jak? – zapytał ostro Rovigo. – Chyba musielibyśmy ją zauważyć, kiedy schodziła na dół?

– Zewnętrzne schody z tyłu budynku – powiedział Alessan. Devin zauważył, że mocno przycisnął dłonie do blatu. Książę popatrzył na Alais. – Co jeszcze?

Dziewczyna miała bladą twarz.

– Przebrała się. Nie rozumiem dlaczego. Po południu kupiła na targu czarną jedwabną suknię i trochę biżuterii. Zamierzałam ją zapytać, ale nie... nie chciałam być wścibska. Tak

trudno ją o coś pytać. Wszystkie rzeczy, które kupiła, zniknęły.

– Jedwabna suknia? – zapytał z niedowierzaniem Alessan, podnosząc głos. – Co, na Morianę...

Devin już wiedział. Wiedział z niezachwianą pewnością. Ani Alessana, ani Sandre nie było z nimi tego poranka. Nie mogli zrozumieć. Zaszło mu w ustach, a serce łomotało. Wstał, przewracając krzesło i rozlewając wino.

– Och, Catriano – powiedział. – Catriano, nie! – Głupio, bezsensownie, jakby znajdowała się w pokoju i można ją było jeszcze zatrzymać, odwieść od zamiaru samotnego wyjścia w ciemność, odzianą w jedwab i klejnoty, z jej niezgłębioną odwagą i dumą.

– Co? Devinie, powiedz mi, o co chodzi? – To odezwał się Sandre głosem niczym cięcie noża. Alessan nic nie mówił, jedynie odwrócił się do niego z bolesnym wyczekiwaniem w szarych oczach.

– Poszła do zamku – powiedział bezbarwnym tonem Devin. – Poszła, żeby zabić Anghiara z Barbadioru. Myśli, że to wywoła wojnę.

Jeszcze mówiąc, rzucił się do drzwi, całkowicie wyzuty z racjonalnych myśli, gnany czymś od nich głębszym, nieskończenie głębszym, choć jeśli już dotarła do zamku, to nie ma nadziei, nie ma żadnej nadziei.

Mimo że w drzwi wpadł w najwyższym pędzie, Alessan znalazł się tuż obok niego, a Rovigo tylko o krok z tyłu. Wypadając w mrok, Devin kogoś przewrócił. Nie obejrzał się.

Eanno, okaż łaskę, modlił się nieustannie w duchu, pędząc na spotkanie wschodzących księżyców. Bogini Światła, nie dopuść, żeby to się stało. Nie tak.

Nic jednak nie mówił. Pędził do zamku w ciemności ze strachem w sercu.

Devin wiedział, jak prędko potrafi biegać, przez całe życie był dumny ze swej szybkości. Alessan jednak pędził, ledwo dotykając ziemi, i dotarł do Zamku Gubernatora razem z nim. Ramię w ramię wypadli zza rogu i zatrzymali się pod murem ogrodu, przebijając wzrokiem gałęzie olbrzymiej, rozłożystej sedzoi. Słyszeli pośpieszne kroki doganiającego ich Rovigo, a w oddali jeszcze jednej osoby. Nie odwrócili się. Obaj patrzyli na to samo.

W jednym z najwyższych okien na tle blasku pochodni było widać czyjaś sylwetkę. Postać, którą znali. Miała na sobie długą, ciemną suknię.

Devin padł na kolana w oświetlonym księżycowym światłem zaułku. Chciał wspiąć się na mur, wyrzyczyć jej imię. Otaczała go słodka woń srebrnokwiatów. Spojrzał na twarz Alessana, po czym szybko odwrócił wzrok od tego, co w niej zobaczył.

* * *

Jak lubi się bawić?

Zasadniczo nie lubiła, a już na pewno nie tak. Nie była rozrywkową dziewczyną. Lubiała pływanie i poranne spacery po plaży, odbywane zwykle w samotności. Albo spacery do lasu na grzyby czy po liście mahgoti na herbatę. Zawsze lubiła muzykę, szczególnie po poznaniu Alessana. I owszem, przed sześcioma czy siedmioma laty zaczęła miewać sny o znalezieniu gdzieś w świecie miłości i namiętności. Nie zdarzały się one jednak często, a występujący w nich mężczyzna rzadko miał konkretną twarz.

Teraz jednak miała przy sobie męską twarz i nie był to sen. Ani zabawa. To była śmierć. Wejścia i zakończenia. Świeca, która przed zgaśnięciem nadaje kształt ogniowi.

Leżała na jego łóżku, naga pod jego wzrokiem i dotykiem. Na przegubach jej rąk, na szyi, w uszach i we włosach lśniły klejnoty. We wszystkich rogach komnaty płonął ogień. Wyglądało na to, że Anghiar lubi patrzeć, jak kobiety reagują na to, co robi. „Wejdz na mnie” – mruknął jej do ucha jakiś czas temu. „Później” – odparła. Roześmiał się wtedy chrapliwie z głębi gardła i pochylił się nad nią, też nagi, jeśli nie liczyć białej, rozpiętej koszuli z żabotem, spod której widać było delikatne, jasne włoski na jego piersi.

Był wprawnym, niezwykle doświadczonym kochankiem. To dzięki temu udało jej się go zabić.

Zanim ją posiadł, pochylił głowę ku jej piersiom. Z zaskakującą delikatnością wziął w usta jeden sutek i zaczął wodzić wokół niego językiem.

Catriana na chwilę zamknęła oczy. Jęknęła – miała nadzieję, że pasuje to do sytuacji. Kocim ruchem wyciągnęła ręce nad głowę, poruszając zmysłowo ciałem pod dotykiem jego ust i rąk. Dotknęła czarnego grzebienia we włosach. Ruda lisica. Jęknęła jeszcze raz. Jego ręce posuwały się w górę jej ud, a warg nie odrywał od jej piersi. Wysunęła grzebień z włosów i nacisnęła zameczek uwalniający ostrze. A potem, poruszając się bez pośpiechu, jakby miała nieskończenie wiele czasu, jakby ta jedna chwila stanowiła zebraną sumę wszystkich chwil jej życia, wbiła mu broń w gardło.

Oznaczało to kres jego życia.

Na targu broni w Senzio można kupić wszystko. Absolutnie wszystko. Łącznie z kobiecą ozdobą z ukrytym ostrzem. I trucizną na nim. Ozdobę do włosów, czarną, z lśniącymi klejnotami, z których jeden zwalniał sprężynę przytrzymującą ostrze. Piękna, śmiertelnie groźna rzecz.

Wykonana oczywiście w Ygrath. To było w jej dzisiejszym planie najważniejsze.

Anghiar odrzucił głowę w tył. Charczał, usta miał wykrzywione, oczy wytrzeszczył z bólu. Z gardła tryskała mu krew, wsiąkając w pościel i poduszki, zalewając Catrianę.

Krzyknął przeraźliwie. Zsunął się z niej, a potem z łóżka na dywan, kurczowo trzymając się za gardło. Znowu krzyknął. Broczył krwią. Usiłował ją zatamować, przyciskając ręce do rany.

Nie miało to znaczenia. Nie rana go zabije. Catriana patrzyła na niego, usłyszała, jak krzyk się urywa, przechodząc w bulgotanie. Anghiar z Barbadioru powoli przewrócił się na bok. Usta miał wciąż otwarte, a z jego gardła wyciekała na dywan krew. Po chwili błękitne oczy wysłannika Barbadioru zmętniały i zamknęły się.

Catriana spojrzała na swoje ręce. Były nieruchome. Serce biło jej równo. Chwila, w której zebrały się wszystkie chwile jej życia. Wejścia i zakończenia.

Do zamkniętych drzwi ktoś się wściekle dobijał. Gorączkowe krzyki, wiązanka przekleństw wykrzykiwanych w panice.

Jeszcze nie skończyła. Nie mogą jej pojmać. Wiedziała, co czary mogą uczynić z umysłem. Jeśli pozwolą jej żyć, to schwytają wszystkich jej przyjaciół. Dowiedzą się wszystkiego. Nie miała żadnych złudzeń, wiedziała, że musi zrobić jeszcze jeden, ostatni krok.

Teraz uderzali w drzwi czymś ciężkim. Były duże i solidne, wytrzymają jeszcze trochę. Catriana wstała i włożyła suknię. Nie chciała być naga, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Schyliła się nad łóżkiem, wzięła ygratheńską broń, tę lśniącą sprawczynię śmierci, i uważając, by nie skaleczyć się zatrutym ostrzem, położyła ją obok Anghiara, żeby nie było żadnych trudności z jej znalezieniem. Znalezienie jej było konieczne.

Od drzwi dobiegł ostry trzask, krzyki, hałas z korytarza. Pomyślała o podpaleniu komnaty – podobą jej się myśl o świecy wywołującej płomień – ale nie, muszą znaleźć ciało Anghiara i odkryć przyczynę jego śmierci. Otworzyła okno i weszła na niski parapet. Okno było na tyle wysokie, żeby mogła stanąć w nim wyprostowana. Przez chwilę patrzyła w dół. Komnata wychodziła na leżący daleko w dole ogród. Dobrze. Podpłynęła ku niej z dołu woń sedzoi i duszący, słodki zapach srebrnokwiatów, a także innych nocnych ziół, których nazw nie знаła. Wzeszły już oba księżyce – spoglądał na nią Vidomni i Ilarion. Patrzyła na nie przez chwilę, ale pomodliła się do Moriany, bo to do niej szła, przekraczając ostatni portal.

Pomyślała o matce. O Alessanie. O jego marzeniu, które stało się jej marzeniem, i o tym, że za chwilę dla niego umrze na nie swojej ziemi. Przez moment myślała o ojcu, wiedząc, ile to wszystko ma wspólnego z zadoścuczynieniem, ze sposobem, w jaki każde pokolenie naznacza swoim piętnem pokolenie następne. Niech to wystarczy, pomodliła się tymi słowami, wysyłając tę myśl niczym strzałę ku Morianie w jej Komnatach.

Drzwi pękły z przeciągłym trzaskiem. Do pokoju wpadło pół tuzina mężczyzn. Już czas. Catriana odwróciła się od gwiazd, obu księżyców i ogrodu. Spojrzała z wysokości parapetu na mężczyzn. W jej sercu coraz głośniejszą śpiewała nadzieja i duma.

– Śmierć sługom Barbadioru! – krzyknęła na cały głos. – Wolność dla Senzio! – zawołała. – Niech żyje król Brandin z Dłoni!

Jeden z mężczyzn, reagujący szybciej od innych, rzucił się przez pokój. Nie był jednak tak szybki jak ona. Catriana już się odwróciła. Te ostatnie, niezbędne słowa przepalały jej mózg.

Znów zobaczyła księżycy, gwiazdy Eanny i czekającą między nimi i poza nimi ciemność.

Skoczyła. Poczula na twarzy i we włosach nocny wiatr, zobaczyła, jak z zawrotną prędkością zbliża się ku niej ciemna ziemia ogrodu, przez chwilę słyszała jakieś głosy, a potem już nic, tylko głośny szum wiatru. Była sama, spadała. Wydawało się, że zawsze była sama. Zakończenia. Świeca. Wspomnienia. Sen, modlitwa płomieni, żeby nadeszły. A potem jakby w powietrzu przed nią szeroko otworzyły się ostatnie drzwi, niespodziewanie łagodna ciemność. Zamknęła oczy tuż przed tym, jak się w nią pogrążyła.

Rozdział 19

Ciepła noc, aromat kwiatów. Księżycowy blask na drzewach, na jasnych kamieniach ogrodowego muru, na kobiecie stojącej w wysokim oknie.

Devin słyszy jakiś dźwięk z lewej strony i szybko się odwraca. Podbiega Rovigo, zatrzymuje się i, podążwszy w górę wzrokiem za spojrzeniem Alessana, zastyga z przerażenia. Za nim pojawia się Sandre z Alais.

– Pomóż mi! – rozkazuje schrypniętym głosem diuk, padając na bruk obok Devina. Ma dzikie spojrzenie, w rękę trzyma nóż.

– Co? – Wyrzuca z siebie Devin, nic nie rozumiejąc. – Co chcesz...?

– Moje palce! Już! Utnij je! Potrzebuję mocy! – I Sandre d’Astibar wciska w dłoń Devina trzonek noża, a lewą dłoń kładzie na obluzowanym kamieniu brukowym. Wyprostowane są tylko palce środkowy i serdeczny. Palce czarodzieja, palce związania z Dłonią.

– Sandre... – Devin zaczyna coś mówić, jękając się.

– Bez gadania! Tnij, Devinie!

Devin wykonuje polecenie. Krzywiąc się, zaciskając zęby w obronie przed bólem i rozpaczą, unosi ostre, cienkie ostrze, opuszcza je na wysunięte palce Sandre i odcina je. Słyszy czyjś krzyk. To Alais, nie Sandre.

Lecz w chwili, kiedy nóż przecina ciało i zgrzyta na kamieniu, pojawia się oślepiający blask. Ciemną twarz Sandre rozświetla aureola białego światła, które rozbłyskuje niczym gwiazda wokół jego głowy, po czym na chwilę wszystkich oślepiwszy, gaśnie.

Alais szybko klęka przy Sandre, żeby owinać kawałkiem materiału jego krwawiącą dłoń. Sandre unosi ją z wysiłkiem, w milczeniu znosząc ból. Bez jednego słowa Alais mu pomaga, podtrzymując jego rękę.

Z wysoka dobiega ich ostry, daleki trzask, krzyki mężczyzn. Widoczna na tle wysokiego okna Catriana nagle przeży ciało. Coś krzyczy. Są za daleko, żeby rozróżnić słowa. Za daleko. Widzą jednak, jak się odwraca ku ciemności, ku nocy.

– Och, moja droga, nie, tylko nie to! – Głos Alessana to chrapliwy szepet wydarty prosto z serca.

Za późno. O wiele za późno.

Kłęcząc w pyle ulicy, Devin widzi, jak dziewczyna spada.

Nie koziółkuje ku śmierci, lecz spada, pełna wdzięku, jakby nurkowała, rozcinając noc. Sandre wyrzuca w przód i w górę swą okaleczoną dłoń. Mówi szybko jakieś słowa, których Devin nie rozumie. Nocne powietrze zostaje nagle dziwacznie zakłócone, jakby nienaturalnie rozgrzane. Ręka Sandre jest wymierzona prosto w spadającą kobietę. Serce Devina na chwilę

zamiera, czepiając się tej szalonej, niemożliwej nadziei.

A potem zaczyna bić na nowo, ciężkie jak starość, jak śmierć. Czegokolwiek próbował Sandre, było to za mało. Jest za daleko, zakłęcie jest za trudne, jego moc zbyt świeża. Każda z tych przyczyn, wszystkie razem, żadna z nich. Catriana spada. Niepowstrzymana, piękna niczym księżycowa wizja kobiety, która potrafi latać. Ku strzaskanemu zakończeniu za murem ogrodu.

Alais wybucha rozpaczliwym szlochem. Sandre zakrywa oczy zdrową ręką i kiwa się w przód i w tył. Devin ledwie widzi przez zalane łzami oczy. Wysoko nad nimi, w oknie, w którym stała, pojawiają się zamazane postacie mężczyzn, patrzących w dół w mrok ogrodu.

– Musimy stąd odejść! – chrypi Rovigo. Ledwo można go zrozumieć. – Będą szukać.

To prawda. Devin wie, że to prawda. I jeżeli istnieje jakiś dar, coś, czym mogą teraz odpłacić Catrianie, która być może wszystko obserwuje razem z Morianą, to nie mogą dopuścić, by jej śmierć poszła na marne.

Devin zmusza się do wstania z klęczek, pomaga wstać Sandre. Odwraca się do Alessana. Alessan tkwi w bezruchu, z oczyma utkwionymi w oknie, w którym wciąż stoją gestykujący ludzie. Devin wspomina księcia w owo popołudnie, kiedy umarła jego matka. Teraz jest tak samo. Gorzej. Wyciera oczy grzbietem dłoni. Zwraca się do Rovigo:

– Jest nas za dużo, żeby trzymać się razem. Ty i Sandre, weźcie Alais. Bądźcie bardzo ostrożni. Mogą ją rozpoznać – była z Catriana, kiedy zobaczył je gubernator. My pójdziemy inną drogą i spotkamy się z wami w zajeździe.

Następnie ujmuje Alessana za ramię i obraca go – księżę nie stawia oporu, daje się prowadzić. Idą na południe, potykając się, uliczką, która odchodzi od zamku, od ogrodu, gdzie leży Catriana. Devin uświadamia sobie, że wciąż trzyma w ręku zakrwawiony sztylet Sandre. Wsuwa go za pas.

Myśli o diuku, o tym, co Sandre właśnie zrobił. Pamięta – jego umysł wyczynia znajome sztuczki z czasem i pamięcią pewną noc w chacie Sandrenich zeszłej jesieni. Swoją pierwszą noc, która doprowadziła go aż tu. Kiedy Sandre powiedział im, że nie może wydostać Tomasso z lochu żywego, ponieważ nie ma odpowiedniej mocy. Ponieważ nie poświęcił swych palców w rytuale związania się z Dłonią.

A teraz to uczynił. Dla Catriany, nie dla swego syna, i na próżno. To tak bardzo boli. Tomasso nie żyje od dziewięciu miesięcy, a teraz Catriana leży w ogrodzie w Senzio, martwa jak wszyscy Tigańczycy polegli przed laty w bitwie nad Deisą.

Devin wie, że o to jej właśnie chodziło. Powiedziała mu to w zamku Alienor. Znowu zaczyna płakać, nie potrafiąc się powstrzymać. Po chwili czuje na ramieniu dłoń Alessana.

– Trzymaj się jeszcze przez chwilę – mówi księżę. To jego pierwsze słowa od jej upadku. – Prowadź mnie, a dalej ja poprowadzę ciebie; potem razem będziemy ją oplakiwać. – Nie

zdejmuje ręki z ramienia Devina. Idą uliczkami to ciemnymi, to oświetlonymi pochodniami.

Na ulicach Senzio panuje już wrzawa, krążą szaleńcze pogłoski o jakimś zajściu na zamku. Gubernator nie żyje, krzyczy ktoś gorączkowo, mijając ich w pędzie. Barbadiorczycy przekroczyli granicę, woła jakaś kobieta wychylona z okna nad gospodą. Devin widzi, że ma rude włosy, i odwraca wzrok. Na ulicach nie ma jeszcze straży; idą szybko, przez nikogo nie zatrzymywani.

Rozmyślając później o tej drodze, Devin zdaje sobie sprawę, że ani przez chwilę nie wątpił, że Catriana zabiła tego Barbadiorczyka.

* * *

Po powrocie do Solinghiego Devin chciał tylko pójść na górę do swego pokoju, zamknąć oczy i odseparować się od ludzi, od natrętej wrzawy świata. Kiedy jednak razem z księciem weszli w drzwi, w zatłoczonej sali frontowej podniosły się głośne, pełne radości i zniecierpliwienia okrzyki, szybko ogarniając i drugą salę. Byli mocno spóźnieni na swój pierwszy wieczorny występ „U Solinghiego” czekało już na nich pełno ludzi, którzy chcieli usłyszeć ich grę mimo coraz głośniejszego hałasu na zewnątrz.

Devin i Alessan wymienili spojrzenia. Muzyka.

Nie było śladu Erleina, ale i tak powoli przecisnęli się przez tłum do podium między dwiema salami. Alessan ujął fletnię, a Devin stanął wyczekująco obok niego. Księżę wydobył z instrumentu kilka próbnych nut, a potem, bez jednego słowa, zaczął pieśń, o której Devin wiedział, że ją zagra.

Kiedy na zatłoczone sale spłynęły pierwsze wysokie, żałobne tony Elegii dla Adaona, dał się słyszeć krótki, pełen niezadowolenia pomruk, a potem zapadła cisza. W tej ciszy Devin podążył za fletnią Alessana, wznosząc głos w elegii. Tym razem jednak nie dla boga, chociaż słowa się nie zmieniły. Nie dla Adaona spadającego z wysokości, lecz dla Catriany di Tigana spadającej z okna.

Później mówiono, że „U Solinghiego” nigdy przedtem nie panowała taka cisza, tak wytężone skupienie. Nawet służący oraz kucharze w kuchni za barem przerwali swoje zajęcia i stali zasłuchani. Nikt się nie poruszył, nikt nie wydał dźwięku. Słuchać było tylko fletnię i samotny głos śpiewający najstarszą pieśń żałobną Dłoni.

W pokoju na piętrze Alais uniosła głowę ze zmoczonej łzami poduszki i powoli usiadła na łóżku. Rinaldo, zajęty opatrywaniem okaleczonej dłoni Sandre, zwrócił swe ślepe oczy ku drzwiom i znieruchomiał. A Baerd, który wraz z Ducasem wrócił, by usłyszeć wiadomość, która strzaskała mu serce, jak nie sądził, że jeszcze jest mu pisane, słuchał Elegii i czuł się, jakby dusza opuszczała go niczym w Noc Żaru, by ulecieć w ciemność w poszukiwaniu spokoju

i domu, wymarzonego świata, w którym młode kobiety nie umierają w taki sposób.

Na ulicy, gdzie dochodziły dźwięki fletni i ów czysty, przepełniony żalem głos, ludzie przerywali głośną pogoń za plotką czy gorączkowe poszukiwania nocnych rozkoszy i stawali przed drzwiami Solinghiego, wsłuchując się w tony żalu i miłości – niby zaczarowani tą muzyką zrodzoną z utraty.

Jeszcze długo potem pamiętano w Senzio owo niepokojące, rozdzierające serce, całkowicie niespodziewane wykonanie Elegii, w ciepłą, księżycową noc oznaczającą początek wojny.

* * *

Na tej jednej pieśni zakończyli występ. Nie mieli już nic do ofiarowania. Devin wziął od stojącego za kontuarem Solinghiego dwie otwarte butelki wina i poszedł za Alessanem na górę. Drzwi do jednej sypialni były uchylone – do sypialni Alais, którą dzieliła z Catriana. Na progu czekał Baerd; ni to chrząknął, ni to się zakrztusił, wyszedł na korytarz, a Alessan go objął.

Przez długą chwilę stali spleceni w uścisku, lekko się chwiejąc. Kiedy odstąpili od siebie, twarze mieli jakby rozmyte, otepiałe. Devin wszedł za nimi do pokoju. Była tam Alais i Rovigo. Sandre. Rinaldo, Ducas i Naddo. Czarodziej Sertino. Wszyscy stłoczyli się w tym jednym pokoju, jakby przebywanie w pomieszczeniu, z którego wyszła, w jakiś sposób mogło zatrzymać z nimi jej duszę.

– Czy ktoś pomyślał o winie? – zapytał słabym głosem Rinaldo.

– Tak – powiedział Devin, podchodząc do uzdrowiciela. Rinaldo wyglądał blado i sprawiał wrażenie wyczerpanego. Devin zerknął na lewą rękę Sandre i zobaczył, że krwawienie zostało zatamowane. Naprowadził rękę Rinaldo na jedną z butelek. Uzdrowiciel wypił, nie prosząc o kieliszek. Devin podał drugą butelkę Ducasowi, który zrobił tak samo.

Sertino patrzył na dłoń Sandre.

– Będziesz musiał nabrać zwyczaju maskowania tych palców – powiedział. Uniósł lewą dłoń i Devin doznał znajomego już złudzenia całości.

– Wiem – odparł Sandre. – Ale teraz czuję się bardzo słaby.

– To nie ma znaczenia – rzekł Sertino. – Brak dwóch palców będzie oznaczał dla ciebie śmierć. Bez względu na to, jak jesteśmy zmęczeni, maskowanie musi być ciągle. No już.

Sandre spojrział na niego ze złością, ale na okrągłej, różowej twarzy certandańskiego czarodzieja malowała się jedynie troska. Diuk zamknął na chwilę oczy, skrzywił się, a potem powoli uniósł lewą dłoń. Devin zobaczył pięć palców – lub ich złudzenie. Nie mógł przestać myśleć o Tomasso, martwym w astibarskim lochu.

Ducas podał mu butelkę. Przyjął ją i napił się, przekazał Naddo i usiadł na łóżku obok Alais. Oczy miała czerwone od płaczu, a jej skóra sprawiała wrażenie posiniaczonej. Ujęła go za rękę,

co nigdy przedtem się nie zdarzyło. Alessan osunął się na podłogę przy drzwiach, opierając się plecami o ścianę. Miał zamknięte oczy. W blasku świec jego twarz wyglądała jak wydrążona, a kości policzkowe odcinały się na niej ostrą linią.

Ducas odchrząknął.

– Powinniśmy ułożyć jakiś plan – powiedział niezręcznie. – Jeżeli zabiła tego Barbadiorczyka, to dziś w nocy miasto zostanie przeczesane, a Triada jedynie wie, co się stanie jutro.

– Sandre posłużył się magią – odezwał się Alessan, nie otwierając oczu. – Jeżeli w Senzio jest jakiś Tropiciel, Sandre znajduje się w niebezpieczeństwie.

– Z tym damy sobie radę – powiedział z zajadłością w głosie Naddo, wodząc wzrokiem od Ducasa do Sertino. – Już raz tak zrobiliśmy, pamiętacie? A z tamym Tropicielem było ponad dwudziestu ludzi.

– Nie jesteś już w górach Certando – powiedział cicho Rovigo.

– Nie szkodzi – rzekł Ducas. – Naddo ma rację. Jeśli na ulicy będzie nas wystarczająco wielu, a Sertino wskaże nam tropiciela, wstydzilibym się za moich ludzi, gdybyśmy nie wywołali bójki, w której by zginął.

– To ryzykowne – odezwał się Baerd.

Ducas nieoczekiwanie uśmiechnął się jak wilk, zimnym i twardym uśmiechem bez śladu wesołości.

– Z przyjemnością zrobię dziś w nocy coś ryzykownego – powiedział. Devin doskonale wiedział, co Ducas ma na myśli.

Alessan otworzył oczy.

– A więc do dzieła – rzekł. – Devin może nam tu przynosić wszelkie wieści. Wyprowadzimy Sandre, nawet na statek, jeśli będzie trzeba. Jeśli rozpuścisz wiadomość, że...

Przerwał i jednym gibkim ruchem znalazł się na nogach. Baerd już chwycił swój oparty o ścianę miecz. Devin wstał, puszczając rękę Alais.

Ze schodów za oknem znów dobiegł hałas. Po chwili pociągnięte silną ręką okno otworzyło się i do pokoju wszedł po parapecie Erlein di Senzio z Catrianą w ramionach.

Patrzył na nich przez chwilę w kamiennym milczeniu. Potem odwrócił się do Alessana.

– Jeżeli martwisz się o magię – powiedział ledwie dosłyszalnym szeptem – to bardzo słusznie. Przed chwilą posłużyłem się wielką mocą. Jeżeli w Senzio jest Tropiciel, to każdy, kto znajduje się przy mnie, może zostać ujęty i zabity. – Przerwał, po czym słabo się uśmiechnął. – Ale zdążyłem ją złapać. Żyje.

Świat zawirował wokół Devina. Chłopak usłyszał własny okrzyk radości. Sandre dosłownie rzucił się do Erleina, by przejąć od niego nieprzytomną Catrianę i pospiesznie ułożyć ją na łóżku. Devin zobaczył, że diuk znów płacze. Płakał też, niespodziewanie, Rovigo.

Devin odwrócił się do Erleina. Zdążył zobaczyć, jak Alessan dwoma szybkimi krokami przemierza pokój, oplata ramionami słabo protestującego Erleina w niedźwiedzim uścisku i unosi go z podłogi. Po chwili Alessan puścił go i cofnął się o krok z błyszczącym wzrokiem i twarzą rozjaśnioną uśmiechem, którego najwyraźniej nie potrafił opanować. Erlein bezskutecznie usiłował zachować swój zwykły cyniczny wyraz twarzy. Podszedł do niego Baerd i bez żadnego przygotowawczego gestu chwycił czarodzieja za ramiona i ucałował w oba policzki.

Znów trubadur z całych sił starał się wyglądać na niezadowolonego. I znów mu się udało. Bezskutecznie usiłując przybrać swą zwykłą, skrzywioną minę, powiedział:

– Uważaj. Kiedy wszyscy wypadaliście z pokoju, Devin rozpląszczył mnie na podłodze. Wciąż mam od tego siniaki. – Rzucił Devinowi groźne spojrzenie, a on uśmiechnął się do niego radośnie.

Sertino podał Erleinowi butelkę. Czarodziej pociągnął długi łyk i wytarł usta.

– Z tego, jak pędziliście, nietrudno się było domyślić, że stało się coś bardzo złego. Ruszyłem za wami, ale już tak szybko nie biegam, więc postanowiłem posłużyć się magią. Znalazłem się przy dalszym końcu muru ogrodowego w chwili, kiedy Alessan i Devin dotarli do jego bliższego końca.

– Dlaczego? – zapytał ostro Alessan ze zdumieniem w głosie. – Przecież ty nigdy nie używasz magii. Dlaczego zrobiłeś to teraz?

Erlein wzruszył ramionami wystudiowanym gestem.

– Nigdy nie widziałem, żebyście wszyscy gdzieś tak pędzili – Skrzywił się. – Chyba mnie poniosło.

Alessan znów się uśmiechał; nie bardzo mógł nad sobą zapanować. Co kilka sekund zerkał na łóżko, jakby chciał się upewnić, kto na nim leży.

– I co potem? – zapytał.

– Potem zobaczyłem ją w oknie i domyśliłem się, o co chodzi. Więc... użyłem magii, żeby dostać się na drugą stronę muru, i zczekałem w ogrodzie pod oknem. – Odwrócił się do Sandre. – Wysłałeś zdumiewający czar z tak dużej odległości, ale nie miałeś najmniejszej szansy. Nie próbowałeś nigdy przedtem tego dokonać, nie mogłeś wiedzieć, że w ten sposób nie można nikogo uchronić od upadku. Trzeba się znajdować pod spadającym. I ktoś taki zwykle powinien być nieprzytomny. Ten rodzaj magii działa właściwie tylko na nasze własne ciała, a jeśli chcemy zastosować ją względem kogoś innego, trzeba zneutralizować jego wolę, bo inaczej wszystko się płacze, kiedy taki człowiek widzi, co się dzieje, i jego umysł zaczyna z tym walczyć.

Sandre potrząsał głową.

– Myślałem, że to moja słabość. Ze mimo związania nie jestem dość silny.

Erlein miał dziwną minę. Przez sekundę wydawało się, że coś odpowie diukowi, ale znów

podjął swoją opowieść.

– Użyłem jednego zaklęcia, żeby pozbawić ją przytomności, kiedy spadała, i drugiego, silniejszego, żeby ją złapać, zanim spadnie na ziemię. A potem jeszcze trzeciego, które przeniosło nas na drugą stronę muru. Byłem kompletnie wyczerpany i przerażony, że jeśli gdziekolwiek w zamku jest Tropiciel, to natychmiast nas wykryje. Zrobiło się jednak za duże zamieszanie. Dzieje się tam chyba coś jeszcze. Na jakiś czas schowaliśmy się za świątynią Eanny, a potem przyniosłem ją tutaj.

– Niosłeś ją przez ulice? – zapytała Alais. – Nikt was nie zauważył?

Erlein uśmiechnął się do niej łagodnie.

– W Senzio to nic niezwykłego, moja droga. – Alais oblała się rumieńcem, ale Devin widział, że się tym nie przejęła. Wszystko w porządku. Nagle wszystko było w porządku.

– W takim razie lepiej wyjdźmy na ulicę – powiedział Baerd do Ducasa. – Trzeba będzie sprowadzić Arkina i paru innych. Czy są tu Tropiciele czy nie, wszystko się zmieniło. Kiedy nie znajdą w ogrodzie jej ciała, to dziś w nocy miasto zostanie dokładnie przeszukane. Chyba będzie trzeba wywołać jakieś zamieszki.

Ducas znów się uśmiechnął, jeszcze bardziej niż zwykle przypominając wilka.

– Mam nadzieję – rzekł tylko.

– Jedną chwilę – powiedział cicho Alessan. – Chcę, żebyście wszyscy byli świadkami. – Odwrócił się do Erleina i zawahał się, dobierając właściwe słowa. – Obaj wiemy, że zrobiłeś to bez żadnego przymusu z mojej strony i pod każdym względem wbrew swoim interesom.

Erlein zerknął na łóżko, a na jego ziemistych policzkach wykwitły nagle czerwone plamy.

– Nie traktuj tego zbyt poważnie – burknął. – Każdy człowiek ma swoje chwile szaleństwa. Lubię rude, i tyle. Przecież w ten sposób mnie podszedłeś, pamiętasz?

Alessan potrząsnął głową.

– Być może to prawda, ale nie cała, Erleinie di Senzio. Związałem cię z naszą sprawą wbrew twojej woli, ale myślę, że właśnie do niej dobrowolnie przystąpiłeś.

Erlein zaklął siarczyście.

– Nie bądź głupcem, Alessanie! Przecież ci powiedziałem, że...

– Wiem, co mi powiedziałaś. Sam jednak wyciągam wnioski. A prawda jest taka, że dzisiaj dzięki tobie i Catrianie zdałem sobie sprawę, że istnieją granice tego, co chcę robić lub co chcę, żeby robili inni w jakiegokolwiek sprawie. Nawet w mojej własnej.

Kończąc mówić, Alessan szybko postąpił krok do przodu i położył Erleinowi rękę na czole. Czarodziej chciał się cofnąć, lecz Alessan go przytrzymał.

– Jestem Alessan, księżę Tigany – powiedział wyraźnie – w linii prostej potomek Micaeli. W imieniu Adaona i jego daru dla jej dzieci, przywracam ci wolność, czarodzieju!

Obaj nagle zachwiali się w tył, jakby pękła łącząca ich nić. Twarz Erleina była

kredowobiała.

– Mówię ci jeszcze raz – wychrypiał – że jesteś głupcem!

Alessan potrząsnął głową.

– Nazywałeś mnie już gorzej, i to mając ku temu powody. Teraz jednak ja powiem coś, co prawdopodobnie bardzo ci się nie spodoba: zdemaskuję cię jako uczciwego człowieka, tak samo pragnącego wolności, jak każdy z nas. Nie możesz się już kryć za swymi fochami i rozgoryczeniem, Erleinie. Nie możesz zaszcześcić mi swej własnej nienawiści do tyranów. Jeśli zechcesz nas opuścić, możesz to zrobić. Nie sądzę jednak, żebyś miał ochotę. Witaj w naszej drużynie.

Erlein wyglądał na zapędzonego w kozi róg. Miał tak zmieszaną minę, że Devin wybuchnął śmiechem. Cała sytuacja była już dla niego jasna i zarazem w dziwaczny, przewrotny sposób komiczna. Podszedł do czarodzieja i uściskał go.

– Cieszę się, że jesteś z nami – powiedział.

– Wcale nie jestem! Nic takiego nie powiedziałem! – warknął Erlein. – Nic takiego nie powiedziałem ani nie zrobiłem!

– Ależ tak. – To powiedział Sandre, którego pobrużdżona, ciemna twarz wciąż nosiła ślady wyczerpania i bólu. – Zrobiłeś to przed chwilą. Alessan ma rację. Zna cię lepiej, niż ktokolwiek z nas. Pod pewnymi względami nawet lepiej, niż ty sam, trubadurze. Od jak dawna próbujesz przekonać samego siebie, że ważna jest dla ciebie wyłącznie twoja własna skóra? Ilu ludzi uwierzyło, że to prawda? Ja jestem jednym z nich. Baerd i Devin. Może Catriana. Alessan nie, Erleinie. Uwolnił cię, by udowodnić nam wszystkim, że się myliliśmy.

Zapadło milczenie. Słyszeli teraz krzyki dobiegające z dołu z ulicy i odgłos pośpiesznych kroków. Erlein odwrócił się do Alessana. Patrzyli na siebie. Pamięć Devina podsunęła mu nagle obraz obozowiska w Ferraut i Alessana grającego przy ognisku piosenki z Senzio dla Erleina, rozwścieczonego cienia siedzącego nad rzeczką. Było tu tyle warstw, tyle znaczeń.

Devin zobaczył, jak Erlein di Senzio unosi do Alessana dłoń, lewą dłoń z iluzją wszystkich pięciu palców. Książę przytknął do niej swoją prawą, także otwartą dłoń.

– Chyba jestem z tobą – rzekł Erlein. – Mimo wszystko.

– Wiem – odparł Alessan.

– Dalejże! – odezwał się po sekundzie Baerd. – Mamy robotę. – Devin z Ducasem, Sertino i Naddo ruszyli za nim do zewnętrznych schodów za oknem.

Devin zanim wyszedł z pokoju, odwrócił się, by spojrzeć na łóżko. Zauważył to Erlein i podążył za jego wzrokiem.

– Nic jej nie jest – powiedział cicho czarodziej. – Wszystko w porządku. Zrób, co masz zrobić, i wracaj do nas.

Devin podniósł wzrok na niego. Wymienili prawie nieśmiały uśmiech.

– Dziękuję – rzekł Devin, mając na myśli wiele spraw, a potem wyszedł za Baerdem w zgiełk ulic.

* * *

Odzyskała przytomność, ale jeszcze przez kilka chwil nie otwierała oczu. Leżała na czymś miękkim i nieoczekiwanie znajomym, a wokół niej unosiły się głosy. To przybliżały się, to oddalały, jakby kołysane ruchami morza lub jak świetliki powoli krążące w letnią noc. Z początku nie bardzo potrafiła rozróżnić te głosy. Bała się otworzyć oczy.

– Chyba już się obudziła – powiedział ktoś. – Czy moglibyście wyświadczyć mi wielką przysługę i na kilka chwil zostawić mnie z nią sam na sam?

Ten głos знаła. Po odgłosach zorientowała się, że wstaje i wychodzi kilka osób. Zamknęły się drzwi. Głos należał do Alessana.

Oznaczało to, że nie jest martwa. Że nie są to jednak Komnaty Moriany pełne głosów zmarłych. Otworzyła oczy. Siedział na krześle blisko niej. Leżała pod kocem na łóżku we własnym pokoju w zajeździe Solinghiego. Ktoś zdjął z niej czarną jedwabną suknię i zmył z jej skóry krew. Krew Anghiara, która trysnęła z jego gardła.

Fala wspomnień oszołomiła ją.

Alessan powiedział cicho:

– Żyjesz. W ogrodzie na dole czekał Erlein. Pozbawił cię przytomności, a potem dzięki magii powstrzymał twój upadek i przyniósł cię tutaj.

Znów zamknęła oczy, usiłując dojść do ładu z tym wszystkim. Z faktem, że żyje, że wraz z oddechem unosi się i opada jej pierś, z biciem serca i z tym dziwnie lekkim poczuciem, że może odpłynąć za najmniejszym podmuchem wiatru.

Nigdzie jednak nie odpłynie. Jest u Solinghiego, a obok niej siedzi Alessan. Poprosił innych, żeby wyszli. Odwróciła głowę i spojrzała na księcia. Był niezwykle blady.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – powiedział. – Widzieliśmy, jak spadasz spoza muru ogrodu. Erlein działał na własną rękę. Nikt z nas nie wiedział, co zrobił. Myśleliśmy, że nie żyjesz – powtórzył po chwili.

Zastanowiła się nad tym, a potem spytała:

– Czy coś osiągnęłam? Czy coś się dzieje?

Przeczesał palcami włosy.

– Za wcześnie, żeby mieć pewność. Ale myślę, że ci się powiodło. Na ulicach panuje wielkie zamieszanie. Jeśli się postarasz, to usłyszysz.

Skupiła się i rzeczywiście udało się jej rozróżnić krzyki i kroki biegnących ludzi, dochodzące zza okna.

Alessan wydawał się nienaturalnie zgaszony, jakby z czymś się zmagał. W pokoju panował jednak wielki spokój. Łóżko okazało się bardziej miękkie, niż je zapamiętała. Czekając i patrząc na niego, zauważyła jego wiecznie zmierzwiłone włosy w miejscu, gdzie wciąż je przeczesywał.

Alessan powiedział z namysłem:

– Catriano, nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo dziś się bałem. Musisz mnie teraz wysłuchać i spróbować to przemyśleć, bo to jest bardzo ważne. – Miał dziwny wyraz twarzy, a w jego głosie brzmiała nuta, której nie potrafiła zinterpretować.

Wyciągnął rękę i położył na jej dłoni, spoczywającej na kocu.

– Catriano, ja nie oceniam twojej wartości podług twego ojca. Nie robi tego nikt z nas. Musisz przestać się zdręzczać. Nigdy nie musiałaś niczego wyrównywać. Jesteś tym, kim jesteś, sama w sobie i dla samej siebie.

Był to dla niej trudny, bardzo trudny teren i Catriana poczuła, że serce bije jej szybciej. Obserwowała go, utkwivszy swoje błękitne oczy w jego szarych. Długie, szczupłe palce Alessana przykrywały jej dłoń.

– Każde z nas ma jakąś przeszłość, historię – powiedziała. – Rodzina ma znaczenie. On był tchórzem i uciekł.

Alessan potrząsnął głową, a na jego twarzy wciąż malowało się napięcie.

– Musimy być ostrożni – mruknął. – Tak bardzo ostrożni w ocenianiu ich i tego, co w tamtych dniach zrobili. Istnieją powody inne niż strach o samego siebie, dla których mężczyzna mający żonę i dziecko mógłby zdecydować się na zostanie z nimi i próbować utrzymać je przy życiu. Och, moja droga, w ciągu tych wszystkich lat widziałem tylu ludzi, którzy wyjechali ze względu na dzieci.

Czuła napływające do oczu łzy i ze wszystkich sił starała się je powstrzymać. Nie znosiła o tym mówić. Tkwiło to twardą kulką bólu we wszystkim, co robiła.

– Ale to było jeszcze przed Deisą – szepnęła. – Wyjechał przed bitwami. Nawet przed tą, którą wygraliśmy.

Znów potrząsnął głową, krzywiąc twarz na widok jej rozpacz. Nagle uniósł jej dłoń do swoich ust. Nie pamiętała, żeby zrobił to kiedykolwiek przedtem. Było w tym wszystkim coś bardzo dziwnego.

– Rodzice i dzieci – powiedział tak cicho, że prawie nie usłyszała tych słów. – To takie trudne; tak szybko osądzamy. – Zawahał się. – Nie wiem, czy Devin ci mówił, ale zanim moja matka umarła, przeklęła mnie. Nazwała mnie zdrajcą i tchórzem.

Zamrugła oczyma i aż usiadła. Zrobiła to zbyt pośpiesznie. Kręciło jej się w głowie i była straszliwie osłabiona. Devin niczego jej nie powiedział.

– Jak mogła? – spytała, czując, jak ogarnia ją gniew na tę kobietę, kobietę, której nigdy nawet nie widziała. – Ty? Tchórzem? Czy ona... czy ona nie wiedziała o tym, co...

– Wiedziała prawie wszystko – odparł cicho. – Po prostu nie zgadzała się ze mną co do tego, co jest moim obowiązkiem. Właśnie to chcę ci powiedzieć, Catriano: można w takich sprawach mieć odmienne zdanie i dojść do miejsca, które dla nas obojga było takie straszne. Tylu rzeczy uczę się tak późno. Myślę, że na tym świecie, w którym żyjemy, najbardziej ze wszystkiego potrzebujemy współczucia, bo inaczej jesteśmy zupełnie samotni.

Tym razem udało się jej usiąść. Popatrzyła na niego, wyobrażając sobie tamten dzień i słowa jego matki. Pamiętała, co powiedziała swemu ojcu tego ostatniego wieczoru w domu, pamiętała słowa, które wyгнаły go w ciemność. Kiedy odchodziła, wciąż był gdzieś, samotny, poza domem.

Przełknęła ślinę.

– Czy... czy na tym się skończyło? Czy tak umarła twoja matka?

– Nie odwołała tych słów, ale przed samym końcem pozwoliła mi wziąć się za rękę. Chyba nigdy się nie dowiem, czy oznaczało to...

– Oczywiście, że tak! – powiedziała szybko. – Oczywiście, że tak, Alessanie. Wszyscy tak robimy. Przekazujemy dłońmi, oczyma to, co boimy się powiedzieć. – Zaskoczyła samą siebie; nie wiedziała, że wie coś takiego.

Uśmiechnął się wtedy i spojrzał w dół, na swoje palce wciąż spoczywające na jej dłoni. Catriana poczuła, że się czerwieni. Alessan powiedział:

– Jest w tym pewna prawda. Ja to robię w tej chwili, Catriano. Może jednak jestem tchórzem.

Wszystkich odprawił z pokoju. Serce wciąż jej biło bardzo szybko. Spojrzała mu w oczy, po czym szybko odwróciła wzrok, bojąc się, że po tym, co powiedziała, będzie to wyglądało na badanie. Znowu poczuła się jak dziecko, zmieszana i pewna, że czegoś nie zauważa. Nigdy, nigdy nie znosiła nie rozumieć, co się dzieje. Wydawało się jednak zarazem, że ogarniają ją fala przedziwnego, niezwykłego ciepła oraz cudownego światła, o wiele jaśniejszego, niż powinny dawać palące się w pokoju świece.

Starła się zachować panowanie nad oddechem i potrzebowała odpowiedzi, lecz absurdalnie obawiała się jej.

– Czy... mógłbyś... mi to wyjaśnić? Alessanie? Tym razem uważnie go obserwowała, patrzyła, jak się uśmiecha, zobaczyła, co zapala się w jego oczach, czytała nawet z ruchu jego warg.

– Kiedy zobaczyłem, jak spadasz – mruknął, wciąż trzymając ją za rękę – zdałem sobie sprawę, że spadam razem z tobą, miła moja. W końcu zrozumiałem, zbyt późno, czego sobie tak długo odmawiałem, jak całkowicie pozbawiłem się czegoś ważnego, nawet przyznania się do możliwości istnienia tego, dopóki nie istnieje Tigana. Serce jednak... ma swoje własne prawa, Catriano, i prawda jest taka... prawda jest taka, że prawem mojego serca jesteś ty. Przekonałem

się o tym, kiedy zobaczyłem cię w tamtym oknie. Tuż przed twoim skokiem poznałem, że cię kocham. Jasna gwiazdo Eanny, wybac mi te słowa, ale jesteś przystanią dla mej duszy.

„Jasna gwiazda Eanny”. Zawsze ją tak nazywał, od samego początku. Imienia tego używał jakby mimochodem, czy to drocząc się z nią, kiedy się boczyła, czy to chwając ją, gdy zrobiła coś dobrze. Przystań jego duszy.

Płakała w milczeniu, a wielkie łzy powoli ściekały jej po policzkach.

– Och, moja droga, nie – powiedział dziwnie załamującym się głosem. – Tak mi przykro. Jestem głupcem. To zbyt nieoczekiwane po tym, co zrobiłaś. Nie dzisiaj. Nie powinienem nic mówić. Nawet nie wiem, czy...

Urwał. Ale tylko dlatego, że zakryła mu usta dłonią, żeby przestał mówić. Wciąż płakała, lecz wydawało się, że pokój rozjaśnia się zdumiewającym blaskiem, o wiele silniejszym od światła świec czy księżyców: blaskiem, jaki śle słońce, kiedy wstaje znad krawędzi ciemności.

Zsunęła palce z jego ust i ujęła go za rękę, którą niedawno trzymał na jej dłoni. Przekazujemy dłońmi to, czego nie potrafimy powiedzieć. Wciąż nic nie mówiła; nie mogła wykrztusić słowa. Drżała. Pamiętała, jak trzęsły jej się ręce, kiedy wieczorem wychodziła na dwór. Tak jeszcze niedawno stała w zamkowym oknie i wiedziała, że umrze. Jej łzy spadły na jego dłoń. Opuściła głowę, lecz nie przestawały lecieć. Czuła się, jakby jej serce było świeżo narodzonym ptakiem, triallą, która rozpościera skrzydła, gotując się do wyśpiewania pieśni swoich dni.

Kłęcząc przy łóżku. Poruszyła ręką i przeciągnęła nią po jego włosach w beznadziejnej próbie przyglądzenia ich. Wydawało się, że od dawna chciała to zrobić. Od jak dawna? Jak długo mogą istnieć takie pragnienia, nigdy nie poznane, nie dopuszczone do głosu czy wręcz zakazane?

– Kiedy byłam mała – przemówiła łamiącym się głosem – śniłam o czymś takim. Alessanie, czy ja umarłam i wróciłam do życia? Czy ja teraz śnię?

Dostrzegła jego uspokajający uśmiech, który znała, który znali oni wszyscy, jakby jej słowa uwolniły go od jego własnego lęku, jakby pozwoliły mu znów być sobą. Uśmiech ten zawsze oznaczał, że jest z nimi i że wszystko będzie dobrze.

Wtem nieoczekiwanie przysunął się do łóżka i opuszczył głowę na okrywający ją cienki koc, jakby szukając własnego schronienia, schronienia, które ona mogła mu dać. Zrozumiała; wydawało się – o, jakaż bogini mogłaby to przepowiedzieć? – że jednak ma coś, co może mu ofiarować. Uniosła ręce i objęła go za głowę, tuląc do siebie, i w tej chwili wydało jej się, że ta nowo narodzona w jej sercu trialla zaczęła śpiewać. O przebytych i przyszłych próbach, o zwątpieniu i ciemności, i wszystkich niepewnościach określających zewnętrzne granice śmiertelnego życia, lecz u podłoża tego wszystkiego leżała teraz miłość, niczym światło, niczym pierwszy kamień powstającej wieży.

* * *

Później w nocy Devin dowiedział się, że w Senzio był barbadiorski Tropiciel i że został zabity, choć nie przez nich. Nie musieli też obawiać się przeczesywania miasta. Kiedy złożyli razem wszystkie kawałki wydarzeń, nastał już prawie świt.

Wydawało się, że Barbadiorczycy poszaleli.

Kiedy znaleźli na podłodze obok ciała Anghiara zatruty ygratheński nóż i usłyszeli, co wykrzyczała kobieta przed skokiem, wyciągnęli wszystkie zabójczo oczywiste wnioski.

Było ich w Senzio dwudziestu – straż honorowa Anghiara. Uzbroili się, zebrali i przeszli do zachodniego skrzydła Zamku Gubernatora. Zabili stojących tam na straży sześciu Ygratheńczyków, wyłamali drzwi i napadli na Culliona z Ygrathu, przedstawiciela Brandina, kiedy usiłował się ubrać. Zabijali go powoli. Echo jego krzyków rozbrzmiewało w całym zamku.

Następnie wrócili na dół, przeszli przez dziedziniec do bramy i usiekli czterech senziańskich strażników, którzy wpuścili tę kobietę bez odpowiedniej rewizji. Właśnie wtedy na dziedzińcu pojawił się dowódca straży zamkowej z oddziałem Senzian. Rozkazał Barbadiorczykom złożyć broń.

Zgodnie z większością późniejszych zeznań już mieli to zrobić, ponieważ osiągnęli swój bezpośredni cel, kiedy strzeliło do nich z łuków dwóch Senzian, rozwścieczonych rzezią swoich przyjaciół. Padło dwóch Barbadiorczyków. Jednym z nich był Tropiciel w służbie Alberico. Wywiązała się bitwa na śmierć i życie i oświetlony pochodniami dziedziniec zamku zrobił się wkrótce śliski od krwi. Barbadiorczycy zostali wybici w pień, zabrali jednak za sobą w śmierć trzydziestu czy czterdziestu Senzian.

Nikt nie wiedział, kto wystrzelił strzałę, od której zginął gubernator Casalia, kiedy pospiesznie schodził ze schodów, krzycząc chrapliwie, by przestali walczyć.

W zamieszaniu, jakie powstało po jego śmierci, nikt nie pomyślał o tym, żeby pójść do ogrodu po ciało kobiety, od której to wszystko się zaczęło. Wieści zataczające coraz szersze kręgi spowodowały rosnącą panikę w mieście. Pod zamkiem zgromadził się olbrzymi, przerażony tłum. Tuż po północy widziano dwa konie pędzące od miejskich murów na południe ku granicy z Ferraut. Niedługo potem odjechało też w blasku obu księżyców pięciu ocalałych członków poselstwa Brandina. Oczywiście pojechali na północ, w kierunku Farsaro, gdzie kotwiczyła flota.

Catriana spała na drugim łóżku. Twarz miała gładką, spokojną, niemal po dziecięcemu beztruską. Alais nie mogła jednak zasnąć. Na ulicach panował zbyt wielki harmider i dziewczyna wiedziała, że ojciec znajduje się w samym środku wydarzeń.

Alais nie mogła zasnąć nawet po tym, jak Rovigo wrócił i zajął do nich, żeby powiedzieć, że chyba nie ma niebezpieczeństwa. Zbyt wiele zdarzyło się tej nocy, nic jednak nie dotyczyło bezpośrednio jej i nie była tak zmęczona, jak Catriana, a jedynie podekscytowana i niespokojna. Nie potrafiła nawet określić dziwnych, oderwanych uczuć, które nie dawały jej zasnąć. W końcu narzuciła na siebie płaszcz, kupiony przed dwoma dniami na targu, i usiadła na parapecie otwartego okna.

Było już bardzo późno, oba księżyce wisiały na zachodzie, nisko nad morzem. Nie widziała portu – zajazd Solinghiego leżał za daleko od morza – ale wiedziała, że tam jest i że nocna bryza kołysze zakotwiczoną „Panną Morską”. Na ulicach byli jeszcze ludzie, widziała ciemne postacie przechodzące pod jej oknem, a od dzielnicy tawern dobiegały od czasu do czasu jakieś krzyki. Były to jednak tylko zwykłe odgłosy miasta nie znającego godziny policyjnej, prowadzącego głośnie nocne życie.

Zastanawiała się, kiedy nadejdzie świt i ile czasu będzie musiała nie spać, jeśli zechce zobaczyć wschód słońca. Pomyślała, że może na niego zaczeka. Nie była to noc sprzyjająca snowi, przynajmniej jej snowi, poprawiła się Alais, rzucając okiem na Catrianę. Przypomniała sobie, jak ostatni raz dzieliły pokój. Jej własny pokój w domu.

Znalazła się daleko od niego. Zastanawiała się, co pomyślała jej matka po otrzymaniu od Rovigo ostrożnego listu, nie do końca wyjaśniającego sytuację, przesłanego kurierem przez cały Astibar z portu Ardin, kiedy żeglowali na północ do Senzio. Zastanawiała się, ale z drugiej strony wiedziała: wzajemne zaufanie rodziców stanowiło jeden z pokrzepiających elementów jej własnego świata.

Spojrzała na niebo. Było wciąż ciemne, a ponieważ księżyce zachodziły, gwiazdy lśniły jeszcze mocniej. Do świtu brakowało kilku godzin. Usłyszała pod oknem kobiecy śmiech i z dziwnym uczuciem uświadomiła sobie, że był to jedyny dźwięk, jakiego nie słyszała wcześniej wśród panującego na ulicach zamętu. W dziwny, nieoczekiwany sposób ten kobiecy śmiech i następujący po nim cichy męski głos uspokoił ją: bez względu na to, co mogło się stać, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Drewniane schody za oknem zaskrzypiały pod czyjąś stopą. Alais cofnęła się, ponieważ zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie można ją było zobaczyć z dołu.

– Kto tam? – zawołała cicho, żeby nie obudzić Catriany.

– To tylko ja – odparł Devin, pojawiając się na podeście za oknem. Spojrzała na niego. Miał ubłocone ubranie, jakby się przewrócił, ale mówił spokojnym głosem. Było zbyt ciemno, żeby wyraźnie widzieć jego oczy. – Dlaczego nie śpisz? – zapytał.

Zrobiła nieokreślony ruch ręką, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Zdarzyło się chyba zbyt wiele rzeczy naraz. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Zobaczyła jego odsłonięte w uśmiechu zęby.

– Nikt z nas nie jest do tego przyzwyczajony – powiedział. – Uwierz mi. Nie sądzę jednak, żeby tej nocy zaszło coś jeszcze. Wszyscy idziemy spać.

– Niedawno wrócił mój ojciec. Mówił, że chyba się uspokoiło.

Devin skinął głową.

– Na razie. Gubernator zginął w zamku. Catriana zabiła tego Barbadiorczyka. Powstało tam straszne zamieszanie i ktoś chyba zastrzelił Tropicielea. Myślę, że to nas uratowało.

Alais przełknęła ślinę.

– Ojciec mi o tym nie powiedział.

– Pewnie chciał, żebyś zasnęła. Byłoby mi przykro, gdybyś nie mogła tego zrobić przeze mnie. – Spojrzał nad jej ramieniem na drugie łóżko. – Jak się czuje?

– Właściwie dobrze. Śpi. – Zauważyła troskę w jego głosie. Catriana jednak sobie na nią zasłużyła, na troskę i opiekuńczość, tej nocy oraz przedtem, w sposób, który Alais ledwo mogła ogarnąć umysłem.

– A ty dobrze się czujesz? – zapytał Devin innym tonem, odwracając się do niej. W tym zmienionym, głębszym głosie brzmiało coś, co sprawiało, że trudno jej było oddychać.

– Tak, ze mną wszystko w porządku, naprawdę.

– Wiem o tym – rzekł. – Właściwie powiedzieć „w porządku”, to powiedzieć za mało o tobie, Alais. – Zawahał się, sprawiając nagle wrażenie skrępowanego. Nie rozumiała tego, dopóki powoli nie nachylił się i nie pocałował jej w usta. Już po raz drugi, jeśli liczyć pocałunek w zatłoczonej izbie na dole, ale tym razem to było zadziwiająco inne. Przede wszystkim nie śpieszył się, a poza tym byli sami i panowała ciemność. Poczuli, jak Devin unosi jedną rękę i kładzie na jej włosach.

Cofnął się niepewnie. Alais otworzyła oczy. Jego sylwetka miała miękkie, jakby zatarte kontury. Z ulicy dobiegły czyjeś kroki, już spokojne, a nie pośpieszne jak przedtem. Oboje patrzyli na siebie w milczeniu. Devin odchrząknął i powiedział:

– Jeszcze... do świtu brakuje jeszcze dwóch czy trzech godzin. Spróbuj pospać, Alais. Niedługo... niedługo będzie się dużo działo.

Uśmiechnęła się. Devin wahał się jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się i odszedł po pomoście do okna pokoju, który dzielił z Alessanem i Erleinem.

Jeszcze przez jakiś czas siedziała na parapecie, patrząc na jasne gwiazdy i pozwalając uspokoić się mocno bijącemu sercu. Przypomniała sobie tę jego niezgrabną, bardzo młodzieńczą niepewność i zadziwienie, jakie zabrzmiały w jego głosie przy tych ostatnich słowach. Alais znów uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Dziewczynie zaprawionej w obserwacji ten zmieniony głos wyjawiał bardzo wiele. A ta zmiana zaszła, gdy jej dotknął. Co było, jeśli się nad tym zastanowić i przypomnieć sobie ten pocałunek, niezwykle zadziwiające.

Wciąż się uśmiechając, zeszła z parapetu i wróciła do łóżka; rzeczywiście zasnęła na kilka

całkiem odmienionych godzin tej długiej nocy.

* * *

Przez cały następny dzień wszyscy czekali. Nad Senzio niczym dym zawisł cień zguby. Skarbnik miejski usiłował przejąć kontrolę w zamku, ale dowódca straży nie miał ochoty przyjmować od niego rozkazów. Cały dzień głośno się kłócili. Zanim przypomniano sobie, że trzeba zejść po dziewczynę, jej ciało zniknęło. Nikt nie wiedział, dokąd ani z czyjego rozkazu je zabrano.

Praca w mieście stopniowo zamierała. Ludzie wałęsali się po ulicach, chłonąc plotki i dławiąc się strachem. Prawie na każdym rogu słyszało się co innego. Mówiono, że brat ostatniego diuka, Rinaldo, wrócił do miasta, żeby przejąć zamek; w południe wszyscy już słyszeli jakąś wersję tej wiadomości, ale nikt nie widział jej bohatera.

Zapadła niespokojna, pełna nerwowości ciemność. Na ulicach przez całą noc panował tłok. Wydawało się, że nikt w Senzio nie może spać. Noc była jasna i niezwykle piękna. Po czystym niebie płynęły oba księżycy. Przed zajazdem Solinghiego zebrał się tłum – w środku nie było już miejsca – żeby posłuchać, jak trzej muzycy grają i śpiewają o wolności i pełnej chwały przeszłości Senzio. Pieśni tych nie śpiewano od czasu, kiedy Casalia zrzekł się praw do tronu swego ojca, pozwolił się nazywać gubernatorem i przyjął jako doradców wysłanników tyranów. Casalia nie żył. Obaj wysłannicy też. Muzyka płynęła z zajazdu w wonną, letnią noc, rozlewając się wzdłuż alejek, wznosząc się do gwiazd.

Tuż po wschodzie słońca nadeszła wiadomość. Zeszłego popołudnia Alberico z Barbadioru przekroczył granicę i teraz posuwa się ze swoją armią na północ, paląc po drodze wsie i pola. Przed południem nadeszła też wiadomość z północy: flota Brandina podniosła kotwicę i wyruszyła na południe ze sprzyjającym wiatrem.

Wojna.

W całym mieście Senzio ludzie wychodzili z domów i tawern i zaczęli poniewczasie tłoczyć się w świątyniach Triady.

Tego popołudnia w prawie opustoszałej głównej izbie „U Solinghiego” jeden mężczyzna nieprzerwanie grał na tregeańskiej fletni, coraz szybciej i coraz wyżej, wydobywając z niej dziką, prawie zapomnianą melodię.

Rozdział 20

Morze mieli za plecami. Na południe od miejsca, gdzie wyciągnęli statki na brzeg, zaczynała się długa, kręta pasterska ścieżka, prowadząca z plaży na szczyt ich wzgórza. Około dwóch mil na północ od nich wznosiły się mury Senzio i z tej wysokości Dianora widziała lśniące kopuły świątyń i blanki zamku. Słońce, wznoszące się na wschodzie nad sosnowymi lasami, lśniło spiszowym blaskiem na niskim, ciemnobłękitnym niebie. Mimo wczesnej pory było już ciepło; przed południem zrobi się bardzo gorąco.

Przed południem zacznie się walka.

Brandin naradzał się z d'Eymonem, Rhamanusem i swoimi dowódcami, z których trzech zostali świeżo mianowani: jeden z Corte, jeden z Asoli i jeden z samej Chiary. Oczywiście nie mianował nikogo z Dolnego Corte, chociaż w rozpościerającej się poniżej dolinie znajdowała się pewna liczba żołnierzy z tej prowincji. Nie mogąc którejś nocy zasnąć na pokładzie okrętu flagowego zakotwiczonego u wybrzeży Farsaro, Dianora zastanawiała się przez chwilę, czy jednym z nich jest Baerd. Ale przecież wiedziała, że to być nie może. Jej brat nie mógł się zmienić pod tym względem, tak samo jak nie mógł się zmienić Brandin. Wszystko trwało po staremu. Bez względu na to, jak wiele mogło się zmienić, to jedno będzie trwało, dopóki nie umrze ostatnie pokolenie, które znało Tigane.

A ona? Od Nurkowania, od wynurzenia się z morza starała się w ogóle nie myśleć. Poddawała się po prostu wydarzeniom, którym dała początek. Przyjmowała cudowny fakt miłości Brandina do siebie oraz straszliwą niepewność tej wojny. Nie widziała już ścieżki riselki. Miała pewne pojęcie, co to oznacza, ale nadal starała się o tym nie myśleć. Noc to co innego; sny zawsze były inne. Była właścicielką i niewolnicą rozdartego serca.

Mając za sobą dwóch strażników, zbliżyła się o parę kroków do krawędzi wzgórza i spojrzała na szeroką dolinę, biegnącą ze wschodu na zachód. Dalej były gęste, zielone lasy sosnowe, na bardziej stromych południowych zboczach rosły drzewa oliwne, a leżący na pomocy płaskowyż prowadził do miasta Senzio.

Znajdujące się daleko poniżej obie armie właśnie budziły się do życia, ludzie wychodzili z namiotów, wyplątywali się z koców, siodłali konie, czyścili miecze, zakładali cięciwy na łuki. Jasne promienie słońca wydobywały błyski metalu wzdłuż całej doliny. W przejrzystym powietrzu z łatwością dolatywały do niej na górę głosy. Wiatr był na tyle silny, że rozwiewał sztandary. Mieli nowe własne godło: złocisty wizerunek samej Dłoni odcinający się na ciemnobłękitnym tle oznaczającym morze. Znaczenie godła wybranego przez Brandina nie mogło być jaśniejsze – walczą w imieniu Zachodniej Dłoni, ale chcą zawładnąć całym półwyspem. Zjednoczonym półwyspem, z którego wygnają Barbador. Dianora była przekonana,

że to dobry symbol. Był to także właściwy, konieczny dla tego półwyspu krok. Podejmował go jednak człowiek, który do niedawna był królem Ygrathu.

Oprócz ludzi z czterech zachodnich prowincji w armii Brandina byli nawet Senzianie. W ciągu dwóch dni, które upłynęły od wylądowania armii w południowej części zatoki, przyłączyło się do niej kilkuset ochotników z miasta. Po śmierci gubernatora w zamku toczyła się kłótnia o pozbawioną znaczenia władzę i oficjalna polityka senziańskiej neutralności legła w gruzach. Nikt nie wątpił, że pomogła jej się zawalić decyzja Alberico palenia ziemi, po której przeciągały jego wojska, podjęta w odwecie za śmierć Barbadiorczyków w mieście. Gdyby wróg wyruszył szybciej, Rhamanus mógłby mieć kłopoty z lądowaniem, lecz wiatry mu sprzyjały i dotarł do miasta o cały dzień przed Alberico. Pozwoliło to Brandinowi dokonać oczywistego wyboru wzgórza, z którego roztaczał się widok na całą dolinę, i rozmieścić wojska tam, gdzie było trzeba. Wszyscy wiedzieli, że dzięki temu zyskał przewagę.

Wydała się ona nieco mniejsza następnego ranka, kiedy z unoszących się na południu dymów wychynęły trzy armie Barbadioru. Niosły ze sobą aż dwa sztandary: jeden imperialny z czerwoną górą i złotą tiarą na białym tle, a drugi ze szkarłatnym dzikiem Alberico w żółtym polu. Czerwień na obu sztandarach niczym krople krwi plamiła wschodnią stronę doliny, wzdłuż której ustawiała się równymi, znakomicie wymusztrowanymi szeregami konnica i piechota Alberico. Żołnierze Imperium Barbadioru podbili większość znanego świata na wschodzie.

Dianora stała na wzgórzu i obserwowała ich przybycie. Wydawało się, że trwa to całą wieczność. Kilka razy szła do namiotu i wracała na szczyt wzgórza. Słońce zaczęło zachodzić.

Kiedy do doliny wkroczyli i wjechali konno już wszyscy najemnicy Alberico, słońce znalazło się całkowicie za plecami Dianory, na zachodzie nisko nad morzem.

– Trzech do jednego, może nieco lepiej – powiedział Brandin, podchodząc do niej. Miał odkrytą głowę i wieczorna bryza wicherzyła jego krótkie, siwiejące włosy.

– Za dużo ich jest? – zapytała cicho, żeby nikt inny jej nie usłyszał.

Spojrzał na nią, a potem wziął za rękę. Teraz często to robił, jakby nie potrafił znieść ani chwili bez fizycznego kontaktu z Dianora. Od czasu Nurkowania kochali się z taką namiętnością, że potem oboje leżeli wyczerpani, nie potrafiąc sformułować żadnych myśli. Dianora wiedziała, że to właśnie ma dla niej zasadnicze znaczenie: chciała znieczulić umysł, by uciszyć głosy i wspomnienia. Wymazać z niego obraz tej wyraźnej, prostej ścieżki znikającej w mroku morza.

W dniu, kiedy przybyli Barbadiorczyki, Brandin splótł swoje palce z jej palcami i powiedział:

– Może jest ich za dużo. Trudno to ocenić. Moja moc jest większa niż moc Alberico. Myślę, że stojąc na tym wzgórzu, mogę zniwelować różnicę liczebności armii.

Cicho wypowiedziane, wyważone przedstawienie istotnych faktów. Żadnej arogancji,

a jedynie niezmienna, ciągle obecna дума. I dlaczego miałyby wątpić w jego czarnoksiężskie zdolności? Dokładnie wiedziała, czego dokonały w czasie tamtej wojny, jakieś dwadzieścia lat temu.

Ta rozmowa odbyła się wczoraj. Dianora odwróciła się wtedy, by popatrzeć, jak słońce zanurza się w morzu. Noc potem była jasna i wspaniała. Białego Vidomniego przybywało, a Ilarion był w pełni, błękitny i tajemniczy, księżyc fantazji i magii. Zastanawiała się, czy będą mieli czas wyłącznie dla siebie, ale Brandin przebywał na równinie wśród namiotów swojej armii przez większość nocy, a potem rozmawiał ze swoimi dowódcami. Wiedziała, że d'Eymon zostanie z nim nazajutrz na wzgórzu, podobnie jak Rhamanus – raczej marynarz niż żołnierz – który, jeśli sprawy zajdą tak daleko, miał dowodzić jego obroną. Dianora wiedziała, że jeśli sprawy rzeczywiście zajdą tak daleko, to wszyscy i tak pewnie zginą. Gwardia Królewska nic tu nie pomoże.

Kiedy Brandin wrócił do ich namiotu stojącego na wzgórzu wysoko nad morzem, oba księżycy już zaszły. Dianora położyła się, ale nie spała, czekając na niego. Widziała, jak bardzo jest zmęczony. Miał przy sobie mapy, szkice terenu, które chciał przestudiować ostatni raz, ale kazała mu je odłożyć.

Podszedł do łóżka i położył się w ubraniu. Po chwili złożył głowę na jej łonie. Przed długi czas żadne z nich nic nie mówiło, a potem Brandin trochę się przesunął i spojrzął na Dianorę.

– Nienawidzę tego człowieka w dolinie – odezwał się cicho. – Nienawidzę wszystkiego, co reprezentuje. Nie ma w nim ognia, żadnej miłości, żadnej dumy. Tylko ambicja. Nic się oprócz niej nie liczy. Nic oprócz własnego losu nie potrafi wywołać u niego litości czy żalu. Wszystko jest narzędziem. Chce tiary imperatora, wszyscy o tym wiedzą, ale on jej nie chce dla żadnego powodu. Chce tak po prostu. Wątpię, czy cokolwiek w jego życiu wywołało u niego uczucie związane z inną osobą... miłość, poczucie straty, cokolwiek.

Zamilkł. Był zmęczony i powtarzał się. Położyła mu dłonie na skroniach, patrząc na jego twarz, a on znowu się odwrócił i zamknął oczy. Pod jej dotykiem jego czoło stopniowo wygładzało się. W końcu oddech Brandina wyrównał się i Dianora zorientowała się, że zasnął. Ona czuwała, wodząc dłońmi jak ociemniała po jego ciele, poznając po wpadającym do namiotu świetle, że księżycy zaszły, wiedząc, że rano rozpęta się wojna i że kocha tego mężczyznę bardziej niż cały świat.

* * *

Musiała zasnąć, bo kiedy znów otworzyła oczy, na niebie szarzał świt, a Brandin zniknął. Na poduszce obok niej leżał czerwony anemon. Patrzyła na niego przez chwilę w bezruchu, a potem wzięła go do ręki i przycisnęła do twarzy, wdychając jego delikatną woń. Zastanawiała się, czy

Brandin zna legendę o tym kwiecie. Pomyślała, że raczej nie.

Wstała i w kilka chwil później pojawił się Scelto z kubkiem khavu w ręku. Miał na sobie sztywną skórzaną kamizelę posłańca – lekki pancerz, za słaby przeciwko strzale. Zgłosił się na ochotnika do oddziału dwudziestu takich posłańców roznoszących po wzgórzu rozkazy i wiadomości. Najpierw jednak przyszedł do niej, tak jak od kilkunastu lat co rano w saizanie. Dianora bała się, że rozmyślanie o tym doprowadzi ją do płaczu – byłby to zły znak w takim dniu. Udało się jej uśmiechnąć i powiedziała Scelto, żeby wracał do króla, któremu tego rana jest bardziej potrzebny.

Po jego wyjściu powoli wypita khav, nasłuchując coraz głośniejszych odgłosów dochodzących z zewnątrz. Potem umyła się, ubrała i wyszła z namiotu we wschodzące słońce.

Czekało na nią dwóch królewskich gwardzistów. Wszędzie za nią chodzili, utrzymując dyskretną odległość kilku kroków. Wiedziała, że dzisiaj będzie strzeżona. Poszukała wzrokiem Brandina i najpierw zobaczyła Rhuna. Obaj stali przy płaskiej krawędzi wzgórza, obaj mieli odkryte głowy i nie nosili zbroi, choć u pasów mieli identyczne miecze. Brandin postanowił się ubrać w proste brązy zwykłego żołnierza.

Dianora nie dała się zwieść. Podobnie jak inni.

Wkrótce potem Brandin postąpił krok ku krawędzi wzgórza i uniósł jedną rękę nad głową tak, żeby zobaczyli go wszyscy żołnierze obu armii. Bez jednego wypowiedzianego słowa, bez żadnego ostrzeżenia, z tej wyciągniętej w ciemny błękit nieba ręki wystrzelił płomień oślepiającego, krwawoszkarłatego światła. Z dołu dobiegł stojących na wzgórzu potężny ryk. To z imieniem Brandina na ustach mniej liczebna armia Zachodniej Dłoni ruszyła przez dolinę, by zetrzeć się z żołnierzami Alberico w bitwie, która się zapowiadała od bez mała dwudziestu lat.

* * *

– Jeszcze nie – powiedział spokojnie Alessan już co najmniej piąty raz. – Czekaliśmy całe lata i nie wolno nam się teraz pośpieszyć.

Devin miał wrażenie, że książę przestrzega bardziej samego siebie niż innych. Prawda była taka, że zanim Alessan nie wyda rozkazu, mogli tylko patrzeć, jak ludzie z Barbadioru, Ygrathu i prowincji Dłoni zabijają się nawzajem pod rozpalonym senziańskim niebem.

Sądząc po słońcu, było południe lub nieco później. Panował morderczy upał. Devin spróbował wczuć się w sytuację ludzi walczących poniżej, siekących się nawzajem, ślizgających się we krwi i depczących po tych, którzy padli w kipiącym kotle bitwy. Znajdowali się za wysoko i za daleko, by kogokolwiek rozpoznać, ale nie na tyle daleko, żeby nie widzieć, jak

umierają ludzie, i nie słyszeć ich krzyków.

Alessan wybrał ten punkt obserwacyjny przed tygodniem, mając pewność co do miejsc, które wybiorą dla siebie dwaj czarnoksiężnicy. Obaj postąpili dokładnie tak, jak przewidział. Z tego pochylego grzbietu, znajdującego się mniej niż o pół mili na południe od wyższego, szerszego wzniesienia, gdzie stał Brandin, Devin patrzył w dolinę i widział obie armie szczipione ze sobą w bezlitosnym wysyłaniu dusz do Moriany.

– Ygratheńczyk dobrze wybrał pole bitwy – powiedział Sandre z niemal obiektywnym podziwem wcześniej tego ranka, kiedy dał się słyszeć kwik koni i krzyki ludzi. – Równina jest na tyle szeroka, że jego ludzie mogą wykonywać manewry, ale nie na tyle, żeby Barbadiorczycy mogli go oskrzydlić, nie narażając się na poważne kłopoty na wzgórzach. Musieliby na nie wejść, przejść po odsłoniętych zboczach i z powrotem zejść w dolinę.

– Przyjrzyjcie się, a zobaczycie, że Brandin ustawił większość swoich łuczników na prawej flance, na południu, właśnie na wypadek czegoś takiego – dodał Ducas di Tregea. – Gdyby Barbadiorczycy chcieli ich obejść, łucznicy mogliby ich wystrzelać wśród tych oliwek na stokach jak jelenie.

Jeden oddział Barbadiorczyków próbował przed godziną takiego manewru. Zostali zdziesiątkowani i wycofali się pod deszczem strzał łuczników Zachodniej Dłoni. Devin poczuł nagłą falę podniecenia, które jednak szybko przerodziło się w niepewność. Owszem, Barbadiorczycy oznaczają tyranię i wszystko, co ona ze sobą niesie, ale jak można się cieszyć z sukcesu Brandina z Ygrathu?

Czy powinien zatem pragnąć śmierci mieszkańców Dłoni z ręki najemników Alberico? Devin nie wiedział, co ma myśleć i czuć. Miał wrażenie, że wszystko to rozdziera mu duszę wystawioną na palące senziańskie słońce.

Catriana stała tuż przed nim, obok księcia. Od czasu, kiedy Erlein przyniósł ją z ogrodu, Devin nie widział ich chyba oddzielnie. Następnego poranka spędził trudną godzinę, starając się przyzwyczaić do owego blasku, który najwyraźniej ich poraził. Alessan wyglądał tak, jak kiedy grał, jakby odnalazł dom. Kiedy Devin zerkał na Alais, widział, że patrzy na niego z dziwnym, bardzo tajemniczym uśmiechem, co jeszcze bardziej mąciło mu w głowie. Miał poczucie, że nie nadaża nawet za samym sobą, a co dopiero mówić o zmianach zachodzących wokół niego. Wiedział także, że w związku z nadchodzącymi wydarzeniami nie będzie miał ani chwili na takie sprawy.

W ciągu następnych dwóch dni z północy i z południa przybyły wrogie armie, przynosząc ze sobą przejmujące poczucie przeznaczenia ciężącego nad nimi wszystkimi, jakby ważyło się na jakiejś boskiej wadze zawieszonyj w letnim powietrzu.

Stojąc tak na wzniesieniu górującym nad bitwą, Devin obejrzał się i zobaczył, jak Alais podaje wodę Rinaldo, siedzącemu w półcieniu pod powykręcaną oliwką, czepiającą się stromego

zbozca. Uzdrowiciel uparł się, żeby przyjść tu z nimi, zamiast ukrywać się „U Solinghiego” w mieście. – Jeśli czyjeś życie ma być w niebezpieczeństwie, to moje miejsce jest właśnie tam – powiedział tylko tyle i wraz z wszystkimi innymi przyszedł przed świtem na wzniesienie, podpierając się swoją laską z głową orła.

Devin spojrzął za nich, tam gdzie stał Rovigo z Baerdem. Wiedział, że powinien być z nimi. Miał takie samo zadanie jak oni: bronić wzniesienia, gdyby któryś z czarnoksiężników lub nawet obaj wysłali przeciwko nim żołnierzy. Mieli sześćdziesięciu ludzi: bandę Ducasa, dzielną garstkę marynarzy Rovigo oraz starannie dobranych ludzi, którzy udali się samotnie na północ do Senzio po odebraniu wiadomości rozsianych po różnych prowincjach. Sześćdziesięciu ludzi. Będą musieli wystarczyć.

– Sandre! Ducasie! – powiedział ostro Alessan, wrywając Devina z rozmyślań. – Popatrzcie teraz i powiedzcie, co o tym sądzicie.

– Właśnie miałem to zrobić – odparł Sandre z nutą podniecenia w głosie. – Jest tak, jak się domyślaliśmy: dzięki obecności Brandina na wzgórzu jego wojsko nie jest słabsze. Jego moc znacznie przewyższa moc Alberico. Nawet bardziej, niż sądziłem. Jeśli zapytałbyś mnie teraz o zdanie, powiedziałbym, że nie minie godzina, a Ygratheńczyk przebije się przez środek.

– Zrobi to wcześniej – odezwał się swym głębokim głosem Ducas. – Kiedy zaczyna się coś takiego, sprawy toczą się bardzo szybko.

Devin postąpił do przodu, żeby lepiej widzieć. Środek doliny jak przedtem był wypełniony ludźmi i końmi, żywymi i wielu już martwymi. Ale kiedy Devin przyjrzał się sztandarom, to nawet jego niedoświadczone oko spostrzegło, że ludzie Brandina prą do przodu, mimo że Barbadorczycy nadal mają znaczną przewagę liczebną.

– Jak to? – mruknął.

– Osłabia ich swoimi czarami – odezwał się głos z prawej strony. Devin spojrzął na Erleina. – W taki sam sposób, jak przed laty pokonał nas. Czuję, jak Alberico próbuje ich bronić, ale Sandre ma chyba rację: Barbadorczyk słabnie z każdą chwilą.

Z miejsca, skąd przyglądali się bitwie, nadeszli szybkim krokiem Baerd i Rovigo.

– Alessanie? – powiedział Baerd. Padło tylko to imię.

Księżę spojrzął na niego.

– Wiem – odezwał się. – Myśleliśmy o tym samym. Chyba nadszedł czas. Chyba już czas. – Patrzył Baerdowi w oczy jeszcze przez chwilę; żaden z nich się nie odezwał. Potem Alessan przeniósł wzrok ze swego najdroższego przyjaciela na trzech czarodziejów.

– Erleinie – rzekł cicho. – Wiesz, co trzeba zrobić.

– Wiem – odparł Senzianin. Zawahał się. – Módlcie się o błogosławieństwo Triady dla nas trzech. Dla nas wszystkich.

– Cokolwiek macie zrobić, lepiej zróbcie to szybko – powiedział bez ogródek Devin. –

Barbadorczycy zaczynają się cofać.

– Jesteśmy w waszych rękach – rzekł Alessan do Erleina. Wydawało się, że chce powiedzieć coś więcej, ale zamilkł. Erlein odwrócił się do Sandre i Sertino, którzy podeszli bliżej niego. Pozostali nieco się cofnęli, żeby im nie przeszkadzać.

– Spójnia! – zawołał Erlein di Senzio.

* * *

Alberico z Barbadoru spędził poranek na tyłach swej armii, lecz w bezpośredniej jej bliskości – ponieważ odległość miała w magii znaczenie – zastanawiając się, czy bogowie imperium w końcu go nie opuścili. Nawet rogaty bóg czarnoksiężników i jeżdżąca nocą na swej Klaczy Królowa. Jego myśli, te, które udawało mu się jakoś formułować mimo nieustannej, miażdżącej umysł nawały czarów Ygratheńczyka, niosły ze sobą ponurą świadomość zagłady; czuł, że w sercu ma popiół, który nie pozwala mu oddychać.

Kiedyś wydawało się to takie proste. Wystarczyło planowanie, cierpliwość i dyscyplina, a jeśli Alberico miał jakiegokolwiek zalety, to właśnie te. Dwadzieścia lat planowania, cierpliwości i dyscypliny w służbie jego długotrwałej ambicji.

Teraz jednak, kiedy bezlitosne, spizowe słońce osiągnęło zenit i zaczęło wędrówkę w dół, ku morzu, Alberico ostatecznie się przekonał, że miał rację tylko z początku. Zdobycie całej Dłoni nigdy nie miało znaczenia, lecz utrata jej oznaczała utratę wszystkiego. Łącznie z życiem. Nie miał bowiem ani dokąd uciec, ani gdzie się ukryć.

Ygratheńczyk był brutalnie, oszałamiająco silny. Alberico potrafi ocenić szansę, zawsze o tym wiedział. Bał się tego człowieka nie jak tchórz, ale jak ktoś, kto zważył rzecz i wie, czego się spodziewać.

O świcie, kiedy z ręki Brandina stojącego na wzgórzu po zachodniej stronie doliny strzeliło to szkarłatne światło, Alberico pozwolił sobie na nadzieję, a nawet na krótką radość. Jego armia była prawie trzykrotnie silniejsza i miała przeciwko sobie niewielu wyćwiczonych żołnierzy Ygrathu. Resztę wojska Zachodniej Dłoni stanowiła zbieranina rzemieślników i kupców, rybaków, rolników i mających mleko pod nosem chłopców z prowincji.

Musiał tylko stąpić ostrze magii Brandina i pozwolić swoim żołnierzom robić, co do nich należy. Nie musiał atakować nieprzyjaciela. Wystarczyło mu się opierać. Bronić się przed nim.

Gdyby tylko był w stanie to zrobić. W miarę bowiem, jak ranek zmieniał się w południe i gromadził w sobie gorąco niczym pod grubym płaszczem, Alberico czuł, że jego umysłowa zaporę zaczyna niechętnie, bolesnymi stadiami rozpadać się i wyginać pod zaciętym, nie słabnącym, paraliżującym atakiem Brandina. Fale zmęczenia i słabości wytwarzane przez Ygratheńczyka spływały nieprzerwanie z jego wzgórza na armię Barbadorczyka. Fala za falą,

fala za falą, niezmordowanie jak morski przybój.

A Alberico musiał je blokować, wchłaniać i zatrzymywać, żeby jego żołnierze mogli walczyć dalej, bez strachu, wciąż pełni odwagi i sił, które odbierało im jedynie piekące słońce – słońce, które paliło też wroga.

Jeszcze na długo przed południem część czarów Ygratheńczyka zaczęła przenikać przez osłonę Alberico, który przecież nie był w stanie powstrzymać wszystkiego. Ataki nie ustawały, monotonne jak deszcz lub fale przyboju, nie zmieniając swego rytmu czy nasilenia. Czysta, płynąca potężnym strumieniem moc.

Wkrótce – o wiele za szybko – Barbadiorczykom zaczęło się wydawać, że walczą w trudnym, górzystym terenie, choć znajdowali się na równinie, że słońce pali ich mocniej niż nieprzyjaciela, że ich pewność siebie i odwaga wycieka z nich razem z potem, który plamił ich ubrania i zbroje.

Jedynie sama przewaga liczebna pozwalała im dorównać wrogowi, przez cały ranek utrzymywała równowagę na tej senziańskiej równinie, Siedząc z zamkniętymi oczyma w wielkim, specjalnie przywiezionym fotelu z baldachimem, Alberico bez przerwy ocierał twarz i włosy namoczonymi w wodzie chustami i walczył z Brandinem z Ygrathu ze wszystkich sił i z całą odwagą, na jaką go było stać.

Wkrótce jednak po południu, przeklinając siebie, przeklinając zjedzoną przez robaki duszę Scalvai d’Astibar, który przed dziewięcioma miesiącami o mało go nie zabił – i który jednak tak go osłabił, że zabijał go teraz – przeklinając swego imperatora, że zbyt długo żyje jako bezużyteczna, starzejąca się, wycieńczona powłoka, Alberico z Barbadioru stanął przed ponurym, bezlitosnym faktem, że wszyscy jego bogowie rzeczywiście go opuszczają pod palącym słońcem tej odległej ziemi. Kiedy z chwiejących się pierwszych szeregów jego armii zaczęły napływać wieści, zaczął w tradycyjny sposób przygotowywać się na śmierć.

Wtedy zdarzył się cud.

Z początku nawet nie pojął, co się dzieje, tak bardzo rozbity miał umysł. Wiedział tylko tyle, że potworny ciężar magii spływającej z tamtego wzgórza zaczął się nagle w nie wyjaśniony sposób zmniejszać. Był już tylko ułamkiem, połową tego, co przed chwilą. Alberico mógł go udźwignąć. I to z łatwością! Mimo jego osłabienia magia ta już nie dorównywała siłą jego własnej sile. Mógł nawet na nią napierać, a nie tylko bronić się. Mógł atakować! Jeśli Brandinowi zostało tylko tyle energii, jeśli Ygratheńczyk osiągnął nagle kres swoich możliwości...

Gorączkowo przeszukując dolinę i wzgórza, Alberico natknął się nagle na trzecie źródło magii i raptem zdał sobie sprawę z uniesieniem wykwitającym spośród porannych popiołów jego serca – że rogiaty bóg wcale go jednak nie opuścił i że towarzyszy mu Nocna Królowa na swej Klaczy.

Są tu czarodzieje Dłoni i pomagają mu! Nienawidzą Ygratheńczyka tak samo, jak on! W jakiś sposób, dla jakiejś niezrozumiałej przyczyny stanęli po jego stronie przeciwko człowiekowi, który bez względu na to, kogo teraz udawał, jest królem Ygrathu.

– Wygrywam! – zawołał do swoich posłańców. – Powiedzcie dowódcom na froncie, podnieście ich na duchu. Powiedzcie im, że spycham Ygratheńczyka!

Usłyszał wokół siebie radosne okrzyki. Otworzył oczy i zobaczył, że posłańcy pędzą przed siebie w dolinę. Wybiegł myślą ku tym czarodziejom – ocenił po ich sile, że jest ich czterech czy pięciu, może sześciu – chcąc zlać się w jedno z ich umysłami i mocą.

To mu się jednak nie udało. Dokładnie wiedział, gdzie są. Nawet ich widział – na wzniesieniu leżącym tuż na południe od wzgórza Ygratheńczyka – ale oni nie pozwalali mu przyłączyć się do nich ani nie zdradzali, kim są. Pewnie wciąż boją się tego, co robi z wykrytymi czarodziejami.

A co on zrobi z czarodziejami? On odda im cześć! Da im ziemię, bogactwo i władzę, nada im zaszczyty tu i w Barbadorze. Bogactwa przewyższające ich ubogie marzenia. Przekonają się!

To nieważne, że nie otwarli się na niego. To naprawdę nieważne. Dopóki będą tam stać i używać swoich mocy do jego obrony, dopóty nie musi się z nimi zlewać. Razem dorównują siłą Brandinowi. A to wystarczy: Alberico wiedział, że wciąż ma w polu ponad dwakroć więcej żołnierzy niż przeciwnik.

Jednak wraz z nadzieją wlewającą się przy tych myślach w jego serce poczuł nawrót ciężaru. To nie do wiary, ale moc Ygratheńczyka znów rośnie. Sprawdził w panice: czarodzieje z wzniesienia wciąż z nim są. A jednak Brandin napiera. Jest taki silny! Tak straszliwie, niewyobrażalnie silny. Nawet mając przeciwko sobie ich wszystkich, wzmacnia moc, sięga głębiej do źródeł swej magii. Jak daleko może się posunąć? Ile ma jeszcze siły?

Alberico zdał sobie sprawę, że nie ma o tym żadnego pojęcia. Wiedza ta zmroziła go niczym lód w piekle wojny, w bezlitosnym upale dnia. Nie ma żadnego pojęcia. Zostawiało mu to tylko jedną drogę postępowania. Jedyną, jaką miał od chwili rozpoczęcia bitwy.

Znowu zamknął oczy, żeby lepiej się skoncentrować, i z całej mocy zaczął stawiać opór. Opierać się, wytrzymywać, nie dopuścić do zniszczenia osłony.

* * *

– Na siedem sióstr boga! – Rhamanus zaklął z pasją. – Odzyskują utracony teren!

– Coś się wydarzyło – wychrypiał Brandin w tej samej chwili. Wzniesiono nad nim dający cień baldachim i przyniesiono mu fotel. On jednak stał – czasami podpierając się jedną ręką na oparciu fotela – żeby lepiej widzieć przebieg bitwy w dole.

Dianora stała blisko niego, na wszelki wypadek, gdyby czegoś od niej chciał, wody,

pociechy czy czegokolwiek, co mogła mu dać, ale starała się nie patrzeć w dół. Nie chciała już oglądać, jak giną ludzie. Nic jednak nie mogła poradzić na krzyki rozbrzmiewające w dolinie, a każdy z nich zdawał się wzlatywać w górę i wchodzić w jej ciało niby nóż wykuty z ludzkiego bólu.

Czy tak było nad Deisą, kiedy umierał jej ojciec? Czy tak samo krzyczał po otrzymaniu śmiertelnej rany, widząc, jak uchodzi z niego krew życia, której nie da się zatamować, i barwi rzekę na czerwono? Czy umarł w takim właśnie bólu pod mściwymi ciosami broni ludzi Brandina?

Te ogarniające ją mdłości sama na siebie sprowadziła. Nie powinno jej tu być. Powinna była wiedzieć, jakie obrazy wywoła u niej wojna. Czuli się chora: z gorąca, z hałasu, właściwie czuła zapach rzezi.

– Coś się wydarzyło – powtórzył Brandin i wraz z jego głosem do wirującego świata powrócił porządek. Była tu z jego powodu i jeśli nawet nie potrafili tego inni, Dianora, która znała go tak dobrze, usłyszała w jego głosie nową nutę, wskazującą, że rośnie ciężar, który dźwiga. Szybko odeszła i wróciła z dzbankiem wody i chustką do zwilżenia mu czoła.

Przyjął wodę, prawie nie zauważając obecności Dianory ani dotyku chustki. Zamknął oczy, a potem powoli obrócił głowę, z boku na bok, jakby czegoś szukał pustym wzrokiem,

Następnie otworzył oczy i wskazał ręką.

– Tam, Rhamanusie.

Dianora powędrowała za jego spojrzeniem. Na wzniesieniu leżącym na południe od nich, na nierównym, pagórkowatym terenie można było dostrzec kilka postaci.

– Tam są czarodzieje – powiedział bezbarwnym tonem Brandin. – Rhamanusie, będziesz musiał poprowadzić na nich Gwardię. Pracują przeciwko mnie z Alberico. Nie wiem dlaczego. Jeden z nich wygląda jak Khardhu, ale nim nie jest; rozpoznałbym kharduńską magię. Jest w tym coś bardzo dziwnego.

Jego szare oczy były ciemne, matowe.

– Czy możesz się im przeciwstawić, panie? – zapytał d'Eymon rozmyślnie obojętnym tonem, szczelnie maskującym niepokój.

– Zaraz spróbuję – odparł Brandin. – Ale zbliżam się do granicy mocy, z której mogę bezpiecznie korzystać. Nie mogę też zwrócić swojej magii wyłącznie na nich, oni współpracują z Alberico. Rhamanusie, będziesz musiał dopaść tych czarodziejów sam. Przyprowadź mi wszystkich, kogo tam zastaniesz. Czerstwa twarz Rhamanusa przybrała ponury wyraz.

– Powstrzymam ich lub zginę, panie. Przrzekam ci to.

Dianora patrzyła, jak wychodzi spod baldachimu i przyzywa Gwardię Królewską. Żołnierze ustawili się za nim dwójkami i szybko zaczęli schodzić kozią ścieżką prowadzącą na zachód i na południe. Rhun postąpił kilka kroków za nimi, po czym zatrzymał się z niepewną miną.

Poczuła na dłoni dotyk ręki Brandina i odwróciła się do niego.

– Zawierz mi, miłości moja – mruknął. – I zawierz Rhamanusowi. – Po chwili dodał niemal z uśmiechem: – To on cię do mnie sprowadził.

Puścił jej rękę i znów poświęcił uwagę rozciągającej się poniżej równinie. Teraz już usiadł w fotelu. Dianora dosłownie widziała, jak zbiera się, by ponowić atak.

Spojrzała na d'Eymona i powędrowała wzrokiem za jego uważnym, zamyślnym spojrzeniem na południe, do grupki ludzi stojących na tym odległym o pół mili zbocz. Byli na tyle blisko, że widziała ciemnoskórego człowieka, który według Brandina nie był Khardhu. Wydawało jej się, że widzi też rudowłosą kobietę.

Nie miała pojęcia, kim oni są. Nagle jednak, rozglądając się po ich własnych przerzedzonych szeregach na wzgórzu, po raz pierwszy odczuła strach.

* * *

– Nadchodzą – powiedział Baerd. Patrzył na północ, osłaniając dłonią oczy.

Czekali na to i wyglądali wroga od chwili, gdy czarodzieje utworzyli spójnię, lecz oczekiwanie to nie rzeczywistość i na widok doborowych gwardzistów Brandina szybko schodzących ze wzgórza i idących w ich kierunku Devinowi zaczęło mocniej bić serce. Przez całe rano wojna toczyła się w leżącej poniżej dolinie; teraz przychodziła do nich.

– Ilu? – zapytał Rovigo i Devin był wdzięczny, słysząc napięcie w głosie kupca: oznaczało ono, że nie jest w swych uczuciach osamotniony.

– Czterdziestu dziewięciu, jeśli wysłał ich wszystkich, a Alessan uważa, że tak – odparł Baerd, nie odwracając się. – Tylu zawsze jest Królewskich Gwardzistów w Ygrath. To dla nich święta liczba.

Rovigo nic nie powiedział. Devin zerknął na prawo i zobaczył trzech stojących blisko siebie czarodziejów. Erlein i Sertino mieli zamknięte oczy, lecz Sandre patrzył nieruchomo w dół, gdzie na tyłach swej armii znajdował się Alberico z Barbadoru. Alessan stał przedtem z czarodziejami, ale teraz podszedł szybkim krokiem do jakichś trzydziestu ludzi rozciągniętych za Baerdem na wzniesieniu.

– Co z Ducasem? – zapytał cicho.

– Nie widzę żadnego z nich – odezwał się Baerd, rzucając okiem na księcia. Ze wzgórza zszedł już ostatni ygratheński gwardzista. Pierwsi przemierzali już szybko nierówny teren między wzgórzami. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

– Pozwól mi wyjść z moimi ludźmi na spotkanie – poprosił Ducas Alessana, gdy czarodzieje weszli ze sobą w spójnię. – Wiemy, że nas zaatakują.

– Oczywiście – odparł wtedy Alessan – ale jesteśmy źle uzbrojeni i wyszkoleni.

Potrzebujemy przewagi wysokości.

– Mów za siebie – odburknął Ducas di Tregea.

– Na dole nie ma żadnej osłony. Gdzie moglibyście się ukryć?

– Mnie mówisz o osłonie? – odparł Ducas z udawanym gniewem i rozciągnął usta w swoim wilczym uśmiechu. – Naucz swoje palce rozpoznawać własne pazury, Alessanie! Walczyłem z ukrycia i robiłem zasadzki w takim terenie, kiedy ty jeszcze liczyłeś dęby czy robiłeś coś równie pożytecznego w Quilei. Zostaw to mnie.

Alessan nie roześmiał się wtedy. Po chwili jednak skinął głową. Tylko na to czekając, rudowłosy Ducas i jego dwudziestu pięciu ludzi natychmiast wtopiło się w zbocza wzniesienia. Zanim Ygratheńczyk wysłał gwardię, banici ukryli się wśród janowca i wrzosu, w wysokiej trawie i wśród porzrzucanych drzew oliwnych i figowych, porastających teren między wzgórzami.

Devin zmrużył oczy i wydało mu się, że widzi jednego z nich, ale nie miał pewności.

– Na Morianę! – zawołał nagle ze wschodniego krańca wzniesienia Erlein di Senzio. – Znów nas odpycha!

– To wytrzymajmy! – warknął Sandre. – Walczcie z nim! Zejdźcie głębiej!

– Ja już nie mogę zejść głębiej! – wydyszał Sertino.

Baerd zerwał się z kucek, wpatrując się w czarodziejów. Zawahał się, targany przez chwilę niepewnością, po czym szybko do nich podszedł.

– Sandre, Erleinie? Słyszycie mnie?

– Oczywiście. – Po przyciemnionej twarzy Sandre spływał pot. Wciąż patrzył na wschód, lecz jego wzrok był rozmyty, skierowany do wewnątrz.

– A więc zróbcie to! Zróbcie to, o czym mówiliśmy. Jeśli on wszystkich was odpycha, musimy spróbować, bo inaczej wszystko na nic!

– Baerdzie, oni mogą... – Erlein z trudem wypowiadał słowa.

– Nie, on ma rację! – przerwał mu Sertino. – Musimy spróbować. On jest... za silny. Pójdę za wami dwoma... wiem, dokąd dotrzeć. Do roboty!

– Trzymajcie się więc mnie – powiedział Erlein osłabłym głosem. – Trzymajcie się mnie.

W dole rozległy się nagle wołania, a potem przeraźliwe krzyki. Nie dochodziły z pola bitwy, lecz z terenu leżącego na północ od nich. Wszyscy oprócz czarodziejów błyskawicznie odwrócili się w tamtą stronę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Ducas zatrzasnął pułapkę. Jego zaczajeni banici raz po raz zasypywali Ygratheńczyków deszczem strzał. Padło pół tuzina, ośmiu, dziesięciu atakujących, lecz Królewscy Gwardziści Ygrathu mieli na sobie zbroje nawet w czasie upału i większość z nich parła dalej. Poruszali się mimo obciążenia z przerażającą zręcznością, zbliżając się do rozsypanych ludzi Ducasa.

Devin zobaczył, jak trzech z nich, którzy już upadli, znowu się podnoszą. Jeden wyciągnął

strzałę z ramienia i szedł, potykając się, naprzód, niezłomnie dążąc ku szczytowi wzniesienia.

– Niektórzy na pewno mają łuki. Musimy osłonić czarodziejów – rzucił Alessan. – Wszyscy, którzy mają jakieś tarcze, do mnie!

Pół tuzina pozostałych na wzgórzu ludzi rzuciło się w jego kierunku. Pięciu miało prowizoryczne tarcze z drewna lub skóry; szósty, mężczyzna może pięćdziesięcioletni, kuśtykał za nimi na chromej stopie, trzymając w ręku jedynie stary, wyszczerbiony miecz.

– Mój książę – powiedział – ja jestem dla nich wystarczającą tarczą. Twój ojciec nie pozwolił mi udać się na północ nad Deisę. Nie odmawiaj mi teraz po raz drugi. Mogę stanąć w imieniu Tigany między nimi i każdą strzałą.

Devin dostrzegł na wielu twarzach wyraz oszołomienia i przestachu: padła nazwa, której ludzie nie mogli usłyszeć.

– Ricaso – zaczął Alessan, rozglądając się dokoła. – Ricaso, nie musisz... Nie powinieneś nawet tu przychodzić. Mogłeś w inny sposób... – Książę przerwał. Przez chwilę wydawało się, że odrzuci propozycję tego mężczyzny tak, jak zrobił to kiedyś jego ojciec, ale nie powiedział już nic więcej, skinął tylko głową i odszedł. Kulawy człowiek oraz pięciu pozostałych natychmiast otoczyło czarodziejów obronnym kręgiem.

– Rozproszyc się! – rozkazał Alessan reszcie swoich ludzi. – Obsadzić północną i zachodnią stronę wzgórza. Catriano, Alais – obserwujcie południe na wypadek, gdyby komuś z nich udało się nas obejść od tyłu. Strzelajcie do wszystkiego, co się ruszy!

Devin popędził z mieczem w ręku na północno-zachodnią krawędź wzgórza. Wokół niego rozbiegali się w wachlarz inni. Obejrzał się i aż wstrzymał oddech z wrażenia. Ludzie Ducasa walczyli zażarcie na nierównym terenie z Ygratheńczykami i chociaż nie oddawali pola, zabijając gwardzistę za każdego swego poległego, oznaczało to, że jednak giną. Ygratheńczycy byli szybcy, doskonale wyszkoleni i zawzięci. Devin zobaczył, jak ich dowódca, rostry, niemłody już mężczyzna rzuca się na jednego z banitów i powala go na ziemię uderzeniem swej tarczy.

– Naddo! Uważaj!

Rozpaczliwy krzyk, nie wołanie. Głos Baerda. Devin odwrócił się błyskawicznie. W połowie drogi na następne wzgórze Naddo właśnie pokonał Ygratheńczyka i walcząc, wycofywał się do kępy krzaków, w których schronił się Arkin i dwóch innych ludzi. Nie zauważył mężczyzny, który obszedł go daleko od wschodu i pędził teraz na niego z tyłu.

Biegnący Ygratheńczyk nie widział strzały, która go trafiła. Wypuścił ją z wierzchołka wzniesienia Baerd di Tigana, wkładając w jej lot całą siłę ręki i wieloletnie ćwiczenia. Daleko, niewiarygodnie daleko od niego Ygratheńczyk stęknął i upadł ze strzałą w udzie. Naddo odwrócił się na ten odgłos, zobaczył wroga i dobił go szybkim ciosem miecza.

Spojrzał na wzniesienie, dostrzegł Baerda i pomachał mu w podziękowaniu. Wciąż machał ręką wysoko uniesioną do przyjaciela, którego opuścił, będąc chłopcem, kiedy ygratheńska

strzała ugodziła go w pierś.

– Nie! – zawołał Devin z gardłem ściśniętym żelazną dłonią żalu. Spojrzał w kierunku Baerda, który patrzył na Naddo szeroko rozwartymi oczyma. W chwili, kiedy Devin postąpił ku niemu, usłyszał szelest i stęknienie, a zaraz potem przeraźliwy krzyk Alais z tyłu:

– Uważaj!

Odwrócił się i zobaczył pierwszego z pół tuzina pędzących pod górę Ygratheńczyków. Nie miał pojęcia, jakim sposobem dostali się tu tak szybko. Wywrzasnął drugie ostrzeżenie dla innych i rzucił się do przodu, by dopaść pierwszego mężczyznę, zanim ten osiągnie szczyt wzgórza.

Nie udało mu się. Ygratheńczyk trzymał się pewnie na nogach, w lewej ręce dzierżąc tarczę. Pędząc na niego, próbując odrzucić go w dół zbocza, Devin z całej siły zamachnął się mieczem. Trafił z brzękiem w metalową tarczę, od czego prawie zdrętwiała mu ręka. Ygratheńczyk ciął prosto w przód. Devin zobaczył zbliżające się ostrze i rozpaczliwie rzucił się w bok. Poczł nagle rozdzierający ból – miecz ciął go po żebrach.

Nie zwracając uwagi na ranę, przypadł do ziemi i jednym silnym ruchem uderzył w nieosłonięte zgięcie kolana Ygratheńczyka. Poczł, jak miecz głęboko wchodzi w ciało. Mężczyzna krzyknął i runął bezradnie w przód, ale nawet padając, próbował jeszcze raz ugodzić mieczem Devina. Mimo oszołomienia bólem Devin odtoczył się błyskawicznie na bok. Wstał, chwając się na nogach i trzymając za rozcięty bok.

Zdażył jeszcze zobaczyć, jak rozciągniętego na ziemi Ygratheńczyka zabija jednym uderzeniem miecza w kark Alais bren Rovigo.

Devinowi wydało się, że zaznał wtedy pośród rzezi chwili nadprzyrodzonego spokoju. Spojrzał na Alais, na jej czyste, łagodne, błękitne oczy. Usiłował coś powiedzieć. Zaszłło mu w gardle. Na sekundę zetknęli się wzrokiem. Dla Devina nie do pojęcia był widok Alais z zakrwawionym mieczem w ręce.

Spojrzał poza nią i natychmiast jego spokój prysł. Na szczycie wzniesienia było piętnastu, może dwudziestu Ygratheńczyków. Zbliżali się już następni. Niektórzy z nich rzeczywiście mieli łuki. Devin zobaczył strzałę, która utkwiała w jednej z tarcz osłaniających czarodziejów. Z lewej strony usłyszał odgłos szybkich kroków zmierzających w górę. Nie było czasu na słowa, nawet gdyby mógł je z siebie wydobyć. Znajdowali się tu, żeby w razie konieczności zginać, to zawsze było możliwe. Istniała jednak przyczyna, dla której się tu znaleźli. Marzenie, modlitwa, melodia, której nauczył go w dzieciństwie ojciec. Przycisnął lewą dłoń do rany i odwrócił się od Alais, by potykając się, z mieczem ściskanym w ręce stawić czoło następnemu człowiekowi wspinającemu się na szczyt.

* * *

Był ciepły dzień, słońce to pojawiało się, to chowało za chmury pędzone silnym wiatrem. Rano chodziły po łąkach rozpościerających się na północ od zamku i zbierały kwiaty – całe naręcza irysów, anemonów, dzwonków. Drzewa sedżoi tak daleko na południu zakwitwały dopiero teraz i kobiety zostawiły ich białe kwiaty na później.

Wróciły do zamku Borso około południa i właśnie piły herbatę z mahgoti, kiedy Elena nagle pisnęła z przestachu. Wstała sztywno, chwytając się rękoma za głowę i zapominając o herbacie, którą rozlała na quilejski dywan.

Alienor szybko odstawiała swoją filiżankę.

– Przyszło? – zapytała. – Wezwanie? Eleno, co mogę zrobić?

Elena potrząsnęła głową. Ledwo słyszała słowa swej towarzyszki. W głowie dźwięczał jej wyraźniejszy, mocniejszy, bardziej naglący głos. Nigdy przedtem nie przytrafiło jej się coś podobnego, nawet w Noce Żaru. Baerd jednak miał rację, ten Beard jej nieznajomy, który przybył do nich z ciemności i zmienił bieg wojen Żaru.

Przyszedł do wioski pod wieczór następnego dnia, po tym, jak jego przyjaciele wrócili z przełęczy i odjechali na zachód. Rozmawiał z Denarem, Mattio, Carenną i Elena i powiedział im, że Nocnych Wędrowców łączy jakaś magia, choć odmienna od tej, którą posługują się czarodzieje. W Noce Żaru ich ciała doznawały przemiany, stąpali pod zielonym księżycem po ziemiach, które nie istniały w świetle dnia, dzierżyli miecze z żywego zboża, które zmieniało się pod ich dotykiem. Powiedział, że na swój własny sposób są zaślubieni magii Dłoni.

Donar zgodził się z nim. Baerd powiedział im więc o celu, jaki postawili przed sobą z przyjaciółmi, i poprosił Elenę, żeby do końca lata zamieszkała w zamku Borso. Na wypadek, powiedział, na wypadek, gdyby dało się w tej sprawie zaczerpnąć ich mocy.

Czy się zgodzi? To będzie niebezpieczne. Poprosił o to nieśmiało, ale patrząc mu w oczy i dając twierdzącą odpowiedź, Elena ani trochę się nie wahała. Podobnie jak inni. Przyszedł do nich, kiedy byli w potrzebie. Byli mu winni przynajmniej tyle. Tyran panował też i na ich ziemi. Sprawa Baerda, którą trzeba było rozegrać w świetle dnia, była ich sprawą.

„Elena di Certando? Jesteś tam? Jesteś w zamku?”

Nie знаła tego milczącego głosu, ale wyczuwała w nim zdesperowanie; wydawało się, że wszędzie wokół panuje chaos.

„Tak. Tak, jestem. Jestem tu. Co... co mam zrobić?”

„Nie do wiary!” – przyłączył się do nich drugi głos, głębszy i równie władczy. „Erleinie, dosięgnąłeś jej!”

„Czy jest tam Baerd?” – zapytała, sama nieco zdesperowana. Ta nagła więź przyprawiała ją o zawrót głowy; wyczuwała panujący wokół zamęt; zachwiała się, o mało nie upadła. Wyciągnęła przed siebie ręce i położyła je na wysokim oparciu krzesła. Pokój na zamku Borso

zaczynał tracić kontury. Gdyby Alienor odezwała się teraz, Elena nawet by jej nie usłyszała.

„Jest” – odparł szybko pierwszy mężczyzna. „Jest tu z nami, a my bardzo potrzebujemy pomocy. Toczmy wojnę! Czy możesz utworzyć spójnię ze swoimi przyjaciółmi? Z innymi? Pomożemy ci. Proszę cię! Przywołaj ich!”

Nigdy w życiu nie próbowała czegoś takiego, ani za dnia, ani nawet pod zielonym księżycem Nocy Żaru. Nigdy nie zaznała czarodziejskiej spójni, ale czuła w sobie jej moc i wiedziała, gdzie są Mattio i Donar, a Carenną na pewno jest w domu z najmłodszym dzieckiem. Zamknęła oczy i przywołała wszystkich troje, starając się skupić myśli na kuźni, młynie i domu Carenny w wiosce. Skupić myśli, a potem zawołać. Wezwać.

„Eleno, co się...?” To Mattio. Udało się.

„Przyłącz się do mnie!” – wysłała szybko. „Są tu czarodzieje. Jest wojna”.

Nie pytał o nic więcej. Czarodzieje pomogli jej otworzyć się na niego i Elena poczuła w umyśle jego uspokajającą obecność. Zauważyła, że ta nagła spójnia z innymi zupełnie go zdezorientowała. Było ich dwóch, nie, trzech, był tam z nimi ktoś trzeci.

„Eleno, czy to już? Czy nadeszło wezwanie?” To w jej myślach odezwał się Donar, chwytając prawdę niczym broń.

„Jestem tu, kochanie!” – Carenną mówiła w myślach tak samo, jak zwykłym głosem, szybko i wesoło. „Eleno, co mamy robić?”

„Trzymajcie się siebie nawzajem i otwórzcie się na nas!” – odpowiedziała im potężna osobowość drugiego czarodzieja. „Być może będziemy mieli jakąś szansę. Istnieje niebezpieczeństwo, nie będę was okłamywał, ale jeśli utrzymamy się razem – choć raz na tym półwyspie – może nam się uda! Dalej, przyłączcie się do nas, musimy wykuć tarczę z naszych umysłów. Jestem Sandre d’Astibar i wcale nie umarłem. Przybądźcie do nas!”

Elena otworzyła na niego umysł i sięgnęła ku czarodziejowi myślą. W tej chwili poczuła się tak, jakby jej ciało zniknęło, jakby stała się zaledwie przekaźnikiem. Wrażenie to było podobne, ale różniące się od tego, co działo się z nią w Noce Żaru. Poczuła zimną falę strachu przed tym nieznanym doświadczeniem. Stłumiła go odważnie. Są z nią jej przyjaciele i – trudno w to uwierzyć – diuk Astibaru, żywy, a wraz z nim w dalekim Senzio walczy z tyranami Baerd.

Przyszedł do nich, do niej, kiedy prowadzili własną wojnę. Słyszała jego szloch i leżała z nim w miłosnym uścisku na wzgórzu w Noc Żaru po zachodzie zielonego księżyca. Nie zawiedzie go teraz. Poprowadzi do niego carlozzian ścieżką swej myśli i swej duszy.

Osiągnęli cel bez ostrzeżenia. Spójnia została utworzona. Elena znajdowała się na wzniesieniu pod palącym słońcem, widząc otoczenie oczyma diuka Astibaru, stojącego na wzgórzu w Senzio. Obraz chwiał się, przyprawiając ją o mdłości. Kiedy się uspokoił, Elena zobaczyła ludzi zabijających się nawzajem w dolinie, zmagające się ze sobą w upale armie niczym zwierzęta w kurczowym uścisku. Słyszała krzyki tak głośne, że odbierała je jak ból.

Wtem zdała sobie sprawę z obecności czegoś innego.

Magia. Na północ od nich, na tamtym wzgórzu. Brandin z Ygrathu. W tej chwili Elena oraz trzech inni Nocni Wędrowcy zrozumieli, dlaczego zostali wezwani, bo we własnych umysłach poczuli straszliwą moc ataku, któremu mieli się przeciwstawić.

W zamku Borso Alienor stała obok Eleny, bezradna i oślepią niepewnością, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc, wiedząc jedynie, że coś się dzieje, że w końcu nadszedł czas. Chciała się modlić, wrócić do słów, których nie myślała ani nie wypowiadała przez prawie dwadzieścia lat. Zobaczyła, że Elena zakrywa rękoma twarz.

– O, nie – usłyszała szept dziewczyny cichy jak lot ómy. – Taki silny! Jak jeden człowiek może być tak silny?

Alienor tak mocno zacisnęła dłonie, że aż pobieleły jej knykcie. Czekwała, rozpaczliwie szukając wyjaśnienia tego, co działo się z nimi wszystkimi daleko na północy, tam, dokąd nie mogła podążyć.

Nie usłyszała, nie mogła usłyszeć odpowiedzi Sandre d' Astibar, udzielonej Elenie:

„Owszem, jest silny, ale z wami będziemy silniejsi! Och, dzieci, teraz nam się uda! W imię Dłoni, razem możemy być wystarczająco silni!”

Alienor zobaczyła, że Elena opuszcza ręce, jej blada twarz przybiera spokojny wyraz, a z wytrzeszczonych oczu znika dzikie, prymitywne przerażenie.

– Tak – usłyszała szept dziewczyny. – Tak.

A potem w pokoiku na zamku Borso pod przełęczą Braccio zapadła cisza. Na zewnątrz chłodny górski wiatr pędził po niebie wysokie, białe chmury, to przesłaniając, to odsłaniając słońce, a wśród tej gry światła i cienia na stokach gór wisiał na nieruchomo rozpostartych skrzydłach samotny jastrząb.

* * *

Następnym człowiekiem wspinającym się po zboczu wzniesienia okazał się Ducas di Tregea. Devin już zamachnął się na niego mieczem, ale w następnej chwili go rozpoznał.

Ducas wpadł na szczyt dwoma potężnymi susami i stanął obok Devina. Przedstawiał sobą przerażający widok. Twarz miał pokrytą krwią, ściekającą mu na brodę. Miał nią też poplamione ubranie i miecz. Uśmiechał się jednak, stanowiąc straszny obraz bitewnego zapału i wściekłości.

– Jesteś ranny! – powiedział ostro do Devina.

– Nie marnowałbym słów – stęknął Devin, przyciskając lewą rękę do poszarpanego boku. – Chodźmy!

Szybko zawrócili na wschód. Na szczycie wzniesienia wciąż znajdowało się ponad piętnastu Ygratheńczyków, nacierających na niedoświadczoną grupę ludzi, których Alessan zatrzymał do

obrony czarodziejów. Siły walczących były niemal równe, lecz Ygratheńcy stanowili doborowy, śmiertelnie groźny oddział.

A mimo to nie zdobywali przewagi. I nie zdobędą jej, co uświadomił sobie Devin w przyływie radości niweczającej ból i rozpacz.

Nie zdobędą przewagi, ponieważ w tej tak wytęsknionej po latach wyczekiwania bitwie stali naprzeciwko nich ramię w ramię, wymachując razem mieczami Alessan, księżę Tigany, i Baerd bar Saevar, jedyny brat jego duszy, i byli niepokonani, śmiertelnie groźni i nawet piękni, jeśli zabijanie może być piękne.

Devin i Ducas rzucili się do nich. Zanim jednak tam dotarli, zostało już tylko pięciu Ygratheńczyków, a potem trzech. A potem tylko dwóch. Jeden z nich wykonał ruch, jakby chciał odłożyć miecz. Nie zdążył tego zrobić, bo z pierścienia strzegącego czarodziejów wysunęła się z niezręczną, zwodniczą szybkością jakaś postać. Ciągnąc za sobą chromą stopę, Ricaso podszedł do Ygratheńczyka i zanim ktokolwiek mógł go powstrzymać, zamachnął się swoim starym, na wpół zardzewiałym mieczem i wbił go z morderczą pasją w pierś gwardzisty, przecinając kółka w jego kolczudze.

Następnie padł na kolana na ziemię obok zabitego żołnierza, szlochając tak, jakby wraz ze łzami wylewał z siebie duszę.

Został już tylko jeden napastnik. Tym ostatnim Ygratheńczykiem był dowódca, rosły mężczyzna o szerokiej piersi, którego Devin widział na dole. Włosy przylepiły mu się do głowy, twarz miał czerwoną z gorąca i zmęczenia, ciężko oddychał, ale nie spuszczał wściekłego spojrzenia z Alessana.

– Czyście poszaleli? – wydyszał. – Walczycie za tego Barbadorczyka? Zamiast dla człowieka, który przyłączył się do Dłoni? Czy naprawdę chcecie być niewolnikami?

Alessan powoli potrząsnął głową.

– Brandin z Ygrathu przyłączył się do Dłoni o dwadzieścia lat za późno. Było za późno w dniu, w którym tu wylądował jako najeźdźca. Jesteś dzielnym człowiekiem. Wolałbym cię nie zabijać. Czy złożysz nam przysięgę we własnym imieniu i oddasz broń?

Stojący obok Devina Ducas prychnął ze złością. Nim jednak Tregeańczyk zdążył się odezwać, Ygratheńczyk odpowiedział Alessanowi:

– Nazywam się Rhamanus. Przedstawiam ci się z dumą, imię to bowiem nigdy nie okryło się hańbą. A co do przysięgi, to złożyłem ją memu umiłowanemu królowi, zanim przyprowadziłem tu jego gwardię. Powiedziałem mu, że powstrzymam was albo zginę. Dotrzymam tej przysięgi.

Uniósł miecz w kierunku Alessana i zamachnął się – choć, jak uzmysłowił sobie później Devin, nie na serio – na księcia. Alessan nawet się nie poruszył, żeby sparować pchnięcie. To klinga Baerda uniosła się w górę, a potem spadła w dół, by zagłębić się nieodwołalnie w szyi Ygratheńczyka, powalając go na ziemię.

– O mój królu – usłyszeli wtedy jego zduszone słowa, wydobywające się poprzez zalewającą mu usta krew. – Och, Brandinie, przepraszam cię.

Następnie przetoczył się na plecy i znieruchomiał, patrząc niewidzącymi oczyma prosto w palące słońce.

Słońce paliło też owego poranka przed wielu laty, kiedy przeciwstawił się gubernatorowi i zabrał z zajazdu w Stevanien młodą dziewczkę jako daninę dla króla.

* * *

Dianora zobaczyła, jak stojący na wzgórzu mężczyzna unosi miecz. Odwróciła głowę, żeby nie widzieć śmierci Rhamanusa. Czowała w sobie ból, rosnącą pustkę; czuła się, jakby wszystkie przepaści jej życia otwierały się jej teraz pod stopami. Człowiek, który ją schwytał, by uczynić z niej niewolnicę, był jej wrogiem. Wysłany po daninę dla Brandina, palił wioski i domy w Corte i Asoli. Był Ygratheńczykiem. Przyłynął do Dłoni z najeżdżczą flotą, walczył w ostatniej bitwie nad Deisą.

Był jej przyjacielem.

Jednym z jej niewielu przyjaciół. Przez całe życie był odważny, uczciwy i lojalny względem swego króla. Uprzejmy i bezpośredni, skrupowany na wyrafinowanym dworze... Dianora uświadomiła sobie, że płacze nad nim, nad dobrym życiem przeciętym przez opadający miecz tego obcego człowieka.

– Nie udało im się, panie. – To odezwał się d'Eymon. W jego głosie brzmiała – a może Dianora tylko to sobie wyobraziła? – delikatna nuta emocji. Smutku. – Wszyscy gwardziści polegli. Rhamanus też. Czarodzieje nadal tam są.

Brandin, siedzący w fotelu pod baldachimem, otworzył oczy. Wzrok miał utkwiony w leżącej poniżej dolinie i nie odwrócił się. Dianora zobaczyła, że jego twarz jest teraz kredowobiała z wysiłku, mimo że powietrze aż drgało z gorąca. Szybko otarła łzy: gdyby niespodzianie na nią spojrział, nie może ich zobaczyć. Może będzie jej potrzebował, jej siły czy miłości, którą mogła mu ofiarować. Nie może go rozpraszać troską o nią. Walczył samotnie z tak wieloma ludźmi.

Było ich nawet więcej, niż Dianora sądziła. Czarodzieje nawiązali już bowiem kontakt z Nocnymi Wędrowcami w Certando. Utworzyli z nimi spójnię i wszyscy razem naginali moc swych umysłów ku obronie Alberico.

Z leżącej poniżej doliny dobiegł ryk głośniejszy nawet od nieustannego zgiełku bitwy. To były dzikie okrzyki radości Barbadiorczyków. Dianora widziała, jak ich biało odziani posłańcy rzucili się biegiem do pierwszej linii z tyłów, gdzie znajdował się Alberico. Zobaczyła, że natarcie ludzi Zachodniej Dłoni zostało powstrzymane. Przeciwnik wciąż straszliwie ich

przewyższał liczebnie. Jeśli Brandin nie potrafi im teraz pomóc, to wszystko przepadnie. Spojrzała na południe na wzgórze, gdzie stali czarodzieje, gdzie padł Rhamanus. Chciała ich przekląć, ale nie mogła.

To byli mieszkańcy Dłoni. Jej pobratymcy. Ale jej pobratymcy ginęli też w dolinie pod ciosami ciężkich mieczy imperium. Słońce wisiało na niebie niczym płonąca żagiew. Samo niebo było obojętną, bezlitosną kopułą.

Spojrzała na d'Eymona. Żadne z nich się nie odezwało. Usłyszeli na zboczu czyjeś szybkie kroki. Na szczycie wzgórza pojawił się Scelto, potykając się i łączywie chwytając ustami powietrze.

– Panie – wysapał, padając na kolana obok fotela Brandina – mamy trudności... w środku i na prawym skrzydle. Lewe trzyma się... ale z trudem. Mam rozkaz... zapytać cię, czy mamy się wycofać.

A więc nadeszła ta chwila.

Nienawidzę tego człowieka, powiedział jej zeszłej nocy, zanim zasnął, kompletnie wyczerpany. Nienawidzę wszystkiego, co reprezentuje.

Na wzgórzu panowała cisza. Dianorze wydawało się, że dziwnie wyczulonym słuchem słyszy bicie własnego serca, rozróżniając je mimo dobiegającej z dołu wrzawy. To zastanawiające, ale zgiełk bitwy jakby przycichł. Cichł z każdą chwilą.

Brandin wstał.

– Nie – rzekł cicho. – Nie wycofamy się. Nie mamy się dokąd wycofać, a już na pewno nie przed tym Barbadiorczykiem. Nigdy. – Patrzył ponuro w dal ponad klęczącym Scelto, jakby chciał wzrokiem przebić serce Alberico.

Pojawiło się jednak u niego coś innego, coś nowego, wykraczającego poza wściekłość, poza siłę decyzji i nieustanną dumę. Dianora wyczuła to, ale nie potrafiła zrozumieć. Wtedy Brandin odwrócił się do niej i Dianora zobaczyła w głębi jego szarych oczu otwierającą się studnię takiego bólu, jakiego nigdy u niego nie widziała. Jakiego nie widziała u nikogo w całym swym życiu. Litość, żal i miłość, powiedział zeszłej nocy. Coś się działo; serce biło gwałtownie. Poczwała, że zaczynają jej drżeć ręce.

– Miłości moja – powiedział Brandin. Właściwie niewyraźnie wybełkotał. Zobaczyła w jego oczach śmierć, – Och, miłości moja – powtórzył. – Co oni zrobili? Zobacz, do czego mnie zmuszają. O, zobacz, do czego mnie zmuszają!

– Brandinie! – zawołała z przerażeniem, nic nie rozumiejąc. Znów zaczęła spazmatycznie szlochać. Pojmowała jedynie otwartą ranę, jaką się stał. Wyciągnęła do niego rękę, ale on nic nie widział i już się odwracał ku wschodowi, ku krawędzi wzgórza i leżącej poniżej dolinie.

* * *

– W porządku – powiedział uzdrowiciel Rinaldo i zabrał ręce. Devin otworzył oczy i spojrzał na dół. Jego rana zamknęła się i ustało krwawienie. Na jej widok poczuł mdłości, jakby mimo nienaturalnie szybkiego uzdrowienia zmysły wciąż spodziewały się poszarpanego ciała.

– Zostanie blizna, po której kobiety będą cię łatwo rozpoznawać w ciemności – dodał suchym tonem Rinaldo. Ducas parsknął śmiechem.

Devin skrzywił się i starannie unikał wzroku Alais. Była tuż przy nim, bandażując mu tors. Spojrzał na Ducasa, któremu Rinaldo w taki sam sposób zamknął rozcięcie nad okiem. Bandażował je Arkin, który też przeżył potyczkę pod wzniesieniem. Z rudą brodą posklejaną zastygłą krwią Ducas wyglądał jak jakiś straszny stwór z dziecięcych złych snów.

– Nie za mocno? – zapytała cicho Alais.

Devin wziął na próbę oddech i potrząsnął głową. Rana go bolała, ale poza tym wyglądało, że nic mu nie jest.

– Uratowałaś mi życie – mruknął do niej. Była teraz za jego plecami, wiążąc końce bandaża. Jej ręce na chwilę zatrzymały się, po czym wróciły do pracy.

– Nie – odrzekła stłumionym głosem. – On już leżał. Nie mógł ci nic zrobić. Ja tylko zabiłam człowieka. – Stojąca obok Catriana spojrzała w ich stronę. – Żałuję, że to zrobiłam – dodała Alais. I zaczęła płakać.

Devin przełknął ślinę i spróbował się odwrócić, żeby ją pocieszyć, ale ubiegła go Catriana, która już objęła dziewczynę. Spojrzał na nie, zastanawiając się z goryczą, czy na tym nagim wzniesieniu pośrodku wojny istnieje możliwość jakiegokolwiek prawdziwej pociechy.

– Erleinie! Teraz! Brandin wstał! – Krzyk Alessana przebił się niczym ostrze noża przez wszystkie inne odgłosy. Z nagle mocno bijącym sercem Devin szybko podszedł do księcia i czarodziejów.

– A zatem nadszedł czas – rzekł Erlein twardym, bezbarwnym głosem do pozostałych dwóch czarodziejów. – Będę musiał się teraz wycofać, żeby śledzić jego ruchy. Czekaście na mój znak, ale kiedy go dam, reagujcie natychmiast!

– Dobrze – odparł zduszonym głosem Sertino. – Niech Triada ma nas w opiece. – Po twarzy pulchnego czarodzieja spływał pot. Ręce mu drżały z wysiłku.

– Erleinie – zaczął z niepokojem Alessan – musi zużyć ją całą. Wiesz, co masz...

– Cicho! Wiem dokładnie, co mam robić. Ty to puściłeś w ruch, Alessanie, sprowadziłeś nas wszystkich do Senzio, wszystkich żywych i umarłych. Teraz sprawa przeszła w nasze ręce. Bądź cicho, chyba że chcesz się modlić.

Devin spojrzał na północ, ku wzgórzu Brandina. Zobaczył, jak król wychodzi spod baldachimu.

– Och, Triado – usłyszał dziwnie wysoki szept Alessana. – Adaonie, wspomnij na nas.

Pamiętaj o swoich dzieciach! – Księżę osunął się na kolana. – Proszę cię – znów szepnął. – Proszę cię, pozwól, żebym miał rację!

Stojąc na swoim wzgórzu pod palącym słońcem, Brandin z Ygrathu wyciągnął do przodu najpierw jedną, a potem drugą rękę.

* * *

Dianora zobaczyła, jak podchodzi do samej krawędzi wzgórza, w rozpalone do białości powietrze. Scelto gdzieś odbiegł. Poniżej nich armia Zachodniej Dłoni była spychana w tył w środku, na lewym i na prawym skrzydle. Wściekłe okrzyki Barbadorczyków nabrały tryumfalnej nuty trafiającej prosto w serce.

Brandin uniósł prawą dłoń i wyprostował ją przed siebie. Następnie dołączył do niej lewą dłoń, tak że stykały się ze sobą, i wszystkie dziesięć palców wskazywało jedno miejsce. Tam, gdzie na tyłach swej armii był Alberico z Barbadoru.

I Brandin z Zachodniej Dłoni, który przybywając na ten półwysep był jeszcze królem Ygrathu, zawołał głosem rozziewającym powietrze:

– O mój synu! Stevanie, wybac mi to, co robię!

Dianora przestała oddychać. Pomyślała, że zaraz upadnie. Wyciągnęła rękę, żeby się podeprzeć, i nawet nie zauważyła, że podtrzymał ją d'Eymon.

Wtedy Brandin znów przemówił głosem tak zimnym, jakiego nigdy u niego nie słyszała. Wypowiedział słowa, których nikt z nich nie rozumiał. Jedynie czarnoksiężnik w dolinie wiedziałby, co się dzieje, jedynie on potrafiłby ogarnąć potworność czynu Brandina.

Dianora zobaczyła, jak Brandin rozstawia nogi, jakby chciał pewniej stanąć. A potem zobaczyła, co się stało.

* * *

– Teraz! – krzyknął Erlein di Senzio. – Obaj! Wyciągnijcie tamtych! Oderwijcie się! Już!

– Są wolni! – zawołał Sertino. – Oderwałem się! – Padł bezwładnie na ziemię, jakby nigdy już nie miał wstać.

Na tamtym drugim wzgórzu coś się działo. W środku dnia, w jasnym blasku słońca niebo jakby się zmieniało, ciemniało tam, gdzie stał Brandin. Coś – ani dym, ani światło, jakaś przemiana samej istoty powietrza – wydawało się spływać kłębamii ku wschodowi z jego rąk, oszukując wzrok, coś zamazanego, nienaturalnego, niczym zbliżająca się zagłada.

Erlein nagle odwrócił głowę. Oczy miał rozszerzone z przerażenia.

– Sandre, co robisz? – zawołał przeraźliwie, chcąc chwycić diuka. – Wyrwij się, głupcze!

W imię Eanny, wyrwij się!

– Jeszcze... nie – powiedział Sandre d’Astibar głosem, który niósł własną miarę przeznaczenia.

* * *

Jeszcze czterech przyszło mu z pomocą. Nie byli to czarodzieje, dysponowali innym rodzajem magii Dłoni, magią, o której istnieniu nawet nie wiedział ani jej nie rozumiał. Nie miało to jednak znaczenia. Byli po jego stronie, choć nie dawali do siebie przystępu, a z nimi, z ich mocą nagiętą ku jego obronie udało mu się nawet wyjść naprzeciw wroga i umocnić własną siłę.

A wróg się cofał! Jednak jest na świecie chwała i nadzieja, coś więcej niż nadzieja, lśniąca ścieżka tryumfu rozpościerająca się przed nim w dolinie, ścieżka śliska od krwi jego wrogów, prowadząca prosto stąd poprzez morze do domu i tiary.

Pobłogosławi tych czarodziejów, obsypie zaszczytami! Obdarzy ich niewyobrażalną władzą, tu, w tej kolonii czy w Barbadorze. Da im wszystko, czego zapragną. Snując te myśli, Alberico poczuł magię pulsującą mu w żyłach jak oszalamiające wino i wysłał ją przeciwko Ygratheńczykom i ludziom Zachodniej Dłoni, a jego armia ryknęła tryumfalnym śmiechem i poczuła, że jej miecze zrobiły się nagle lekkie niczym letnia trawa.

Usłyszał, że wojsko zaczyna śpiewać starą pieśń bitewną legionów imperium, zdobywających przed wiekami odległe ziemie. I tak było! Znow podbijali cudze kraje. Nie byli tylko najemnikami, lecz legionami imperium, bo on jest, czy też będzie, samym imperium. Widział to. Przyszłość lśniła przed nim w blasku słońca.

Wtedy Brandin z Ygrathu wstał i podszedł do krawędzi swego wzgórza. Daleka postać, samotna w słońcu na wysokości. W chwilę później Alberico, który sam był czarnoksiężnikiem, wyczuł, bo nie mógł ich usłyszeć, mroczne, ostateczne słowa inwokacji wypowiedziane przez Brandina, i krew zastygła mu, w żyłach niczym lód w środku zimowej nocy.

– Nie może – wyjąkał. – Nie po tak długim czasie! Nie może tego zrobić!

Alberico mylił się. Ygratheńczyk sięgał po wszystko, wzywał całą swą magię do ostatniej krzty, niczego nie zachowując na później. Niczego, nawet mocy napędzającej jego zemstę, która trzymała go tu przez te wszystkie lata. Dawał z siebie wszystko, by stworzyć zaklęcie, jakie jeszcze nigdy nie powstało.

Rozpaczliwie, wciąż nie wierząc w to, co się dzieje, Alberico sięgnął myślą ku czarodziejom. Chciał im powiedzieć, żeby się przygotowali. Wołał, że jest ich ośmiu, dziewięciu, że mogą to przetrzymać. Że wystarczy, żeby przeżyli tę chwilę, a Brandin będzie niczym, pustą skorupą. Przez tygodnie, miesiące, lata! Pustym człowiekiem na zawsze

pozbawionym wszelkiej magii.

Ich umysły były zamknięte, niedostępne. Trwali tam jednak, gotowi do obrony. Och, gdyby był z nim rogaty bóg i Nocna Królowa! Gdyby oni byli z nim, mógłby...

Nie było ich. Opuścili go.

W tej bowiem chwili Alberico poczuł, że czarodzieje Dłoni odrywają się, znikają bez ostrzeżenia, z przerażającą szybkością, zostawiając go obnażonego i samego. Stojący na wzgórzu Brandin wyprostował teraz ręce. Spłynęła z nich sinoszara śmierć, przesłaniająca i niwecząca wszystko jakaś obecność w powietrzu, zbliżająca się przez dolinę pulsującymi kłębam.

A czarodzieje zniknęli! Został sam.

A raczej prawie zniknęli, został prawie sam. Jeden z nich wciąż utrzymywał spójnię, jeden z nich go nie opuścił! I wtedy ten jeden umysł otworzył się na Alberico niczym zamknięte drzwi lochu, nagle wpuszczające powódź światła.

Światła prawdy. W tej chwili Alberico z Barbadioru krzyknął z przerażenia i bezsilnej wściekłości, bo w końcu w jednym przeblysku zrozumiał, co go zgubiło i kto go zniszczył.

„W imieniu moich synów na zawsze cię przeklinam” – rzekł Sandre, diuk Astibaru. W umyśle Alberico powstał obraz jego nieugiętej postaci niczym jakiejś straszliwej zjawy z zaświatów. On jednak żył. Choć to niemożliwe, on żył i znajdował się tu, w Senzio, na tamtym wzniesieniu, patrząc na Alberico nieubłaganym, bezlitosnym wzrokiem. Odsłonił zęby w uśmiechu, który przyzywał noc. „W imię moich dzieci i Astibaru, giń, na zawsze przeklęty”.

Wtedy dopiero Sandre zerwał spójnię, on również zniknął, a sinoszara śmierć spływała kipiela ze wzgórza Brandina, z jego wyciągniętych rąk z rozmytą, niszczącą wszystko po drodze szybkością. Alberico, wciąż oszołomiony wstrząsem, kurczowo trzymając się poręczy fotela, chciał wstać, lecz owa śmierć trafiła go, zakryła i unicestwiła, jak fala przyboju rozwścieczonego, żarłocznego morza porywa z nisko leżących pól młodą sadzonkę.

Porwała go ze sobą i oddzieliła jego wciąż krzyczące ciało od duszy, i Alberico umarł. Umarł na tym dalekim Półwyspie Dłoni, na dwa dni przed odejściem do bogów jego imperatora, który nie obudził się kolejnego poranka w Barbadiorze z pozbawionego marzeń snu.

Żołnierze Alberico usłyszeli jego ostatni krzyk i ich własne okrzyki uniesienia zmieniły się w paniczne wrzaski przerażenia; w obliczu tej magii płynącej ze wzgórza Barbadiorczycy poczuli ogarniającą ich falę takiego strachu, jakiego ludzie nigdy nie powinni zaznać. Ledwie mogli utrzymać w rękach miecze, uciekać czy choćby ustać przed nieprzyjaciółmi, którzy zbliżali się nietknięci, silni, rozradowani, chronieni przez tę straszliwą, zakrywającą słońce magię, a potem zaczęli ich siec i ciąć w śmiertelnym gniewie.

* * *

Wszystko, pomyślał Brandin z Ygrathu, Brandin z Zachodniej Dłoni, szlochając bezradnie na swoim wzgórzu i patrząc na dolinę. Został do tego zmuszony i dał swoją odpowiedź, wezwał w tym ostatecznym celu wszystko, co miał – i to wystarczyło. Wystarczyło, ale nie udało by mu się, gdyby poświęcił choć trochę mniej. Miał przeciwko sobie zbyt wielką magię, a jego ludzi czekała tam śmierć.

Wiedział, do czego został zmuszony, znał cenę oddania wszystkiego. Już ją raz zapłacił i płacił teraz, będzie to robił z każdym swoim oddechem do końca życia. Zanim przyzwał tę potęgę, wykrzyczał imię Stevana i na głos, i w rozbrzmiewających echem komnatach swej duszy. Wiedział, że dwadzieścia lat zemsty za to zbyt szybko zniszczone życie zostało teraz zniweczone pod spiszowym słońcem Senzio. Oddał wszystko. Skończyło się.

W leżącej poniżej dolinie umierali jednak ludzie, walczący pod jego sztandarem, w jego imieniu, i nie było dla nich z tej równiny ucieczki. Ani dla niego. Nie mógł uciec. Został zapędzony w tę sytuację niczym niedźwiedź nad skaliste urwisko przez stado wilków i właśnie za to płacił. Wszędzie za to płacono. W dolinie odbywała się rzeź Barbadiorczyków. Jego serce lkało. Brandin był zrozpaczony i rozdarty, a wszystkie wspomnienia miłości i ojcowskiej straty zalały go niczym kolejna fala. Stevan.

Szlochał, unosząc się na oceanie straty, z dala od wszelkich brzegów. Niejasno zdawał sobie sprawę z obecności Dianory, ściskającej między swymi dłońmi jego ręce, był jednak zagubiony we własnym bólu, pozbawiony wszelkiej mocy, a jądro jego istnienia leżało strzaskane na kawałki. On sam nie był już młody i bez żadnej nadziei próbował wymyślić, jak ma pokierować swoim życiem, żeby mogło się jakoś toczyć dalej.

Wtedy wydarzyło się coś jeszcze. Brandin bowiem jednak o czymś zapomniał. O czymś, o czym mógł wiedzieć tylko on.

Oto czas, który zaiste nie mógł się zatrzymać, czy to dla żalu, litości czy miłości, poniósł ich wszystkich do chwili, której nie przewidział żaden czarnoksiężnik, czarodziej czy fletniarz na swoim wzniesieniu.

* * *

Ciężar był ciężarem gór miażdżących jego umysł. Starannie, precyzyjnie wyliczonym, by pozostawić mu tę najdrobniejszą iskrę samoświadomości, w której kryła się najczystsza tortura. Żeby zawsze dokładnie wiedział, kim jest i kim był, i co musiał robić, całkowicie pozbawiony kontroli nad sobą. Zmiażdżony pod ciężarem gór.

Teraz ów ciężar zniknął. Wyprostował plecy z własnej woli. Zwrócił się na wschód. Z własnej woli. Spróbował wyżej unieść głowę, ale nie mógł tego zrobić. Zrozumiał: zbyt wiele

lat w tej samej skurczonej, zgarbionej pozycji. Kości jego ramion zostały kilkakrotnie starannie połamane. Wiedział, jak wygląda, w co został zmieniony w owej ciemności przed laty. Widział przecież przez te wszystkie lata swoje odbicia w zwierciadłach ze szkła i w zwierciadłach oczu innych ludzi. Wiedział dokładnie, co zrobiono z jego ciałem, zanim zabrano się do jego umysłu.

Teraz nie miało to już znaczenia. Góry zniknęły. Patrzył własnymi oczyma, sięgał wstecz własną pamięcią, mógłby wyrażać, gdyby tylko zechciał, własne myśli własnym, choć nie do poznania zmienionym głosem.

Rhun natomiast dobył miecza.

Oczywiście, że miał miecz. Nosił każdą broń, jaką miał przy sobie Brandin, codziennie otrzymywał takie samo ubranie, jakie wybrał sobie król; był wentylem, przekaźnikiem, dublerem, błaznem.

Był kimś więcej. Dokładnie wiedział kim. Brandin pozostawił mu na samym dnie umysłu, pod przygniatającymi, spiętrzonymi górami starannie odmierzony strzęp świadomości. O to właśnie chodziło, to stanowiło istotę wszystkiego; to oraz tajemnica, fakt, że wiedzą o tym tylko oni dwaj i tylko oni dwaj będą o tym kiedykolwiek wiedzieć.

Ludzie, którzy go zniekształcili i zeszpecili, byli ślepi. Pracowali nad nim w ciemności, poznając jego ciało jedynie dotykiem swoich rąk, sięgając aż do kości. Nigdy nie dowiedzieli się, kim jest. Wiedział o tym jedynie Brandin, jedynie Brandin i on sam dzięki nikłemu płomykowi tożsamości tak starannie zachowanemu, kiedy zostało mu odebrane wszystko inne. Było to tak elegancko pomyślane, ta odpowiedź na jego czyn, ta reakcja na żal i wściekłość. Ta zemsta.

Nikt poza Brandinem z Ygrathu nie znał jego prawdziwego imienia, a przygnieciony ciężarem gór on sam nie mógł go wypowiedzieć, mógł jedynie płakać w głębi serca nad tym, co mu uczyniono. Cóż za wyrafinowana, doskonała zemsta.

Lecz góry, który go przygniatały, teraz zniknęły.

I z tą myślą stojący na wzgórzu w Senzio Valentin, książę Tigany, uniósł miecz.

Jego umysł należał do niego, podobnie jak jego wspomnienia: wspomnienie pomieszczenia bez światła, czarnego jak smoła; wspomnienie głosu ygratheńskiego króla, mówiącego mu z płaczem, co się właśnie dzieje z Tiganą i co się stanie z nim w nadchodzących miesiącach i latach.

Pod koniec tygodnia został na kole śmierci w Chiarze stracony potwornie okaleczony człowiek, któremu za pomocą czarów nadano jego rysy. Ciało następnie spalono, a popiół rozsypano na cztery strony świata.

W czarnym pomieszczeniu ślepcy rozpoczęli swoją pracę. Pamiętał, że początkowo usiłował nie krzyczeć. Pamiętał, jak krzyczał. O wiele później przyszedł Brandin i zaczął, a potem skończył swoją część tej cierplivej pracy. Była to zupełnie inna, o wiele gorsza tortura. Ciężar

gór w jego umyśle.

Pod koniec tego samego roku królewski błazen z Ygrathu zginął w wypadku w nowo zamieszkanym pałacu w Chiarze. I wkrótce potem wyprowadzono z ciemności w dwadzieścia lat nocy powłóczącego nogami Rhuna, Rhuna o słabych, mrugających oczach, zniekształconym ramieniu i obwisłych ustach, ledwo chodzącego Rhuna.

Teraz było bardzo jasno, blask słońca niemal oślepiał. Brandin stał tuż przed nim. Za rękę trzymała go dziewczyna.

Ta dziewczyna. To była córka Saevara.

Poznał ją w chwili, kiedy po raz pierwszy przyprowadzono ją przed oblicze króla. Zmieniła się przez te pięć lat, bardzo się zmieniła, a miała się zmienić jeszcze bardziej z upływem lat, miała jednak oczy ojca, a Valentin przecież widział, jak Dianora dorastała. Kiedy pierwszego dnia usłyszał, że mówi się o niej jako o kobiecie z Certando, to ta nikła iskierka jego umysłu, jaką mu pozostawiono, zamigotała i rozpalila się, bo Valentin poznał, po co tu przybyła.

A potem; w miarę upływu miesięcy i lat, patrzył bezradnie zaropiałymi oczyma spod przygniatających go gór, jak straszliwy splot wydarzeń dodaje do wszystkiego miłość. W niewyobrażalny wprost sposób był związany z Brandinem i widział, co się dzieje. Co więcej, z samej natury związku między królami i błaznami Ygrathu został zmuszony do brania w tym udziału.

On pierwszy – nie władając sobą – wyraził to, co rosło w sercu króla. Dawno temu, kiedy Brandin wciąż nie chciał dopuścić do swej duszy, ukształtowanej przez zemstę i stratę nawet myśli o miłości, to właśnie Rhun – Valentin – wpatrywał się w Dianorę, w ciemnowłosą córkę Saevara, oczyma odbijającymi cudzą duszę.

Teraz to się skończyło raz na zawsze. Przemineła długa noc. Zniknęły okowy czarnoksiężstwa. Koniec. Stał w słonecznym blasku i gdyby przyszła mu na to ochota, mógł wypowiedzieć własne prawdziwe imię. Postąpił niezręcznie do przodu jeden, a potem, nieco ostrożniej, drugi krok. Nikt go jednak nie zauważył. Był błaznom. Rhunem. Nawet to imię zostało wybrane przez króla. Tak żeby wiedzieli o tym tylko oni dwaj. Świat miał nic nie wiedzieć. Intymność dumy. On to nawet rozumiał. Być może było to najstraszniejsze ze wszystkiego: on rozumiał.

Wszedł pod baldachim. Brandin stał przed nim na skraju wzgórza. W ciągu całego życia nigdy nie zaatakował człowieka od tyłu. Trochę się potykając, przesunął się w bok i stanął po prawej ręce króla. Nikt na niego nie patrzył. Był Rhunem.

Nieprawda.

– Powinieneś być mnie zabić nad rzeką – powiedział bardzo wyraźnie. Brandin powoli odwrócił głowę, jakby właśnie coś sobie przypominał. Valentin spokojnie zaczekał, aż ich oczy się spotkają, po czym wbił miecz w serce Ygratheńczyka, jak księżę zabija swych wrogów bez

względu na to, ile upłynęło lat, ile trzeba było wycierpieć, zanim mogło dojść do takiego końca.

* * *

Dianora osłupiała; była tak zaskoczona, że nawet nie mogła krzyknąć. Zobaczyła, że Brandin zachwiał się z mieczem wbitym w pierś. Wtedy Rhun – Rhun! – wyszarpnął go niezdarnie i z rany trysnęła krew. Oczy Brandina rozszerzyły się ze zdumienia i bólu, lecz były czyste, tak świetliście czyste. Podobnie jak jego głos, kiedy powiedział:

– Obu? – Zachwiał się. – Ojca i syna, obu? Cóż za żniwo, książę Tigany.

Dla Dianory te słowa były jak biały wybuch w mózgu. Wydawało się, że czas niezdolnie spowalnia swój bieg. Zobaczyła Brandina osuwającego się na kolana; jego upadek trwał chyba całą wieczność. Chciała do niego podejść, ale nie mogła uczynić kroku. Usłyszała długi, dziwnie zniekształcony krzyk rozpaczony i zobaczyła wykrzywioną straszliwym bólem twarz d'Eymona, który rozorał mieczem bok Rhuna.

Nie Rhuna. Bynajmniej nie Rhuna. Księcia Valentina.

Błazna Brandina. Przez te wszystkie lata. Co z nim zrobiono! A ona obok niego, obok tego cierpienia. Przez te wszystkie lata. Chciała krzyknąć. Nie mogła wydobyć głosu, ledwie oddychała.

Zobaczyła, jak on też pada bezwładnie na ziemię obok Brandina, zniekształcona, okaleczona postać. Brandin wciąż klęczał z ziejącą raną w piersi. Patrzył na nią, tylko na nią. Kiedy osunęła się na ziemię obok niego, zaszlochała. Sięgnął ręką, wolno, z kolosalnym wysiłkiem woli, skupiając na tym ruchu całe swoje jestestwo, i ujął ją za rękę.

– Och, miłości moja – usłyszała jego słowa. – Jest tak, jak ci mówiłem. Powinniśmy się byli spotkać w Finavirze.

Spróbowała coś powiedzieć, odpowiedzieć mu, ale po jej twarzy ściekały łzy i miała ściśnięte gardło. Z całych sił uściśnęła go za rękę, próbując przekazać mu własne życie. Osunął się na jej ramię, Dianora opuściła go więc na swoje kolana i objęła, tak jak zrobiła to zeszłej nocy, jeszcze zeszłej nocy, kiedy zasnął. Zobaczyła, jak jego przejrzyste, szare oczy stopniowo zasnuwają się mgłą, a potem ciemnością. Tak go trzymała, kiedy umarł.

Uniosła głowę. Książę Tigany, leżący obok nich na ziemi, patrzył na nią z takim współczuciem w swoich na nowo przejrzystych oczach. Tego nie mogła znieść. Nie od niego: nie po tym, co wycierpiał, i po tym, co zrobiła. Zobaczyła, że otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, a potem spogląda w bok.

Słońce przesłonił jakiś cień. Podniosła oczy i zobaczyła wysoko wzniesiony miecz d'Eymona. Valentin uniosł błagalnym gestem rękę, żeby powstrzymać jego cios.

– Czeka! – wyrzuciła z siebie z trudem.

I d'Eymon, oszalały z rozpacz, znieruchomiał na jej słowa. Powstrzymał cios. Valentin opuścił rękę. Zaczerpnął powietrza wbrew ostatecznej rzeczywistości swojej rany, a potem, przez zamknięcie oczu oddawszy się od bólu i ostrego światła, przemówił. Nie był to krzyk, lecz wypowiedziane czystym głosem jedno słowo. Jedno słowo, będące – och, czy mógł wyrzec jakieś inne słowo? – nazwą ich domu, na nowo przedstawioną światu w swym pełnym blasku.

I Dianora zobaczyła, że d'Eymon z Ygrathu poznał tę nazwę. Ze ją usłyszał. Oznaczało to, że mogli tę nazwę usłyszeć teraz wszyscy, że czar przestał działać. Valentin otworzył oczy i podniósł je na kanclerza, wyczytując z jego twarzy tę prawdę, a Dianora zobaczyła, że gdy miecz d'Eymona opadał z wysokości i wbijał się w serce Valentina, księżę Tigany się uśmiechał.

Ten uśmiech pozostał na jego straszliwie zniekształconej twarzy nawet w śmierci. Dianorze wydawało się, że echo jego ostatniego słowa, tej jednej nazwy, wisi w powietrzu i rozbiega się falami nad doliną, gdzie ginęli Barbadiorczycy.

Tuląc siwiejącą głowę martwego mężczyzny spoczywającego w jej ramionach, nie mogła powstrzymać łez. „W Finavirze” – powiedział. Jego ostatnie słowa. Jeszcze jedna nazwa jakiejś krainy, leżącej dalej niż sięgają sny. Miał rację, jak wiele razy miał rację. Gdyby bogowie im sprzyjali i byli w stanie się nad nimi ulitować, to powinni byli się spotkać w innym świecie. Nie tutaj. Miłość bowiem była tym, czym była, ale to nie wystarczało. Nie tutaj.

Usłyszała jakiś dźwięk dobiegający spod baldachimu i odwróciła się, by ujrzeć, jak d'Eymon pada przodem na fotel Brandina. O oparcie fotela wspierała się rękojeść jego miecza, a klinga przebiła pierś d'Eymona. Dianora litowała się nad bólem kanclerza, ale nie potrafiła wzbudzić w sobie prawdziwego żalu. Nie stać już jej było na taki smutek. D'Eymon z Ygrathu już się nie liczył, kiedy tuż obok leżeli ci dwaj ludzie. Mogła litować się, och, jak bardzo mogła się litować nad każdym mężczyzną czy kobietą, ale prawdziwie żałować mogła tylko tych dwóch. Na razie. Zawsze, uświadomiła sobie.

Podniosła wtedy wzrok i zobaczyła Scelto, wciąż klęczącego, jedyną oprócz niej żywą osobę na tym wzgórzu. On też szlochał. Pojęła, że płacze nad nią, a nie nad zmarłymi. Pierwsze łzy zawsze ronił nad nią. Miała jednak wrażenie, że Scelto jest gdzieś bardzo daleko. Wszystko wydawało się dziwnie odległe. Poza Brandinem. Poza Valentinem.

Po raz ostatni popatrzyła na mężczyznę, z miłości do którego zdradziła swój dom, wszystkich swoich zmarłych oraz zemstę, którą tak dawno temu zaprzysięgła przed ogniem płonącym na kominku w domu swego ojca. Popatrzyła na to, co zostało z Brandina z Ygrathu, gdy uleciała z niego dusza, i powoli, czule pochyliła głowę, by złożyć na jego ustach pożegnalny pocałunek.

– W Finavirze – powiedziała. – Miłości moja. Następnie ułożyła go na ziemi obok Valentina i wstała. Spojrzawszy na południe, spostrzegła, że trzech mężczyzn i rudowłosa kobieta zesli już ze wzniesienia czarodziejów i zaczynają szybko przecinać nierówny teren dzielący ich od

wzgórza. Odwróciła się do Scelto, w którego oczach kryło się straszliwe przecucie. Pamiętała, że Scelto ją zna, że ją kocha i zna o wiele za dobrze. Wiedział wszystko oprócz tej jednej rzeczy, a ten jeden sekret ona zabierze ze sobą. Miała do tego prawo.

– W pewnym sensie – rzekła, pokazując na księcia – byłoby niemal lepiej, żeby nikt nie wiedział, kim był. Nie wolno nam chyba jednak tego robić. Powiedz im, Scelto. Zostań i powiedz im, kiedy tu przyjdą. Powinni wiedzieć, kimkolwiek są.

– Och, moja pani – szepnął z płaczem. – Czy to musi się tak kończyć?

Wiedziała, co chce powiedzieć. Oczywiście, że wiedziała. Nie będzie teraz przed nim udawać. Spojrzała na ludzi – kimkolwiek byli – zbliżających się szybko z południa. Na kobietę. Na brązowowłosego mężczyznę z mieczem, na drugiego o ciemniejszych włosach i na trzeciego z nich, drobniejszego od tamtych dwóch.

– Tak – rzekła, patrząc na nich. – Tak, chyba musi. Odwróciła się i zostawiła go z umarłymi, żeby czekał na przybyszów. Zostawiła za sobą dolinę, wzgórze, wszystkie odgłosy bitwy i bólu, i ruszyła w dół pasterską ścieżką, która wiała się na zachód po zboczu wzgórza, ukryta przed wzrokiem innych. Wzdłuż ścieżki rosły kwiaty: jagody sonrai, dzikie lilie, kosańce, żółte i białe anemony, a wśród nich jeden szkarłatny. W Tregei mówiono, że kwiat ten zabarwiła na czerwono krew Adaona w miejscu, w którym upadł.

Nie było na zboczu żadnych ludzi, którzy mogliby ją zobaczyć lub zatrzymać, a niedaleko zaczynał się płaski teren, potem plaża i w końcu morze, nad którym krążyły rozkrzyczane mewy.

Miała krew na ubraniu. Porzuciła je na szerokim pasie tego białego piasku. Weszła do wody – była zimna, ale nie tak, jak morze pod Chiarą w dniu Nurkowania. Szła powoli, aż woda dosięgła jej bioder. Wtedy zaczęła płynąć. Prosto w morze, na zachód, ku miejscu, gdzie zajdzie słońce, kiedy w końcu opuści się w dół, by zakończyć ten dzień. Była dobrą pływaczką; dawno temu uczył ją ojciec i brat, po tym, jak przyśnił jej się pewien sen. Do ich zatoczki nawet przyszedł raz z nimi książę Valentin. Dawno temu.

Kiedy w końcu zaczęła odczuwać zmęczenie, była już bardzo daleko od brzegu, tam gdzie błękitnozielony kolor oceanu przybrzeżnego zmienia się w ciemniejszy błękit głębi. Tam zanurkowała, prąc w dół, oddalając się od błękitu nieba i spizowego słońca. Wydawało jej się, że w wodzie pojawiła się dziwna światłość, jakby ścieżka w morskich głębinach.

Nie spodziewała się tego. Nie sądziła, że będzie na nią czekało coś takiego. Nie po tym wszystkim, co się stało, co zrobiła. Była tam jednak rzeczywiście jakaś ścieżka jaśniejąca własnym blaskiem. Dianora czuła już zmęczenie i znajdowała się bardzo głęboko. Zaczęło jej ciemnieć przed oczyma. Wydało się jej, że na skraju skrzącego się blasku dostrzega jakiś migający kształt. Nie widziała go jednak wyraźnie, bo zaczęła ją ogarniać jakby mgła. Pomyślała przez chwilę, że ten kształt musi być riselką, chociaż na to nie zasłużyła, albo nawet Adaonem, chociaż nie miała najmniejszych podstaw, by tak sądzić. Wtedy jednak wydało się Dianorze, że

w ostatniej chwili jej umysł rozjaśnił się światłem, a mgła nieco zrzędła, i zobaczyła, że nie zjawiała się jej ani riselka, ani bóg.

To przybyła Moriana, łagodna i łaskawa, by zaprowadzić ją do domu.

* * *

Jedyny żywy na wzgórzu wśród zmarłych, Scelto wstał i z największym spokojem, na jaki go było stać, czekał na ludzi, którzy zaczynali się już wspinać na zbocze.

Kiedy trzech mężczyźni i kobieta weszli na szczyt, ukląkł przed nimi z pokorą. Patrzyli w milczeniu na ślady wydarzeń, które rozegrały się na wzgórzu. Na to, co zabrała ze sobą śmierć. Zdawał sobie sprawę, że mogą go zabić. Nie był pewien, czy o to dba.

Król leżał zaledwie na wyciągnięcie ręki od Rhuna, który go zabił. Rhuna, który niegdyś był księciem tu, w Dłoni. Księciem Tigany. Dolnego Corte. Scelto miał wrażenie, że gdyby później miał chwilę czasu, to być może mógłby zacząć dopasowywać do siebie elementy tej układanki. Mimo odrętwienia, w jakim się znajdował, czuł przeszywający ból w głowie, ilekroć zaczynał się zastanawiać nad całą tą sprawą. Tyle się dokonało w imię zmarłych.

Teraz doszła już pewnie do wody. Tym razem nie wróci. Nie spodziewał się jej powrotu w dzień Nurkowania; próbowała to ukryć, ale kiedy się owego dnia obudziła, wyczuł coś w jej zachowaniu. Nie rozumiał dlaczego, ale wiedział, że przygotowywała się wtedy na śmierć.

Miał całkowitą pewność, że była na nią gotowa, ale coś się w jej życiu zmieniło tamtego dnia nad wodą. Więcej się już nie zmieni.

– Jesteś...?

Podniósł wzrok. Spoczywało na nim czyste, szare spojrzenie szczupłego, czarnowłosego mężczyzny, siwiejącego na skroniach. Spojrzenie dziwnie podobne do Brandinowego.

– Scelto. Służyłem w saizanie, a dzisiaj jako posłaniec.

– Byłeś tu, kiedy zginęli?

Scelto skinął głową. Mężczyzna mówił ze spokojem, choć w jego głosie wyczuwało się wysiłek, jakby usiłował swoim tonem wymusić porządek na chaosie tego dnia.

– Zechcesz mi powiedzieć, kto zabił króla Ygrathu?

– Jego błazen – odparł cicho Scelto, starając się dostosować do zachowania mężczyzny. W dolinie odgłosy bitwy nareszcie cichły.

– Jak? Na prośbę Brandina? – zapytał jeden z pozostałych mężczyzn, brodaty i ciemnooki człowiek o surowym wyglądzie i z mieczem w ręku.

Scelto potrząsnął głową. Nagle poczuł wszechogarniające zmęczenie. Ona już pewnie płynie. Musiała już bardzo się oddalić.

– Nie. Zaatakował go. Myślę... – Opuścił głowę, bojąc się pozwolić sobie na zbyt wiele.

– Mów dalej – zachęcił go łagodnie pierwszy mężczyzna. – Nie grozi ci z naszej strony żadne niebezpieczeństwo. Mam już na dzisiaj dosyć rozlewu krwi. Naprawdę.

Scelto podniósł na te słowa pełen zdumienia wzrok, po czym powiedział:

– Myślę, że kiedy król posłużył się ostatnim zaklęciem, to był tak skupiony na dolinie, że zapomniał o Rhunie. Wykorzystał całą swoją magię i uwolnił błazna.

– Uwolnił coś jeszcze – rzekł cicho szarooki mężczyzna. Podeszła do niego wysoka kobieta. Miała rude włosy i ciemnoniebieskie oczy; była młoda i bardzo piękna, Na pewno jest już daleko wśród fal. Wkrótce wszystko się skończy. Nie pożegnała się. Po tylu latach. Scelto zdusił szloch.

– Czy mogę wiedzieć – zapytał ich, nie bardzo wiedząc po co – czy mogę wiedzieć, kim jesteście?

A ciemnowłosy mężczyzna odpowiedział cicho, bez arogancji czy nawet wyraźnej pewności siebie:

– Nazywam się Alessan bar Valentin i jestem ostatni z rodu. Prawie dwadzieścia lat temu Brandin zabił mojego ojca i braci. Jestem księciem Tigany.

Scelto zamknął oczy.

Znów słyszał głos Brandina, wyraźny i zimny, pełen ironii, nawet w obliczu śmiertelnej rany: „Cóż za żniwo, księżę Tigany”. I Rhuna, który tuż przed śmiercią wypowiedział pod kopułą nieba tę samą nazwę.

To była chwila jego własnej zemsty.

– Gdzie jest ta kobieta? – zapytał nagle trzeci mężczyzna, ten młodszy i drobniejszy. – Gdzie jest Dianora di Certando, która dokonała Nurkowania po Pierścień? Chyba tu była?

Teraz pewnie jest już po wszystkim. Spokój, głębia i ciemność. Zielone wodorosty zdobią jej włosy i oplatają ciało. Nareszcie będzie mogła odpocząć i odnaleźć spokój.

Scelto poniósł oczy. Płakał, teraz już nawet nie próbował ukryć czy powstrzymać łez.

– Była tutaj – rzekł. – Odeszła do morza, by znaleźć w nim koniec.

Nie sądził, że się tym przejmą. Ze ktokolwiek z nich będzie w stanie się tym przejąć, ale mylił się. Wszyscy czworo, nawet ponury wojownik o brązowych włosach, nagle znieruchomieli, a potem prawie jednocześnie odwrócili się, by powędrować wzrokiem na zachód, ponad wzgórzem i plażą do miejsca, gdzie nad wodą zachodziło słońce.

– Głęboko żałuję, że tak się stało – odezwał się mężczyzna zwany Alessanem. – Widziałem, jak nurkowała po pierścień w Chiarze. Była piękna i zdumiewająco odważna.

Brązowowłosy mężczyzna postąpił do przodu z nieoczekiwanym wahaniem w oczach. Scelto zobaczył, że nie jest tak surowy, jak się początkowo wydawało, oraz że jest też młodszy.

– Powiedz mi – zaczął mężczyzna. – Czy ta kobieta... czy kiedykolwiek... – Przerwał, zmieszany. Ten drugi, księżę, spojrział na niego ze współczuciem w oczach.

– Ona była z Certando, Baerdzie. Wszyscy znają tę historię.

Mężczyzna nazwany Baerdem powoli skinął głową. Kiedy jednak odwrócił się, znów spojrzał na morze. Scelto pomyślał, że nie wyglądają na zwycięzców. Nie wyglądają na ludzi, którzy właśnie odnieśli tryumf. Byli po prostu jak zmęczeni wędrowcy u kresu bardzo długiej drogi.

– A więc to nie byłem ja – powiedział prawie do siebie szarooki. – Po tych wszystkich latach marzeń. Zabił go jego własny błazen. To nie miało nic wspólnego z nami. – Spojrzał na dwóch martwych mężczyzn leżących obok siebie, a potem przeniósł wzrok na Scelto. – Czy wiemy, kto był błaznem?

Odeszła, pozostając na zawsze w ciemnej głębi morza. Odpoczywała. A Scelto był taki zmęczony. Zmęczony żalem, krwią i bólem, zmęczony tymi gorzkimi nawrotami zemsty. Wiedział, co się stanie z tym człowiekiem, gdy tylko otworzy usta.

„Powinni wiedzieć” – powiedziała, zanim odeszła do morza, i była to oczywiście prawda. Scelto spojrzał na szarookiego mężczyznę.

– Rhun? – powiedział. – Ygratheńczyk związany z królem od wielu lat. Nikt szczególnie ważny, panie.

Książę Tigany skinął głową, a jego wyraziste usta drgnęły w grymasie autoironii.

– Oczywiście – rzekł. – Nikt szczególnie ważny. Dlaczegoż miałbym sądzić, że będzie inaczej?

– Alessanie – odezwał się znad krawędzi wzgórza młodszy mężczyzna – to już chyba koniec. To znaczy na dole. Chyba... chyba wszyscy Barbadiorczykcy nie żyją.

Książę uniósł głowę, Scelto też. W tej dolinie stoją obok siebie mieszkańcy Dłoni i Ygrathu.

– Czy teraz nas wszystkich zabijesz? – zapytał Scelto.

Książę Tigany potrząsnął głową.

– Powiedziałem ci już, że dość mam rozlewu krwi. Trzeba wiele zrobić, ale zamierzam tego dokonać bez zabijania.

Podszedł do południowej krawędzi wzgórza i dał ręką jakiś znak ludziom na jego wzniesieniu. Kobieta podeszła do niego, a on objął ją ramieniem. W chwilę później usłyszeli rozlegające się nad doliną i wzgórzami czyste, wysokie i piękne granie rogu, oznajmiające koniec bitwy.

Scelto, wciąż na klęczkach, wytarł oczy brudną ręką. Zauważył, że trzeci mężczyzna, ten, który chciał go o coś zapytać, nadal patrzy na morze. W jego spojrzeniu był ból, którego Scelto nie rozumiał.

Powoli powiódł wzrokiem po bezlitosnym, błękitnym niebie i niebieskozielonym morzu, spojrzał na mężczyznę stojącego na zachodnim krańcu wzgórza, na d'Eymona z Ygrathu, który leżał bezwładnie na królewskim fotelu z własnym mieczem tkwiącym w piersi, i w końcu zatrzymał spojrzenie na dwóch martwych mężczyznach leżących obok siebie na ziemi tak blisko,

że gdyby żyli, mogliby się dotknąć. Jeszcze w tej chwili mógł powiedzieć prawdę i jeszcze tyle ujawnić.

Potrafi dochować ich tajemnicy. Potrafi z nią żyć.

Epilog

Trzech jeźdźców na południowej wyżynie patrzy na wschód, na dolinę. Otaczają ją wzgórza porośnięte sosnowymi i cedrowymi lasami. W oddali lśni rzeka Sperion spływająca z gór. Niedługo wygnie się w wielki łuk, by znaleźć na zachodzie morze. Powietrze jest przejrzyste i chłodne, w lekkich podmuchach wiatru wyczuwa się już jesień. Wkrótce liście zmieniają kolor i wieczne śniegi na najwyższych szczytach zaczną przesuwac się w dół, zamykając przełęcz.

Wśród spokojnej zieleni leżącej poniżej doliny Devin widzi skrzącą się w porannym słońcu kopułę świątyni Eanny. Za sanktuarium dostrzega wijący się szlak, którym zjeżdżali na wiosnę, kiedy przybyli tu ze wschodu po przekroczeniu granicy. Wydaje mu się, że od tego czasu upłynęły całe wieki. Odwraca się w siodle i patrzy ku północy, na pofałdowane, stopniowo zanikające wzgórza.

– Czy później będziemy je mogli stąd zobaczyć?

Baerd podąża za jego wzrokiem.

– Co, Avalor i wieże? Z łatwością, każdego pogodnego dnia. Przyjedź tu na spotkanie za rok, a obiecuję ci, że zobaczysz moją zielono-białą Wieżę Książęcą.

– Skąd bierzesz marmur? – pyta Sandre.

– Z tego samego miejsca, co Orsaria, kiedy budował pierwowzór. Możesz mi wierzyć lub nie, ale kamieniołomy wciąż są czynne. Leżą o jakieś dwa dni jazdy na zachód od nas, blisko wybrzeża.

– I każeś go tu przywieźć?

– Morzem do Tigany, a potem barkami rzecznyymi Sperionem. Tak samo, jak robiono przedtem. – Baerd zgolił brodę. Tak wygląda o kilka lat młodziej, myśli Devin.

– Skąd tyle o tym wiesz? – pyta Sandre z leniwą kpina. – Myślałem, że znasz się tylko na łucznictwie i na tym, jak nie upaść na twarz, kiedy sam chodziłeś w ciemnościach.

Baerd uśmiecha się.

– Zawsze miałem być budowniczym. Kocham kamień jak mój ojciec, choć nie mam jego daru. Jestem jednak rzemieślnikiem i jeszcze wtedy wiedziałem, jak patrzeć na budowę. Myślę, że doskonale wiem, jak Orsaria budował swoje wieże i pałace. Łącznie z tym w Astibarze, Sandre. Czy mam ci powiedzieć, jak przebiegają twoje sekretne przejścia?

Sandre wybucha śmiechem.

– Nie chwał się, ty zarozumiały kamieniarzu. Z drugiej strony, nie byłem w tym pałacu od prawie dwudziestu lat i może będziesz musiał mi przypomnieć, gdzie one są.

Devin szczerzy zęby w uśmiechu i patrzy na diuka. Długo musiał się przyzwyczajać do widoku Sandre bez kharduńskiego przebrania.

– A więc wyjeżdżasz po weselu? – pyta, czując smutek na myśl o czekającym go kolejnym rozstaniu.

– Chyba muszę, chociaż przyznaję, że jestem w rozterce. Czuję się już za stary, żeby kimkolwiek rządzić. I nie mam żadnych spadkobierców, których musiałbym przygotowywać do przejęcia schedy.

Po chwili milczenia Sandre gładko przeprowadza ich przez mrok tych wspomnień.

– Szczerze mówiąc, najbardziej teraz mnie interesuje to, co ostatnio robiłem w Tiganie. Tworzenie spółni z Erleinem, Sertino i czarodziejami, których udało nam się odnaleźć.

– I z Nocnymi Wędrowcami? – pyta Devin.

– Owszem, z carlozzianami Baerda też. Muszę powiedzieć, iż cieszę się, że przyjeżdżają z Alienor na wesele wszyscy czworo.

– Ale na pewno nie cieszysz się tak bardzo, jak Baerd – dodaje chytrze Devin. Baerd gromi go wzrokiem i udaje, że jest pochłonięty obserwacją odległej wstęgi drogi leżącej na południe od nich.

– Oczywiście – zgadza się Sandre. – Chociaż mam nadzieję, że odstąpi mi na krótko swoją Elenę. Jeśli mamy zmienić podejście tego półwyspu do magii, to najlepiej zacząć chyba teraz, prawda?

– Och, z pewnością – mówi Devin z szerokim uśmiechem.

– Ona nie jest moją Eleną – mruczy Baerd, nie odrywając oczu od drogi.

– Nie? – pyta Sandre z udawanym zdumieniem. – To kto to jest ten Baerd, któremu przekazuje za moim pośrednictwem wiadomości? Może go znasz?

– Nawet o nim nie słyszałem – mówi lakonicznie Baerd. Jeszcze przez chwilę zachowuje powagę, po czym wybucha śmiechem. – Zaczynam sobie przypominać, dlaczego wolałem samotność. A co z Devinem, skoro już poruszyłeś ten temat? Nie sądzisz, że Alais posyłałaby mu wiadomości, gdyby tylko mogła?

– Devin – mówi niedbale diuk – to jeszcze dziecko, o wiele za młode i zbyt niewinne, by zadawać się z kobietami, szczególnie z takimi, jak to przebiegłe, doświadczone stworzenie z Astibaru. – Usiłuje przybrać surową minę, ale mu się to nie udaje; obaj jego towarzysze znają jego prawdziwe zdanie o córce Rovigo.

– W Astibarze nie ma niedoświadczonych kobiet – odparowuje Baerd. – A poza tym on jest już w odpowiednim wieku. Ma nawet wojenną bliznę na zębrach, którą może jej pokazywać.

– Już ją widziała – mówi Devin, świetnie się bawiąc. – Zabandażowała ją, kiedy uzdrowił mnie Rinaldo – dodaje pośpiesznie na widok uniesionych brwi starszych mężczyzn. – Nie ma tu nic ekscytującego. – Bezskutecznie usiłuje wyobrazić sobie Alais jako osobkę przebiegłą i podstępną. Ostatnio jednak często do niego wraca wspomnienie jej siedzącej na parapecie okna w Senzio i szczególnego uśmiechu na jej twarzy, kiedy potykając się, szedł po zewnętrznym

pomoście do swego pokoju.

– Ale oni przyjeżdżają, prawda? – pyta diuk. – Przyszło mi do głowy, że mógłbym popłynąć do domu z Rovigo.

– Przyjeżdżają – potwierdza Devin. – Gdyby w zeszłym tygodniu sami nie mieli wesela, już by tu byli.

– Widzę, że znakomicie orientujesz się w ich planach – mówi Baerd z kamienną twarzą. – A co zamierzasz robić po weselu?

– Właściwie – mówi Devin – nie wiem. Myślę chyba o dziesięciu różnych rzeczach. – Najwyraźniej zabrzmiało to poważniej, niż zamierzał, bo obaj jego przyjaciele skupiają na nim całą swoją uwagę.

– Na przykład? – pyta Sandre.

Devin bierze głęboki wdech, unosi obie dłonie i zaczyna liczyć na palcach.

– Znaleźć ojca i pomóc mu tu znowu zamieszkać. Znaleźć Menico di Ferraut i stworzyć trupe, którą powinniśmy założyć, zanim sprowadziliście mnie na manowce. Zostać z Alessanem i Catrianą w Tiganie i we wszystkim im pomagać. Nauczyć się prowadzić statek na morzu; nie pytajcie dlaczego. Zostać w Avalorze i zbudować z Baerdem wieżę. – Przerywa; przyjaciele uśmiechają się. Devin mówi dalej: – Spędzić jeszcze jedną noc z Alienor w Borso. Spędzić życie z Alais bren Rovigo. Zacząć szukać słów i melodii wszystkich piosenek, które utraciliśmy. Przejść przez góry do Quilei i znaleźć w świętym gaju dwudzieste siódme drzewo. Zacząć trenować do wyścigu na następne Igrzyska Triady. Nauczyć się strzelać z łuku – właśnie, Baerdzie, obiecałeś mnie nauczyć!

Przerywa, bo obaj się śmieją. Idzie w ich ślady i prawie traci oddech.

– W którymś miejscu przekroczyłeś już dziesiątkę na tej liście – stwierdza ze śmiechem Baerd.

– To jeszcze nie wszystko – mówi Devin. – Chcecie posłuchać?

– Chyba bym tego nie wytrzymał – odpowiada Sandre. – Zbyt boleśnie przypominasz mi, jaki jestem stary i jaki ty jesteś młody.

Devin na te słowa poważnieje. Potrząsa głową.

– Nie wolno ci tak myśleć. Nie było w zeszłym roku ani chwili, kiedy nie musiałem bardzo się starać, żeby ci dotrzymać kroku. – Uśmiecha się do jakiejś myśli. – Nie jesteś stary, Sandre, jesteś najmłodszym czarodziejem w Dłoni.

Wyraz twarzy Sandre jest dziwny. Unosi lewą rękę – wyraźnie widzą, że brakuje mu dwóch palców.

– Jest w tym nieco prawdy. I być może będę pierwszym, który przełamie zwyczaj ukrywania, kim jesteśmy, bo nie zdążyłem go nabrać.

– Mówisz poważnie o zaniechaniu maskowania? – pyta Baerd.

– Całkowicie. Jeśli mamy przetrwać na tym półwyspie jako jeden naród, to będziemy potrzebować magii, żeby stawić czoło Barbadorowi i Ygrathowi. A ja nawet nie wiem, jaką teraz mają moc w Quilei – zbyt długo nie utrzymywaliśmy z nimi kontaktów. Nie możemy już ukrywać naszych czarodziejów czy carlozzian, nie możemy sobie pozwolić na dawną ignorancję co do kształtowania magii. Poza tym nic nie wiemy o uzdrowicielach. Musimy nauczyć się naszej magii, musimy zacząć ją cenić, wyszukać i wyszkolić czarodziejów i musimy znaleźć sposób na sprawowanie nad nimi kontroli. Dłoń musi odkryć magię, bo inaczej magia znów pewnego dnia stanie się naszą zgubą, tak jak przed dwudziestu laty.

– Sądysz, że możemy osiągnąć to pierwsze? – pyta Devin. – Stworzyć tu jeden naród z obecnych dziewięciu?

– Wiem, że tak. I myślę, że nam się uda. Założę się z wami oboma, że w przyszłym roku podczas Igrzysk Triady Alessan di Tigana zostanie obrany królem Dłoni.

Devin odwraca się szybko do Baerda, który nagle czerwienieje.

– Czy on się zgodzi? – pyta. – Czy on to zrobi, Baerdzie?

Baerd patrzy na Sandre, a potem powoli przenosi wzrok na Devina.

– A któż inny mógłby to zrobić? – odpowiada w końcu. – Nawet nie sędzę, żeby miał jakiś wybór. Spojenie tego półwyspu było celem jego życia od jego piętnastych urodzin. Kiedy odnalazłem go w Quilei, już wstąpił na tę ścieżkę. Myślę... myślę, że tak naprawdę to chciałby razem z tobą odnaleźć Menico i spędzić kilka lat na muzykowaniu z wami, z Erleinem i Catrianą, z kilkoma tancerkami i kimś, kto gra na syrenii.

– Ale? – pyta Sandre.

– Ale to on nas wszystkich uratował, wszyscy to wiedzą, wszyscy teraz wiedzą, kim jest. Po spędzeniu kilkunastu lat na drogach zna więcej ludzi, którzy coś znaczą w każdej prowincji, niż ktokolwiek inny. To on dał nam tę wizję. Jest też księciem Tigany, i to w kwiecie wieku. Obawiam się... – Krzywi się na dźwięk tego słowa. – Nie widzę, w jaki sposób mógłby tego umknąć, nawet gdyby chciał. Myślę, że dla Alessana wszystko się właśnie zaczyna.

Przez chwilę milczą.

– A ty? – pyta Devin. – Zostaniesz przy nim? Czego ty pragniesz?

Baerd uśmiecha się.

– Czego ja pragnę? Nic wielkiego. Bardzo chciałbym odnaleźć siostrę, ale zaczynam przyzwyczajając się do myśli, że... odeszła, i chyba nigdy się już nie dowiem dokąd i w jaki sposób. Będę zawsze do dyspozycji Alessana, ale najbardziej pragnę budować. Domy, świątynie, mosty, jakiś pałac, z pół tuzina wież tu, w Avalle. Muszę widzieć, jak rosną budowle i... to chyba część jednej całości, ale chcę założyć rodzinę. Potrzeba nam tu znów dzieci. Zginęło zbyt wielu ludzi. – Przez chwilę patrzy na góry. – Ty i ja mamy chyba szczęście, Devinie. Nie jesteśmy książętami, diukami ani czarodziejami. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, którzy muszą zacząć życie.

– Powiedziałem ci, że czeka na Elenę – mówi łagodnie Sandre. Nie zaczepnie, lecz jak przyjaciel, z wielką sympatią. Baerd uśmiecha się, znów patrząc w przestrzeń. I w tej chwili zmienia się wyraz jego twarzy, rozświeclają wielką radość.

– Patrzenie – woła, pokazując ręką. – Najeżdża!

Z południa, wijącą się wśród wzgórz drogą, która nie była używana od setek lat, zbliża się wielobarwna, rozciągnięta karawana. Poprzedza ją muzyka, mężczyźni i kobiety jadą wierzchem lub idą pieszo, osły i konie obciążone są towarami, na wietrze trzępocze przynajmniej pięćdziesiąt chorągwi. Teraz już wesołe melodie dobiegają uszu trzech mężczyzn i w porannym słońcu błyskają wszystkie kolory. To Marius, król Quilei, zjeżdża z górskiej przełęczy na wesele swego przyjaciela.

Ma spędzić noc w tutejszym sanktuarium, gdzie zostanie oficjalnie powitany przez wysokiego kapłana Eanny. Pamięta go jako człowieka, który dawno temu przeprowadził do niego przez góry pewnego czternastolatka. W Avelle czekają barki, którymi rano popłyną w dół rzeki do Tigany.

Prawo pierwszego powitania w imieniu Alessana ma jednak Baerd, który poprosił dwóch przyjaciół, żeby tu z nim przyjechali.

– Jedźmy! – woła teraz z twarzą promieniejącą radością. Rusza w dół po stromej ścieżce. Devin i Sandre wymieniają spojrzenia i śpieszą za nim.

– Nigdy nie zrozumieć – woła Devin, gdy go doganiają – jak możesz się tak cieszyć na widok człowieka, który nazywa cię Gołębkiem Dwa!

Sandre parska śmiechem. Baerd śmieje się w głos i żartobliwie zamierza się na Devina. Wszyscy trzej wciąż się śmieją, kiedy wstrzymują konie, by objechać kępę krzaków sonrai, rosnących przy szerokim zakręcie stromej szlaku.

I właśnie tam widzą riselkę, trzech mężczyzn widzi riselkę siedzącą na kamieniu przy zalanej słońcem ścieżce, a jej długie, zielone jak morze włosy powiewają na coraz silniejszym wietrze.